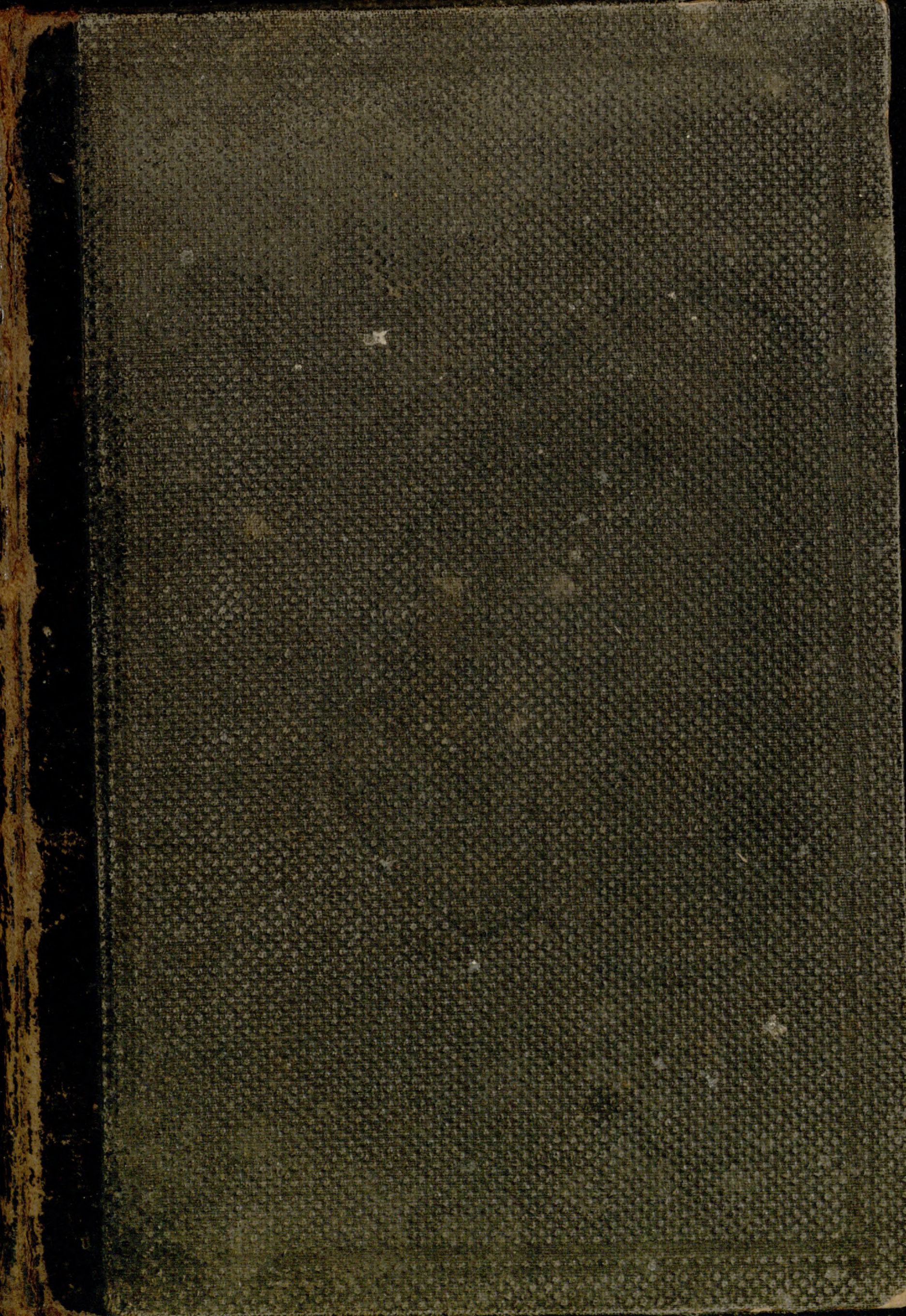




4011/8
B.Sl.1

BIBLIOTEKA ZAŚCIANKOWA.

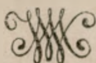
TOM I.

PAMIĘTNIKI JANA CHRYZOSTOMA PASKA,

z czasów panowania

JANA KAZIMIERZA, MICHAŁA KORYBUTA I JANA III.

PRZEDRUK Z WYDANIA E. RACZYŃSKIEGO,
POPRAWIONEGO I DOPEŁNIONEGO WEDŁUG RĘKOPISMU CESARSKIEJ
PUBL. BIBLIOTEKI W PETERSBURGU.



Cena kop. 75.

PETERSBURG.
NAKŁAD I DRUK BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA.
1860.

POZWALA SIĘ DRUKOWAĆ,

pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Petersburg, 26 kwietnia 1857 r.

Cenzor *D. Mackiewicz.*

MUZEUM
Im. Kazimierza Pułaskiego
Winiarkach
Nr inw. 359



PRZEDMOWA WYDAWCY.

Pamiętniki Paska, przed dwudziestu przeszło laty wydane po raz pierwszy przez ś. p. Hrabiego Edwarda Raczyńskiego, zyskały tak powszechną wziętość, że powziąłem zamiar zrobienia nowego ich poprawnego *wydania; że zaś pierwiastkowe wydania tego dzieła są pełne znacznych opuszczeń i omyłek, późniejsze zaś (dokonane przez Mich. Lachowicza), lubo dokładniejsze, opatrzone jest cytatami* makaronizmów, *których autor, wedle zwyczaju swéj epoki, obficie używa, a takowe cytaty powiększają bezużytecznie objętość dzieła i utrudniają czytanie, przeto uprosiłem jednego z PP. literatów, przebywających w Petersburgu, ażeby oba wydania Pamiętników Paska, to jest, tak Hr. Raczyńskiego jak P. Lachowicza, porównał z oryginalnym tekstem, znajdującym się w Petersburskiéj Cesarskiéj publicznéj*

bibliotece, poprawił gdzie niedokładność jaka zachodzi, i wszystkie łacińskie wyrażenia autora na język polski przełożył. Takowy tekst poprawny *przedstawiam teraz Szanownéj Publiczności, będąc pewnym że starania moje w tym względzie łaskawie ocenić raczy.*

Ale nie tylko starałem się dzieło to wydać jak najpoprawniéj, *lecz idąc za potrzebami czasu i chcąc przyczynić się do zjednania literaturze polskiéj jak największéj liczby czytających, postanowiłem o ile można zniżyć cenę tego dzieła, żeby uczynić je* jak najtańszém, *co już miałem na względzie przy wydaniu* Śpiewów historycznych Niemcewicza. *I dla tego pomimo znacznego nakładu, jakiego to dzieło wymagało, naznaczam cenę* 75 kop. *za egzemplarz, daleko niższą od każdego z wydań tego dzieła, jakie się dotąd pojawiły, nie wyjmując nawet wydania pomieszczonego w* Bibliotece Polskiéj, *wydawanéj w Krakowie, któréj 6 zeszytów, obejmujących* Pamiętniki Paska, *przy całéj swéj niepoprawności i znacznych opuszczeniach, kosztują rs. 1 k.50 Pomimo tak niewysokiéj ceny, jaką naznaczyłem za egzemplarze mojego wydania, współkollegom biorącym znaczniejszą liczbę egzemplarzy, nie będę odmawiać zwykłego księgarskiego* rabatu, *co postawi ich w możności sprzedawać to dzieło we wszystkich*

stronach kraju po cenie oznaczonéj, bez żadnych podwyższeń.

Tak więc gdy to wydanie jest najpoprawniejszém *i razem* najtańszém, *wnoszę że publiczność czytająca raczy uwzględnić tę moję staranność, gdyż tylko przy znacznéj rozprzedaży egzemplarzy, będę mógł pozyskać napowrót włożony kapitał, i to mię zachęci do publikowania dalszych równie* poprawnych *jak* tanich *wydań, do których wytłoczenia obecnie przystąpiłem. Tym sposobem obostronne przekonanie, że liczba czytających z poniżeniem cen na książki znacznie się powiększy, w skutku się okaże.*

B. M. Wolff.

Petersburg,
w lutym 1860 r.

SPIS RZECZY.

Str.

Rok 1656.

. . . .
. . . .

*) Nie umiejętność to moja sprawiła,
Ale natura dobrym cię czyniła;
Ta zaś łaskawość i kochanie z tobą
Z téj okazjéj, żeśmy rośli z sobą.
Kiedym wsiadł na cię, tak mi się widziało,
Że na mnie wojska sto tysięcy mało,
Było i męztwo, było serca dosyć,
Nie trzeba było w pierwszy szereg prosić.
Ustaną teraz we mnie te przymioty,
Ubędzie owéj co była ochoty;
Zawsze od bystréj wody sokół stroni,
Gdy czuje w skrzydłach że pióro uroni.
Nie takie nasze miało być rozstanie,
Nie z takim żalem ciężkim pożegnanie;
Tyś mię donosić miał jakiéj godności,
A ja téż ciebie dochować starości.

*) Rękopis znajdujący się w Petersburskiéj Cesarskiéj bibliotece zaczyna się od tych wierszy, które zdają się odnosić do zabitego konia.

Ciężkież to na mnie będą perjody,
Gdy sobie wspomnę na owe swobody,
Których na tobie jeżdżąc zażywałem,
I com zamyślił, tego dokazałem.
Gdy wojska staną w zwykłéj bataljéj,
Ja nie wygodzę swojéj fantazjéj,
Więc ciężko westchnąć i zapłakać cale,
Na cię wspomniawszy, mój dereszu, Vale!

Druga w tymże roku (1656) potrzeba była pod Gnieznem z Szwedami, z wielką wojska szwedzkiego szkodą. Było jeszcze naszych Polaków przy królu szwedzkim siła; Aryanie, Lutrowie, chorągwie mieli swoje, pod którymi Katolików wielu służyło, jedni dla związków krwi, drudzy dla wziątku i swawoli.

Trzecia potrzeba, po szczęśliwie odebranéj Warszawie i wzięciu hetmana szwedzkiego najwyższego, Witemberka, przez zły rząd złém też szczęściem poszło, bo mogliśmy bić króla szwedzkiego, póki nie przyszedł elektor brandeburski z szesnastu tysięcy wojska swego; ale jak się skupili, Tatarowie posiłkowi najpierwéj od nas uciekli, a potém wojsko z pola zegnano, i godnych żołnierzów naginęło, ale też i Szwedów.

Czwarte nader szczęśliwe pod Warką zwycięztwo, kiedyśmy z Czarnieckim samego wyboru szwedzkiego kilka tysięcy trupem położyli, i rzekę Pilicę krwią i trupami szwedzkiemi napełnili; od tego czasu już się potęga szwedzka znacznie słabieć i chwiać zaczęła.

Piąta potrzeba, a prawie też już ostatnia z Szwedami, w głębi kraju pod Trzemesznem, kiedyśmy z samą tylko Czarnieckiego dywizyą, a 2000 mając z sobą ordy krymskiéj, 6000 Szwedów tych, co się byli z różnych fortec zgromadzili i już się za królem do Prus przebierali z wielkiemi dostatkami, których nabyli w Polsce, tak wycięli, jako owo mówią: że ani zwiaściciel klęski nie został się i jeden, któryby był królowi o zginieniu tego wojska wieść zaniósł; bo który z pobojowiska do lasu albo na błota uciekł, tam od ręki chłopskiéj okrutniejszą zginął śmiercią; kogo chłopi nie wytropili, musiał wyjść do wsi albo do miasta, gdzie po staremu zginąć mu przyszło, bo już nigdzie nie było Szwedów. A ta potyczka była od Rawy mila. Z wszystkich tedy tych zginionych nie wiem, jeżeliby się który znalazł, który nie miał być exenterowany,

t[illegible]j okazyi: zbierając chłopi zdobycz na pobojowisku, nadeszli jednego trupa tłustego z brzuchem okrutnie szablą rozciętym, tak że wnętrzności z niego wyszły; więc że kiszka przecięta była, zobaczył jeden czerwony złoty; dalćj szukając znalazł więcćj; dopieroż innych pruć, i tak znajdowali miejscem złoto, miejscami téż błoto. Nawet i tych, co po lasach żywcem znajdowali, to wprzód koło niego poszukali trzosa, potém brzuch nożem rozerznąwszy i kiszki wyjąwszy, a tam nic nie znalazłszy, dopiero: „idźże złodzieju pludraku do domu, kiedy zdobyczy nie masz; daruję cię zdrowiem.“ — Bito i po inszych miejscach Szwedów znacznie w tym roku. Ale gdziem nie był, trudno o tém pisać, bo ja przez wszystkie wojny tego trzepaczki Czarnieckiego trzymałem się, i z nim zażywałem okrutnéj biedy, czasem téż i rozkoszy, gdyż właśnie byłto wódz maniery owych wielkich wojenników i szczęśliwy; słowem, że po wszystek czas mojéj służby w jego dywizyi, nie uciekałem tylko raz, a goniłem, mógłby razy tysiącami rachować. Po prostu wszystka moja służba była pod jego dowództwem i miła bardzo.

Rok 1657.

Roku pańskiego 1657 mieliśmy wojnę węgierską, na którą były zaciągi nowe, między któremi zaciągał téż Filip Piekarski, krewny mój, z któréj przyczyny i ja tam podjechałem. Złodziéj Węgrzyn, szalony Rakocy, świerzbiała go skóra, tęskno go było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niżli węgierski smaku.

Jako Xerxes żądając fig Attyckich podniósł przeciwko Grecyi wojnę, tak i pan Rakocy podobnąż szczęśliwością we czterdzieści tysięcy Węgrów z Multanami, Kozaków zaciągnąwszy drugie tyle, wybrał się na czosnek do Polski, aleć dano mu nietylko czosnku ale i dzięglu z kminem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię, palił, ścinał, gdzie tylko zasiągł, wodę a ziemię zostawił. Potém od matki Rakocego wielki okup wziąwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby nie wszystkiego czosnku zjadał, i przynajmniéj na rozmnożenie zosta-

wił. A my téż już z Czarnieckim posługiwali jakeśmy umieli; i tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wszystko wojsko zgubił, sam się w nasze ręce dostał; potém uczyniwszy targ o swoję skórę, pozwolił miliony, i uprosiwszy sobie zdrowie, jako Żyd kałauzowany do granicy, w bardzo małym poczcie, udał się, kilku tylko wielmożnych graffów katanów zostawując w zastaw umówionego okupu, którzy zrazu wino pili, na srebrze jadali w Łancucie; jak zaś nie było widać okupu, pijali wodę, potém drwa do kuchni rąbali i nosili, i w téj nędzy żywot skończyli. Okup przepadł, on téż sam (Rakocy) nigdzie nie mając oka wesołego, bo gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przeklęstwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiéj pogubił, wpadł w desperacyą i umarł. Otóż tobie czosnek!

Kiedy na tę wojnę wyjeżdżał, pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia; w oczach jéj padł koń pod nim. Kiedy mu matka perswadowała, żeby zaniechał téj wojny, mówiąc, że to znak jest nie dobry, odpowiedział, że to nogi końskie złe, ale nie znak. Przesiadł się tedy na innego; aż tu załamał się pod nim most i znowu spadł z konia; na to powiedział, że dyl był zły. Jak to przecie przepowiedzenia te zwyczajnie rade się sprawdzają!

Rok 1658.

Roku pańskiego 1658 król z jedném wojskiem pod Toruniem, drugie wojsko w Ukrainie, jedna zaś dywizya z panem Czarnieckim. Pod Drahimem staliśmy przez miesięcy trzy. Na końcu Sierpnia poszliśmy do Danii, na pomoc królowi duńskiemu, który uczynił dywersyą wojny szwedzkiéj u nas w Polsce; nie tak ci to on podobno uczynił z politowania nad nami, lubo ten naród jest od dawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nienawiść i owe zawzięte w sąsiedztwie nieprzyjaźnie, chwycił się sposobności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić. Wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał. Gustaw, jako to był wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy z Polski i niektóre fortece w Prusiech

osadziwszy, potężnie przycisnął Duńczyków, tak, że i swoje od nich odebrał i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy koloryzując rzecz swoję, że to właśnie z miłości ku narodowi naszemu uczynił, że pakta złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs Polaków, prosi téż i cesarza. Cesarz wywymówił się paktami, które miał z Szwedem, i że z téj przyczyny posłać posiłków nie może. Druga wymówka była, że wojska natenczas nie miał, pozwoliwszy królowi polskiemu zaciągnąć wszystko na jego usługę. Król tedy nasz posyła Czarnieckiego z sześciu tysięcy wojska naszego. Posyła téż, wprawdzie z swego ramienia, generała Montekukulego z wojskiem cesarskiém. Tam kazano nam iść kommonikiem, Wilhelm zaś, elektor brandeburski, był w osobie króla polskiego, i onto był nad temi wojskami niejako naczelnikiem. Zostawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplinku, mając nadzieję powrócić do nich najwięcéj za pół roku.

Tam kiedyśmy wychodzili, było bardzo wiele i różnych namyślań w ludziach wojskowych. Trwożyło to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie postała, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, któregośmy potęgi w ojczyznie naszéj wszystkiemi siłami nie mogli wytrzymać. A jeszcze téż nie było udecydowaném, żeby wojsko cesarskie miało z nami pójść. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię boskie wziąwszy na pomoc, tém się najmniéj nie trwożył, ale szedł śmiele tam, gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskiém i macierzyńskiém, obiecując gorąco majestatu boskiego błagać i upewniając mię, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli bożéj. Gdyśmy tedy poszli do Cieletnic i do Międzyrzecza, już na granicy uchodziło siła kompanii i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków, z pod tych nowozaciągniętych powiatowych chorągwi, jakoto: starosty osieckiego, półku wojewody podlaskiego, Opalińskiego. Chorągiew Kozubskiego wszystka się rozjechała, sam tylko z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł. Wojewody sandomierskiego, Zamojskiego, chorągwi huzarskiéj została wszystka kompania, prawdziwiéj, pouciekała, tylko przy chorągwi sześciu towarzyszów i namiestnik zostawszy; poszli przecie z nami i włóczyli się tak przy wojsku; zwaliśmy ich cyganami, że to w czerwonych kilimach była czeladź. Z pod in-

szych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Tak oni tchórzowie i dobrym pachołkom byli serce zepsuli, że nie jeden wodził się z myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojéj intencyi swoje Bogu złożył śluby; zaśpiewało wojsko polskim trybem: O gloriosa Domina; konie zaś po wszystkich półkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to osądzili za znak dobry, jakoż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki obejrzawszy się, pomyślił sobie: „miła ojczyzno! czy cię téż już więcéj oglądać będę!“ Jakaś tęskność ogarniała zrazu, póki blizko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jakby ręką odjął; a daléj poszedłszy, już się już i o Polsce zapomniało. Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uprzejmie, wysławszy kommissarzów swoich jeszcze za Odrę. Pierwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrzynem, i tak dawano wszędy, pókiśmy elektorskiego państwa nie przeszli, i przyznać to musimy, że dobrym porządkiem; bo już było takie urządzenie, żeby noclegi były rozpisane przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Postanowiona téż była w wojsku naszém maniera niemiecka, że przechodząc miasta, i na każdéj prezencie oficerowie z szablami dobytemi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź bandolety do góry trzymając. Karanie zaś było za przekroczenia już nie ścinać, ani rozstrzelać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włóczyć po majdanie, tak we wszystkiém, jako na uczynku złapano według dekretu, albo téż dwa lub trzy razy na koło; zdało się to zrazu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna to jest męka, bo nietylko suknia, ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości.

Ruszyło się potém wojsko do Nibilu, ztamtąd do Apenrade, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do Haderschlewen, gdzie wojewoda sam stanął z jednym tylko półkiem naszym królewskim i półkiem jego dragonii, inne zaś półki w Kolbryku, w Horsenz i po inszych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiéj miało iść wojsko w Duńskie królestwo, uważał to jednak dowódzca, żeby stanąć na zimę jako najbliżéj z téj przyczyny, aby przecie więcéj jeść chleba szwedzkiego niż duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek wybiegały, mszcząc się na nich krzywd naszego narodu. Opisaćby było siła, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeże od nich krzywdy w ojczyznie swojéj. Prowadzono z czat wszelakich pro-

wiantów wielką obfitość, także bydła i owiec; wołu dobrego dostał kupić za bity talar i dwie marki duńskie; miodów przaśnych wielką wieziono obfitość, bo po polach lada gdzie przestronne pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach; ryb wszelkiego rodzaju podostatkiem, chleba siła, wińsko złe, ale zaś petercymonty i miody dobre; drew o małe, bo ziemię rzniętą a suszoną palą, z któréj węgle są takie jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze; jeleni, zajęcy, sarn nad miarę i nie bardzo płoche, bo się nie każdemu godzi je szczuwać; wilków téż tam nie masz i dla tego zwierz nie płochy, da się zjechać i blisko do siebie strzelić, a osobliwie takeśmy je łowili: upatrzywszy stado jeleni w polu, (bo i pod wieś przychodziło to licho jak bydło), to się one objechało z téj strony od równego pola, a potém skoczywszy na koniach i okrzyk uczyniwszy, nagnało się na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a któreto doły są bardzo głebokie i szerokie, w które tego dużo nawpadało; ztamtąd dopiero trzeba je było wywłóczyć i rznąć. O wilkach namieniłem, że ich tam nie masz; prawo bowiem takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tak po miastach jako téż i po wsiach, i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go albo umorzą, albo utopią, albo złapią, a nie obdzierając go, tak ze wszystkiém na wysokiéj szubienicy, albo na drzewie, obwieszają na grubym żelaznym łańcuchu, i tak długo wisi, póki kości staje. Nietylko rozmnożyć, ale i przenocować się wilkowi nie dadzą. Kiedy mu się zdarzy wnijść na jeleninę, to z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki; z inszéj zaś strony nie ma nigdzie przystępu, bo z jednéj strony morze Baltyckie, z drugiéj strony od północy Ocean oblewa to królestwo; z tamtych wszystkich stron wilk nie ma przystępu, chyba, żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął szmagę do przewozu, zapłaciwszy od niéj dobrze. Z téj przyczyny zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś nie masz z téj przyczyny, że to jest zwierzę głupie, przelęknąwszy się lada czego, to padną w morze i utoną.

Lud téż tam nadobny; białegłowy gładkie i zbyt białe; stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie, gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki; w affektach zaś nie tak powściągliwe jak Polki, bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość, ale zaś za jedném posiedzeniem i przemówieniem

kilku słów, zbytecznie i zapamiętale zakochają się i pokryć tego nie umieją; ojca, matki i posagu bogatego gotowiusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata. Łóżka do sypiania mają w ścianach zasuwane, tak jako szafa, a pościeli tam okrutnie siła ścielą. Nago sypiają, tak jak matka porodziła, i nie mają tego za żadną sromotę, rozbierając się i ubierając się jedno przy drugim, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmują wszystek ubiór, i na ostatku i koszulę zdejmują i powieszają to wszystko na kołeczkach; dopiero tak nago, drzwi pozamykawszy, świecę zagasiwszy, w owę szafę wchodzą spać. Kiedyśmy im mówili, że to tak szpetnie, u nas tego i żona przy mężu nie czyni, powiadały, że u nich nie masz żadnéj sromoty, i nic rzecz jest wstydzić się za swoje własne członki, które Pan Bóg stworzył. Na to zaś nagie sypianie powiadają, że ma dosyć za swe koszula i inszy ubiór, co mi służy przez dzień i okrywa mię, powinna też przynajmniéj w nocy mieć swoję ochronę, a do tego, co mi potém robaki, pchły brać z sobą na nocleg do łóżka i dać się im kąsać, mając od nich w smacznêm spaniu przeszkodę. Różne niecnoty wyrabiali im nasi chłopcy, ale przecie nieprzełamano zwyczaju. Sposób życia ich ucieszny bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą, (bo tak tam białogłowa młóci cepami jako i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem to posiędą na słomie, i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kąsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszéj kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namieszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych, têm kiszki owego bydlęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieńcem na wielkiéj misce koło głowy owegoż bydlęcia te kiszki, i tak to na stole stawią przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach ślacheckich tak czynią; i mnie częstowano têm do uprzykrzenia, ażem powiedział, że się Polakom tego jeść nie godzi, boby nam psy nieprzyjaciółmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, chyba wielcy panowie, bo od nich wielki podatek na króla idzie; powiadali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szerokie, przy których krzesełek stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadłszy to się tak ogrzewają; albo też, dla lepszego izby ogrzania, jest w środku izby rowek jako korytko, który węglami

napełniwszy, rozedmą z jednego końca i tak się to żarzy i ciepło sprawuje. Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtém bywały katolickie nabożeństwa; piękniejsze téż, niżeli u naszych polskich Kalwinistów, bo są ołtarze, obrazy po kościołach; bywaliśmy téż na kazaniach, gdyż umyślnie dla nas gotowali się po łacinie i zapraszali na swoje praedicta, (bo tam tak zowią kazanie), i tak kazali ostrożnie, żeby najmniejszego słowa nie wymówić przeciw wierze; rzekłby kto, że to rzymski ksiądz każe; i tém się szczycili, mówiąc: my w to wierzymy co i wy, daremnie nas nazywacie odszczepieńcami. Ale po staremu ksiądz Piekarski łajał o to, żeśmy tam bywali; drugi bardziéj dla tego bywał, żeby widzieć piękne panny i ich obyczaje, jak takie ich nabożeństwo. Niemcy oczy zasłaniają kapeluszami, a białogłowy swemi kwefami, i schyliwszy się kładą głowy pod ławki. Wtenczas im to nasi chłopcy najbardziéj książki, chustki itd. kradli. Postrzegł to raz minister i okrutnie się śmiał, tak że kazania przed śmiechem nie mógł skończyć. I my także, cośmy na to patrzali, musieliśmy się śmiać. Dziwili się Luterani, że się śmiejemy, i kaznodzieja się z nami śmieje. Przytoczył potém kaznodzieja przykład o owym żołnierzu, który prosił pustelnika, żeby się za niego modlił; klęknął pustelnik na modlitwę, a on mu tymczasem porwał baranka, co za nim tłomoczek nosił, i uciekł. Przy dokończeniu tego przykładu zawołał: „O pobożność nad pobożność! Jeden się modli, drugi kradzie!“ Od tego czasu, kiedy już miały pokryć głowy, to pochowały wprzód książki i chustki, a po staremu nie było i to bez śmiechu, spojrzawszy jedna na drugą. Kiedym z niemi dyskurował, na jaką pamiątkę głowy kryją i oczy zasłaniają, ponieważ tego nie czynił Pan Chrystus, ani apostołowie, żadna nie umiała odpowiedzieć; jeden tylko z mężczyzn tak powiedział: że na tę pamiątkę, iż Żydzi zasłaniali Panu Chrystusowi twarz i kazali mu prorokować. Ja im na to odpowiedziałem: chcecieli w tém należycie wyrazić pamiątkę męki pańskiéj, to was przy tém zasłonieniu trzeba w kark pięścią bić, bo tam tak czyniono; aleć na to zgody nie było. Prędko o tém nabożeństwie wiedział elektor brandeburski, i kiedy u niego był starosta kaniowski, rzekł: „Dla Boga, przestrzeż waćpan jmćpana wojewodę odemnie, żeby zakazał panom Polakom bywać w kościele, bo się ich pewnie siła ponawraca na wiarę luterską, gdyż jako słyszę, tak się gorąco modlą, że aż chustki pannom duńskim ta gorącość pożera.“ Wojewoda srodze się śmiał z téj przestrogi.

Ten Wilhelm książę bardzo się nam grzecznie stawiał, we

wszystkich okazyach akkomodował się, częstował, po polsku chodził. Kiedy wojsko przechodziło, więc zwyczajnie ten tego, ten téż tego powita, to on wyszedł przed namiot, lub téż przed stancyą jeżeli w mieście stał, i trzymał tak długo czapkę, póki wszystkie niepoprzechodziły chorągwie. Pono téż to on spodziewał się, że go powołają na państwo po śmierci Kazimierza. Jakoż ledwieby było do tego nie przyszło, gdyby był nie podrwił poseł podczas elekcyi, któremu gdy rzekł pewien senator: „niech książę jmć porzuci Lutra, a będzie u nas królem“, rozgniewał się na te słowa, deklarując, „żeby tego nie uczynił i dla cesarstwa“, a co mu książę miał bardzo za złe i złajał go, że tak grubiańsko odpowiedział, nie pytawszy go się o to. Tam będąc w Danii znosił się z nim wojewoda często, gdyż on był w osobie króla polskiego i miał dowództwo tak nad naszém jako i nad cesarskiém wojskiem, którego było 14,000 z generałem Montekukulim, a z nim było Prusaków 12,000, ale lepszego ludu niżeli cesarscy, i woleliśmy zawsze z nimi obozem stawać, bo nam zaraz do naszego obozu nasłali szwaczek. I dziwna, że w kraju tak obfitym, gdzie u nas wszystkiego było pełno, a oni byle tydzień na miejscu postali, to zaraz do nas po kweście żony swe przysłali. Przyszła kobietka nadobna, młoda, a chuda jakoby z najcięższego oblężenia; zbliżywszy się do szałasu, taką prawiła oracyą: „Mospan Polak, daj troszki chleb, będziem tobie koszul uszyć“. Spojrzawszy na owę nędzną, to się musiało dać jałmużnę; komu téż potrzeba było koszule szyć, to szyła i tydzień i dwie niedziele; jakoż nie trudno było o płótno, bo go wozili z czaty podostatkiem, a uszyć nie miał kto, bośmy w wojsku mieli tylko jednę kobietę trębaczkę; z téj racyi była tedy z nich wygoda. Jak się zaś mężowie nie mogli ich doczekać, to przyszli je szukać od szałasu do szałasu; skoro znaleźli, to je wzięli z sobą, podziękowawszy, że je przeżywiono; jeżeli téż jeszcze która była potrzebna, że koszul niedoszyła, to jeno było dać mężowi sucharów, to poszedł, zostawiwszy żonę na dalszy czas, a sam do niéj nadchodził czasami. Z tych małp nie jedna tak się poprawiła przez dwie niedziele, że ich zaś mężowie niepoznawali. — Aż tam już radzą, jak się podszańcować, jak mury rąbać; a czém rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz Wołoszy z pod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy, dla nabycia siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie leżało. Skoro tedy zegary zaczęły bić i z północka kazano trąbić pobudkę, wstał sam strażnik, mało co śpiąc, i owe

siekiery kazał podzielić między chorągwie i piechotę; w godzinę po pobudce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmu za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach, dla postrzału od ręcznéj strzelby; ażeby wszyscy wraz skoczywszy pod mury i jako najlepiéj przycisnąwszy się do nich, żeby z góry nie rażono, a drugim odstrzeliwać. Gdy tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżéj pod miasto. Ja téż dopiero do księdza; rzecze mi potém: „pan porucznik Charlewski prosi się z ochoty do przywodzenia czeladzi. Niechże tam już oni idą, a waść zostań"; odpowiem: „Już to wszyscy słyszeli, żeś mię waćpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam: pójdę". Jakeśmy z koni zsiedli, aż téż zsiada Kossowski Paweł i Łęcki. Było nas tedy przy czeladzi z pod naszéj chorągwi pięciu, ale komenda po staremu przy mnie była; bo mi już dana była dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę. Oddawszy się tedy Boskiéj i Jego Najświętszéj Matki protekcyi, każdy swoje z osobna Jego Ś. Majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się téż już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Ksiądz Piekarski, jezuita, uczynił do nas exortę w ten sens: „Lubo wdzięczna jest Bogu ofiara każda, z serca szczerego dana, to ta osobliwie najmilsza ze wszystkich: kto krew swoję za dostojeństwo Jego świętego Majestatu na plac niesie. Za cóż pobłogosławił Abrahamowi, że wszystek świat plemię jego odziedziczyło, tylko za to, że na jedno Boskie rozkazanie z ochotą krew ukochanego poświęcił Izaaka. Woła na nas krzywda Boska, od tego narodu poniesiona; wołają świątnice pańskie, od nich po całéj Polsce zprofanowane; woła krew braci naszych i ojczyzna ręką ich spustoszona; woła naostatek Najświętsza Panna, Matka Boska, która jest imienia przeczystego, że ten naród jest bluźniercą! żebyśmy za te pretensye ujęli się szczerze, żeby w osobach naszych widział jeszcze świat nieumarłą przodków naszych sławę i fantazyą. Niesiecie tu, odważni kawalerowie, z Izaakiem krew swoję na ofiarę Bogu; upewniam was imieniem Boskiém, że kogo Bóg, jako Izaaka, samą jego kontentując się intencyą, zdrowo i z sławą dobrą z téj wyprowadzi okazyi, i nadal wszelkiém swojém nagradzać mu będzie błogosławieństwem; kogoby zaś cokolwiek potkało, za Najświętszy Majestat Boga i Matkę Jego wylana kropla krwi, by najcięższe, wszystkie obmyje grzechy i wieczną bezwątpienia w niebie zgotuje koronę. Oddajcież się temu, który dziś ubogo w jasełeczkach położony, krew swoję ochotnie dla zbawienia waszego ofiaruje Bogu

Ojcu. Ofiarujcież te swoje teraźniejsze czyny w nagrodę jutrzejszego nabożeństwa, które zwyczajnie o tym czasie odprawiamy, witając nowego Gościa Boga, w ciele ludzkiém na świat zesłanego. A ja w tym mam nadzieję, którego przenajświętsze wspominam imię Jezus, i w przyczynie przenajświętszéj Jego Matki, do któréj wołam: „broń czci Syna Twego!“ Przyczyną swoją Matko u Syna spraw to, żeby tę imprezę raczył pobłogosławić, żeby tę zacną kawaleryą szczęśliwie z tego upału wyprowadził, i na dalszy zaszczyt swego Boskiego Majestatu zachować raczył. Tych tedy w przedsięwziętą drogę daję wam wodzów, zastępców, opiekunów; w tych gruntowną pokładam nadzieję, że was wszystkich powracających w dobrém witać będę zdrowiu.“ — Mówił potém z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy, to jest te, co się odprawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy do niego bliżéj, rzekłem: „i ja téż proszę mój dobrodzieju o osobliwe błogosławieństwo.“ Scisnął mię z konia za głowę i błogosławił, a zdjąwszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: „idźże więc śmiało, nie bój się“. Ksiądz Dąbrowski, także jezuita, jeździł do innych półków; ten prawie więcéj płacze niżeli mówi; bo taki miał zwyczaj, choć był nie zły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozpłakał się i nie skończył kazania, a narobił śmiechu.

Tymczasem powraca trębacz do Szwedów wysłany, częstując nas ich słowami: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazya kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardziéj i tu się nie boimy“. Zaraz potém zaczęli strzelać; bo nas lekceważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden półk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonow trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to ludzie do szturmów niezwyczajni i pójdą w rozsypkę jak raz ognia dadzą, co nam sami więźniowie powiadali. Już każdy z pachołków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy téż z bronią palną; a wtém przyjeżdża wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojéj opiece i imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fossę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić. Że zaś tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni, bo to samém było świtaniem w dzień Narodzenia Pańskiego, zacząłem tedy z tymi, co w mojéj komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego“. Wolski także Paweł, który potém był starostą lityńskim, towarzysz natenczas królewskiéj pancernéj chorągwi, co także

swojéj chorągwi czeladź przywodził, kazał tożsamo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych, co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fossy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fossę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali ową fossę tak, że już daleko lepiéj było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z półku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał, kto jednak swój wyniósł, pomagał i znajdował w nich kulę, co i do połowy nieprzewierciała. Wychodząc tedy z fossy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus, Marya!“ lubo insi wołali: „hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcéj pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan hu. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecą kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pachołkami, że przy srogim filarze, albo raczéj narożniku, było jakieś okno, w którém srodze gruba krata żelazna; zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę; ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiém piętrze nad nami także takie okno z takąż kratą; z tamtego okna do nas strzelano, ale tylko z pistoletów, bo z innéj strzelby nie mógł strzelać do nas i wysadzać się nijak, dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam téż kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcéj rąk pokazować, ale tylko kamienie wypychali na nas przez owę kratę, ale już się tego przecie snadniéj można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak rąbią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owéj kraty widać, radziśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; rozkosz, by coprędzéj wnijść pod dach, ale że nie było czém owéj kraty wyważyć, musieli jeszcze daléj rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włazić po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „ja wlezę.“ Tylko wlazł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go téż tu nazad wydzieramy, ledwieśmy chłopa nierozerwali; woła na nas; „dla Boga, już mię puśćcie, bo mię rozerwiecie!“ Krzyknę ja na swoich: „Dajcie ognia w okno.“ Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopieroż my po jednemu owém

MUZEUM
Im. Kazimierza Pułaskiego

oknem leżli; już nas tam było półtorasta; tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, co to znać ztamąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie ze sklepu i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcéj ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znakiem proszenia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego; powiadali bowiem dawniéj, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamieszania w wojsku nieprzyjacielskim. Wolski także z swoimi w dziedzińcu. Nie masz nic. Wszyscy ludzie porozsadzani, i każdy swojéj pilnował kwatery. Aż tu widać po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swoich towarzyszów: „a otoż mamy gości.“ Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem, bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wziąść na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot; wychodzą tedy w dziedziniec i zaraz stawają do ordynku; my też do nich postępujemy: już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo ich już był Tetwin, oberszt-lejtnant, z dragonią złamał; skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam też wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na schody, zkąd przyszli; drugich zaraz lewém skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich siec. Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem; dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę, w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. Gdy się to dzieje, wchodzi też Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: „a tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało?“ „My,“ odpowiedział Wolski; „ale i dla was będzie, ano wyglądają z wieży.“ A wtém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię; daj sam, zetnę go; on prosi: niech go pierwéj rozbiorę, bo suknie na nim piękne pokrwawią się. Rozbiera go tedy; wtém przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego, i mówi:

panie bracie, gruby ma kark na waszmości młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli nasi i do sklepu, w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z luntem zapalonym i bierze téż proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący, kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na któréj wierzchu nie było dachu, tylko płasko; cyną pokryta wszystka, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężnozłociste, a w koło tego balassy i statuy także na rogach takież z mosiądzu, a grubo złociste; miejscami téż osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieuszkodzonych z bliska nie widział, ale po rozrzuceniu przypatrowaliśmy się; a jednę wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku; która właśnie taka była jak kobieta żywa, do któréj na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona komendanta, wyrzucona prochami; a tu leżała owa statua, rozkrzyżowawszy się w kształcie, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznać tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na téj wieży, albo raczéj sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacye jadali, tańce i różne odprawiali zabawy, bo jest w ślicznêm bardzo położeniu; może z niéj wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżą komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nierychło, prosili; co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć; dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiéj, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczono; Piotr Ś. przywarł zaraz fórtkę mówiąc: „A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i niepotrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupną jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie coście w San-

domierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili, a przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobolę, ślachcica tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został; i teraz strzelaliście gęsto, a nie wieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny, a toż macie jego usługę.“ Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się zbudowali tę samołówkę, bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli ten przypadek obaj królowie, duński i szwedzki: widziały wszystkie wojska cesarskie i brandeburskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego Narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szwedzkiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś inszego; niemasz tego u Polaków zwyczaju, tylko na wielkanocne święta. Po oném szczęśliwém zwycięztwie zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętéj słuchać; mieliśmy księdza, ale nie było apparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą apparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. Te Deum laudamus śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: „Panie bracie, przynajmniéj ręce umyć.“ Odpowie ksiądz: „Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.“ Spotykaliśmy potém naszych luźnych, wiozących nam różny zasiłek. Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyczajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką, co oboje mógłby był mieć od elektora blizko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała się sława; ufając w Bogu, porwał się i dokazał.

Rok 1659.

Rok pański 1659 zaczęliśmy tamże w Haderschlewen, daj Panie Boże szczęśliwie, gdzie zażywaliśmy i mięsopustu, lubo nie z taką przecie, jak w Polsce, wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę Alsen, która że nam w tyle zostawała, dla tego téż nam na wielkiéj była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano i zdobycz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koło niéj wojsko brandeburskie i z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nię nie chcieli, czyli téż nie śmieli, jak to powiadają, że „kruk krukowi oka nie wykole.“ Wojewoda pojechał raz na rozpoznanie w trzysta koni, wprawdzie na przejażdżkę; nic nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość wszelka była i na koń wsiadano. Jużeśmy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku, bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności, i takeśmy jechali. W pewném miejscu odcięliśmy lód siekierami, bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; te samo uczyniła dragonja na drugiéj stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedziała w mieście i po wsiach. Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku téj odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć, bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; pułki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął, i kazał każdéj chorągwi odpocząć, a potém daléj. Konie już były do pływania próbowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć; dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potém tęga zima ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew téż każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych téż, co przybywali na pomoc, przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym. Powiadali zaś więźniowie: „rozumieliśmy na was, żeście djabli nie ludzie“. O komendanta tamecznego przysłał król duński z prośbą,

żeby mu go żywcem dostawić, bo miał do niego wielką jakąś pretensją; nie wiem, jak go tam witano. Po owéj robocie, jak się wojsko dorwało do ciepłéj izby, kto kogo mógł złapać, chłopa lub też kobietę, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrząsnąwszy tedy owę wyspę, bo to nie wielka, jeno jéj siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam wojewoda na komendzie grzecznego kapitana, ślachcica duńskiego, z ludźmi nowozaciężnymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali, i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały; wziął jednak wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomieszał ich między dragonją, w nagrodę tych, co przecie tu i owdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie, gdzie drwa rąbią, tam trzaski padają. Potém wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy ten rok pięknie się skończył wzięciem Koldynga z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się w fortunnie zaczął, wzięciem tak chwalebnie téj wyspy Alsen. Jużeśmy potém siedzieli kilka niedziel spokojnie. Poszliśmy póżniéj pod Fryderyzant; jest to forteca bardzo potężna; nie masz tam żadnego miasta, ale tylko same szańce; fortyfikacja bardzo wyśmienita i od pola i od morza; wchodzą te szańce cyplem w morze, tak, że morzem do samego szańca może nie przypuszczać okrętów, i bronić lądowania flocie duńskiéj. Tam, lubośmy widzieli, że nie po naszych siłach, ale przecie, że się wolno i o niepodobne rzeczy pokusić, próbowaliśmy szczęścia, podpadliśmy. Szwedzi téż często do nas wychodzili, dawali pole przy fortelu, a potém do dziury, kiedy im cieżko było. Z wielkich tylko kartanów okrutnie nam dokuczali; na każdy dzień koniom i ludziom dostawało się, bo w tamtém miejscu przenosi kula z długiego działa prawie wszędzie. Aleć Pan Bóg uspokoił, lubo nie wtenczas, ale potém na wiosnę, i podał je w polskie ręce dziwnym sposobem, bez wielkiego krwi rozlania. Zimę tę odprawiliśmy tedy tłukąc się ustawicznie i podjazdami bijąc się z Szwedami.

Poszliśmy potém do prowincyi duńskiéj, która się zowie Jutland, a przeszedłszy, stanął pułk królewski w Arhusen, w mieście pięknem; na nasze chorągwie że się dostała ulica, co nie było gdzie koni postawić, nawet stajen z czego budować i miejsca na budowanie ich nie było, bo bardzo w cieśni między wodami, jako Wenecja, prosiliśmy więc wojewody, aby nam pozwolił stać we wsi. Stanęliśmy tedy w Hurnum, a insze półki i chorągwie po wsiach i miastach różnych. Ustawa tedy stanęła, żeby brać po 10 bitych

talarów co miesiąc na konia z pługa, bo co u nas łan, to tam u nich pług. Braliśmy tedy w pierwszym miesiącu według ustawy, w drugim po 20 bitych, w trzecim już kto co mógł, choćby najwięcéj, wytargować, zrozumiawszy majątek chłopa, jeżeli się miał dobrze na mieszku. Dostało się chorągwi naszéj na przystawstwo miasteczko Eboldot z przynależytościami i z wioskami do niego należącemi, które przystawstwo jużto w samym było cyplu, między morzem Baltyckiém a Oceanem, zkąd już lądem iść nie można. Ta więc prowincja zowie się Jutland, a owa, gdzie Haderschlewen, Suder-Jutland. Chorągiew byłaby tam bardzo rada stała, ale nie pozwolono z téj przyczyny, że daleko od wojska i żeby jéj nie ułowiono, bo już było 10 mil od Kopenhagi morzem, co jest tak snadny przejazd nieprzyjacielowi, jak milę iść lądem. Wysłano mię tam tedy na deputacją, najbardziéj z przyczyny języka łacińskiego, bo tam lada chłop po łacinie mówi, po niemiecku rzadko kto, po polsku nikt, i taka właśnie różnica mowy Jutlandczyków od niemieckiéj, jak Łotwy albo Żmudzi od Polaków. Luboć mi było trochę okropno jechać tam miedzy jamę, między same wielkie morza, bo już w samym cyplu; spojrzawszy i na tę stronę i na tę ku południowi, Baltyckie; tu zaś ku północy, właśnie jakby na obłoki spojrzał; a lubo to woda jako i to woda, przecie znać, że insza tego, a insza tamtego morza jest natura, bo uważałem téż to, że czasem jedno wydaje się błękitne, drugie czarne; to zaś czasem jako niebo takiego koloru, a drugie zawsze od tamtego odmienne; to igra, wały na nim okrutne skaczą, a to spokojnie stoi; nawet kiedy oboje stoją, a spójrzysz na nie tam, gdzie się jedno z drugiém styka, osobliwie wieczorem spójrzawszy, to na niém widocznie rozeznać, jako jaką granicę. Trochę mi było, jak to mówią, niesmaczno tam jechać, ale przecie mając zawsze chęć widzenia świata, nie wymówiłem się; dano mi tedy czeladzi kilkanaście; pojechałem i wstąpiłem do Harcazen, aż mi mówią Piekarscy: „Szczęśliwa droga! kłaniaj się tam od nas królowi Gustawowi, bo ty prędzéj będziesz w Kopenhadze, niżeli u nas nazad.“ Ja przecie nie uważając pojechałem. Wojewoda téż mówił mi: „Panie bracie, i mnie się téż tam na kuchnię moję dostało; posyłam tam mego Lanckorońskiego; radźcie tam o sobie, żebyście nie nawiedzili Kopenhagi.“ Bo wojewoda dla tego tam sobie wziął, bo mu powiadano, że tam lud najdostatniejszy. Pojechałem przecie, a Lanckoroński, pokojowy wojewody, za mną nie przyjechał, aż w półtory niedzieli. Przyjechawszy tam, uczyniłem, jakobym nie umiał po łacinie; pokazałem

assygnacją kommissarską; pytają mię: „kann er dejcz?“ odpowiem: „nix.“ Przyprowadzili jednego, co umiał po włosku; ten pyta mię: „Italiano parla?“ Ja: „nix.“ Ledwo nie poszaleli pludracy od frasunku, że się ze mną zmówić nie mogli. Cokolwiek do mnie mówią, to ja tylko odpowiadam: „Geld.“ Pytają: „Co sobie każesz dać jeść?“ to ja po staremu: „Geld.“ Pytają: „Co będziesz pił?“ „Geld.“ Nareszcie proszą, żeby na nich nie nagle następować o pieniądze; ja mówiłem: „Geld.“ Gdy zaś najczęściéj po łacinie do mnie mówili, że to Polakom język zwyczajny, przyprowadzili mi zatém ślachcica, który tam blizko nich mieszkał, bo majętność jego i zamek widać było niedaleko Fryderyka, który służył w wojsku i różnie peregrynował, aby się mógł jakokolwiek ze mną porozumieć; mówi tedy do mnie: „Ego saluto Dominationem Vestram;“ ja odpowiadam: „Geld.“ Mówi: „Parla lingua francesca?“ „Geld.“ Mówi: „Parla italiano?“ „Geld.“ Rzekł więc do nich: „żadnego języka nie rozumie;“ a posiedziawszy trochę, pojechał. Oni w srogiém myśleniu; a było to tego przez cały dzień. Już mieli do brandenburskiego wojska posłać, dla najęcia kogo do rozmowy ze mną i już się jeden gotował jechać. Tymczasem nazajutrz z rana przynieśli mi w podarunku łososia żywego wielkiego w wannie, wołu karmnego i jelenia także żywego, chowanego, na powrozie przyprowadzili, a przytém w kubku sto bitych talarów; (ponieważ widzieli, że żadnym językiem nie mogli mię zażyć), mówiąc językiem krajowym: „przynieśliśmy podarunek.“ Dopierom ja do nich przemówił, skazując na ów kubek z talarami: „Oto jest“ rzekłem po łacinie, „moich i waszych życzeń tłumacz.“ (Iste est interpres meorum et vestrorum desideriorum). Kiedy to Niemcy skoczą od radości, kiedy się poczną rzechotać, obłapiać mię; kiedy to na miasto skoczą, powiadając, że przemówił nasz pan; nuż gonić owego, co już był wyjechał po tłumacza; dopieroż się rozmawiać, dopieroż dyszkurować; popili się Niemczyska na ów śmiech. Nazajutrz dopiero w układy. Pokazałem im regestr kommissarski, to jest, jak wiele pługów na którą wieś położył, a żadnéj nie było sprzeczki i zaprzeć téż nie mogli, bo widzieli, że nie mój wymysł, ale kommissarza taki jest rozkaz. We dwóch dniach złożyli pieniądze za pierwszy miesiąc. A kiedy o talarach jaka była mowa, to je nie zwali talarami ale tłumaczami. Pieniądze kazałem im zaraz odwieźć do chorągwi, posławszy przy nich trzech pachołków; chciałem i sam jechać, ale prosili mię bardzo, żeby nie jeździć, bo się bali, żeby ich brandenburskie czaty nienapastowały, które o 6 mil tylko

stały; jakoż bywali potém Brandenburczykowie, ale szkody nie uczynili, bo choć porwał jakie bydlę, to zaraz puścił, zobaczywszy załogę, i sam uciekł. Oddawcy pieniędzy wspomnieli także o tym tłumaczu, co zaś potém doniosło się i do wojewody. Gdy późniéj byłem w Arhusen, aż tu wojewoda odzywa się do Polanowskiego, porucznika starosty boratyjańskiego: „Mospanie poruczniku! mam tu towarzysza w wojsku, co wszelkie umie języki, ale trzeba mu wprzód postawić kubek spory srebrny, bitemi talarami napełniony, to on zaraz gotów przemówić, jakim komu potrzeba językiem.“ Polanowski tego wyrażenia nie rozumiał, aż mu wytłumaczył, i odtąd talary nazywano w wojsku tłumaczami. Nawet sam wojewoda, kiedy do Lanckorońskiego pokojowego swego pisał w ten sens: „Tych pieniędzy, któreś przywiózł, nie liczył Podskarbi aż po odjeździe twoim, w których znalazło się kilkanaście talarów złych, bądź temu pewien, że tobie samemu dostaną się w zasługach. Bo to szpetna rzecz szlachcicowi nie znać się na pieniądzach. Masz tam blisko Pana Paska, możesz się u niego nauczyć, co to jest dobry tłumacz.“ Na drugi miesiąc pisał do mnie porucznik, że sam i wszystkie chorągwie biorą po 20 talarów z pługa, żebyś i ty tak wybrał. Sarkali na to niebożęta mieszkańce, że to przeciw zwyczajom postanowionym, aleć przecie wydali i odwieźli. Na trzeci miesiąc kazali wybierać więcéj, alem się już tego nie chciał podjąć, bo widziałem też ich wyniszczenie przez wojnę, lubo bywali dostatni. Nie chciało mi się tedy z nimi drażnić, bo lud dobry, tylko że przez nieprzyjaciela zniszczony.

Pisałem do chorągwi: albo się tém, jak na przeszły miesiąc, to jest po 20 talarów, kontentujcie, albo mię ztąd sprowadźcie, bo ja się tego nie podejmę, być mordercą ludzi, którzy są sprzymierzeńcy, a nie nasi nieprzyjaciele. Postanowiono tedy, żeby podzielić pługi na kompanje, a każdy u swego chłopa niech wybiera jak może. Tak się stało; czeladź na to przystała i każdy sobie wyciągał co mógł. Mnie nie kazano po staremu zjeżdżać dla utrzymywania porządku nad czeladzią, aby nie robiła bezprawiów; kto tedy prędzéj wystraszył pieniądze, ten też prędzéj pojechał, a chłop z nim, dla oddania własnemi rękoma pieniędzy. Jam zaś na swój poczet wziął pługi, którem rozumiał, lub też którzy się o to prosili i dokupywali; jużem tedy miał wolniejszą głowę, wszelką wygodę w jadle, zgoła wszystko, co człowiek zamyślił; trunki dobre, osobliwie miody, których tam obywatele sami nie piją, ale zwarzywszy, do innych prowincij okrętami wysyłają; ryb rozmaitych siła;

dwa szelągi lipskie, które czynią 4 grosze polskie, posławszy do niewodu, to chłop przyniósł ryb wór, aż się pod nim zgiął. Chleb z grochu pieką, bo tam tego wielka rodzi się obfitość! dostawiano mi jednakże pszennego lub żytnego, osobliwie od ślachty. W post wielki jedli z mięsem, nawet i sami Jezuici, i konfundowali kto nie jadł. Jam to zaś sobie miał za skrypuł tak wiele ryb mając z mięsem jeść, nawet i tych węgorzów, które wespół z połciami w korycie słoniały, nie chciałem jeść. Jest tam i ryb mówiących i jęczących mnóstwo, prócz karpia, bo o tego skąpo.

Miałem tam różne uciechy i zabawy, widząc takie rzeczy, których w Polsce widzieć trudno; ale i to uciecha być przy łowieniu ryb na morzu, których cudowne rodzaje i cudowne są kształty, kiedy tego okrutne wyciągną mnóstwo; te, które mi się najpiękniejsze widziały i najlepsze, są złe i jeść się nie godzą, i odrzucają je na piasek dla psów i ptaków; inne znowu choć dobre do jedzenia, to są tak szpetne, że i spojrzeć na nie brzydko. Jest tam także ryba tak straszna, że jeno na ścianach kościelnych malowanego widywał, owego co mu płomień z gęby wychodzi, i mówiłem, że gdyby mi głód największy dokuczał, tobym téj ryby nie jadł. Aż tu kiedym był w domu ślacheckim, między innemi potrawami, (bo tam dają na stół mięso i ryby zawsze jednakowo) począłem rybę jeść, która mi tak wybornie smakowała, żem cały prawie półmisek wypróżnił. Widząc to ślachcic, rzekł: „Jest to ryba, którą pan djabłem nazwałeś.“ Zawstydziłem się niemało, alem jednak widział, że i oni ją smacznie zajadali; a druga nie wierzyłem, żeby to ta była, bo mi się zdawało niepodobném, aby w tak brzydkiém ciele miało być smaku tak wiele; póżniéj jednak nigdy jéj więcéj nie jadłem. Powiadał ten ślachcic, że ryba ta bywa wędzona i sprzedaje się po czerwonym złotym funt; ale nazwiska jéj nie pamiętam, bo bardzo dziwne, jak i sama dziwna; łeb i ślepie jak u smoka, paszcza straszna i szeroka, a płaska jak u małpy; na łbie dwa rogi zakrzywione, takie jak u kozy dzikiéj, ale tak ostre, że się zakole jak igłą; na karku hak, mało co mniejszy od tych co na głowie, zakrzywiony na tę stronę ku głowie, i już tak po wszystkim grzbiecie jeden za drugim, a coraz mniejsze, aż do ogona; sama w sobie okrągła jako pniak; skóra właśnie na niéj taka, jako jaszczór, co go do szabli zażywają, a po téj skórze haczki takie, jak i na grzbiecie, ale już drobniejsze, tak jak szpony u jastrzębia, a srodze ostre; byle go się dotknąć, to zaraz krew wytryska. Są i insze, bardzo cudne ryby, co jak ptaki mają skrzydła, nosy i głowy zaś jak u bo-

cianów, i kiedy jéj łeb z worka dziurą wytknie, przysiągłby drugi że bociana ma w worku; ale siłaby o tém pisać. Zażywaliśmy też tam różnéj zabawy na morzu wsiadłszy w bat. Kiedy woda spokojna była, to jeno było stać cicho, a ujrzało się rozmaite gadziny i zwierzów morskich, cudnych ryb, a osobliwie w tém miejscu stanąwszy, gdzie jest trawa, z któréj sól robią, bo w tém miejscu tak jest morze przezroczyste, że, na sto Lutrów psów w głąb, obaczyć można najmniejszą rybkę i cokolwiek pływa przeciwko owéj trawie, która tak się bieli w głębi, jako śnieg, i dla tego widać każdą rzecz naprzeciw owemu odbiciu promieni. Tę trawę rwą osękami żelaznemi; puszczają je na dno na długim sznurze, a tak wyciągają tę trawę i na brzeg wywożą, rozrzucając ją po krzakach, a skoro uschnie, to ją palą i sól z tego robią bardzo dobrą. Ale nietylko trawa, ale i ziemia znajduje się taka, że kiedy potrawę jaką osolić trzeba, to biorą na miskę garść ziemi, a wypłókawszy ją wodą, zlewają tę wodę w garnek, gdzie za pół godziny zsiądzie się sól bardzo piękna.

Różnych rzeczy dziwnych napatrzyłem się na dnie morskiém; miejscem są piaski czyste, miejscem trawy i coś jak drzewka, miejscem stoją skały, tak jako jakie słupy, jako budynki, a na owych skałach siedzą jakieś zwierzęta dziwne; kiedyśmy chcieli doskonale napatrzyć się owych bestij, to był tam zamek pusty na morzu, 4 duże mile od Ebelt, na wielkiéj skale, który się zowie Kyfwan Anout; pojechawszy do owego zamczyska przed południem i zostawiwszy barkę przy lądzie, utailiśmy się w rozwalinach, nic się nie odzywając; aż tu powyłaziły na ową skałę owce, delfiny okrutne, wielkie psy morskie i inne zwierzęta i pokładły się ku słońcu, rozwaliwszy swe srogie i tłuste brzuchy. Napatrzywszy się już do woli owych dziwotworów, to jeno było małym kamykiem tam cisnąć, to się wszystko w jedném mrugnieniu oka pochowało w morze. Tameczni mieszkańcy powiadali, że choć to i zrusznicy strzeli do tego, to darmo zepsuje nabicie, bo zaraz i z postrzałem w morze wpada, a gdy tam zdechnie, to się komu innemu dostanie, bo morze nie wiedzieć gdzie wyrzuci. Delektowałem się wprawdzie przejażdżką na morzu, ale też raz wielkiego nabawiłem się strachu, a to z téj przyczyny. Zachciało mi morzem jechać na nabożeństwo wielkanocne do Arhusen, gdzie stał wojewoda, bo i bliżéj było morzem, niżeli lądem, i dla tego też żeby koni nie turbować. Jechałem tedy w sobotę, bo morze igrało, ale od północka ustawszy, puściliśmy się w drogę, ufając marynarzom, że nie zbłądzą; noc była bardzo cie-

mna; udali się k'sobie ku Zelandji; mnie zaraz to nie podobało się, że bardzo długo jedziemy, a mil tylko 6. Pytam się, czy dobrze jedziemy? odpowiedzą, że im to nie nowina w nocy jeździć, i że pewno nie zbłądzą. Dopiero jak już dość długo jedziemy, poczęli się trwożyć, poznawszy błąd. Poradziwszy się jeden z drugim, chcieli się lepiéj naprostować; tymczasem pojechali gorzéj. Jedziemy tedy do uprzykrzenia; nie widać tylko niebo a wodę; a że ja miałem bardzo bystry wzrok, pierwéj niżeli oni obaczyłem jakieś budynki. „Oto po lewéj ręce widać, jak się zdaje, jakieś miasto.“ Oni tego nie widząc, mówią: „Niech Pan Bóg broni tego, aby nam się z lewéj strony miało pokazać miasto; po prawéj stronie powinno być nasze miasto“. Jedziemy bliżéj, aż tu okręty stoją w porcie Niköping. Dopiero trwoga okrutna. Uciszyliśmy się jednak, aż zegar począł bić, i ruszyliśmy potém w bok cichusieńko; wtém dojrzała nas straż i woła: „Wer da!„ Nic się nie odzywamy. Drugi raz woła: „Wer da!“ Ja mówię owemu swemu gubernatorowi: „Powiedz, że jesteśmy rybacy“. Takci tedy odpowiedział. Straż pyta „zkąd?“ Odpowiedział: „z tego tu lądu“. Kiedy straż weźmie burczeć, źle życzyć: „O szelmo! dy to już święto, dy to już wielkanoc“. My na to nuż w sześciu wiosłami robić, udając się do lądu, nie na morze, żeby się nie domyślili. Już téż troszkę oznaczył świt, a wtém poczęli z armaty strzelać w tyle nas; dopierom się domyślił, że to już jutrznia, i mówię: „Otóż, patrzcie, tam jest Arhusen, gdzie strzelają“. „O, na Boga! nie jestto Arhusen, ale Kopenhaga, gdzie przy obleżeniu strzelają“. Ja im powiadam, że nie; że to u nas jest zwyczaj strzelać podczas jutrzni zmartwychwstania pańskiego. Pomiarkowali się nareszcie, że właśnie tam jest Arhusen, i już poznali owe tameczne lądy i port, postrzegli się już w którém są miejscu. Dopieroż oddawszy się Panu Bogu, kiedyto nie poczniemy wszyscy wiosłami robić, aż żebro na żebro zachodziło, udając się wprost ku owemu strzelaniu. Nie ujechawszy ledwie z milę od owych okrętów skoro oświtło, (a na morzu mila tak się widzi, jak na ziemi kilka stai), postrzegli nas: kiedy to suną się za nami sześcią parek, kiedy my też poczniemy chyżego zaciągać. Gonili nas ze dwie mile; a widząc, że tak ten szczerze pracuje co chce uciec, jak i ten, co chce dogonić, a podobno zrozumiawszy coś po morzu, stanęli, potém się i wrócili. Jedziemy daléj, aż mówi starszy marynarz: „Uniknęliśmy rąk jednego nieprzyjaciela; drugi, sroższy, grozi nam: to jest burza. Trzeba się modlić i pracować.“ O kiedy się to znowu weźmiemy przeginać, kiedy zaczniemy pociągać, już i Arhusen wi-

dziimy dobrze, a morze też po kąsku ruszać się poczęło! Okrutny nas strach ogarnął i szczere nabożeństwo, nabożeństwo, które tak my jako i Lutrzy mieli. Dał tedy Bóg wszechmogący, że morze nie nagle poczęło igrać, ale z wielką zegarową godzinę tak się pierwéj ruszać poczęło; my też już przymykamy się coraz to bliżéj do miasta, a woda coraz bardziéj skacze. To nas przecie cieszyło, że wiatr był w bok trochę, i pomagał nam do lądu, nie od lądu, a sternik też bardzo umiejętnie kierował. Z miasta nas widzą; patrzą, co takiego od nieprzyjacielskiéj strony jedzie. Dopiero woda gwałtownie ruszać się poczyna, dopiero weźmie ciskać wały; aż też jedni robią wiosłami, drudzy wodę wylewają nawet kapeluszami niemieckiemi, zgoła, czém kto miał, bo nie było tylko jedno naczynie do wylewania wody. Co przypadnie wał, to nas i barkę przykrywa; a co jeden ustąpi i człowiek trochę ochłonie, spójrzysz aż cię taki drugi dogania, tak właśnie, jakby cię znowu nowy nieprzyjaciel i ostatnia zguba potykała; ten minie, a inny zaraz następuje; wtém barka trzeszczy, co ją mocują wały, a Lutrzy wołają: „Ach Herr Jesu Christ!“ Oni na samego tylko syna, a Katolicy zaś i na syna i na matkę wołają; słowem, sprawdza się owa sentencja: „Qui nescit orare, discedat in mare!“ to jest: „Kto się modlić nie umie, niech się puści na morze.“ Wpadło mi to przecie na myśl, żem zawołał: „Boże! nie daj nam ginąć; wszak widzisz, z jaką puściliśmy się intencją, że na chwałę i na służbę Twoję.“ Z miasta biegną ludzie z powrozami, które zwyczajnie ciskają tonącym, wołając na nas i kiwając; lecz tak my ich, jako i oni nas nie słyszą, bo kiedy morze igra, to tak huczy, jakby z dział bił. Tymczasem jużeśmy też blisko bulwarków, a co nas wał przyniesie do bulwarku, to znowu nas impet wody odrzuca na morze; znowu inszy wał przybije i znowu odrzuci. Ażci przecie uchwyciliśmy powróz, i dopiero jak też przytarł wał do bulwarku, to tak silnie uderzył, że sternik wypadł na bulwark, a my wszyscy padliśmy na bok w barkę, prawie pełną wody, choć ją ustawicznie wylewano. Tak więc powyłaziwszy na bulwark jak myszy, cośmy mieli trafić na jutrznią, tośmy i mszy nie słuchali, przyjechawszy dopiero przed nieszporem. Poszedłem do gospody; dał mi gospodarz koszulę suchą, uczyniono ciepło w izbie, rozpaliwszy wpół izby w przykopie, tak jako w korytku nałożono węglami, bo tam taki zwyczaj, i porozwieszano suknie i moje i czeladzi. Jeść mi dają, nie chcę; ale kazałem spory garniec miodu wstawić (bo wina tam złe), nasypałem gwoździków, imbieru, i tom tak pił. Jakem kąsek otrzeźwiał, aż

mi się też jeść poczęło zachciewać. Posłałem tedy do księdza Piekarskiego, prosząc o święcone jajko, i kazałem mu opowiedzieć, w jakich byłem przygodach. Przysłał mi zatém baranka, placków i jajec. Dopierom zażył święconego, a już też był wieczór. Dowiedziawszy się o mnie dobrzy różni przyjaciele, przyszli, a ja u ognia w koszuli siedzę i zagrzewam się owym miodem. Nuż oni pytać: coś to robił? Jakoto? Opowiadałem im o moim strachu, a jaki taki powinszowawszy mi takiego szczęścia, porozchodzili się. Ja też układłem się spać, bo właśnie po takiéj łaźni trzeba było wywczasu. Nazajutrz wstawszy, suknie téż już poschły, poszedłem do regimentarza, a opowiedziawszy za jego pytaniem wczorajszą biedę i dwa strachy, to jest od Szwedów i od wody, rzekł wojewoda: „Jużto prawda, że to przygody były nie dobre, ale też za to, panie bracie, masz waszeć pierwszeństwo nad całém wojskiem, bo ty wojujesz po morzu i po lądzie, a wojsko tylko na lądzie. Chciał waść zburzyć sam Szwecją i nam palmę sławy wziąść.“ Jam odpowiedział: „Jeżeli Chrystus Pan dnia dzisiejszego zburzył państwo nieprzyjaciół dusznych, toć i nam trzeba się starać, żebyśmy burzyli państwa nieprzyjaciół cielesnych. A ponieważ waćpan sam mówisz, że dwojaką manjerą wojuję, to ja też proszę o dwojaką zapłatę, wodną i lądową.“ Tak nażartowawszy się, poszliśmy na nabożeństwo. Mówili mi drudzy: „Już teraz pewno będziesz wolał jechać 10 mil lądem, niżeli wodą?“ „Nie myślę o tém, żebym się miał tego nieszczęścia lękać, które mię już wczoraj minęło; kto mię dnia wczorajszego wybawił, ten mię i w jutrzejszym zachowa.“ Jakoż i tak uczyniłem; wysłuchałem mszy świętéj we środę, wsiadłem w tęż gondugę i tak pojechałem. Alem się już trzymał nad lądami, bo nie masz niebezpieczeństwa i małym statkiem po morzu jechać, byle tylko niedaleko od lądu, aby, obaczywszy następnie jaką odmienność, można uciec. Aleć nam to tego nic nie narobiło, tylko nocny błąd.

Po przewodniéj niedzieli zachorował wojewoda niebezpiecznie; wszyscy zlękliśmy się bardzo; posprowadzano różnych lekarzy; elektor przysłał także swoich. Admirał holenderski przysłał lekarza okrętem, bardzo sławnego, ale nie pomnę z którego miasta. Ratowali go wszelkiemi sposobami. Po naradzie rozkazali lekarze, żeby mu muzyka ciągle grała; grano tedy zawsze w drugim pokoju na cichych narzędziach, jakoto na lutniach, cytrach theorby, i innych; i takci przyszedł do zdrowia, z wielką wojska uciechą i dziękczynieniem Panu Bogu. Wojsko zaś stało po konsystencjach, aż do-

brze nie wyzdrowiał; i ja także byłem na owéj deputacji. Nigdy nie próżnowałem, ale zawsze starałem się widzieć to, czego w Polsce widzieć nie mogę; tylko że trzeba było być zawsze na ostrożności; bo skoro się ociepliło, to Szwedzi od Zelandji, od Fionji, częściéj, niż pierwéj, wypadali na lądy. Jednego czasu przyszło pod Ebeltod siedm okrętów holenderskich i stanęły w porcie tamecznym, aby Szwedom na tym tam trakcie czyniły przeszkodę i nas téż do Fionji przewozić miały. Stoją tedy tydzień i więcéj; a że to byli nasi koligaci, (książe Oranji był bowiem szwagrem księcia pruskiego Wilhelma, który miał siostrę jego rodzoną za żonę, a która z nim była na téjże wojnie), dla tego się téż już z nami kumali. Kiedy przyjeżdżał admirał z okrętów do kościoła na nabożeństwo do Ebeltod, z nami się téż poznał i był tak niepyszny, choć to właśnie téj prerogatywy jako u nas hetman, że wstępował do naszéj gospody z kościoła wyszedłszy i nas téż do siebie zapraszał. Pewnego razu prosił mię i Lanckorońskiego do siebie na okręt w dzień niedzielny. Lubo tam jest port spokojny i cichy, ale przecie nieprzystępny, bo do samych bulwarków okręt wielki wojenny nie przystąpi, chyba małe okręty kupieckie, szmagi. Trzeba tedy było do okrętu przewozić się, więc wsiedliśmy w bat i pojechaliśmy do okrętu. Cotylko stanęliśmy i jeść dano, aż tu woła majtek, ten, co na najwyższym maszcie pilnuje, że idą dwa okręty od Zelandji. Przychodzi strażnik i powiada o tém wodzowi po niemiecku, a on zaś nam po łacinie z tym dodatkiem: „Te dwa okręty nie przerwą nam obiadu.“ Kazał jednak upatrować bander jakie są, czy szwedzkie, czy jakie inne, których jednakże z daleka trudno jeszcze było rozeznać. Woła znowu majtek, że idą drugie dwa; zaraz potém powiada, że idzie ich więcéj, ale jeszcze daleko. Patrzą przez perspektywy; „co widzicie?“ powiadają: że jeszcze nic więcéj rozeznać nie mogą. Każe admirał podać sobie swoję perspektywę, znać że albo oko lepsze, albo téż że to u pana zawsze perspektywa lepsza bywa, i dojrzał zaraz owych najpierwszych bander, że szwedzkie; a potém coraz to więcéj ich się pokazuje. Gdy już ich widać 15, kazał tedy okrętom swoim trochę lepiéj rozszerzyć się, tak jak mógł objąć port, ale z portu nie wychodzić dla tego, żeby ich nie mogły otoczyć; bo luboby się on był z nimi śmiele spotkał, choć ich więcéj było, ale nie miał ludzi na okrętach, mało tylko dział, puszkarzów i tych ludzi, co do kierowania statków należą. Bo to on, jakem już wyżéj napomknął, miał wojska nasze przewozić do Fionji, i dla tego okręty przysłano bez

żołnierzy, wiedząc, że u nas jest piechota. Szwedzi też dowiedziawszy się, że przy tych okrętach mało potęgi, przyszli je brać jako swoje własne. Doszli, że Szwedom o tém doniesiono z wojska brandenburskiego, jak to o zdrajcę wszędzie nie trudno. Gdy tedy owe dwa pierwsze okręta już niedaleko, mówi do nas admirał: „Może zechcecie udać się do miasta?“ Odpowiadam: „Zostaniemy jeszcze.“ Lanckoroński rzekł: „Ja pojadę, bo mam 15,000 wybranych pieniędzy, a obawiam się, żeby tam kto w tumulcie do nich się nie przypytał.“ Wsiadłszy tedy w barkę, odwieziono go do bulwarku; jam się został. Kiedy przypadną na lewe skrzydło, nasze téż dwa wysunęły się ku nim; kiedy przypadną srogim impetem i dadzą do siebie ognia z obu stron, tak jak z ręcznéj strzelby gęściéj ognia dać nie może, odrzucą się zaraz od siebie najmniéj na 10 staj, i poczęły lawirować, a tymczasem działa nabijać; owe też dwa nasze cofnęły się nazad w port, a potém lawirują, czekając aż nadejdą tamte. Przychodzą tedy drugie dwa i stanęły równo z tamtemi, wyrychtowawszy żagle; a potém i trzecie dwa, i téż to czynią; a gdy zaś i inne nadeszły, zaczęto w mieście bić na gwałt w dzwony i w bębny. Lud się sypie na bulwark, a kto cokolwiek tylko ma umiejętności okrętowéj, ten wsiada w barkę i jedzie do okrętów. Szwedzi tymczasem uzbrajający się, kiedy się już uszykowali, idą ławą, zewrą się bliżéj niż na staje, nuż poczną palić do siebie tak, że aż się powietrze od dymu zaćmiło. Jeden okręt szwedzki ujął się odwagą i wpadł między holenderskie, tak jak między księżyc; te kiedy dadzą do niego ognia i z boków i z tego okrętu, gdzie sam admirał siedział, to aż deski z niego leciały i poszedł zaraz na stronę, kulejąc właśnie jak ów pies, gdy mu nogę potrącą. Znowu powtórnie zewrą się inne i uderzą z armat; a co się trochę odsuną, to znowu nacierają; chcieli bowiem Szwedzi koniecznie tył wziąść Holendrom, ale żadnym sposobem nie mogli, bo się Holendrowie przy porcie trzymali; tak tedy strzelali do siebie aż do wieczora, a potém się rozeszli uciszywszy; ja też wsiadłem na barkę i pojechałem na bulwark. Szwedzi wzięli w nocy z bulwarku okręt kupiecki, a skoro świt zaprowadzili go po wietrze, i ustroiwszy go jako należy do żeglugi, i rozpiąwszy żagle, zapalili go i puścili między okręty holenderskie, od którego zaraz jeden okręt się zapalił, bo to jest rzecz tak chwytliwa jako siarka; sami zaś nacierają tuż za ogniem, począwszy okrutnie bić z armat. Byłoto bardzo tragiczne widowisko, bo nie wiedzieli, czy się ogniowi czy nieprzyjacielowi bronić! Tu się od owego zapalonego okrętu umy-

kać trzeba, tu się znowu strzedz, żeby ich nieprzyjaciel nie rozerwał, a tu zaś z owego zapalonego uciekają i kto co może porwać, lada deskę, lada drewno, to się z niém rzuca w morze; z miasta zaś, ci, którzy śmieli, podjeżdżają barkami i ratują, sznury tonącym rzucając, żeby ich się chwytali. A tu z obu stron działa ryczą, których na jednym okręcie było 80 do 100, z czego łatwo sobie wystawić można, jaki tam musiał być ogień; zgoła, straszna jest wojna na ziemi, ale daleko okropniejsza na morzu, kiedyto maszty lecą, żagle na morze spadają, człowiekowi zaś i człowiek nieprzyjaciel i woda nieprzyjaciel. Owe kule, co okrętów chybiały, to ludzi tych, co z miasta wyszli, na lądzie raziły. Gdyby Szwedzi byli Holendrów zwyciężyli, pewnieby i miasto byli zrabowali, a jeszcze natenczas wszystko mieli w domach, bo się ubezpieczali, że mają wojsko do obrony, i dopiero wtenczas, kiedy obaczyli zapalające się okręty, zaczęli swoje kosztowności kryć do wody, bo to u nich wszystek depozyt najpoufalszy w morzu, a nietylko rzeczy do jedzenia, ale téż ubiory, srebra i pieniądze topią kiedy chcą, i dobywają kiedy chcą, a mają sposoby i naczynia tak doskonałe, że się w nich nic nie zepsuje i nie zamoknie, a w tych téż miejscach topią, gdzie morze nie wyrzuca, jakoto w tych portach, odnogach itd. Zapaliły się były żagle i na szwedzkim jednym okręcie, ale zaraz poscinali maszty i pozrzucali w morze. Drugi okręt szwedzki przebito z dział, tak że zaraz poszedł na dno ze wszystkiém, coś nie wiele z niego ludzi uratowawszy; u trzeciego utrącono dwa maszty; u czwartego jeden największy, przez co musiały mieć odmianę; ów téż z okazji wczorajszéj już zepsuty nie pomógł, tylko z daleka stał. Dość że ich byli mogli zabrać Holendrzy, gdyby byli w ludzi trochę potężniejsi. Już tedy widzieli Szwedzi szkodę swoję większą, niżeli uczynili nieprzyjacielowi, i zaraz poszli na garugę, bo im już wiatr nie służył i nie był nawet spokojny, gdy nazad z niczém powracali. Holendrowie téż niebożęta dziury w okrętach łatali, zabitych wywozili, chowali, a potém zaś działa swoje i szwedzkie podobywali, o czém sami powiadali, skoro do nas przyszli pod Frederichs-Odde; bo mają taką naukę i nurków takich, którzy się w wodę spuszczają i po saméin dnie chodzą i tam zakładają narzędzia tak, że każdą rzecz z głębi wydobyć mogą; ludzie zaś okrętowi tak są w pływaniu biegli, że mogą w potrzebie daleko płynąć. Białogłowa jedna z holenderskiego okrętu, tego co zgorzał, płynęła daléj niżeli trzy ćwierci mili i dopłynęła do samego bulwarku. Piechoty brandeburskiéj przyszło trzy tysiące ludzi, ale dopiero po ustąpieniu Szwedów.

Poosadzano nimi oweż okręta według potrzeby, a resztę zwrócono nazad do wojska.

Często Szwedzi podobnego fortelu zażywają w bitwie, a zwłaszcza, gdy w porcie zastaną słabszych od siebie nieprzyjaciół; i tą razą słychać było, że jakiś zdrajca z wojska pruskiego, który był natenczas komendantem szwedzkim w Randbyl, dał Szwedom wiadomość o słabém obsadzeniu okrętów holenderskich, na któréj się jednakże późniéj zawiedli.

Po ustąpieniu Szwedów pojechaliśmy do admirała z pożałowaniem; zastaliśmy go wesołego i nie żałującego owéj szkody; u nich bowiem okręt stracić jest to co ładunek wystrzelić. Miał to sobie za zwycięztwo, że się nie dał i w nieprzyjacielu szkodę uczynił; mnie dziękował, żem go nie odstąpił pierwszego dnia, lubom mu tam nic nie pomógł, i przed wojewodą to o mnie powiadał: że choć połowy żołnierz, nie wzdrygał się wodnéj bitwy. Na te działa utopione mówił, że te wszystkie jego będą, ale mi się to rzecz niepodobna widziała, biorąc miarę, jaka trudność była, kiedy działo w błocie uwięźnie, a cóż dopiero kiedy w morzu, i życzyłem sobie bardzo widzieć i być przy tém dobywaniu, ale oni czekali aż się woda ocieplí, a mnie téż tymczasem z tamtego miejsca sprowadzono. Kiedy się już wojsko ruszało do obozu, póki mi tedy czasu stawało, nigdy nie było bez konwersacji tak miléj, żebym i w Polsce lepszéj nie znalazł między krewnymi; już były różne tentacje nie jechać do obozu, rezolwowałem się jednak i pożegnałem się z dobrymi przyjaciołmi, przy oświadczeniach i nadziei, żeśmy z wojskiem mieli przyjść tamże na drugą zimę. Pojechałem do chorągwi, otrzymawszy od kommissarza zaświadczenie dobrego sprawowania się, w którém zaraz tameczni mieszkańce kommissarza proszą, żeby na drugą zimę ja, a nie kto inny, do nich był przysłany. Czeladnik jednak mój, Wolski, ślachcic z pod Brzezin, został się tam i ożenił się z poddanką pewnego ślachcica, córką gbura, który postępek czynił im lepsze nadzieje, że i ja zapewne do nich powrócę; aleć i on słowa nie dotrzymał, bo uciekł od żony i wyjechał do Polski z półkiem Piaseczyńskiego, powiadając potém, że przez sen i na jawie, jakby mu coś za uchem szeptało: odstąpiłeś Boga. Jakem stanął u chorągwi, zaraz czwartego dnia ruszyliśmy do obozu, który był założony między Frederichs-Odde i Rypen; Frederichs-Odde nie jestto miasto, lecz forteca bardzo potężna między morzem; Rypen zaś miasto bardzo piękne, sławne niegdyś za katolików arcybiskupstwem rypeńskiém; ta zaś pomieniona forteca Frederichs-Odde,

nad tém tu morzem, panuje z strony ku Fionji; insza zaś ma dwa kąty, to jest kelsingborski i kronenborski, które przeciwko sobie wprost stoją, i nikt na świecie, choćby z najpotężniejszą flotą, nie może przechodzić na Ocean z morza Baltyckiego bez pozwolenia króla duńskiego i nie okupiwszy mu się za to. Ten Kronenborg założył Fryderyk, król duński, (nie wiem, który w liczbie, bo tam Fryderyków kilku było), wrzucając w morską głębokość okrutną ilość kamieni, z których uczynił fundamenta w głębi i dopiero na tych owe fortece wyniósł nad wszystkie wody i wały igrające, które i dotąd największych morskich nie wzdrygają się krzywd. Tam między temi fortecami, każdy żeglujący kłaniać się i prosić musi i płacić cło postanowione, albo raczéj portowe. Tameczni mieszkańce szczycą się tém, że się raz trafiło, gdy wojował Alexander Farnesius, książe parmeński, przeciw Holendrom, iż za rozkazaniem króla duńskiego 500 okrętów holenderskich zamknięto na morzu Baltyckiém, tak, żeby było wszystkich uduszono i niktby nie uszedł, ale srogie poskładawszy pieniądze sprzymierzeni, okupili ich. Taki to jest pożytek z tych zamków na morzu Baltyckiém, z których król duński wielkie ma dochody, choć żadnéj w państwie nie ma kopalni złota, ani srebra; ma przytém prowincje żyżne w ryby, zwierzynę i obfite miody. Jedna prowincja dodaje drugiéj czego komu potrzeba. Grœnlandja ma tak wiele ryb, że gdyby ich nie wyłowiano, nie mogłaby być przed niemi odnoga spławną; osobliwie śledzi, stokfiszów, które łowią w Styczniu i suszą na mrozie i na wietrze, tak, aż się zeschnie jako drewno; każda prowincja ma inne rzeczy i tak niczego nie pragnie. Ale dawszy pokój tamecznym prowincjom i naturze ich, ponieważ ja tu nie historją, ale bieg życia mego opisać postanowiłem, wracam się do odbiegłéj materji.

Przy rozkazach, do ruszenia się wydanych, taka była ordynacja, aby wszystkie półki jednego dnia stanęły w obozie, co i tak się stało, z zbudowaniem wojsk cudzoziemskich, bo w jednym dniu jako z rękawa wysypało się wojsko; cesarskie zaś półtory niedzieli ściągało się. Stanęły tedy wojska o milę tylko od drugiego. Generał Montekukuli miał urazę do wojewody o to, że wszyscy oficerowie króla duńskiego z nowemi werbunkami nie do niego, ale do wojewody ściągali się, i ztąd brali ordynanse, bo taki mieli od króla swego rozkaz; za pierwszém tedy widzeniem powadzili się o to. Rzekł mu tedy wojewoda: „Nie trzeba tu się swarzyć, ani gniewać o tę pretensją, którą między nami może uspokoić żelazo.

Tyś żołnierz, ja żołnierz; ty generał, ja generał; sprawić się jutro.“ Posłał tedy do niego porucznika Skoraszewskiego i krajczego koronnego Leszczyńskiego, wzywając go na parol sam na sam, żeby wojska nie turbować; aleć był tak grzeczny, że nie chciał wyjechać, wysłał jednak oficerów z pewnym traktatem, których gdy obaczył dziad, skoczył jak piorun ku nim, suponując, że generał wyjeżdża; gdy jednak obaczył, że kto inny stanął, że to legacja, uspokoił się. Elektor był natenczas z wojskiem swojém o trzy mile od nas, kiedy się to działo; gdy się obaczył z Montekukulim, miał to mówić: „Dobrześ uczynił, żeś nie wyjechał, bo gdybyś był z Czarnieckim zrobił jaki experyment, pewnobyś to i ze mną uczynić był musiał, bom ja tu jest w osobie króla polskiego.“ Aleć trzeciego dnia skarał Pan Bóg Montekukulego, bo go z działa postrzelono; nie sama jednak kula uderzyła go, ale drzazga z okrętu od kuli wyrwana, obiedwie podcięła mu łytki. Chciał też to on popisać się, bo dotąd jeszcze nic nie sprawił, a przez dwie zimy chleb zjadał, i chciał czegoś bez nas dokazać. Osadził owe wyżéj wzmiankowane okręty holenderskie i inne posprowadzawszy kupieckie swymi ludźmi, wjechał między Fionją i Frederichs-Odde; tu jak go Szwedzi poczęli obracać i z téj i z owéj strony, wrócił się z konfuzją i łytek nadwieruszył. Znać, że było wolą Boga, aby tę fortecę tak sławną, także i tamtę prowincją, nie szpada niemiecka, ale polska zawojowała szabla. Chciał też to może Bóg nadgrodzić narodowi naszemu owę konfuzją, którąśmy za jego dopuszczeniem od narodu szwedzkiego w ojczyznie naszéj ponieśli. Od tego tedy czasu kazał wojewoda Szwedów niepokoić, podpadając, strzelając i wywabiając ich od wałów, którzy z razu byli tak głupimi, że się dali złowić, ale potém zaniechali tego, siedząc sobie w fortecy; nasi też wzięli się do podszańcowania i usypali nocą szańczyki tak blisko, że i z muszkietu, nietylko z dział doniosło; gdy jednakże niedoskonała jeszcze była fortyfikacja owych szańców, stało tedy wojsko naokół przez dzień cały, żeby wycieczki na owe szańce nie uczynili i nie wyparli naszych. Jak noc przyszła, dopiero lepiéj opatrzono, koszów ponasprowadzano, ponasypywano, działa sprowadzono, a wszystko cichusieńko, bo w dzień trudno było to robić, gdyż Szwedzi bardzo razili. Jak tedy w piątek obaczyli ufortyfikowane szańce, zaraz ich tegoż dnia nad świtaniem nawiedzili nasi, to jest dragonja ze swoim obersztlejtnantem Tetwinem, i tak blisko siebie stali, że się prawie muszkietami sięgali, a odparłszy od jednego szańca Szwedów, ci zaraz stracili odwagę; wypadli wprawdzie

raz jeszcze tego samego dnia po południu, ale ich nasi potężnie wytrzepali; wojsko też z obozu hurmem skoczyło. Szwedzi uciekli nazad, zostawiwszy trupa kilkadziesiąt. W nocy z piątku na sobotę powsiadawszy na statki, a tu na wałach od naszych obozu czynili okrzyk, hałas, strzelanie, uciekli do Fionji, spodziewając się szturmu generalnego w sobotę rano. Nazajutrz dziwimy się, że tak cicho w sąsiedztwie; jednym razem, jak tam już nasi postrzegli, aż tu na wałach wywijają chorągwiami, wołając: „Niech żyje król duński!“ a czeladź z obozu sunie się co żywo dla zdobyczy. Wojewoda posłał zaraz strażnika Mężyńskiego, żeby téj minuty pod gardłem wszyscy wyszli z szańców i aby Tetwin dokoła dał straż i nie ważył się tam wchodzić; nim strażnik nie przyjechał, już tam zrabowano, co kto znalazł, ale też i nie było wiele co brać, oprócz trochy legumin, które prawie na to miejsce poznoszono, gdzie były prochy podsadzone. Jak tedy wszyscy powychodzili z szańców, dopiero zapaliły się miny, ale w ludziach nie uczyniły szkody najmniejszéj; nawet wałów i budynków nic nie naruszyły, tylko dwa budynki podługowate jako szopy spaliły się; podobno to były śpiżarnie; inne budynki zostały całe. To to jest rozumnego wodza dzieło: domyślić się i zabieżeć, aby nie gubić wojska; bo tam niepodobną rzeczą było, aby nie miało być szkody; a to druga, że przecie wcześnie postrzeżono, iż nieprzyjaciel uciekł, a zaraz potém wpadli nasi i rozebrali co było, a Szwedzi wnosili, że nie rychło postrzegą i dla tego tak nierychły ogień zapalili; a owa forteca, która niegdyś 20,000 ludzi strawiła, gdy ją brał Szwed królowi duńskiemu, bo Szwedów 9000, a Duńczyków 11,000, jako sami kommissarze powiadali, zginęło, wróciła się nazad bez straty wojska. Powiadali kommissarze, że się tu ta ziemia krwią ludzką tak nasyciła, jak wodą po wielkim deszczu. Uciekli tedy Szwedzi z Frederichs-Odde przed śmiercią do Fionji, spodziewając się, że ich tam nie znajdziemy między morzami, ale zawiedli się na tém, bo w krótkim czasie tam za nimi popłynęliśmy, o czém niżéj. Elektor winszował wojewodzie téj szczęśliwości, ale jawną mu znać było z oczów zazdrość Niemców, że Pan Bóg Polakom sławną fortecę oddał. Szwedzi się także bardzo gniewali, że na minach nic nie wskórali. Wojewoda wprowadził tedy trzeciego dnia osadę ludzi duńskich i komendanta tegoż narodu, bo się obawiał, żeby jeszcze nie było i drugich min. Okręty holenderskie stanęły zaraz przy téj fortecy w porcie bardzo pięknym, a tymczasem radzono jak sobie postąpić z Fionją, ponieważ Frederichs-Odde, tak potężna forteca, która była

Fionji sprzymierzoną, już jest w naszych ręku, a Fionja osadzona przez nieprzyjaciela. Staliśmy tedy obozem, ale przecie nasz dziad nigdy nie próżnował, bo było barek ze dwieście, więc lada kiedy powsiadawszy dragonja i Semenowie, to napadali Szwedów w Fionji, znacznie ich napastując; osobliwie Semenowie, których było 300, cudownych rzeczy dokazowali, bo ci ludzie byli tak wybrakowani w lata, w wzrost, jakoby ich jedna porodziła matka. Mieli Szwedzi co robić z sobą w Fionji, bo ta prowincja jest na 14 mil, a zatém musieli wszystkich lądów dobrze pilnować, nie wiedząc gdzie nieprzyjaciel wysiąść może, osobliwie w nocy; zgoła, we wszystkich okazjach Pan Bóg nam błogosławił jawnie, tak na podjazdach, jako też w szturmach i gdziekolwiek spotkawszy się z Szwedami, wszędzieśmy ich bili. Cesarskich zaś lekce ważyli. Szwedzi na podjeździe porwal towarzysza Mysliszowskiego i posłali go królowi pod Kopenhagę. Tam król pomiędzy innemi rzeczami pytał go: „Co to tu jest za wojsko z Czarnieckim?“ Odpowiedział: „Które zwyczajnie w jego dywizji chodzi.“ Pytał: „Gdzieżeście wtenczas byli, kiedy ja w Polsce byłem?“ Powiedział: „Tameśmy też byli i bijaliśmy się z wojskiem w. k. mości.“ Pytał: „Czemużeście tak dobrze nie wojowali, jak teraz?“ Odpowie: „Tak znać była wola Boska.“ Mówi król: „I to racja; ale ja tobie powiem drugą, a to tę, że nie każdyby trafił do domu, gdyby się dostało przegrać, i dla tego staracie się, żeby zawsze wygrać.“ Towarzysz zamilkł. Król pyta go: „Czemu milczysz?“ Odpowie: „Bo przeciwko prawdzie nie wiem co mówić.“ Ale i sami więźniowie szwedzcy przyznawali to, że cale odmianę szczęścia widzą.

Jak tylko król szwedzki dowiedział się o wzięciu Frederichs-Odde, zaraz z królem duńskim począł o pokój traktować. W wojsku zaś kazał wytrąbić, że ktokolwiek do Polski chce wyjść, wolno mu, z okazji Radziejowskiego abszytu, i kontentacją wziąwszy; aleć takich nie wiele się obrało. choć ich było dużo w wojsku szwedzkiém, a nie wyszło ich z Radziejowskim ledwie z półtorasta i to samej szlachty, między którymi Kompanowski, Przeorowski, Kaznowski i Jarzyna Rafał, syn Marcina, kasztelana sochaczewskiego. Korycki jeszcze tam był został i wielu innych Polaków, którzy tam już osiedli i nie spodziewali się tak mieć w Polsce dobrze, powróciwszy na swoję fortunę. My też stojąc blizko siebie obozami z cesarskiemi przez niedziel 8 i więcéj, uprzykrzyliśmy się sobie znacznie; oni na nas narzekali, że czatownicy ich kradną; my zaś na nich, że nam żony ich w obozie chleb zjadają.

Odsunęliśmy się tedy od nich trzema milami, ale i tam po staremu żony ich trafiły, lubo już nie tak często. Nadeszły tymczasem listy od króla naszego, oznajmując o grożącém ojczyznie od Moskwy niebezpieczeństwie i ażeby za powtórnym ordynansem być na pogotowiu do pochodu ku granicy. Mnie jednak wielką czyniło dystrakcją owe affektów zawzięcie; listy latają często ztamtąd i odemnie; w jednéj godzinie napadnie myśl żeby zostać, w drugiéj żeby tego nie czynić, znowu koniecznie nie może być inaczéj tylko uczynię, bo mi przecie żal było rzucać nie tak fortunę, jako raczéj affekt taki, o który podobny trudno. Pasuję się tedy z owemi myślami, jako z niedźwiedziem, kiedy myśl ta przypadnie, żeby zostać, to jakaś wesołość ogarnie człowieka; skoro zaś nastąpi myśl, żeby nie zostawać, to w człowieku powstaje wzruszenie, żałując affektu owych ludzi i biorąc przed oczy, że wpadnę u nich w podejrzenie o nieszczerość i niewdzięczność. Niektórzy z kompanji postrzegli to, i pytają: co ci się to dzieje, że się czasem zapamiętywasz? Powiedziałem, że człowiek nie może być nigdy jednakowy, a sekretu przed nikim na świecie nie wykryłem, i nieby byli nie wiedzieli, gdyby nie Lanckoroński trochę się był wygadał przed chorążym naszym o tych affektach, ale i on poufale nie wiedział, choć tam ze mną bywał; komplement tylko widząc, z tego brał miarę i podobieństwo. Doszła nareszcie kompanja téj trochy myśli moich i już mi wszystko wymawiali. Aż tu odbieram przez umyślnego rajtara list, jak się tam dowiedzieli, że się wojsko polskie zbliża ku granicy, którego ten jest sens, lubo inne poginęły, których było siła:

Wielmożny mości dobrodzieju!

„Osoby miłe sercu naszemu pragniemy uczcić słowami, oglądać oczami. Jak dalece ojciec mój polubił znakomity naród wasz i współżołnierza bohatyrskiego, dowodzi to częste wspominanie nazwiska WPana Dobrodzieja. Stałym zamiarem jego jest zawsze, mieć Cię nietylko za przybranego, lecz za własnego syna. Ale, jeżli Cię ojciec kocha, kocha Cię nie mniéj i córka, w któréj sercu niezmiennie tkwić będzie miłość ku Tobie. O gdybyś panie mógł czytać w sercu mojém te dowody moich uczuć ku Tobie! Wyznaję teraz, com długo taiła, że dla żadnego mężczyzny, prócz Ciebie, panie, serce moje bić nie będzie. Musi to pochodzić z woli boskiéj, bo i Ty, panie, kochasz mię, jak to mi wyznałeś. Miéj wzgląd na moję miłość, na mnie, któréj ani odległość miejsca, ani skromność

stanu, od Ciebie oddzielić nie zdołają. Pójdę, gdzie mię los i serce poniesie. Familja moja może się równać z najstarożytniejszemi rodzinami w Polsce. Dostatki sam oglądałeś. Obyczaje moje, acz naganne, chwaliłeś. Religja moja mię nie szpeci, bo wierzę w świętą Trójcę. Wyrazy mego ojca, że nie pozwoli majątku swego wynieść za granicę, nie są na przeszkodzie: bo prawa tego twórcą jest mój ojciec, a Ty je będziesz wykładał; Ty będziesz majątkiem tym samowolnie rządził. Twoją rzeczą będzie rozkazywać, moją słuchać. Wielmożny Rychald, generalny kommissarz królewski, przywiózł mi dowody Twojéj miłości ku mnie. Co się mnie tyczy, świadkiem Bóg i siostra moja, że ile słów, tyle westchnień; ile wspomnień o Tobie, tyle łkania! Gdy mię kto zapytuje: pocóż to wszystko? ja mówię: serce, odpowiedz za mnie. Serce moje nie jest już mojém, jest Twojém; opuściło mię, Tobie towarzyszy. Cóż mam począć? Poradź mi. Jeżeli zechcesz, możesz mię łatwo szczęśliwą uczynić; jeżeliś mię poniechał, pomnij na gniew Boga, który był zawsze mścicielem na niewdzięcznych. Ale nie wątpię o Twojéj stałości. Przyjedź tylko w dom mego ojca; nie pragnę nic więcéj tylko twojéj przytomności; przybądź przynajmniéj na jednę godzinę; błagam Cię gorąco, oczekuję niecierpliwie.

WMPana Dobrodzieja do zgonu najprzywiązańsza

Eleonora in Croes Dywarne.“

Dołożyła przytém przy podpisie instancją i za czeladnikiem moim, który się tam bez méj wiedzy ożenił, w ten sens: P. Wolski spodziewa się przy téj zręczności upaść do nóg WPana, i przy naszém wstawieniu się przebłagać go.

List ten, że w wyrażeniach swoich nie bardzo był podobien do konceptu białogłowskiego, i ja sam nie bardzobym mu był wierzył, gdybym nie znał jéj wiadomości i nie nasłuchał się nieraz jéj rozmów. Już teraz jakoby kajdany włożyła na me serce. Postanowiłem nieodmiennie jechać tam i odpisałem na list, obiecując się, iż jadę; ułożyłem téż go tak, że był pisany wyrażeniami za wyrażenia. Trzeciego dnia wyjechałem; nikt nie wiedział dokąd i po co. Na odjeździe wstąpiłem do półku Piaseczyńskiego pod chorągiew półkowniczą, gdzie Rylski, krewny mój, chorągiew nosił. Zwierzyłem się przed nim całkiem tego sekretu; pokazałem mu listy i brałem téż poradę jako od swego krewnego. On mi perswadował wszelkiemi sposoby, żebym téj nie rzucał okazji i sam jechac ze mną deklarował. Pijemy tedy na ową impreze dzień jeden,

także i drugi, trzeciego dnia wyjechaliśmy. Tu nadeszły wiadomości, że kilka tysięcy Szwedów wysiadło z morza pod Szanderborgiem, przez któreto miejsce trzeba nam było przejeżdżać, przebierając się do tamtych ludzi. Jedziemy przecie, aż tu już koło węgla trwogi; Prusacy się uzbrajają i pytają nas dokąd jedziemy; powiedzieliśmy; perswadują nam, że nie podobna, abyśmy się tam mogli przeprawić, bo Szwedzi, wylądowawszy, naprawiają stare szańce i chcą tam osieść dla tego, aby w Jutlandji jakiekolwiek mieli panowanie i nagrodę Frederichs-Oddu, i że książe elektor gotuje się na nich, żeby ich ztamtąd wykurzyć. Usłuchaliśmy ich i nazadeśmy się wrócili. Przyjeżdżamy do obozu, aż tu uzbrajają się na podjazd; sam nawet wojewoda chce już iść, gdy wtém przybywa oberszt-lejtnant od elektora z oświadczeniem, że nie życzy wojsku téj turbacji, i że sam, będąc Szwedów najbliższy, może wydołać temu przedsięwzięciu. Wojewoda rzekł na to: „Baba z woza, konikom lżéj; niech téż sobie przynajmniéj tą jedną okazją nagrodzą, bo tu jeszcze nic dobrego nie sprawili, a chleba siła zjedli.“ Roztaszowali się tedy, a ja po staremu zamierzam, jak Szwedów z tamtego miejsca wykurzą, zaraz jechać.

Jeszcze się Prusacy nie wyguzdrali przeciw Szwedom, a nam już przyszedł rozkaz od króla, żeby wychodzić do Polski. Zadumawszy się ja na owe przeszkody, pomyśliłem sobie: „Miły Boże! podobno to do mojéj intencji nie masz Twojéj świętéj woli.“ A wtém Rylski wchodzi i pyta: „A nasze zamysły w co się obróciły?“ Odpowiedziałem: „Podobno w nic.“ Aż on rzecze: „Tak i ja rozumiem, że temu trzeba dać pokój.“ I tak sobie o tém dyskurujemy, żeśmy sobie, jak to zwyczaj polski, i podpili. Przy owém podpiciu co się przypomni affekt, to się ledwie nie łzami farbuje trunek, a potém rozeszliśmy się. Noc nie dała snu na oczy, choć podpiłemu. Jużem i pił więcéj, żeby usnąć, lecz wszystko na próżno. Takto uprzykrzone są w młodych ludziach affekty! Mnie ani dobre mienie, ani gładkość, która w owéj dziewczynie niewypowiedziana była, przy takim rozumie i niezwyczajnéj stanowi swemu nauce, ale affekt jéj, który sobie do mnie lichego człowieka urościła, a po prostu w liczbie mnogiéj mówiąc, urościli. Bo jak ona sama, tak i rodzice, domownicy i poddani, już mię tam właśnie za własnego syna pańskiego mieli. Ofiarując to w dyspozycją boską, a ścisnąwszy nóżki Panu Jezusowi, którego miałem na obrazie z Najświętszą Panną, to zaraz jakbym plastr przyłożył i nastąpiła téż ochota jechania do Polski, a tam niezo-

stania. Nazajutrz otrąbiono, że za trzy dni ruszymy, ale się odwlekło do tygodnia, bo elektor przysłał, prosząc, żeby mu cokolwiek zostawić kommunika, przynajmniéj dla sławy, że jeszcze nie wszyscy Polacy wyszli z królestwa duńskiego. Tak tedy postanowiono: wyznaczono Piaseczyńskiego z półtora tysiąca ludzi. Jak ten ordynans stanął, zaraz też rada mego pana Rylskiego odmieniła się, bo co mię przedtém odwodził, żeby nie zostawać, to teraz przeciwnie przywodził, to jest, aby zostać, a to z téj przyczyny, że i on się zostawał. Podawał mi wiele sposobów, mówiąc, że będzie wiele okazij, że tam możemy być i postanowić o dalszém, a potém wolno będzie czynić z tém co chcieć. Znowu tedy nachyliła się myśl moja do téj perswazji. Ksiądz Piekarski dowiedział się o tym traktacie. Dopiero inwektywy na mnie: „Nie czyń tego, co ci potém, albo wiesz jaki koniec rzeczy wezmą; a kiedy cię ta uwiedzie słodycz dobrego mienia i przyzwyczajenie, że ci do tego nie przyjdzie wyjechać do Polski, kiedy nastąpią ciągłe namowy i ułowią cię, że tu mieszkać będziesz, nateneczas: z jakim przestajesz, takim się stajesz, zostaniesz Lutrem, aż tu będzie piękna żony dobroć, duszę stracić; a do tego, cóżby za pociechę rodzice i krewni z tego tu dobrego ożenienia mieli, gdyby przez poczty tylko o tobie słyszeli, a ciebie nie widzieli, tak właśnie, jakobyś też umarł, a dostał się do nieba, gdzie jest królestwo największe i z inszemi dostatkami, niżeli pana Dywarna bogactwa. Nie tać to jest pociecha słyszeć o krewnym, że się on ma dobrze w odległości 200 lub 300 mil, ale ta, kiedy ja go mam blisko. Nie czyń tego, proszę.“ Takci się tedy stało i podobno dobrze, a biedny Rylski wkrótce potém w Fionji zginął. Kto wie, jeżeliby się tam i mnie nie było dostało, bo pewno i ja, gdybym się tam był został, musiałbym był téj okazji nieomieszkać. Poszliśmy tedy szczęśliwie ku granicy, pożegnawszy się z owymi, co tam pozostawali, i zapłakawszy poglądając w tamtę stronę, gdzie się mnie na zimę spodziewano. Oni zaś, jak się dowiedzieli, że się wojsko nasze rusza do Polski, wyprawili czémprędzéj owegoto Wolskiego z listem, upominając go, że na przypadek gdyby już wojska w obozie nie zastał, żeby je gonił choćby do Hamburga, prosząc przynajmniéj, żebym w Hamburgu zaczekał na dalszą umowę. Ubrali chłopa w niemieckie suknie, a język był mazowiecki, bo nie umiał więcéj wymówić po niemiecku, tylko: „gib Brod, gib Szpek, gib Haber,“ i tém podrwili, bo gdyby go byli w polskich sukniach wysłali, ledwieby był wojska nie dogonił od obozu w 15 mil, (ja-

kém zaś porównywał czas z jego powieści), ale przejechawszy owe miejsca, które byli zalegli Szwedzi i nazad zkąd przyszli uciekli, nie chcąc z elektorem spotkać się, napadł na cesarskich. Mówią do niego po niemiecku, nic; po łacinie, nic; dopieroż mówią: tyś śpieg jakiś; suknie niemieckie; według stroju mowy nie masz. Wzięli konia, odarli, a listy przeczytawszy, piechotą go nazad puścili. I tak nie przyszło mi czytać owych ostatnich komplementów, o których zaś Wolski, wracający ztamtąd do Polski, powiadał mi, dodając że niepodobnąby rzeczą było, nieuczynić co dla tych listów, które od rodziców były. Te listy czytali przy nim cesarscy, a zaś potém którzy umieli po polsku pytali go o stanie rzeczy: „coto i jakoto?“. Jak im opowiedział, uważni mieli za złe tym, co go zatrzymali i odarli, ponieważto w takim był posłany interesie. Kazali mu potém, czwartego dnia, wyjść wolno z pod straży, który gdy powrócił do pana nic nie sprawiwszy, dopiero napełnił dom płaczem, bo oni mieli jeszcze nadzieję, że, gdy mię z temi listami dogoni, zostanę w Hamburgu, zkąd łatwo się do nich dostanę. Rzecz dziwna, iż porównywając czas z czasem według relacji Wolskiego, to właśnie wtenczas, kiedy się tam źle działo, go z listami zatrzymano, i kiedy za powrotem do domu nastąpiły żale, to mnie téż takie ciężkości robiły się na sercu, żem nie wiedział, czy żyję. Zaremba Jędrzéj nie odstąpił mię piędzią, widząc po mnie owę niespokojność. Jakto przecie serce przeczuwa! W tém wszystkiém znać boskiéj woli nie było i dla tego tak się stało.

Jakeśmy tedy odeszli z Jutlandji, Piaseczyński Kazimierz, mąż chciwy i w rycerskiém dziele prawie równy Czarnieckiemu, starał się pilnie, aby stawać za chwałą narodu, i żeby owi, którzy się z nim współubiegali, widzieli, że darmo tam chleba nie zjada. Piaseczyński zatém, żeby sobie tam i w Polsce dobrą zostawił sławę, upatrzywszy tedy czas i widząc, że Szwedzi nie tak już pilnie, jak przedtém gdy nasze wojsko przechodziło, pilnują lądów Fionji, ale bardziéj się tam gotują przeciwko wojskom cesarskim i brandenburskim, wziąwszy od elektora 3 półki piechoty, przeprawił wojsko konne i piesze w statkach. Lubo potężnie broniono naszym wysiadać, ale iż, jakem już nadmienił, rozerwaną mieli Szwedzi potęgę po różnych szańcach nad lądami, niżeli się więc tamci zgromadzili, ci tymczasem nie mogli wstrzymać i wpuścili naszych na ląd. Skoczyli tedy nasi konni na owych, rozerwali i wycięli, a potém stanąwszy, czekali aż więcéj będą mieli gości. Samych tam bowiem Szwedów było 12,000 żołnierza, z tamecz-

nych zaś mieszkańców każdy strzelec, każdy żołnierz, a do tego i charakternik. Przyszła tedy potęga na małą garść ludzi. Jak się zerwą z obu stron, zaraz w pierwszém spotkaniu półkownik Piaseczyński, kulą w piersi uderzony, pada nieżywy. Towarzystwa i czeladzi także kilka zginęło. Rylski, brat mój, również poległ. Ale téż jak ów ogień wytrzymali, nuż na szable, a wtenczas Szwedzi i nabijać nie mieli czasu. Tymczasem przeprawiło się więcéj Prusaków na innêm miejscu, tojest na têm, z którego już Szwedzi byli ustąpili, i dopieroż Szwedów ścinać, kłóć, strzelać; wyrznięto miasta i wsie zrabowano. Wszyscy tam mieli zadosyć, bo się Polacy mścili krwi swego półkownika. I mieszkańcom znacznie się dostało, bo ich więcéj jak połowa zginęła, a to dla tego, że ich zastano z bronią w ręku i że bronili się tak jak Szwedzi, ponieważ oni już całkiem króla szwedzkiego mieli za pana swego, nie spodziewając się nigdy, żeby kiedy dał ich sobie wydrzeć; ale jak oni odstąpili pana, tak téż ich odstąpił protektor piekielny, w którym oni całą swą ufność pokładają. Alecto i djabeł ustąpi, kiedy Bóg ma kogo skarać.

W całém królestwie szwedzkiém i w duńskich niektórych prowincjach tymi djabłami tak robią jak niewolnikami w Turczech i co im każą, to czynić muszą, i nazywają ich duchami familijnemi. Kiedy Rej był posłem do Szwecji, zachorował mu stangret jego kochany, którego zachorzałego zostawił u pewnego szlachcica, mając go odebrać powracając nazad do Polski. Chory ten leżał w jednéj izbie pustéj, a kiedy go gorączka minęła, usłyszał muzykę jakąś pięknie grającą; rozumiejąc, że to tam w inszych pokojach grają, leży, aż tu z myszéj jamy wyskoczy jeden chłopak maleńki, po niemiecku ubrany, a za nim drugi i trzeci, a potém i damy, muzykę téż coraz to lepiéj słychać, poczną tańczyć po izbie. Ów stangret w okrutnym był strachu. Potém zaczną parami wychodzić za drzwi; wyszła także muzyka, wyprowadzono i pannę, zwyczajnie tak jak do ślubu ubraną; nareszcie wyszli wszyscy z izby, jemu żadnego nie czyniąc gwałtu. Biedny stangret ledwie od strachu nie umarł. Wychodząc zostawili jednego malca, który mu rzekł: „Nie turbuj się tém, co widzisz, bo tu tobie i włos z głowy nie spadnie; my jesteśmy panowie duchowie; mamy téż to wesele swoje, żeni się nasz brat, idziemy do ślubu, i nazad tędy powracać będziemy, a ciebie także aktu weselnego uczestnikiem uczynimy“. Ów nie życząc sobie więcéj patrzyć na owo widowisko, wstał i założył drzwi na haczyk, żeby oni tamtędy nazad powrócić nie mogli. Skoro tam już po onym ślubie, powracają, aż tu drzwi

zamknięte, muzykę znowu słychać; tymczasem ruszą drzwiami, zamknięte; wlazł jeden malusieński sparą podedrzwiami, a uczyniwszy się w oczach jego dużym mężczyzną, pogroził mu tylko palcem, i zdjąwszy haczyk otworzył drzwi, i tym się znowu co pierwéj prowadzili traktem, a potém w ową myszą jamę powłazili. W godzinę, lub też więcéj, wyszedł znowu jeden z owéj dziury i przyniósł mu na talerzu kołacza, suto konfiturami i rodzenkami przeplatanego, mówiąc ten maleńki oddawca: pan młody posyłać, żebyś téż zażył weselnych wetów. Odebrał stangret te wety z wielkim strachem, a podziękowawszy, postawił wedle siebie. Przyszli potém do niego ci, co go doglądali w jego chorobie, i ten lekarz, co koło jego zdrowia chodził. Pytają: któż to dał? Opowiedział im całą awanturę. Pytają: „Czemuż nie jesz?“ Odpowiada: „Bo się tego jeść boję“. Owi mówią mu: „Nie bądź prostakiem, nie bój się, jedz, dobre to rzeczy; nasi to są domownicy, nasi przyjaciele; jedz“. On po staremu nie chce. Wziąwszy owi kołacz, przed oczami jego zjedli, powiadając mu, iż się to tu nam często dostaje jadać od nich, a nic nam nie szkodzi. Zażywają oni tam tych malców do roboty i do różnych posług.

W wzmiankowaną protekcją Finnowie bardzo ufali, aleć nie słyszałem od żadnego Polaka, żeby się któremu szabla na karku wyszczerbiła; prawda, że téż zawsze przed bitwą kule przyprawiali, pocierając je różnemi świętościami.

Szliśmy nazad do Polski tymże co pierwéj traktem, na Hamburg. Widzieliśmy tam klasztor Augustjanów, z którego Marcin Luter na apostazją uciekł. Stał w nim wojewoda. Ja zaś byłem tak ciekawy, żem wszystkie miejsca piękne i ozdobne tak klasztoru jak i cel zrewidował, nawet i w celi, gdzie Luter mieszkał byłem, bośmy powiedzieli, żeśmy Lutrzy, i dla tego nas poufale oprowadzali, i pokazywali wszystkie miejsca owego starożytności, opowiadając zaraz co i jak się działo, a my téż wzdychali; zowie się ten klasztor, jeżeli dobrze pamiętam, Uraniburgum. Strukturę ma cudnie piękną i położony w miejscu bardzo sposobném do obrony, bo go oblewa srogie jezioro nakształt morza ze trzech stron, z czwartéj tylko strony przystęp i to w wielkiéj równinie. Cela w nim każda tak piękna, żeby się mogła nazwać gabinetem królewskim, a jest ich z 500; okna po wszystkich wielkie malowane i po staremu jasne, bo na jednych kwaterach są różne obrazy świętych bożych, a najwięcéj Najświętszéj Panny, wszystko z napisami, a drugie z białego jako kryształ szkła. Kościół sam tak piękny i wspaniały, że mu równego nigdzie w Polsce nie wi-

dzę. Ołtarze, obrazy, staroświecką robotą, ale tak śliczne farby, pokosty i pozłoty, tak śliczny porządek, że i proszka na niczém nie zobaczy, tak dalece, iż rzekłby kto, jakoby dopiero trzeci dzień ztamtąd zakonników wygnano. Intrata, powiadają; wielka jest do tego klasztoru, ale téż i zakonników bywało do 400. Po wszystkich owych celach, gdzieś jeno zajrzał, pełno było kobiet i dzieci, co to pouchodzili przed wojskiem, i bardzo się obawiających, żeby ich nie rabowano, bo się nas bardziéj bali powracających, niżeli tam dawniéj idących; aleć jak obaczyli, że im żadnéj nie czynią przykrości, choć w klasztorze nocowało ludzi kilkaset z wojewodą i wojsko całe obozem stało przed klasztorem, nazajutrz weselsi już byli; kiedy się wojsko ruszało, powychodzili przed klasztor, błogosławiąc i dziękując wojewodzie. Ztamtąd poszliśmy na Ratzenburg, Wismar, do księstwa meklenburskiego; na Gustrow, Tomaszów, Żuraw, Tobel, Wistok, do brandenburskiéj ziemi; na Szczecin, ku granicy przebierając się, ku swemu taborowi w Czaplinku, inaczéj w Tempelbergu, aleć już tabor zniszczał, bo jedni z czeladzi poumierali, drudzy do domów popojeżdżali, inni pożenili się, wozy spruchniały, słowem, nie wiedzieć, gdzie się co podziało.

Weszliśmy tedy na granicę polską, Panu Bogu podziękowawszy, że nam dał w dobrém zdrowiu oglądać ojczyznę, a zaśpiewawszy wesoło na cześć i na chwałę imienia wszechmogącego, zaraz potém poszły chorągwie daléj i w różne rozeszły się strony.

Naszemu wojsku naznaczono na stanowisko zimowe Wielkąpolskę i Warmją. Wojsko téż z pod Malborga z Lubomirskim, hetmanem polnym, powracało. I tak kiedy się chorągwie w pochodzie różne mieszały, to już nie trzeba było pytać: z czyjéj ta a z czyjéj owa chorągiew dywizji, bo tylko spojrzawszy, znać było, że kiedy chudo, ubogo, boso, pieszo, to Malborczykowie; kiedy zaś konno, orężnie, odziano i dostatnio, to Duńczykowie, albo, jak nas nazywali, Czarnieccczykowie. Nawet i owych, co od nas z granic pouciekali i z nami się iść bali, Pan Bóg ukarał, bo albo zginęli, albo stracili, tu w Polsce wojując. Na naszę chorągiew dostały się Oborniki i Mosina pod Poznaniem. Tam idąc, zaraziłem się łożną chorobą z téj okazji: Niesiono na noszach chorego towarzysza, który mój był dobry przyjaciel, z młodości znajomy, bo jeszcze w szkołach rawskich byłem, a on téż do kancellarji chodził, (i z bratem jego rodzonym miałem także dobrą przyjaźń), użaliłem się tedy owego, nie wiedząc, na co chory, a widząc, że mu trzeba było wlec się na nocleg za chorągwią milę, czy więcéj, prosiłem go na nocleg

do mojéj gospody. W kilka dni potém zachorowałem niebezpiecznie; już kompanja o mnie powątpiewała, ale jednakże wielkie czyniła staranie, i nie długo potém począłem do zdrowia przychodzić. Przyjechawszy tedy do Poznania, uczyniłem Bogu dzięki, że mię do pierwszego zdrowia przyprowadzić raczył i że mi udzielał zdrowia i opieki, i w obcéj ziemi, gdzie mię z Jego i przeczystéj Matki Jego przenajświętszéj łaski i palec jeden nie zabolał. Stanęliśmy nakoniec pół chorągwi w Mosinie, a pół w Obornikach. Mnie się dostała gospoda w rynku, ale oboje gospodarstwo wielkie hultajstwo. Wyniosłem się więc od nich i stanąłem na ulicy poznańskiéj u tkacza przypisnego, człowieka poczciwego, u którego po owéj chorobie mojéj miałem wielką wygodę, bo gdy mi się zachciało ptaszków, którem z chęcią jadał, to ów człowiek i wszystkich z domu wysłał ludzi na różne miejsca, żeby mi tylko mógł dogodzić; słowem, wszelkie usługi z wielką odprawował wdzięcznością. Przyszedłem prawda prędko do zupełnego zdrowia, ale mi też czupryna precz wylazła. Zachowaj mię Boże drugi raz w życiu mojém takiéj choroby. Skończyliśmy tedy rok stary (1659), niech będzie imie boskie pochwalone, w Mosinie.

Rok 1660.

Rok pański 1660 zaczęliśmy z woli Pana Boga, tamże w Mosinie, gdzie lubo nas postawiono na całą zimę po tak ciężkich pracach i tak dalekiéj za Baltyckie morze wyprawie, jednakże następujące od Moskalów i Kozaków niebezpieczeństwa, nie dały nam nawet na konsystencji uczcić Bachusowego święta. Przysyłają uniwersały już nie z gorącém rozkazaniem, ale z gorącą prośbą, przyznawając, jakieby to wojsko, za swoje odwagę i turbacje, powinno mieć odpocznienie i nagrodę, i proszą przez miłość Boga i ojczyzny, żeby tego nie mieć za krzywdę, że podczas tak tęgiéj zimy przychodzi wojsku ruszać, (bo już Moskale opanowawszy całą Litwę, fortece na Podlasiu grasowali i za Warszawą się już zbierali), obiecując to dywizji naszéj w innym razie wynagrodzić. Ruszyliśmy się tedy z konsystencji, a przez ten wszystek czas, jak tylko dali Czarnieckiemu osobną dywizją, uczyniwszy go niby trzecim hetmanem, nigdy się nie trafiło, żebyśmy całą zimę na

konsystencji mieli przepędzić, ale ustawicznie z nieprzyjacioły musieliśmy się spotykać. A po staremu nasze wojsko zawsze było najporządniejsze i najlepsze. Takto Bóg błogosławi za szczerą dla ojczyzny ochotę! Poszliśmy tedy nie tak prosto (jak owo zwyczajnie o żołnierzach powiadają), jako sierpem cisnął, ale wielkiemi drogami, traktem na Łowicz, na Warszawę, z podziwieniem wszystkich. Nie spodziewali się po nas tak ochotnego posłuszeństwa. Do króla wstępowali żołnierze w sukniach zagranicznych, postroiwszy się ładnie w żupan z drelichu, kontusz także z drelichu, jupkę z rajtarskiego koletu, bóty z niemieckiemi cholewami prawie do pasa, kontusz po kolana, i ztądto był nastał ów strój krótki i bóty z podwiązkami, któryto strój niesłusznie nazywali czerkieskim, bo to właśnie musieliśmy czynić z potrzeby, żeśmy w tamtych krajach krótko się nosili, co musiało być dla samych cholew, które tak są długie i szerokie; musiałoby chyba być straszydło, gdyby owa suknia na onych długich cholewach odbijała się i na przodzie i na zadzie; bótów téż tam polskich nie było, bo wojsko kommunikiem poszedłszy, każdy w tych puścił się, co je miał na nogach, a które jednakże nie mogły być tak trwałe, żeby przez ten wszystek czas dosłużyły do powrotu do Polski. Ten strój obrócił się w modę, bo zaraz suknie choć najpiękniejsze kazano robić krótko, i bóty, choć polskie, to z długiemi cholewami i z podwiązkami, które były srebrem, złotem, rubinami, djamentami sadzone, na jakie kogo mogło stać. I dla tego, żeby widziano podwiązki, to już i suknią krótką kazano robić, a zaraz się tego wszyscy chwycili, nawet szewcy i krawcy; bo u nas w Polsce taki zwyczaj, że choć kto suknie na nice wywróci, to mówią, że to moda, i potém ta moda ma wielką powagę u ludzi, póki nie przyjdzie do prostych ludzi. Co ja już pamiętam odmiennéj coraz mody, w sukniach, w czapkach, w bótach, w szablach, w rządzikach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w gestach, w stąpaniu i witaniu, o Boże święty, nie spisałby tego na dziesięciu skórach wołowych! Jestto wielka lekkomyślność narodu naszego i wielkie ztąd pochodzi zubożenie. Mógłbym tego ubioru mieć na cały wiek i dzieciom by się dostało, kupiwszy raz u cudzoziemców, aż tu za rok albo i prędzéj nie moda, nie tak zażywają, więc psuj, przerabiaj, albo na tandetę daj, a inne sprawiaj, bo musiałbyś się w nim chyba tylko między domowemi ścianami prezentować, ale między ludzi wyjechawszy, to się dziwią, jak wróble na sowę patrzą, palcem skazują i mówią, że ten ubiór pamięta potop. O da-

mach i ich wymysłach nic nie mówię, bobym mógł całą księgę tą materją zapisać. Ta tedy moda, którą my wnieśli z Danji z potrzeby, weszła u wszystkich w zwyczaj. Gdy żołnierze przyjechali w tym ubiorze do Warszawy, nie mogła się im nadziwić królowa Ludwika i damy dworu, obracając ich sobie i oglądając do koła i bardzo się ciesząc. Choć też drugi miał dobrą suknię, to się jednak ustroił w pstry drelich, kiedy co chciał wydrwić na królu. Dano nam tedy natenczas zasług ze skarbu za dwie tylko ćwierci roku, które co odebrawszy, pojechałem do rodziców prosto z Łowicza, trzy mile za Rawę, do Bielin, gdzie stanąłem zdrowo i w fortunie pewnie dobréj. Witali mię rodzice z tak niezmiernym płaczem, że do godziny utulić się nie mogli. Przywiozłem tedy różnych osobliwości do domu, osobliwie numizmatów, których tu u nas w Polsce nie ujrzy. Damie też swojéj, cośmy się w sobie kochali, pannie Teressie Krosnowskiéj, podczaszance rawskiéj, przywiozłem w podarunku trzewiki drewniane lipowe;. kupiłem na nie umyślnie w Poznaniu pultynek specjalny, sztukwartową robotą, hebanem i perłową macicą nasadzone, adamaszkiem karmazynowym podklejone, i tak to oddałem za wielką osobliwość, z piękną mową pana Franciszka Ołtarzowskiego, towarzysza i sąsiada mego, któryto wywiódł dosyć ładnie pierwiéj niżeli pokazał, co tam jest wewnątrz w pultynku, i jako nigdy w Polsce niewidziany oddał prezent. Oni też biorąc miarę z pięknego pultynka, spodziewali się że to tam coś dziwnego i drogiego obaczą. Mówił tedy w ten sens, (lubo całéj niepodobna pamiętać): „Wolentarz to jest w ciele ludzkiém affekt, moja wielce mościa panno, który od inszych zmysłów żadnych nie przyjmując ordynansów, swoją własną rządzi się impreza, i na którąkolwiek stronę zechce i sam siebie i serdeczną może nakierować inklinacją. Niech przez wysokie przeprawia się Alpy, niech bystrych rzek przepływa nurty, niech między bezdennemi niezbrodzonego Oceanu zabawia się głębokościami, ma jednak swój cel, do którego uprzejmém serca swego zmierza okiem, do którego choć w odległości swoje życzliwe zwykł akkomodować intencje. Takich nieomieszkując sposobów, któremiby swoję mógł wyświadczyć przysługę jmć pan Pasek, brat i towarzysz mój, z tak dalekiéj od granic ojczystych ziemi przybyły, jakimby miał waćpannie przysłużyć się prezentem, długo deliberował, bo przywieść z dalekich krajów to, co lubo z drogości i ceny ma wysokie u ludzi zalecenie, ale w Polsce zdawną znajome, nie specjał; przywieść z krajów tych to, czego u nas i wśród Polski dostanie, nie moda;

ale taką osobliwość, któréj jeszcze i dotąd nie widziała Polska, to jest specjał. Niech się odważny Jazon złotém popisuje runem, po które do Kolchidy rezolwował się, czyniąc to dla swéj; niech Hippomenes, przez wyrznięcie złotego jabłka, gładką pozyskuje przyjaźń Atalanty; ale tamte podarunki z tym wchodzić nie mogą w paragon; czemuż? bo to tam były specjały, żadnego w sobie nie mające rarytetu, ale z samego tylko zrobione złota. Ja zaś poszczycić się mogę, że oddaję imieniem mego brata tak niezwyczajny prezent, którego pewnie ani w królewskich, ani w cesarskich nie znajdzie skarbnicach; któremu równego i sama na cały świat sławna i wymyślna strojnica, Kleopatra, nie zażywała i nie miała ornamentu. Co i W. M. Panno sama przyznasz to snadnie, tak niezwyczajny obaczywszy specjał. Prosi tedy przezemnie, abyś W. M. Panna tegoż zażywając zdrowo, wdzięcznie przyjąć raczyła.“ Rozumieli tedy, z owego zalecenia biorąc miarę, że w owém pultynku nieoszacowany znajduje się klejnot; ale skoro zobaczyli trzewiki drewniane, z wielką je po staremu przyjęli wdzięcznością. Do widzenia ich wszystka prawie krewnych, przyjaciół i sąsiadek zjeżdżała się kompanja. Odprawiwszy tedy dni Bachusowe w dobréj komitywie, z dobrymi sąsiadami, a osobliwie z Mikołajem Krasnowskim, podczaszym Rawskim, który często bywał u rodziców moich, my téż nawzajem u niego, pojechałem za chorągwią, lubo się nie chciało, ale cóż, kiedy natenczas taka była karność w naszéj dywizji, że Panie zachowaj oddalić się na dłuższy czas od chorągwi towarzyszowi, albo na stanowisko lub do obozu nie wprowadzić i nie wyprowadzić już chorągwie pogotowiu, już okazji omieszkać, zaraz sąd, zaraz pokuta, zaraz do artykułów, i jużby to nie był oficer, gdyby ich zawsze w kieszeni nie miał. Dogoniłem tedy chorągwie i wszystko prawie jakby w kupie było, chorągiew od chorągwi bardzo gęsto. Jakeśmy weszli na Podlasie, Moskale ustąpili Mścibowa, czyniąc z Trubeckim i Horskim zabiegi koło Sniatycz i koło Brześcia. Przyszedł nareszcie ordynans od króla do wojewody, aby na święta wielkanocne rozłożyć wojsko brzegiem Podlasia w dobrach ślacheckich i żyć za uproszeniem, co kto da z dyskrecji, bo już dobra królewskie i duchowne nie mogły wystarczyć, będąc zniszczone od nieprzyjaciela i od wojska litewskiego, ponieważ téż i wojsko z dywizji hetmańskich po stanowiskach daleko stało, i byle przecie tę ścianę od Warszawy zasłonić, a być pogotowiu do ruszenia zaraz po wielkiéjnocy. Dostało się nam tedy na wytchnienie miasteczko Siedlce, własność jmć pana kasztelana

zakroczymskiego, a na przystawstwo trzy parafje ślachty całkiem ubogiéj. Mnie zaś, wraz z panem Wawrzyńcem Rudzieńskim, który potém u nas chorągiew nosił, deputowano do pisania gospód i podzielenia owego ubogiego przystawstwa. Pojechaliśmy. Przyjęto nas z chęcią powszechną, bo tak już Litwini zaprawili w tę ryzę ślachtę w tamtych stronach, że ją prawie w chłopów obrócili. Stanęliśmy tam na niedzielę środopostną. Najpierwéjśmy odwiedzili i oddali honor saméj jejmość pani kasztelanowéj, bo blisko mieszkała, zaraz przy mieście, w majętności nazwanéj Strzała. Sam zaś kasztelan mieszkał tam gdzieś daleko. Zawsze oni osobno mieszkali, bo pan sam miał na czas obłąkanie zmysłów, a do tego, że majętność siedlecka była własnością i dziedzictwem pani kasztelanowéj, z domu Wodyńskiéj. Do któréj jadąc, mówiliśmy sobie: będą bronić stacji z przyczyny, że to ziemskie dobra; aleć jakeśmy powiedzieli przyczynę przyjazdu i assygnacją pokazali, najmniejszego sporu nie było, lecz owszem wszelką pokazawszy wdzięczność, uczęstowano i pozwolono. Powróciwszy do miasta zaraz nazajutrz, rewidowaliśmy gospody. Mieszczanie, którzy czytali assygnacje, wiedzieli, które parafje dano nam w przystawstwo. Ślachta dowiedziawszy się o nas, z każdéj wsi przyjechało ich po dwóch witać deputatów imieniem innych swoich braci, bo tych jest i 50 i 60 domów w jednéj wsi; przywieźli oraz owsa, chleba, oleju itd., choć im o to nic nie mówiono, prosząc o respekt, żeby się łaskawie z nimi obejść. Jaki taki prosił o dobrego pana do swojéj wsi, bojąc się, żeby im tak nie dokuczali jak Litwini. Rozpisaliśmy gospody we wtorek, pojechaliśmy do wsi we środę, jeździliśmy do piątku, a po staremu nie skończyliśmy tego objeżdżania, lubo wsie gęste i blizko siebie są, bo ich jest i po trzydzieści w parafji; wróciliśmy się tedy do miasta, rozkazawszy, żeby z każdéj wsi po dwóch przyszło, ażeby mieli kwity poborowe, żeby się z nich można informować, która wieś więcéj a która mniéj ma gruntów. Zaraz tedy nazajutrz stanęli, ale że musieliśmy wyjechać przeciwko chorągwi, która nadchodziła, aby ją wprowadzić, oni musieli zatém czekać. Usiedliśmy nareszcie w niedzielę białą, po rannéj mszy, nad owemi kwitami, i mieliśmy z niemi aż do wieczora do czynienia, a jaki taki o dobrego prosi pana; ten obiecuje za to gęś, ów kapłona, inny znowu baranka na święta. Każdemu z osobna powiedzieliśmy sekretnie, żeśmy mu przeznaczyli najlepszego ze wszystkich i nienaprzykrzonego towarzysza, to ów dziękował, to pocztę deklarował. Ci panowie ślachta nie odeszli prędzéj, ażeśmy

popisali assygnacje i pooddawali kompanji; tak zaś byli słowni, że cokolwiek imieniem swojéj wsi obiecali, wszystko poodwozili w wielki tydzień. Nawieźli tedy nam deputatom tyle, że choćbyśmy byli nic nie wzięli na swoje poczty, tobyśmy się jednak mieli dobrze i wielu przy sobie pożywili. Kiedy zaś przywieźli prowjant, to zaraz przy nim przyszło 40 i 60 ślachty. Towarzystwo też przez wzgląd, że ślachta bracia i znowu zaś, że dają prowiant a nie powinniby byli, zapraszali ich i częstowali za to; ci czasem więcéj wypili, niżeli przywieźli, ale zaś w nagrodę ochoty znowu przysłali, choć nie proszono. Pod niebiosa nas wynosili, mówiąc, że to pana Czarnieckiego żołnierze anieli, a Litwini djabli. Już tedy, co się dopraszali każdy z osobna o dobrego, nie mogli się domacać żadnego złego. Było to przystawstwo po staremu niezgorsze, czyli raczéj (jak to u nas nazywano) wytchnienie. Ja obrałem sobie wieś Strzałę, majętność pani kasztelanowéj, tam gdzie jéj rezydencja bo sama o to prosiła. I byłem bardzo kontent z tego przystawstwa. Bo była pani tak poczciwa, że mi nie kazała dać chleba udzielać, ale kazała mi tam mieszkać, póki się nie ruszy chorągiew. Wieś ta była blizko miasta i dawano z niéj wszystkiego dla czeladzi i koni, co tylko mogli spotrzebować. Ja tylko sam jadałem i pijałem we dworze w konwersacji arcy szumnéj, jako w raju. Byłato pani zacna, pełna poczciwości i bardzo wesoła; miała jedyną córkę, dziedziczkę, która potém poszła za Oleśnickiego, podkomorzyca sandomierskiego. Na każde święto kazała prosić przezemnie kompanji, do mego przystawstwa, na karty, na taniec, bo miała muzykę swoję i panien nadwornych kilkanaście, które były z domów zacnych i miały dobre posagi. Majątek córki jedynaczki wynosił kilkakroć sto tysięcy, o którą począł się był najpierw starać Stefan Czarniecki, starosta natenczas kaniowski; wszedł w tę konkurencją z natchnienia pana wojewody, stryja swego, który go wyprawił bogato na tę kommendę z obozu, dawszy mu kupę grzecznych żołnierzy do boku, alić nie poszczęściło mu się; znać nie było woli bożéj. Powiadano mi potém, że się dla tego nie udało, iż pan starosta bardzo humorem i marsem nadrabiał, poszła zaś tegoż roku za pana Oleśnickiego, podkomorzyca sandomierskiego. To przystawstwo widziało mi się dniem jednym, że to w dobrym bycie, i takiego drugiego przez całą służbę nie miałem, bo mi nawet i wozy naładowano takiemi specjałami, jakich nie w obozie, ale przy domowych tylko wywczasach zażywają, i do obozu pod Kozierady, pókiśmy tam stali, (bo tylko

mil 6 było) przysyłano. Dosyć na tém, nie wyświadczyłaby tego ladajaka matka. Mąż téj zacnéj pani, tento pan kasztelan zakroczymski, był także człowiek ludzki, wielce dobry żołnierz i mąż doświadczony, tylko że mu się to głowa była napsowała, i dla tego osobno mieszkali, tę jednę tylko spłodziwszy córkę. On swojemi zarządzał majętnościami, a ona też swemi, i każde z nich osobną miało assystencyą. Póki był zdrów, to taki był bitny mąż, że go się wszyscy bali. Trafiło się raz, że chorągiew Karola Potockiego, dobrze okrytą, wybił wstępnym bojem, w samo dziesięć tylko pojechawszy, i powiedział im: „Nie w mojéj wsi, żebyście nie mówili, iż w kupę ufam, ale w polu was czekać będę,“ i tak uczynił. Zjechawszy się, wyzwał porucznika. Odjechawszy od chorągwi, rzekli sobie: „na szable.“ Dojechał porucznika, ciął go dwa razy, aż z konia spadł, a wtém skoczyła chorągiew hurmem, wytrzymał ich, a potém z ową swoją dziesiątką jak począł ich łamać, nasiekł, nabił, chorągiew i kotły im wziął i to odesłał hetmanowi. Nie czynił on nic złego, jak to szaleni czynią, ale tylko uczynił się jakimsiś okrutnie nabożnym; przyszywszy bowiem na czapce passyjkę, to idąc z nią przez kościół lub przez izbę, na nikogo nie wejrzał, nikomu się nie skłonił, tylko obiema rękami trzymając ową czapkę z passyjką przed oczyma, na nię patrzył; szedł zaś z nim chłopiec z mieczem tuż przy jego boku. Nigdy on się nie rozśmiał, bo słudzy, co mu po kilkanaście lat służyli, powiadali, że go nigdy śmiejącego się nie widzieli. U żony bywał, ale nocować nigdy nie chciał; obiad i wieczerzę zjadłszy, pojechał na całą noc o 4 mile do domu. Wymówił też czasem mądrze, czasem głupio. Przyjechał raz do żony w obiad; było nas u stołu czterech towarzystwa; dano znać, że jegomość przyjechał; ja rzekłem: „Wielmożna pani, pójdziemy witać?“ Ona odpowiedziała: „Nie trzeba tego czynić, on tego niegodny.“ Wszedł tedy do izby z ową powagą i nabożeństwem, trzymając czapkę z passyjką przed oczami; prosto do swojéj jejmości przyszedłszy, klęknął na kolana; ona mu głowę ścisnęła jako biskup, bo taki był zwyczaj, i klęczałby tak długo, pókiby tego nie uczyniła. Siedział wedle jejmości towarzysz nasz wielce grzeczny, stary już, Kościuszkiewicz, Wołyniec, osoba wielce poważna, choży, wysoki, broda do pasa; wstawszy kasztelan, rzekł do tego Kościuszkiewicza: „Czołem mości panie hetmanie!“ Towarzysz odpowie: „Czołem mości królu!“ i podali sobie ręce. Potém pyta: „A jmć pan Pasek jest tu?“ Ozwę się: „Jestem sługą w. mm. pana dobrodzieja.“ Podał mi także rękę i ja mu, i rzekł: „Domyśliłem się też zaraz,

żeś to waćpan, gdyż mi powiadano, żeś młody.“ Dalej mówił: „Jam tu przyjechał podziękować waćpanu za to, że tu jesteś opiekunem żony mojéj.“ A ów miecz zaraz mu pod łokciem chłopiec trzymał. Odpowiedziałem: „Nie uzurpuję sobie téj godności, żebym miał być protektorem jejmości, ale poddanych w. mm. pana, natenczas zostających w mojém przystawstwie.“ Mówił daléj: „Tak trzeba, tak Bóg kazał z nieba.“ Wtém odezwał się Kościuszkiewicz: „Mości panie kasztelanie! w. mm. pan jako gospodarz racz usiąść i nam téż usiąść rozkaż, bo potrawy na półmiskach poziębną.“ „Zgoda mości panie wojewoda, i ja téż jeszcze nie jadłem,“ odpowiedział kasztelan, podawszy owéj kompanji rękę, których jeszcze nie witał, a którzy wedle Kościuszkiewicza siedzieli, i poszedł usieść do samych drzwi. My się tu ruszamy i prosimy go wyżéj. Żona mówi do nas: „Daremna turbacja, bo on tego żadną miarą nie uczyni i pojedzie, taki u niego zwyczaj.“ Siedział więc za wszystkiemi sługami żoninemi i za naszą czeladzią; jadł, pił dobrze, a z każdym kieliszkiem poszedł pierwéj do żony o pozwolenie, klęknąwszy, a ta mu głowę ścisnęła. Prawił jedno do rzeczy, a drugie nic po tém, a miecz zaraz podle boku z chłopcem, na który ja pilne miałem oko, bo to przecie z szalonym dziwna sprawa. Po skończonym obiedzie rzekł: „Jaśnie wielmożna mościa pani i dobrodziejko, albo to waszmość muzyków nie masz, że tak nie wesoło?“ Odpowiada: „Są, mości panie, ale strón nie mają za co kupić.“ Rzekł: „Wołaj ich do mnie Brzeski.“ Gdy przyszli, sięgnął do kieszeni chłopca, co miecz trzymał, i dał im trzy czerwone złote, a ci zaraz grać zaczęli. Poszliśmy w taniec, kłaniając mu się, a on żegnał nas owym krzyżykiem i pił. Skoro podpił, to już i słowa do nikogo nie przemówił. Odjeżdżając, znowu przed żoną klęknął i pojechał. Ona poczęła płakać z tego żalu, że to przecie mając przyjaciela, jakoby go nie było, kiedy nie z takiemi jako ludzie jest postępkami. Póki jeszcze był nie odjechał, rzekł do niego towarzysz nasz, pan Łącki, Litwin: „Czemu téż w. mm. pan w domu swoim nam nie dopomagasz weselić się?“ On uderzywszy dwoma palcami w miecz, odpowiedział: „Ja z tą tylko jedną panną zwykłem tańczyć; gdybym z nią poszedł, mogłoby to się komu w ordynku uprzykrzyć.“ Dał mu tedy pokój i nie zapraszał go już więcéj do tańca. Powiadano, że on i w domu podpiwszy sobie, każe grać muzyce, a z mieczem różne sztuki szermiercze wyrabia, to przystępując, to odstępując, i to tak długo, póki się nie zmorduje. Jak o nim powiadają, miał to być szermierz doświadczony.

Stojąc w Siedlcach umarło nam dwóch towarzyszów, starych żołnierzy, to jest pan Jan Rubieszowski i pan Jan Wojnowski. Rzecz dziwna, że ci dwaj ludzie tak z sobą żyli, że jeżeli się temu dobrze powodziło, to i temu; jeżeli temu źle, to téż i temu. Obaj byli Mazurowie, obadwa starzy, obadwa żołnierze, obadwa Janowie, obadwa żonaci i podle siebie w regestrze, i obadwa jednéj fantazji. Gdy nas w nocy pod Chojnicami napadli Szwedzi, obudwóch porąbali, rapierami pokłóli i za umarłych na pobojowisku zostawili, jednakże obadwaj z tak ciężkich ran wyleczyli się i obaj razem królowi za pogrzeb dziękowali. Bo król widząc po okazji tak ciężkie ich pokaleczenie, kazał im dać 600 złotych, mówiąc, że to daje na pogrzeb, nie na leczenie. Przy podziękowaniu wzięli znowu od króla po tysiącu złotych, wojnę kontynuowali, w Danji z nami byli, i jakoby kontrakt szczęścia między sobą zawarłszy, razem téż obaj w Siedlcach zachorowali i jednego dnia pomarli. Gdy im tedy ostatnią należało oddać usługę, Jan Domaszowski sprawił im pogrzeb, jakiego porucznik nasz, jakiego senator nie może mieć foremniejszego, w przytomności okolicznéj ślachty i żołnierzy, także wielu duchowieństwa, w kościele siedleckim. Z woli tedy porucznika i kompanji, mnie, jako Janowi, kazano także zapraszać na chleb żałobny gości. Zacząłem tedy takim sensem, nie bardzo wiele mając czasu do należytego przygotowania, bo mi owa moja stacja była na przeszkodzie, będąc zapraszany coraz to w karty, to w szachy, to w arcaby, alem się przecie starał, żeby nie podrwić, bo wiedziałem, jaki miał być ludzi napływ; wiedziałem i to, że miał od gości mówić pan Gumowski, podczaszy, wielki mówca, a od wojska zaś kondolencją pan Wolborski, porucznik starosty dobrzyńskiego, Rokitnickiego. Zacząłem tedy:

„Któreby téj konstytucji opponować volumina, przed którymi uskarżyć się parlamentami, u któregoby z najpotężniejszych świata tego monarchów szukać protekcji od nieuchronnéj na naród ludzki śmiertelności oppressji? Nie wiem, sposobu nie znajduję, ale widzę, że ani prawo nikomu w tém pomódz nie może, kiedy czytam na hieroglifiku rzeczypospolitéj genueńskiéj: „Parka dumna, trzymająca kosę w groźnéj ręce, pokazująca napis: „Prawa dyktuję, królami rządzę, sędziów sądzę.“ Któż się takiéj sprzeciwić może potencji? Zgoła, dla ceremonji tylko, równemu przed równym, człowiekowi przed człowiekiem, śmiertelnemu przed śmiertelnym swojéj użalić się dolegliwości, potém zamilczeć i przestać, ponieważ „możemy się użalać na los, ale go zmienić nie możemy.“ Pra-

wda, że to jest ciężkie rozstanie, kiedy wrodzone krewności nie wytrzymują kolligacji, kiedy ślubem stwierdzone rozrywają się miłości związki, kiedy ojciec syna, syn ojca, towarzysz towarzysza najpoufalszego, odstąpić musi; ale cóż z tém czynić? kiedyto ludzdzkiéj doli taką własność przypisuje Arystoteles: „Człowiek jest wzorem nieudolności, łupem czasu, igrzyskiem fortuny, obrazem niestateczności, nienawiści i nieszczęść przedmiotem.“ Ciężkito jest wprawdzie na chorągiew naszę rok, dwóch razem téj matce tak dobrych pozbywać synów, ciężki i nieznośny ojczyznie paroksyzm takich przez niedyskretne losy razem i naraz uronić wojowników, którzy najniebezpieczniejsze jéj pożary hojnie swoją w każdych okazjach krwią gasili. Przykra całéj kompanji strata! tak dobrych, poufałych, nikomu nie uprzykrzonych, w każdéj z nieprzyjacielem utarczce podle boku pożądanych i do wytrzymania wszelakich ciosów doświadczonych postradać kawalerów. Ale, ponieważ sama litera święta taką całemu światu podaje naukę: „Zeżnąć należy żniwo, tak potrzeba każe,“ dla tegoż: „potrzebę znosić, a nie płakać należy,“ mając przed oczami konstytucją, a umówioną przed wieki ziemi z niebem ugodę, że nam tam deklarowano „ożyć przez śmierć,“ że nam tam obiecują do powszechnego powrócić towarzystwa. „Nadejdzie znowu dzień, który nam światło powróci.“ Było to prawo w ateńskiém państwie, że się nie godziło oddawać zmarłego żołnierza ziemi, pókiby wprzód na najgromadniejszém zebraniu przez swoich nie był chwalony, i dokładają tam: „Chwalony był od tego, który najwymowniejszym był z całego wojska.“ Gdyby przyszło na tém miejscu strykte obserwować tamtych ludzi zwyczaj, przyznam się, żeby mi ciężką musiała przynieść konfuzją na mnie prostaka włożona od officera mego prowincja, albowiem więcéj tém sławy ujmuje, kto czyje sławne i światu widoczne nie tak dostatecznie, jakoby potrzebowały, chwali czyny. Ale że żelazny Mars depce złote przepychy i pogardza niemi,“ dla tegoż choć nieudolna Minerwa moja, tumanem saletry zakurzona i surowością impetów baltyckich świeżo zhukana, rezolwowała się chwalić swoich współżołnierzy, ś. p. jmć pana Jana Rubieszowskiego i jmć pana Jana Wojnowskiego, lubo niegodnie, jednak najgodniejszych św. pamięci zmarłych, którzy z młodości zaraz swojéj, ledwie tak rzec nie mogę, że prawie z powicia, bo w chłopięcych latach, nie wdając się w pieszczonéj Pallady przyjaźń, udali się ochotnie do przykréj i krwawéj Bellony palestry. Tym zabawom poświęcającemu się, najmniejszego czasu nie zostaje dla Apollina. Starych, polskich

wojowników trybem, jako ślachetnego orła pisklęta, ostrego za dyrektora obrali sobie Gradywa; jemu swój cały obligowali wiek; jemu siebie za dożywotnią poświęcili ofiarę. Bo merlińskie, cecorskie, żółtowodzkie, już za towarzystwa odprawiwszy okazje, w niezliczone potém różnych na ojczyznę następujących nieszczęśliwości wdali się łabirynty, o których gdyby szczegółowo mówić przyszło, całodziennego o każdéj z tych okazji nie dosyćby było dyskursu, kiedy owe korsuńskie, zbaraskie, batochowskie, tak ciężkie na ojczyznę przepływawszy wylewy, tak nieszczęśliwe na stan rycerski strawili lata. O których owego wieku żołnierzach takie było powstało zdanie, że kto z tych okazij zdrowo wyszedł, jeżeli przedtém zwano go sokołem, mógł bezpiecznie tytułować się Feniksem. Nie dosyć na tém, chciwy sławy animusz szuka uporczywie niebezpieczeństw. Nie ustraszyła ich w owych przeszłych kampanjach zagniewanéj fortuny srogość; idą daléj w owe beresteckie, białocerkiewskie, mohilowskie, żwanieckie okazje. I tam synowie dobrzy dla ojczyzny zdrowia swego nie żałowali. O takich to znać żołnierzach gdzieś tam napisano: „Męża przymiotem jest waleczność; dwie główne cnoty jego są: pogarda śmierci i bolu.“ Nuż dopiero jak nastąpiły szwedzkie, moskiewskie, węgierskie wojny, co rzekę o owych kuszenickich, grodeckich, wojnickich, gołębskich, wareckich, gnieźnieńskich, magierowskich, czarno-ostrowskich i innych wielu okazjach, z jaką tam rezolucją i z jakim umysłem ponosili przeciwności losu i niewczasy, już w tém, jako koło późniejszych okazij, nie trudno o wielu świadków. Tymbyto zacnym kawalerom przypisać można to, co Aleksandra Wielkiego żołnierzom: „Gdy żołnierz gardzi dostatkami i bogactwy, toczy boje w karności i ubóstwie, znużonemu służy ziemia za łoże; używa za pokarm, co ma, ledwo małą część nocy przepędza na śnie.“ W tych zacnych kawalerach widział świat pomienione przymioty, przy nieskąpém zawsze krwi i zdrowia swego szafowaniu. A osobliwie też już pod Chojnicami, więcéj, niż potrzeba, od ręki nieprzyjacielskiéj otrzymawszy, otoczony od mnóstwa, Rubieszowski, czterdziestą kilką razów strzelanych, sztychowych i rapierami sieczonych na pobojowisku położony za nieżywego, którego gdyśmy w kilku z placu zbierali, to ten zacny kawaler do pół boków prawie w swojéj pławił się krwi, tak że w niéj ledwo nie spłynął. Lubośmy wszyscy rozumieli, że po tak ciężkiém pokaleczeniu już też obmierzi sobie wojnę, ale nie, bo „męztwo hartuje się ranami;“ jako mówią, piłka a męztwo bite większy impet bierze. Nie ustawa

odważny Cyrus w przedsięwziętéj imprezie; Kodrus pozbył zdrowia dla ojczyzny, i ztąd mają na cały świat wieczystą sławę i zalecenie; a ten wszystko pokaleczone ciało niesie na ostatnią ojczyzny ofiarę. Kąpała Thetis Achilesa w jakichś tam wymyślnych wódkach, żeby go żadne zabić nie mogły oręże; ja tak bezpiecznie moralizować mogę, że tego to Achilesa, naszego ulubionego współżołnierza, poważniejsza jakaś od tamtych przyprawnych wódek, krew Chrystusowa, konserwowała kąpiel i od tak ciężkich ran zginąć nie pozwoliła. Nie wywodzę tu genealogji, bo i tak podobno naprzykrzyłem się czasowi, choć o samém tylko ich życiu dosyć lakonicznie namieniłem, wielką sławę, jako wielki dzwon, w sam tylko brzeg małém bardzo sercem dotykając. Niechaj będzie dosyć, że zacną województwa mazowieckiego porodzili się ślachtą, których urodzenie choćbym chciał wywodzić, nie mogę, bo mi nie pozwala czas i licha moja wymowa. Ponieważ wielkich ludzi podziwiać, a nie chwalić należy, krótkiéj tylko, jako niegdy Salustius do Kartaginy, do tych przezacnych familjantów zażywszy apostrofy: „O waszéj sławie lepiéj jest milczeć, niżeli mało co powiedzieć.“ To tylko przydam, że kto tak wiek prowadzi, tego ślachectwo jest podwojone. „Owi są prawdziwą ślachtą, którzy nietylko samém urodzeniem, ale i cnotą są ślachetni.“ A teraz chwalebni zmarli w wiekuistą zabrawszy się kompanją, żegnają przezemnie wszystko wojsko, jako swoję szkołę. Żegnają chorągiew matkę i miłą swoję kompanją, z którymi równie wdzięczno im było i przeciwności i pomyślności ponosić. Żegnają wszystkich krewnych i swoje pozostałe potomstwo, życząc, aby tym samym sposobem postępując i ojczyznie służąc, dni wieku swego prowadzili. Żegnają wszystkich wielmożnych panów, na tém miejscu zgromadzonych, i wielce dziękują, że jako chrześcijanom, chrześcijańską wyświadczyć raczyliście im usługę, ostatnie światu dając: Bądź zdrów, nowéj zaś wieczności: Witam cię. A że się tam ktoś ważył o sobie mówić: „Nie cały umieram, i wielką część mnie ochroni Libityna,“ toż nasi współżołnierze zasłużyli u świata i do ww. panów swoje przysyłają prożby, ażeby zasługi ich w słodkiém ww. panów nie obumierały wspomnieniu, ponieważ „umysł i sława nie mogą być pochowane.“ A po tych ww. panów fatygach i wyświadczonéj pobożnie zmarłym łasce, żebyście ww. panowie w domu żałoby swojéj nie raczyli odmawiać przytomności, imieniem jmć pana porucznika i całéj kompanji uniżenie proszę.“

Jakem ja skończył, mówił pan podczaszy Gumowski bardzo

wymownie, uczenie, ale sobie pomieszał sens i związek, i zaraz to było widać, kto się znał na rzeczach, szczególniéj duchowni to postrzegli. Omawiał się potém kształtnie, narzekając na mnie, żem mu wziął kilka probacij do jego mowy należących, i już musiał wyrzucać te, które odemnie słyszano. Przytoczył i to, jako jest ciężka rzecz architektowi, kiedy mu kto do założenia fabryki już przyciesane i ocheblowane weźmie drewno. Domyślili się wszyscy tego terminu, i bywało tak często, że orator oratorowi zabierze materją. Od wojska zaś miał kondolencją pan Wolborski, porucznik starosty dobrzyńskiego. Tak tedy pochowawszy owych kolegów, na poczet pana Rubieszowskiego przyjechał pan Wąsowicz, jego krewny, a zaś pana Wojnowskiego poczet i zasługi żonie odesłano.

Przyszły potém do ruszenia uniwersały, żeby się chorągwie ściągały pod Kozierady, bo też już i o Moskałach były wiadomości, że się kupili. Stanęliśmy tedy pod Kozieradami na trzy niedziele przed świątkami. Wojsko było piękne i dobre, tylko że, jak Lutrzy mówią, mała kupka, bo nas tylko 6000 było w dywizji pana Czarnieckiego. To cudowna, że kiedy mi zbudowano chłodnik przed namiotem z brzozowego chrustu, zaraz w tymże dniu począł sobie robić gniazdo trznadel u samych drzwi mego namiotu, a w płocie owego chłodnika i jawnie na gniazdo znosił między gęstwą ludzi; zbudowawszy je, nasiadł na swoich jajkach i wylągł młode. W owym chłodniku był stół z tarcic na soszkach zrobiony; u tego stołu jadano, pijano, karty grywano, strzelano czasem, wołano, a ptak siedział i nie bał się najmniejszéj rzeczy, choć to było zaraz w rogu stołu; gdy mu się jeść chciało, to przed rumakiem owies zbierał. Wysiedział tedy owo swoje potomstwo, wychował i wyprowadził. Wszyscy mówili, że to znak jakiegoś znamienitego szczęścia; aleć było szczęście, lecz ptakowi, co się spokojnie wylągł, ale nie mnie, bo mię takie ogarnęły kłopoty, z których ledwom wybrnął, i po staremu z wielkim fortuny mojéj uszczerbkiem, bo jak pod Kozieradami zaczęły mi się kłopoty i szkody, tak aż do końca roku nie opuszczały mnie. Towarzystwo półkowe, panowie Nuczyńscy, pili u brata swego ciotecznego, pana Marcina Jasińskiego, towarzysza naszego; mnie téż tam był zaprosił na tę ucztę pan Jasiński. Bodajby jéj nie było! Podpiwszy bowiem mocno Nuczyński, począł mi dawać okazje. Ja lubom tak był pijany jak i oni, rzekłem jednak do Jasińskiego: „Panie Marcinie, nie miałeś mię tu waszeć po co prosić, kiedy przytyki dają i miodem oblewają.“ I wyszedłem z szałasu chcąc ujść licha, to tylko jeszcze wymówiwszy: „Kto ma

do mnie pretensją jaką, wolno mu powiedzieć to jutro, a nie po pijanu." Jużem był na pół drogi, dogonił mię Nuczyński i rzekł: „Bij się ze mną." Odpowiedziałem: „Panie bracie! nie bardzo byś mię waść leniwego uznał, ale dwie są przeszkody: jedna, że tu obóz, druga, że szabli nie mam, bom poszedł do towarzysza swego na posiedzenie, nie na żadną wojnę; ale tak, jeżeliby nie mogło być inaczéj, jutro rano, za obozem, nie w obozie." Idę tedy do swego szałasu, onego zaś jego wyrostek hamuje i trzyma; lecz dawszy on wyrostkowi pięścią w twarz, wydarł mu się i przyszedł za mną. Musiałem wynieść szablę, a starłszy się, co ten tnie, to mówi: „Zginiesz!" ja zaś mówię: „Pan Bóg tém rządzi." Za drugiém, czy trzeciém cięciem, dosiągłem mu palców i mówię: „Widzisz, żeś znalazł, czegoś szukał." Rozumiałem, że się tém będzie kontentował, lecz on albo tego nie czuł jako pijany, lub téż chciał się zemścić, skoczył znowu do mnie, machnął raz i drugi, a już mu krew na twarz pluska; jak go tnę przez puls, wywrócił się. Wtém dano znać do pijanych, którzy rozumieli, że na przechód wyszedł. Przypada młodszy brat, a widząc co się stało, pocznie gęsto i często przycinać. (Pan Bóg zaś patrzał na mą niewinność.) Zetrzemy się z sobą; i ręka i szabla upadła. Towarzysze także poprzypadali, ale już było po charapie. Przyszedł potém Jasiński, gospodarz téj ochoty, i krzyknął: „A zdrajco! pokąsałeś mi braci; pójdź jeno ze mną." Rzekłem mu na to: „Czego szukali, znaleźli." Począł wołać o szablę, bo nie miał jéj przy sobie, a mię za rękę prowadził. Kompania perswaduje mu: „Tyś gospodarz, powinienbyś był te rzeczy zagodzić; nie czyń tego." Żadnym sposobem perswadować sobie nie da; prowadzi mię. Tymczasem przyniósł mu szablę chłopiec. Po prostu bałem się go, bo w oczach całéj chorągwi, przed kilką niedziel, Pawła Kossowskiego, naszego towarzysza, posiekł. Wyszarpnę mu tedy rękę, stanę osobno i mówię: „Com ci winien? zaniechaj mię!" Towarzysze go trzymają, ale jak pchnie Drozdowskiego, puścili go mówiąc: „Idźże, aż cię zabiją." Była tam rzeczka wązka, przez którą trzeba było przechodzić, i kładki przez nią wązkie położone. „Tam jeno, tam, przejdźma sobie, aż pod on las; kto kogo położy, żeby się już nie wracał do obozu;" woła Jasiński, i popchnął mię na ową kładkę, mówiąc: „Idźże ty wprzód." Tylkom wszedł na ową kładkę, ten mię z tyłu ciął w głowę, ale że w czapce aksamit wenecki przedni był, Pan Bóg zachował, że nie przeciął, tylko w jednem miejscu trochę aksamit puścił, a ztąd powstała pręga, jakby od bicza; zamroczył mię jednak tak, żem

spadł z owéj kładki w wodę. Umknąłem się z owego miejsca, bojąc się, żeby mi nie poprawił, i na tamtę stronę dobywam się, mówiąc: „Boże! widzisz moję niewinność.“ Jeno co wyszedłem z wody, on téż już przez kładkę przeszedł. Ja mówię: „A milczkiem to kąsasz pogański synu!“ Idzie do mnie i mówi: „Wnet cię tu lepiéj będę kąsał.“ Z obozu powychodzili i patrzą, bo wszystkie chorągwie stały u owéj rzeczki. Przytnie na mnie potężnie, aż mi zadrzała szabla w garści: wytrzymałem zamach. Cięliśmy się z dziesięć razy; nic ani jemu, ani mnie. Mówię: „Dosyć tego, panie Marcinie.“ On rzecze: „O taki synu! nie uczyniłeś mi nic, a mówisz dosyć.“ Tak Pan Bóg dał, że po owém wymówieniu, samym końcem szabli dosięgłem go przez jagodę i odskoczyłem od niego. Tymbardziéj dopiero na mnie natrze; ja téż urwę go w łeb; jakby nie był na nogach. Dopiero go płazem pocznę walić na ziemi, wziąwszy w obie ręce szablę. Tu kompanja z naszych i z innych chorągwi przybiegłszy, woła: „Stój, nie zabijaj!“ Dałem mu z pięćdziesiąt razy płazem, niżeli nadeszli, za owę zdradę, co mnie z tyłu rąbnął w głowę. Byłato w ten dzień kryzys tak zła, że z piętnaście pojedynków odprawowało się pod różnemi chorągwiami. Mnie zaś Pan Bóg w ten dzień w oczewistéj swojéj miał protekcji, kiedy mię zachował od szwanku z trzema mężami pojedynkując. A nie z żadnego to stało się męztwa, ale tylko z tego że Bóg na niewinność moję miał wzgląd. Wiele takich pamiętam przykładów, że zawsze ten przegrywa, kto przyczynę daje. Kto będzie po mnie sukcessorem téj książki mojéj, przestrzegam i napominam, żeby się tym moim i wielu inszych temu podobnych przykładów budował; żeby nigdy i najlichszego lekce nie poważał; żeby choćby był mężem najdoświadczeńszym, ufając siłom i męztwu swemu, nigdy okazjéj nie dawał i z pyszném sercem nie chodził na pojedynek, bo niech wie o tém, że się go lada kto nabije. A gdy zaś z pokorą swojéj oponować się będziesz krzywdy i honoru, wzywając na pomoc Boga, zawsze wygrasz. Na wielu innych i sam na sobie doświadczyłem tego. Ile razy dałem okazją, zawsze mię wybito; ile razy mnie kto, zawsze zwyciężyłem. Takci dałem Nuczyńskim jednanym sposobem za ból i za rany ich, że to zwyczajna była płaca, złotych 1200; cyrulika z osobna zaspokoiłem. Jasińskiemu nic, którego za gębę surowo jeszcze osądzono w ten sposób: „że ty gospodarzem będąc, dopuściłeś gościom bić się, nie rozwadzając ich, i sam jeszcze do tego wyzwałeś na pojedynek, za to daj do Brześcia Bernardynom złotych 600 i w pancerzu stać będziesz przez trzy msze w święto,

szablę trzymając.“ Potém wyprawiono Skrzetuskiego na podjazd z komenderowanymi ludźmi po dwóch towarzyszów z pod chorągwi, bo téż już były wiadomości, że Moskale zbliżali się coraz bardziéj ku nam; poszedł tedy podjazd i spotkał się z chorągwią Horskiego. Chorągiew moskiewską, bardzo okrytą, zagarniono. Powracając tedy nazad, obawiali się pogoni, szli zatém noc całą. Skoro téż już dniało, stanęli podewsią, na łąkach konie paśli, i sami, jako sturbowani, co żywo do spania się udali, Moskali strażą dobrze opatrzywszy. Był dwór ślachecki blizko nad rzeką; pojechało tam kilku czeladzi; chcąc się pożywić, chcieli tam coś wziąść gwałtem; nuż tu po sobie, nuż hałas i strzelanie. Podjazd się potrwożył, rozumiejąc, że Moskale są u koni, aleć potém dowiedzieli się, co było. Łukasz Wolski, Rawianin, towarzysz krajczego koronnego, porwawszy się ze snu, jak dopadł konia, tak téż zaraz i w rzekę prosto skoczył, a przepłynąwszy, że się i rozespał i bojaźliwego był serca, (boto drugi nie porachowawszy się z swoją fantazją, zaciągnie się do wojska, a podobno lepiejby zrobił, gdyby w domu kury sadził i kánie od kurcząt odganiał), nie obejrzawszy się, co się dzieje, skoczył w las i przyjechał dwoma dniami przed podjazdem, potrwożywszy wojsko okrutnie. Pozbiegaliśmy się co żywo do wojewody i on téż przyszedł czynić relacją. Pyta go wojewoda: „Co się tam stało?“ Ów prawi, na większy jeszcze żal, jako byli zabrali Moskali ze 300, jako chorągiew ze wszystkiém zagarnęli, jako mieli wielkie zdobycze, a potém przyszła pogoń, zastali śpiących, obskoczyli i w pień wycięli, drudzy się w rzece, nad którą popasali, potopili. Pyta daléj wojewoda: „A Skrzetuski czy żywcem wzięty?“ On mówi, że na oczy swoje widział, kiedy Moskwicin do niego strzelił, a potém go ściął, „bo stałem długo przepłynąwszy rzekę, i widziałem, że nikogo żywcem nie puszczono.“ Jam nie mógł wytrwać i mówię: „A ciebie czemu nie zabito?“ Wojewoda otrząsnął się na mnie i rzekł: „Dajcie pokój;“ sam go jednak pyta: „A ty jakeś uszedł?“ Odpowie: „Bom nie spał, a do tego trzymałem konia w ręku i zaraz uderzyłem wpław; strzelono jednak za mną kilkanaście razy, ale Pan Bóg mię zachował.“ Wojewoda pyta daléj: „Co za potęga mogła być tamtego podjazdu?“ Odpowiada: „Nie podjazd to mości dobrodzieju, ale wszystka potęga Chowańskiego, bom widział wszystko prawie wojsko, okryło pola jako obłok; drugie półki jeszcze się z zagóry pokazowały; napadłem téż ślachcica uchodzącego, który także powiadał, że Chowański z całą idzie potęgą.“ Zalterował się wojewoda, ale nie pokazuje tego po sobie, i mówi: „Pan Bóg z nami;

nie to panie strażniku; każ otrąbić, żeby zaraz stada sprowadzono.“ Tu trąbią, tu w obozie krętawina sroga; stada o kilka mil od obozu, prawie każdéj chorągwi osobno. Tu każdy nos zwiesił, myśląc sobie o pierwszém nieszczęściu! Pytają nareszcie Wolskiego każdy o swego towarzysza. Powiada im, jaką który zginął śmiercią. Owo zgoła, pełno strachu, żalu i zamieszania.

Poszliśmy więc do chorągwi; każdy koło siebie czyniąc porządek, do stad co żywo udaje się i piechoto i na koniach. Przyszedłem i ja, a tu mój czeladnik mego rumaka siodła. Pytam go: „A to na co?“ Odpowiada: „Po konie pojadę.“ Kiedy go to obuchem zajadę, mówiąc: „Poganinie, droższe moje zdrowie, niżeli wszystkie konie; albo tam nie masz trojga czeladzi przy koniach? będą inni swoje brać, pobierą też i moje, a ja tu konia u koła trzymam od wielkiéj potrzeby; gdyby też co przypadło, a ty mi konia wziąłeś? zostań więc.“ Rozporządziwszy tak u siebie, poszedłem znowu do wojewody. Idę, mijam bazar, aż tu Wolski u Ormianina waży łyżki srebrne zdobyczne; mówię do niego: „Panie Łukaszu! a nasz Jaworski czy nie uszedł też? bo on przecie zawsze ostrożny i na dobrym koniu;“ aż on powiada: „Jako waszeć ucho swoje widzisz, tak już też nie obaczysz pana Jaworskiego.“ Mówię daléj: „Dla Boga panie Łukaszu, czyś się też nie omylił, albo jakim sposobem nie odłączył się od podjazdu, bo ja wiem żeś ty dawno wicher.“ Lecz on począł znowu to potwierdzać, czego się pierwéj zwierzał, a nawet i gniewał się. Dałem pokój, idę do namiotów, aż ksiądz Piekarski „stój!“ rzecze, „zła nasza panie bracie.“ Ja odpowiadam: „Panie bracie, popamiętasz waszeć, że w téj Wolskiego relacji połowy prawdy nie masz, bo ja naturę jego znam, że rad klimkiem rzuci.“ Wtém wyszedł wojewoda z namiotu i brodę kręci, a jużto był znak alteracji, albo gniewu. Przymknąwszy się do księdza Piekarskiego, rzekł: „O czémże prawicie?“ Powiada mu ksiądz moje słowa. On do mnie: „Maż on tę wadę?“ Powiadam, że to natura jego i ojca jego taka jest, który jest poborcą rawskim; nawet w szkołach nazywaliśmy go generał kłamca. Uderzył się wojewoda po aksamicie i rzekł: „Otóż i ja tego jestem zdania, bo jeżeli ich podjazd dognał, niepodobna, aby ich tak miał osaczyć, żeby mieli wszyscy zginąć, jak i to niepodobna, że cała Moskali potęga nadeszła, bo ja mam wiadomości, że dopiero jutro ostatniemi siłami na szturm do Lachowic gotowali się, i dopiero im drabiny i inne rekwizyta zwożono, bo wszystko to byli potracili u pierwszych szturmów.“ Zaraz potém kazał wojewoda Wolskiego

wołać; aż mu téż mówi jeden: „Bracie, czy się waszeć nie omylił? gardłowa sprawa wojsko potrwożyć.“ Odpowiedział: „Dam zdrowie i szyję moję, jeżeli się inaczéj pokaże.“ Tak tedy pomiędzy bojaźnią a nadzieją od samego rana całe wojsko było jakby powarzone. Stada, które bliżéj były, sprowadzają; jedni bez swoich tęsknią, drudzy wyglądają i chorągwie ordynują na podjazd, aż się téż zemknęło ku wieczorowi; zachodzi tedy słońce i widać z tamtéj strony kogoś: ja mówię: „Otóż mamy języka.“ Nie poznaliśmy go, bo miał bachmat zdobyczny i był w kołpaku moskiewskim z perłami. Bieży przez majdan, pomija chorągwie i woła: „Musztułuk! Musztułuk!“ Wypadają do niego, pytając go, czy dobra, czy zła nowina? Rzekł coś przecie, Polanowskiego pomijając. Kiedy to co żywo na wyścigi za nim, aż on prawi całą rzecz przed wojewodą tak: „Że jutro, da Pan Bóg doczekać, komendant nasz, z obfitszym, niżeli był wysłany gronem, kłaniać się będzie waćpanu dobrodziejowi i chorągiew nieprzyjacielską u nóg złoży; jednę tylko mamy szkodę, żeśmy stracili w téj okazji wielkiego kawalera, towarzysza jmć pana krajczego koronnego.“ Wojewoda rzekł: „Niechże będzie imie boskie pochwalone! Tego towarzysza nie straciliście, ale jutro dopiero go stracicie; biegajcie po tego skurwego syna.“ Krajczy stoi. Porucznik jego, Skoraszowski, jakoby mu policzki wyszczypał. Wzięli pana Wolskiego w kajdany. I takto owa okazja wesoła i miła była z przyczyny dwojakiéj: jedna, że pierwszą okazją tak Pan Bóg pofortunił; druga, że owych, których już eśmy byli odżałowali, obaczyliśmy zdrowo, a nadewszystko, że już nadzieja nas jakoś delektowała. Chciano Wolskiemu koniecznie szyję uciąć; nawet go nikt z Rawianów nie nawiedzał, bo się wstydzili za niego. Przysłał do nas, prosząc o instancją, lecz żaden z nas nie chciał się w to wdać; jeden tylko ksiądz Piekarski i Skoraszowski, jego porucznik, co go obronili, że go przecie nie stracono, ale kazano mu zaraz z wojska wyjechać i nie powiadać nigdy, żeby kiedy służył w dywizji Czarnieckiego. Przyszedł tedy podjazd szczęśliwie nazajutrz po owym przysłanym towarzyszu, i wchodził do obozu z tryumfem, niosąc rozwinioną chorągiew nieprzyjacielską i pędząc przed sobą powiązanych więźniów kupę prawie tylą, jak ich samych było. Gdy prezentowali więźniów, naszło się wojskowych siła do regimentarza i jam téż był. Po skończonéj owéj ceremonji stoję przy namiocie z Jarzyną Rafałem, Rawianinem. Odzywa się do nas wojewoda: „Rozumiałem, że wszyscy Rawianie dobrzy pachołcy, aleć téż jak widzę są i kpy.“ Ja się od-

zywam: „Tylko się to tu w jednéj familji panów Wolskich znajduje.“ (A Wolskich stoi dwóch grzecznych ludzi, to jest Paweł, który był potém starostą lityńskim, i drugi, co go zwano odlewany). Wolski, z pod królewskiéj chorągwi, począł się obruszać, aż wojewoda rzecze: „Do mazowieckich Wolskich on mówi, a wyście ruscy, a inni są rzymscy, o których pisze Owidjusz: Servit atrox Volscus. Toto znać ruscy i włoscy Wolscy są dobrzy pachołcy, ponieważ ich nazywają walecznymi, a rawscy Wolscy kpy; nie ujmujcie się za nimi. Ale przecie pana Paska od dzisiaj będę miał za dobrego metra ludzkiéj natury, kiedy on z Wolskiego wyczytał wszystkę nieprawdę.“ Potém się żartami dyskurs zakończył. Kilku więźniów posłano królowi.

Skoro tedy od Sapiehy, hetmana litewskiego, przyszła wiadomość, że téż już wojsko litewskie wymoderowało się jako mogąc, zaraz i my ruszyliśmy się i poszliśmy traktem ku Mścibowu. Chowański téż, hetman moskiewski, wyszedł ku nam ze wszystką potęgą, któréj miał 40,000 ludzi, zostawiwszy pod Lachowicami niewiele coś ludzi, żeby obozu pilnowali, i fortecę przecie, któréj już tak długo dobywali, żeby nie przestawali atakować i żeby jéj nie dali wytchnąć. Obiecował bowiem sobie wziąść ją zaraz za powrotem z imprezy, nas wprzód rozgromiwszy, i szedł właśnie tak, jak wilk na stado owiec, bo już się tak był zaprawił na Litwinach, że już zawsze do nich chodził jak na pewne zwycięztwo. Posłał więc Naszczokina, drugiego hetmana, kilka mil przed sobą, z pięciu tysiącami ludzi wybornych, żeby się z nami powitał. W wigilją tedy świętych Piotra i Pawła zetknęły się z naszą przednią strażą, która że nie była tak mocną jak on podjazd moskiewski, posłali do wojska, dając znać o nieprzyjacielu, że go już widzą na oko. A wtém Moskale impetem na nich skoczyli. Niżeli tedy chorągwie i ochotnicy przyszli, w srogim ogniu była przednia straż, ale przecie potężnie ich wspierali. Już było trupa i z téj i z owéj strony potrosze, aż dopiero, skorośmy przyszli, obróci się na nas połowa Moskali, a drudzy już téż tam z przednią strażą kończą. Potężnie tedy uderzą na nas, chcąc nas pierwszym swoim zamachem skonfundować, aleśmy jednak wytrzymali, lubo kilkunastu z koni spadło. Gdy widzą, że i tu opierają się mocno, już w drugiém starciu nie tak rzeźwo pokazali się, a wtém téż wychodzi z chojniaków chorągiew Tuczyńskiego i Antonowicza tatarska 200 koni, a wyszedłszy zaraz rysią idą. Moskale poczęli się mieszać. My téż natarli. Nuż w nich; złamaliśmy ich zaraz; a dopiero wziąwszy na szablę,

już rzadko kto i strzelił, jeno tak cięto; ostatek ich poszedł w rozsypkę. Dopieroż gonić; dojeżdżano i bito. Wtém zaszło słońce, wojsko téż nadeszło i tu na owém stanęło pobojowisku. Tak tedy przez całą noc trzymaliśmy konie w ręku, dwa pułki w placowéj straży postawiwszy. Litwini tuż przy nas stanęli, których było 9000 z wielkim hetmanem Sapiehą; a Gosiewski, natenczas polny hetman i podskarbi, siedział w Moskwie w więzieniu, od tegoto Chowańskiego schowany. Tego szczęścia spodziewał się i z nami, nawet kiedy przodem Naszczokina wysyłał, zlecił mu tak: „Żebyś mi się starał dostać żywcem Czarnieckiego i Połubińskiego, aby Gosiewski miał się z kim zabawić.“ Było tedy na 40,000 Moskali, naszego wojska i z Litwinami tylko 15,000. Bardzoto mały kawałek, ale przecie nadzieja nas cieszyła, bo co trup padł, to zawsze za nimi głową, co wojennicy sądzą za znak zwycięztwa, kiedy trup głowami za nieprzyjacielem pada. Tak tedy owéj nocy jeść było co, bośmy kazali nabrać sucharów w sakwy, w wozy; gorzalina téż była w blaszanych ładownicach, jakich natenczas zażywano. Zakropiwszy się tedy po razu, po dwa, zawróciła się potrosze i głowa, aż się téż i spać zachciało. Jaki taki położywszy się na trawie, śpi. Służył z nami Kaczewski, Radomianin, wielki przechéra; ten mówi do mnie: „Panie Janie! na co mamy pięść pod głowę kłaść, układźmy się miasto poduszki na tym Moskalu.“ (Leżał bowiem blisko tłusty Moskal zastrzelony.) Ja odpowiadam: „Dobrze, dla kompanji.“ On więc z jednéj strony, ja z drugiéj, położyliśmy głowy, konie do rąk za cugle okręciwszy, i takeśmy zasnęli, śpiąc może ze trzy godziny. Gdy już było nadedniem, tak w nim coś gruchnęło, żeśmy się obadwaj porwali; podobno się to tam jeszcze coś było zataiło ducha. Skoro się trochę rozwidniło, zaraz przez munsztuk kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy Pana Boga wziąwszy na pomoc, wcześnie zaczęli tę igraszkę. Idąc tedy, każdy odprawował swoje nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani, na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszedłszy tedy o pół mili od Połongi, stanęło wojsko do szyku bojowego. Czarniecki szykował swoje, a Sapieha swoje; skrzydło prawe dano Wojniełowiczowi z królewskim pułkiem, lewe skrzydło Połubińskiemu, armatę i piechotę. Szliśmy tedy szykiem i dopiero w obliczu nieprzyjaciela stanąwszy, chcieli nasi wodzowie, żeby nieprzyjaciel wyszedł do nas za przeprawę, ale nie mogąc go wywabić, kazali postąpić daléj. Wyszło nareszcie ku nam za przeprawę ze sześć tysięcy piechoty,

aleć jak poszły do nich nasze trzy półki, zaraz ich wystrzelali i z tėj strony wyparowali za rzekę. Poczęli tedy z tamtéj strony bić z armat i razić naszych: towarzysza jednego, podle mnie stojącego, jak uderzyła kula w łeb jego konia, to aż ogonem wyleciała, a towarzysz poleciał do góry od kulbaki wyżéj niżli na trzy łokcie i nic mu nie było. Gdzie szło lewe skrzydło i korpus, tam mieli ciężką przeprawę; gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota jak przez siedmioro stajan, i miejscami koń zapadał po tebinki, miejscami też uszedł po wierzchu, tylko że się tak owe chwasty zrosłe zaginały jak pierzyna. Prawie połowa była takich, którzy piechotą za sobą swoje konie prowadzili. My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewém skrzydle. Był tedy wprost przeciw naszéj przeprawie folwark oparkaniony; Moskale spodziewając się, że tam nasi będą probowali szczęścia, zasadzili tam kilkaset piechoty i 4 działka. Nie pokazowali się nam wtenczas, aż dopiero kiedyśmy się wybijali z tego błota na twardy ląd, wysunęła się piechota i nuż pocznie do nas ognia dawać, nuż poczną i z dział parzyć; jak grad lecą kule; padło natenczas naszych dużo, a drudzy zostali postrzelani. Poszliśmy zatém na nich hurmem, bośmy widzieli, że przyjdzie nam poginąć, gdybyśmy im mieli tył podać, i jużeśmy tak na oślep w ogień leźli, żeśmy się z nimi zmieszali, jak ziarno z sieczką, bo już trudno było inaczéj. Okrutna wtedy powstała rzeźba w owéj gęstwinie, a najgorsze były berdysze; kwadrans jednak nie wyszedł od owego zmieszania, a wycięliśmy ich tak, że i jeden nie uszedł, bo w szczerém polu, powiadano, miało ich być 100. Z naszych też kto legł, ten leżał, a kto co otrzymał, ten musiał cierpieć; podemną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto berdyszem w łeb i drugi raz w kolano. Jeszczebym go był użył, gdyby nie ta kolanowa rana, bo ja takie miałem szczęście do koni w wojsku, że nie pamiętam, abym którego przedał, kupiwszy go drogo, ale każdy albo skaleczał, albo zdechł, albo go zabito, i to nieszczęście wygnało mię z wojska, bobym ja był i do tego czasu żołnierzem, ale już i ojca nie stawało kupować koni i mnie też już było obmierzło to szczęście, na które nieraz zapłakać musiałem. Przesiadłem się więc wtenczas na mego myszkę, kazawszy pachołkowi, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę po konia, aleć mię niezadługo dogonił na lepszym koniu, niżeli ja siedział, to jest na zdobytym. Docinamy ową piechotę, a Trubecki leci ordynowany owym na sukurs z dziesięcią chorągwiami Bojarów dumnych

i z trzema tysięcy rajtarji. Stanęliśmy tedy tyłem do owych, a frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby chcieli zjeść; wytrzymaliśmy jednak, bośmy i musieli. Kiedy zaś widzimy, że nas pchają w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie; rajtarja sypała do nas gęsty ogień, z nas zaś rzadko kto strzelił, bośmy już powystrzelali na owę piechotę, a nabić znowu było niepodobna, bo czas nie pozwolił. I tak powiadam, że w okazji nabicie najpotrzebniejsze, kiedy idziesz do nieprzyjaciela, ale nabijać, kiedyto już wojska się zetrą, rzadko się to trafi, szabla natenczas grunt. Tak tedy szablami ten tego, ten też owego w bożą godzinę, bo i owym jużeśmy tak przygrzewali mocno, żeby nie nabijali strzelby. A po staremu już nam rzeczy nie szły tak twardo, choćto na nas z gotowym ogniem przypadli. Przemagaliśmy się tedy właśnie jak owo, kiedy dwaj zapasy chodzą, ten tego, ten też owego nachylając. Trubecki jako cyga uwija się na szpakowatym kałmuku. Pada trupów gęsto, i nawet chorągwi ich leżało na ziemi ze sześć. Towarzysz starosty dobrzyńskiego, jak ciął w głowę Trubeckiego, to aż mu kołpak spadł; zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero hossudarowie w nogi do szyków; my za nimi; wpędziliśmy ich, siekąc, aż między samo ich wojsko. Padła ich wtedy z połowa na placu. A tu jako w garcu już się sam korpus potyka. Litwini na lewém skrzydle także nie próżnują, ale przecie nie tak na nich, jak na nas najlepsze siły obracają, bo ich już lekceważyli. Obróciły się tedy niektóre półki świeże i naodwrót znowu poszły. Zobaczywszy wojewoda nasze chorągwie już w tyle szyków nieprzyjacielskich, posłał do Sapiehy, aby dla Boga wszystkiemi siłami natrzeć i rozrywać Moskali, bo półk królewski zgubimy. A wtém też już Moskale mieszają się, kręcą, właśnie jak owo, kiedy komu źle za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwogę. Ci też, których na nas obrócono, biją się już nie z ochotą. Poskoczą do nas, to znowu od nas, a wtém natrze na nich korpus potężnie. Huzarskie chorągwie skoczyły, my też tu z tyłu uderzymy na nich. Jużeśmy trochę mieli czasu i do nabicia strzelby, a wtém Moskale w nogi. Wszystko tedy wojsko na nas uciekało; bijże teraz, którego ci się spodoba; wybieraj: ten piękny, ten jeszcze piękniejszy. Napadł na mnie jakiś patrjarcha z żółtą brodą, srogi chłop, zajadę go, złoży do mnie pistolet, szabla złocista na temblaku. Jam rozumiał że wystrzelony miał, a straszy nim, przytnę śmiele, strzelił, a ja też impetem ciałem go w ramię; czuję się, że mi nic od owego strzelania po nim, domogłem się go, znowu go w oko zajadę, bo

jakoś ciężko uciekał, choć na dobrym koniu, czy też miał jaki szwank, czy też był ociężały jakiś, tnę go przez czoło, dopieroż zawoła: pożałuj! szablę mi podaje a z konia leci; jeno co szablę odbiorę, aż ucieka na płowym bachmacie w rządziku złocistym jakiś młodzik w atłasowym popużym żupanie, prochowniczka na nim na srebrnym łańcuszku, sunę do niego, przejadę mu; młodziusieńki chłopiec, gładki; aż chrest oprawny trzyma w ręku a płacze: „pożałuj dla Chrysta Spasa, dla Preczystéj Bohorodycy, dla Michały czudotworcy!“ Żal mi go się uczyniło, a widziałem że wielkie kupy Moskwy i z téj strony i z téj bieżały prosto na mnie, obawiałem się żeby mię nie ogarnęły, nie chciałem się bawić koło niego, zabijać też żal go było na owę jego gorącą rozpamiętywając modlitwę. Wziąłem mu tylko ów chrest z ręku a wyciąłem go płazą przez plecy: Utykaj do matery, dyszczy synu! Kiedy to chłopię skoczy podniósłszy ręce do góry, z oczu zginął w lot. Żywcem jeszcze natenczas trudno było brać w owym zapale, kiedy wszystko uciekające wojsko na nas się waliło, czyby więźnia trzymać, czyby się bronić, albo strzelbę nabijać. Chrest wziąłem mu piękny bardzo, było na oprawie ze dwadzieścia czerwonych złotych. Nie zabawiłem się kolo owego smarkacza i pacierza jednego. Skoczę do onego brodofiasza, aż on już nago leży, a konia prowadzi towarzysz; mówię do niego: „jam nieprzyjaciela z konia zwalił, a ty go bierzesz, daj go sam, bo tego nabicia na ciebie odżałuję, com go na nieprzyjaciela nagotował. Niebardzo się też i sprzeczał Wołoszyn, bo widział że do mnie ten Moskal strzelił i jam go zwalił z konia; oddał mi tedy owego konia ślicznego, który był nie Moskiewski, ale tych ruskich koni czerwono-gniady, rosły, żal mi go było rzucać. Czeladnika żadnego nie masz, nie było go komu oddać. Aż napadłem znajomego pachołka; weźmij odemnie tego konia, a dam ci dziesięć talarów, jak mi go wyprowadzisz, albo jak się zjedziesz z którym z mojéj czeladzi, oddaj go. Wziął tedy, a jam skoczył, gdzie się okrutnie zwarli Moskwa z naszemi, już tak jeno rznięto jak barany. Gdybym był miał wtenczas aby jednego czeladnika przy sobie, mógłby był jako najpiękniejszych rumaków nawybierać, bo to tam samą starszyznę cięto wtenczas, co to strojno konno. Cóż kiedy czeladka najbardziéj wtedy pana pilnuje, kiedy pije, a niemasz kiedy się bije. Towarzyszowi też nie bardzo moda powodować konia, kiedy go niema komu oddać, to go woli i niebrać, kto powagę kocha. Widząc ja jednak że i kompanja insza powoduje kto co ma, jak się już owa rzeźba skończyła, wziąłem

też jednego Wołocha pięknego z czarną pręgą, trochę był zacięty koło ucha ten koń, ale to mu nic nie szkodziło. Ledwie z owéj kupy wyjeżdżam, aż tu mój wyrostek bieży, oddałem mu owego konia i jużem się kazał pilnować, natroczył złodziéj lada czego, skórek rajtarskich na podjezdka, a gdyby był przy mnie, toby był natroczył atłasów, aksamitów, rządzików, i koni mógłby dobrych nabrać. Obaczyłem daléj moję chorągiew, przybiegnę do niéj, aż tu i sześciu ludzi niema przy niéj; i drugie chorągwie także bez ludzi. Co żywo pozaganiało się; sieką, rzną, gonią. Mówię do chorążego: „Nagrodził mi Pan Bóg mego gniadego; dał mi za niego innego gniadego, bardzo pięknego konia, alem go tam oddał człowiekowi obcemu; niewiem, jeżeli mię dojdzie.“ Pyta chorąży: „A to czyj płowy?“ Powiadam, że i ten mój. Przerzedziło się już znacznie lewe skrzydło moskiewskie i sam środek. A tu prawe skrzydło moskiewskie, które się z naszém lewém potykało, poczyna także uciekać. Znowu zrobiła się gęstwa taka, że tu jednego gonisz, a drugi tuż nad karkiem stoi z szablą; tego docinasz, a drugi jak zając pod smycz leci; trzeba było mieć głowę jak na śrubach, i przed się i za się oglądać się; bo kiedy się nieostrożnie zabawił koło jednego, to zaś owi uciekający z tyłu siekli naszych pomijając. Ucieka chorąży, hoży Moskal, chorągiew pod siebie włożywszy; zajadę go, złożę pistolet; ten woła „pożałuj“, i oddaje mi chorągiew. Prowadzę go; modli się okrutnie, ręce składa. Myślę sobie: już téż tego żywcem zaprowadzę, aż tu ze 400 Moskali, wielka kupa, już prawie na mnie wpadają; ów téż chorąży począł się ociągać, lubom go rozbroił. Widząc, że i onego nieuprowadzę i sam zginę, uderzyłem go sztychem, spadł, a sam z ową chorągwią uskoczyłem się im z traktu. A tu na nich jadą Litwini, tu z boków przybiegają ci, co są w przodzie nas, i już na nich czekają. Ja téż cisnąwszy owę chorągiew śliczną, złocistą, do nich się udałem, bo mi jeszcze żal było niebić, kiedy było kogo. Tych docinamy, a druga watacha takaż, albo większa, następuje; tych biją, aż tu inni. Dosyć na tém, aż ręce ustawały, bo wszyscy owi, którym się udało uciec, nie mogli uciekać tylko podle naszych chorągwi, które im najpierwéj w tyle stanęły. Było tedy téj rzeźby przez 3 mile. Wracamy się już nazad, a drudzy jeszcze gonią; żal mi, że nikogo żywcem nie mam, ale się końmi cieszę, osobliwie gniadym, który był bardzo piękny, ale niewiem, jak mi się nada; wtém wysunie się kilkunastu Moskali z lasa, co się tam byli w niewielkim gaiku zataili, a którychto ruszono jako stado sarn. Ucieka

jeden na ślicznym koniu, na którym rząd bogaty, złocisty, huzarską modą, suknie jedwabne, kołpak haftowany, bogaty; przebiegają go nasi co żywo i z téj i z owéj strony; ja go najbliżéj będąc i rozumiejąc, że to sam Chowański, wołam: „stój, nie bój się, będziesz miał pożałowanie.“ Już trochę począł wstrzymywać konia i spojrzał na mnie z boku; nie zdałem mu się do téj konfidencji żemto był w szarym kontuszu; nie ufał mi, rozumiejąc, że jestem jaki pachołek, chołota, których się oni najbardziéj boją, mówiąc że u takich ludzi żadnéj nie znajdzie dyskrecji (jak zaś i sam o tém powiadał). Ale obaczył on z dala towarzysza naszego, który był w czerwonéj sukni, w karmazynowym wytartym kontuszu i na takiéj szkapie, żeby go był i do sądnego dnia nie dogonił; ale wnosił po ubiorze, że to ktoś znaczny, i wprost do niego jechał. Z tych co mu drogę zabiegali, strzelił jeden do niego, lecz chybił. Po staremu on jako oczy wybrał leci do niego, skonfudował się, kręci się na szkapie i dopiero ochłonął, gdy obaczył, że ów oddaje mi szablę i pistolety w heban i śrebro oprawne, i woła: „pożałuj;“ wziąłem go żywcem. Chowański sam, już w ucieczce dwa razy w łeb cięty, uszedł; piechota zaś wszystka, małoco naruszona, oprócz owych kilkuset na razie wyciętych, została żywcem, a było ich 18,000 ludzi, poszła tedy do blizkiéj brzeziny i zasiecz uczyniła. Otoczono ich do koła armatami i piechotą; bo obrzednia była owa brzezina; dawano do nich ognia z dział, że na wylot kule przechodziły, i na tę i na owę stronę, a potém jak i to osłabiono z armaty, dopiero ze wszystkich stron uderzono na nich i w pień wycięto. Trudno też krwi ludzkiéj w kupie tyle widzieć, jak tam było, bo lud bardzo gęsto stał i tak téż ginął, bo trup na trupa padł, a do tego owa brzezina na pagórku była, a krew lała się strumieniami, właśnie tak, jak owo po walnym deszczu woda. Pozjeżdżaliśmy się tedy do chorągwi, aż też już mój pachołek odebrał konia zdobycznego gniadego, ale jak go tylko odebrał od tamtego, zaraz go postrzelono pod łopatkę, musiałem go przedać ślachcicowi za dziesięć złotych, a najmniéj wart był ośmset albo tysiąc złotych. Poznali więźniowie tego konia i powiadali, że na nim siedział Żmijow, wojewoda, szwagier Naszczokina, hetmana polnego. Nabrano wtedy Moskali jak bydła. Hetman najwyższy, Chowański, dwa razy cięty, uciekł. Drugi hetman, Szczeraa, zginął (Boto u nich kilku jest hetmanów w wojsku). Wojewodów, kniaziów, bojarów dumnych, naginęło siła. Z Chowańskim nie uszło konnych nad 4000, a było wojska, jako sam ten pisarz powiadał

od Kaczowskiego wzięty, 46,000; armat zaś zostało 60. Owe samopały dońskie i różną strzelbę, berdyszów, to chłopi nawet brali. Byli tedy natenczas komisarze nasi w Mińsku na traktatach z Moskwą. Obawiając się Czarniecki, żeby ich Chowański, uciekając, z sobą nie zabrał, posłał na całą noc 12 chorągwi dobrych, między któremi i nasze, aby ich ocalić. Komendę dano Borzęckiemu Pawłowi. Po owéj tedy tak ciężkiéj robocie z koni nie zsiadając, poszliśmy nocą do miasta; już kości w sobie nie czuje człowiek od srogiego sturbowania. Mówi komendant: „Mości panowie! trzebaby nam tu języka, żebyśmy przecie wiedzieli, co się w mieście dzieje. Proszę, kto ochotny, skoczyć by i na przedmieście, i wziąść lada chłopa.“ Nie mówią nic, po prostu wszystkim się nie chce. Kiedy widzi, że nie masz ochoty, mówi: „Proszę przynajmniéj z 15 koni dla kompanji, kto łaskaw, i bądźcie gotowi, kiedy nas tam poczną bić.“ Z pod jego chorągwi nie wyjechało więcéj jak dwóch. Ja pamiętając jego łaskę pod Kozieradami w mojém nieszczęściu, wyjechałem, a obaczywszy mnie, wyjechało z pod naszéj chorągwi dwadzieścia koni.

Przyjechaliśmy na przedmieście do jednéj chałupy; niemasz nic; do drugiéj, ogień jest, co znać jeść gotowano, a ludzi nie masz; zaświeciwszy, szukamy po kątach, nic. Już wychodzimy z owéj chaty, aż tu baba zakaszlała w chlewie. Znaleźliśmy tedy trzy białogłowy. Jeden nasz towarzysz umiał naśladować mowę moskiewską i niektóre ich terminy. Pyta więc babę: „Ne masz tu Lachów?“ Baba prawi: „Mospane, ne masz, ale trwoha welikaja, prybeżało tut czetery horakwi naszych panów prewodnych, tot czas zabrali naszych kommissarow, i pobeżeli, znaty szto hdeś czuwajut Czarneckoho.“ Towarzysz mówi: „Oj poberemo ich.“ Baba na to: „Oj poberyte panuszki, pre Boh żywy, i postinajtie tych dyszczych synów.“ Posłał tedy, żeby chorągwie przyszły; każą babie prowadzić do gospody kommissarskiéj; baba z wielką ochotą w jednėm gzle poskakuje, i pokazała, gdzie kommissarze stoją. Stanęły chorągwie w rynku. Kommissarze w strach, jak im dała znać straż że pełne miasto wojska. Komendant każe Charlewskiemu pytać się po moskiewsku: kto tu stoi? pytać o kommissarzów moskiewskich. Tym większy strach. Już piechota, co stała przy karawanach na rynku, ustąpiła do sieni, a wtém zsiadło nas kilkunastu z koni wraz z regimentarzem. Charlewski mówi po moskiewsku do sługi: „Niech wstają kommissarze, bo tego potrzeba, i niech wszyscy będą w kupie.“ Poszedł sługa do izby, a już się téż tam i świeciło. To

się działo w gospodzie starosty żmudzkiego, Chlebowicza, jako pierwszego kommissarza i najwyższego senatora. Podle niego, w drugim domu, stał wojewoda sieradzki, Wierzbowski, w trzecim wojewoda mazowiecki, Sarbiejowski. Poszliśmy tedy ku koniom, tymczasem, niżeli się tam poschodzili. A wtém idzie starszy sługa i mówi: „Ichmość proszą.“ Za nim wyszło kilka lanych świec. Wchodzimy więc, kołpaków i innych rzeczy nabrawszy, a oni téż ku drzwiom od stołu trochę postępują, bardzo będąc zatrwożeni. Wojewoda mazowiecki poznał zaraz Borzęckiego, porucznika, zięcia swego, i krzyknął: „Bóg sprawiedliwy, Bóg łaskawy, nasi, nasi!“ Rzekł potém Borzęcki kilka słów, piękną od wodza wizytę przynosząc, który o szczęśliwém zwycięztwie oznajmuje. Odpowiedział starosta żmudzki, jako pierwszy kommissarz, bardzo pięknie, ale z płaczem z wielkiéj radości, że i skończyć nie mógł. Kiedyto skoczą do nas wszyscy, obłapiając, ściskając, Bogu dziękując za takie dobrodziejstwa. Pytają o procederze wojny. Borzęcki im prawi, aż towarzysz woła: „Nie powiadaj im waćpan, aż nam dadzą jeść.“ Kiedyto skoczą słudzy i kuchmistrzowie wszystkich kommissarzów zakładać kuchnie, piec, warzyć, naznosiwszy tymczasem wódek, miodów, win. Pozsiadali wszyscy z koni. I tak tedy w owém nieogarnionêm weselu powiadawszy im o okazji i zwycięztwie, oni téż nam powiadali, jako dorozumiewali się z tego, kiedy kommissarze moskiewscy uciekali, jak się bali, żeby ich niezabrali z sobą; jako się nas polękali, rozumiejąc, że po nich Chowański przysłał; jako już mieli nazajutrz traktaty podpisać, i jako na nich Moskale fukali. Mnie, choć się chciało spać serdecznie, potém się odechciało, słuchając owych dyskursów, a patrząc na owę szczerą uciechę. Nastąpił dzień; pożegnawszy się, wyszliśmy z miasta, i zaraz blisko w łąkach stanęliśmy, aby koniom wygodzić i nakarmić. Kommissarze téż gotowali się w drogę i wyjechali za nami. Poszliśmy ztamtąd pod Lachowice, gdzie zastaliśmy wojsko nasze w obozie moskiewskim. Zostawiono prawda na nasze chorągwie kwatery i przydano straż, żeby ich nikt nierabował, ale ci sami, co pilnowali, poprzetrząsali co lepszego. Forteca to jest, te Lachowice, bardzo foremna; siłaby o niéj pisać, ale że to nie w cudzéj ziemi, mało na tém opisywać, bo siła takich, co jéj dobrze wiadomi; jednêm słowem, niemasz takiéj w Polsce żadnéj. Dobra to są Sapieżyńskie. Wyginęło tam Moskali w szturmach do trzydziestu tysięcy.

Nastąpiło potém święto Panny Maryi Nawiedzenia. Tam, co żywo z wojskowych, zgromadziło się na nabożeństwo; każdy swoje

oddał Bogu dzięki za dobrodziejstwa w owéj uznanéj okazji. Ślachty było dużo w téj fortecy. Ślachcianki postroiły się przecudnie: ta pięknie, ta jeszcze piękniéj; druga ustrojona była tak bogato, że ledwo szła pod złotem i klejnotami. Nie dziw, że się tam Moskale darli gwałtem do owéj fortecy, a i ta jużby się nie była więcéj nad miesiąc trzymała, bo żywności nie stawało. Dwa więc pożytki stały się przez to pospieszenie wojska, to jest: ocalenie fortecy i rozerwanie traktatów, a wszystko to stało się męztwem Czarnieckiego, bo Sapieha zawsze odkładał na jutro, oczekiwając na lepsze jakieś oporządzenie wojska w kopje i inne rzeczy. Z tego powodu powiedział mu Czarniecki: „Po chwili nie pomogą nam kopje, a zresztą nie trudno w Litwie o chmielowe tyczki. Jeżeli się ty z wojskiem twojém nie ruszysz, pójdę ja w imię boskie bez waszmości.“ I tak uczynił, że się ruszył z pod Kozierad. Sapieha téż, dla wstydu, musiał się łączyć z nami. Tak tedy czynić musieli niebożęta, strugali tyczki, pstro i biało farbowali, jak owo dziadkowie laski robią, a proporczyki płócienne wieszali; grotów też z miast przywieziono co było potrzeba, i tak po staremu było pięknie i dobrze, kiedy nie mogło być inaczéj. Trzeci pożytek, ową szybkość w uderzeniu na nieprzyjaciela, przyniosło to, że mieli wiadomość wodzowie, iż Dołgoruki z wielką potęgą idzie Chowańskiemu na pomoc, a my znikąd nie spodziewaliśmy się posiłków, tylko od samego Pana Boga. Gdyby się były złączyły tamte potęgi, niepodobnaby ich było przełamać, albo jeżelibyśmy byli przełamali, to z wielką ludzi naszych stratą i szkodą, bo z każdym z osobna byłoby co robić, a osobliwie z Dołgorukim, (o czém niżéj będzie). Wszystko to mądrą dobrego wodza stało się dyspozycją, że i owym potęgom, które i na cesarza tureckiego mogłyby się porwać, nie przyszło się połączyć, i traktaty szkodliwe rozerwano, i fortece, które już nie pozostały wolne, tylko dwie w całéj Litwie, od rąk moskiewskich uwolniono, i tamtym wojskom, które były szczerą ruchawką przeciwko naszym hetmanom, serce upadło. I to znacznie do zwycięztwa cudnowskiego dopomogło. Lachowice tylko nie były w rękach moskiewskich; wszystkie inne miasta i całe litewskie księstwo zawojowane było. Wjeżdżając tedy Czarniecki do Lachowic w dzień Najświętszéj Panny, wyszli przeciwko niemu w processji zakonnicy, ślachta, ślachcianki, i kto tylko był w owém ciężkiém obleżeniu. „Witaj, zawitaj,“ wołali, „niezwyciężony wodzu, niezwyciężony wojenniku! zawitaj od Boga nam zesłany obrońco!“ Byli i tacy, osobliwie z białychgłów, co wołali: „Zbawicielu nasz!“

Zatulał uszy czapką, nie chcąc słuchać owego podchlebstwa. Kiedy zaś po nim wjeżdżał Sapieha, połowy tego applauzu nie było, tylko proste przywitanie, choć to jego własne siedlisko. Zsiadł tedy i do kościoła wszedł. Rycerstwa siła i z naszego i z litewskiego wojska. Dopieroż Te Deum laudamus, dopieroż tryumf. Z armat bito, aż ziemia drżała, a potém nabożeństwo śliczne, kazania, gratulacje, dzięki Bogu za dobrodziejstwa, i wszędy pełno radości, pomieszanéj z płaczem, bo tam wszyscy magnatowie z księztwa litewskiego do téj fortecy posprowadzali się byli. Wesołe bardzo było to zwycięztwo wszystkim z téj przyczyny, że po owych nieszczęśliwościach, pierwsze ojczyznie przyniosło szczęście. Gdyż Moskale taką już wzięli byli górę, że gdziekolwiek się o wojsku naszém dowiedzieli, już tak na nich szli, jak po pewne zwycięztwo, gotowe już mając na nas dybki i kajdany, które się znajdowały i w obozie pod Lachowicami, aleć się na nich samych przygodziły, bo ich w nie kazano kować. Nasprowadzał tedy Sapieha armat zdobycznych siła do Lachowic; wszystkie były piękne, śpiżowe, i jednego nie obaczył działa żelaznego. Czarniecki posłał ich do Tykocina dwadzieścia i kilka, przyłączywszy do swoich dawnych dwie zdobyczne, srodze długie i donośne. — Kiedy otrąbiono, żeby więźniów oddawać, okrutnie poczęli płakać, bojąc się Czarnieckiego. Ja swego oddałem zaraz idąc do Mińska po kommissarzów, ale inni, których nie zaraz oddano, płakali i prosili, żeby ich nie oddawać. Ów pisarz, (co o nim wspomniałem wyżéj, który przedemną uciekał,) rzekł mi: „Kiedyto u was zwyczaj taki, że więźnia trzeba oddać regimentarzowi, i nie może to być, żebyś mię przy sobie zostawił, uczyńże tak: odstąp ty zasług i substancji, jedź ze mną do stolicy, dam ci pięćdziesiąt tysięcy, dam ci i córkę i wszystko co mam.“ Począłem był medytować ubogi żołnierz, a tymczasem kazano oddawać więźniów i musiałem go oddać. Doszło to wojewody, że od siebie obiecował pięćdziesiąt tysięcy. Chwycono się tego zaraz, tyle się od niego okupu upominano, i musiało tak być. On jednak nie chciał tyle dać, broniąc się: „żem ja to obiecał dla tego, aby się był ułakomił i wypuścił mię; tak wielkiéj zaś summy nie miałem i mieć nie mogę.“ Nie słuchano tego i kazano pana pisarza w kajdankach do wału, do taczek, równo z drugimi używać; w Tykocinie musiał obiecać, a potém dać. Wziął przecie wojewoda za swoich więźniów ze dwa miljony, bo na zamian nie było co brać, gdyż z naszéj dywizji nie było w Moskwie prawie żadnych więźniów. Sapieha zaś wszystkich swoich wydał na zamian, bo było

w niewoli wiele ślachty, ślachcianek i żołnierzy. Przy okupie samego Gąsiewskiego, hetmana polnego, wyszło niewolnika moskiewskiego gwałt, jak to zwyczajnie bywa, że głowa hetmańska jest droga. A tę głowę od Moskwy okupiwszy, sami zdrajcy boćwinkowie, popiwszy się, marnie zagubili, bo tyrańsko a niewinnie zabili wojennika szczęśliwego, wodza dobrego i senatora wielce poczciwego, (o czém będzie niżéj). Postawszy tedy trzy dni pod Lachowicami w obozie moskiewskim, przy owych dostatkach, obfitościach wszelkiéj żywności, ruszyliśmy się pod Borysów, fortecę także niepośledenią, nad rzeką Berezyną. Tam stanęliśmy, spodziewając się dostać jéj nie siłą, lecz postrachem. Staliśmy tam przez dwa miesiące, ale widząc, że dobrowolnie poddać się nie chcą, i wiedząc przytém jak wiele na nas gotuje się potęgi, umyślił wojewoda odstąpić od fortecy, jakoż i odstąpił. Żeby przecie nie próżnować, poszliśmy pod wielki Mohilew biało-ruski, która forteca jest i wielka i potężna, nad samym Dnieprem. Starosta Bratjański, Działyński, ujęty obietnicami Lubomirskiego Jerzego, marszałka i hetmana, przysłał ordynans swojéj chorągwi, żeby wyszła z dywizji pod pozorem hussarczyzny, że ją miał shussarczyć. Skonfundowało to bardzo wojewodę, bo mu żal było nie tak chorągwi, lubo była bardzo dobra, ale Polanowskiego, na którego téż on radzie siła polegał. Perswadował mu niby, niby prosił, żeby tego nie czynił; nie mogło to być. Gdy tedy nie mógł uprosić, musiał ich puścić, jednak z przeklęstwem, które z wielkiego żalu pochodziło, bo te wymówił przy pożegnaniu słowa: „Bodajże was tam i z rotmistrzem w pierwszéj okazji pozabijano.“ Tak się i stało. Przyszli pod Cudnów. Nazajutrz zabito rotmistrza, zabito dwudziestu towarzyszów i czeladzi ze czterdziestu. Z odmianą miejsca zwykło się i szczęście zmieniać. Sam Polanowski o włos że nie zginął.

Nie chcąc wojewoda czekać nieprzyjaciela przy owéj tak wielkiéj i ludnéj fortecy, widząc, że lepiéj jest uprzedzić, niż być uprzedzonym, poszliśmy tedy naprzeciw temu panu Dołgorukiemu traktem ku Krzyczowu, aby widział, iż się przed nim kurczyć nie myślimy, i to samo właśnie wlazło mu w konsyderacją i zaraz trochę leniwiéj postępował ku nam, co przedtém szedł wielkiemi pochodami, bo co uszedł 3 mile, to odpoczywał 3 dni.

Właśnie to tak, jak mnie jeden wielki pan odpowiedział i rozkazał do mnie przez osoby poważne, że mię miał pewno zabić. Ja téż nie czekając owéj niepewnéj godziny, wolałem sobie czas upatrzyć i zbyć się już tego myślenia prędzéj, niżeli się go dłużéj

obawiać. Przyjechałem do niego na podwórze i posłałem chłopca, dając znać: „że pan mój, którego wielmożny pan deklarowałeś zabić, nie życząc wielmożnemu panu turbacji szukaniem go po świecie na zabicie, póki bardziéj nie schudnie, przyjechał tu i daje znać o sobie.“ Ów pan pomiarkował się, nie zabijał mię i przeprosił się ze mną. Tak właśnie i pan Dołgoruki kwapił się bardzo do nas, głosy puściwszy po fortecach Moskalami osadzonych: żeby nam wszędzie zastępowali, gdy będziemy uciekać, a jak my do niego poszli, zaraz mu fantazja przygasła.

Stanęło tedy wojsko nasze nad rzeką Busią pewną, o pół ćwierci mili w szczerém polu. Jeszcześmy przecie nie dowierzali o tak wielkiéj potędze nieprzyjacielskiéj. Złapawszy już kogo, boków przypieczono, powiadają nam: że jest siedemdziesiąt tysięcy wojska Dołgorukiego. Dopieróśmy uwierzyli i gotowaliśmy się do porządnego ich przywitania, Pana Boga wziąwszy na pomoc.

Zapomniałem tego napisać, że mnie, pod Mohilowem stojąc, napadł był kłopot, podobny owemu kozieradzkiemu, a to w ten sposób: Goszkowski, towarzysz marszałka nadwornego Branickiego, intentował mi akcją do sądu wojskowego o zabicie brata rodzonego, którego uderzyłem był obuchem, z téj przyczyny jakom wyżéj napisał pod rokiem 1657, a to wtedy kiedyśmy stali w radomskiém, po węgierskiéj wojnie, służąc z panem Bykowskim. Prosił i o to, żebym odpowiedział z więzienia. Wojewoda zaś deklarował: „że nietylko żołnierzy, a zwłaszcza dobrych, wiązać, idąc na tak straszną wojnę, aleby jeszcze związanych, gdyby byli, trzeba rozwiązać, i, gdyby można, jednego do więzienia a dwóch z więzienia wziąść.“ Ślubem tylko więzienia kazano mi się sprawić. Kiedym się tedy sprawił, dano mi na inkwizycją miejsce czynu. To jeszcze wojewoda dołożył: „Jeżeliś winny, to cię Bóg w téj okazji, do któréj się gotujemy, skarze; jeżeliś niewinny, to wyjdziesz zdrowo, i ztąd będę miał próbę twojéj niewinności.“ Wrócił się tedy do Polski on mój adwersarz, a to dla tego, żeby się uchronił okazji. Gdy tedy odjeżdżał, poszedłem do wojewody, deklarując: „że ja po inkwizycją nie pojadę od okazji, ale jakąkolwiek on przywiezie, dam się z jego inkwizycji sądzić.“ Wodzowi ta rzecz była bardzo wdzięczna, i rzekł to przy kilku towarzyszach: „Miejże w Bogu nadzieję, że cię wydźwignie z téj turbacji za tę cnotę, że z nami wolisz iść na wojnę, a twego adwersarza mogą tam gdzie osacznicy na puszczy zabić.“ Poszedłem więc i byłem we wszystkich okazjach, i tak w owym ślubie chodziłem i biłem się. Wojewoda zaś ile razy

mię obaczył, to zawsze mówił: „Cóż tam panie poślubiony? znać, żeś niewinien, kiedy cię jeszcze po tak gęstych ogniach żywo widzę.“

Skoro tedy w dwóch tylko milach stanął od nas pan Dołgoruki, dopiero do narady wojennéj; jedni radzili, żeby go na tę stronę przeprawy przepuścić, i dawali przyczyny, a z tymi trzymał hetman Sapieha; drudzy, żeby tam ku niemu się przeprawić, a z tymi trzymał Czarniecki i Połubiński. Stoimy tedy kilka dni; nieidzie on do nas; czemu? nie wiedzą; języków biorą, pytają, i ci nie wiedzą. Żeby się nas miał bać, to niepodobna wierzyć, tak wielkie mając siły, ale coś w tém za sekret; aż przecie zwąchał Czarniecki od jakiegoś ślachcica tamecznego, że Zołtareńko prowadzi czterdzieści tysięcy kozaków zadnieprskich. Dopieroż w radę. Stanęło tedy, że lepiéj uprzedzić, niż być uprzedzonym. Poszliśmy więc za przeprawę, do któréj przystęp był bardzo błotny z obu stron, i sama w głąb na tebinki tylko, ale że dno było bardzo lgnące, mieli wolę most na niéj postawić; że zaś rzecz nie cierpiała zwłoki, a lasy od tego miejsca daleko, przeto poszliśmy w bród. Przeszedłszy za przeprawę, każdy sobie pomyślał: zbyć, Boże, nie wytrzymać; lepiéjby już prosto na nieprzyjacielskie szyki przebijać się, niżeli nazad w przeprawę. Uszykowano wojsko tak, jakoby przeciw Chowańskiemu, ale już chorągwie hussarskie, których było 9, rozdzielono, każde na 3 szwadrony, a za każdym szwadronem pancerną chorągiew postawiono. Było zatém wojsko tak ozdobne, że się zdało, iż jest hussarji ze sześć tysięcy. Stanęło wojsko w szyku, my znowu z Wojniełowiczem byliśmy na prawém skrzydle. Wszystkiéj czeladzi lóżnéj, tak z naszego, jako i litewskiego wojska, kazano pod znakami stanąć do szyku, przydawszy każdemu znaczkowi towarzysza za rotmistrza. Było téż kilka chorągwi wolontarskich, które wodził Muraszka; przyłączono tedy lóżnych do wolontarzów i uszykowano ich za górą, zdaleka od wojska, a niekazano się im ukazywać, aż kiedy się szyki poczną schodzić i zwierać. Przybyło tedy ozdoby małemu wojsku owymi lóżnymi, bo kiedy na nich spojrzał, to się widziało takie drugie wojsko, Litwini osobliwie siła chowają tych karmicielów. Nazbierało się tego kilka tysięcy, nadstawiając się animuszem, czego siły wystarczyć nie mogły, bośmy nie mieli i czwartéj części potęgi nieprzyjacielskiéj. Posłali wodzowie do Dołgorukiego, żeby dał pole, bośmy tu przyszli na wojnę, nie na leżenie. Spotkali go wodzowie już idącego ku nam szykiem, a powróciwszy, opowiedzieli wielkość woj-

ska i to, że idzie z hulajgorodami, któremi opasał całe wojsko. (Są to hulajgorody, które oni zwyczajnie dają przy szańcach, czyli, jestto drzewo dłubane, na krzyż przetykane, a na końcach drzewo z drzewem spięte żelaznemi skoblicami. To nosi piechota przed szykami, a kiedy do rozprawy przyjdzie, stawiają na ziemi i przez to podają muszkiety. Na te rzeczy nijak natrzeć i nijak rozrywać nieprzyjaciela, boby się konie poprzebijały. Wojsko stoi za tém jak za fortecą i ztądto nazwano hulajgorody). Jak tedy o tym fortelu dowiedział się Czarniecki, kazał zaraz przed szykami zrobić szańczyki małe i piechocie i czeladzi, i gęsto rzucili się do téj roboty, biorąc czém kto mógł ziemię, czy czapkami, czy połami, bo rydlów nie było tak wiele przy armatach. W godzinę lub więcéj stanęły szańce, w które wprowadzono piechotę i działa. Stało się to bardzo prędko. Już natenczas nie miały szyki daléj szańców postąpić, tylko przy nich bić się odpornie, wysuwając się półkami do nieprzyjaciela, a kiedy ciężko to się pod szańce schronić, alećto inaczéj rzeczy poszły, bośmy swoich szańców odbieżeli, oni téż swoje hulajgorody połamali, (o czém niżéj). Kazano tedy ochotnikom podpadać pod ich szyki. Był las w pośrodku nie szeroki, ale długi i rzadki, przez któryto las jeszcze się wojska nie widziały. Skoczyliśmy tedy ku owemu lasowi, oni téż nas obaczywszy, wysłali swoich ochotników naprzód, a wojsko zaraz za ochotnikami następowało. Nasze wojsko stało jak wryte przy owych szańcach. Poczęliśmy się więc ucierać. Ten tego, ten téż owego pogoni. A działo się to po tamtéj jeszcze stronie lasku, o pół ćwierci mili od naszych szyków; wpadali już nawet i do lasku, gdy się kto za kim zagonił. Był téż między ochotnikami chłopiec, który umiał z Moskalami swarzyć się i drażnić ich; jak oni wołali: „czaru, czaru!“ to chłopiec przypadłszy blisko nich, zawołał głosem: „wasz czar taki a taki!“ to Moskali za nim kilkunastu albo kilkudziesiąt wysworowało się; chłopiec zaś, na rączym bachmacie siedząc, dobrze uciekał, a wyprowadziwszy ich za sobą daleko od kupy, to my skoczywszy z boków, przerznęliśmy ich, siekąc i zabierając. Dość na tém, żeśmy posłali wojewodzie ze trzydziestu języków z harcówki za powodem owego chłopca. To znowu chłopiec do nich poruszał i powiedział im co innego o carze, a Moskale jakoby wściekli, (bo oni bardziéj się urażają o krzywdę imienia carskiego, niżeli imienia boskiego), suną się za nim zapamiętale. Tak było tego wiele razy na owego chłopca I tak tedy zagnali się za owym chłopcem aż w las, chcąc go koniecznie dostać, boby

go pewno ze skóry byli odarli za takie niecnoty, które im wyrządzał. My zaś zawsze po nich. Ja zagoniłem się za jednym i sam bez mała nie stałem się obłowem; naprowadziłem konia nieostrożnie na krzaki, jak owo bywają wyrąbane, a nowemi latoroślami obrosłe, że mi koń, chcąc owe krzaki przesadzić, (a miałem konia nie wielkiego, myszatego, który był bardzo rączy i obrotny; siadałem na nim do okazji często, kładłem na niego dwie uzdeczki, na przypadek zarwania wędzideł, co jedne cugle były w rękach, drugie u łęku przywiązane), zatoczył jakoś nogę za owe cugle wiszące, które zdrajca pachołek trochę przydłużéj uwiązał. Począł tedy koń jakby chromać; ja rozumiałem, że go postrzelono; aż tu z boku drugi brodafjasz pędzi do mnie; ten téż, com go gonił, wrócił się nazad, widząc, co się ze mną dzieje. Przypada do mnie brodaty; ja ruszę cyngla prosto w piersi, i spadł z konia; a ten drugi młody za kark mię, znać, że mię to chciał żywcem prowadzić, (bo jeszcze żadnego języka nie wzięli, tylko zabili kilku naszych), albo téż niemiał do mnie czém strzelić, ponieważ obadwa pistolety znalazły się nienabite, a za tę rękę, co trzymał szablę, uchwyciłem go lewą ręką zaraz wtenczas, kiedy mię porwał za kark, i tak się właśnie wodzimy, jak kiedy owo dwa jastrzębie się zwiążą. Wtém ciął mię inny Moskal na pleśniawym bachmacie; ów na niego woła: „Fiedor, Fiedor, sudy!“ a Fiedorowi téż chodziło o swoję skórę i zmykał daléj, bo go dwaj nasi towarzysze gonili. Obaczywszy mię towarzysze z owym Moskalem, dali pokój tamtemu, którego gonili, i przybyli do mnie. Moskal woła: „puskaj ta, pojdu do dytka!“ lecz ja go téż już nie chciałem puścić, ale gdyby mię był przed minutą poczęstował, pewniebym go był puścił z ochotą, nie dając się wiele prosić. Wzięli go tedy towarzysze i rozerznęli mi cugle zastąpane. Owego zaś brodacza na ziemi leżącego, który jeszcze żyw był, dobił towarzysz sztychem i chciał do niego zleść z konia, obmacać mu kieszenie, ale nie przyszło do tego, bo już szyki nieprzyjacielskie w sam ów lasek wchodziły i ochotnicy sypali się jako mrówki. Wyciąwszy więc konia płazem pod owym zabranym Moskalem, chcieliśmy udać się do swoich, ale, po staremu, i tego trudno było uprowadzić; ciął go tedy Jakubowski w kark i spadł z konia, a my skoczyli do szyków; Moskale zaś wyszedłszy z lasku, stanęli jak mak kwitnący. Już wtedy obadwa wojska widzą się. Harcownikom kazano zniść z pola. Wojewoda objeżdża półki, napomina, prosi: „Mości panowie, pamiętajcie na imię boskie, dla którego zdrowie i krew nasze jako na ofiarę do

tėj niesiemy okazji.“ Stały obadwa szyki ze dwie godziny spokojnie, ani ci nas, ani my ich nie zaczepiając. Znowu kazano harcownikom podpadać i wywabiać ich w pole. Wyszli tedy w pole dalėj od lasku i tak blisko stanęli, że już z armaty donosiły kule i z tėj i z owėj strony.

Tymczasem wyprowadził z owych hulajgorodów kniaź carski ze dwanaście tysięcy, jak powiadali, wojska. Ja przesiadłem się na innego konia. Stoimy w szyku. Wtém widzimy, że kniaź carski prosto ku naszemu prawemu skrzydłu zmierza. Przypadł wojewoda do nas i rzekł do Wojniełowicza: „Nu, stary żołnierzu, poczynajże nam szczęśliwie w imię pańskie!“ Podle naszéj chorągwi jadąc, rzekł: „Proszę wytrzymać impet.“ Idą tedy do nas powolusieńku. Skoro już kniaź carski od nas niedaleko, rzekł wojewoda: „Do roboty, imię boskie wziąwszy na pomoc.“ Ruszają się tedy chorągwie powoli, a wodzowie zaś jadą przed nami z gołemi po łokcie rękami. Gdy już wojsko od wojska nie było nad czworo stajan, skoczą do nas, my téż do nich. Przyparli zaś do nas tak, że jeden drugiego mógłby był za piersi uchwycić. Przywiódłszy nas wojewoda na same szyki, wysunął się na stronę, a my uderzyli na siebie. Było tego z dobry kwadrans, że ani ten temu, ani ten owemu piędzią nie ustąpił. Sapieha widząc, że na nas ciężko, bo nas mało, posłał z lewego skrzydła półtora tysiąca dobrych ludzi. Przyszli im z boku i srogim impetem tak w nich uderzyli, że się zaraz z sobą pomieszały chorągwie. Dopieroż bitwa tęga i trupa leci moc. Moskale nazad odwodem, a my tu przycieramy, i tym bardziéj trup pada. Moskale w nogi, a potém piechoty dawały ognia z armat okrutnie gęsto, z niewielką jednakże po staremu, z łaski bożéj, szkodą w ludziach naszych, z przyczyny, żeśmy się bardzo podsadzili pod armaty i przenosiły nas, ale po staremu legło i naszych kilkunastu; ci zaś wszyscy, co pod nimi konie popostrzelano, pouchodzili żywo. Pod Wojniłowiczem konia ubito i głuchych gwałt narobiono, bo owo bliskie pod armaty podsadzenie sprawiło, że ów huk i srogi impet szkodził słuchowi. I mnie samemu więcéj niż trzy miesiące w głowie szumiało jak w browarze. Poszliśmy tedy nazad, wziąwszy chorągwi moskiewskich sześć i samych dobrze przerzedziwszy, a tym, co uszli, suto narozdawawszy specjałów. Skonfundował bardzo Dołgoruki kniazia carskiego, (jak o tém póżniéj rotmistrz rajtarski, do niewoli wzięty, powiadał), że się dał z pola spędzić. Na co mu kniaź natychmiast odpowiedział: „Nie zadługo obaczę cię samego, jeżeli téż tak wytrzymywać będziesz,

jako mnie tego uczysz. Osy to tam, osy, nie ludzie.“ Staliśmy tedy długo, z dział tylko bito z tamtéj strony. Posłali znowu nasi wodzowie do Dołgorukiego z oświadczeniem, „żeśmy tu po to przyszli, aby się bić a nie próżnować, i że wieczór blisko.“ Na to odpowiedział Dołgoruki tak: „Że komu się śmierć odwlecze, niech tego nie ma za krzywdę; co was ma spotkać, to was nie minie, lubo wieczór niedaleko, mam ja takie wojsko, że was może uspokoić i za godzinę, i podzielić, komu co będzie należało, całego dnia na to niepotrzebując.“ Po owéj tak hardéj odpowiedzi, zaraz półki kazał wyprowadzić w pole z owemi hulajgorodami, zostawiwszy tam tylko część piechoty z armatą, a między kommunikiem namieszawszy piechoty i polnych działek, bo on obiecywał sobie jednym zamachem zawojować nas, ufając wielkości swego wojska. Posłano tedy natychmiast ordynans do Muraszki, żeby wolonterów i łóżną czeladź wyprowadził z za góry na oko nieprzyjacielowi. Przyszli więc wielkim pędem, właśnie tak, jakobyto dopiero świeżo na sukurs posiłki przychodziły, i zaraz rysią przy lewém skrzydle stawają, trochę opodal od wojska litewskiego. Muraszka uwija się pod bunczukiem, biega z buzdyganem, szykuje jakbyto nowotny hetman i nowotne wojsko, bo stało się tak ozdobne, że i nam samym serca przyrastało, patrząc na ową chołotę. Moskale rozumieli, że nowe przyszły posiłki; ów zaś krzyk, który i oni w obozie naszym słyszeli, tłómaczyli sobie, że to musi być tryumf z powodu posiłków nowo-przybywających. Już tedy Moskale wyprowadzili wszystko wojsko konne z owych hulajgorodów i piechoty połowę, nasz kommunik także wyszedł, owe szańce w tyle zostawiwszy. Aż tu z armat biją, i coraz to strzała okrutna jako powerek padnie między nas, czasem w szeregi, czasem téż przed, a żelezce ma jako siekacz, dziwujemy się, co tam za łuki takie mają? czy olbrzym jaki strzela z wielkiego łuku, czy co? niewiedzieliśmy bowiem, że to astrachańscy Tatarowie strzelają, którzy o ziemię oparłszy drąg jeden łuku, drugi im aż nad głową stoperczy. Było tedy między wodzami postanowiono, że się najpierwéj miał potykać Sapieha, gdyż sam o to prosił, ale że Moskale swojéj, nie naszéj, wygadzając potrzebie, na nasze prawe skrzydło najpierwszy uczynili impet, nam tedy jakoś znowu potykać się przyszło. Przypadł tedy wojewoda i mówi: „Mości panowie, do was to widzę coś sobie upodobał nieprzyjaciel, ale nie bójcie się, będzie was korpus cały wspierał.“ Zawrze się tedy krwawa bitwa. Tam lud srodze gęsty i prawie kilku ich po jednego sięga, ale cóż, kiedy my przecie nie damy

się rozrywać, opierając się potężnie. Spadają z koni postrzeleni, rannych za szeregi prowadzą. Piechota, między kommunikiem pomieszana, bardzo nam szkodziła, bo jak cokolwiek zeprzemy nieprzyjaciela, a na owych zdrajców napadnimy, to jakby nam w gębę dał. Litwini biją się na lewém skrzydle nierównie lepiéj, niżeli z Chowańskim. Odzyskali przecie serce, które przedtém już wcale im było upadło. Lóżni téż z wolonterami tak odważnie wpadają na szyki, że ledwie Tatar tak natrze; zgoła, we wszystkich sroga była ochota, bo téż i nie mogło być inaczéj, tak wielką potęgę przed oczyma mając. Biło się téż wojsko nasze tak, że po wszystek czas służby mojéj, i przed tą i po téj okazji, nigdy nie widziałem bijących się tak mężnie Polaków. I mówiono nawet, iż gdyby Polacy zawsze się tak bili szczerze, byłby zaiste świat cały w ich mocy. Moskale ufali w wielkość swego wojska, nasi zaś w Pana Boga i swoję dzielność, bo jeden na drugiego zapatrując się, tak stawał, przy takiém współubieganiu się litewskiego wojska z naszém, że téż już lepiéj widzieć niepodobna; jakoż i to każdy przyznać musi, że moskiewskie wojska, a osobliwie owe bojarskie chorągwie, w szyku stojące, są tak straszne, jako naród żaden nie jest. Spojrzawszy na owe ich brody, to się taka jakoś przedstawiała powaga, jakby się na panów ojców porywał. Pojechawszy wojewoda do hussarji i jako kto ma skoczyć rozporządziwszy, posłał téż i do Sapiehy, żeby i on szczerze nastąpił, bo téż już słońce zachodziło. Przyjechał i do nas. (Bodaj się tacy wodzowie rodzili! Szczęśliwa matka, która takich rodzi synów!) „Teraz“, rzekł, „mości panowie! komu Bóg i cnota miła, za mną!“ Jak téż skoczymy, zrobił się srogi krzyk i rzeź, bośmy ich złamać nie mogli; onym téż nie daliśmy się, opierając się potężnie, a to z téj przyczyny, że było chwalebniéj poledz w bitwie, niżeli w ucieczce. Oczywista to rzecz była, że nas tam ręka boska piastowała, kiedy przeciwko tak wielkiéj potędze dał Bóg i wygrać, mało w ludziach naszych mając szkody. Nie zapomnę tego nigdy, dziesiątemu to powiem, i mam to sobie za wielki dziw, kiedy do czterech naszych chorągwi, które zagnały się za Moskalami i naprowadzone zostały na ogień, prawie w bok włożywszy, trzy tysiące strzelców razem ognia dali, a po staremu jeden tylko towarzysz zabity został i czeladzi czterech, a podemną konia postrzelono; sprawdziła się zatém przypowieść, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi,“ bo na taki ogień należałoby było połowie z koni spaść. Uderzyły potém hussarje z kopjami jako w ścianę; jedni kruszyli kopje, drudzy nie; który był taki, że skruszył ko-

pją, to brał się do pałasza, bo taki zaś był rozkaz, Panie zachowaj, aby miano kopją cisnąć, któraby się jeszcze nie była umoczyła we krwi nieprzyjacielskiéj, ale należało ją znowu podnieść. Tak więc czyniły jeden szwadron hussarskiéj chorągwi Czarnieckiego i pancerna chorągiew za nią, nie pamiętam czyja, bo co słabsze chorągwie, to za szwadrony hussarskie ordynowano. Trafiły téż na jakąś słabą ścianę, co się o brzuchy bali, bo rozstępowali się im tak, że przeszły chorągwie przez wszystkie szyki nieprzyjacielskie jakoby świdrem wierciał, nic prawie nie skruszywszy kopij, i zaszły wprost na to miejsce, gdzie nibyto była brama między owymi hulajgorodami, a którémto miejscem wyprowadzano szyki w pole. Jednego tylko towarzysza stracili przebijając się, i jednego także konia, przebrawszy się przeciwko owéj bramie. Obrócili sią nazad z chorągwią i stanęli frontem w tył nieprzyjacielowi. Dopowiedziano wojewodzie, że już proporce jego widać w tyle szyków nieprzyjacielskich. Bał się, żeby ich tam niepognieciono. Moskali téż to nie mało hańbiło. Wojewoda kazał ostatniemi natrzeć siłami, sam zaś przed nami natarczywie skoczywszy, siekł, strzelał, narażał się nie jak hetman, ale jak prosty żołnierz. Zmieszali się tedy Moskale, a potém w nogi. Terazto dopiero tnij i rznij. Co tedy która chorągiew moskiewska zapędzi się do owéj bramy, żeby uciec między hulajgorody, to hussarja owa, co się przebiła przez szyki, złoży do nich kopje, to oni na stronę. Nacisnęła się ich moc pod owe hulajgorody, chcąc żeby ich odstrzeliwano, oni bowiem odstrzeliwać nie mogli, bo się sami bardziéj razili, i z armat także już niestrzelano, bo nadaremnie było między pomieszane wojska. Wtém zamieszaniu natarliśmy na nich, strzelając i rąbiąc. Owe zaś hulajgorody, żelaznemi skoblicami potężnie pospinane, trudno było na prędce rozbierać. Uderzyli więc na te hulajgorody, a po naszemu czonki, a tu ich nasi bez przestanku sieką i tu dopiero legło ich powałem siła, tak, że trupa na trupie leżała ogromna kupa. Nad wszystkiemi owemi czonkami utworzył się z trupów nieprzyjacielskich jako jaki największy wał, albo grobla. A tak, co na nas zastawili, na to sami powpadali, stósownie do przysłowia: „kto pod kim dół kopie, sam w niego wpada,“ bo z naszych i jeden nie zginął przez ten fortel, w którym oni największą nadzieję pokładali. Takto zwyczajnie Bóg zrządza, że zawsze człowiek sam wpada w tę samołówkę, którą na innych buduje. Zginął tedy kommunik prawie wszystek, bo nie bardzo wiele go uszło. Wojewodów, kniaziów, bojarów dumnych, urzędników carskich, siła bardzo naginęło,

ponieważ żywcem nic nie brano, bo nie było czasu bawić się tak wielką potęgą nieprzyjacielską. Wziąść bowiem żywcem nieprzyjaciela, znaczy: nic już więcéj nie robić, a tymczasem, kiedy Pan Bóg poszczęści, może kilku na to miejsce zabić, co się z owym jednym zabawi. Mnie samemu trafiło się jakiegoś znacznego ciąć, i potém dopiero pomiarkowałem, że był strojny jak do ślubu, a nie przyszło mi nawet i kołpaka mu wziąść, na którym było pereł ze trzy garście i zapona djamentowa, bo to niepodobna inaczéj w gęstym boju, ty za tym jedziesz, a na ciebie bije ich dziesięciu. Piechota nasza największe miała zdobycze, bo zaraz za nami postępowała, i odzierała. Pieniędzy znajdywali siła, bo to było pospolite ruszenie. Bojarowie znaczni poginęli, także i piechota wszystka, która była w pole wyprowadzona; byłaby i tamta druga zginęła, gdyby noc nie była zaszła i temu przeszkodziła, a oni tymczasem poszli w las, nocy jedynie zawdzięczając owe ocalenie. Chorągwi nabrano kilka wozów, armat szumnych wzięto siła i więźniów po troszę; zabrano ich piechoty kilkaset do Sapiehy i do Czarnieckiego, ale nie było znacznych, tylko trzech półkowników, rotmistrzów kilku, bojarów, Niemców i Anglików kilkunastu. Dołgorukiego i tych ludzi, co uszli, noc ochroniła, bo gdyby było więcéj dnia stawało, wszyscyby byli polegli. Zołtareńko z swymi kozakami o 3 mile tylko był podczas okazji. Podjazd jego był i patrzał na bitwę, jak udawano, a widząc przegraną Dołgorukiego, natychmiast wyciął chyżego nazad. Odebrał potém Zołtareńko od Moskwy ukazy, a po naszemu ordynanse, żeby zaraz poszedł łączyć się z Chmielniczeńką; poszedł zatém spiesznym pochodem, lecz nie wiem, czy tam co pomógł, czy nie, bo téż prawie o tym jakoś czasie panowie nasi hetmani doszczętnie znieśli Szeremeta, tak, że ani zwiaściciel klęski nie pozostał, bo jedni na placu padli, drugich Tatarowie, którzy byli z naszéj strony, zabrali, i samego Szeremeta wzięli, a to w nagrodę tego, że nam Moskali pomogli wojować. I to było chwalebne i wielkie zwycięztwo, ale ja o niém nie piszę, bom tam nie był, i o tych tylko piszę okazjach, w których sam byłem, gdyż ten jest zamiar mój, aby opisać życie moje, nie zaś stan rzeczypospolitéj, a to z téj przyczyny, żebym sobie mógł przywieść na pamięć każde moje czyny przeczytawszy w piśmie, gdyby ich pamięć nie mogła dotrzymać. Ale i ta okazja dosyć była szczęśliwa od Pana Boga, kiedy nie znalazł się i jeden z nieprzyjacielskiego wojska tak wielkiego, (którego, jak powiadano było, oprócz kozaków, 70,000 ludzi), coby miał ujść. Wielkie Bóg

wszechmogący nad narodem polskim pokazał miłosierdzie i ojczyznę strapioną wydarł prawie z paszczy okrutnego nieprzyjaciela, który jużby ją był prawie osiadł, gdyby Pan Bóg nie był dał otrzymać zwycięztwa, za co niech będzie imię jego przenajświętsze pochwalone! Po okazji jednak tej posłał Basiński, wojewoda ruski podjazdy potężne na te miejsca, gdzie słyszał o kozakach, chcąc się z nimi powitać; lecz dano znać od podjazdów wojewodzie, że panowie kozacy drapnęli, widząc bankiet Dołgorukiego, i nie chcieli takiego drugiego czekać. Toto jest roztropność dobrego wodza, uprzedzić nieprzyjaciela, i nie dać mu się wzmocnić. Cobyto Moskale z małą garstką naszego wojska nie byli robili, gdyby się to kozactwo z nimi było złączyło! A tak i Moskale otrzymali chłostę i kozacy uciekli, i owi astrachańscy Tatarowie zginęli, cośmy się ich lękali, a o których powiadali ci, co ich bili, (bo tam innym półkom dostało się na nich napaść), że nic nie umieli, i owszem począwszy się trochę z razu uwijać z swemi dzidami, jeszcze prędzéj pierzchali niżeli Moskale, i nie słyszałem, żeby się kto skarżył na ranę od ich oręża. Takto Pan Bóg dobry, kiedy chce, pobłogosławi, doda rady zdrowéj wodzowi, doda męztwa i odwagi rycerzom, czegośmy widocznie doznawali w tych moskiewskich okazjach, kiedy nie było podobieństwa do wygranéj tak szczupłemu naszemu wojsku. Gdy podjazd powracał po nad Dnieprem już ku swoim, taki mając ordynans, szedł mimo Mohilewa. Co przedtém (jakom namienił) na wojsko przechodzące hukali, wołali, grozili kniaziem Dołgorukim, grozili i kajdanami i stolicą, wtenczas ani gęby nikt nie rozdziawił, ani do nich nawet nie strzelano. Jak to jest straszne godło zwycięztwa! Jakto Bóg przeinaczy hardość ludzką i wielkie o sobie rozumienie!

O Boże dobry, Boże nasz łaskawy,
Niepojęte są czynów Twoich sprawy;
Dźwigniesz kogo chcesz, kogo chcesz poniżysz,
Umkniesz fortuny, gdzie raczysz przybliżysz.

Z małego wielkim, wnet z wielkiego małym
Uczynisz snadnie, trząśniesz światem całym,
Wnet króla Gołkiem, wnet królem oracza,
Nędzarza panem, nędzarzem bogacza.

Słabemu dasz moc, wnet słabość mocnemu,
W lot dasz zwycięztwo wprzód zwyciężonemu,

Sprawisz to snadnie, kto przedtém rej wodził,
Wkrótce on będzie na podrobku chodził.

Fortuną ludzką, twoja to zabawa
Rzucać jak piłką; wszelka nasza sprawa
Od ciebie swoją ma dependencyją,
Z ciebie upadek, z ciebie promocyją.

Macedonowie Słowianom służyli,
Inszym narodom w poniewierce byli,
A potém wszystek świat opanowali,
Co więcéj, inszym potém palmę dali.

Z małych zbyt poszli początków Rzymianie,
A jakąś im dał potęgę, mój Panie!
Znowuś odebrał, kiedy Twoja wola,
Ta professyja, ta jest ludzka dola.

Wzbudziłeś Turków z morskich rozbójników,
Z gnuśnego gminu wielkich wojenników;
Ta ich potęga lubo teraz słynie,
Będzie przecie czas że jak insza zginie.

Patrzmyż Monarchów, rzućmy Monarchije,
Jako się jasność ich w gruby cień kryje,
Od Alexandra biorąc proporcyją,
Perseuszową widząc mizeryją.

Nierówna w wieki królów symetryja,
Wielka odmienność i dyfferencyja,
Ten wszystkim straszny światu ogłoszony,
A ten na tryumf w powrozie wiedziony.

Cesarzów Rzymskich wielkie one dzieła,
Konstantynowa śmierć jak oszpeciła,
Tamtym jak Bogom honory dawano,
Temu na progu szyję ucinano.

Pompejusza Wielkim nazywali,
Wielkie mu czyny w świecie przyznawali,
Wnet stał się małym, zbył wielkości onéj,
Na brzegu Nilu w łódce pogrzebiony.

Rychard Angielski od hetmana swego,
Regner zaś Duński od więźnia Helego
Co ucierpieli: ten wiecznêm więzieniem,
Ten głodnym wężom stał się pożywieniem.

Samson, Annibal, Henryk, piąty Karol,
I ci z fortuną jaki mieli parol,
A przecie ich to nieupiastowała,
Kiedy ich Boska ręka dotknąć chciała.

Nie nowina to królom tego świata,
W pomyślnêm szczęściu przepędziwszy lata,
Stracić koronę, oraz z wołem w pługu,
Albo karetę ciągnąć z szkapą w cugu.

Nie nowina to siedmdziesiąt razem,
Nogi i ręce obciąwszy żelazem,
Królom pod stołem ze psy zbierać kości,
Taka jest dola ludzkiéj szczęśliwości.

Dokazać czego choć się kto nasadzi,
Bez woli Boskiéj nigdy nie poradzi,
Za nic potęga, za nic miryjady,
Bez woli Boskiéj nie zaczynaj zwady.

Panowie Moskwa widząc mieszaniny,
I ciężkość na nas bez żadnéj przyczyny,
Zaczęli wojnę żeby nas zniszczyli,
I w niewolę nas wieczną zagarnęli.

A Bogu się to nieupodobało,
Lubo nas karał póki mu się zdało,
Ulitował się naszéj niewinności,
Dał się ich nabić pewnie do sytości.

Kajdany, które na nas zgotowali,
Sami się słusznie nimi nabrząkali,
Takami wożąc dumni bojarowie
Wały i groble, jako niepanowie.

Napoili krwią miasta, pola, lasy,
I wszystkich ludzi wybór temi czasy
Z gruntu wyginął, że ich bardzo mało
Celniejszych ludzi do boju zostało.

Tak powiadano, gdyby bataliją
Przyszło wystawić w nową kompaniją,
Z prostego gminu musieliby byli
Ludzi sposobić, tak sami mówili.

Trzeba im było niedać odpoczywać,
Iść do stolice, prywat niezażywać,
Samby ich był strach bez szable zwojował,
Który ich wtenczas wielce opanował.

Cóż to kiedy my choć dobrze zaczniemy,
Żadnéj jak trzeba rzeczy nie skończemy.
Nie zażywamy somsiedzkiéj granice,
Swojéj ojczystéj bronimy dzielnice.

Wojny niesłusznéj z nikim nie zaczniemy,
Kto z nami zacznie, przecie się bronięmy,
Kto do nas przyjdzie, to go wyłatamy,
A potém mu zaś basarunek damy.

Téj dyskrecjéj i Moskwa doznali,
Gdyśmy im chętnie tylko frysztu dali,
Że się i w siły mogli przygotować,
I basarunek na nas wytargować.

Nie zaraz nam Bóg da takie sposoby,
Do tak pozornéj domów swych ozdoby,
Do jego świętéj chwały pomnożenia,
I granic polskich do rozprzestrzenienia.

Jak teraz było, gdy Wszechmocne siły,
Takie chwalebne zwycięztwo zdarzyły,
Za co mu chwała niech będzie na wieki,
Że nas z swéj świętéj nie rzuca opieki.

Jużeśmy rozumieli, że po owych tak ciężkich pracach przyjdziemy na wytchnienie, obławszy się do sytości swoją i nieprzyjacielską krwią, aż tu przychodzą powtórne i nieodmienne wiadomości, że Dołgoruki, zapomniawszy o dawnéj chłoście, znowu za ukazem carskim zebrał dwanaście tysięcy wojska dobrego z owych ostatnich już dumnych bojarów i dwornych carskich urzędników, przeszedł Dniepr pod Smoleńskiem i zachodzi nam od Polski z strony Dniepru, rezolwowawszy się, by téż i samemu przyszło zginąć, i deklarowawszy carowi wstępnym bojem na nas uderzyć, albo téż z za Dniepru nas nie puścić, ażby znowu nowych sił nie nabrał i na nas nie przyszedł uderzyć, aleć się i na tym zawiódł zamiarze, bo trudno w śpiączki złapać ostróżnego lisa, jak prędko Lisowskiego jeszcze zabytku żołnierz. Jak tylko Czarniecki odebrał wiadomość o tych poruszeniach Dołgorukiego, zaraz poszło wojsko śpiesznym pochodem nazad do Dniepru. Przeprawiwszy się tedy jak mogąc na tamtę stronę pod Szkłowem, jedni konie przewożąc, drudzy zaś przy łodziach i pramach pławiąc, a że już były i wielkie zimna, bardzo na tém biedne konie cierpiały i nie jeden zęby wyszczerzył, i stanęliśmy pod Szkłowem, Litwini w polu szczerém, ćwierć mili od nas, my zaś nad samym Dnieprem na kępie, którą oblewał. Wyprawił zaraz Sapieha na podjazd Kmiczyca, półkownika, żołnierza dobrego, we trzy tysiące dobrych ludzi, ku Czeréjéj, gdzie się był Chowański położył obozem i pobudował jak na całą zimę i okopał, bo miał w polu zimować. Nazajutrz po wyprawionym podjeździe, podobno duchem prorockim Czarniecki natchniony, kazał otrąbić, żeby za dwie godziny było wojsko w pogotowiu siadać na koń, biorąc z sobą prowianty. Tak tedy się stało. Cichusieńko przez munsztuk zatrąbiwszy i Sapiesze nic nie powiedziawszy, ruszyliśmy się; idziemy lasami, a wszystko spieszno; nie wiemy nic po co i dokąd. A Chowański téż tak uczynił, poszedł kommunikiem, chcąc nas na przeprawie zaskoczyć rozdwojonych. Spotkał się tedy z Kmiczycem pod Druckiem, albo raczéj przyszedł mu z tyłu, bo już go był minął innym traktem. (Opowiedział o Litwinach mieszczanin z Drucka, którego tam gdzieś w drodze Moskale porwali). Tam jak się uderzyli z sobą, bili się, prawda, Litwini niebożęta mocno, ale, nie mogąc wytrzymać, rozerwano ich; dopieroż trwoga, dopieroż ich Moskale zaczną bić, brać i wiązać. Posłał był Czarniecki przodem kilka chorągwi; te skoro przyszły do przeprawy pod samym Druckiem, czyli Odruckiem, (bo to miasteczko dwojako nazywają), do rzeki Drucz, na

której były mosty, ale te już zastali zrzucone od Moskali. Stanęli więc nad rzeką i posłali do wojewody, dając znać, że słychać strzelanie i bitwę jakąś. Zaraz tedy rysią poszło wojsko, zaraz domyślili śmy się, że nie darmo; przyjdziemy do przeprawy nad Druckiem samym; źle, rzeka wprawdzie nie szeroka, ale dwoma nurtami idzie, dwa razy zatém pływać trzeba jak po pół stajania głęboko i bystro, a zabrzeżysto zaraz jak z pieca. Moskale prostacy spuścili się na to, iż mosty zrzucili; wiedzieli téż i to, że wojsko nasze jeszcze pod Szkłowem i sukursu zatém żadnego nie mogli mieć Litwini, nie kazali więc owéj przeprawy pilnować, któréj mogliby byli zabronić należycie. Wojewoda rzekł: „Mości panowie! rzecz nie cierpi odwłoki; mostów tu budować nie masz czasu; słyszycie strzelanie; słychać i głosy moskiewskie. Jużto znać, że nie nasi onych, ale oni naszych biją. Przepływaliśmy morze i tu trzeba, Pana Boga wziąwszy na pomoc. Za mną! Pistolety, ładownice za kołnierz!“ Sam tedy wojewoda wprzód skoczył z brzegu, i zaraz koń spłynął, bo rzeka bardzo była głęboka. Przepłynął więc i stanął na drugim brzegu, a chorągwie jedna za drugą płyną cicho, ponieważ do tego miejsca, gdzie się bili, nie było ledwie z piętnaście stajan, tylko że za lasem, przeto nie mogli nas widzieć. Ażtu znowu wojewoda woła, stojąc na brzegu: „Szeregiem mości panowie, szeregiem!“ co niepodobna było, bo nie każdy koń jednakowo pływa, jeden się bardziéj suwa, drugi nie tak; nasz pierwszy towarzysz, Drozdowski, miał konia, co go był nie świadom, a on pływał jakoś dziwnie na bok; skoro tedy tak uczynił, zaraz go woda zniosła z konia i począł tonąć, konia puściwszy; jam go uchwycił za ramię, drugi towarzysz z drugiéj strony i takeśmy go między sobą pławili. Skorośmy go wynieśli, aż mówi wojewoda: „Macie szczęście panie bracie, bo są tu wielkie ryby, i połknąłby was był szczupak całkiem z pancerzem.“ (Na to przymawiając, że to był chłopak małego wzrostu). Jakeśmy się przeprawili i przez drugą takąż odnogę, zaraz półkowi królewskiemu kazał wojewoda skoczyć do bitwy, a sam został przy przeprawie innych półków. Idziemy tedy rysią. Moskale zdumieli się, myślą, czyć z nieba spadli. Tu wojsko ich nie w porządku należytym, jedni się kupą bawią, drudzy Litwinów wiążą, inni po stawie brodzą i rozgromionych z trzciny wywłóczą, (bo mało co zabijali naszych, chcąc jako najwięcéj nabrać niewolnika, żeby ich zaś mogli za swoich zamieniać,) a był ten staw bardzo wielki pod samém miastem, gęstą trzciną zarosły; do niego Litwini niebożęta uciekali z pogromu. Uderzą na nas

Moskale, rozumiejąc, że to drugi jaki podjazd; zeprą nas; dziwią się, że każdy z nas mokry i z każdego ciecze, a strzelba jednak daje ognia. Gdy zaś widzą, że coraz więcéj przybywa nas jak z rękawa, ztąd téż serce w nich coraz mniejsze, u nas przeciwnie coraz większe, bo co się która chorągiew przeprawiła, to kazał jéj wojewoda zaraz za nami skoczyć. Litwini, jako barani, i po kilku do kupy byli związani. Kmiczyc, pólkownik, wypadł gdzieś z chałupy, jak go już straż była odstąpiła, biega między naszymi, ręce w tył mając związane, i woła: „Dla Boga ratujcie!“ i takci go tam ktoś rozerznął. Wtém porwali Moskale pachołka z naszego wojska i pytają go: „Coto za podjazd?“ Ten odpowiada: „Nie podjazd to, ale Czarniecki z wojskiem.“ A tu rąbanina sroga, trupy padają, owi się po stawie poruszają i nurzają, a co przedtém Moskal prowadził Litwina, to go już teraz Litwin za brodę ciągnie. Wnet zmieniło się Moskalom szczęście, w jednéj bowiem godzinie podchlebiło im, a potém ich na sztych wydało. Jak więc usłyszeli od owego pachołka, że to nie podjazd, ale wojsko, widzą, że źle koło nich; a że im nasi fałdów mocno przyciskają i coraz z lasa wymknie się chorągiew, właśnie jak kiedy owo wyrwanego tańczą, poczęła starszyzna uciekać, a wojsko też poszło w rozsypkę. Lecz tego uciekania nie było długo, bo konie mieli zmordowane bijąc się z Litwinami i przebiegając im z innego traktu wielkie trzy mile, ponieważ ich już byli minęli, a do tego, że i konie mieli srodze tłuste i rozpierały się im. Jakeśmy tedy wsiedli na nich, tośmy ich cięli przez cztery wielkie mile, a kto w pierwszéj mili nie zginął, to w drugiéj lub trzeciéj, bo dojechawszy go, to koń pod nim stoi jako krowa, albo téż już z niego zsiadłszy, to Moskal klęczy, ręce złożywszy; to go po szyi, a daléj za drugimi. Kto więc w tych czterech milach nie zginął, to już daléj trupa nie było, ale jednak ich bardzo mało przybieżało do obozu, co powiadali chłopi i inni niewolnicy, którycheśmy w obozie zastali, a którzyto zdrajcy wielkimi zrobili się panami, bo zaraz jak postrzegli co się dzieje, przetrząśli szałasy. Przyszliśmy więc do obozu moskiewskiego pod Tołoczyn, mil siedm od tego miejsca, gdzie była bitwa, w którém zastaliśmy wszystko do życia i wozy wszelkie, nawet koni podostatkiem, bo owi, co uciekli, nie zdołali swego porwać, gdyż zaraześmy na karku ich jechali: a ci, co byli w obozie zostali, jakoto wozowi ludzie, ledwie co który konia dopadł i uciekał, a rzeczy tych, co zginęli, nikt téż nie brał. Było i bydła po troszę, co za wielką nowalją mieliśmy, komu się dostał wół albo jałowica, i nie trzeba

było gości zapraszać, sami bowiem przyszli i z trzeciego nawet półku, dowiedziawszy się, gdzie świeżą sztukę mięsa gotują, bo o to bardzo było trudno, gdyż blisko granicy moskiewskiéj jedne były pozabierane, drugie téż, kto co jeszcze miał, to w pustyniach głębokich trzymali i lecie i zimie. Przegłodnieliśmy byli bardzo mięsa, nie żyjąc przez kilka miesięcy tylko ogrodnemi rzeczami, a najbardziéj ćwikłą pieczoną, z któréj różne specjały wymyślali, między innemi i pierogi pieczone; rozwierciawszy bowiem warzoną ćwikłę i położywszy na placek, a potém zwinąwszy jak zwyczajnie piróg i konopném siemieniem rozwiercianém po wierzchu posmarowawszy, to w piec z nim, a potém to dopiero wielki specjał. — Gdyśmy stanęli w obozie moskiewskim, rozdano kwatery tak jak w jakiém mieście. Litwinów, którzy za nami przyszli czwartego dnia, nie puściliśmy do nas, aleśmy im przecie udzielali legumin. Stajnie zastaliśmy gotowe z podłogami, bo już były wielkie błota jesienne: budynki porządne, ponieważ się oni słusznie budują w obozach. Tabory nasze przyszły za nami wtenczas, kiedy i litewskie wojsko. Sapieha stanął osobno obozem, o milkę od nas. Nastąpiły wielkie słoty, śniegi, poczęły Litwinom konie szwankować, poszli więc na kwatery po wsiach; my zaś staliśmy w obozie, pókiśmy mieli co jeść i konie nasze, których lubośmy już byli uronili po troszę przez bitwy przeszłe i słoty jesienne i to pływanie na rzekach podczas zimnéj wody, ale zaś napełniło się tego przez tę okazją, że ich było dosyć i bardzo dobrych owych astrachańskich, kałmuków, bachmatów i różnych ruskich koni.

Mogliby panowie żołnierze teraźniejszego wieku brać przykład z naszego wojowania, którzyto często konie tracą. Ja powiadam, że oni nigdy w większych jak my nie byli pracach, a więc odbytu takiego nie mieli na konie, a przecie wojsko nasze nigdy nie opieszało, bo u nas konia utracić tak było, jak raka z kobieli wypuścić, wiedział bowiem każdy, że przy szczerém spotkaniu się z nieprzyjacielem może mu Pan Bóg dać innego. Weźmie ci konia nieprzyjaciel, starajże się i ty, żebyś mu odebrał dwóch, ponieważ takiś człowiek jako i on, taki żołnierz jako i on, i na nim skóra nie z karaczyny, jako i na tobie.

Rok 1661.

Rok pański 1661, za boską pomocą, zacząłem w domu, w którymto roku dziwnemi Pan Bóg sługę swego próbował okazjami, złéj i dobréj fortuny przeplatając odmianami, ale się to wszystko na dobre obróciło, (o czém będzie niżéj). Po trzech królach pojechałem do radomskiego dla owéj inkwizycji, a Goczkowski, swoję wywiódłszy, nie wiem jakim tam sposobem, pojechał z nią, i, po odjeździe moim z obozu, podobno w tydzień przyjechał do wojska. Powiedział mu wojewoda: „Waszeć się dotychczas zabawiał czarnym kałamarzem, wywodząc inkwizycją, a pan Pasek tu z nami krwią pisał; teraz waszeć napierasz się sądu przeciw nieprzytomnemu, to być nie może, bo też i on chciał się bronić, i teraz dopiero pojechał tam, zkąd waszeć przyjechał, a lepiéj było i waszeci dopiero teraz z nim razem pospołu jechać po inkwizycją, niżeli tak wiele pięknych opuścić okazji. Waszeci bardziéj pachnie kancellarja, niżeli wojna; lepiéj waszeć zaniechaj téj kłótni, bo kiedy on wyszedł zdrowo z takiego ognia, w którym widziałem go sam, to znać, że niewinien krwi brata waszeci; wszak waszeć pamiętasz, żem go taką zagadnął próbą: „jeżeli wynijdziesz zdrowo z téj okazji, to się miarkować będę o twojéj niewinności.“ Jać was rozsądzę, skoro on z swoją powróci inkwizycją. Ale jeżeli tam waszeć co zrozumiał, to lepiéj ludzi nie turbować. On się tego nie zapiera, że brata waszeci uderzył, ale się w tém chce wywieść, jako nie z téj, ale z innéj przyczyny zszedł z tego świata. Udajcie się o to do trybunału jako ślachcic z ślachcicem, ponieważ to stało się tak dawno i nie pod moją dyrekcją.“ Nabiłci więc mu tak wojewoda uszy, nie tylko temu dał pokój, ale z wojska od ćwierci wyjechał. Ja zaś przyjechawszy do radomskiego, już owych ludzi nie zastałem żywych, co byli najpotrzebniejsi do inkwizycji, osobliwie gospodarstwo, w których domu działa się ta zwada, ksiądz tylko jeden był, co go dysponował, i ten chciał mi dać świadectwo wnet po odprawieniu mszy ś., „że mię przy śmierci nie czynił winnym,“ ale chciał, żebym się o to był postarał, aby mu do tego było dane pozwolenie od konsystorza. Miałem też nadzieję w świadectwie kompanji naszéj, która pod tym znakiem pana Piekarskiego zostawała. Znowu ze mną pod tąże chorągwią pana kasztelana lubelskiego służyli pan

Olszowski Jan i pan Zaremba Jędrzéj. Pojechałem więc z radomskiego z niczém, mając wolą o to pozwolenie postarać się, aleć przyjechawszy do domu, dowiedziałem się, że mój przeciwnik wyjechał z wojska, i, ożeniwszy się, osiadł w domu. Wnosiłem natenczas, że tego zaniecha, i jużem się więc nie starał o owę inkwizycją, jakoż późniéj zjechałem się z nim i widziałem w domu pana kasztelana żarnowskiego, Starołęckiego, w Studziannem, podczas kommendów pana Michała Łabiszewskiego, towarzysza księcia Dymitra, kiedy się o pannę Przyłuską, siostrzenicę saméj jéjmości starał. Pan Goczkowski nic już także o téj inkwizycji nie wspominał, tylko przy powitaniu ręki mi umknął, o co chcieli się ujmować ci, co z nami przyjechali, osobliwie panowie Petrykowscy, panowie Radziątkowscy, krewni moi i inni, i już się byli poczęli brać do szabel, ale gospodarz wdał się w to i ja téż mówiłem, żeby mu dali pokój i żeby się już tém ukontentował, że mi rękę umknął. Takci dali pokój, tylko Relski Jan, sędzia rawski, rzekł mu: „Panie bracie, waszeć się o to ujmujesz, że brata waszeci obuchem uderzono, a waszeci samego trzebaby kijem, że waszeć tak barbarzyński.“ Siedział ci z nami przez owe dni kommendów, ale od nas już stronił, bo się bał; było nas lepiéj niżeli sto koni, a wszyscy na niego marsem patrzali o owe umknienie ręki, i w tańcu nie był i razu. Kiedy z nim mówili niektórzy i pytali, co daléj będzie czynił? odpowiedział: „Udam się do koronnego prawa, bo w wojsku ma widzę fawory.“ Ja téż temu byłem bardzo rad i jużem się nie starał o owę inkwizycją, aleć potém i on prawa koronnego nie zaczynał, bo podobno poczuwał się, że mi tego nie dowiedzie. Pojechałem późniéj do wojska. Wojewoda obaczywszy mię, rzekł: „To za inkwizycją.“ Odpowiadam: „Tak jest.“ „Nie dojdziecie z sobą sprawy,“ rzekł daléj wojewoda, „kiedy ten odjeżdża, a ten przyjeżdża.“ Potém powiedziałem wojewodzie, że już do koronnego udaje się prawa. Wkrótce potém wojsko od hetmańskiéj dywizyi poczęło się zabierać do związku; ustawiczne poselstwa i listy inwitujące od towarzystwa, proponujące wspólną krzywdę i wspólne dobro wojska. Nasza dywizja opierała się temu, bo przecie uważała ztąd wielką ojczyzny szkodę. Już Moskale nie mieli sposobu oporu, już z desperacji poddać się i miłosierdzia prosić zamyślali. Panowie téż Wolscy za białe jezioro wyrugowali swoje dostatki. Po prostu mówiąc, rzadko się taki znalazł w wojsku naszém, któryby szczerze był wzdychał do związku. Aż nakoniec dokazali tego hetmańscy, żeśmy przynajmniéj zbliżyli się do nich na

rozmowę. Ja zaś oświadczyłem porucznikowi memu, żeby się starał o towarzysza na moje miejsce, o czém dowiedziawszy się wojewoda, kazał Mężyńskiemu, porucznikowi swemu, traktować ze mną, abym pod jego chorągiew podjechał. Postanowiono więc, żem dał rękę. Wojsko zaś poszedłszy z pod Kobrynia, złączyło się z hetmańskimi, ale nie wszystkie chorągwie, bo królewskie, jego samego i inne, jakoto: Zięciowskiego, starosty kaniowskiego, nie chciały się też łączyć. W kole tedy jeneralném wielki hałas za i przeciw, bo hetmańskie wojsko już było jako dudy nadęte i srogiego ducha miało do konfederacji. Nasi zaś byli między młotem i kowadłem: bo i tu nęciła zdobycz chlebów i tu żal było wydzierać się z posłuszeństwa okazją rozprzestrzenienia granic. Niektórzy żałowali, że się zbliżyli do jeneralnego koła, drudzy też mówili, że tego koniecznie trzeba; słowem, ile głów, tyle zdań, jakby nie jednéj matki dziatki. Przyszło więc pozwolić na ich wolą pod następującemi warunkami: naprzód, żeby z naszego wojska marszałka obrać; powtóre, żeby zaraz wziąwszy dobre chleby i poprawiwszy pocztów słusznie, iść już nie pod dowództwo hetmanów, ale marszałka swego, i zostawić po ekonomjach i starostwach deputowanych administratorów, którzyby na rzecz wojska zawiadywali dobrami królewskiemi i wybierali intraty. Nierozwięzywać się jednak z związku, aż będzie wojsku obmyślona w zupełności satysfakcja. Co do pierwszego, nie mogło to być, żeby marszałek był z naszéj dywizji, z przyczyny, że tam wojsko większe o dwie części. Postanowiono tedy, że z naszego wojska ma być zastępca, a z hetmańskich marszałek. Stanął więc marszałek Świderski, człowiek prosty i szczery, co w nim wojsko upatrowało. Zastępcą zaś Borzęcki, porucznik chorągwi pancernéj Franciszka Myszkowskiego, margrabi pinczowskiego, człowiek uczony, fantazji górnéj. Konsyljarzów połowa z naszego wojska, połowa z tamtego. Co do drugiego wniosku, widzieli w tém niezmienny zamiar wojska naszego, żeby ten chleb jeść pracując, nie po włościach leżąc. Słyszeli deklaracją z całego gardła, że tego nie odstąpimy, choćby też przyszło i bronią doświadczyć, jeżeli nam nie ujdą przyczyny. Tam przeciwnie dawano przyczyny takie, że tym związkiem tak wiele ugrozimy jak nic, i że kiedy pójdziemy w pracę, że nie będzie rzeczpospolita dbała o to i nie obmyśli zasług, kiedy mieć będzie zaszczyt itd. itd. Zastępca zaś bronił tego mocno, na toż i marszałek przystawał, ale nie śmiał szczerze mówić, aby nie obrazić swojéj strony. Ozwie się towarzysz Karkoszka, lecz nie wiem z pod czyjéj chorągwi, w te słowa: „Wymysły to

niepotrzebne kilku osób; jeżeli ma być związek, niechże będzie. Gdy zaś nie będzie nic, to nasze zasługi przepadną i w draganów nas obrócą. Takito kilku ichmościów, jak mówię, wymysł, a drudzy nic nie mówią, znać, że toż samo czują, co i my." — Spójrzy zastępca po półkownikach, porucznikach i mówi: „Panowie, co wam się w tém zdaje." Owi rzekli: „Bierzemy to sobie do namysłu z kompanjami." Solwowano tedy koło do dnia następnego.

Skoro nazajutrz jednomyślnie wszyscy nasi zgodzili się na to po kołach partykularnych, żeby téj przedsięwziętéj nie odstępować intencji, w kole zaś jeneralném kazali porucznikom deklarować, każdemu imieniem swojéj kompanji; który chciał, sam własnemi usty deklarował; komu zaś trudno było o słowa, to przez deputowanych szły deklaracje.

Nasz Krzywiecki, lubo był dobry żołnierz i mężczyzna pewno urody pięknéj i okazałéj, ale nie mówca, a osobliwie w zgromadzeniu publiczném. Mnie zatém ordynował do deklaracji i całéj kompanji kazał być w jeneralném kole, a sam został listy pilno expedjować. Że tedy nie było chorągwi królewskich, wojewodzinych obudwu i krajczego koronnego Leszczyńskiego, zięcia jego, najpierwsza więc deklaracja była téj chorągwi, gdzie porucznikował zastępca, a deklarował Kraszowski, towarzysz. Druga zaraz deklaracja była chorągwi naszéj, gdzie ja ćwierci jeszcze dosługiwałem, lubom dał wojewodzie słowo. Mówiłem jednak tak, a kompanja nasza i z pod wszystkich chorągwi jak najliczniéj zgromadzili się: „Nie wiem, jakby się ten mógł nazwać synem ojczyzny, któryby dla swojéj prywaty, miał cale zapomnąć publicznych ojczyzny interessów. Marnotrawnymi synami nazywa świat takich synów, którzy dla jednéj tylko na krótki czas wygody, massę całéj swojéj zaprzedają substancji, i te części, któreby z sukcessorami swymi mogli wkrótce zażywać, jednym razem swawolnie utracają. Do Rzeczypospolitéj mamy pretensje zatrzymanych tak wiele zasług. Ale gdy uważę, że to do Rzeczypospolitéj nie węgierskiéj, nie niemieckiéj, ale polskiéj, naszéj własnéj matki, toć téż podobno jako z matką należałoby postąpić, bo matka każda, gdy się jéj przebierze chleba, nagradza zwyczajnie dzieciom swoim zatrzymane śniadanie dobrym obiadem, i także nie da im upadać pod ciężkim głodem. Gdyby jéj swawolne dziatki gospodarską razem wyniszczyły śpiżarnią, jużby się podobno i zatrzymane nie nagrodziło śniadanie i do dalszego wiktu upadłyby sposoby. (Tu w oryginale brakuje dwóch stronnic). Jest nowa zwłoka, a nieprzyjaciel

się wzmocni, kiedy mu czasu pozwolimy. Bóg się rozgniewa, kiedy łaska jego i ta ręka Boska, która za nami wojowała, będzie przeciwko nam, że nietylko nieprzyjacielskiego nie otrzymamy, ale i swego uronimy. Jawne to rzeczy, mości panowie, jawne, że nas dotąd piastowała Boska opieka. W kronikach się tego nie doczytamy, żeby od polskiéj szabli, dokładam, przy takiéj wojska szczupłości, tak potężne i wielkie miały upadać mirjady. Uważajmy to, jako ten jaszczurczy naród trzy części ojczyzny naszéj mieczem i ogniem spustoszył. Uważajmy, jak wiele Bogu w jego kościołach poczynił obrazy. Uważajmy, jaką nam podczas wojny szwedzkiéj stał się przeszkodą. Pokażmy to, że téż umiemy za granicą szukać chleba u tych, co go u nas tak wiele napsowali. Zrzućmy nakoniec z siebie owę od sąsiednich narodów wyrzucaną narodowi naszemu gnuśność. „Grozi wojną, powiadają oni, lecz jéj nie toczy, tak cały naród polski zwykł czynić.“ Będzieto z lepszą sławą i z lepszym naszym pożytkiem, bo i Bóg na przyszłość pobłogosławi rzeczy nasze, a bracia nasi, choćby téż mieli z kamienia serce, muszą na szczerość naszę respektować, i w obfity kraj wszedłszy, może nam Bóg lepsze, niżeli na domowéj skibie, obmyślić chleby. Tę tedy w imieniu całéj kompanji naszéj przynosząc deklaracją, oznajmiam to, że komu się dobre nasze chęci nie zdają, pewnie i nam jego. Nie wiem, jakie dawszy im nazwisko, całemu, że tak pozwolę sobie wymówić, wojsku dywizji naszéj podobać się nie będą, oraz protestuję przed niebem i ziemią, jeżeliby jaką przez czyj upór ojczyzna poniosła krzywdę, że my chcemy jéj synowską wyświadczyć miłość.“ Słuchali przecie, póki mówiłem, spokojnie, ale jakem skończył, stało się srogie szemranie; jedni mówią tak, drudzy tak, trzeci tak trzeba, inni tak trzeba, inni znowu mówią: żle, nie potém. Wyrwie się nareszcie kilku biboszów i poczną wszyscy razem wrzeszczeć: „Nie dziwujcie się panom Czarnieccczykom, że sobie roszczą skrupuły, bo oni tam w dywizji swojéj samych Jezuitów mają kapelanów. Oni to ich temi nadziewają skrupułami.“ Aleć jak to ich inni ohuknęli, umilkli. Zastępcy zaś miło było tego słuchać i pokazował to jawnie, bo widział, że wszystka sława, cokolwiekby się dobrze stało, byłaby przypisaną jego reputacji, gdyż był mąż dzielny i żołnierz dobry. I marszałek tegoż był zdania, ale tego nie pokazywał z téj przyczyny, żeby się zdał potakiwać tamtym. Jak się owo szemranie uspokoiło, nastąpiły potém innych chorągwi deklaracje, które punkt w punkt deklarowały. Jak się półk królewski skończył, toż dopiero i innych

półków w tějże samėj myśli; nawet te chorągwie, które przeciwnėj z nami były myśli, a tych było sześć, zszepnąwszy się z sobą od poprzedniėj intencji i zgodnie z nami deklarowały, żeby iść w kampanją cokolwiek wytchnąwszy i sporządziwszy się. Hetmańczykowie widząc w nas stałość, widząc, że nas w tėm nie przełamią, nie chcieli nas drażnić, bo widzieli, że byłoby nie dobrze na nich, gdyby nas od siebie pozbyli i gdyby Czarniecki miał siły, który był duszą i ciałem królowi oddany. Stanęło na tém, że się wszyscy zgodzili, aby tak było. Solwowano tedy kołowanie, obiecawszy o tém, da Pan Bóg stanąć na konsystencji, postanowić.

Nazajutrz naznaczono konsystencje; siedmiu marszałków z zastępcą w zamku kleckim przysięgało wojsku, starszyzna na wymyślną ostrą rotę, wojsko starszyznie nawzajem; niektórzy zwłóczyli przysięgę (i ja także) do dalszego kołowania.

Poszły tedy półki oddzielnie, każdy do swego stanowiska; posłano także 3,000 wojska po owe chorągwie, których było 9 z dywizji naszéj, aby one wciągnąć do związku, bo tego tylko potrzebowały, żeby je przymuszono, z przyczyny, iż to były królewskie i regimentarskie, aby się tém zasłoniły, że to musiały uczynić. Tak się więc stało, że do związku przystąpiły. Poodbierano tedy starostwa, tenuty, ekonomje i podzielono między wojsko. Rozgościwszy się na stanowiskach, skoro próżnowały i skoro się zbytki i pijatyki wkradły, już owa pobożna intencja poszła w zapomnienie; jeżeli kto o tém wspomniał, okrzyczano go zaraz, strojąc do króla i Rzeczypospolitéj te grymasy: „że nam tak grożą, że na nas tak następują, że nas obiecują znosić, i za cóż im mamy tak nadskakiwać?“ Rzeczpospolita ospale téż koło siebie chodziła, i tak się wszystko stało, jakom ja, choć prostak, mówił, bo gdy związek aż do trzeciego roku trwał, Moskale się téż tymczasem wzmocnili, a wszedłszy późniéj w traktaty, już swoję siłę widzieli, już naszę niezgodę zważyli, i hardziejsi już być poczęli, a którym nietylko byśmy byli mieli co wziąć, lub téż swoje odebrać, aleśmy im jeszcze dobry dali bassarunek, za to, żeśmy ich wybili (o czém niżéj obszerniéj będzie).

Takto Bóg zwyczajnie umyka dobrodziejstwa tym, którzy sobie danego nie umieją zażyć, bo, jak powiadają, zwyciężyć, a umieć z zwycięztwa korzystać, wcale inną jest rzeczą. Po tak więc znacznych zwycięztwach nad nieprzyjacielem odniesionych, kiedy za osobliwą Boską protekcją oswobodziwszy ruskie, litewskie i białoruskie kraje, usławszy pola ich trupem, tojest moskiewskim i łę-

żackim, i ziemię tę, którą nam zawojowali byli i przywłaszczyć sobie pragnęli, krwią napoiwszy; fortece zawojowane odebrawszy jedne szturmem, drugie przez traktaty, i ugasiwszy ten tak straszny zapał, tryumfującemu do stolicy moskiewskiéj pospieszyć trzeba było wojsku, a zhukany i już prawie upadły nieprzyjaciel przyznałby był zwycięzką rękę i przyjął jarzmo niewoli, gdyż już cały naród o tém mówił i tak uczynić chciał z przyczyny bojaźni, którą Pan Bóg już był na nich dopuścił, że i z stolicy za białe jezioro uciekali, czego doszedłem będąc póżniéj w Moskwie (o czém będzie niżéj); poszło wojsko do związku, nie tak dla zatrzymania zasług, jako raczéj dla praktyki czyjéjś i fakcji, które promowować chciano pod pozorem zasług wojsku zatrzymanych, przez wojsko w związku zostające. Car moskiewski nie żałował też smolnego łuczywa na podpalenie tego ognia, bo latały gęsto. Ale ten związek sprawiła ta okoliczność, że ktoś chciał ryby łowić w odmęcie, widząc króla bez następcy i już upadającą linją owéj sławnéj Jagiellońskiego domu familji. Luboć wprawdzie zadłużyła się była Rzeczpospolita wojsku, ale po staremu jeszczeby się było mogło potrzymać, wziąwszy cokolwiek na rachunek od Rzeczypospolitéj, bo nie było tak ubogie, a osobliwie nasze w Czarnieckiego dywizji, które bogato i konno z Danji wyszło, w moskiewskich też okazjach pewno nie straciło, ale się zapomogło, obeszłoby się było wojsko bez zasług i tego związku nie stroząc. Ale ponieważ tak się już stało, trzeba było zaraz na zrazie ujmować wojsko łaskawością, nie surowością, co lubo potém nastąpiło, ale już było za późno, kiedy już zasmakowała owa swoboda, kiedy już czuł jeleń na głowie rogi, kiedy już 60,000 szabel było, jak mówią, jakby je gołębiowi z gardła wybrał.

Stanąwszy więc w Kielcach w najpierwszém kole, wniesiono tę materją, żeby przysięgali ci, co jeszcze przysięgi nie złożyli na wierność starszyznie i nie wyjawianie sekretów, i żeby się nie odstępować aż do jeneralnéj amnestji, na co niektóre chorągwie sarkały, mając przed oczami bojaźń Bożą, osobliwie te, które nie bardzo do tego związku miały apetyt; jednak nieznacznie, drudzy obawą kary, inni zaś, słodyczą mienia i tak wielkich chlebów uwiedzeni, musieli przystać. Ja zaś będąc pomiędzy młotem a kowadłem, mając równo z innymi zasługi i będąc godzien wespół z nimi tak tłustego chleba, chciałem być w związku, bo mi tam jakiś urząd kanclerski już byli naznaczyli, ale przysięgą nie chciałem się wiązać i tak przez kilka czasów unikałem jéj jakom mógł, bom się

zawsze wystrzegał tego przysięgania, aż dopiero za czwartém kołowaniem, kiedy już porucznicy podawali rejestra przysiąg odprawionych swoich kompanij, nacisną na mnie serjo, żebym nie odwłócząc przysiągł. Biorę tedy głos i już mowę poczynam, aż mi zastępca przerwał, deklarując wojsku, że to już na siebie bierze, jako mię nakłoni perswazjami, iż to uczynię na jego przedstawienie, że przysięgę na umówioną rotę złożę. Mówi mi zatém, już się nic nie obawiając, że to uczynił, żeby na mnie jakie nie powstały zniewagi od ludzi pijanych, jeżelibym był co przyostrzéj wymówił, albo się téż z przysięgi wyłamywał. Co bez mała byłoby i nie nastąpiło, bom téż i ja trochę był podweselił głowę z dobrą kompanją. Po zamknięciu tego koła, żąda odemnie zastępca wszelkiemi sposobami, przekładając przed oczy korzyść stąd całéj dywizji, kiedy w rękach naszych pióro będzie, oraz dobro całéj Rzeczypospolitéj, kiedy my, cośmy poszli do związku bardziéj przymuszeni, niż zaproszeni, będziemy mieli prym w radach, przekładając korzyść i poprawę fortunną z tego urzędu, mówiąc, że ten urząd może więcéj uczynić intraty, niżeli całéj jednéj chorągwi. Przekładał i to, że kiedy nas więcéj będzie chodziło na radę takich, którzy dobrze życzymy ojczyznie i chcemy iść na wojnę przy tym chlebie, to téż prędzéj intencją naszę przywiedziemy do skutku, a jeżeli dokażemy, że pod naszę dyrekcją pójdzie wojsko na imprezę, to i moje i twoje imię będzie światu znajome. Aleć mnie te smakowite propozycje żadnego nie czyniły gustu, choć były pozorne, kiedym sobie na przysięgę wspomniał, tak mi się był dobrze ten skrupuł w głowie ugruntował. Rozgniewał się tedy Borzęcki i z takiemi wypadł słowy: „Nie chcesz na moję życzliwą uczynić intencją, obaczysz, żeć jutro więcéj wyperswadują kilkaset obuszków, kiedy ci je w kole pokażą. A ja téż tam natenczas nie będę, ponieważ moję przyjaźń tak lekce ważysz.“

Nazajutrz tedy zastępca do koła nie przyszedł, i jam sie téż tam nie kwapił; ale że po mię przysłano, musiałem. Zaczęła się tedy materja o przysięgach, żeby koniecznie złożone były, kto ich dotąd jeszcze nie czynił. Przysiągł tedy wprzód Chochoł, a potém kilka różnych kompanij, a w tém idzie zastępca; lubo się był chorobą złożył, żal mu jednak mnie było, żebym w złe jakie nie wpadł terminy, bo mię bardzo kochał. Gdy już więc i mnie każą przysiądz, mówię tak: „Wszakto nie boże przykazanie, aby koniecznie każdy towarzysz w kole jeneralném przysięgę odprawił, ale wolno i w partykularném przed swoim oficerem to wykonać, co i tu.“

Odpowiedziano mi: „Nie może być, jeno tu, chceszli mieć ten honor w rękach, który ci wojsko dać zamyśla.“ Chciałem jeszcze prosić o namysł do jutra, ale jakby mi coś poszeptało: mów już rzetelnie co masz mówić. Po prostu, wcale się nie chwytało moje serce i związku i tych wszystkich obietnic, i niewiem czemu. Zacząłem więc mówić do nich temi słowy: „Moi mości panowie! Od zaczęcia służby mojéj ponosząc wszystkie trudy od nieprzyjaciół ojczyzny z niezmarszczoném okiem, ponosząc wszystkie prace wojenne wesołém czołem, odbierając wszelakich szczęśliwych i nieszczęśliwych losów przemiany śmiałemi piersiami, z uszczerbkiem mojéj substancji, nie widziano mię nigdy za szeregiem, chyba tam, gdzie należało być obok z chorągwią, matką moją. I mogę to śmiele mówić: „kto o mnie wie, że nie tak jest, niech rzuci kamieniem!“ z których przyczyn poczuwam się być na równi z dobrze zasłużonymi w téj ojczyznie synami. Co jeżeli tak jest, toć podobno kto zarówno idzie do roboty, zarówno téż ma należeć i do zapłaty, a zatém równo mię tyczą, co i kazdego z waćpanów, pretensje do Rzeczypospolitéj. Poczuwam się, że upomnieć się mogę śmiele zasłużonego żołdu. Także i do téj sztuki hibernowego chleba posięgnąć mogę śmiele ręką, bo nie dopiero przysiadam się do niego, kiedy go z pieca wysadzają, ale wtenczas jeszcze, kiedy nam ostrém zabrano żelazem; o chleb tedy prosić nie będę, bom go krwawie zasłużył i należę do niego równo z drugimi. Ale o to proszę waćpanów, a mianowicie starszych braci naszych, że ponieważ pracowałem nie dla przysięgi, żebym go téż mógł jeść nie dla przysięgi. Jestto chwalebne dzieło, żeście wynaleźli sposób i upatrzyli czas do windykowania zasług naszych, za co dziękować zawsze należało i należy. I to rzecz potrzebna, że waćpanowie nadając stały obrót rzeczom naszym, a osobliwie w przypadkach dalszych (nie wiedząc jakie nastąpią) zaradzając okazjom, obmyśliliście taką przysięgę, którego sposobu lubo ja nie ganię, ale że jakiś mam do niego wstręt naturalny, dla tego zaraz z początku w najpierwszém kole opowiedziałem się z tém, że ja przysięgać nie myślę, bo jako twardoustemu koniowi czasem i arabski nie pomoże munsztuk, tak kogo wrodzona nie ustrzeże poczciwość, takiego i tym podobne przysiąg węzły nie utrzymają i nie będą hamulcem. Większa i owszem stąd pochodzi obraza majestatu, kiedy Bogu kawalerskie przyrzekłszy słowo, łamiemy je. Nie wiem, jeżeli tego nie żałował Katylina, że kiedykolwiek na to się ubezpieczył, że współsprzysiężeńców obowiązał przysięgą; nie wiem, co pomogło Annibalowi, choć przy-

sięgał uroczyście zgubę Rzymian, kiedy mu nieba inakszą, niżeli sobie obiecywał, obmyśliły fortuny koléj; uważyć, co za pociechę miał Xerxes, że na wierność obowiązał sobie przysięgą spartańskiego Demarata, kiedy życzliwszy, choć niewdzięcznéj ojczyznie swojéj, wygnaniec, wszystkie następującego na ojczyznę nieprzyjaciela wykrył sekreta, a potém i na okrutne jego zabójstwo podszczuł stryja rodzonego Artabana. Zgoła, więcéjbym takich mógł wyliczyć przykładów, które się ograniczają bardziéj hamulcem cnoty i poczciwości, niżeli przymuszonéj przysięgi. Ja tedy oświadczam, że nie wiem, na co się przygodzi ta przysięga, któréj waćpanowie po mnie wymagacie; jeżeli dla tego, żebym związku nie odstąpił, jest to przeciw rozumowi, abym ja, którym nigdy nie był zbiegiem z obozu, choć w największéj biedzie, kiedy rzadko było jeść a gęsto się bić, miałbym teraz wojska odstąpić, kiedy nigdy się nie bić, tłusto jeść a słodko pić, a choćbym téż odstąpił, nie jestem żadnym półkownikiem, półki i kompanje nie pójdą za mną; w kilkudziesiąt tysięcy wojska nie znaczna przez osobę moję będzie ujma; jeżeli zaś z téj racji, że to waćpanowie urząd kancellarji chcecie na mię włożyć, w tém ja gotów być posłusznym woli waćpanów i służyć według sił moich pod warunkiem, żebym nie przysięgał, bo mię ani ten, ani żaden inny urząd i największa jego intrata do tego nie przywiedzie. Proszę tedy waćpanów o to, jeżli być może. Tak deklaruję, że te wszystkie okoliczności, na które wojsko przysięga, ściśléj zachowywać będę, aniżeli kto pod przysięgą, dając w ten zastaw zdrowie i krew moję, które zawsze będzie w rękach waćpanów; jeżeli zaś tego nie uproszę i tego nie mogę być godzien względu, to już do rady wchodzić nie chcę, o sekretach wiedzieć nie pragnę, ale chleba nie odstąpię, bo tego bez przysięgi może zażyć, kto go dobrze zasłużył.“

Uczynił się tedy huczek nie mały: przeciw i za, jako czyj przeciwko mnie dyktował affekt, osobliwie Pukarzowski, towarzysz natenczas starosty krasnostawskiego, który ten urząd, co mnie nim częstowano, na siebie ciągnął, jakoż i był na nim, ale między sześciu jeden, wymówił w imieniu wszystkich: „Lepiéj że od nas, kto z nami zarówno pociągać nie chce; kto z nami chleba, my z nim kołacza jeść nie chcemy.“ Ja odpowiedziałem: „Źleś rozumiał słowa moje, bo ja lubo nowości, jako szkodliwéj, nie chwalę i nie porywam chleba, jednak chcę i tym nie gardzę, bom go zasłużył i lepiéj i dawniéj niżeli waćpan.“

Tegoż dnia poszedłem żegnać marszałka. Spytał mię: „dokąd

jadę?“ Powiedziałem: „że do chorągwi poczet prowadzić, a ponieważ nie godzienem zasłużonego chleba u związku, pożywi mię jeszcze domowa skiba z łaski ojca mego.“ Zastępca, lubo mój wielki przyjaciel, już się zemną od żalu i gniewu żegnać i widzieć nie chciał. Doniosło się to jednak do nich, czegom się przyznał przed moimi konfidentami, że ja mało co koniom w domu odpocząwszy, jadę do rotmistrza na Białą Ruś pod Czereją, kędy on natenczas Chowańskiego, hetmana moskiewskiego, już po czwarty raz gromił. Jak prędko tedy o mojéj dowiedzieli się intencji, zaraz posyłają do chorągwi, żeby mię z pocztu nie wypuszczano, co i tak się musiało stać, bo pierwéj tam kozak marszałkowski przyjechał do chorągwi, niżeli ja. Tym terminem chcieli mię od imprezy odwieść, ale i to nic nie pomogło, kiedy ja kilka dni tylko pobywszy u chorągwi i na waletę zażywszy z dobrą kompanją, pojechałem do domu, pocztu odstąpiwszy, lóżnych tylko pobrawszy, i więcéj nie powiadając tylko to, że do domu jadę. Pochwalił ojciec intencją, bardzo dziękując i błogosławiąc, żem tak uczynił. Matka także, lubo mię jednego tylko miała syna, ale była téj fantazji, że od największych i niebezpiecznych okazji nigdy mię nie odwodziła, mocno wierząc, że bez woli Bożéj nic złego spotkać człowieka nie może.

Oporządziwszy się tedy w domu, w samo święto S. Marcina wyjechałem z domu, koni dobrze podkarmiwszy i więcéj przykupiwszy, bo i pieniądze z łaski boskiéj były duńskie i ojciec téż dodał. Jadąc więc tam, spotkałem się w Łyssobykach z chorągwią naszą hussarską, któréj Kossakowski porucznikował, która, po wielu naradach, szła do związku. Tamże wielu moich krewnych zostawało i musiałem z nimi spocząć kilka dni, alem się z moją nie objawił intencją, tylkom powiedział, że jadę do pana Kazimierza Gorzewskiego, stryja mego, do Targoniów, pod Tykocin, który na Tykocinie był kommendantem, i uwierzyli temu snadno, wiedząc, że to mój stryj, boby mię byli mogli odwodzić od téj imprezy, gdybym się był przyznał, a osobliwie cioteczny mój, Trzemeski Stanisław, który tam był namiestnikiem. Odjechawszy tedy od nich, zajechałem do wsi pod zieloną puszczą na pierwsze roraty, gdzie téż był jmćpan Stanisławski, cześnik warszawski, a dworzanin królewski, który gdy mię obaczył w kościele, lubo mię przedtém nie znał, jednak jako człowiek ludzki, począł mię szczerze prosić, żebym u niego odpoczął, albo przynajmniéj obiad zjadł. Kiedym się wymawiał i powiedziawszy już szczerze, gdzie jadę i z jakiéj okazji odstąpiłem związku, tém bardziéj prosić począł, chcąc mi zawdzię-

czyć w domu swoim jako stronnikowi królewskiemu, i obiecując pisać do dworu, żebym tam uznał wszelką wdzięczność. Gdy tedy nie mogło być inaczéj, wstąpiłem, gdzie wpadłem w taką ochotę, że i mnie, i czeladzi, i koniom, było jako w raju, nawet szpyca mego na jedwabnym węzgłówku posadziwszy u stołu, na srebrnych talerzach, prosto z półmisków, jeść kładziono. A w tém przyjechał tamże Mazepa, pokojowy królewski; byłto kozak nobilitowany, i jechał z Warszawy do króla, w Grodnie natenczas będącego. Tam więc w posiedzeniu, że się różne rozmowy prowadziły, z których jakoś mojéj osoby pretendując godność, taką głowę sobie naładował opinją, mówiąc, że to niepodobna, aby ten człowiek bez przyczyny miał jechać w litewskie i białoruskie kraje. Ja jechałem powoli, on zaś do króla skoczył spieszno, i chcąc się przypochlebić, opowiedział, że jedzie tu towarzysz związkowy z pod chorągwi pana wojewody ruskiego, który udaje, że to do rotmistrza swego na Białą Ruś przebiera się, ale ze wszystkich okoliczności niepodobna . . . .

. . . .

(Tu w oryginale dziewięć kart brakuje. Wnosić jednak można z tego co następuje, że Pasek udany przez Mazepę za posła od związkowych do Litwy, został schwytany i stawiony przed senatorami w Grodnie. Jakoż następuje jego własna obrona). Bo go w ręku dobrze zasłużonych ledwie dziesiątą część widzę. Już ja połowę ojczystéj mojéj uroniłem substancjéj. Już nieraz, wiadomo to jest całemu wojsku i wodzowi memu, nie skąpo dla ojczyzny utoczyło się krwi; jużbym się téż zgodził dobrze zasłużonych choć regestr zawierać, a przecie niedostało mi się i wielu inszym odemnie zasłużeńszym tego pokosztować chleba. A takich wiele widzę, którzy lancetem francuzkim medjannę otworzywszy, krew rozlewali, albo ich cyrulik nieostróżnie golił. A przecie do chleba dobrze zasłużonych najbardziéj się cisną, niepracując nań najpierwéj go jeść, panem z niego zostać, a potém uboższych uciskać, i dobrze zasłużonym na sejmach i sejmikach insulty robić, i w zasługach od siebie lekceważyć. Rzeczpospolita i majestaty jaki z nich mają pożytek? A to taki: sejmy i sejmiki zatrudniać interessami prywatnemi, promowując swoje interessa, zabierając czas publicznych czynności niepotrzebnemi zbytkami i bankietami; chleb z gardła wydarty ludziom zasłużonym obracając na fakcje, korupcje i dochodzenie swoich interessów; do skarbu Rzeczypospolitéj drzeć się oślep jak kotka do mleka. A skoro się cokolwiek za-

marszczy fortuna, albo najmniejsza jawi przeciwność, skoro im wdzięcznych nie stanie Fawonjuszów, a przykre dmuchają Akwilony, do cieplic z gęsiami, zapomniawszy starania około ojczyzny, uciec za granicę, i w cudzoziemskich miastach dać się szarpać jako cyganie. W domu lwy, za domem liszki. Mamy tego niedawną próbę, wojnę Szwedzką, kiedy już srożyć się fortuna i wszystko się burzyć poczęło; kiedy nas ościennych narodów prawie wszystkich spólnie i razem ścisnęła potęga; kiedy na oparcie się tak ciężkim zapędom nieprzyjacielskim, już nie garści zhukanego wojska, lecz tak wielu sturęcznych trzeba było na pomoc Tyfeów: siłaż się obrało tych zelantów? żeby mieli w potrzebie radą i substancją podpierać już upadłą ojczyznę? siłaż się ich garnęło do boku Pańskiego? Widząc go pozbawionym wszełkiéj nadziei i rady, każdy w swą, każdy w nogi; oprócz niektórych a bardzo niewielu poczciwych i dobrych senatorów i panów, którzy albo Pańskiego trzymali się boku, albo wojska, które jako odyniec w kniei, zmykając się z miejsca na miejsce, wewnątrz jednak ojczyzny, okrutnym ucinało się brytanom. Aż dopiero jak Bóg łaskawym na nas wejrzał okiem, jak trochę ojczyzna otrząsnęła się z biedy, dopiero Panów Zelantów do obrony ojczyzny odzywa się ochota. Późno mielą młyny bogów. Aż dopiero jak z myszéj jamy przybyło zębów na chleb, lubo z konia Trojańskiego nie było rąk do obrony. Takim było takim łuszczy-bochenkom spodziewać się że kiedykolwiek od wojska, a ledwie nie za tą okazją, będzie na nich gan, bo ciężko dzielnemu rumakowi, gdy go nikczemny od żłobu odjada osieł. Wiem ja to bardzo dobrze że to uwięzienie mię potkało za zdaniem rady; ale jeżeli ta rada jest zbawienna majestatowi i ojczyźnie, uzna to świat. Bo jeżeli mię to za cnotę i miłość moję przeciwko ojczyznie potyka, niewinnego mię kamienują; jeżeli jako posła, i to przeciwko prawu narodów, przeciwko prawidłom sprawiedliwości, ponieważ cokolwiek nie było roztrząśniętém, za sprawiedliwość poczytane być nie może. Jakążkolwiek z tych dwóch intencją, widzi się to zrazu temu co grzeszy, że bardzo dobrze czyni, bo wykraczającym nawet pozór cnoty jest pożądanym. Ale końca patrzeć. Jam jeden z 60 tysięcy wojska, którym tak uczynił, nie z żadnéj potrzeby, nie dla żadnego występku, ale z saméj tylko przeciwko ojczyznie miłości, żem porzuciwszy wczasy, i owe które teraz najlichszy towarzysz może mieć wygody, idę na wojnę, idę w kompanją, choć przykréj zimy nie uważając niepogód; tam idę gdzie się biją, tam gdzie krew za słodki likwor piją. Pochwalił mi

ten postępek ojciec mój, chwalili interessanci domu mego, i ci wszyscy co dobrze życzą ojczyznie, prawie z zaręczeniem, że mi się to jakąś od ojczyzny miało nagrodzić wdzięcznością. Aleć poczęło się już widzę nagradzać, kiedy mi na dobrowolnéj drodze, wśród lasa, zastąpiono, porabowano i do więzienia wsadzono, kiedy mię jak do Rzymu afrykańskiego (jeńca) na tryumf wprowadzono. O jakaż to sroga wiktorja jednego wszystkim zwojować, wszystkim nad jednym pastwić się i urągać! Tameno tam gdzie sześćdziesiąt tysięcy szabel błyśnie w oczach, z tém prezentować się męztwem, nie tu nad jedną osobą. Będzie to wiedziało wojsko jako w mojéj osobie poniesionego upominać się kontemptu; bo lubom nie konfederat, alem żołnierz równo z nimi do zasług należący, lubom nie poseł, ale kiedy jako posłowi ten dyzhonor uczyniono, zamiar stoi za skutek. Nie z Jaskulskiego to związkiem igrać wtenczas kiedy lepsza część wojska była za morzem; wszystkie to w kupie są siły, które mogą i pomódz i zaszkodzić. W czyich rękach jest oręż, w tych mocy i ocalić i zgubić Rzeczpospolitą. Wrócę się do wojska; będę umiał opowiedzieć jakiéj mają za krwawe zasługi spodziewać się wdzięczności. Będę umiał upomnieć się każdemu, kto taką na mnie i całego w osobie mojéj wojska przykroił ferezją. A teraz przed niebem i ziemią oświadczam się w krzywdzie mojéj i tego com dla ojczyzny uczynił szczerém żałuję sercem. Gdy występki korzyść przynoszą, grzeszy kto dobrze czyni.

Skorom tedy przestał mówić, jaki taki z senatorów osobną na mnie poczęli formować inwektywę, i każdemu trzeba się było odcinać. A najprzód podkanclerzy litewski przezwiskiem Naruszewicz, w ten sens: „Gdy mi przychodzi téj mowy uważyć treść, widzę że ta justyfikacja bardziéj obwinia niżeli uniewinnia: bo zapierasz się tu Wść związku, powiadasz żeś nie poseł, a za związkiem mówisz i za wojskiem rzecz trzymasz, tak jakoby formalny poseł więcéj czynić i mówić nie mógł. Już teraz i ja sam, lubom tego nie do końca rozumiał, nie zgrzeszyłbym posądzeniem, biorąc miarę że takiemu konceptowi niepotrzeba kredensu, ale się to wszystko może zmieścić w głowie, coby na papierze wszystko miało być wyrażone. Druga racja: wielkie czyni mi podobieństwo, że hultaje jacyś od wojska Litewskiego żołnierzów JKMści poszarpali, stąd widać że wiedzieli o tém. Trzecia, że tak hardzie każesz nam senatorom, niedowierzasz i króla obrażasz, przez co samo jesteś nieprzyjacielem ojczyzny i winnym zbrodni obrażonego majestatu.“ I więcéj mówił obszernie, ale cudzych słów i sentymentów trudno wyrazić

od słowa do słowa. Na co ja odpowiadam tak: Sprawiedliwe są i prawie rzec mogę wielkiego senatora konsyderacje; bo i ja sam gdybym na tém miejscu zasiadał, pewnie bym WMść Pana w podobnych odniesionego okolicznościach, inaczéj nie sądził. Na które konsyderacje taką daję justyfikacją. Na pierwszą: dziękuję ojcu memu że mi z młodu nie kazał cieląt pasać; a do tego jest to doświadczona prawda, że potrzeba rozum ostrzy. Na drugą: sprawiać się niepowinienem, ale ci którzy to czynili że mię odgromić chcieli, ani mię widząc ani mię znając, ale czynili to podobno rozumiejąc, żem ten jest jako mię udano, to jest poseł. Że ich zaś WMPan hultajami mianujesz, nie wiedziałem dotąd, żeby w tak zacnym narodzie księztwa Litewskiego mieli się znajdować hultaje; bo ich w naszém wojsku nie masz. Do trzeciéj tak mówię konsyderacjéj: rozumnemu od swojéj osoby każdéj rzeczy trzeba brać proporcją. WMPanu, przy nienaruszonéj poczciwości, gdyby zadano żeś zdrajcą Rzeczypospolitéj, gdyby przy niewinności jawnéj na dobrowolnéj drodze, prawem nieprzekonanego wzięto, uwięziono, sukienkę zguby obleczono, racz mię proszę nauczyć WMPan, jakim umysłem takową przyjmowałbyś zniewagę? Jeżeli mi WMPan powiesz, że to szlachetnemu sercu ciężki musiał być affront: a toć przekonanie, że i mnie, który z każdym dobrym zrównać się mogę urodzeniem i poczciwością. Jeżeli mię to tedy turbuje, ale mię nie konfunduje, ponieważ czuję się być niewinnym. Największa pociecha nie znać się do winy. A choćby téż i winnym był nic to nie pomoże dobremu, choćby oczy wypłakał, kiedy jest od złego w honorze i reputacjéj ukrzywdzony. Nie powinno to nigdy konfundować niewinnego, choć kto przeciwko prawu i sprawiedliwości ozuchwala się, bo to czyni na własną głowę. A dobremu fantazjéj (odjąć) to nie może. Myśl dobra w nieszczęściu zmniejsza o połowę nieszczęście: tak mądrzy powiadają. Co do zbrodni obrażonego majestatu, szkodzić mi nie będzie i Katonowa cenzura, prędzéj kto może w to wpaść, niżeli ja prywatny. Bo ja tu nie mówię do Pańskiéj osoby, nikt tego nie doczyta się w sercu mojém, żebym miał brać w złém rozumieniu łaskawe Jego Najjaśniejszego Majestatu panowanie, szczególna tylko, godzili się tylko wymówić, do téj mojéj zniewagi przyłączyła się łatwowierność. Co że pochodzi z wygórowanéj złości, ten winien kto oskarżył, nie ten kto mię bije. Do tych mówię, którzy mi tego narobili, którzy rady podawali, i tu mię uwięzili. Com tedy mówił, to i teraz mówię: (słowo wymówione cofnąć się nie może), że się każdemu w urodzeniu sobie równemu upomnieć będę

umiał. Mam sejmiki, mam trybunały, mam koło jeneralne, dwojakom obywatel, bom i ślachcic, bom i żołnierz; słów nigdy swoich zaprzeć się nie umiem. Tego się chronię, tego wzdrygają się uczciwe usta.

Ozwie się na to Pac, wojewoda trocki, podobnym, jeżeli mogę pamiętać, sensem: „Jestto rzecz prawdziwa, że to musi być boleśno, kiedy kogo jaka potyka dolegliwość, w których terminach choć kto ostrzéj wymówi, nie jego (wina), ale tego, który go do téj przywodzi niecierpliwości. Bo tak powiadają, że żal nie ma uwagi. Jeżeli tedy przy niewinności, nie bardzo mam za złe. Jeżeli zaś ten jegomość i winien i tak hardo każe, już nie prostym ale dwurażnym trzeba to nazwać grzechem, w którym już zbrodnia obrażonego majestatu i ujma naszéj senatorskiéj powagi, jako w zwierciedle reprezentuje się. Jednak też co i jegomość pan podkanclerzy (Naruszewicz) i brat mając przed oczami konsyderacje, bardziéj go winnym, niżeli niewinnym być sądzę,“ i zaraz do mnie obróci apostrofę: „Odpowiadasz tu nam waszmość wojskiem, grozisz jakąś zemstą, obiecujesz wrócić się nazad do związku. A wieszże, jeżeli stąd wynijdziesz zdrowo? A pytałżeś się, jeżeli ci stąd pozwolą wyjść z głową? Azaż to takie procedery nie gardłem pachną? Sami się do tego przyczynimy i wniesimy prośbę do króla jegomości, żebyś stąd nie wyszedł ladajako za takie uszczerbki, które spotykają od osoby nie tak téż bardzo i poważnéj i zasłużonéj, bo same to oznaczają lata.“ I daléj dosyć obszernie mówił. Na co odpowiedziałem temi słowy: „Przyznałeś to waćpan, jako jest rzecz ciężka przy niewinności tak wielką ponosić potwarz; przyznajesz waćpan i to, że cokolwiek ma w sobie żalu serce, to język jako jego naturalny tłómacz światu ogłaszać musi. A przecie waćpan dodajesz utrapienie utrapionemu; z pismem tedy zapytać się muszę: jeżeli prawdę mówię, przeczże mię bijesz? Grozisz mi tu waćpan śmiercią; jestto wszystkich żyjących wspólne przeznaczenie: „Kto żyje, umrzeć musi.“ Staremi to waćpan straszysz mię awizami, które nie wiem, jeżeli nie prędzéj dójdą waćpana gabinetu, niżeli mego szałasu; jeżeli nie będą waćpanu straszniejsze za złocistym pawilonem, niżeli mnie na ubogiém żołnierskiém posłaniu. Kto wojnę służy, już ten gardzi śmiercią, bo jéj szuka, nie ona go. Szukałem ja już śmierci, choć w młodym wieku moim, i za Dnieprem, i za Dniestrem, i za Odrą, i za Elbą, i koło Oceanu i Bałtyckiego morza. A waszmość, mój wielce miłościwy pan, podobnobyś się obszedł, choćby się z nią i nigdy nie potykać. Ja zaś

nie dbam, bo wiem, że życia tego taka jest kolej. Wygnanie, płacz, boleść, są to obowiązki życia. Jeżeli umrzeć, to umrzeć, byle dobrze, a lepsza podobno śmierć być nie może nad tę, która kogo przy niewinności potka za cnotę i miłość ojczyzny. Bo jeżeli to jest zasługą ginąć dla ojczyzny, ginąć od synów ojczyzny, od ojców ojczyzny, ale jaki tego może być pożytek, końca patrzeć. Chcąc się ojczyznie Perseusz przysłużyć, piszą tam, zabił węża, z którego szyi krople krwi płynące, niezmierne mnóstwo wężów zrodziły. Nie ugasi nikt krwią moją niewinną zapału tego, który ktoś złą radą, nie wiem, jeżeli nie na zgubę naniecił ojczyzny. Za niewinność moję ujmie się Bóg, wojsko i moja uboga rodzina, bo mi nie trudno o krewność, dawno się czując, żem jest ślachcicem. Polęże głowa, zostaną zęby i jakażkolwiek pamięć nazwiska. Nie nowina to pod słońcem. Potykały podobne terminy osoby wielkiego imienia. I znakomici mężowie woleli zawsze żyć umysłem niż ciałem. Tych tedy wszystkich postrachów niewinność moja lękać mi się nie każe i nadziei nie tracić. Chory, dopóki dusza w ciele, nie traci nadziei. Większe jest miłosierdzie Boskie, niżeli całego świata furja. Właściwa Bogu tych zasłaniać, których godnymi być sądzi. Że zaś osoba moja w oczach waćpana nie ma, jako waćpan mienisz, powagi, cóż z tém czynić? Lata i szarza moja teraźniejsza nie potrzebuje takiéj powagi, żebyto odąć się w krześle jako pająk. Bywa to czasem, że i te wysokości równają się z nizkością. Kto ostróżny, i na starą obręcz nie nastąpi; kto rozumny, i najpodlejszego lekce ważyć nie powinien. Nikim gardzić nie należy, w kim dostrzedz można jakichkolwiek śladów cnoty.“ Znowu tenże rzecze: „Ile słów tyle nikczemności, albo raczéj rzekę urągań. Kto słyszy, przyznać to snadno może, że nie taką obwinionemu należy czynić justyfikacją, nie takiemi rozjątrzać majestat i senat urąganiami; nie tak mniéj potrzebnemi narabiać przechwałkami; wymawiając swoje przeciw ojczyznie zasługi, wyliczając ekspedycje, miejsca, rzeki, oceany, a niewiém czy to tak było, czy nie było. I my téż bywali na morzu i za morzem, a przecię tego nie wspominamy (powiedział tu jakąś sentencją, ale jéj nie pamiętam, do materjéj jednak wyrzutów stosowną). Lepiéj dla ojczyzny nic nie czynić, a nie wymawiać; a chociażby kto jako najwięcéj dla ojczyzny uczynił dobrego, jeden zły postępek te wszystkie niweczy zasługi, kiedy kto raz ją wynosi, drugi raz poniża; raz się jéj pokaże synem, drugi raz pasierzbem; a źle uczyniwszy jeszcze się

chełpi i stanom Rzeczypospolitéj kurzy pod nos, ale na taką hardość dostanie wieże i miecza.“

Na co ja znowu daję taką replikę: „Insza to rzecz być obwinionym, a insza winnym; ja widzę się być obwinionym, ale nie czuję się być winnym, i dla tego téż ja bronię niewinności. Niewinność za mnie walczy. W Bogu mam nadzieję że w tym odmęcie nikt ryb nie nałowi. Zasług przeciwko ojczyznie nie wymawiam, ale je tylko przypominam, dając je na szalę uwagi, jeżeli mi za nie taka jaka jest obecnie należała nagroda.

Jeżeli się komu w zasługach moich jaka czyni wątpliwość, czy to tak było czy nie było, świadczą blizny na piersiach poniesione; jest tak wiele współtowarzyszów moich, co mię w tém wyświadczą, ci co tam byli, co na to patrzali. Ten trudno tego miał widzieć, kto w domowych wczasach siedząc, jadł ostrygi, ślimaki i trufle. Czy kto był, czy nie był na morzu i za morzem o tém sprzeczać się nie chcę, i owszem łatwo wierzę, bo suknia wskazuje jakimi w sercu jesteście. Ale przecię insza to jest natura podróżowania, uczyć się: Piiela Italiano? Piiela francieso? a insza uczyć się: verdo! mien hasto! Insza to słuchając wdzięcznéj melodjéj uczyć się baletów, skoków, tańców, szykując podkasałe nóżki jako z rejestru, a insza słuchać dźwięku marsowéj kapeli; insza rozlewać słodkie likwory, insza rozlewać krew.

Dla ojczyzny żem zawsze czynił co mogłem, w tém się czuję; przeciw ojczyznie zaś ani przedtém ani teraz, i dla tego mianować się bezpiecznie mogę synem jéj a nie pasierbzem. Prędzéj bym podobno między ojcami ojczyzny domacał się ojczymów, których knowaniami wyniszczona i do ostatniego ubóstwa przyprowadzona Rzeczpospolita; których pokrzywdzeniem w najgłębszéj Demokryta utopiona sława jéj studni, męztwem zaś, dzielnością wojska z labiryntów tak ciężkich wyprowadzona i restaurowana. Dalekich nie szukając dowodów, Szwedzka wojna jakiéj narobiła szkody i konfuziéj ojczyznie! Szwedzką wojnę kto zaś zbudował? — złe rady pośrzedniego stanu, a sąd Radziejowskiego niesprawiedliwy, a wczém niesprawiedliwy, nie tłómaczę, bo do świadomych mówię. A jeżeli wojnę zacząć, to ją na dobrym zacząć fundamencie, żeby koniec nie konfundował początku, i żeby tego co zaczniemy nie żałować, czego jest widoczny konterfekt wojna Szwedzka. Przypomnieć sobie wolno jak nam ciężka była rzecz, odstąpić deliciéj domowych zbiorów i majętności, a cudze za granicą pocierać kąty; przypomnieć przeciwnie, jak miło, choć już z wyniszczoną karboną

powracać do rodziny, i powitać domowe progi. Któż to sprawił? pewnie nie ten, który za granicą siedział, pytał: „Co się tam w Polsce dzieje?“ Ale kto? Bóg przez narzędzia ordynansów swoich, przez ręce i dzielność wojska, przez fatygę i czułość dobrych wodzów; albo raczéj w liczbie pojedynczéj mówiąc: jeden człowiek przez zwłókę naród nasz ocalił. Teraz zaś z konfederacją albo grzeczniéj mówiąc z związkiem teraźniejszym, jakoby postąpić? obaczę jeżeli go tak prędko rozwiąże ten co go związał. Jest to węzeł Gordyjski, i dwiema palcami związać go było snadno, ale po chwili nie da się rozwiązać i zębami; kto go zawiązał, winien Bogu i ojczyznie. Wołał tam kiedy pobożny monarcha na niedobrego administratora: „Warusie, wróć mi legjony!“ Trzeba by naszéj Rzeczypospolitéj, osobliwéj przeciwko tylu Warusom kary. Zdajcie sprawę wojny szwedzkiéj, którąście prywatnemi przeciwko Bogu i prawu uciążliwemi rozniecili okazjami; wróćcie Bogu od ich odszczepieńców poczynione w świątnicach zniewagi, wróćcie popalone i z ziemią zrównane miasta, pałace i zamki; wróćcie ślachcie poniesiony ucisk i stracone substancje; wróćcie z téj okazjéj tak wiele rozlanéj krwie, i zgubionych ojczyznie synów oddajcie; wróćcie na wieki niezmazaną majestatowi i całemu narodowi konfuzją. Do obecnego zaś stanu mówiąc: nagrodź, oddaj, wróć ubogim ludziom krwawą pracę, zabraną od gęby sztukę chleba, i ostatnią prawie kroplę wyssanéj krwie; wróć Bogu restauracją świętéj Jego sławy; wróć ojczyznie Smoleńska, Kijowy, Siebieże, Zadnieprza, i dalsze granice. Czyj to jest płód związek, na tego, nowego trzeba piekła, nowe i niezwyczajne wymyślić męki, na tego wołać ostrego miecza, i okrutnéj katowskiéj ręki. Bo niżeli się związek rozwiąże, tymczasem się nieprzyjaciel zmocni, i inaksza być może szczęśliwości rewolucja; a potém wytarguje na nas nieprzyjaciel to, coby my na nim mieli, gdyż taka u nas moda; wybiwszy nieprzyjaciela, zwykliśmy mu zawsze dać basarunek.

Do ojczymów tedy mówię ojczyzny, to sobie waruję, nie do ojców, nie do poczciwych senatorów. Kto się czuje być nożycami, ten się niechaj uraża jeżeli chce: ja zaś żem nigdy nie był pasierzbem, ale synem ojczyzny, matki mojéj, i być nie mogę, choćbym chciał, bo żem jest z rodowitéj dawnych Polaków krwie, nie z cudzéj ziemi przewoźny szlachcic, tego by mi wrodzona nie dopuściła miłość. Na tych tedy dobrych konsyljarzów zachować te wieże i miecza pogróżki, bo się ja ich nie boję. I choćby niebo runęło, niezlęknionego przywalą gruzy.“

Jeszcze tedy po mowie mojéj niektórzy zabrali się mówić; ale żem to przy dokończeniu rzekł: kto się czuje nożycami, ten się o tém niech uraża (które przysłowie jest pospolite i wszystkim wiadome), jakoby ich makiem zasypał, tak milczeli. Król zaś za portjerą słuchając, jako zaś powiedziano, okrutnie się śmiał mówiąc: „Takiéj matki syn, realista jakiś, prawdę im mówi. Choćby był i prawdziwy poseł, nie kazałbym go dla téj saméj cnoty konfundować.“ Ale to mi aż po czasie powiedziano.

Po owém zamilknieniu, a poglądaniu po sobie, ozwie się Jewłaszewski wojewoda Brzeski Litewski, obszernemi słowy i racjami, ale w ten sens: „Ciężki to zaprawdę stanowi senatorskiemu uważam paroksyzm, kiedy go już ojczymami, już łuszczy-bochenkami, i próżnemi chlebami, już na ostatku zdrajcami ojczyzny nazywają, co jeżeli kogo potyka słusznie, niewiém. Mnie, lubo się w tém wszystkiém nie poczuwam po staremu, żem jest senator, boleć to musi. Jeżeli od jednego towarzysza takie nas potykają afronty, takiéj i od inszych spodziewać się konsekwencjéj. Przystoi aby się król Jmść ujął o swoję i o naszę obelgę. Boć przecie wojsko słudzy nasi, a my téż Rzeczypospolitéj głowy, trzeba to koniecznie zganić.“ W ten sens mówił, obszernie i pięknie, ale całéj mowy pamiętać niepodobna.

Spodziewałem się ja tedy zarzutów takich i tym podobnych, uważając z rzeczy, że takie miały być mowy i przygotowałem się, żebym mógł mieć przeciwko nim stosowne dowody; na insze zaś, które przyszły z przypadku, Pan Bóg suppedytował. Odpowiadam tedy w tym punkcie tak:

„Jeżeli temu kto się niewinnym czyni, choć do inszych winnych regulowana przykra się widzi, lubo nie wielka przymówka, zkądże niech bierze miarę, jak ciężko musi być temu, kto nie tylko że nie zarabia nigdy ojczyznie na żadną niewdzięczność, ale i owszem wszelaką zasłużył wdzięczności nagrodę, będąc zgoła niewinny a taką jak ja teraz odbiera infamję, obelgę, i długo pamiętną zniewagę. Że zaś WMPan mówisz: „od jednego towarzysza,“ ledwie nie dołożywszy „lichego“ i WMPan sam pamiętasz, żeś sam z towarzystwa senatorem został, a i teraz nienależałoby uboższyzh lekce ważyć. Ksiądz tylko do jednéj mszy.“

Rozgniewał się okrutnie; pocznie z impetem mówić: „A także to nas będziesz po jednemu objeżdżał? I ja tobie zaszkodzę kiedy zechcę; pamiętaj żeć to bardzo zaszkodzi, itd.“

Ja znowu mówię: „Wiém ja że mi się przyjaźń każdego przy-

godzi, ale też i moja każdemu. Jednak niech mię takiemi nikt nie probuje okazjami, bo wolę jego na zawsze odrzec się promocjéj; żeby mi zaś przy niewinności mojéj niewinne zarzucenia zaszkodzić miały, kalumnja i słowa, które przy prawdzie tu na tém miejscu wyrzekłem, nie tuszę. Zaprawdę nie wiele fortuna zaszkodzić temu zdoła, kto silniejszą dla siebie obronę w cnocie, niż w trafie losu upatrzył.“ I tą zakończyłem sentencją.

Najbardziéj się na mnie ten pan senator, o dwie rzeczy rozgniewał. Oto najprzód, żem mu przymówił: ksiądz tylko do jednéj mszy, bo nie miał wszystkiéj substancjéj, tylko jedną wieś, ale 300 pługów z niéj orać wychodziło; powtórnie, o tego towarzysza. A jam téż już umyślnie przymawiał, com komu mógł wymyślić, bom w niewinność swoję ufał, tak jak w sto tysięcy wojska; a oni to na złą stronę obracali, mówiąc: że się to tak chce wyciąć z obwinienia pod pozorem niewinności. Przyszedł tedy na to ks. Ujejski biskup Kijowski, który był jeszcze w mowę wojewody trockiego w pokoju u królestwa, za portjerą téj tranzakcjéj słuchających, i wziąwszy głos mówi w ten sens:

„Czego kto nie doświadczył, tego nie może tak doskonale rozumieć, jako ten, który na swojéj sprobował osobie. Miałem téż raz w życiu mojém, jako mogę pamiętać, kalumnją, która że była niewinna, gorzkość jéj do tego czasu jeszcze mi w sercu tkwi, i już podobno do śmierci nie wyjdzie z pamięci. I tu w tym terminie łatwo wierzę sam bym się za to ledwie nie zapisał, że to jest niewinne obwinienie; kiedy uważając wszystkie okoliczności, widzę należytą synowi szlachetnemu instytucją i wychowanie, przypatrzywszy się w części jego skromnym i poczciwym obyczajom, zaraz z młodości, tudzież i statkowi, konkludować bezpiecznie mogę, że to jest niewinna potwarz. A jeżeli niewinna, toż téż boleć musi; a jeżeli boli, toć następnie nie bardzo mieć za złe potrzeba, choć kto z żalu siła wymówić musi. Ja tedy, lubo na téj stołka senatorskiego, z Boskiéj opatrzności, a z łaski JKMości Pana Młgo posadzony prerogatywie, zawsze jednak całemu wojsku życzliwy. Każden najemnik godzien swojéj zapłaty. Że się wojsko upomina zasług, niema to nikomu czynić podziwienia, bo je oddać koniecznie potrzeba. Ale przecie tak mówię: jeszczeby to raz zakołatać ostatecznie nie wdając się do konfederacjéj, która niewątpliwie wielką ojczyznie przyniesie (obym był omylnym prorokiem!) szkodę, i pomienione od żołnierza przed oczyma stojącego straty. Jeszczeby tu usłyszeć JKMości i Rzeczypospolitéj deklaracją, nie tak zaraz

zabierać się do gwałtownych środków, postępując z królem J. Mością Panem naszym miłościwym tak nieludzko; pocztarzów J. K. Mości biorąc na drogach, listy rewidując, na dobra stołowe J. K. Mości żadnego nie mając respektu. Jawnie mówię, że tego pochwalić nie mogę; z jakiego powodu J. K. Mość Pan nasz miłościwy musi też mieć osobliwą, i na ich konferencje, animadwersacją; z któréj okazjéj uchwyciwszy ktoś podobieństwo, doniósł królowi J. Mści jakoby waszmość miał być posłem nie tylko do spisku Litewskiego, o dalszym w imprezie swojéj znosząc się procederze, ale téż i do tego wojska, które w posłuszeństwie J. K. Mości i Rzeczypospolitéj, pod dowództwem JMści pana wojewody Ruskiego zostaje, żeby ich odciągnąć i do spólnictwa związku inwitować, króla JMści zaś pozbawić wszelkiéj obrony i straży osoby. Co gdyby tak było, miałby się o co król JMść urażać, jeżeli zaś nie jest (jako i ja sam rozumiem), przypisać to trzeba nieszczęściom czasowym, że takie, zdania ludzkiego, padło na Wści rozumienie. O czém alterować się nie potrzeba, bo ta okazja żadnéj Wści nie przyniesie, ani szkody, ani niesławy, i owszem kiedy Wść dowiedziesz tego, że odstąpiwszy związku zabierasz się do tych, którzy są życzliwi majestatowi i ojczyznie, będzie to królowi JMści rzecz miła, zasługi WMści w swojéj pańskiéj mieć pamięci, i wszelaką nagradzać się będzie wdzięcznością. Nie trzeba tedy żadnéj rzeczy sądzić za doskonałą, bo powiadają: „Nie ma tego złego, coby nie wyszło na dobre.“ W czém ja upewniam że ta okazja, ani honorowi, ani dobréj reputacjéj, szkodzić, ale i owszem, do wszelakich J. K. Mści i Rzeczypospolitéj (łask) znaczny przyniesie akces. Przykreć to są czasem dobréj sławy ścieżki, ale cóż kiedy gruntowniejszą u świata zasługują trwałość, niżeli owe, które na wdzięcznych pomyślności przyjeżdżają fawonjuszach; i więcéj takich doczytać się mogę, których dla czynów trudnych cnota zostawiła dla świata pamiątkę. Któżby znał Hektora, gdyby Troja szczęśliwą była? WMści to niechaj nie konfunduje zmartwienie, które za sobą dobréj sławy i wszelkiéj szczęśliwości pociągnie konsekwencją. A teraz już nas i czas sam rozłącza. WMść chciéj do swojéj odejść stancjéj, dalszéj J. K. Mości deklaracjéj oczekiwając.“ Mówił tedy obszernie i słowami wybornemi, ale ja tu tylko treść materjéj wypisuję. A skończywszy tę konsolacją widoczne rzeczy były, że to nie w smak było senatorom, gdy rozumieli, że to jego zdanie było z myśli (króla), ja téż tego domyśliłem się, ponieważ stamtąd wyszedł. Na jego tedy słowa odpowiedział tak:

„Chwała Bogu, że wśród tylu obecnego zgromadzenia, zagrażających mniemań, doczekałem się przecie aby jednego, o poczciwości ubogiego szlachcica i żołnierza za niewinnością usłyszeć zdanie. Aleć powiadają że: „łatwiéj jest pocieszać strapionego niż cierpieć,“ po staremu, kto cierpi, ten cierpi. Jako wielkiemu biskupowi i tak znacznemu w ojczyznie senatorowi, uniżenie dziękuję. Aleć przecie gdy rany leczą, boleść jest lekarstwem cierpienia. Bo to słówko: „jeżeli“ jest to wątpiące, i przez to musi mi być ciężko, że u nikogo nie mogę być dowodnie w takiém, w jakiém się poczuwam rozumieniu. Ale cóż czynić? Zabijają cnotę; to mię tylko cieszy: uciemiężona sławniejsza, jeżeli to mię potyka z udania czyjegoś. Wolno kurcie i na Bożą mękę szczekać, ja zaś z Seneką trzymam: Że ten jest wielki i zacny, który wspaniałém sercem umie znosić szczekania, wystawiając sobie że śpiewy słyszy. Niech mi tego dowiedzie, ulegnę. A teraz nie poczuwając się być zdrajcą najjaśniejszego majestatu i ojczyzny, jeżelim godzien widzieć oblicze pańskie, waszéj król. mości pana samego o tę proszę promocją.“ Rzecze biskup: „Pewnie waszmość będziesz miał u króla audjencją, ale już nie dziś.“ Porwali się tedy i wyszli. Jam téż wyszedł, aż nie masz tylko zwyczajna przed pokojem staż. A owych już nie masz, tylko moja czeladź. Pytam tedy: „A moi panowie stróże gdzie są?“ Powiadają mi, że już z godzina jak wszyscy poszli; wnosiłem jednak, że do mojéj stancji. I mówię: „Toby teraz poseł mógł uciec, gdyby chciał.“ Odpowiada oficer Karpieński, co jego straż przed królem była: „Podobnoby był dawno to potrafił, gdyby miał wolę uciekać.“ Poszedłem więc, a przyszedłszy do gospody, nikogo nie masz, ani strzelby na kołkach, któréj było pełna sień, tylko zwyczajna moja porcja, z kuchni królewskiéj, stoi na stole. Przyszedł do mnie gospodarz, winszując mi, że już Pan Bóg dał uspokojenie. Pytam go: „gdzie się podzieli?“ Powiada mi: „że z pałacu przyszedłszy, swoje rzeczy pobrali, i tych, co tu byli zostawili, sprowadzili, i na łbie utykając, pobieżeli, przeklinając Mazepę.“ Siadłem jeść, prosiwszy gospodarza z sobą, bo już księdzu Gostkowskiemu zakazano u mnie bywać, mówiąc, że mi wszystkie odnosi nowiny, czego się od dworskich może dowiedzieć, a potém wypiwszy wina jednę i drugą flaszę, poszedłem spać.

Nadedniem przebudzę się, aż jakiś koło ścian słychać szelest, zawołam na wyrostka: „Orłowski, wyjrzyj jeno, co to za rozruch przed sienią.“ Wychodzi do sieni, a tu mu masztalerz, który u koni spał, powiada, że ci ludzie, co byli pierwéj, znowu przyszli. Jak

mi to powiedział, dziwowałem się, co to jest, czy mię to próbowali, jak owo dzieci wróbla uwiązawszy na nici, który jeśli się porwie do uciekania, to go znowu nicią przytrzymają, czyli co. Słota na dworze sroga, śnieg. Chodzą, depcą. Usłyszeli, że gadam, poczęli więc wołać: „Ej, mości panie, każ nas waść puścić do sieni, bo sam pomarzniemy!“ Uczyniłem się śpiącym. Czeladź też z sieni zawoła: „Nie budźcie pana!“ Takci stali tam do dnia, po śniegu depcąc. Nazajutrz tedy nie kazałem gospody otwierać, aż już z godzinę na dzień. Skoro weszli do sieni, pytam ich: „Na jaką pamiątkę odchodzicie i przychodzicie?“ Powiedzą: „Nie wiemy sami, co robią z nami i z waścią. Kiedy waść był w pałacu, kazano nam, żebyśmy zaraz z tamtéj straży ze wszystkiém schodzili, aby tam towarzysz ten żadnego z was nie zastał, jak przyjdzie do gospody. Po północku obesłano nas, żeby tu znowu iść i pilnować jak najlepiéj.“ Myślę, co to jest w tém? a ono to, że mię już król był osądził za niewinnego i miał mię już był wyprawić nazajutrz, ale senatorowie nabili uszy królowi jakiémś obrażeniem przezemnie majestatu, ślubując i chcąc się zapisać za to, że nie inaczéj tylko poseł. Król dał się nakoniec namówić, że powtórnie straż posłał.

Tyzenhaus też, starosta świadzki, mój wielki nieprzyjaciel, przyłożył się, mówiąc: „To wasza król. mość widzisz, że się sprawdzają moje słowa, którem mówił, że u tego człowieka stary rozum, choć sam jest młody.“ Przychodzi do mnie ksiądz biskup kijowski i perswaduje, żeby się niepodawać w niebezpieczeństwo życia, żeby się spuścić na dyskrecją pańską, powiadając: „Z poczty to przyszło, że ciebie wojsko posłem wysłało, a z lepszém to będzie twojém, wyznawszy wszystko dobrowolnie; będzie i łaska pańska, będą i promocje, i zaraz cię do boku swego król weźmie. Będzie i starostwo dobre. Cóż ci przyjdzie z łaski wojska? już król cię zrozumiał, słysząc twoje mowy; już widzi dobrą głowę twoję, będzie cię zażywał; już w tobie zrozumiał stałość, którą i sam chwali, że wśród takich obrotów dotrzymujesz wojsku słowa i nie chcesz ich wydać z sekretu, która cnota w każdym człowieku jest chwalebna, i panowie takich ludzi radzi zażywają i zawierzają im. Dajże się już nachylić mojéj perswazji, a ja cię na sumienie moje kapłańskie biorę, żeć nietylko włos z głowy nie spadnie, ale i owszem będziesz pełen dobréj sławy, łaski królewskiéj i honorów wszelkich. Jeżeli ci chodzi o przysięgę, którąście sobie nawzajem obowiązali na niewydawanie sekretów, ja ciebie z tego rozgrzeszę. Bo o nic nie chodzi królowi, tylko o to, żeby im też to oddawał, co oni mu

robią. Listy króla do Wiednia i do Francji wysłane, poszarpali, i czytali sekretne rzeczy, dobrego pana cenzurując, podchwytując, jako jakiego zdrajcę. Nie było tam nic ani przeciw Rzeczypospolitéj, ani przeciwko wojsku, ale że to przecie króla potykać nie miało, na to jest żałośny.“ Te i tym podobne rzeczy proponuje mi, ja zaś milczę, słucham, i gniewno mi, i śmieję się, myśląc, co Bóg na mnie dopuścił za dziwne rzeczy, że chcą we mnie wmówić koniecznie to, czego im potrzeba, a ja się w tém nie czuję. Wlazło mi i owo na myśl, że straż już była sprowadzona i potém po północku przysłana, pomyśliłem, że to właśnie wtenczas poczta przyszła, o któréjto biskup wspomina, i opisano tam w niéj o tém poselstwie, ale pewnie niemożono wzmiankować osoby mojéj, bo wiem o sobie z czém jadę, po co i dokąd, chyba, żeby to uczynił nieprzyjaciel jaki mój, żem to w związku nie chciał być, aby mię na zły termin narazić. Bogu się jednak oddaję intencją samą, a odpowiadam temi słowy: „Gdyby do mnie z tém przyszedł pan starosta świadzki z panem wojewodzicem smoleńskim, co najpierwéj do mnie przychodzili, wiedziałbym, jako ichmościom odpowiedzieć, bo świecki świeckiemu może téż czasem powiedzieć parabolami, ale że waćpan wielki i zacny senator, a mój wielki dobrodziéj, którego ja znam łaskę i affekt dobry, choć mi rzecz jest bolesna, muszę jednak postąpić łagodniéj. Jeden Bóg, który stworzył niebo i ziemię, waćpana i mnie téż lichego człowieka, niech mię wyświadczy jako obrońca niewinności, kiedy mię cnota i poczciwość wyświadczyć niemoże, a tego niech skarże, który mnie téj opinji, a waćpanów niepotrzebnéj nabawił turbacji. Tychciby mi niepotrzeba przysiąg, bo to pokaże czas, jako lekarz wszego złego, że niewinność moja pokaże się jako oliwa na wierzchu. Gdybym naprzykład był tak ciemny, żebym nie wiedział, jaką to jest tarczą każdemu nieskazitelność sumienia, kłaniałbym się, szukałbym sposobów nie raz, ale dziesięć razy, i jużbym był stąd uciekł, ale wiem, że mi przy niewinności żadne nie zaszkodzą napaści i jużem to powiedział przy pierwszéj audjencji, że wolno kurcie i na Bożą mękę szczekać. Ani prośba, ani groźba, myśli mojéj zatrwożyć niemoże. Dla prośby nie stanie się słońce makuchem, nie przeformuje się prawda w nie prawdę, dla groźby zaś, Bóg widzi, że jednym krokiem nieustąpię i choćby mię tu przy niewinności mojéj miało co potkać, ani prosić się, ani lękać nie będę, rozumnego słuchając poety zdania: „Myśl nieznająca zdrady, niewinna, czysta w życiu, nie lęka się niczyich urągań, niczyjego oręża; wszystkiém gardzi

jak skała, o którą roztrącają się burze i na kłamliwe odgłosy najmniejszéj nie zwraca uwagi.“ Niech się niecnotliwy ucieszy tém, że się o cnotliwego nagada poczciwości. Niech i ten, który istotną spodziewa się ukontentować rzeczywistością, płonną na chwilę zabawi się nadzieją. Byle go ta nadzieja w lekkomyślną nie wprowadziła konfuzją. Do mnie należy nielękliwą fantazją mądrego upłynionych wieków naśladować sentymentu. „Jeżeliś mądry, używaj twojéj mądrości na życie poczciwe; zachowaj serce wierne cnocie, i nie trwóż się łatwo za lada postrachem.“ Jako nie było, tak i teraz żadnego niemasz na mnie podobieństwa; wszystkie okoliczności czynią mię wolnym i mówię tak: jako waćpan odchodząc od świętéj ofiary ołtarza ufasz w sobie, że masz świętą duszę, tak ja teraz sam Boga wyświadczam się imieniem, że jestem niewinny téj potwarzy; ja i tamtych nowin nie zapłonę się, te wszystkie tumany oka mi nie zaprószą i pogróżki nie ustraszą, kiedym niewinny. W czém się waćpanu usprawiedliwiam szczerze, jakobym pod sekretem spowiedzi inaczéj powiedzieć nie mógł i przed samym królem, panem moim miłościwym, jeżeli tego godzien będę, usprawiedliwiać się inaczéj i szczerzéj nie mogę, jako przed waćpanem, któryś tego, bez pochlebstwa, godzien, o to upraszając najuniżeniéj, abyś waćpan tego nie głosił, że się tak szczerze z wzywaniem imienia Boskiego sprawuję. Niech o mnie rozumieją jako chcą, póki mię z téj opinji sama jawna nie wyprowadzi rzeczywistość.“ Na to odpowiedział biskup: „Już teraz wierzę zupełnie, żeś niewinny, i lubom miał wolą wszelkiemi sposoby bronić cię u króla, będę teraz milczał, ponieważ waszmość ufasz w sobie, bo widzę, że to z lepszym waszmości może być honorem i reputacją, kiedy to kategorycznym wyjaśni się wywodem, a tymczasem możesz waszmość być dobréj myśli i ja się o waszmość nie frasuję.“ Poszedł więc i uczynił tam relacją, lecz nie wiem jaką. Obsyłał mię z kuchni swojéj, miałem się jeszcze lepiéj, niżeli pierwéj, bo mi noszono i od króla i od niego.

Wołają mię do króla. Tu podkanclerzy litewski odezwał się w ten sens: „Czegoś waszmość żądał od łaski jego król. mości, pana naszego miłościwego, to waszmość nieodmownie otrzymujesz, kiedy jego król. mość pańskiego swego ucha do usprawiedliwienia się nie odmawia.“ Widząc ja natenczas, że niemasz żadnéj wielkiéj świty przy królu, tylko ksiądz biskup kijowski, podkanclerzy litewski i Sielski kasztelan gnieźnieński, a dworskich kilku, mówię tedy do króla w te słowa: „Miłościwy, najjaśniejszy królu, panie, a panie

mój miłościwy! Jest nietylko mnie, ale wszystkim Rzeczypospolitéj stanom i państwom w poddaństwie waszéj król. mości, pana mego miłościwego, zostającym, wiadoma wrodzona waszéj król. mci, p. m. mił., łaskawość, którą uznawamy, że pańskiego swego w każdych potrzebach nie raczysz wasza królew. mość odmawiać ucha, za co ja pokorném panu memu miłościwemu podziękowawszy poddańskiém sercem, sądzę, że dawnobym wolen był od téj potwarzy, gdybym dawniéj mógł był otrzymać wyświadczoną mi w téj chwili od w. k. mci, p. m. m., łaskę, przy któréj mi nic nie pozostaje, tylko upadłszy do nóg pana mego miłościwego, upraszać pokornie, abym mógł być tak szczęśliwy, żebym tę sukienkę, którą na mnie, że to rzec muszę, publicznie przykrojono, mógł ją téż w większém, niżeli widzę, zgromadzeniu ichmościów panów senatorów, przy boku w. k. m. rezydujących, zdjąć z siebie, ponieważ w téj potwarzy, o któréj już prawie cała wie Polska, jako rzeczywiście winnym być mię posądzono. Z któréj przyczyny upraszam pokornie w. k. m., p. m. mił., o tę łaskę i pański wzgląd na mój honor.“ Zszepnęli się tedy, widząc, że już noc, niżeliby posprowadzano senatorów, różnie po mieście stojących, i że siłaby to czasu wzięło. Rzecze sam król: „Więcéj tu uczynimy, ale już skrócił się czas, więc odkładamy do jutra.“ Ukłoniłem się tedy i wyszedłem z księdzem Piekarskim, a Tyszkiewicza zatrzymał król; czekaliśmy go więc w innym pokoju. Przyszedłszy, rzekł do mnie: „Teraz cię mam za poczciwego, żeś tak sobie postąpił i postrzegł się w tém, że niechciałeś uniewinniać się w małém zgromadzeniu.“ Dziękując za tę myśl, podpijali sobie winem z królewskiéj winiarni, i jam także kilka wypił, bo mię nie przymuszali dla odkładu do jutra. Potém poszliśmy spać. Nazajutrz rano wysłuchawszy mszy ś. u Jezuitów, poszliśmy do pałacu, ale czekaliśmy ze dwie godziny, niżeli się pozjeżdżali senatorowie. Dopieroż mię zawołano; już widzę wszystkich i innych paniąt różnych, sług królewskich wszystkich, ślachty różnych, kto tylko chciał, bo wnijść nie broniono. Rzekł tedy podkanclerzy: „Już téż teraz, tak tuszę, dosyć się dzieje dla waszmości, kiedy j. k. mość, pan nasz miłościwy, zwoławszy do boku swego wszystkich, co tu mogą stanąć, pp. senatorów, przy ich bytności audjencji waszmości pozwala.“ Poczynam ja tak: „Miłościwy, najjaśniejszy królu, panie a panie mój miłościwy! Taka wprawdzie życia ludzkiego jest reguła, żeby jako cień za słońcem, tak nieszczęścia za szczęściem następowały, aby złego z dobrem, kłopotów i frasunków z pomyślnościami, ustawi-

czna człowieka nawiedzała kolej, którą, lubo przykrą naturze naszéj, z skromną jednak należy znosić cierpliwością, zapatrując się, że taka jest od niebios całemu narodowi dana konstytucja; ale przecie, kiedy komu złem za dobre, niewdzięcznością za wdzięczność nagradza się; kiedy ojczyzna ta, dla któréj kto ochotnie swoje niesie zdrowie, jemu za to honor i reputacją, jako najdroższy skarb, odbiera; kiedy nadto żółcią z piołunem mięszane miota potwarze, jestto boleść nad wszystkie boleści, dolegliwość nad wszystkie dolegliwości. Jestto zbrodnia czarna, przeciwko Bogu samemu i prawu powstająca. Jak tylko mogłem orężem władnąć, nie dopuściła mi myśl moja służyć dla zbogacenia się; nie cisnąłem się w szereg pieszczonych Adonisów, ale w poczet walecznych mężów; nie przykre mi były niedostatki Bellony; nie ciężkie, bez wioseł przebyte, rzek głębokich nurty; nie straszne, lubo polskiemu narodowi niezwyczajne, Baltyckiéj wody głębie. Nie były mierzione, lubo nie owe z turybularza Jowiszowego, ale z saletry Marsowéj, wonności. Przyjmowały się wesołém czołem wszystkie losu przeciwności. Przyjmowały się z niezamarszczoną, z łaski Bożéj, źrenicą, nieprzyjacielskie pociski; utoczyło się i krwi niemało; a dla czegoż to? pewno nie dla prywatnéj urazy, albo jakiéj z nieprzyjacielem zwady, pewnie téż i nie dla nabycia majątku, bo i owszem jużem swojego znaczną uronił część, ale wprzód dla zaszczytu w. k. mci., p. m. mił., majestatu, potém dla całości ojczyzny, których okazji przypominanie nie jest (jako mi tu powiedziano) samochwalstwem, ale świadectwem życia. Jest w tym terminie świadectwo wodzów moich, są rany z przodu odniesione i grzbiet ołowiem i żelazem poorany. Nie to jest fundament dawno w wojsku służyć, długo żołnierzem być, ale często się bić; znam i teraz chorągwie takie w wojsku, już nie w naszéj dywizji, które nazywamy nieśmiertelne, gdzie towarzysz służąc, zaślepił oko jako stary raróg, dosłużył się śronowatéj czupryny, a przez cały wiek służby swojéj niebył w okazji, krwi nie rozlał, i darmo zjada chleb Rzeczypospolitéj. Z kogóż tedy większy jest ojczyznie pożytek, czy z owego darmo chleb zjadającego starca, czy z młodego, a ustawicznie pracującego i za zdrowie jéj ochotnie krew lejącego towarzysza? do któréj ochoty pewnie nie te 40 albo 60 złot., ta błaha cena krwi, ale wrodzona synowska przeciwko matce miłość, winne majestatowi posłuszeństwo i przysługa, ale sama pobudziła mię cnota. Dla któréj jako nie byłoby téż trudno najcięższe ponosić przykrości, tak przeciwnie, kiedy mię teraz tak niedyskretna potyka dolegliwość, muszę ża-

łośnie wołać z ateńskim uciemiężonym: „O cnoto! ja sądziłem, żeś ty jest panią fortuny, a tyś jest jéj służebnicą!“ Jeżelim w tém winien, że głowy ukoronowanéj i dostojeństwa waszéj król. mości, pana mego miłościwego, podczas wojny szwedzkiéj, nie zrzekł się, czego i teraz w związku uczynić nie chciałem; jeżeli i to zły uczynek, że dobrowolnie odstąpiwszy takich chlebów, idę w pracę, idę tam, gdzie mi nie Hymeneuszową dają ponętę, ale należytą szarży mojéj zabawę Marsa; jeżeli tą okazją, ginie cnota; jeżeli nie tą, pytam się tedy z pismem: „Cóżem złego uczynił?“ boć przecie o sądnym dniu tak powiadają, że złe uczynki chwalić będą, a dobre ganić. Już to podobno i w naszéj Polsce poczyna się praktykować, skąd nie inakszéj spodziewać się konsekwencji, bo jeżeli cnota będzie wygnana, wszystko przepadnie. Rachuję się sam z sobą: co mi do majestatu w. k. mści p. m. młgo taką sprawiło promocją? Jeżeli nienawiść, a toćby mię nie miało przekonać, bo nienawiść jest macochą poczciwych; jeżeli zaś czyja lekkomyślność, toby mi szkodzić niepowinno, bo kto sam cnoty próżen i ludzkiéj nie rad nawidzi poczciwości. Aleć tego gatunku osoby nazywały przeszłe wieki ojcami potwarzy. Powiadali że człowiek taki jest to wąż tajemnie kąsający. Powiadali, że każdy taki dwoisty język mający, i miód i truciznę jedną paszczą i tchnieniem zionie; takich jako trucizny wystrzegali się zawsze świata tego potentaci i monarchowie; takich rady nie tylko nie słuchali, ale i owszem od towarzystwa usuwali. On Tytus, którego słodka pamięć mianuje, że był rozkoszą rodzaju ludzkiego, że nikogo z obywateli nie skrzywdził, piszą: że rozkazał donosicielów kijami i biczami ćwiczyć, włócząc po obozach i ulicach, na ukaranie inszych takie w sobie mających przywady. Insi zaś co się téj zarazy uchronić nie mogli, radom onych łacno dając ucho, drugich zniewagami karmili, pod owe podpadać musieli zdanie: „Kto łatwo wierzy, łatwo bywa oszukanym.“ Siła takich jest pamiętnych pod słońcem przykładów. Krzywda Harpaga, pozbawiła Astjagesa korony, krzywda Narsesa krwią zalała Italją. O Polsce nie mówię, bo i tu bywała kiedyś podobna konfuzja. Czém się to dzieje? już em powiedział że przewrotnemi donosicielów radami, które teraz i mnie w tę niewinną, po moskiewsku mówiąc, wprawiły kabałę.

Luboć to mądrzy powiadają, że kto ma wolne sumienie, ten wszelakie kalumnje i ludzkie fałszywe mowy powinien lekce ważyć, mocny czystością swego sumienia, albowiem dobre sumienie i niewinność, jest to pamięć czynności naszych cnotliwie dokonanych,

i jakoby niejaka approbacja i utwierdzenie myśli naszych, dobrze o swoich uczynkach trzymających, i o nich prawdziwe świadectwo dających. Aleć przecie, że to jest rzecz im bardziéj niewinna, tém bardziéj boleśniejsza, pańskiéj w. k. mści pana m. młgo, przeciwko poddanym swoim, niepowinnaby irrytować powagi, bo planety im są wyższe, tém powolniejszy bieg mają; im więc godność panujących jest znakomitszą, tém więcéj wzruszenia swoje miarkować i na wodzy mieć powinni. A jeżeli w tém mogę mieć wolność wymówienia, o którą pokornie poddaném upraszam sercem, żeby jeno te rady, bodajem fałszywym był prorokiem, nie zawiodły majestatu w. k. mści i ojczyzny, bo dostawało się téż i mnie wiedzieć, ile prywatnemu godziło się, że tu latają francuzkie talary, latają ruble i dieniużki moskiewskie, i teraźniejszy związek, mógłbym go nazwać nie związkiem, ale wyprawy do państwa Moskiewskiego odwróceniem. A godzili się prawdę w krótkich zawrzeć słowach: widzą w. k. mość bez następcy; jedni na swoje koło wodę ciągną, drudzy usługą swoją inszym się akkomodują, aby przez to wzbogacili się, ojczyznie gości zaciągając na włosy. Ciężki się teraz nie jednemu widzi związek; zabiegać że mu było wiedząc że od dwóch lat ktoś ten poddyma ogień, którego płomień prędzéj zwyczajnie w zamkniętéj może ugasić izbie, niżeli kiedy już wynijdzie na dach, ponieważ łatwiéj w zawiązku, niż w dojrzałości wojnę przytłumić.

Zły jest związek; zły znowu i ten kto się związku nie chwyta. Inszy grzeszył, inszy za niego pokutować ma; tę sprawiedliwość niech osądzi niebo. Ja o niewinności mojéj najprzedniejszego mam samego Boga świadectwo; mam teraz na prędce i świadków tysiąc, sumienie moje, ponieważ powiadają, że sumienie za tysiąc świadków stoi. Będzie ich i więcéj za czasem, że niewinność moja wyjaśni się majestatowi w. k. mości, i jako kamień probierczy pokaże się jawnie, próbą poczciwości mojéj, a jeżeli się nie tak jako mówię pokaże, dam się za przekonanego w zbrodni.

Zastąpiono mi na dobrowolnéj drodze: gdybym się czuł winnym, mógłbym był bezpiecznie ujść, wszak wiedzą, niech przyznają, że mię otoczyć nie mogli; siedziałem téż na takim (koniu), któremu Kałmuckie i Astrachańskie uciekać nie umiały i dogonić téż, kiedy tego potrzebowała konieczność, nie mogły. Pewnieby się był niemieckim fryzom i powąchać nie dał. Ale skorom usłyszał imię w. k. mości pana m. młgo, że to jest z wolą i jego pańskim rozkazem, nie broniłem się. Próżnoby karzeł z olbrzymem

miał walczyć. Nie uchodziłem téż (któż nie wie że królowie daleko sięgają), ale wjechałem w kupę dobrowolnie. Prowadzono mię jednak do Grodna, jako łupy do Rzymu po wojnie Hiszpańskiéj Pompejusza. Jednym to się podobało, drudzy zaś ganili. Bo ludzie baczni sądzą że zwycięztwo nad obywatelami odniesione, w milczeniu zagrześć, nie tryumfem zdobić należy, jakaż bowiem chwała z bratobójstwa wyniknąć może? już to w myśli nad osobą moją jako z całego wojska tryumfowano; jako złoczyńcę uwięziono; szukano, badano, ledwie tylko że nie męczono, mieczem jednak i śmiercią grożono. Smutna konieczność, gdy albo obywatelowi ojczyzna, albo ojczyznie obywatel śmierć zadaje. Oprócz Boga, nie miałem któremuby były jawne moje czynności. Niewinność życia jest najpewniejszą obroną osoby. Niewinność sama opponowała się przy mnie, ja téż przy niewinności. A tymczasem zawsze w. k. mości pana m. młgo żebrałem widzenia i audjencjéj, wiedząc że w. k. mość pan mój młwy, od zaczęcia panowania swego, łaskawe poddanym swoim świadczyć raczył miłosierdzie; ponieważ żaden panujący bezpiecznym być nie może tylko przez przywiązanie. Widząc że w. k. mość pan m. młwy raczysz się w têm postrzegać, że prędzéj łaskawość niżeli surowość panów, serce poddanych może sobie zawojować. Kto chce być kochanym, niech łagodną rządzi ręką. Wiedząc i to jako jest pana przeciwko poddanym, poddanych przeciwko panu, ogniwo nierozerwane miłości. Nierozdzielnym strażnikiem królów jest przychylność (poddanych), kiedy łaskawość żołd mu wypłaca. Nie mam po Bogu inszego przytułku gdzieby się uskarżyć poniesionéj krzywdy, i komuby opowiedzieć ucisk jawnéj niewinności. Uczyniwszy mię zdrajcą, odbierają mi depozyt dobréj sławy, która z życiem równym krokiem chodzi. Wiedzą wszyscy, lubo mi niepoczciwie zarzucano, a nie będzie ich tak wiele wiedziało jako się z tego wywiodę: że mała różnica, czy żelazem czy językiem zabijasz, w których okazjach jest jawna moja niewinność Do tego wołam: „Tobie zemstę poruczam,“ ponieważ kto wykroczy przeciwko bliźniego miłości, ten samemu rebellizuje Bogu. Jak Boga czcić będzie, kto bliźniego krzywdzi?“ Na te słowa moje, kiedym mówił, że mi mieczem i gardłem grożą, obrócił się król do podkomorzego koronnego, i rzekł: „Pies to mówił.“ Miło mi było słysząc to, i już spodziewałem się dobréj expedycji. Zeszli się tedy wszyscy do krzesła i tam mówili z królem, niewiem co; widziałem tylko, że się król z affektem otrząsnął, i dobywszy z kieszonki mowy mojéj, która była w kole jeneralném,

cisnął ją na wojewodę trockiego. Czytali ją sobie. A w tém podkanclerzy począł mówić w ten sens: „Dawno powiedziano, że przypadki nie po ziemi, ale po ludziach chodzą; musiałby być człowiek nie człowiekiem, gdyby w pomyślnych zawsze opływał szczęśliwościach, i przeciwnéj kiedykolwiek nie miał uznawać fortuny. I samo nawet pismo święte wyraźnie przyświadcza, że taki człowiek wielkiéj jest u nieba wartości i względów, na którego lubo przykre przychodzą utrapienia, i sam Bóg swemi potwierdza to słowy: „Kogo kocham, chłoszczę.“ Co nietylko chrześciańskiemu człowiekowi wdzięczném od Boga należy znosić sercem, ale i w samych poganach osobliwą zawsze miało powagę. Ów Filip wielki, król macedoński, kiedy mu przyszły nowiny, że jego wodzowie na imię jego wielkie otrzymali zwycięztwo, trupem wojsko nieprzyjacielskie położywszy; że królowie spartańscy w wieczne jemu poddali się posłuszeństwo; że mu się urodził syn Alexander z znakami wielkiéj u świata nadziei, zawołał wielkim głosem: „O bogowie! proszę, ażebyście do tylu i tak wielkich pomyślności przydali téż coś niepomyślnego.“ Postrzegał znać w tém, że wielkie szczęście zwykło pociągać za sobą wielkie nieszczęście, a po nieszczęściu zaś i dolegliwościach, łaskawém Bóg na człowieka zwykł się oglądać okiem. I w teraźniejszéj okazji cokolwiek się stało, wszystko się za wolą Bożą stało; króla jmci, pana naszego miłościwego, w tém winić nietrzeba, bo życzyłby sobie, aby przynajmniéj dla straży osoby swéj tę cząstkę w posłuszeństwie zostającego przy panu wojewodzie ruskim wojska mógł zachować. Jako waszmość udano, takie téż musiał mieć porozumienie, nieznając jeszcze dotąd waszmości cnoty i tak poczciwych, które teraz wykryły się, postępków; honorowi urodzonemu i postępkom poczciwym nic to nieszkodzi i nigdy szkodzić niemoże, i owszem większą po ogłoszeniu przyniesie sławę, niżeliby była mogła zaszkodzić zniewaga. Uważając, że niemasz tak złéj rzeczy żadnéj, któraby się na dobre przygodzić nie miała. Któżby wiedział o Hektorze, gdyby Troja szczęśliwą była? Nie byłby tak drogi, w podziemnych kamieniach zakryty dyament, gdyby go umiejętna ludzka nie wygładziła ręka. Nie byłoby tak powabne i oko ludzkie delektujące złoto, gdyby go siła gorących nie wyczyściła ogniów. Nie byłaby światu wiadoma cnota, gdyby jéj rozmaite nie wypróbowały przeciwności. Żadna przez ten postępek nie stała się honorowi waćpana ujma, ani szkoda, i owszem nagrodzi się to dobrą sławą, Rzeczypospolitéj wdzię-

cznością, jego król. mci, pana naszego mił., respektami i promocją.“ Jak skończył, poszedłem do króla i skłoniłem się nizko; król też ścisnął mię za głowę, mówiąc: „Przebaczcie! Ci zdrajcy siła nam pod nos kurzą, zaczém i my musimy też dla złych ludzi i o poczciwych opacznie porozumiewać, a osobliwie za takiém udaniem i takiemi podobieństwami. Aleć i temu, co udał, już się ta jego płochość nagrodziła, kiedy pozbył łaski naszéj i już jéj nigdy odzyskać niemoże.“ Te słowa wyrzekłszy król, wstał z krzesła i poszedł do pokoju. Jedni z nim poszli, drudzy się też za mną obrócili. Poczęli wymawiać: „Jakoś po nas jeździł, jakoś nam przymawiał, ale nie dziwujemy się, kiedy już mamy próbę twojéj cnoty, musiało to przy niewinności być, ale już przebaczmy sobie nawzajem.“

Tak tedy słowa za słowa, aż idzie dworzanin królewski i mówi: „Wola króla jmci, żebyś się tu waszmość troszkę zatrzymał.“ Myślę sobie: czy tam znowu wymyślili na mnie co nowego? Nie wyszło kwadransu, aż znowu tenże idzie i mówi, żebym szedł do pokoju. Poszedłem więc. Tam dopiero obszerniejsza nastąpiła mowa o procederze związkowym i pytania o innych okolicznościach, i znowu odezwał się król: „Przebacz, przebacz; będziemyć to zawsze pamiętać.“ Za każdym moim ukłonem uściskał mię król za głowę i dał mi 500 czerw. zł. rękami swemi, pytając mię, gdzie teraz pojadę. Powiedziałem, że tam, gdziem się zapuścił, do rotmistrza mego na Białą Ruś. Król na to: „Już nie do związku?“ Odpowiadam: „Miłościwy panie! co się w affekcie wymówi, tego rekollekcja uczynić nie dopuści.“ Król: „Dobrze, dobrze; nie za płot tego wyrzuci, kto dla króla i ojczyzny co dobrego wyświadczy. Będzie tedy expedycja i listy do pana wojewody.“ Obróciwszy się król do księdza Piekarskiego, rzekł: „Bądźcie tam radzi krwi swojéj, podpijcie sobie na ten frasunek.“ Tymczasem królowi gotowano do stołu, a my poszli. Przychodzimy; przyniesiono jeść pięknie z kuchni królewskiéj; wina szumnego, co sam król pijał. Byliśmy tedy dobréj myśli. Czeladzi dano także do gospody beczkę miodu, obroków surowych i owsów dla koni, itd. I tak już z łaski miłego Pana Boga, w pocieszniejszych okolicznościach skończyłem ów rok, doznawszy, że to nigdy nie trzeba człowiekowi desperować, choć się na niego czasem fortuna trochę zamarszczy, bo jak człowiekiem, tak i jego fortuną Bóg dysponuje, i zasmuci kiedy chce i pocieszy gdy jego święta wola. Taką niechaj ma przestrogę

odemnie każdy, kto to czytać będzie, co i sami przyznawali ci, którzy już rozumieniem swojém fortunę moje ostatecznie ginącą i na wieki osądzili być upadłą.

Rok 1662.

Rok ten, z łaski Pana Boga, zacząłem szczęśliwie w Grodnie. Król też zaraz wyjeżdżał ku Warszawie. A że to podobno jeszcze nie zupełnie była wygotowana moja expedycja, kazał mi za sobą jechać, i tam dopiero dano mi list otwarty do miast i miasteczek, żeby mi wszędzie było niebronne pożywienie, ile go będę potrzebował; oddano mi także listy sekretne i do wojewody, dano przytém i dragonów z półku pana wojewody, których w obozie pogromiono we Mścibowie, że tam w czémsiś zbytkowali, na gwałt uderzono i nasieczono kilkunastu, a do króla przyszło ich ośmnastu z wachmistrzem, prosząc o list do przejechania. Król do nich rzekł: „Posyłam tam towarzysza, więc idźcie pod jego komendą, a słuchajcie go we wszystkiém, kiedyście tak swawolni, że z wami miasta wojują.“ Dano więc każdemu po bitym talarze na rękę, a kazawszy mię król zawołać, oddał mi ich, przykazawszy, żebym jako własny ich oficer rządził nimi i karał przekroczenia. Pod tym tedy moim listem szli, który mam i teraz w ten sens:

„Wszem w obec i każdemu z osobna, komuby o tém wiedzieć należało, a mianowicie urodzonym i wiernie nam miłym panom starostom, dzierżawcom i administratorom dóbr naszych królewskich, tudzież wójtom, burmistrzom i rajcom po miastach i miasteczkach, wiadomo czynimy, iż w pewnych naszych interessach posyłamy do wojska na Białéj Rusi na wyprawie wojennéj zostającego, z oddziałem żołnierzy, urodzonego, nam wiernie i uprzejmie miłego Jana Paska, towarzysza chorągwi wielmożnego pana wojewody ruskiego, aby ich w karności wojskowéj do samego obozu, gdzie natenczas zostawać będzie, doprowadził. Jako tedy pomienionemu towarzyszowi, tak i żołnierzom w jego zostającym kommendzie, aby wszędzie niezbronne było, ile potrzeba, pożywienie, rozkazujemy i

tak mieć chcemy pod winami, na sprzeciwiających się woli naszéj królewskiéj opisanemi. Na co dla lepszéj wiary pieczęć przycisnąć kazaliśmy i ręką własną podpisujemy się.

„Dan w Nowymdworze dnia 28 miesiąca grudnia, r. p. 1661, panowania królestw naszych polskiego i szwedzkiego roku dwunastego.

„(L. S.) JAN KAZIMIERZ, król.“

Listy zaś dwa, w których mię rekomenduje wojewodzie, te i teraz mam, same oryginały, bom ich po przeczytaniu odebrał od pisarza pana wojowody, ale nie razem pisane, bo się nie zgadzają datą.

„JAN KAZIMIERZ, z Bożéj łaski król polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, inflancki, kijowski, wołyński, żmudzki, smoleński, czerniechowski, a szwedzki, gotski, wandalski, dziedziczny król.

„Wielmożny, uprzejmie nam miły!

„Iżeśmy z udania mieli w podejrzeniu oddawcę listu tego, jakoby miał jechać do wojska wielkiego księstwa litewskiego od wojska koronnego, w związku zostającego, a że jednak widocznie wywiódł się, że do uprzejmości Waszéj prostą kierował drogę, tém chętniéj go do uprzejmości Waszéj odsyłamy, zalecając, abyś go chciał, jako człowieka w dziele rycerskiém tylekroć doświadczonego i w teraźniejszych ciężkich okazjach do nas się garnącego, ochotą swoją przyjąć. Kozaka posłanego od uprzejmości Waszéj, oraz i urodzonego Wolskiego, który od chana jegomości przed kilku dniami powrócił, zatrzymamy aż do konkluzji narady walnéj, którą z panami senatorami koronnymi i w. ks. litewskiego w Bielsku 5 dnia stycznia r. p. zaczniemy. Cokolwiek tam postanowi się, o wszystkiém od nas i od wielebnego w Bogu jmci księdza kanclerza koronnego dostateczną będziesz miał wiadomość i o dalszych rzeczach rzetelną informacją przez tegoż Ur. Wolskiego, albo kozaka dobrego. Zatém uprzejmości Waszéj życzymy od Pana Boga zdrowia i pomyślności.

„Dan w Nowymdworze dnia 27 miesiąca grudnia r. p. 1661, panowania królestw naszych polskiego i szwedzkiego roku dwunastego itd.

„JAN KAZIMIERZ. król.“

Nie wiem tedy, czemu nie jeden list, ale dwa pisano, a ten pośledniejszy już trochę szerzéj pisany i pod inszą datą. Lubo mi je razem oddano, jednak tak domyślam się, że mi to zrazu nie ufali, a potém się namyślili zaufać mi i pisać przezemnie skrytsze rzeczy, już mi ufając doskonale na słowo podobno księdza Piekarskiego. Pisze zatém król drugi list taki:

„JAN KAZIMIERZ, z Bożéj łaski, itd. jako wyżéj.

„Wielmożny, uprzejmie nam miły!

„Zastanowiwszy się, żeby to było nieprzyjemnie uprzejmości Waszéj, nie wiedzieć w téj chwili, co urodzony Wolski u chana jmci sprawił, zdało się nam w drugim tym liście uwiadomić uprzejmość Waszę pokrótce. Z wielkiém tedy ukontentowaniem deklarował mi ochotę, a osobliwie chana jmci i sułtanów obudwóch, obiecując od nich, że zaraz na wiosnę wystawią 60,000 ordy; Prusaków zaś będziemy mieli najmniéj 12,000; przyłączywszy do tego inne, na jakie się zdobyć będziemy mogli, wojsko, przy nadziei Bożéj możemy sobie słuszne formować wojsko, a jeżeli konfederacja nie ustanie, obejdziemy się bez tych buntowników. O funduszu zaś na radzie walnéj nie omieszkamy postanowić, żeby z gotowém przyjechać na sejm i żeby ten interes innych jego nie zatrudniał materyj. Resztę obszerniéj przez urodzonego Wolskiego. A teraz powtórnie (polecamy pana Paska) uprzejmości Waszéj, aby jako wodza i rotmistrza swego wszelkie uznawał respekty, jako ten, którego w przeszłych wszystkich okazjach wiadome są uprzejmości Waszéj znaczne odwagi i męztwo. Nam też od ludzi opowiedziane już są wiadome i jawne jego czyny, a osobliwie w obecnym stanie, ojczyznie i majestatowi naszemu wyświadczyć więcéj nie mógł, i w kołach jeneralnych jako stawał za słusznością, już nam wiadomo; która jego poczciwość powinna mu być od nas zawdzięczona, chyba, żeby nam Bóg ujął zdrowia. Wypada więc, aby to i inni wiedzieli, jaką się nagradza wdzięcznością tym, którzy są dobrzy. Życzymy zarazem uprzejmości Waszéj od Pana Boga zdrowia dobrego i wszelkich pomyślności.

„Dan w Nowymdworze dnia 11 miesiąca stycznia r. p. 1662, panowania królestw naszych polskiego i szwedzkiego roku trzynastego.

„JAN KAZIMIERZ, król."

Intytulacją pisał mu taką:

„Wielmożnemu Stefanowi Czarnieckiemu Wojewodzie ziem Ruskich, Piotrkowskiemu, Kowelskiemu etc. Staroście, naszemu uprzejmie nam miłemu.“

Odebrawszy expedycją i żegnając króla, znowu mię ten ścisnął za głowę mówiąc: „Już nam przebaczcie, a bądźcie na sejmie z panem wojewodą i pokażcie się nam; będziemy przecie o was pamiętali.“ Ordynowałem zaraz owych ludzi, żeby poszli tym traktem ku Lidzie, a prosto jako sierpem cisnął, żebym ich mógł jednym dniem dogonić, choćbym za nimi w tydzień wyjechał. Posłałem z nimi czeladź i konie swoje, co mi były niepotrzebne, a wróciłem się samotrzeć nazad do pana Tyszkiewicza, bom mu był dał słowo. Przyjechawszy tam, byłem wdzięcznym gościem; była ochota i wielka pijatyka. Bawiłem tam tydzień. Po tygodniu chcę jechać, nie puszczają; aby jednak owi ludzie mieli wiadomość o mnie, posłał gospodarz swego kozaka, przez którego dałem im ordynans, żeby oni, przeszedłszy na tamtę stronę Białogrodu, wlekli się powolej, póki ja ich nie dogonię; aby mi w Lidzie i Oszmianie zostawili o sobie wiadomość. Byłem tedy tam i drugi tydzień w owéj konwersacji miłéj, w owych komplementach nawzajem, obiecując mi różne promocje, ofiarując mi swoję siostrzenicę, pannę Rudominównę, dziedziczkę, która miała substancji lepiéj niżeli na 100,000, tylko że dopiero dziewiąty rok była zaczęła; z owych tedy nieodmiennych affektów upewnieniem, z owemi exekracjami, ktoby słowa nie dotrzymał, rozjechaliśmy się. Owe zaś wszystkie mowy, jak do senatorów, tak i te, przy jego bytności, do króla, kazał mi sobie kommunikować, przepisać i zostawić; nawet i owę kołową od księdza Piekarskiego przepisał ręką swoją i schował, okrutnie delektując się tém, choć nie było czém tak dalece, iż rzekł: „Choćbyś nic więcéj nie miał substancji nad tę, która w głowie, wielka to jest dosyć substancja, na którą ja dam ci siostrzenicę moję.“ Pojechałem więc, pożegnawszy się w przepełnieniu owych szczerych i nieodmiennych affektów, wyjeżdżając, to się znowu wracając, jak to zwyczajnie w dobréj przyjaźni bywa. Przyjechałem do Oszmiany; jeszczem nie zastał swoich ludzi i wiadomości o nich; domyśliłem się jednak, że na żółwiu jadą, będąc ordynansowi aż nazbyt posłuszni. Trzeciego dnia po mnie przyjechał wachmistrz samotrzeć, nibyto pisać gospody; postrzegłem ich z daleka, kazałem

wrot przywrzeć, aby o mnie nie wiedzieli. Zajechali do burmistrza; fukają, powiadając, że sto koni pod chorągwią; pokazują list królewski, mnie dany, gdzie piszą, że dajemy pod komendę jego ludzi, a nie specyfikują, jak wiele. Mieszczanie w zgodę, bo téż o nich już od tygodnia słyszeli, że się włóczyli po wioskach; dali im złot. 70, piwa beczkę, chleba, mięsa itd. Kazałem gospodarzowi pilnować, kiedy będą liczyć pieniądze i żeby mi dał znać. W skok tedy zawinęli się i już prowiant na saniach (bo miał minąć miasto, wstydząc się za swoje wojsko). Aż téż i pieniądze mieszczanie składają na stole, a wachmistrz na drugim końcu stołu pisze do mnie, dając o sobie wiadomość, którą tam miał zostawić u burmistrza, a ja w tém we drzwi. Obaczywszy mię, do czapek. Mieszczanie patrzą, dziwują się, już mię tu trzeci dzień w mieście widzą. „Co to jest?“ pytam się wachmistrza: „co to za pieniądze liczą?“ Odpowiada: „Nam téż to na podkowy panowie mieszczanie ofiarowali z łaski.“ Mieszczanie nic nie mówią, ale myślą, że to zła taka łaska, kiedy komu obuchem do karku przymierzą. Pytam burmistrza: „Nacoście się zgodzili?“ Odpowiada: „że na 70 zł., piwa beczkę, chleba, mięsa; oto już prowiant na saniach.“ Dopiero rzekę: „Prowiant nasz, pieniądze wasze; schowajcie, jak swoje. Nie masz teraz gołoledzi, ani grudy; nie podbije się koń, bo śnieg po tebinki, droga miękka, nie trzeba podków.“ Mieszczanie za pieniądze, do worka z niemi, a pan fircyk nos zwiesił. Mieszczanie mi do nóg, co mię przedtém nie znali; ani wiązki siana nie przyniesiono, bom téż o to i nie mówił. Nuż tu mieszczanie w skok składać się, nuż znosić różnych rzeczy, alem tego nie chciał, i konie tylko nakarmiwszy, pojechałem, a oni jednakże z własnéj ochoty wstawili na sanie baryłkę gorzałki z sześciu garcy. Poszedłem z ludźmi powoli, konie dobrze popasając po wsiach, po miastach. Wszędzie dawano jeść i pić, ale pieniędzy, Panie zachowaj! nigdzie brać nie kazałem. Tak idąc aż pod Lepel, zażywaliśmy zapewne dobrego bytu, bo gdyby był każdy podobno miał i dziesięć brzuchów, to byłoby co jeść i pić; o to tylko na mnie narzekał ów oficer, żem pieniędzy nigdzie nie dał brać, mówiąc, że za tym listem mógłbym był wziąć z kilka tysięcy, póki nie dójdziemy do obozu i namawiał mię na to, pokazując pożytek, alem ja nie pozwolił, bo chodziło o moję reputacją. Mieli przecie draby swoje sposoby do nabycia pieniędzy, nabrawszy bowiem leguminy w jedném miejscu, to ją w drugiém przedawali ludziom. Jedziemy raz puszczą wielką, aż tu między lasem duża wieś i słychać krzyk i hałas. Wdowa

mieszkała we dworze, nie pomnę, jak ją zwano. Przyjeżdżamy bliżéj, aż tu dwór rabują, a ślachcianka chodzi i załamuje ręce. Tu jedni troczą na konie wieprze oprawne, połcie, drudzy znoszą fanty, inni bydło na powrozach prowadzą z obory. Rozumiałem, że to jaka exekucja; nie mieszam się, pomijam wrota, a miałem téż już w téj wsi i stanąć, bo noc zachodziła. Aż owa ślachcianka postrzegłszy mnie, wypada i woła: „Zmiłuj się mości panie, rabują mię ubogą sierotę, gorsi od Moskwy, gorsi od nieprzyjaciela.“ Pytam, co są za ludzie? Powiada, że wolontarze pana Muraszki. Wracam się tedy na podwórze i mówię: „Panowie, nie boicie wy się Boga, dworowi ślacheckiemu taki gwałt czynicie!“ Oni odpowiadają: „A waści co do tego?“ Rzekłem: „Do tego, bom i ja ślachcic.“ Potém do niéj mówię: „Mościa pani, każ to waść odbierać.“ Owi na to: „Nie będziesz odbierał, nie.“ Pani kazała chłopom brać, a oni porwali się do szabel i do strzelby. My téż nawzajem. Nuż po sobie. Wyparowaliśmy ich z podwórza; dostało się i temu i owemu po troszę; pod jednym tylko konia zabito, jak dragon między nich strzelił; i z naszych téż jednego konia po boku postrzelono, ale nie bardzo. Owę zdobycz wszystkę a wszystkę porzucili; chłopi im wzięli kilka koni, alem je kazał wygnać za nimi. Poczęła ślachcianka bardzo dziękować, wołając: „Święty lud Czarnieckiego, a przeklęty sapieżyński.“ Na nocleg stanęliśmy w téjże wsi w jednéj gospodzie, bom wiedział, że oni stoją o dwie mile, a z hultajstwem zła sprawa, żeby się mścić nie chcieli. A jeszcze wtenczas związkowym byliśmy tak mili, jako jéż psu, co go chce zjeść, a ukąsić go nie może. Kilku ich wzięło paragrafy słuszne; wnosiłem zaraz, że będą myśleli coś o zemście, i tak się téż stało. Wdówka nieboga przysłała, co dom miał, gorzałek i piw. Pili tedy dragoni, a my z wachmistrzem, który był w saniach, gdy zapiał kur drugi daliśmy im straż. Aż owi idą w 300 koni; obaczył ich żołnierz na straży będący zdaleka po śniegu i zakołatał zaraz w okno, wołając: „Wstawajcie waść, mamy gości!“ Ci przymknęli się bliżéj, a żołnierz woła: „Werdo!“ Odpowiadają: „Będziesz miał wnet werdo taki synu.“ Nie mieli dragoni prochu, dałem im go i kazałem zaraz ponabijać muszkiety, aż tu kul znowu nie było; ja miałem ich trochę, te wbiły się w swoję strzelbę, i owym téż udzieliłem ile mogłem. Gdy się coraz bardziéj zbliżają, woła straż: „Nie następuj, bo strzelę.“ Wyszedł wachmistrz i pyta: „Czego chcecie?“ Odpowiadają: „Trzebaby nam się uskarżyć o wczorajszy exces, co tu naszych pobito. Kto tu jest starszym?“ „Ja starszy,“ odpowie-

dział wachmistrz, „bo mi już lat 45, a inni wszyscy młodsi.“ „To żart,“ odpowiedzą, „ale kto tu ma komendę?“ Odpowiada im, że ten jest w izbie. Rzeką: „Puścisz nas tam do niego.“ Powiada: „Puszczę, ale nie kupą, bo na skargę nie tak jeżdżą.“ „Puśćcież nas z 10 koni!“ Odpowiada: „By i dwadzieścia.“ Przyjechało ich tedy 15 koni; pistolety mieli jedne za pasem, drugie w olstrzach. Zaraz jak wjechali, kazałem moim stanąć we wrotach, drudzy w paradzie u drzwi stoją, a konie już mają okulbaczone. Wchodzą do izby: „Czołem.“ „Czołem.“ Pyta mię tedy: „Imć pan półkownik dowiaduje się, co to są za ludzie, skąd i dokąd idą, i dla czego wczora porabowali i posiekli żołnierzy jego półku?“ Ja go pytam: „Niechże wprzód wiem, który jmć pan półkownik?“ Odpowiedział: „Jmć pan Muraszka;“ a drudzy sapią, zgrzytają zębami, wąsy ciągną i gryzą. Wtém 300 koni do koła chałupę obskoczyli, wołając: „Stójcie jeno regalistowie, wnet tu was powiążemy jak baranów.“ Odpowiadam tedy: „Czując się być żołnierzem w służbie Rzeczypospolitéj i w kompucie wojska zostającym, nie bardzoby mi należało wywodzić się jmć panu półkownikowi, jako do tych rzeczy mniéj należącemu, skąd i dokąd idę; ale żem się nie powinien wstydzić za moje czyny i przed całym światem, z téj przyczyny i dziadowi w imię Boże biorącemu, powiedzieć pytającemu i sprawić się dokąd idę, nie gotowem denegare (odmówić). Pogotowiuż waćpanom, jako zacnym żołnierzom, których równo z nami w przeszłych okazjach będących widziałem, gotówem to uczynić.“ Żem to wymówił jedno słowo łacińskie, denegare, odezwał się jeden: „Mości panie, nie po łacińsku jeno z nami, bo to tu z prostymi żołnierzami sprawa.“ Odpowiem: „Widzę ja, żeś waść prosty żołnierz, ale ja wywiodę się i prostemu po prostu, i krzywemu jako będzie chciał.“ Tymczasem rzekłem do wachmistrza: „Dajcie panie tamten papier, co go macie przy sobie.“ Ten dobywszy go z kieszeni, dał mi go, podam mu, czyta, a przeczytawszy pyta: „A nacoście poszarpali naszę czatę i kilku towarzyszów obcięli? Odpowiem: „Bo to nie moda w swojéj ojczyznie, a osobliwie stojąc na konsystencji, dwory ślacheckie rabować; co my widząc, rozumieliśmy, że to nieprzyjaciele czynili. Gdym się ja sprawił, tego téż i po was potrzebuję; niech wiem, co za interes, albo raczéj pretensją macie do Rzeczypospolitéj, będąc wolontarzami, żadnych u niéj zasług nie mając, a poszliście do konfederacji i jeszcze dwory ślacheckie najeżdżacie i rabujecie. A to druga, dla czego mię nocnym sposobem najeżdżacie i podobno rabować chcecie.“ Rzekł

tenże starszy: „Boś tego godzien.“ Ja też zrozumiawszy, że tu już pokorą nic nie wskóramy, ale racjami żelaznemi nadrabiać trzeba, jakem trzymał obuch w rękach, tak go też zaraz nim mocno przeżegnałem w piersi, że upadł pod ławę. W tymże zaraz momencie dali dwaj ognia z pistoletów do nas z wachmistrzem. Przestrzelili wachmistrzowi suknią, a mnie Pan Bóg zachował, a podobno z téj racji, żem się schylił po pistolet na ziemię, który mi upadł z zapasa wtenczas, kiedy owego uderzyłem wolontarza. Dopieroż w nich w bożą godzinę; połowa ich została w izbie, a połowa wypadła do sieni; dopieroż rozdawać my w izbie tym, a tamtym zaś drudzy w sieni. Jeden dragon miał okrutny berdysz moskiewski; tym berdyszem owych, co z izby uciekali, popłatał. Jak prędko tedy owa kupa usłyszeli w izbie strzelanie, tak prędko skoczyli obces na chałupę, dali ognia do siebie, który nasi we wrotach wytrzymali. Trzéj tylko dragoni strzelili; spadło tamtych z koni dwóch; naszego też jednego postrzelono w szyję. My też tu owych uspokoiwszy, przywarliśmy ich w izbie. Ci też, którzy byli w sieni, oberwawszy, co kto mógł dostać, chyłkiem po zepłociu pouciekali od koni, a owa kupa odsunąwszy się jak na stajanie, poczną wołać: „Sam jeno, sam, w pole jeno, w pole.“ Ozwę się: „Poczekajcie, i to być może.“ Wróciwszy się do izby, kazałem owych powiązać i oddałem ich gospodarzowi; oddałem i dwoje sani, przykazawszy: „Wara chłopie, szyja twoja w tém, jak tu co zginie, bo tu skarb królewski na tych jest saniach, gdyż pieniądze dla wojska wiozę.“ Owi się modlą, narzekają: „Bóg nas skarał; posłano nas kogo wiązać, a nas samych krępują.“ Wyjdę na podwórze i myślę, co czynić, czy wyjeżdżać do nich lub nie? Jedni radzą, drudzy odwodzą, a najbardziéj krewny mój Chlebowski, że to kupa wielka, więc nie wytrzymamy. Wachmistrz zaś mówi: „Wyglądam, czy nam też da jaki sukurs ta pani, cośmy się za jéj krzywdę ujęli, albo chłopom każe, lecz nic nie widać.“ Jużeśmy się tedy mieli oganiać odpornie od owéj chałupy, ale gdy widzę, że snopy zwożą, zapalają i już je ciskać chcą na chałupę, zawołałem: „Nie turbujcie się odważni kawalerowie, będziecie nas tam wnet mieli; dla nas zatém nie czyńcie ludziom szkody.“ Już też dnieć zaczęło; wymunderowawszy się tedy dragoni, na ich dobre konie powsiadali, swoje podlejsze na podwórzu zostawili, nabili muszkiety, czém kto mógł, kamykami, hufnalami, bo kul nie było, i u owych tylko kilku powiązanych pożywili się w ładunki, które w ładownicach znaleźli. Ów postrzelony jęczy przed wroty, przewraca się, bo go

w kolano niejaki Jankowski, dragon, postrzelił hufnalami, a drugiego wtenczas postrzelonego uprowadziła z sobą owa kupa. Wołam tedy: „Ej panowie, jedźcie sobie, zaniechajcie nas!“ Ci odpowiadają: „O! nie może być taki synu, niedurno się nam tu wymkniesz, wykurzymy cię stąd jak jaźwca z jamy.“ Na to odzywa się wachmistrz: „Jak nas będziecie napastować, to pierwéj wam pościnamy tych, co sam leżą związani.“ Odpowiadają: „Już my tamtych odżałowali, ale i ty nie ujdziesz, pogański synu.“ Zaraz potém poczęli się oni pomykać z ogniem ku chałupie, wołając: „Wychodźcież pogańscy synowie, bo się dla was dostanie i ludziom ubogim.“ Odpowiadam im: „Zaraz, zaraz, moi mościwi panowie.“ Jedziemy tedy, w tropie dwudziestu kilku ludzi rachując i z swoją czeladzią, kolano z kolanem, a kazałem, jeżeliby nas obtoczyli, obrócić się zaraz zadniemu szeregowi frontem do nich, a plecami do przedniego szeregu, a nie strzelać tylko po dwóch, po trzech, kiedy ja każę albo wachmistrz, który zadnim szeregiem dowodził, a ja pierwszym. Wachmistrz siedzi na szumnym dereszowatym kałmuku, od nich zdobycznym, który rzuca się pod nim jak cyga, a swego oddał pod dragona; strzelby mamy dosyć, bo i od owych więźniów nabraliśmy. Jenośmy tylko odeszli od owéj gospody, nie było stajania, umknęli się nam zrazu, a potém tak się stało, jakem był mówił; poczęli nas miesiącem zajeźdżać, dla tego, żeby nam tył wziąć. Gdy już blizko byli, zawołałem na swoich: „Halt!“ Obrócił się zaraz szereg plecami do przedniego. Wtém owi krzyk zrobiwszy, skoczą na nas po nieprzyjacielsku, dadzą ognia gęsto z pistoletów i bandoletów, i natrą blisko szereg na szereg, a ja tuż z obudwu pistoletów razem dam ognia, mając trzeci za pasem i guldynkę na sobie, moi téż dragoni z trzech lub czterech pistoletów razem dali ognia z ramienia mego; dali téż i z muszkietów. Ten co się ze mną zwarł, uchwycił się łęku, znać, że był postrzelony; wysunąwszy się mój dragon, ciął go szablą w kark, spadł; (powiadali, że to był znaczny Litwin, Szemiot niejaki, paniątko, ojciec gniewał się na niego, i z wolontarzami służył), a mój téż jeden dragon z przedniego szeregu o ziemię, konia pod nim w bok zabito. Skorom zobaczył, że dragon wstaje, rzędem, odsuną się trochę, a potém jak znowu do nas. Ten Jankowski miał muszkiet z rurą srogą, jak pluśnie owymi hufnalami, znowu ich popstrzył, jaki taki stęknie. Tam téż od tylnego szeregu wzięło ich kilku. Gdy widzą, że nas rozerwać nie mogą, poczną wołać: „Wróćcie nam naszych, jechał was pies z ostatkiem.“ Odpowiada

wachmistrz: „Cóż wam po nich, kiedy głów nie mają.“ Skocząż na nas po raz trzeci, ale już z daleka poczęli strzelać, nie nacierając blisko; my też radzi postąpiwszy ku nim, dają moi ognia po dwóch, a drudzy nabijają; oni zaś ustępują potroszę; nagnaliśmy ich na ogrody i płoty gęste; nuż się łamać; my też natrzemy. Przełamawszy oni jeden płot do drugiego, uciekali po nich do lasa, który był zaraz za ogrodami, a konie zostawili. Dopieroto nasza dobra; nie kazałem ich gonić, tylko na płotach złapano kilku, którzy zostali postrzeleni, a dwóch zabito. Naszych też dragonów trzech postrzelono, czeladnika mego i mnie trochę śluzem w lewy ud, alem tego nie czuł, aż dopiero po wszystkiém; koni jednak naszych postrzelono 6, zabito 2, ale na to miejsce było w czém wybrać. Przylazło potém urzędniczysko owéj pani z muszkieciskiem, co samy strzela, i dał mi na drogę mecherzynę prochu i kul. Owych tedy powiązanych trzech starszych wziąwszy, kazałem drugich kańczugami ociąć, żeby pamiętali Czarnieckczyków, a przytém dragoni porozbierali ich do naga i pognali do lasa za drugimi w śnieg srogi. Przebrakowawszy tedy koni 40 co lepszych i owych trzech, wziąwszy z sobą, poszedłem. Nabrali też nasi kulbak i strzelby tyle, że aż saniom ciężko było. Inne konie, i te nasze, cośmy na miejsce lepszych zostawili na rubaszyństwo, oddałem urzędnikowi i chłopom, i owe, co się po ogrodach poniewierały, kazałem urzędnikowi, aby pobrał, (bo ich nie bardzo wiele na koniach uszło), ażeby na nasz karb kto inny ich nie pochwytał. Poszedłem więc z ludźmi i nie popasałem aż w Zodnikach. Że zaś owych koni i na powód nasi nabrali, a drugi dragon i trzech prowadził, namyśliłem się, że to trzeba oddać, bo lubo to nieprzyjaciel, ale nie obcy nieprzyjaciel. Wachmistrz mówi, żeby nie oddawać, alem ja powiedział, że o moją chodzi reputacją i że to być nie może. Postanowiliśmy więc, żeby sobie co najlepsze dragoni pobrali, a swoje na to miejsce oddali; moja czeladź także dwa wzięła, a swoje w komput. Gdy zaś grodowego miasta nie było, bo do Oszmiany nazad trzeba się było wracać, oddaliśmy je w Naroczu przed księgami miejskiemi, protestowawszy się, że nam hultaje jacyś zastąpili i rozbić chcieli, a z których trzech tu prezentujemy. Oni też prosili i przysięgali, że się tego nikt upominać nie będzie, biorąc to na się, i u ksiąg zeznali, jak na dobrowolnych zeznaniach, że tak jest, że nas najechali, zrabować i powiązać chcieli, które ich ustne wyznanie z pieczęcią miejską i poświadczeniami burmistrzów i całego urzędu wziąłem, a ich zaś przy owém stadzie koni zo-

stawiłem, popoiwszy ich dobrze na rozjezdném i konie własne, o które prosili, im oddawszy. Było téż jeszcze w czém wybrać, a wachmistrz wziął jednak owego deresza i przedał go potém kapitanowi Gorzkowskiemu za bezcen, bo za 340 zł.; powiadano, że to był koń od Moskwy zdobyczny. Poszedłem potém prosto ku Leplowi, gdzie stał obozem wojewoda tym traktem na Dunacy, Dolcze i daléj; żem zaś powoléj szedł i ówdzie u Tyszkiewicza zabawiłem się dwie niedziele, wyprawił król do wojewody księdza Piekarskiego, co miał Wolskiego wyprawić, bo Wolskiego znowu był na odwód posłał do chana. Ksiądz mię wyminął, i pierwéj, niżeli ja, przyjechał do wojewody. Wojewoda list królewski przeczytawszy, w którym piszą: „Że jakośmy w tamtym liście przez pana Paska pisanym namienili,“ rzekł: „A jam pana Paska i na oko nie widział.“ Ksiądz w strach: „Dla Boga, pojechał tu tak dawno i ludzi mu dał król w komendę tych a tych.“ (W trwogę znowu o mnie i drugie podejrzenie). „To właśnie zdrajca do związku pojechał dla téj urazy, która go tam spotkała. Będą tam mieli co w związku czytać, a osobliwie co sam król pisał swoją ręką. Jako ja i oczy królowi pokażę.“ Z kłopotu i spać ksiądz nie mógł. Skoro nazajutrz jeno co wstał od obiadu wojewoda z Malczyńskim, Mężyńskim i Niezabitowskim, odezwał się do nich: „Ej przecież on tego nie uczynił, ponieważ już do mnie się zapuścił, wzgardziwszy dobrowolnie związkiem; zapewne mają się dobrze, konie pasą, idą powoli, i wszędzie im dają chleba za listem królewskim.“ A ja we drzwi. Dopieroż radość i wołanie: „Otóż jest!“ Obejrzy się wojewoda, a ścisnąwszy mię za ramiona, rzecze: „Witajże pożądany; umorzyłbyś był frasunkiem wujaszka, gdybyś jeszcze dziś nie był przyjechał; dziękuję ci za miłość, którąś wyświadczył ojczyznie i mnie téż tobie życzliwemu. Odwdzięczymy to sobie. Milszy mi teraz jeden towarzysz, który przy mnie stawa, niżeli cała chorągiew. A ludzie kędy?“ Powiedziałem że tu są. Wyszedł wojewoda za drzwi, a spójrzawszy na konie, pyta: „A to co? gdzie tak dobrych koni nabraliście?“ Powiadam zrazu, że spotkałem się z Chowańskim, daliśmy mu pole, znieśliśmy go i mamy tę zdobycz; a potém i prawdę powiedziałem, tak jak właśnie było. Z początku nie podobne mu się rzeczy widziały, ale jakem pokazał owe ich zeznania i dowody autentyczne, że sami przyznali, iż ich 300 koni było, dziwował się nad wielkim cudem, że kilkunastu ludzi wytrzymało tak wielkiéj kupie. Mnie dziękował, a do wachmistrza rzekł: „Kazałbym was był powiesić za to, żeście w Mścibowie narobili ha-

łasów, ale wam teraz odpuszczam winę dla téj okazji, żeście się nie dali skonfundować, ale to podobno bardziéj przywódzcą się stało, niżeli waszą odwagą, ale żeście na dobrych koniach przyjechali, pierwéj was też barwa dójdzie, niżeli innych.“

Gdy zaś sejm warszawski następował, pisał król przez księdza Piekarskiego, żeby się wojewoda pomknął z ludźmi ku granicy polskiéj, co gdy uczynić zamierzył i już się ruszył z pod Lepla, aż tu na trzecim, zda mi się, noclegu, przychodzi do niego od cara posłannik, taką oznajmując chęć: „Że car chce posłać na sejm posłów swoich względem traktatów, tylko że się ich boi wysłać za granicę, żeby ich jaka niespotkała napaść od wojska polskiego, teraz w nieposłuszeństwie będącego; prosi zatém wojewody, aby przystawa swego posłał za granicę, któryby ich prowadził aż do boku króla jmci.“ Wojewoda posyła tedy po mnie i mówi: „Panie bracie, pisał król jmć do mnie i w pierwszych i w powtórnych listach, ażebym tu waści wyświadczył wdzięczność, w czém i ja sam postrzegam się, że za taki uczynek należy wszelka nagroda, o czém bardziejby należało było pomyślić królowi jegomości, bo ja takiéj nagrody uczynić nie mogę, co król. Starostwa nie dam, ani tenuty, bo to nie w mojéj dyspozycji, ale jednak czém będę mógł zawdzięczyć, tego nie zaniedbam. Teraz oto, naprędce, co może być z honorem i z jakimkolwiek pożytkiem dla waści, tylko się waść nie wymawiaj; przysłał bowiem do mnie car jegomość, żebym posłał przystawa mego za granicę posłom jego na sejm jadącym, życzę więc, abyś się waść tego podjął, ale trzeba ci aż do Wiazmy jechać.“ Odpowiadam: „Mój dobrodzieju, jwm. pana rzeczą jest rozkazać, moją zaś wypełnić każde jwm. pana, jako szafarza krwi mojéj, rozkazanie; nietylko zatém do Wiazmy, ale i do Astrachanu gotów jestem jechać za rozkazem jwm. pana i dobrodzieja; dalsza była podróż za Baltyckie morze, a po staremu i stamtąd wróciłem się z łaski Bożéj zdrowo, za szczęśliwą jwm. pana dyrekcją.“ Rzecze wojewoda: „Dobrze, dam waści Semenów kilkadziesiąt i każę napisać expedycją; jedźże waść z Panem Bogiem jutro jak najraniéj.“ Zawoławszy Piwnickiego, kazał mu expedycją pisać. Poszedłem ja do czeladzi, i mówię: „Karmcie konie dobrze, bo jutro pójdą w drogę, niedaleko, tylko do Moskwy.“ A czeladnik rzecze: „Toć już po chwili pojedziemy i do Rzymu.“ Rzekę: „Cóż czynić, kiedy starszych taka wola, bądźcie gotowi.“ Oporządzamy się, aż tu bieży Wilkowski, pokojowy, i mówi: „Jmć pan wojewoda prosi.“ „Przyjdę.“ Tu wojewoda mówi: „Panie bracie, miałem tu wiel-

kie modlitwy o tę funkcją; byli tu u mnie pan Żerosławski i pan Niegoszewski, prosząc mnie o to, żebym ich tam posłał; przyczyniał się za nimi pan Niezabitowski; nie zdało mi się zatém irytować starych żołnierzy, alem powiedział, żem to już deklarował panu Paskowi i nie godzi mi się słowa odmieniać, bo i król za nim już dwa razy pisał, żeby go tu honorować za jego poczciwość, ale jeżeli tego dobrowolnie ustąpi, to dobrze." Odpowiedziałem: „Ja wolą waszmość pana dobrodzieja pełnić gotów, któréj trzymając się, nie zda mi się w tém pierwszeństwa szukać. Mogę i ja téż tak dobrze piastować honor jwm. pana dobrodzieja, jako i najstarszy żołnierz." Wojewoda rzekł: „Dobrze." Posłał do Piwnickiego, żeby jako najprędzéj expedycją podał do podpisu, a ja poszedłem do koni. Tam zastałem owych konkurentów; nuż oni ze mną w układ, żebym tego ustąpił targiem; Żerosławski daje tedy 100 bitych talarów. Pozwoliłem. Poszli owi po pieniądze. Ja myślę sobie, że to i droga daleka i trudna musi być funkcja; nie wiadomo mi téż jest, co to może uczynić za pożytek, a to dobra kaczka, nie brodząc, wziąć 100 talarków za nic. Myślę znowu, że to jednak nie musi być coś złego, kiedy się tego tak bardzo napierają i dokupują. Idę do Piwnickiego i powiadam mu to. A Piwnicki mówi: „Czy waść żartujesz? dyć to ta funkcja tysiącami pachnie, i z wielką jest sławą; nie czyń waszeć tego, bo i wojewodzie nie będzie miło, kiedy waść jego pogardzisz promocją." Ja téż prosiwszy Piwnickiego, żeby co prędzéj skończył expedycją i zaniósł do podpisu, schowałem się owym konkurentom. Ci przyszli z pieniędzmi i pytają: „Gdzie pan?" Chłopiec odpowiada: „Nie wiem; poszedł z jakimś kapitanem." Szukają mnie po chorągwiach, nie masz. Wieczorem przychodzę do Piwnickiego, a ten powiada, że już popodpisywał wojewoda i ma to tam u siebie, że tam znowu byli u wojewody konkurenci i że pan Tetwin i pan Niezabitowski za nimi przyczyniali się, ale wojewoda powiedział, że już oddał waści expedycją podpisawszy ją. Idę do wojewody, a przodem posłałem chłopca, jeżeli ich tam nie masz, żeby mię już nie turbowali. Wnijdę, a wojewoda już tylko w kaftaniku i pyta: „Kto tam?" Powiedziano mu. Rzekł: „A gdzieżto waść bywasz? Posyłałem tam do waści, a nie zastano." Powiadam mu to, co i Piwnicki, a wtém oddał mi owe papiery. Jeden był przejeździ za granicę, kiedym po posłów jechał; drugi, pod tąż datą, żebym pokazował, wprowadziwszy już posłów w kraje Rzeczypospolitéj, a tamten, który

należał za granicę, żebym schował, które obadwa mam dotąd. Pierwszy jest téj osnowy:

„Stefan na Czarnczy i Tykocinie Czarniecki, wojewoda ziem ruskich, generał wojska jego król. mości, piotrkowski, kowelski i ratyński starosta.

„Wiadomo czynię, komuby to wiedzieć należało, mianowicie ichmościom stanu rycerskiego, któregokolwiek narodu i jakiéjkolwiek preminencji i godności, albo urzędu będącym, ww. panom i braci, zaleciwszy usługi moje, tudzież w miastach, miasteczkach, burmistrzom, wójtom, rajcom i wszystkiemu pospólstwu, iż stósując się do żądań cara jmci, posyłam naprzeciw do króla jegomości i Rzeczypospolitéj wyprawionym posłannikom konwój i przystawa towarzysza wojska półku mego, pana Paska, który gdziekolwiek z pomienionymi cara jmci spotka się posłannikami, owych jako najprościejszym traktem do wojska mego półku przyprowadzić ma, skąd albo tenże potwierdzony, albo inszy przystaw do samego miejsca przydany im będzie. Aby tedy jak ci niebronne mieli sobie pożywienie, tak téż, aby i dla posłanników (granicę przeszedłszy) dostarczano według zwyczaju podwody, sama tego Rzeczypospolitéj wyciąga potrzeba i moja instancja. Na dowód czego skrypt ten własnéj ręki podpisem i pieczęci przyciśnieniem stwierdzam.

„Dan w Kojdanowie dnia 1 lutego 1662 roku.

„(L. S.) Stefan Czarniecki, wojewoda ruski."

List ten za powróceniem nazad za granicę z posłami kazał mi zaraz schować, a pokazować drugi, (który niżéj przytoczę), a to dla tego, że chodziło o urazę hetmanów i narodu litewskiego, do którychto z prawa należy przyjmować i prowadzić posłów moskiewskich aż do Narwy, a od Narwy dopiero ich koronny przystaw powinien odbierać. Tak tedy rzeczy urządził, aby to się znaczyło, że ich przyjmował nie z umysłu, ale z trafunku, spotkawszy się z nimi w drodze. Pisze więc drugi list w ten sens:

„Stefan na Czarnczy i Tykocinie Czarniecki, wojewoda ziem ruskich, generał wojska jego król. mości, piotrkowski, kowelski i ratyński starosta.

„Wiadomo czynię, komuby to wiedzieć należało, mianowicie ichmościom stanu rycerskiego, jakiéjkolwiek preminencji i godno-

ści, albo urzędu będącym, ww. panom i braci, zaleciwszy usługi moje, tudzież w miastach, miasteczkach, burmistrzom, wójtom, rajcom i wszystkiemu pospólstwu: iż gdy posłannikowie carscy, Ofanazy Iwanowicz Nesterów i Iwan Polikarpowicz Dyak, jadą wyprawieni do jego król. mci w pilnych potrzebach i sprawach, aby się têm prędzéj w swojéj drodze pospieszali, przydałem konwój i przystawa towarzysza wojskowego, pana Paska; aby więc tak ci mieli niebronne sobie pożywienie, jak i dla tych posłanników dostarczane były podwody, sama Rzeczypospolitéj wyciąga potrzeba i ja moję przydaję instancją. Na co skrypt ten własnéj ręki podpisem i pieczęci przyciśnieniem stwierdzam.

„Dan w Kojdanowie dnia 12 lutego 1662 roku.

„(L. S.) Stefan Czarniecki, wojewoda ruski.“

Żeby jednak i hetmanowi należytą uczynił ceremonją, daje mi list do niego, w którymto pisze, że na trakcie spotkał tych posłów i przystawa przydał, a innego ze Szkłowa nazad odprawił, któryto przystaw nie był i oni w Szkłowie nie byli, byleto tylko ceremonją zachować, a informował mię, żebym mu listu tego nie oddawał, choćbym tu o nim dopytał się, w któréj majętności głębokiéj Litwy, albo w Lachowicach, albo gdzie bądź, ale dopiero gdzie blizko Narwy, w któréjkolwiek jego majętności, abym oddał list podstarościemu, lub ekonomowi, byle go tylko kiedyżkolwiek doszedł, a któryto list pisany jest w te słowa:

„Jaśnie wielmożny mości panie wojewodo wileński, mój wielce mości panie i bracie!

„W mińskim trakcie z posłannikiem carskim, z listem do jego królewskiéj mości, pana naszego, wyprawionym, Ofanazym Iwanonowiczem, zjechawszy się, konwój z Szkłowa przydany i przystawa nazad expedyowałem; ażeby zaś têm prędzéj do jego królewskiéj mości pospieszył, przydałem mu półku mego towarzysza, pana Paska, przez którego to moje jw. panu prezentuję odezwanie, nie chcąc w têm ubliżyć funkcji hetmańskiéj i powadze jw. pana, abym nie miał tego oznajmić, gdyż każdego posłannika, w państwa Rzeczypospolitéj wchodzącego, przechód, powinien być wiadomy jw. panu. Jeżeli tedy wzmiankowany odemnie żołnierz do naznaczonego przez samą jego król. mości osobę miejsca temu posłannikowi ma towarzyszyć, albo nowy od jw. pana będzie przydany

przystaw, zależy to od jw. pana woli. Białoruskie kraje, z nieprzyjacielem graniczące, że są od wojsk w. ks. litewskiego opuszczone, trzeba, abyś wmpan raczył radzić, jakoby w nich (gdyż się już począł wzmacniać nieprzyjaciel) oprzeć się nieprzyjacielskiéj sile. Ja z piechotą w polu, bez kawalerji, nic począć nie mogąc, od téj, którą serio myślałem, odstąpię imprezy, lubo z wojskiem jego król. mości w kraj nieprzyjacielski wnijść życzyłem, aż oto wszelkiéj pomocy pozbawiony zostałem w ochoczéj mojéj dla Rzeczypospolitéj intencji. To tedy doniosłszy jw. panu, samego siebie z moją usługą jw. pana natenczas oddaję łasce. — W Kojdanowie.

„JW. pana całe życzliwy brat i sługa powolny

„Stefan Czarniecki, wojewoda ruski.“

List zatém do hetmana pisany, tak mi się zdarzyło, żem samemu oddał hetmanowi, ale już blizko Narwy, 6 czy, 7 tylko mil. Wdzięcznie to przyjął, na list odpisał, mnie częstował, (o czém będzie niżéj). O ten zaś list, który był do Czarnieckiego, prosiłem, żeby mi go kazał oddać, powiadając, że te i podobne okazje chowam sobie aby pozostały dla potomności jako świadectwo mego życia. Kazał hetman zawołać zaraz pisarza i list mi oddał, pytając: „To waść i ten odemnie respons schowasz?“ Odpowiedziałem: „Pewnie tak, bo ten mam zwyczaj, aby synkowie wiedzieli, (jeżeli mi ich Pan Bóg obiecał), żem kwiat wieku nie na próżnowaniu strawił i w tych bywałem, jako ślachcicowi należy, okazjach,“ (o czém niżéj).

Teraz wracam się do tego terminu, do którego, dla tych listów treści, odstąpiłem. Skoro mi już wojewoda oddał papiery, rzekł: „Jużem ja waści 40 dobrych ludzi naznaczył; jedź waść jak najrychléj, a nie daj się ujmować błazeństwem, bo waść przy téj funkcji możesz więcéj wziąć, niżelibyś był wziął w związku. A sława sama za co stoi, a król co powie, kiedy mu waść będziesz często stawał na oczach; musi sobie przypomnieć, co waści winien za wdzięczność. I ja téż kołatać nie zaniedbam, jak, da Pan Bóg, przyjadę do Warszawy, a teraz waść idź spać, a napij się waść wprzódy; co waść wolisz, petercyment, czy miód dobry?“ Powiedziałem, że wolę miód, bom wiedział, iż bardzo dobry. Wojewoda rzekł: „Dobrze. I ja téż miód piję, bo mi się bardzo udał.“ Pił więc do mnie, wypiłem, drugi kuszyk wypiłem, i informuje mię:

„tak więc postępuj,“ i rzekł dalėj: „wypijże i trzeci na owę kuklę koldyngską,“ którą mi zawsze przypominał. Powiadam mu tedy „dobranoc,“ a on rzecze: „nie jedliście panie bracie, bo po wieczerzyście przyszli.“ Odpowiadam: „będę jadł u siebie.“ Poszedłem, aż tu Żerosławski siedzi u mnie i talarów worek leży przed nim. Obaczywszy go, uczyniłem się pijanym, lubom ci był i trochę podpił, bom wypił trzy kufle srebrne, a było w jednym więcėj niż kwarta, miód zaś był smaczny. Pocznie do mnie mówić w wiadomėj materji, a ja mówię: „radem ci.“ On mówi: „że według słowa przyszedłem z pieniędzmi,“ a ja mówię: „nalėj.“ On mówi: „każ waść odliczyć pieniądze,“ a ja mówię: „dobre zdrowie.“ Skosztował miodu i pyta: „skąd ten miód,“ powiadam: „z beczki.“ On pyta: „a wojewodzin to miód?“ powiadam: „mój i twój, bo go pijemy.“ Pyta: „już waść odebrał expedycją?“ ja mówię: „proszę za nią, dawaj jeść.“ Widzi, że sprawy ze mną nie dojdzie i rzecze: „toć to już podobno do jutra odwlecze się ta sprawa.“ Nuż pić. Upił się tak owym garncem miodu, że tylko na ramionach czeladzi wisiał, idąc odemnie. Ja też sobie folgowałem, a on też temu się nie przeciwił, sądząc mię być bardzo pijanym. Nazajutrz wstałem raniusieńko, konie pokulbaczone, i pojechałem do wojewody, który mię lepiėj informował. Semenowie także przyjechali. Wojewoda przykazuje im, żeby mię słuchali, żeby trzeźwo się zachowali i nie robili hałasów. Jużem się więc pożegnał i wsiadłem na konia, a tu Żerosławski tak leci, że się aż zadyszał, i mówi do mnie: „Ustąpże tego, wszak przyrzekłeś słowem, i bierz sto bitych.“ Odpowiadam mu: „Mój panie bracie, nie czyńże mię waść błaznem; już ci z konia zsiadać nie będę.“ On mówi: „Dam się pociągnąć.“ Ja na to: „Choćbyś się waść kazał nietylko ciągnąć, ale i na dwoje rozerwać, to z tego nic nie będzie.“ Pojechałem tedy traktem, na Smorkowerze, posłów nie zastałem, dano mi stancją piękną u Moskala majętnego; gospodarz sam tylko sporządza i uwija się; gospodyni nie obaczysz; jeść gotują, żywności dają dosyć i z ryb i z mięsa. Mieszkałem tam 4 dni, posłowie nie nadjechali, a gospodyni nie widziałem, bo tam oni żony tak chowają, że jėj słońce nie dojdzie; wielką tam niewolę cierpią żony i ustawiczne więzienie. Przyjechali nareszcie posłowie porządkiem dobrym i pięknie, to jest: Ofanazy Iwanowicz Nesterów, wielki stolnik carski, człowiek familji starėj moskiewskiėj; drugi z nim, nibyto sekretarz poselstwa, Iwan Polikarpowicz Dyak; syn tego stolnika, młody Michajło; bojarów kilkunastu i innych drobniejszych,

wszystkich było ich 60 i coś, oprócz wozowych ludzi, wozów sannych z leguminą i towarami 40. Powitaliśmy się tedy z wielką wdzięcznością; nazajutrz miał być bankiet carski; przyszedł do mnie wieczorem Michajło, syn wyżéj wspomnionego stolnika, i drugi z nim bojarzyn z oracją: „Car Ossudar Weliki Biłoje i Czarnyje Rusi, Samderżca i Obładatel tebe ster pryjatela swojeho prosit za jutra na biłużyne koleno i na lebedyje huzno.“ Nie znając ja téj ich polityki, markotno mi było; myślę sobie, co za moda, zapraszać kogo na kolano i d..., a jeszcze nie wiedząc, co to jest ta biługa, jużem chciał wymówić: niechże to huzno sam zje, ale się wstrzymałem. Ten tylko mądry, kto cierpliwy. Odpowiedziałem: „że jestem wdzięczen za tę cara jmci łaskę, iż mię do bankietu swego wezwać raczył, tylko że ja, jako prosty żołnierz, nie rad się specyałami pasę; lubo się stąwię, to dla tego tylko, że się spodziewam znaleść tam i co innego do zjedzenia, bo te specyały tak znamienite zalecam panom posłom.“ Tłumacz postrzegłszy, żem się ja na to zmarszczył, rzekł: „Waćpan się o to nie turbuj, bo to jest taki zwyczaj narodu, że jak u waszmościów zapraszają na sztukę mięsa, choć tam bywa i jarząbek i różna zwierzyna, tak u nas na lebedyje huzno, choć będzie przytém i wiele innych potraw, a kiedy już oboje wymienią, huzno i biłużyno koleno, toto znaczy walny bankiet.“ Spytałem tedy: „Cóż to za biługa, co to ma te specyalne kolana?“ Powiedział: „Jestto ryba z rzeki, która ma w sobie jedno miejsce przy skrzeli tak dobrego smaku, jako żadna inna ryba nie jest smaczna; sama zaś jest tego smaku, co jesiotr; a że ta sztuka, którą z ryby wyrzynają, jest okrągła i tak ją dają na stół, dla tego ją nazywają kolanem.“ Pytałem i o to, „czemu na huzno zapraszają, a czemu nie na głowę, albo na skrzydło lub na piersi.“ Powiedział: „bo ta sztuka jest najsmaczniejsza w łabędziu.“ Ja zaś na to odpowiedziałem: „że lepiéj już na całego łabędzia zapraszać, niżeli na samo huzno, i u nas dosyć téż jest smaku w kuprze tłustego kapłona, a przecie na kuper nie zapraszamy się, tylko ogólnie na kapłona.“ Powiedział: „że to już taki obyczaj.“ Byłemci tedy na owym bankiecie, na który znowu zapraszano takąż, jak i wczora oracją. Zaraz mi téż przyniesiono tytuły carskie, żeby się ich nauczyć i wiedzieć, jak mówić, pijąc za zdrowie tak wielkiego monarchy, bo, Panie zachowaj, omylić się, albo którykolwiek tytuł przestąpić; wielka to wzgarda imienia carskiego i zaraz wszystka owa ochota byłaby za nic. Dano zatém jeść siła, ale źle i niesmaczno; ptastwo tylko i pieczysze było grunt.

Kiedy pili za zdrowie carskie, tom ja owe tytuły musiał wymieniać z karty, bo tych było z pół arkusza, a trudne bardzo i niezwyczajne; kiedy zaś pito za zdrowie króla naszego, to sam tylko stolnik umiał je na pamięć, a wszyscy inni z karty czytali, bo jak się w czém bynajmniéj omylisz, to znowu wszystkie na nowo zaczynać trzeba, choćbyś już był u końca. Pili i za zdrowie hetmanów, wodzów i Czarnieckiego, bo bardzo byli wtenczas pokorni. Ja téż chcąc nagrodzić ludzkość ludzkością, piłem za zdrowie Dołgorukiego, Chowańskiego, Szeremeta. Oni to sobie wzięli za urazę; nic mi prawda wtenczas nie mówili, ale zabrawszy późniéj konfidencją, wymawiali mi to: „Toś nam uczynił na afront.“ Ja rzekłem: „Sąto tacy hetmani, jako i nasi, których zdrowia wy nie zapomnieliście.“ Odpowiedział stolnik: „że nie godni, aby pies pił pomyje za ich zdrowie, bo ludzi potracili.“ Bawili się tedy w Wiazmie tydzień, niżeli się wymundurowali. Potém udaliśmy się traktem ku granicy na Drohobusz, Smoleńsk. Tu odesłali nazad swoje konie, a ja musiałem się starać o podwody, bo tylko 4 mile za granicę swemi końmi wozy prowadzili, a ty panie przystaw staraj się, żeby było co zaprządz, bo taki zwyczaj; o byłoż mi to zrazu ciężko w owym spustoszonym kraju starać się o podwody do tak wielu wozów, aleć przecie Pan Bóg dopomógł. Poszliśmy traktem mińskim na Tołoczyn, Jabłonice, Oczyce, do Mikołajowczyc. Już tam co daléj, to mi łacniéj o podwody, ale zrazu jużem był począł żałować, żem się téj funkcji podjął. Posłowie moskiewscy bardzo się cieszyli że im to mnie za przystawa dano, mówiąc: „Kakże Hospod Boh pobłahosławił: peredom wodił nas stary Pas, teraz budie nas wodit mołody Pasek.“ Dawniéj bowiem zawsze ich wodził mój stryj, sędzia smoleński, i kommissarzem do nich bywał; już go tam w stolicy i dzieci prawie znały, i mają tam wszyscy jego słodkie wspomnienie. Nawet gdy im powiadałem o swojém nieszczęściu, że mię już był wziął Moskal w okazji z Dołgorukim, to mówili: „Byłbyś miał w stolicy wszelkie poszanowanie, a na twoje imię i zasługi narodowi naszemu, pewno wdzięcznie wyszedłbyś był z niewoli i bez okupu.“ Alem ja rzekł: „Dziękuję uniżenie.“ Szliśmy zrazu wielkiemi pochodami, żeby z owych pustyń wymknąć się co prędzéj. Skoro przyszedłem w zaludniony kraj, już mi wszystko szło łacniéj, o podwody nie trudno było i szukać ich nie potrzebowałem, bo tam ludzie wiedzą swój zwyczaj, miasta znoszą się z sobą, wiedząc o pośle jadącym, że to koniecznie trzeba podwody dawać, bo gdy ten stanie w mieście, to mu

powinni jeść i pić dawać póty, póki nie wystawią podwód tyle, ile ich potrzeba, i każdy też natenczas stara się, ażeby gościa prędzéj pozbyć. Zajeżdżali mi drogę mieszczanie z miast o kilka mil, pókim ich nie minął, nawet i z boków, choć z miast nie na trakcie położonych, choć tam w nich nie miałem woli być, o drugich zaś i nigdy nie słyszałem, a przyjechawszy, godzili się i prosili, żeby ich minąć i żeby wolni byli od podwód; ten przywiózł zł. 300, ten 200, ten 100, według dostatku i ubóstwa. Zastałem więc wojewodę w Kojdanowie, lubo się ze mną tak pożegnał, że się nie spodziewał, żebym z za Dniepru tak prędko powrócił, i dał mi był doskonałą we wszystkiém informacją i dobrą expedycją, położywszy w listach pośledniejszą, niżeli była, datę, a to z pewnych względów. Sam téż nie miał woli tak długo bawić w tém miejscu, ale stanąwszy w dobrém miejscu, od dnia do dnia nie chciało mu się stamtąd wychodzić, ażby był wojsko odżywił i podskrobał śpiżarni panom związkowym litewskim, gdyż taka była myśl i hetmana litewskiego Sapiehy. Posłałem tedy przodem do wojewody z zapytaniem: „jeżeli się każe posłom sobie prezentować, czyli téż minąć,“ o co i sami posłowie prosili, żeby się mogli widzieć z Czarnieckim. Rozkazał zatém, żeby nie mijać. Tam tedy oddawali mu posłowie wizytę, wjeżdżali na saniach, leżąc w pościeli jako na łóżku, bo u nich jest zwyczaj taki, że sani nie wyściełają do siedzenia tak, jak u nas, i nie siedzi na nich, ale leży w piernatach jak długi, jeno mu brodę widać; tak i ubożsi czynią, bo rozesławszy lada gunkę, to sobie leży a pojeżdża, byle tylko modę swoję zachować. Po audyencji prosił ich wojewoda na obozowy obiad. Byli więc na nim i tęgo zapijali, chwaląc sobie, że smaczno i dobrze jedli. Aż ja mówię: „To widzicie, że to mój hetman nie zapraszał was na d... jako wy mnie, a przecie mieliście się dobrze i chwaliliście sobie.“ Aż ten Polikarpowicz odpowie: „że ster wsiudy worona howoryt: ka, ka, ka; u was prochajut na kura u kura bude huzno, u nas sudar prochajut na huzno, pry huzni bude se hołowa.“

Gorzałczysko u Moskali im bardziéj śmierdzi, wtém większéj jest cenie. Ową prostuchę brzydką, którą źle nie tylko powąchać a dopiero pić, piją oni z takim gustem, jako największy specjał, jeszcze sobie smakując i pokląskiwając. „Słaszno że, sudar, winko Hossudarskie.“ Mają tam przy stolicy jedno miasto, w którém sami tylko mieszkają Anglicy. Ci, jako ludzie polityczni, mają wszelkie likwory dobre. Gdy więc Moskale w poselstwie jadą, to u nich nabiorą tych trunków, to jest różnych wódek, petercymentu (który

oni zowią Romania) i inszych win, ale ich sami nie piją, tylko niemi inszych częstują. Tak i ten pan stolnik czynił; zawsze sobie z inszéj flaszki nalewał wódki, a mnie téż z innéj. Rozumiałem ja zrazu, że on pije lepszą, nie mówiłem nic, tylko pomyślałem: o jakie to grubijaństwo! Gdy już téż do konfidencji ze mną byli przyszli, trafiło się, iż pewnego czasu pan stolnik nalał sobie i wypił; bierze z pośrodka inną flaszkę i nalewa dla mnie, a ja tymczasem porwałem za owę, z któréj on sam pił; ten skoczy do mnie i chce mi wydzierać, a ja téż tymczasem pochylę do gęby, aż tu owa śmierdziucha brzydka. Dopiero rzeknę: „Rozumiałemci, że sam lepszą pijesz, ale teraz mam cię za politykа, kiedy mi lepszéj, niżeli sobie, nalewasz.“ Wstydził się bardzo, że go w tém poszlakowano, ale téż już od tego czasu nie wystrzegał się, lubo się przedtém wstydził, że taką prostuchę pił, bo już lada kiedy to zawołał na chłopca: „Mitiuszka, dawaj winka hossudarskiego!“ i łyk czarkę jednę i drugą, aż się pomusnął po piersiach, „Kakże ster słaszno!“ a to przysmak taki, że koza wrzeszczałaby, gdyby jéj gwałtem w gardło lał.

Potém tedy, jakeśmy się z wojskiem rozeszli, szedłem hetmańskiemi majętnościami, ale mając to zalecone od wojewody, żeby się w nich nic nie naprzykrzać, wszędzie opowiedziałem się tylko administratorom, iż czynię ten respekt, że mijam; to po staremu przysłano trunków, zwierzyn i t. d. Przyszedłem do Chorostowy, potém do Nowogródka. Wchodząc, markotno mi było, że to do mnie nie wysłali mieszczanie, wiedząc o posłach, a dalsze za niemi miasta wysyłały wcześnie i onych przejeżdżających do siebie inwitowały, a którzyto mi powiedzieli, że nikt dwom panom służyć nie może, i że mają też teraz swoich panów, którym się wysługują, bo stał tam litewski półk. Posłałem tedy do nich przodem, żeby było koni półtorasta do wozów poselskich i prowiant. Oni powiedzieli, „że z tego nic nie będzie, bo my tu mamy kogo prowiantować,“ i po staremu nie wysłali nikogo; nie tuszyli bowiem, żebym się odważył natrzeć na miasto, gdzie stoi kupa konfederatów. Ja jednak rzekę do posłów: „Panowie, każciesz przy mnie stanąć i swoim ludziom, bo to tu chodzi o wzgardę i mego króla i waszego cara, jeżeliby nas tu niewdzięcznością nakarmiono.“ Posłowie na to: „Bardzo dobrze.“ Nietylko tedy ludziom kazali, ale i sami powsiadali na konie. Uszykowałem ich tedy tak: Semenów 40 i moję czeladź wprzód, strzelców moskiewskich, co od wozów, 15; po obudwu skrzydłach piechotę z długą strzelbą, a Moskali konnych do-

piero za nami; sam jechałem przed tymi wszystkimi, a strzelcy piechotni blisko mnie. Było nas przecie 100 koni z okładem. Wchodzę w miasto, nie masz żadnéj przeszkody. Jużem w pół ulicy, aż dopiero bieży dwóch towarzyszów, a czeladzi kilkudziesiąt z bandoletami. Stanęli tedy i nic nie rzekli; my téż ich pominęli. A potém za nimi przybywa po trzech, czterech ze strzelbą. Oni pozdejmowali czapki, my téż. Stoją oni, rozumiejąc, ze to ja tylko przechodzę przez miasto. Aż ja dopiero upodobawszy sobie miejsce takie, gdzie były domy budowane porządnie, stanąłem, i pokazuję posłom: „Mości panowie, tu gospoda waszmościów," a sam po téj ręce od rynku stanąłem. Oni obaczywszy, że z koni zsiadamy, chyżo pośpieszywszy, przypadli, i jeden z nich mówi: „A waść to następujesz na nasze kwatery?" Ja odpowiadam: „A waściowie następujecie na powagę majestatów dwóch monarchów, polskiego i moskiewskiego, kiedy przeciw prawu narodów zabraniacie mieszczanom czynić zadosyć prawu i zwyczajowi." Ów mówi: „A tu cała chorągiew stoi w téj ulicy, i te gospody są towarzyskie, gdzie waszmość stawacie." Pytam go znowu: „Jeżeli to ludzie pod tą chorągwią?" Powiada: „Pewno, że ludzie." Ja rzekłem: „Choćby téż byli i djabli, to ja się ich nie boję. A zresztą, zaniechajcie mię, bo ja z wami sprawy nie mam, tylko z miastem królewskiém, któremu w tém przysłużycie się, że burmistrzom szyje pospadają za tę wzgardę i nieposłuszeństwo królowi panu." Już się ich naschodziło z 300 lub więcéj. „Nie będziesz tu stał." Rzekę: „Pewno tu osiadać nie myślę, bo mam pilną drogę. Ale téż, bądźcie pewni, że stąd nie pójdę, póki mi się zadosyć nie stanie, a krótko mówiąc, idźcie sobie, bo każę cynglów ruszyć." A Semenowie i Moskale trzymają muszkiety jak na widełkach, i mówię: „Namyśl się jeno, jeżeli niemasz tego rozumu, albo każ się komu nauczyć, co to jest za powaga, którą na sobie każdy poseł nosi, że to jest osoba publiczna że to dwóch majestatów i dwóch monarchów godność w swojéj reprezentuje osobie, tego do kogo idzie i tego od kogo idzie." Oni téż nagadawszy się do woli, poszli. Kazałem więc konie powyganiać na ulicę, a swoje powprowadzać; wozy także nadeszły; stanęliśmy, aż tu jaki taki łap za kulbaki, za rządziki, za strzelbę z kołków. Posłałem do burmistrza z oświadczeniem, że jeżeli nie brał mieczem po szyi, to go pewnie teraz nie minie, i mandat najdaléj tygodnia będzie miał z całém miastem, jeżeli mi nie będzie wygoda z końmi, także i podwody. Aż tu nie wyszło pół godziny, idą burmistrze i kłaniają się. Pytam ich, przy którym prezydencja. Wskaże

jeden że on sam jest. Wyciąłem go obuchem, aż padł; kazałem go potém związać i wziąć pod wartę. „Pojedziesz ze mną do Warszawy, rzekłem, a wy idźcie, starajcie się, żeby mi była wygoda i na jutro podwody, bo ja stąd nie wyjdę, póki tego nie będzie.“ Tu odzywają się Moskale: „Oj mileńki prystaw, umieje korolewskie i czarskie zderżat wieliczestwo.“ Potém zaś idzie poruczników dwóch, którzy pogadawszy sobie, mówią: „Jużże się waść nie turbujcie, my każemy miastu, żeby dało prowiant, ale podwody nie mogą być stąd.“ Tymczasem kazałem zaraz przy nich zawołać podwodników, którzy dopiero dwie mile odprawili wozy, i mówię im: „Nu dziatki, za to, że prawu i zwyczajowi dosyć czyniąc, szliście ochotnie, dla tego mając wzgląd, żeście z ubogiego miasta, czynię wam w tém folgę, że was niedaleko ciągnę, ale przyszedłszy tu do wielkiego miasta, już tu znajdę w potrzebach moich wygodę, a was wolnymi czynię; powracajcie sobie z Panem Bogiem do domów.“ Skoczą do nóg moich podwodnicy, poczną dziękować, a potém do koni biegną. Tu mieszczanie dowiedziawszy się o tém, proszą: „Zmiłuj się, zgodzimy się na pieniądze, a tych ludzi pociągnij z sobą jeszcze daléj;“ dają 200, dają 300; nic; dają nareszcie 400 zł., a tu podwodnicy, kto tylko może konia dopaść, w nogi z miasta; drugi i szlij odbieżał. Dopiero ja rzekłem do jednego z czeladzi, jakbym nie wiedział, że ich już niemasz: „Idź, niech się trochę zatrzymają ci podwodnicy.“ Ten powiada: „Już ich nie masz, tylko jeden, co mu koń zachorował.“ Teraz mieszczanie w strach i proszą, żeby ich pogonić. Jam tego nie chciał uczynić. Proszą mię tedy oni porucznicy, żebym kazał burmistrza wypuścić. Deklarowałem: „że go wtenczas dopiero wypuszczę, kiedy zaspokojony będę zupełnie tak w prowiancie, jak i w podwodach; jeżeli mi zaś w czémkolwiek nie będzie wygoda, pewno pojedzie ze mną do Warszawy i wezmie kajdanki na nogi.“ Dają mi racje; ja też daję. Mówią daléj, że tu podwód tak wiele być nie może; a ja odpowiadam, że trzeba, aby były i być muszą. Powiadają sposób, tojest, żebym posłał do pobliższych miast, aby się też do tego przyłożyły. Ja mówię: „Czego żądam dawaj, o radę nie proszę.“ Rozgniewali się, mówiąc: „Ej, to waść nie użyty!“ Ja też im na to: „Ej, toś waść nie zbyty.“ Poszli więc i zakazali, żeby się mieszczanie nie ważyli dawać tak prowiantów, jako i podwód. Przyszedł Sawasz i powiedział to, oraz i to: „chcą waćpana wygnać z miasta, biorąc ten kłopot na siebie.“ Czy to jego była życzliwość, czyli też mię tak probując, kazali to powiedzieć, ja tém je-

dnak nie dałem się ustraszyć, lecz kazałem natychmiast owę ulicę zatarasować wozami tak jak szeroka, tojest wóz podle woza, i od rynku i od przyjazdu, że już nawet i konny przejechać nie mógł. O prowiant nie proszę, bo stoję w ulicy najzamożniejszéj, w któréj wszystko być musi. Tymczasem wołam kowala, których kilku było w téj ulicy, i kazałem burmistrzowi włożyć dwoje kajdan na nogi. Semenowie stoją w paradzie, Moskale wszyscy uzbrojeni i bez rusznicy żaden nie stąpi; niechże mię teraz wyganiają. Piwa jest dostatek po gospodach, moi ludzie dobrze szynkują. Pytam gospodarza: „Jest tu miód gdzie blizko?“ On, dla swojéj folgi, żeby mu piwa mniéj wyszło, rzekł: „Jest mości panie, tylko proszę mię nie wydawać, tam a tam.“ Stało bojarów sześciu w tamtéj gospodzie; kazałem, żeby sobie uprosili cicho garniec miodu za pieniądze; tak się téż stało; wypiwszy ten, poszła szynkarka do piwnicy po drugi, a moich téż kilku za nią i dali znać, że jest miodu 6 beczek. Kazałem zabrać i mówię do nich: „Pijcie, a podpiwszy dawaj ognia na ulicach.“ Takeśmy całą noc przegaudowali. Zaraz nazajutrz nawieziono do gumien, które były za naszemi stajniami, zboża w snopach i siana co potrzeba. Kiedy widzą, że to mię nie ustraszą; widzą, że o nic nie proszę i mam wszystkiego dosyć, bo nabito wieprzów karmnych, gęsi i kur; aż znowu idą wczorajsi porucznicy i kilku towarzyszów, między którymi mój znajomy, pan Tryzna. Nuż w targ, powiadając, że tu mieszczanie chcą przyjść, ale się boją, prosimy więc za nimi. Ja odpowiadam: „Samiście ich na tę hardość wsadzili, teraz znowu za nimi prosicie. Niech to tłómaczy, kto rozum ma. Ja lichy człowiek, jako wczorajszy tuman o wyganianiu zrozumiałem, tak i teraz ich okoliczności przezieram potroszę. Jakom tedy wczoraj powiedział, tak mówię i teraz: ja z miastem mam sprawę nie z żołnierzami. Tę zniewagę uczynić chcecie nie mnie, ale dwom monarchom, a Pan Bóg wie, jeżeli jeno nie sobie, bo ja się tu wam wygnać nie dam, takiéj bądźcie nadziei, choćby miał paść jeden na drugim, a nie wyjadę, póki mi się nie stanie zadość. Jeżeli mi zaś będzie ciężko, nie masz sto mil do Kojdanowa, a już téż podobno i bliżéj musiało się wojsko przymknąć, obaczę natenczas komu tu będzie ciasno.“ Nadeszli mieszczanie; żona téż owego burmistrza okowanego już tu była od poranku, przyszedłszy z dziećmi, z wódkami i trzecim płaczem. Dopieroż mieszczanie zaczną traktować i obiecują koni 40. Odpowiadam: „Nawet i 60 być nie może.“ Musieli tedy dać 130 koni, które aż od żołnierzy wynajęli, bo im nie do-

stawało. Że więc nie wygotowali się, a już był wieczór blizko, nie ruszyłem się ku nocy. Nuż znowu pić, czyniąc to na złość owym hardym ludziom, bo ta fantazja już się ze mną urodziła, że zawsze przykrość za przykrość, choćby się nadsadzić, dobrocią zaś tak zażyje jako chce, choćby z swoją szkodą. Tak tedy, dla owych żołnierzy instancji, już natenczas pokorniejszéj niż wczoraj, a osobliwie dla Tryzny, towarzysza, któryto był mój znajomek i człowiek bardzo grzeczny, a do tego i krewny, kazałem burmistrza uwolnić z owych okowin, mówiąc mu: „Znajże na drugi raz, jak sobie postąpić w podobnych okazjach; że cię to i żołnierz, co u ciebie stoi, nie zastąpi w tym terminie, a choćby zasłonił, na prostaka przystawa trafiwszy, toby téj zasłony było tylko na czas, a potémby się na tobie zemszczono, bo dłużéj klasztora niżeli przeora.“ Zapijaliśmy tedy, a Litwinów się też naszło. Ów pan Tryzna, kogo rozumiał z swoich, pozapraszał, tak, że przyszło, rozochociwszy się, i baranie flaki rozdrażnić. Poseł był wesół i kazał dawać wina z wozów, wprzód podpiwszy miodem. Ja nie mieszałem, ale Litwini pomieszawszy, nie jeden z nich pozbył pasa, czapki, szabli i pieniędzy z mieszkiem. Nazajutrz rano sprowadzono konie do podwód, nasze też konie wytchnęły i podkarmiły się dosyć dobrze, bo zrazu i z folwarków nabrano co potrzeba, a potém i owsów naniesiono. Kazałem się gotować do ruszenia. Przyszli tedy owi wczorajsi panowie doboszańci i jaki taki do siebie prosi. Pułkownik przysłał, aby mu ten honor dać przynajmniéj na godzinę, a ja już obiecałem się był Tryznie i mówię zatém do niego: „Panie bracie, mamli bytnością moją u ciebie, u innych podpadać naganie grubiaństwa, muszę już i u ciebie nie być.“ Prosił bardzo o słowo, lecz nie chciałem i nie byłem, na odjezdnem jednak znowuśmy po troszę ponapijali do swéj fantazjéj, dotrzymanie wymawiali, i swoję konfuzję wymawiali, mówiąc że to było jednakowo dać, skacząc jako i płacząc; chartów mi przytém nadali, a potémem się rozjechali. Ruszyłem się tedy ku Mostom. Za miasto wyjechawszy, wróciłem czeladnika do burmistrza, opowiadając, żeby prowiant dostateczny dali swoim podwodnikom, gdyż nie odprawię ich aż z Warszawy, albo najmniéj od Narwi. Zasmucili się mieszczanie bardzo, a osobliwie żołnierze, od których ponajmowali konie. We trzech milach dognali mię dwaj mieszczanie, i nuż w prośby. „Nie uczynię,“ rzekłem: „jak wy ze mną, tak ja z wami postępuję; na noclegu nie może być.“ Pobiegli tedy oni, gdzie stał marszałek związkowy, Żeromski, starosta opiski i czeczerski, (byłto człowiek

grzeczny, poważny, urody bardzo pięknéj, wzrostu średniego, młody, w lat niedoszłych czterdziestu, broda do pasa, czarniusieńka, podobien bardziéj do poważnego senatora, niż do żołnierza), żeby im w tém dał radę i pomoc. Odpowiedział im: „Pomocy wam nie mogę dać, bo to nie z myszą igrać; wiem, że tam są ludzie z dobrą fantazją, i nie byłoby bez rozlania krwi; a gdyby do tego przyszło, byłaby to sprawa gardłowa. Daję wam jednak radę taką: jeżeli macie dobry worek, biegajcież, a ten będzie między wami pośrednikiem.“ Powiedzieli: „Mamy złotych 100.“ Odpowiedział: „Na to tam i nie wejrzą.“ Przychodzą więc znowu do mnie i ponawiają swe prośby i targ. Stanęło na złot. 600, ale ich nie mieli. Dają mi kartę, że do Warszawy pieniądze odwiozą. Ja mówię: „Nie może być.“ Oni mówią: „Cóż mamy z tém czynić?“ Odpowiadam: „Mnie nic do tego.“ Tym czasem do mnie marszałek przysyła towarzysza inwitując mię do siebie z posłami; o mieszczanach najmniejszéj w liście nie czyni wzmianki, tylko był w ten sens pisany:

„Mnie wielce Mści Panie Pasek Mój Mści Panie i przyjacielu!

„Gdybym wcześniéj odebrał o tém wiadomość, że WMPan Posłannika Cara JMci do JKMści prowadzić raczysz, dawniéjbym w téj uczynności WMPana afektował, abym się z onym widzieć mógł i legacją z którą się do mnie sam odzywa, że ma poruczenie Cara JMści, wysłuchał. Ale że mię dopiéro wiadomość zaszła o Posłanniku i o więźniach oswobodzonych, których przyprowadził, WMM. Pana upraszam, aby w tém żadnéj od WMMPana nie uznawał przeszkody, ponieważ się ze mną widzieć chce i sam sobie tego wielce życzy. Bo nie kto inszy w tém oswobodzeniu więźniów, którzy są na zamian wydani, pracował, tylko przy osobliwéj dyrekcjéj Boskiéj, moja czujność. Że tedy mój w tém, i wojska całego interes zachodzi, powtórnie WMMPana upraszam, abyś temu Posłannikowi wolny do mnie pozwolił przystęp do Wołkowyska, w czém uprosiłem towarzysza wojskowego JMści Pana Zydowicza, który go do mnie, do Wołkowyska, doprowadzić ma. Zatém zostaję WMMPana

Życzliwy brat i sługa powolny Kazimierz Chwalibóg Żeromski Marszałek wojsk JKM. W. X. L.“

Intytulacją zaś listu dano taką:

„Memu wielce Mścimu Panu i przyjacielowi, JMści Panu Janowi Paskowi, Towarzyszowi chorągwie kozackiéj, Jaśnie Wielmożnego JMści Pana Wojewody ziem ruskich.“

Że mi tedy pisze: „WMMPana życzliwy brat i sługa powolny,“ znowu na wierzchu intytulacja: „Memu wielce Mścimu Panu i przyjacielowi;“ ta rozmaitość, że się to czyni, raz bratem, drugi raz przyjacielem, zaraz mi się nie podobała. I dla tego odpisuję w ten sens: a ów od niego mam list do tego czasu.

„Wielmożny Mości Panie Marszałku wojsk wielkiego x. litewskiego, mój mości panie bracie.

„Spójrzawszy na intytulacją listu od WMMPana do mnie ordynowanego, bardzo skonfundowało mię to, uważywszy żem niegodzien być WMPana bratem, tylko przyjacielem; aleć znowu pocieszyłem się trochę wewnątrz, z samego WMMPana ręki charakteru, że się bratem pisać raczysz. Z téj racjéj na tytule responsu mego, nie domagam się zadośćuczynienia mniemając że do uwagi WMM. Pana nie ściąga się ten błąd, ale do osoby pana manualisty, który tak sądzę, że musi być człowiek bardzo stary, kiedy zasiągł pamięcią tego sposobu pisania listów i dotąd go konserwuje, który wtenczas jeszcze praktykowano, kiedy i senatorom pisano: „łaskawy Panie;“ albo jeżeli JMść człowiek jest młody, to może być że przedtém służył komuś za szypra, pieńkę, klepkę i wańczos do Rygi woził i zamyślił się o tém przy expedycjéj listu tego, rozumiejąc że do kupca pisze, i z nim o dawniejszych sprawach koresponduje.

Za króla Olbrachta ta moda bywała,
Lecz za Kazimierza już dawno zwietrzała.

To namieniwszy z powodu JMości Pana manualisty, do treści listu WMMPana przystępuję. Gdybym był trochę wcześniéj do WMMPana wezwany, wyszedłszy z Kojdanowa, pewniebym był wyprostował trakt, i samego WMMPana nie turbując, boby mi było mało co z drogi albo téż nic . . . .
. . . .

(Brakuje tu w oryginale jednéj karty, gdzie było zapewne opisanie przybycia Paska do Hetmana W. Ks. L. którego odpowiedź następuje). „Pana wojewody ruskiego mnie deklarował, że nietylkobym miał w usłudze odmieniać, ale owszem przy téj funkcji potwierdzam. Bo i ja mam waść za swego, gdyż i u nas, tu w Litwie są panowie Paskowie, i podobno téż to był stryj twój ho-

rodniczy smoleński, który ich przedtém wodził, i ze mną ich dwóch zostaje tegoż tytułu, a podobno i to krewni twoi. A druga, wszak już i Narew nie daleko, na cóżby się to więc przydało inszego dawać przystawa. Jakoś ich tedy prowadził przez świat i jako mi się dało słyszeć, z utrzymaniem swego i wodza honoru, jużże ich doprowadź i do boku króla jmci.“ Był mi potém rad, bez obiadu nie puścił, rozmawiał, pił za zdrowie pana wojewody i przypominał w przeszłym roku otrzymane zwycięztwa. Pytał potém: „Cóż tam za towarzysz u króla jmci był w podejrzeniu?“ Powiedziałem, że ja. Rzekł: „Dla tego téż pytam, bom słyszał, że tego nazwiska, ale masz tu na całą Litwę dobre imię za twoję fantazją, jakoś tam stawał.“ Dopieroto pił i żołnierzom pić kazał za zdrowie, a potém z wielką mię wdzięcznością expedyował i oddał mi odpowiedź na list pana wojewody ruskiego w ten sens:

„Jaśnie wielmożny mości panie wojewodo ziem ruskich! Mój wielce mości panie i bracie!

„Że jest w respekcie u jw. pana urzędu mego hetmańskiego prerogatywa, sprawuje to wrodzony, jako i we wszystkich innych akcjach jw. pana, rozum i łaska, za co uniżenie jw. panu dziękuję, oraz moje zawzięte odnawiam postanowienie, że wszelki jw. pana krok w takiém jest u mnie poważaniu, że cokolwiek jw. panu podoba się, mnie nie może się nie podobać. Jmć pana Paska, jw. pana tak poważnego znaku towarzysza, za przystawa przydanego, nie tylko żebym miał odmieniać, ale i owszem stósuję się w tém do woli jw. pana, oraz przy téj włożonéj od jw. pana na osobę jego funkcji potwierdzam, i to deklaruję, że lepszego nie mogę dać przystawa, któryby tak zręcznie swoję i wodza swego umiał utrzymać reputacją. Wiadoma mi jest jego skromność przy prowadzeniu tych ludzi, wiadome z ochraniania miast i miasteczek nieuprzykrzone postępowanie, wiadoma oraz i należyta tam, gdzie ją pokazać trzeba, wspaniałomyślność. Osobliwie teraz, świeżo w Wołpie z ludźmi przeciw majestatowi i matce uległości wierzgającymi, co, tak rozumiem już samemu Wmmpanu doniesiono, albo doniesioném będzie, że i Wmmpanu i sobie czci wydrzéć nie dał; z téj racjéj dobrego ganić nie mogę, i jako pospolicie mówią. Kyrye elejson poprawiać nie chcę. Co zaś do osierocenia krajów białoruskich, każdy przyznać musi sprawiedliwy żal jw. pana, który i moje nie mniéj przeszywa serce, ale cóż z tém czynić, kiedy oj-

czyzna na taką przychodzi nieszczęśliwość; ja z prywatną moją assystencją, choćbym chciał, pewnie nie wydołam; przyznawam i to, iż nazbyt długo i z wielkiém niebezpieczeństwem, z tak małą garstką ludzi, dawałeś jw. pan tamtym krajom protekcją. Teraz w tém co nastąpi nie nasza wina; kto jest sprawcą złego, ten Bogu odda rachunek. Gdyby nam przynajmniéj pozwolił nieprzyjaciel czasu, żebyśmy zjechawszy się na sejm, mogli o tém radzić, żeby jak najprędzéj tamtym krajom obmyślić zasłonę, toby było jakokolwiek, ale o tém wątpię. Jw. pana, z wojskiem przechodzącego, przejmować będę z prośbą moją, abyś jw. pan do domu mego na krótki czas raczył zboczyć, jeżeli pierwéj zabiegną jw. panu drogę, abym mógł cokolwiek z jw. panem pomówić o dalszéj obronie osieroconéj ojczyzny, w czém nie powątpiewając, siebie natenczas jw. pana zwykłéj zalecam łasce, jako całe życzliwy jw. pana brat i powolny sługa

„Paweł Sapieha, wojewoda wileński, hetman w. w. ks. litewskiego."

Tę odebrawszy expedycją, poszedłem ku Narwi, i dopiero na ostatku dni Bachusowych stanąłem w Bereniczu. Wieś to jest, ale nam téż nie trzeba było miasta, kiedy na niczém nie schodziło, bo mieliśmy w wozach wszystko od trunków dobrych, miąs, zwierzyn itd. Takeśmy sobie gaudowali przy ruskich duchach, i po staremu, choć przy krótkiéj znajomości, i my na kuliki jeździli i kulikantów u siebie mieliśmy, że było z kim i w taniec obrócić.

W wstępną środę ruszyłem się ku Narwi. Posłowie mieli ryb siła, owych sterledów, billugów okrutne połcie, a prócz tego i świeżych tam nie było skąpo, bo ich zewsząd zwożono, ponieważ gdziem posłał dla podwód, to przywieźli i ryb. Przyszedłszy do Narwy, już daléj litewskich podwód ciągnąć nie było można, bo takie prawo, że choćby były o milę dopiero wzięte, to zaraz o inne trzeba się było starać. Poszedłem tedy przez Narew przeszedłszy na Bielsko, Siematycze, Drohicz, przez Bug do Liwa, aż do Warszawy. Z ostatniego jednak noclegu pojechałem przodem do króla, oznajmując o posłach, a pytając się o dalszą ich dyspozycją, jako ich i gdzie przyprowadzić. Obaczywszy mię król, przyjął wdzięcznie, i poznał mię zaraz i wiedział już przez pocztę od wojewody, że ich prowadzę. Już wtenczas król miał iść na sessją, kiedym wszedł. Było w pokoju senatorów i posłów siła, moich

znajomych i nieznajomych także. Obaczywszy mię król, rzekł: „A witaj panie konfederacie, ale mniemany.“ Ukłoniwszy się, odpowiedziałem: „Już teraz ujdę takiego mniemania, kiedy jadę od Smoleńska, nie od Kielc.“ Król rzekł: „Ba, teraz to tém bardziéj może ci kto zadać, żeś tam od Moskali spraktykowany.“ Ja odpowiadam: „Niechże zdrów zadaje, a wasza król. mość, pan mój miłościwy, znowu mi to zapłacisz.“ Rozśmiał się król i ścisnął mię za głowę, mówiąc: „Już tego nigdy nie będziemy rozumienia, choćby i anioł powiadał;“ a potém rzekł do senatorów: „muszę się trochę wrócić; możecie waszmość tym czasem zasiadać.“ Mnie zaś kazał iść za sobą. Poszedł do pokoju sypialnego; dopiero mię pytał o wszystko. „Z jakiém dziełem jadą posłowie?“ Powiedziałem: „Chcą pokoju.“ Pytał potém: „Jeżelim nie miał od Litwinów związkowych jakiéj przeszkody w prowadzeniu.“ Powiedziałem okazją nowogrodzką. Rzecze król: „Pisał mi téż o tém pan wojewoda, ale dziękuję za dobrą fantazją, któréj widzę umiesz zażyć w przeciwności i pomyślności, z zachowaniem naszéj powagi.“ Potém zawoławszy podkomorzego koronnego, rzecze: „Rozmówcie się waść z Szelingiem, gdzieby tamtych hossudarów postawić,“ a sam z godzinę ze mną pogadawszy, wstał i poszedł do senatu. Wyszedłszy z pokoju, aż mię opadli moi rawscy i łęczyccy posłowie, pytając: „A zkądże to z królem taka konfidencja? Cóż to, jakoż to?“ Powiedziałem. Dopiero powinszowania. Wyszedłem z izby senatorskiéj, byłem u Szelinga, jadłem z nim, posłowie téż tymczasem przyjechali na Pragę. Że więc gospody były pozastępowane, nie mogli mieć stancji. Wszedłem do senatu i stanąłem w oczach królowi, który zawoławszy mię, spytał: „A cóż tam?“ Powiadam, „że już przyjechali, ale gospody nie mogą mieć.“ Kazał tedy król Scypionowi iść ze mną, żeby kilku rugować z gospód, i tam na Pradze stanąć posłom do dalszéj dyspozycji. Tak się téż stało. Nazajutrz posłano po nich karetę królewską i dali nam stancją we dworku jednego Francuza, i takeśmy stali. Mnie zaś król na każdy dzień kazał bywać u siebie dla konferencji i pieniędzy téż na życie dawał. Nie skąpo mi było pieniędzy, bo i z Danji miałem i od króla niedawno wziąłem 500 czerw. złotych i posłów prowadząc wziąłem 17,000; a że to łatwo przyszło, nie bardzo się téż ich i szanowało. Napawaliśmy się często z dworskimi, jako to przy Warszawie prędko dostanie kompanji i znajomości. Mazeppa już téż był króla przeprosił o owe szalbierstwo grodzieńskie i znowu przyjechał do dworu; chodziliśmy bok w bok, jeden wedle dru-

giego, bo lubo to jedno oskarżenie nie uczyniło mi nic złego i owszem nabawiło mię chleba i dobréj sławy, czego i sami związkowi zazdrościli, drudzy téż winszowali, ale przecie na niego mruczno mi bywało, a zwłaszcza podpiłemu, bo wtenczas, jak to zwyczajnie, najbardziéj na oczy lézą wszystkie urazy. Jednego czasu przyszedłem przed pokój, przed ten ostatni, gdzie król był; zastałem tam Mazeppę; nie było tylko kilku dworskich; przyszedłem wtedy dobrze podpiły i mówię do niego: „Czołem panie assawuło!“ On téż zaraz, jako to była sztuka napuszysta, odpowie: „Czołem panie kapral!“ (z téj racji, że mię to Niemcy wartowali w Grodnie), a ja nie wiele myśląc, jak go wytnę pięścią w gębę, a potém odskoczyłem zaraz; on się porwał za rękojeść, ja téż także; dworscy skoczyli i wołają: „Stój, stój! król to tu za drzwiami.“ Żaden dworski przy nim nie stanął, bo go téż nie bardzo nawidzili, że to był trochę szalbierz, a do tego kozak nie dawno nobilitowany. Moję téż widzieli słuszną do niego urazę i respektowali mię, bom się już był z nimi pokumał i nie kurczyłem się téż dla nich w każdém posiedzeniu. Uczynił się tedy rozruch, wszedł jeden do pokoju króla i mówi: „Mości królu! pan Pasek dał w gębę Mazeppie.“ A król go téż zaraz w gębę, mówiąc: „Nie praw lada czego, kiedy cię nie pytają.“ Biskup się zdumiał, widząc, że to kryminał wielki, i spodziewał się, że mnie spotka jaka wielka kara, więc, przystąpiwszy do mnie, rzekł: „Nie znam waści, ale dla Boga życzę, uchodź waść, bo to kryminał wielki, w pokoju królewskim dworzaninowi króla dać w gębę.“ Ja odpowiadam: „Waćpan nie wiesz, co mi ten zdrajca winien.“ Znowu biskup: „Jakożkolwiek bądź, ale na tém miejscu nie godzi się porywać; uchodź waść, póki jest czas, i póki się król nie dowie.“ Ja mówię: „Nie pójdę.“ Mazeppa poszedł z pokoju ledwie nie z płaczem, bo nie tak go bolało uderzenie, jak to, że się za nim, jako za kolegą, dworscy nie ujęli. Powiadam tedy biskupowi powód urazy, aż tu wyszedł podkomorzy koronny, dając znać biskupowi, że już może wnijść do króla, a idąc pogroził mi palcem po nosie; jam się domyślił, że to tam już wiedzą. Weszli oni do króla, a ja téż poszedłem do gospody. Nazajutrz, byłto dzień sobotni, nie poszedłem do zamku; bałem się przecie, a zwłaszcza po trzeźwości inna już w człowieku uwaga. Pytam się zdaleka, jeżeli się do króla nie doniosło; powiadają mi, że król wie o tém, ale się nie gniewa i owszem uderzył po gębie pazia, co mu o tém doniósł, mówiąc: „Naże téż i ty, kiedy ci się tam nie dostało; nie powiadaj mi lada czego.“ W niedzielę posze-

dłem do podkomorzego i pytam, jeżeli się tam królowi mogę pokazać. Powiedział, że król o gniewie i nie myśli, i owszem mówił: „Nie dziwuję mu się, bo to potwarz bardziéj boli, niżeli rana; jeszcze dobrze, że się gdzie w drodze nie spotkali. Dobrze też, że Mazeppa tém tego zbył, niech na drugi raz wie, jako to źle fałszywe udawać rzeczy.“ Ja wszedłem właśnie, kiedy królestwo jedli. Obaczywszy mię król, rzekł: „Daj go Bogu, spyszniéliście coś; już was czwarty dzień nie widzę; trzeba was będzie wraz z panami posłami cienko chować, to wy się często będziecie prezentowali w pokoju.“ Odpowiadam: „I tak już miłościwy królu narzekają posłowie, choć mają dosyć ludzkości i traktamentu waszéj król. mości; gdyby ich zaś miano subtelniéj chować, nie osiedziałbym ci się tam z nimi.“ Potém w inszych materjach dyszkurował król z różnymi osobami. Ja byłem rad, że się na mnie i nie zamarszczył o owego Mazeppę. Stało posłów i żołnierzy siła. Wtém dano wety. A był tam niedźwiadek, inaczéj w postaci niedźwiedziéj człowiek, około lat 13 mający, którego Marcin Ogiński w Litwie, stawiając parkany, kazał osacznikom żywcem do sieci nagnać i złapać, z wielką jednakże strzelców szkodą, bo go niedźwiedzie srogo broniły, osobliwie jedna wielka niedźwiedzica najbardziéj broniła, znać że to była jego matka; tę skoro osacznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był właśnie taki, jak człowiek być powinien, nawet u rąk i nóg nie pazury niedźwiedzie, ale człowiecze paznogcie były; tém się on tylko od człowieka różnił, że był wszystek długiemi, tak jak niedźwiedź, obrosły włosami, nawet i twarz cała, oczy mu się tylko świeciły, a o którym różni rozmaicie sądzili; jedni, że to był mięszaniec, drudzy zaś mówili, że to znać niedźwiedzica porwała gdzieś dziecko bardzo młode i wychowała, które, że jéj pierś ssało, dla tego też owo podobieństwo zwierzęcia przybrało. Nie miało to chłopczysko ani mowy, ani obyczajów ludzkich, tylko zwierzęce. W tymże to czasie podała mu królowa łupinę z gruszki, pocukrowawszy ją; on z wielką ochotą włożył to do gęby, a posmakowawszy, wyplunął na rękę i z ślinami cisnął królowéj między oczy; król począł się śmiać okrutnie, królowa rzekła coś po francuzku, a król jeszcze bardziéj w śmiech. Ludwika, jak to była gniewliwa, poszła od stołu; król też, na ową furję, kazał nam wszystkim dać wina, kazał pić, muzyce grać, damom dworu przyjść, i nuż się ochocić. Dopiero przy téj okazji kazał Mazeppę zawołać, kazał się nam obłapić i przeprosić, mówiąc: „Odpuśćcie sobie z serca; boście już teraz obadwa sobie

winni;“ i takci dopiero nastąpiła zgoda i siadaliśmy potém z sobą i pijali, aleć, po staremu, Mazeppa z konfuzją wyszedł z Polski w drugim roku, a to z téj przyczyny: Na Wołyniu miał wioskę w sąsiedztwie z Falbowskim, któremu znęcił się był do domu, nie wiem po co; że zaś tam przebywał często, kiedy Falbowski wyjechał, dopowiedzieli o tém panu domownicy, ci osobliwie, co karty zapraszające nosili i byli świadomi owych konwersacij. Pewnego czasu założył sobie Falbowski drogę jakąś daleką, pożegnał się z żoną i wyjechał. Stanął zaś na tym trakcie, którędy Mazeppa przejeżdżał, aż tu bieży z kartą ten, co zawsze zwykł bywać posłańcem i sam o tém panu powiedział. Falbowski wziął kartę, przeczytał, jako się tam zapraszają na ochotę, obznajmując zarazem, że jegomość wyjechał w drogę itd. Oddawszy Falbowski tę kartę owemu tajnemu sekretarzowi, rzekł: „Jedź, a proś go o odpis, mówiąc, że jéjmość prędko kazała.“ Tak uczynił, a pan go czekał, póki nie powrócił z odpowiedzią, bo dwie mili było biegać. Skoro go tam tedy wyexpedjowano, skoczył przodem i oddał panu kartę, w której Mazeppa deklaruje swoję gotowość do usługi i obiecuje się zaraz stawić. Jakoż po chwili jedzie Mazeppa; potkawszy się „czołem, czołem“ pyta pan Falbowski: „dokąd jedziesz?“ Powiedział, żeć gdzieindziéj. Falbowski: „Proszę na wstęp.“ Wymawia się Mazeppa, że pilną ma drogę, i pyta: „Waćpan też widzę gdzieś jedziesz?“ Falbowski: „O, nie może być;“ a wtém cap go za kark, pytając: „a to co za karta?“ Mazeppa zdechł ze strachu; nuż prosić, że to pierwszy raz dopiero jedzie i że tam nigdy nie postał. Falbowski woła owego sekretarza i pyta: „Chłopie, siła razy tam był w mojéj niebytności?“ Odpowiada: „Ile włosów na méj głowie.“ Dopiero Falbowski kazał Mazeppę wziąć, a jadąc, mówił do niego: „Obieraj śmierć.“ Prosił, żeby go nie zabijać i przyznał się do wszystkiego. Takci Falbowski nacudował się nad nim i namęczył, a rozebrawszy go do naga, przywiązał go na własnym jego koniu, zdjąwszy kulbakę, i obrócił twarzą do ogona, a tyłem do głowy, ręce opak związał, nogi koniowi pod brzuch podwiązał, a potém bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, potężnie zhukano, kańczugami osieczono, a jeszcze mu nadgłowek ze łba zerwawszy, kilka razy nad nim strzelono. Tak tedy ów bachmat jako szalony skoczył ku domowi, dokąd trzeba było jechać gęstemi chróstami, przez głóg, leszczynę, gruszczynę i ciernie, a nie drogą przestronną, lecz ścieżkami, którędy koń drogę do domu pamiętał, bo często tamtędy chodził, jak to zwyczajnie na czaty, nie gościńcem,

ale manowcami jeżdżą, i trzeba się tam bardzo często uchylać, choć cugle w ręku trzymając, mijać złe i gęste miejsca, a po staremu, czasem i po głowie gałęż dała i suknie rozdarła, a tu dopiero nagiemu, tyłem do głowy siedzącemu, na tak bystrym i rozhukanym koniu, który od strachu i bólu oślep leciał, gdzie go nogi niosły, ileż się tam nie dostało specjałów, dopóki owych szerogich chróstów nie przejechał, snadnie domyślić się można. Owéj jego assystencjéj, co z nim dwaj czy trzéj jechali nie puścił, żeby go nie miał kto ratować. Przypadłszy tedy przed swe wrota ledwie żyw, woła stróża; stróż poznał głos i otwiera, lecz obaczywszy straszydło, co tchu zamknął i uciekł. Wywołał wszystkich ze dworu; ci zaglądają drzwiami i żegnają się; on się zwierza, że jest ich pan prawdziwy; oni nie wierzą; gdy już jednak mało co rzec mógł, będąc zbity i zziębły, puścili go. Falbowski zaś przyjechawszy do żony, wiedział już wszystkie sposoby; zakołatał więc w to okno, którędy Mazeppa wchodził; otworzono i przyjęto jako wdzięcznego gościa; ale co za to ucierpiała, tego nie godzi się tu opisywać; osobliwie jednak od ostrog na to przygotowanych, i umyślnie tu gdzieś koło kolan przywiązanych, dość że to był znaczny i sławny przykład na ukaranie i upamiętanie ludziom swawolnym. Mazeppa ledwie téż nie zdechł, a wysmarowawszy się należycie, z samego wstydu wyjechał z Polski.

Adulterjum i szalbierskie fochy,
Widzisz Mazeppa, jak to handel płochy.
Szpetnie łgać i kraść zostawszy szlachcicem,
Nie smaczna to rzecz cudze wracać licem.
Na szlachectwo cię król nobilitował,
Na rycerstwo zaś Falbowski pasował.
Mościwa pani doświadczyłaś tego
Jak piękna rzecz mieć męża rozumnego,
Zachorowałaś na świerzbienie ciała,
Wnet się skuteczna recepta potkała,
Raj drugim damom specjał tak drogi,
Na taki deffekt rajtarskie ostrogi.

Tak tedy dwóch znacznych dworzaninów królewskich namieniwszy, kozak uciekł z Polski, niedźwiedź zaś nie wiem w co się obrócił, czy z niego był człowiek lub nie był, to tylko wiem, że

go było oddano na naukę do Francuzów i począł się już był mowy dobrze uczyć.

Wracam się teraz do materji przedsięwziętéj. Sprawowałem ja przyzwoicie mój urząd, czego mi winszowali bracia moi, którzy natenczas byli w Warszawie. Agitowała się materja zapłaty wojsku, oraz obrona granic. Bywałem u króla często. Ta jedna tylko była zawada, że skarb był bardzo spustoszał i wakans też nie trafił się, a ja naturalnie nie miałem ambicji i małą rzeczą kontentowałem się. Prosiłem się potém, żebym mógł do domu odjechać na święta wielkanocne, mil 12 od Warszawy, powiadając, żem obiecał ślubem uroczystym, za morzem będąc, chwałę Bogu oddać za dobrodziejstwa w tamtych okazjach. Pozwolił mi król, zastrzegając powrót, przydawszy Scypiona, chorążego, dworzanina swego pokojowego, na moje miejsce za przystawa posłom moskiewskim. Przyjechawszy do rodziców, było dosyć wesołości po owych, które słyszeli, lubo nie rychło, grodzieńskich okazjach; nazjeżdżało się krewnych, sąsiadów i dobrych przyjaciół dosyć. Byliśmy sobie radzi. Odpocząwszy w domu, postanowiłem spełnić ślub; wybraliśmy się więc do Częstochowy tak, żeby na Boże Wniebowstąpienie tam stanąć. Matka jechała, ja szedłem pieszo, a konie za mną prowadzono, na których miałem nazad powracać. Gorąca były srogie. Nazad powracając, spadły śniegi i szkody poczyniły wielkie, bo żyta już natenczas kwitnęły. Śniegi upadły po kolana koniowi, kwiat powarzyły, sady i inne drzewa owocowe popsowały, bo leżały tydzień, i tak nie było w tym roku żadnego albo mało co z żyta pożytku, i inne zboża znacznie nadwerężyły. Kara za grzech w tym roku, że i Pan Bóg i ludzie dużo chleba ojczyznie ujęli, z czego nastąpiła potém wielka drogość zbóż i ścisk na ludzi. Spowiadałem się też w Częstochowie za tą bytnością i prosiłem rozgrzeszenia z uczynionéj obietnicy ślubu (jakom wyżéj wypisał) z pewną damą, który nie doszedł, a po prostu mówiąc, wyniknął z zakochania; rozgrzeszonoć mnie wprawdzie, ale pamiętam i długo pamiętać będę zadaną pokutę i exortę, którą usłyszałem i dziesiątego nauczycbym umiał, jak to źle jest wyrywać się z temi słówkami: o ż e n i ę s i ę z t o b ą.

Powróciwszy z Częstochwy, przyjechałem do Warszawy, gdzie zastałem hałasy wielkie, bo zgody nie było, sejm chciano rwać, wojsko poczęło się pomykać pod Warszawę, deklarowawszy nikogo nie wypuszczać, aż dopiero po skończonym sejmie; podsłuchy były na szlakach, i tak prawie, jak w oblężeniu, kończyli sejm, odło-

żywszy ostatek do kommissji względem ujęcia wojska i obmyślenia mu zapłaty. Ja też przy dokończeniu sejmu starałem się, żeby mi przecie za moję pracę dano co ze skarbu gotowizną, ponieważ mi się nie dostało obiecanego wakansu, i nie miałem natenczas szczęścia do upatrzonego, lubo król mówił mi kilka razy: „Upatrzcie sobie.“ Dawano mi urzędy, a ja widziałem, że mi chleba potrzeba było, gardząc tytułem, a sposobu do życia życząc sobie, i tak przez cały sejm nic przyszło mi poszczwać upatrzonego, którego przypadkiem prędzéj upatrzysz, niżeli wtenczas, kiedy go umyślnie szukasz. Lubo o tém była mowa i sam król przypominał, mówiąc: „Jestem twym dłużnikiem, i jakbyś mi za uchem wołał, kiedy cię zobaczę, choć mi jednak nic nie mówisz, bo wiem, żem ci powinien;“ a na to szczęście nic się dobrego nie trafiło, w skarbie téż pieniędzy nie było, bo król Kazimierz, lubo był pan dobry, ale gdy nie miał szczęścia do pieniędzy, po prostu mówiąc, nie chciały go się trzymać. Stanęło więc na tém, że mi dali assygnacją do skarbu litewskiego na 6,000 złot., z przyczyny, żem to odbywał urząd księstwa litewskiego, bo Litwin powinien był być przystawem, nie koronny, a może też bardziéj w tym celu, żeby mi oczy zamydlić i zbyć mię naprędce ową mniemaną zaspokojenia nadzieją, ponieważ i w tamtym skarbie toż się działo, co i w naszym, i sam Gąsiewski, podskarbi litewski i hetman polny, wtenczas téż dopiero z niewoli wyszedł, który był od Chowańskiego pojmany przed tém, póki my z Czarnieckim do Litwy nie przyszli; z brodą i z kudłami jeszcze i na tenczas chodził, dla czego musiał być nie bogaty, wyszedłszy świeżo z więzienia. Udałem się więc do niego z ową assygnacją, na którą on spojrzawszy, rzekł: A dla Boga, dyć król jmć wie, żem ja przez te lata pieniędzy nie zbierał, i w skarbie są pustki. Darmo to waszeci tą intencją zaprzątniono, bo tu waść tymczasem nic wziąć nie możesz, chybaby tam jakoś po związku, ponieważ teraz choćby i było co dać, to niepodobna to uczynić; nie miéj więc waść nadziei, niech waści król skąd inąd obmyśli.“ Poszedłem ja tedy do króla, powiadając mu to i oddaję assygnacją. Król rzecze: „Niech się ja z nim obaczę, a będzie to inaczéj.“ Tak się też stało. Już podskarbi obiecał dać pieniądze, ale mi kazał jechać po nie do Wilna na kommissją. Król też do mnie rzekł: „Po obietnicę, powiadają, trzeba konia rączego; życzymy, żebyście jechali zaraz na początek kommissji, bo tam pan podskarbi ma zastać coś gotowych pieniędzy i obiecuje wam z tych zaraz wyliczyć, a powracajcie prędko, żebyście znowu tych hossudarów od-

prowadzili. My jednak czém lepszém nie zapomnimy was opatrzyć w szczęśliwszych czasach.“ Pożegnawszy więc króla, po skończonym sejmie pojechałem do domu, gdzie mało co odpocząwszy, wyjechałem do Wilna, dokąd przyjechawszy, zastałem rzeczy w odmęcie, bo zaraz od zaczęcia kommissji, na którą wojskowych nazjeżdżało się siła, każda sessja, każde kołowanie, nie było bez wrzawy, tumultów i porywania się do szabel. O gospody bardzo było trudno przy owém wielkiém ludzi zgromadzeniu, musiałem tedy stanąć w domu pustym, nowozaczętym, jeszcze nie skończonym, bo sam tylko zrąb izby, bez drzwi stał, i wartować się kazałem przy owych nocnych i dziennych kradzieżach i rozbojach, co mi było bardzo ciężko między ludźmi obcymi; ale i w tych pustkach nie byłem wolny od napastników, (o czem niżéj). W kołach bywałem, poco mię zaś expedjowano, ale i tam taki był rząd i powaga; proszę jednak po co przyjechałem, bo chodziło o niebezpieczeństwo dającego i przyjmującego. Skoro nadeszły pieniędze z jakiegoś tam dochodu, zaraz mi dano assygnacją do pisarza skarbowego, któremu ja pokazawszy assygnacją, zaraz się zajął liczeniem pieniędzy, zawarłszy się ze mną w jednym bardzo ciemnym sklepiku, bo o jedném tylko okienku, na zamku, w tyle S. Kazimierza; liczyliśmy zatém jako ukradkiem prawie, a że mi dał jednę część w dobréj monecie, drugą zaś część w szelągach rygskich, co owo bywały cienkie a posrebrzane niepodobna ich było zabrać jednemu wyrostkowi, który tylko sam był ze mną, gdyż inni musieli wartować w owych pustkach; dał mi tedy dwóch hajduków ze straży, którzy owe pieniądze na noszach do gospody zanieśli. Przychodzę do gospody, aż mi czeladź powiada, „że tu był towarzysz, który twierdził, iż to jego kwatera, i ma za urazę, że nie radząc się go, stanąłem tam, i już konie chciał wyganiać, ale drugi, co z nim przyszedł, odwiódł go od tego; obiecał on znowu tu przyjść, kazawszy sobie dać znać, jak waść powrócisz.“ Jenom tedy owych odprawił hajduków, aż ów idzie samo siedm, i gospodarz, inaczéj dziedzic tych pustek, w których ja stałem, a wszyscy pijani. Pyta mię: „A ty za czyjém tu pozwoleniem i ordynansem stoisz?“ Odpowiem: „Kto mi pozwolił żyć i chodzić.“ Rzekł: „Ale to moja kwatera.“ Odpowiadam: „Toś ty zły ogrodnik, kiedy kwaterze téj dałeś ostem i pokrzywami zarość.“ On znowu rzecze: „To jest gospoda moja.“ Odpowiadam: „Nie chwalebny z ciebie gospodarz, kiedy nie masz w domu pieca, okien i drzwi.“ On: „A na cóżeś tu stanął?“ Odpowiadam: „Bom do tatarskiego rządu przyjechał,

nie zaś do narodu, który powinien być polityczny, i w tém się postrzegający, żeby dla gościa wolne zostawiać gospody.“ Tu odzywa się mieszczanin, tych pustek pan: „Ej, mości panie, każ mu waść konie wygnać na ulicę, bo jeszcze widzę przedrwiewa z waści.“ Ów woła: „wyganiaj,“ a ja: „nie wyganiaj,“ (a działo się to w izbie między końmi); porwie się ów mieszczanin, gospodarz, odwięzywać konie, a mój czeladnik obuchem go w piersi, padł; nuż do szabel. Gdy się stał tumult, miałem wołoszyna kasztanowatego, haniebnie bystrego; w tém zamięszaniu gdy uskoczył z przycięcia jeden Litwin między konie, mój kasztanowaty jak go téż ciął nogami, padł i ten, a więc już dwaj leżą. Wytoczyła się ta sprawa w sposób appellacji z izby między pokrzywy; tamto dopiero po sobie; mój wyrostek pilnował mi tyłu, dwóch zaś czeladzi tuż podle mnie. Jakoś tam wyrostka odemnie odsaczyli i ciął mię jeden z tyłu, ale przecie nie bardzo, i zaraz na stronę odskoczył; w tym także razie i pan powalił się w pokrzywy; skoczyła przed niego czeladź z szablami, że mu się nic nie dostało, wstał i sunął do mnie prosto, ciąwszy mię z mocy; wytrzymałem, a potém odłożywszy, ciąłem go przez puls: nic to; dalej po sobie; mój też czeladnik jego pachołka w łeb ciął, padł. Jegomość znowu natarł na mnie, a ja go też znowu przez palce tak, że upuścił szablę i w nogi; mój wyrostek za nim; powalił się znowu w owych chwastach; nuż go wyrostek okładać, ażem zawołał: „stój!“ Ostatek też w drużkę, a ja do izby do swoich koni. Ów obuchem uderzony już téż był wylazł i uciekł, a ten od konia uderzony leżał we mdłości; rozumiałem, że już nie żywy, i kazałem go za nogi wywlec, aż ów stęknął; dopiero rzekną: „Żyje, żyje;“ nuż go trzeźwić; obaczył się, wstał i poszedł, a owych też w pokrzywach pozabierano i poprowadzono, łając i grożąc. Myślę zatém, co tu czynić; zamknąć się, nie ma czém; aż tu godzina w noc idzie kupa ludzi z 50 albo 60. Czeladnik mój woła: „Nie przystępuj bo strzelę; czego potrzebujecie?“ Stanęli, a potém rzekli: „A coście tacy synowie pokaléczyli ludzi?“ Ja im odpowiadam: „Kto guza szuka, snadno go znajdzie; nie my to kaléczymy, ale niewinność nasza zawojowała ich.“ Rzecze znowu: „Noga was tu nie ujdzie, hultaje.“ Odpowiadam: „Porachuj się, kto ma być hultajem nazwany, czy ten, kto kogo po nocy nachodzi, czy też ten, kto sobie spokojnie siedzi, nikomu nie dając okazji.“ Ów rzecze: „Jakkolwiek bądź, po staremu, wy tu musicie krew rozlać, jakoście braci naszych rozlali.“ Odpowiadam: „Jeżeliś po moję przyszedł głowę, podobnoś i swoję przyniósł; jeżeli moja polęże i twojéj się zapewnie dostanie;

a odstąpcie się daléj, bo będziemy cynglów ruszać." Dopiero jeden jakiś uważny rzekł: „Dajcie pokój; a mnie jednemu wolnoż tam przystąpić?" Powiadam: „Wolno." Przyszedł tedy i pyta: „Ktoś ty jest i po coś przyjechał do Wilna?" Mnie nie godziło się powiedzieć, żem przyjechał za assygnacją; nie godziło się powiedzieć, ktom jest, żeby ujść kłopotu, gdyby tam który z nich umarł, ale wiedziałem, że Dąbrowski, pułkownik z wojska litewskiego, miał kilku siostrzeńców rodzonych na Podlasiu, którzy pod różnemi chorągwiami w wojsku naszém służyli, i powiedziałem, „żem jest Żebrowski, przyjechałem do wuja mego Dąbrowskiego, stanąłem w pustkach, nie mogąc innéj znaleść gospody, a, po staremu, i tu od napaści nie jestem wolny." Rzekł mi: „A wszak czeladź twoja powiadała, kiedy ją pytano, że się Paskiem zowiesz." Odpowiadam: „Tak jest, bo mam dwa nazwiska, Pasek i Żebrowski." Pyta: „A nasz pan kanclerz co ci jest?" Powiedziałem: „że herbowy tylko, ale nie krewny, bo on jest Pasek Gosławski, a ja Pasek Żebrowski." (W takiéj bowiem okazji już się i swego tytułu i krewności musiałem zaprzeć). Rzekł znowu: „A nie tyś bywał u pana pułkownika w Warszawie." Odpowiadam: „Nie ja, ale rodzony mój, bom ja w Warszawie nie był na sejmie." Potém mówi: „To cię tedy znajdziemy zawsze, kiedy potrzeba będzie." Odpowiedziałem, „że się i ja sprawię na każdém miejscu, ale i mnie także każdy sprawić się musi, kto mię rozbójniczym sposobem nachodzi, bom ja nikomu nic nie winien, anim okazji dał, spokojnie w tych pustkach stoję, nikomu za szeląg szkody nie robię; jutro pokaże, kto będzie karany." On rzekł: „Wątpię, żebyś jutra dostawał, bo ten jeden nie wiem czy żyje do tego czasu." Powiedziałem: „Gdyby byli i wszyscy na miejscu padli, tobym się tego nie lękał, bo mam prawo po sobie, że jest wolna obrona, i że napastnik sam się zabija." Powiedział: „Dobra noc." Ja mu także: „Dobra noc." I poszli. Mówiłem prawda, że się nie boję, alem jednak inaczéj myślał, bo strzeż Boże któremu umrzéć, luboby mię uwolniono, ale samo zatrudnienie, prawując się, inkwizycje wywodząc, koszt łożąc, itd., dużo czasu by zabrało; rozmyślam więc, jakby z tamtego miejsca umknąć, bo mię raz doświadczenie nauczyło, że lepiéj z lasa, niżeli z tarasa. Przychodzi mi na pamięć owo moje kozieradzkie doświadczenie, gdziem żałował, żem nie uchodził, mając czas, ufając w niewinność, co lubo się dobrze skończyło, ale jednak mieszek bardzo na to stękał; ja też z Panem Bogiem począłem się układać, a to bardzo cicho. Kiedyśmy już byli gotowi, pobraliśmy konie w ręce i takeśmy je piechotą

za sobą prowadzili owemi srogiemi pokrzywami. Gdy zaś po spaleniu moskiewskiém piwniczyska po przedmieściach pozarastały były pokrzywami, a do tego noc była ciemna, to raz po raz w owe doły albo koń, albo czeladnik który, albo ja sam wpadł, tośmy się jednak ratowali, i nareszcie cichaczem dosięgliśmy pola, gdzie powsiadawszy na konie, już też świtało, gdyśmy wyszli z owych piwnic pustych, i nie pamiętam przez cały wiek mój, żebym miał tak wiele piwnic wizytować, jak przez tę jednę noc w Wilnie, a w żadnéj nie było czém się posilić, choć nie jeden z nas słusznie się natrząsnął. Jużbym był jechał prosto w moję drogę, ale mi Gąsiewski, hetman i podskarbi litewski, kazał być u siebie po odebraniu pieniędzy, że miał pisać do króla; stanąłem więc u jednego rzeźnika w szopie, gdzie bijał woły, których i natenczas kilka wisiało; konie najmniejszéj rzeczy jeść nie chciały, tylko chrapały na ów smród surowizny. Poszedłem sam do miasta, przebrawszy się w kontusz, w którym mię nie widziano. Przyszedłem do brata, powiedziałem co się stało. Brat też mi radził, żebym odjechał, zaraz ze mną poszedł do hetmana, dla prędszéj expedycji. Wychodząc, spotkaliśmy się na schodach z owymi ludźmi, którzy spostrzegłszy, że mię nie masz w tamtéj gospodzie, a już też wiedzieli, ktom jest, przyszli do brata opowiedzieć, co się stało, i pytać się o mnie. Poznałem zaraz jednego i trąciłem brata, mówiąc: „A otóż są.“ Brat tedy niby to mnie tylko wyprowadzał, pożegnał się ze mną na wschodach i wrócił się z nimi, a jam poszedł do hetmana, podziękowałem za łaskę, listu zaś do króla nie chciałem czekać, powiedziawszy, co się stało; on też nie nalegał i owszem rzekł: „Jedź z Panem Bogiem, bo to tu u nas sprawa kozacka.“ Poszedłem do aptekarza, stamtąd posłałem do brata, prosząc go do siebie, bom już nie śmiał do niego pójść, żeby mnie kto nie poznał. Przyszedł tedy brat do mnie i tuśmy sobie w spokojném miejscu usiedli i rozmówili. Powiedział mi, jako się o mnie pytali, „czym jest jego krawny, lub nie.“ On im odpowiedział: „Stryjeczny to mój.“ Rzekli na to: „A czemuż się powiedział do innego domu należącym?“ Odpowiedział brat: „Temu, żeby się waszéj zbył napaści, bo jest na urzędzie i nie ma tu czasu z ami prawem rozpierać się, ale deklaruje wam przezemnie w każdym sądzie sprawić się i prawem i lewem, oraz o jego urzędzie powiadam wam, że służy z wojewodą ruskim, i tam go szukać wolno, kto chce.“ Rzekli: „Ale podobno trzech z owych poranionych żyć nie będzie, a najbardziéj nas też to boli, że, opuszczając gospodę

napisał na ścianie wiersze, które narodowi naszemu hańbę czynią." Są takie:

Za coś mię . . . . kukuć napastował,
Wszakżem boćwiny w Wilnie nic nie zakosztował,
Bo to świńska potrawa, jeść się jéj nie godzi,
Widzę Litwin a świnia, w jednéj sferze chodzi.
Świnia chceli co zwąchać, to chodzi po nocy,
Litwin zaś na rabunek, jakby wybrał oczy.
A toż masz Litwos Gieros pamiętaj rabunek,
Gdyś wziął od polskiéj szabli po łbu podarunek.

Brat na to odpowiedział: „Odpiszcie mu także wiersze, a jeżeli się czujecie być niewinnymi, będą kiedykolwiek wojska w kupie, natenczas upomnijcie się tego." Taką więc relacją o ich mowach brat mi uczyniwszy, pożegnał się ze mną. Poszedłem do gospody, alem, po staremu, prędzéj nie wyjeżdżał, aż się dobrze zmierzchło, uchodząc jakiéj napaści, i już nie jechałem grodzieńskim traktem, jako mi należało, ku Polsce, ale puściłem się ku Uciany i tam wykierowałem ku Podlasiu, przejechawszy bezpiecznie. Jakem zaś potém słyszał, szukali mię po tych szlakach, które prowadzą ku Polsce, chcąc się koniecznie zemścić, ale ich Pan Bóg nie pocieszył, a owi téż porąbani, z łaski Bożéj, wyléczyli się, i poszło to w zapomnienie. Już do Warszawy nie jeździłem, bom się w drodze dowiedział, że król pojechał do Lwowa na kommissją, i że już i posła moskiewskiego wyprawiono, dawszy mu innego przystawa. Przyjechałem tedy do domu. Jaki taki upomina się futer, com obiecał w Wilnie nakupić; wszyscy się zawiedli, bo i sobie nic nie kupiłem i sam ledwie com zdrowo wyjechał, nie spodziewając się, żeby mię miał taki napaść kłopot od owych pijaków. Po wyjeździe moim z Wilna, dopadli jakoś owi pijacy ksiąg skarbowych, w których ja kwitowałem z odebranych 6,000 złot. i podpisałem się; rozumieli oni, że to mój stryjeczny, który u nich był kanclerzem i także mu imię Jan z Gosławic, i chwycili się tego mocno, że to już jakąś odebrał nagrodę za jakieś machinacje i fakcje, jako urzędnik wojskowy. Uczynili tedy w kole wielki rozruch, garłując na rzecz wojska, że tu są tacy, którym najbardziéj naszych zwierzamy się sekretów, a już nas znać chcą przedać, kiedy biorą prywatne korrupcje, już to nie darmo. Stała się tedy sroga wrzawa i trzaskanie szablami, pytając się: „Kto taki? podajcie go nam, za-

raz go tu będziemy bigosowali.“ Na takie domaganie się, musiał to powiedzieć ów, co w kole rozsiał, i rzekł: „Pan kanclerz wziął ze skarbu 6,000 złot., zapewne nie darmo; widziałem jego kwit w księgach z odebrania summy,“ (a nie znał prostak jego charakteru, tylko wiedział imię i skąd się pisze). Mówią mu: „Dowiedziesz tego?“ „Dowiodę.“ Hukną tedy jedni: „Bij!“ drudzy: „niech da o sobie sprawę!“ Krewni i koligaci jego z matki, zdechli od strachu, bojąc się, żeby mu nie dowiódł; on zaś nic się nie turbuje, bo nie termin, tylko mówi: „Moi mości panowie! poczuwam się ja w jakim stopniu usługi u ww. panów jestem umieszczony, że wszystkie, najmniejsze nawet, tajemnice, dochodzą mojéj wiadomości, i tak sądzę, żebym wiele mógł zaszkodzić, gdyby mię moja nie rządziła poczciwość, i ta, którąście mi ww. panowie po bratersku zawierzyli, niepośłakowana wiara. Gdybym się jednak w tém, co mi zadają, uznał być winnym, tobym sam na siebie ochotnie jak najokropniejszy dekret śmierci napisał, i teraz mówię, jeżelim wziął te 6,000 zł., choćbym przytém nic złego nie zrobił, niech już będę za zdrajcę poczytany i już jako zdrajca karany, ale niech mi wpierw dowiodą.“ Ów się téż sierdzi: „Dowiodę, tylko proszę jmć pana podkanclerzego, żeby kazał księgi przynieść, te, którem ja tam już naznaczył.“ Podskarbi tedy posłał, żeby pisarz przyszedł z księgami i powiedział im co to jest. Dopieróżto w nich duch wstąpił, bo przecie o tém rozmyślali, jakby krewnego bronić i siebie nie wdać w konfuzją. Owi ludzie, godni familianci tameczni, Biernaccy, Sokolniccy, Chreptowiczowie i inni tam jego koligaci, jak to usłyszeli, zaraz ich kilku stanęło blisko owego, co zadał, ażeby się nie skrył. Wtém przyniesiono księgę i dają mu ją w ręce, mówiąc: „Szukajże, gdzieś to widział.“ Znalazł do razu i niesie z radością do marszałka. Brat rzekł: „Proszę o tę księgę,“ jakoby to nie wiedział, co tam w niéj jest, a obaczywszy, mówi: „Mości panowie! jakom ja raz deklarował ochotnie z rąk ww. panów ponosić karę, tak téż i teraz potwierdzam, jeżeli się to na mnie pokaże, co mi zadano; jeżeli się nie pokaże, proszę wzajemnie, żeby pokutował ten, kto zadaje, a nie dowodzi, ponieważ kto mi bierze dobrą sławę, bierze mi życie. Rozumiem téż, że nie wiele się takich znajdzie w wojsku, którzyby nie znali charakteru tego, którym ja we wszystkich expedycjach służę ww. panom. Jest sam kwit, że wzięto 6,000 zł., ale jeżelim ja wziął i jeżeli winnie ponoszę taką potwarz, kładę to pod rozwagę ww. panów.“ Jaki taki obaczy i rzeknie: „Nie jego podpis.“ Pytają więc: „Co to jest,

że imię i nazwisko takie, tylko charakter inny.“ Brat odpowiada: „Wziął stryjeczny mój, z wojska koronnego, za taką a taką usługę, za assygnacją króla Jmści.“ Tu dopiero owe wszystkie obelgi, które miotano na brata, obróciły się na donosiciela. Wtedy to zawołają jedni: „Sądzić go!“ drudzy: „Bić pogańskiego syna, który takie plotki do koła rycerskiego przynosi.“ Ów chciał się trochę umknąć, a Sokolnicki, porucznik, jak go uderzy obuchem w kark, padł na ziemię; dopieroż go tu młócić, bić i deptać, że go ledwo marszałek Żyromski żywo obronił. Ale, po staremu, zaraz od tego czasu nieborakowi Gąsiewskiemu począł się pogrzeb gotować, i ta była najpierwsza okazja podejrzenia na niego, bo zaraz krzyknęli: „A wierzymy mości panie hetmanie, dla wojska to pieniędzy nie ma, a za lada assygnacją króla zaraz się znajdą. Nie podobniéj by się to zatrzymać tym assygnacjom do szczęśliwszych czasów, a teraz nasze zaspokoić pretensje. Dobrze, dobrze, byleby to tylko komu nie zaszkodziło.“ Tłómaczył się hetman, że to musiał uczynić za gorącą instancją króla jmści, na którą i z swojéj szkatuły musiałby był wyliczyć, ale na te wymówki nie zważano, i od tego czasu już coraz bardziéj nie ufali mu, i coraz większe w kołach bywały tumulty, bo téż wojskowi w coraz większe wdawali się pijaństwo, z czego trudno się było spodziewać statku i powagi, chyba hultajskich postępków, co się w krótkim czasie sprawdziło, kiedy swego marszałka, Kazimierza Żyromskiego, starostę czerskiego, człowieka wielce zacnego, rozsiekali, a potém i Gąsiewskiego, hetmana polnego i podskarbiego litewskiego, kazawszy mu się dysponować, najrozmyślniéj rozstrzelali, a to z jednego tylko małego podobieństwa i fałszywego udania; nazabijano także w tym rozruchu i wielu żołnierzy. Tracono późniéj kilku pułkowników, o ten postępek obwinionych, i okrutną ćwiertowaną śmiercią, w Warszawie na przyszłym sejmie, jako to: Niewiarowskiego, Jastrzębskiego i innych. Na drugich, których nie można było pochwytać, stanęła infamia. Stryjeczny zaś mój krewny musiał wchodzić w radę tego okrutnego zabójstwa, jako ich konsyliarz i kanclerz, poradził sobie jednak, że i śmierci i infamii uszedł, a to takim sposobem: Uchodząc przed tymi, którzy z innéj, to jest hetmana polnego, dywizji byli, owych zabójców łapali, i jego w trop dojeżdżali, przybieżał na rzekę Berezynę, natenczas zamarzłą, a była płonia niezamarzła na środku rzeki, gdzie on z konia zsiadłszy, obrąbał obóchem lód nad ową płonią, który był cienki, niby to oberwał się z lodem uchodząc nocą, płoni niebezpiecznéj nie postrzegłszy, na brzegu

zaś lodu, nad płonią, śnieg potarzał, niby to ratując się, czapkę na samym brzegu lodu porzucił i pokrowiec od pistoletu na wodę cisnął, który po wierzchu pływał, a sam tymże tropem wrócił się, wsiadł na konia, skoczył z szlaku w puszczę samowtór tylko, któráto puszcza ciągnie się nad brzegiem Berezyny bardzo gęsto, i uszedł aż do Smoleńska, do brata swego rodzonego, pana Piotra, który pod carem moskiewskim poddaństwo przyjął i dobra wszystkie w smoleńszczyznie, od Moskali zawojowane, trzymał, i stamtąd nie wyjeżdżał, aż po amnestji. Owi co już go wyśladowali, przybieżawszy do Berezyny, obaczyli owo połamane miejsce, podnieśli nad wodą czapkę, na wodzie pokrowiec od pistoletu. Osądzili że utonął, a wróciwszy się nazad do owego szlachcica, skąd uchodził, pokazawszy czapkę gdzie lepiéj znano, powiedzieli samą rzecz, że już daléj nie było tropu po śniegu za ową płonią, i cały wniosek że utonął. W owym tedy domu stał się płacz, a oni się ucieszyli mówiąc: „Kara za zbrodnią.“ Skoro tedy na sejmie podano imiona i nazwiska tych co zabijali i tych co byli zabójstwa świadomi, do infamowania i do trąby, i jego téż tam włożono. Ozwali się na to niektórzy posłowie, (jedni wierzyli że nie żyje, drudzy, co wiedzieli że żyje, jak to krewni): „Miłościwy Najjaśniejszy królu, już z tego sam Pan Bóg uczynił egzekucją; na cóż go tu kłaść kiedy nie żyje?“ I kazano go wymazać. On téż zaraz po sejmie, z Moskwy wyjechał i siedział sobie w domu bezpiecznie, a owi infamisowie poniewierali się aż do drugiego znowu sejmu, na którym generalna stanęła amnestja na wszystkich, za wstawieniem się Rzptéj całéj; oprócz kilku niektórych, bo na ich amnestją żona nieboszczykowa nie pozwoliła, osierocona wdowa, co byli winniejsi, spodziewając się ich schwytać.

Gdy zaś dziękowali królowi za daną sobie amnestją insi, i mój téż brat stanął między temi kongregatami, bo był natenczas posłem z Litwy, i obmawiał się że lubo był w radzie bezbożnych, ale musiał być jako ręką całego wojska. Król rozśmiawszy się rzekł: „Kiedyście inszym radzili, źleście radzili, ale sobie dobrzeście poradzili, tak właśnie jako sobie trzeba, żeby to było w kronice.“ I tak aż na trzecim sejmie skończyła się ta materja.

Wracam się do spraw tego roku. Kiedy w Wilnie odprawuje się kommissja z takiemi wrzaskami i tumultami, we Lwowie zaś odbywa się trochę skromniéj i polityczniéj, niżeli w Litwie, i z lepszym skutkiem, bo z łaski Bożéj znalazł się sposób zaspokojenia wojska; szelągi i tynfy kazano klepać; srebra, w których tylko za

18 groszy, kazano brać po złotemu, dawszy im taką instytucją. Nadaje wartość ocalenie powszechne, ta droższa niż kruszec; i już odtąd wszystka moneta srebrna i złota w górę u nas w Polsce poszła. Wtenczas przez inwencją niektórych subjektów polskich, szelągi wołoskie wprowadzono do Polski, a srebrnéj i złotéj monety wydano za nię tak wiele za granicę, za którą niecnotę niegodni są ciż wynalazcy tytułować się imieniem narodu polskiego i znaczny Bogu oddać muszą rachunek, bo te wołoskie szelągi siła bardzo narobiły ubóstwa, rozpaczy, i srogiego zabójstwa między ludźmi, gdyż począwszy od Lwowa, zabijano się o nie na jarmarkach, aleć przecie ustąpiły z Małéjpolski i założyły sobie wszystkie stolicę w Wielkiéjpolsce, nie oparłszy się aż o rzekę Odrę i morze Baltyckie, jako owa okrutna szarańcza. Skończyła się tedy kommissja lwowska, gdzie poległ Paweł Borzęcki, zastępca związkowy, kawaler wielki, nie bez podejrzenia, że był otruty, jak udawano, „bo tak należało,“ mówiono, „żeby tę świeczkę zgasić, która całéj konfederacji świeciła, aby się był jaki większy z téj jasności nie rozniecił płomień,“ gdyż nad tego człowieka w całym związku nie było.

Rok 1663.

Po rozwiązanym związku, pomieszało się wojsko, chorągwie pozwijano, do których większe miano urazy; nie wiedzieć, gdzie się kto rozstrzelił; niektórzy w domach poosiadali, pożenili się, widząc niewdzięczność; inni, co byli dobrzy żołnierze, zniewieścieli, porozpijali się, aż strach. Poszedł już tedy król w swojéj osobie za Dniepr, już fortuna inna, serce inne i dyspozycja inna, nie ta, co przed związkiem. Nieprzyjaciel się wzmocnił, niceśmy dobrego nie sprawili, okurzywszy tylko kilka kurników, którebyśmy byli przed związkiem całkiém zjedli, kompanji zacnéj pod nimi natraciwszy, wróciliśmy się do domu z niczém, a tak, uznawszy znaczną fortuny rewolucją, albo raczéj mówiąc, umknienie oczywistéj łaski Bożéj od naszych czynności, skończyliśmy ten rok.

Rok 1664.

Była i okazja Stawiska, ale o téj nie masz co pisać i nie masz téż w niéj co godnego chwalić. Uprzykrzyła się nam wojna z nieprzyjacielem, zachciało się nam probować samym z sobą, a podobno w tym celu, żebyśmy przy téj okazji znowu zaciągnęli na związek, bo już w nas pierwszego związku sytość była zetlała i życzyliśmy znowu inszemi chlebami, pierwszym podobnemi, brzuchy naładować.

Uczyniwszy pokój z Moskwą mizernemi kondycjami i dawszy im rzęsisty bassarunek za to, żeśmy ich potłukli, nie tylko ich własności nie naruszywszy, i swego od nich, co nam przedtém pobrali, nie odzyskawszy, ale jeszcze im przyczyniwszy i znaczne prowincje odstąpiwszy, zaczynamy szczęśliwie wojnę domową, która jest złem najgorszém ze wszystkich. Złożono sejm, na którym wniesiono materją, aby sądzić Jerzego Lubomirskiego, hetmana, oraz i wielkiego marszałka, o to, że myśli się ubiegać na królestwo po śmierci króla panującego. Ekspostulował z nim wprzód sam król, mówiąc: „Panie marszałku, dochodzi nas wieść, jakobyście sobie życzyli korony.“ Ten odpowiedział: „Któżby sobie nie życzył dobrego? Powiem waszéj królew. mości jednę historją, którą słyszałem o panu kasztelanie wojnickim, że gdy go jego hajducy z zamku przynieśli i postawili z krzesłem w pokoju, spytał swego Węgrzyna: „Kochany Andryś, co téż tam między wami słychać o naszym sejmie?“ Powiada: „Ot miłostiwy pane, kedyśmy twoju pańsku miłost na zamok pryniešli, wsi hajducy, bratia naszy, howoryli tak: ot tomu było panu byt korolem polskim, szczo hożych pachołków derżyt pry sobie.“ Za ową nowinę dał 10 bitych talarów na przepicie. Uważajcie wasza król. mość, jeżeli takiemu kalece, który się i na łóżku swoją mocą przewrócić, nie może, miło jest słuchać, kiedy mu prawią o królowaniu, a pogotowiuż mnie, co jeszcze z łaski Boskiéj konia dosiędę bez pomocy, gdyby kto dobrowolnie kazał nad sobą królować, nie bardzo by mi to mierziło. Zaczém, jeżeliby po śmierci waszéj król. mości, któremu zdrowia i długiego panowania życzę, tacy odzywali się do berła konkurenci, jak pan kasztelan wojnicki, jak pan kasztelan gnieźnieński i inni tym podobni, a to téż i ja konkurent między

nimi; ale jeżeli tacy, jako car moskiewski, król szwedzki, król francuzki, to ja zaraz konkurencji mojéj gotów odstąpić.“ Rozśmiałci się król wprawdzie na tę odpowiedź, ale już miał w sercu uprzedzenie i nienawiść, które mu ufundowały ku niemu podszepty ludzi, osobliwie jednak Prażmowskiego ślepego, arcybiskupa gnieźnieńskiego; ten zdrajca najpierwszy był téj wojny podnietą, który postępek że się samemu nie podobał niebu i oczywisty na ojczyznę naszę zasięgnął gniew Boży, bo zaraz jak o tém poczęto traktować, pokazał się na niebie straszny i wielki (kometa), który przez kilka miesięcy trwając, oczom ludzkim swoją groził srogością, i im dłużéj trwał, tém bardziéj serca struchłałe trwożył, wróżąc niedobre skutki, które potém nastąpiły dla zawziętości i fakcji ludzi złych, którzy swoje promowując interessa, ojczyznę w niwecz obrócili, bardziéj niżeli nieprzyjaciele. Bo prawda to jest, że Lubomirski (podniósł rokosz), widząc pana bez następcy, widząc w królu ostatniego potomka krwi Jagiellońskiéj, widząc zawziętość i praktyki Ludwiki królowéj, rodem Francuzki, że koniecznie nam do wolności naszych chce wprowadzić gallicyzm, przez wprowadzenie na królestwo jakiegoś fircyka francuzkiego; widząc, że już i króla ujęto za nos, kiedy pozwolił wydawać z kancelarji uniwersały na sejmiki przedsejmowe do województw, proponując nowy obiór za swego życia; Francuzów w Warszawie więcéj, niżeli owych, którzy Cerberowe rozdymają ognie; pieniądze sypią, praktyki czynią, a najbardziéj nocne, wolność im w Warszawie wielka, wielką powagę mają, tryumfy publiczne sprawują z otrzymanych zwycięztw, choć nie za prawdziwe, lecz za zmyślone. Do pokoju królewskiego wnijść zawsze wolno Francuzowi, a Polak musi i pół dnia stać u drzwi, zgoła, sroga i zbyteczna powaga. I to między inszemi ich wolnościami przypomnieć muszę. Pozwolono im na teatrze publicznym w Warszawie tryumf czynić z otrzymanego nad cesarzem zwycięztwa. Kiedy wprowadzono osoby na teatr, muzykę i ognie do tryumfu, zeszło się ludzi kupa, i na koniach pozjeżdżało, na owo tak cudowne widowisko; jedni z Warszawy wyjeżdżają, drudzy przyjeżdżają; kto obaczył, to się téż zatrzymał na owo widowisko, choć mu pilno było, i ja téż tam byłem, bom wyjeżdżał z Warszawy, a wyjechawszy z gospody, stanąłem téż tak z czeladzią na koniach, na owe patrząc dziwy. Stali tedy około tego widowiska ludzie różnego stanu i różnéj fantazji. Kiedy już insze odprawiły się indukcje, to jest, jako się potykali, jako się piechoty zwierały, jako kommunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano wię-

żniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortec szturmowano i one odbierano, zgoła, z wielkim kosztem i okazałością te rzeczy odprawiały się. Skoro już, jakoby po zniesieniu wojska i położeniu nieprzyjaciela na placu, prowadzą w łańcuchu cesarza w ubiorze cesarskim, koronę cesarską już nie na głowie mającego, ale w rękach niosącego, i w ręce królowi francuzkiemu onę oddającego; wiedzieli tedy, że to był Francuz znaczny, który osobę cesarską, w łańcuchu idącą, reprezentował, i potrafił twarz jego i wargę tak też jako cesarz wywracał, począł jeden z Polaków konnych wołać na Francuzów: „Zabijcie tego takiego syna, kiedyście go już porwali; nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał, a tak nie będzie miał świat nigdy pokoju. Gdy zaś go zabijecie, król francuzki osiągnie cesarstwo, będzie cesarzem, będzie, da Pan Bóg, i naszym królem polskim. Naostatek, jeżeli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję.“ Porwie się do łuku, a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazo wyleciało, i zabił. Drudzy Polacy także do łuków; kiedy wezmą szyć w owę kupę; naszpikowano Francuzów dużo, a nawet i tego, co siedział w osobie króla, postrzelono naostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr i z innymi Francuzami uciekł. Stał się tedy po Warszawie wielki rozruch. Ci, co strzelali, pojechał każdy w swą stronę; ja sam wyjechałem zaraz, abym nie miał jakiéj napaści, żem też to tam stał w owéj kupie. Pół mili za Warszawę wyjechawszy, ku Tarczynowi, zostawiłem u pana Łączeńskiego łuk, żebym uszedł podobieństwa i jechałem powoli, wziąwszy na się guldynek, bom się spodziewał pogoni, jakoż i była, bo królowa Ludwika, lubo była dumna niewiasta, o któréj mogło się bezpiecznie mówić, owo o jednym też monarsze sprawdzone zdanie: Była król. Elżbieta królową wszystkiego, Jakób był popędliwą niewiastą; złożywszy hardość z serca, padła królowi do nóg, prosząc, żeby gonić i łapać kazał. Rozkazał tedy król skoczyć na gościńce, kto tylko mógł przyjść na prędce do sprawy, aleć bezskutecznie, bo kogo tylko dogoniono i spytano: „skąd idziesz, nie tyś cesarza zabił i króla francuzkiego postrzelił?“ gdy odpowiedział: „nie ja,“ dano mu pokój; którego też pytania dostało się i mnie, ale aż nazajutrz. Wstąpiłem do pana Okunia; rad mi; powiadam mu o téj tragedji, aż tu ich przyjechało kilkanaście koni na wieś, i pytają: „Jechał tu kto od Warszawy?“ Powiadają im: „Jechał, ale nie wiedzą kto, samosześć, i wstąpił do naszego pana, tu do dworu.“ Przy-

jechali oni i weszli do izby: „służba.“ „Służba.“ Gospodarz prosił ich siedzieć. Pytają mię tedy: „Waść skąd jedziesz?“ Powiadam: „Z Warszawy.“ Pytają: „Kiedyś waść wyjechał?“ Powiadam: „Po śmierci cesarza chrześciańskiego i króla francuzkiego.“ Pytają: „Patrzałeś waść na to, kiedy się to stało?“ Powiadam: „Patrzałem.“ Pytają: „Co za osoba był, który najpierwéj do cesarza strzelił?“ Powiedziałem: „Taki jako waść i jako ja.“ Pyta, śmiejąc się: „Czy nie waść sam?“ Odpowiadam: „Wszak tam strzelono z łuku, a jam tu bez sahajdaku przyjechał.“ Ów rzekł: „A choćby i waść i ktokolwiek inny to uczynił, ten ma od Pana Boga odpust za to, że się ujął o takie srogie zgorszenie; i król Jmść w oczy tylko królowéj żal czyni, a w sercu z tego się śmieje.“ Naśmiawszy się i nacieszywszy tedy z owego dyalogu, wypili beczkę jedną i drugą piwa gospodarzowi, i pojechali. Takąto Francuzi w Polsce mieli powagę za Ludwiki, że im pozwolono, co tylko zamyślelі. Przyszedłszy na pałac do pokojów królewskich, rzadko obaczyć było czuprynę, tylko głowy jako pudło największe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci którzy to widzieli, sarkali na to bardzo, że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie i już nawet ministrowie podrygali na śpiew francuzki, sama tylko wolność polska nie miała w tém upodobania i wszystkiém tém pogardzała. Gdyż lew ten nie lęka się piania koguta (Galli cantum). Widząc tedy pan Lubomirski, na co się rzeczy zanoszą, wniósł takie kroki, któremi nie wszystkim musiał się podobać; sam zaś miał wielką popularność u wojska i u ziemianów, choć się o to nie starał; nie raz go przy jego ludzkości, a jak to zwykle bywa w komplementach od żołnierzów doboszujących, takie potykały słowa: „tobie zacny panie trzeba u nas być królem polskim,“ a on téż uważając swoją godność i zasługi w ojczyznie, mawiał: „w waszych to rękach, moi drodzy bracia,“ i nie dziwować się, bo to każdy swego losu jest kowalem, i nie czytałem tego przykładu, żeby się kto wyłamywał z sposobności panowania. Z tych więc przyczyn wpadł u ludzi w podobieństwo, że sobie życzy wielkiéj królewskiéj powagi, co choćby był jawnie pokazał i wdał się w konkurencją, nie było go o co sądzić, bo zwyczajnie każdy sobie życzy, i po staremu, nie obralibyśmy na królestwo anioła, tylko człowieka, nie obraliśmy królewicza, ale ślachcica polskiego, a na poparcie mego sentymentu i to przypomnę, żeśmy mianowali za kandydata Polanowskiego, natenczas porucznika, a przedtém pod Lubomirskiego dyrekcją podwójnego towarzysza. Jeżeli tedy wolno było do téj godności

wołać Wiszniowieckiego, Polanowskiego, toć nie było się o co gniewać, choćby też przy wolnym obiorze wołano i Lubomirskiego, ponieważ Duch ś. gdzie chce natchnie, Pan Bóg zaś serca nakieruje, i woli jego Boskiéj jest to dzieło, ale cóż ma robić zazdrość? bo jak to mówią: „Gdy konia kują, żaba téż podnosi nogę.“ Owi doradzcy, którzyto zawsze źle panu radzili, rozdrażnili mu serce do Lubomirskiego, i królowa widząc, żeby impreza jéj upadła w promowaniu Francuza, gdyby Polak został obrany, tém bardziéj intrygowała sama i przez rozmaite osoby, z których jedne chciały się w tém królowi przysłużyć, żeby pokazawszy swoją życzliwość i pieczołowitość, tém bardziéj kozę francuzką doić; drugie téż pod pozorem dworskiéj affekcji i swoję mieli przed oczami prywatę, myśląc sobie: a kto wie, jeżeli i mnie nie zawołają do korony. Król téż zawsze, jako chwiejący się, do czego go przywodzono, to czynił, a osobliwie w radę ślepego doradzcy tak wierzył, że choćby najgorzéj radził, zawsze z ust tego Apollina zdrowa była rada, choćby to nawet miało być z zgubą ojczyzny, i to nic kiedy się jemu podobało. Postanowiono tedy sądzić pana Lubomirskiego; zwodzą na niego świadków i przekupują, żeby na niego świadczyli. Posłowie niektórzy ziemscy, jako poczciwi, którzy brali rzeczy daléj, co za konsekwencja z tego być może, bronili tego najmocniéj, ale trudno było przemódz; wrzawa i rozruchy wielkie w Warszawie, a tym czasem Ukraina téż cała znowu w buncie, a przecie nie możemy się spostrzedz, co to gas na nas. Stanął więc dekret infamji, wygnania i pozbawienia urzędów; ucieszyli się źli ludzie, ale ojczyzna na to stękała, czując, co miała ucierpieć z téj okazji. Po sejmikach, po posiedzeniach, jedni to chwalą, drudzy ganią; w wojsku już także o związku poczynają szeptać, a nawet samo niebo grubemi nieszczęśliwości pokryło się chmurami, tak, iż nikt nie rzekł, aby na wiosnę mogło być dobrze w ojczyznie naszéj, i nie trzeba było astronomów do wytłumaczenia, co w przyszłym roku nastąpi, kiedy i ojczyzna zrujnowana i krwi niewinnéj tak wiele się wylało.

Rok 1665.

W roku tym roznieciła się wojna domowa, z przyczyny, że obywatel został uciemiężony. Poszło wojsko do związku, obrawszy sobie marszałkiem Ostrzyckiego, a zastępcą Borka; weszło tedy do związku chorągwi 40 dobrych, osobliwie te, które miały z jmć panem Lubomirskim wielkie związki, jakoto jego własne, braterskie, synowskie, szwagierskie i niektórych koligatów i dobrych przyjaciół, na część króla chorągwi téż poszło 60 i cóś, półki zaś wszystkie wojewoda ruski utrzymał na rzecz króla i ruszył się z nimi od Białéj cerkwi ku Zasławiu. Związkowi zaś poszli ku Lwowu, potém ku Samborzu, tam siedlisko wojny chcąc założyć. Nam tedy, cośmy do związku nie poszli, kazano się zmykać ku Lwowu, Kozaków zaciągniono 12,000, tych, co cnotliwszych. Ukraina zaś wszystka poszła w srogi bunt, widząc, że mają czas po temu. Otóż nadaremne rozlanie krwi naszéj koło odzyskania Ukrainy, dla ludzi niecnotliwych!

Do hordy tatarskiéj posłano, zapraszając ich na tę wojnę. Obiecał się zrazu chan wyjść we sto tysięcy, ale potém oznajmił, że tego nie uczyni, obiecując to nagrodzić na inną usługę, ale nie na tę wojnę, gdzie brat na brata szablę dobywa. Litewskie wojsko król wyprowadził porządne i dobre, którzy, jakoby ich z dziesięciu chlewów wywarł, tak głodni i tak siła jedli, rabunki wielkie czynili, ale też tego pod Częstochową przypłacili, bo na tém miejscu, na którém inni ludzie dostępują łask i odpustów, oni dostali dyscypliny. Województwa podzieliły się, jedne były przy królu, drugie przy Lubomirskim, województwo krakowskie przy królu i kasztelan krakowski, Warszycki, osobiście; województwo poznańskie, sandomierskie, kaliskie, sieradzkie, łęczyckie, stanęły pod bronią po stronie Lubomirskiego. Te zaś drugie chciały toż samo uczynić, ale nie śmiały, z przyczyny, że bliższe sąsiedztwa boku królewskiego, ale i ich téż, po staremu, król nie wokował do udziału w wojnie, bo jedno, że im nie ufał, drugie że ufał w siły, które miał, i tuszył sobie powiązać tych wszystkich, co przy Lubomirskim byli, i jego samego, bo mu tak jego ślepy doradzca obiecywał. Ale nie wiedziałeś podobno ślepiu, że to ślepa fortuna więcéj może, niżeli ty, i nie uważa, kto mocniejszy, ale temu służy, do czyjéj niewinności Bóg ją w pomoc wysyła. Deklarowałeś króla sekundować ręką,

radą, pracą i modlitwą: sekundowałeś tedy radą, patrzże jak się nadała twoja rada, do czegoś ojczyznę i majestat przyprowadził; prezentowałeś się w bataljach, o jak to straszne rzeczy chłopa ślepego w szyku, z ogolonemi wąsami, szeroką fjoletową sutaną szkapę i z ogonem okrywającego! Sekundowałeś modlitwą, nie tylko ucho Boskie, ale i całe niebo, mierziała, kiedy taką zacną wiktoryją królowi Kazimierzowi wyjednała. Insza to jest rzecz, Panie jednooki, pod taszlibrowym postorałem rozwalać się w aksamitném krześle, pontkę sztafirując, (insza) balsamem nakładanego regimenciku wąchać, a insza z tabakiery okrutnego Gradywa, siarką i saletrą perfumowanemu, wytrzymać kondymentowi. Nie umiałeś tego, kiedyś w Prażmowie po pasternisku ojca swego, w konopnéj koszuli za cielętami chodził. Ojastrzembiałeś sowko, nazbyt wysoko latasz, zasuszywszy te bystre piórka na chlebie rzpléj matki swojéj, którą teraz swojemi machinacjami tłumisz. Nie byłeś żołnierzem jako żyw, a rozniecíłeś krwawą wojnę, a już to podobno nie pierwszą; przypomnij sobie szwedzką, boś téż był drugim pomocą i okazją. Na wojnę wołasz, a nie wiesz, co to wojna. Przynajmniéj stąd mógłbyś brać miarę, że to choć palcem oko wykolą, to, po staremu, łechciwo, jako je tobie wykłuł brat twój rodzony, powadziwszy się z tobą w szkołach o kiełbaskę; a pogotowiuż kiedy je z polnego działka zaprószą. Ta krew braterska za twoją radą i okazją wylana, te pracowite ubogich ziemianinów i wyssane substancje, uznasz jakiemić na sądzie strasznym staną się instygatorami. Wątpię żeby cię tam zasłoniły te francuzkie talary, których na machinacje nabrałeś, a potém k..... rozdałeś. Albo rozumiesz co to piszę, niedowiodę kiedy będzie potrzeba? wiém na cię sekretów nie duchownéj osobie należnych wiele, a nadewszystko mam kartkę, któréj dostałem we Lwowie na kommissiéj od ciebie do jednéj mężatki ordynowaną, z tak wszetecznym stylem, że i Sodomskie miasta, nie wiem jeżeli takie praktykowały obyczaje; do kogoś to pisał przypomnij sobie, choć po tym terminie, który napisałeś w postskrypcie w te słowa: „Twoje śliczne i oczam moim milusienkie, pozdrawiam drobiaszczki, i one jako najprędzéj pocałować życzę.“ Co to za drobiaszczki? wytłómacz mi, czy to oczy, czy to palce, czy co inszego? choćbym rzekł: „dzieci,“ i tak rozumieć nie mogę, bo tamta dama żadnego natenczas dziecka nie miała, gdyż téż niedawno bardzo poszła była za mąż. O księże Kurzeju! gdybym ja był mężem tamtéj żony, a wiedział o takich przyjaźniach, jako i tamten nieborak dowiedział się, znalazł że by ja na cię sposobu,

żebym z ciebie uczynił prawdziwego kapłona i potrafił w to, żebyś był namiestnikiem mądrego Orygienesa, co się to z cudzemi delektujesz drobiaszczkami. Już ja wiem żeby twoje własne pić prosiły, gdyby mi się w garść dostały. Są téż i insi zacni prałaci, biskupi, kolegowie twoi; patrzaj na postępki Krakowskiego (Trzebieckiego Jędrzeja), Poznańskiego (Tulibowskiego Wojciecha), Płockiego (Gębickiego Jana), i inszych; wszak to ludzie jako i ty, a słychać że na nich aby podobieństwo postępków twoich, zacny pasterzu. Jabym tobie i kmieciéj obory, gdzie krowy stoją, nie dał w komendę. Dobrze to w tobie upatrzył wielki i pierwszy w téj Rzeczypospolitéj senator JMść Pan Kasztelan Krakowski, kiedy te do ciebie wyrzekł słowa: „Trzeba by na WMM. Pana takiego drewna, któregoby sutana, choć z najdłuższym ogonem nie przykryła.“ Ale ponieważ namieniłem jeden punkt, wolę już cały wyterminować list, luboć mi żal karty papieru na tak zacny panegiryk.

Kopja responsu Jmści Pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, na list Jmść księdza Prażmowskiego kanclerza koronnego:

„Słusznie by rozumieć, ktoby stylu nie znał, że to jakiś szalony ten list do mnie pisał pod imieniem WMMPana; ale wiedząc tę górującą wadę WMMPana, że nie tylko piszesz na ludzi zacnych obelgi, ale téż i tego klejnotu, który fortuna ślepa do rąk WMM. Pana przyniosła, do kanonizowania takowych paskwilów (używasz), i jeszcze śmiesz WMMPan tak plugawe światu podawać skrypta, publicznemi processami, uniwersałami, z hańbą pieczęci Koronnéj i pośmiewiskiem u narodów; słusznie się rezolwować muszę ten kartelusz mieć za własny WMMPana. Z którego prawa WMMPan wziął tę ostateczność, tak uszczypliwego do Senatora, który już w Radzie zasiadał, kiedy WMMPan jeszcze gałki w piasku grawałeś, który szczodrobliwością, dobrodziejstwy Wści osypywał? Rozumiesz to WMMPan że się już powiodło na JMści Panu Lubomirskim, że tyraństwo możesz wprowadzić do Rzeczypospolitéj? Chcesz to narzucić ludziom, aby tych nadużyć, wywrócenia porządku Rzeczypospolitéj, fałszerstwa niegodziwego w wyrokach na ludzi, urodzeniem i zasługami wielkich, i krzywoprzysięztwa, niewidzieli do Wści? Żeby tylko sam WMMPan w Polsce zostawał, wygnawszy tych, z któremi zrównać nie możesz tą dumą, którą WMMPan powziąłeś o sobie. Spójrzyj jeno Wść sobie na nogi, to spuścisz ten ogon. Mowę moję allegujesz WMMPan i mnie konwinkujesz, tak właśnie, jakoście na JMści Pana Marszałka naprze-

kupowali fałszywych świadków. Któż tego nie widzi, że Wmść zmyśliliście sobie mennicę tynfowską we Lwowie, abyście zebrali dobrą monetę na pożytek swój. Byłoż to w myśli Rzeczypospolitéj? A chciałże J. K. Mść na to pozwolić? Długoście się biedowali, nimeście dobrowolnego Pana na ten fałsz przywiedli. Pokazałby Tynf regiestra, kiedy by go pociągniono, co WMMPan wziąłeś, co kommissarze, co dwór. Miało to być na żołnierza, a tak dotąd cieszą się assygnacjami, i pokażą na sejmie, że ich niewypłacono. A skąd się tych tynfów narodziło na WMMPana ze wszystkiego Mazowsza podatki? Są jeszcze i ci machlerze, co jeszcze u innych poborców pieniądze dobre na WMMPana skupowali; we Lwowie są ci poborcy, którym je gwałtem brano pod pozorem żołdu Tatarom, których WMMPan na związkowych, w głąb' krajów Rzeczypospolitéj wprowadzić kazałeś. A z Boratynim co się stało na sejmie, przestałże bić szelągów? dotąd ich bije, aby dwór miał czém żyć, dopinać swoich zamysłów, sędziów na Pana Marszałka przekupować, świadków zwodzić, zamknąć gębę Biskupom, wojować Polskę, utrwalić tyraństwo, Francuzów sadowić w Warszawie, i zubożyć ojczyznę, potém jéj kazać skakać jak kur zapieje (ad Galli cantum). I prawa przytoczyć nie godzi się, i oczywistym ekscessom nie dawać wiary. Przytaczasz WMMPan prawo obrony przyrodzonéj. Wierzę, zagałuszyć (chcesz) obywatelów, którzy widzą niesprawiedliwość, niewołać ich do kupy; bo by deklarowali pewnie za zdrajcę ojczyzny WMMPana. Rozumiesz WMM. Pan, że to sekret; wiedzą to dobrze coś WMMPan wziął od Kondeusza; wiedzą co WMMPanu Francuzowie dają. Na onym sejmie Burchcakiego sądzono, że wziął 4,000 zł. od posła Cesarskiego, WMMPanu nic nie mówiono, choć 40,000 talarów od posła francuzkiego wziąłeś; i ta to jest racja, czemu się WMMPan boisz ruszyć pospolitego ruszenia według prawa, na infamisa, jakoście go nienawistni w tę oblekli sukienkę, w któréj sami używszy wszelkich kłamstw chodzicie. Bo pewnie byłoby tam drewno na WMM. Pana, którego suatna i z najdłuższym ogonem nie okryłaby. Przytaczasz WMMPan wielkiéj pamięci księdza Zadzika, a czemu go WMMPan nie naśladujesz, ale raczéj i Litwę wprowadzić na Pana Lubomirskiego kazałeś. Na cóż? żeby odarci od Częstochowy poszli. Powiadasz WMMPan, że P. Lubomirski świętokradzką rękę na ojczyznę podniósł — ba! Wść sąd świętokradzki na niego ukartowaliście; podatki stanowicie bez sejmu, rwiecie sejmiki i sejmy; uchwały senatu samotrzeć ogłaszacie; wolny głos ślachcie odej-

mujecie; kaduki rozdajecie, i majętności bez sądu odbieracie; pustoszycie ojczyznę a obywatelom w domach siedzieć każecie, gdy radzić o sobie chcą, uniwersały do nich grożąc im popielcem wysyłacie, Pana na królestwo wbrew woli Rzeczypospolitéj prowadzicie. Wspomnij WMMPan sobie przed kimeś po sądzie Pana Marszałka rzekł: „Djabeł się już kogo będzie pytał, wprowadzimy tego, którego będziem chcieli.“ Ślachtę na powrozach wodzić każecie, rabować ich domy Wołoszy; a jakiż może być rząd samowładny, jakie tyraństwo większe? Piszesz WMMPan że Król Jmść nie wprowadził cudzoziemców, a któż to jest generał Frangel, oberster Bryon, kapitan Grandi, i inszych takich wiele nazwisk, prawie co officer, którzy na pośmiech narodu naszego jawnie mówią: „Dobrzy żołnierze Polacy, kiedy Francuzów officerów mają.“ A że na sejmach i sejmikach nie bywam, iż wolę w domu (jako mi to WMMPan wymawiasz), gospodarstwem się bawić, dla tego to czynię, że na tych miejscach prawdę trzeba mówić, a WMMPan namieniasz, że ją odszczekiwać trzeba. Wolę rzeczy moich pilnować, niżeli umierać patrząc na tak jawne zbrodnie, i powiadać że to cnoty. Zaniechajże mię Wść tam w dobréj, proszę, jako téż w złéj doli. Mam ja w Panu Bogu moim nadzieję, że niezadługo miłosierdzie jego święte karą pomsty za zbrodnie nad WMMPanem pokaże.“

Jeżeli tedy, mój zacny Prałacie, tak wielkie wysoki senator w liście swoim przypisuje przymioty, toć i ja nie wiém, jakobym cię miał swobodniéj nazwać: czy Antistes, czyli téż Antichristus, czy ministrem kraju, czy nauczycielem sztuki kochania, czy strażnikiem praw, czy zdrajcą panujących; czy ojcem ojczyzny, czyli téż sprawcą łez, rozlewu krwi i powszechnéj w królestwie nędzy. Za co niezwiędłą jednak i cuchnącą zostawisz potomności pamiątkę; domowi swemu zacnemu zniewagę i ujmę; duszy zaś przyszłość opłakaną, wielką na sądzie Bożym turbacją. Transfigurowałeś dobrego Pana powolność w zawziętość; zepsowałeś mu konfidencją do poddanych, poddanym do niego; wymazałeś jego imię z księgi dobrych i sprawiedliwych monarchów; rujnujesz wiecznie dobrego Pana reputacją, podając go na hańbę narodom pogranicznym. Już kiedy mu tak na tym świecie życzysz, toć go upewnić nie możesz z Cyneasem, żeby mu i na tamtym świecie, twoje miały w czémkolwiek dopomódz zasługi, wtenczas kiedy na owym najstraszniejszym parlamencie, rzeką: „Żyj i odpowiadaj.“ Odpowiadaj: czemuś wzruszał pokoju, o który narody zawsze do nieba suplikują. Odpowiadaj: czemuś dał okazją do zniszczenia

ojczyzny? Odpowiadaj: czemuś nie respektował na krew niewinną, któréj się tak wiele z twojéj okazjéj i z przewrotnéj rady rozlało? Spraw się i za dusze te, które z przyczyny wojny, z ciała na śmierć nieprzygotowanego ustąpiwszy nie tam poszły, gdzieby były odbywszy spowiedź umierając mogły się dostać. A na ostatek i z tego spraw się żeś przez wojnę domową uczynił dobrą nadzieję poganom Turkom; biorą jako kobuz wymordowanego skowronka, tym sposobem swoje państwo rozszerzają i na nas już ostrzą zęby. Ciężkoż tam będzie za najmniejszą krzywdę ludzką, za każdą z osobna duszę odpowiadać i za nie nieznośne ponosić męczarnie. Pamiętaj zdrajco przynajmniéj na charakter chrześciański, kiedy nie pamiętasz na kapłański; bo to początek dopiero tego, coś nawarzył piwa, które że źle uwarzone, przykre jest; jak się po nim dochowasz kwasu, tobie samemu gorzką w gardle stanie żółcią; przyszedłeś do stopnia i osiągnienia tak wielkich w kraju honorów, z jednego lichego plebanka, nie z żadnéj godności, ale z przewrotności; umiałeś się kukułkom akkomudować, których nocna władza promowuje kogo chce, nie patrząc na cnoty, tylko kto ma ochotę do wywrótnéj roboty. Stąd tedy promocja, dotąd wszystkie twoje zmierzają sposobności. Nominowano cię teraz Prymasem, to jest, najwyższym Pasterzem w królestwie naszém.

Niś przed tém owce pasał,
Przecięś ich jak wilk płaszał.

O wielkaż to owczarnia na twoje jedne oko! Trzebaż to obiedwie oczy dobrze wytrzeszczać, kto chce należycie owieczki upaść i obchodzić się z nimi łaskawie.

Pewnie tak wielkiego stada nie upasiesz, albo na drugie oko musisz olsnąć, chyba żebyś się na tych psów spuszczał, których wedle siebie masz dostatkiem; ale i ci od owieczek tobie zleconych wilka nie odpędzą, i owszem bardziéj je sami pokąsają, bo są takiéj jako i ty fantazjéj. O nieszczęśliwy pasterzu! bogdajby ja był w twojéj owczarni nie postał, i ten kto cię na tę godność promowował, choćby nic nadto nie zgrzeszył, nie wiém jako do nieba trafi. Do czego ty ojczyznę przywodzisz, i tak piekielną radą swoją poburzyłeś, a ciebie po tak zdradzieckich radach większe potykają honory, kiedy i teraz zostałeś na Arcybiskupstwo Gnieźnieńskie nominatem. Obacz się przynajmniéj teraz, bo już téż nad tę w Polsce większéj nie możesz mieć godności, Królem być nie

możesz, na papieztwo też cię pewnie nie zawołają, bo w niczém nie naśladujesz Piotra S; bo Piotr S. dla owieczek Chrystusowych, siła biczów ucierpiał, a ty owieczki Chrystusowe drzesz ze skóry, rozpraszasz, niszczysz; przykre dla nich ponosił więzienie i prześladowanie, a ty ich sam prześladujesz, i w ciężkie podajesz więzienie; gardło dla nich dał i rozlał krew, a ty ich krwie pragniesz, jako ryba wody, zaciągając na nich drapieżnych wilków, w pogańską podając ich niewolę, i zabijając na duszy i na ciele. I w tém naostatek Boskiego namiestnika Piotra S. nie naśladujesz, że on tylko jedną miał poczciwą i pobożną swoję własną żonę, a ty cudzych żon opatrujesz tysiąc, owych nie wspominając, które się zowią: mere, mere, tryx, tryx; o! tych się znajduje wielka litanja, gdziekolwiek się jeno obrócisz. Jużże tedy ze wszystkich okoliczności nie możesz być papieżem, w Polsce też już jak mówię, większéj mieć nie możesz godności, chocbyś i téj swojéj dokazał imprezy co usłujesz, żebyś tego francuzkiego Kondysa na tron Królestwa Polskiego (wyniósł). I ten Kondysek niewypryciałbyć już większéj nad tę w Polsce godności. Upamiętajże się już; niech ostatnie domu Jagiellońskiego pisklę, jako z dziadów i pradziadów swoich pod tą koroną, na tym tronie, na którym jest wolnemi głosami posadzony, spokojnie dni swoje skończy. A w ostatku, powiedziano gdzieś tam jednemu: „Aleksandrze, albo obyczaje, albo imię odmień!“ Ja zaś rzekę: „Mikołaju, albo obyczaje, albo miejsce odmień!“ Albo przestań tych fakcij ojczyznie szkodliwych, albo jedź sobie do Angljéj za predykanta, bo tak z gazet czytam, że tam powietrze takie było wielkie, aż wioski niektóre pusto bez ludzi stoją. Przydasz się ty tam przy twojéj rzezwości, i Króla możesz sobie pozyskać łaskę, kiedy obaczy, że możesz dobrze predykować i multyplikować jego opustoszone państwa; innego sposobu nie masz, bo cię nie minie drewno, któreć P. Krakowski funduje, albo raczéj grecka litera *Π*.

Przeczytaj sobie jako się złe rady nadały podobnym tobie konsyljarzom, i co ich za przewrótne potkały sztuki, jako to: u Konstantego Cesarza, u Zenona Rufina, u Arkadjusza, u Justynjana, u Tyberjusza, Plautiana, u Sewera, Cesarzów. Pamiętaj na to: „Zła rada, dla doradzcy najgorsza.“ Jak Architopel dawał na sprawiedliwego Dawida radę, tak ją też na swoję zaciągnął szyję. Aman u Aswerusa jaką komu inszemu przygotował łaźnię, w takiéj sam musiał się pocić. Jeżeli ci złą śmiercią pogineli, nie możesz się ty

lepszéj spodziewać, a jeżeliby cię na ciele karanie minęło, patrzajże jako pościelesz duszy swojéj.“

Ten panegiryk podano mu w rękę w karecie jadącemu, w lesie za Wizytkami, niby w sposób listu: „JMść Pani Kasztelanowa kłania WMMPanu.“ A potém drogą poprzeczną skoczono na dobrym koniu; bez dragonjéj tylko jechał, nie mógł go kto dogonić i zawołać do odebrania responsu. Słychać zaś było, że go kilka dni w kieszeni nosił, coraz czytał, a potém i spalił. Aleć po staremu nie trudno było o to, bo projektów było gwałt narzucono, i w Warszawie i w wojsku. Kto to pisał niewiedziano.

Ale wróciwszy się do historycznéj materjéj, od któréj się trochę dla tego ustępu, pióro oderwało. Wyprowadził król wojsko w pole dosyć dobre i porządne, i ja téż musiałem być, choć mi się nie chciało, regalistą, bo chorągiew w tém tam była wojsku, ale, po staremu, chociaśmy tu byli, tośmy tamtéj stronie bardziéj wygranéj życzyli, widząc krzywdę Lubomirskiego, a w jego osobie krzywdę całéj ślachty, bo ta wszystka na niego wywarta furja o nic innego nie była, tylko żeby jako możny orężem i radą nie przeszkadzał obraniu Kondeusza, którego królowa Ludwika wszelkiemi sposobami na królestwo prowadziła, ale i sam król francuzki szczerze do tego dopomagał, z przyczyny, że go z Francji radby pozbyć, gdyż był bardzo wielki intrygant i bogaty, i większą prawie we Francji miał popularność, niżeli król; bał się, żeby się za jaką fortuny rewolucją, nie przekierowały do niego chęci ludu; a druga przyczyna, żeby było za tą okazją króla Francuza w Polsce dławić między sobą cesarza i wydrzeć mu koronę cesarską, dla tego sypano pieniędzmi w Polsce, żeby dopiąć swego.

Zkupiło się tedy wojsko w rawskiém i mazowieckiém województwie, bo téż już o panu Lubomirskim było słychać koło Krzepic, po wyjściu z wygnania wrocławskiego. Miał król wojsko dosyć piękne, ale cóż, kiedy wszystkie jego nadzieje upadły przez śmierć Czarnieckiego, któremu był dał buławę polną i przez niego spodziewał się wszystkiego dokazać, jakoż mógłby był tego dokazać, żeby Lubomirskiego przywiódł do pokory i poddania się, bo Czarniecki, jako wielki wojownik, byłby wiedział, co z tém czynić, ale Kondeusza wprowadzić przez promocyą Czarnieckiego, tegoby byli nigdy nie dokazali, bo ja wiem, co on o tém obiorze sądził.

Wybrał się tedy król szczęśliwie z królową, z damami dworu i z całym dworem z Warszawy na tę wojnę. I tak właśnie należało, żeby dogoniono tańca, były w pogotowiu i damy, bo to nie wojna

była, ale właśnie goniony taniec, bośmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili, nie goniąc, a oni też przed nami uciekali, nie uciekając; a co raz to nas przecię, jako się owo Mazurowie biją:

Ej siec siepęknęcią
To odlew buch pięścią.

Dobrze o tém gonieniu jedna ślachcianka w województwie sieradzkiém królowi powiedziała, kiedy jéj krzywdę wielką poczyniono i przyszła do króla na skargę. Król ukontentowawszy ją jakimś tam datkiem, mówi do niéj: „Przebaczcie pani, tak to wojna umie, a oto gonimy tego zdrajcę i ucieka nam.“ Aż ślachcianka rzecze: „Miłościwy królu, zaprawdę dziwne to jest gonienie, mogąc dogonić a nie dogonić; dyć ja to stara baba, a jeszczebym się go dziś dogonić podjęła.“ Król się zawstydził, a potém kazał jéj coś więcéj dać. Stał obóz między Rawą a między Głuchowskiem, dziedziczną wsią Sułkowskiego, królestwo zaś stali w kolegium u Jezuitów. Utęskniło się też królowi na miejscu i mówi do swoich: „Nie byłoby też tu gdzie przejechać się do ślachcica którego, bo już mi się uprzykrzyło na jedném miejscu kilka niedziel siedzieć.“ Rają mu to tu, to ówdzie, to do tego, to do owego, o dwie o trzy mile od miejsca. Król rzekł: „Ale ja chcę blisko kędy, żeby powrócić na wieczerzę.“ Ozwie się ktoś: „Jest tu miłościwy królu ślachcic polityczny, pan Sułkowski, zaraz pod obozem mieszka, będzie rad waszéj królewskiéj mości.“ Kazał się tedy król nagotować i pojechał z królową. Nie wiemy o niczém, pijemy piwko, gramy w karty, (bom i ja był u pana Sułkowskiego, gdyż to dobry przyjaciel ojca mego i mój, i żołnierzy też kilkunastu), aż tu wchodzi sługa i mówi: „Królestwo ichmość do pana jadą, i pytają, jeżeli w czém nie przeszkodzą?“ Porwie się gospodarz: „Będę rad panu memu miłościwemu, proszę i z ochotą czekam.“ Słyszę jednak, że sama pani rzekła: „Będęć ja tobie rada; djabeł w tobie; poczekaj jeno!“ ale nie wiedzieli na co to mówiła. Powypadali tedy wszyscy, a król jeszcze był opodal. Skoro już wjeżdża we wrota konno, a królowa jeszcze karetą na zadzie była, aż mię pyta Sułkowska: „Mój złoty, pokażże mi, któryto tu król, bo ja go jeszcze nie znam; wiem, że po niemiecku chodzi, ale to tu kilku Niemców, nie wiém który?“ Ja tedy nie wiedząc, dla czego pyta, powiadam jéj, że ten oto, co między tymi dwoma na takim koniu. Dopiero owa zbliżywszy się przeciwko niemu, klęknie, a ręce złożywszy i ku niebu podniosłszy, mówi: „Panie Boże

sprawiedliwy!“ (Król, co już miał zsiadać z konia, zatrzymał się), „jeżeliś kiedykolwiek różnemi plagami karał złych i niesprawiedliwych królów, wydzierców, szarpaczów, krwi ludzkiéj niewinnéj rozlewców, dziś pokaż sprawiedliwość twoję nad królem Janem Kazimierzem, ażeby pioruny na niego z jasnego nieba trzaskały, żeby go ziemia żywo pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła, żeby wszystkie owe plagi, które dopuściłeś na Faraona, dotknęły go za te wszystkie krzywdy, które my ubodzy ludzie i całe królestwo cierpimy.“ Mąż jéj gębę zatyka, a ona témbardziéj krzyczy; król nazad do wrót; gospodarz skoczy, prosi, strzemienia się chwyta, a król mówi: „Żadnym sposobem; złą macie, panie, żonę; nie chcę, nie chcę.“ Pojechał, a spotkawszy się z królową, rzekł: „Nawracaj, nic tu po nas.“ Gdy królestwo przyjechali do Rawy, król w śmiech, królowa zaś w gniew, mówiąc: „oj kazałabym ją tak,“ król rzekł: „Nie trzeba tak, niech się ukrzywdzony przynajmniéj tém ucieszy, że się nagada; ale, dla Boga, niech kto oznajmi Lubomirskiemu, żeby się z nami przeprosił, boć nas już o tę wojnę i baby konfundują.“ Owa tedy baba była taka rezolutka, że nałajawszy królowi, przyjechała do niego nazajutrz i prosiła o posłuchanie, kazawszy o sobie powiedzieć: „że ta ślachcianka, do któréj domu król nie chciał z konia zsieść, prosi, żeby się mogła pokłonić.“ Król był tak poczciwy, że ją zaraz kazał puścić. Omówiła się, że to musiała uczynić z żalu, mając szkody poczynione, ale najbardziéj żaliła się o brzezinę, którą sobie miała za wirydarz zaraz pode dworem, a wycięto ją na szałasy do obozu. Dopiero król rzecze: „A otóż ja wam dam, moja pani, przywiléj taki, że wam koniecznie za 6 lub 7 lat wróci się taka druga brzezina, a teraz ją wam każę zapłacić, tylko nie bądźcie tak złą.“ Kazał więc babie dać 2,000 złot., a onaby za tę brzezinę, choćby ją w Rawie na targu przedała, ledwie 50 złot. była wzięła, bo to tam nie wielki tego był wicherek.

Ale dawszy pokój i tym przypadkom, które się pod czas téj wojny trafiały, przystępuję do rzeczy: A gdy się wojska już zeszły blizko, posłano kilka tysięcy koronnego wojska i litewskie wszystko, oprócz hussarskich, w sposób mocnego podjazdu, zetknęlisię z sobą pod Częstochową; tam na tym odpuście jak się ofiarować poczęli, Litwini niebożęta w tak gorące wdali się kontemplacye, że się krwawym potem pocili, i tak wielkie zostawili wota, iż się prawie ze wszystkiego wyiskrzyli. Strojno na tamto miejsce, konno i rządno przyjechawszy, poszli do domu piechotą i prawie nago, chyba że kto miał bardzo złą suknię, albo bóty, to ich od niego na ofiarę

nie przyjęto. Tak to ten naród litewski jest bardzo nabożny! Ale nie mówiąc pod postaciami, jak wsiedli na Litwinów Lubomirszczykowie, bo na nich mieli wielki apetyt o to, że wyszli na tę wojnę domową, tak się ani złożyć nie dali, aż ich nacięto, nabito; chcieli do klasztoru uciekać, ale mnichy zamknęli bramy, o co zaś król gniewał się. Nie wiele ich przecie na śmierć zginęło, oprócz tych, co w pierwszém spotkaniu, póki ich nie przełamali, ale nasieczono gwałt, z koni pospychano, z sukien, z pancerzów poobdzierano na sromotę, drugich kańczugami cięto, i tak z nich piechotę uczyniono i wolno do króla puszczono, starszyznę jednak, rotmistrzów i pułkowników, pobrano, czego winszując panu Lubomirskiemu frant jeden, towarzysz Putoszyński, tak mówi: „Miłościwy dobrodzieju, więcéj nam Pan Bóg daje nad to, niżeliśmy go prosili.“ Spytał Lubomirski: „Jakże to?“ Odpowie ów: „Oto prosiliśmy zawsze da pacem Domine, da pacem Domine, my prosili o jednego, a Pan Bóg nam dał pięciu Paców.“ (Bo między więźniami pięciu samych Paców było, a wszystko oficerów znacznych, ponieważ natenczas był Pac kanclerz, Pac hetman i Pacowie biskupi, to się promowowali). Chorągwie, kotły pobrano, drudzy téż chorążowie na mury mnichom chorągwie podawali, a potém je nazajutrz wykupywali.

Tak tedy po owej chłoście i bitwie, którą związkowi dali Litwinom, wybiwszy nas znowu zdrajcy, poczęli uciekać, a my ich znowu gonić, a tu woły, krowy ryczą, snopy, kopy lecą. Udali się ku Wielkiéjpolsce, a my téż radzi. Postój złodzieju! napędzimy cię teraz w kąt, już się nam nie wymkniesz, albo pewnie przez Baltyckie morze musisz pływać do Szwecji, a my przy téj okazji zażyjemy wielkopolskich agnuszków i tłustych gomółek. Kiedy już z dobrą nadzieją dogrzewamy im, i spodziewamy się tu gdzie koło Odry, albo koło Baltyckiego morza związać ich, aż się oni jakoś wymknęli bokiem. Przyszła wiadomość, że już Lubomirski z związkowymi w tyle; dopieroż my zdesperowawszy, że ich już dogonić nie podobna, nuż z nimi traktować o pokój, a po staremu, goniliśmy się i traktowali.

Właśnie to tak, jak ów rybak, który nałowiwszy się po morzu nic nie mogł dostać, a zmordowany usiadł nad brzegiem, wziął piszczałkę, począł bardzo pięknie grać, tusząc sobie, że na owę jego melodją wyjdą ryby na piasek i nałapie ich sobie, co potrzeba; odpocząwszy sobie, już przed samym wieczorem zarzucił znowu sieci; ryby téż podobno z innych miejsc przybyły i wyciągnął ryb

dostatek, które skoro poczęły według swego zwyczaju w sieci skakać, on wziąwszy kija, jak je bije, tak bije, mówiąc: „Wszak ja wam pięknie grał, a nie wyszłyście na taniec, a terażeście się rozskakały, kiedy wam nie grają;“ pobił je więc, potłukł i w wór potkał. Tak też właśnie i pan Lubomirski z swymi związkowymi. Pozwolili oni na te traktaty i nazwali je palczyńskiemi, ale nie dowierzając téj piszczałce i widząc, że to melodje podejrzane, odstąpili ich, bojąc się, żeby w mątni nie być. Goniliśmy tedy, póki nam pory stawało, potém rozeszliśmy się na stanowiska, aby się na przyszłą kampanią lepiéj przygotować.

Rok 1666.

O tym roku było wcześnie proroctwo takie: „Gdy rok trzykroć sześć policzy: Marek Alleluja! krzyczy. I Jan w Bożém Ciele stanie!“ Któś zaś potém położył: „Jan Kazimierz panowanie, Polska gorzkie wyrzekanie, Mieć będą.“ A tak właśnie było, że w same Święta Wielkanocne przypadło Ś. Marka, Ś. Jana zaś podczas oktawy Bożego Ciała, i weryfikowało się to, że nie jeden zawołał: „Biada!“ jako z wojskowych i z ubogich ziemianów.

W tym roku sejm złożono na uspokojenie téj tranzakcjéj, ale trudnoto zapał ugasić, kiedy już płomień na dachu. Byłem na tym sejmie umyślnie, swoim własnym kosztem, żeby téż przysłuchać się rzeczom i widzieć co się dzieje. Napatrzałem się, o Boże, fakcyj wymyślnych i wykrętnych i téj i owéj strony, takich, żeby trzeba całą księgę napisać, ktoby chciał materją tego sejmu wypisać doskonale. Kładę tedy na têm miejscu przestrogę dla młodych ludzi, którzy to po mnie czytać będą, żeby każdy, z szkół wyszedłszy, starał się o to pilnie, aby się rzeczom przysłuchał i przypatrzył na sejmach, gdzie jeżeli nie może być o swoim koszcie, niech przystanie do posła albo do panięcia którego, byleby przecie być na jednym i na drugim sejmie, albo téż, choćbyś już był żołnierzem, to podczas hibernowego stanowiska jedź na sejm z hetmanem, albo z rotmistrzem swoim, jakom ja czynił kilka razy, aby przecie ko-

niecznie być, nieomieszkiwać sessji, i pilnie słuchać. A skoro już na górę, na poselską izbę pójdziesz, gdzie to czasem bywają narady, to wołają: „ustępujcie, kto nie poseł!“ to staraj się o znajomość u którego z marszałków, choćby u jednego, jakem ja czynił, żem przy instancyach wielkich ludzi, kłaniał się o to, żeby mię z izby nie wyrugowano, gdyż przyjechałem tu umyślnie, abym też mógł w tym zawodzie cokolwiek skorzystać, sekretu zaś żadnego nie wydam. To bywało marszałek: „Bardzo dobrze, chwalę ślachecką chęć.“ Jak już wyganiano z izby, to ja marszałkowi tylkom się pokłonił, a drudzy na łbie utykając, uciekali za drzwi, gdzie im się czasem i po karku laską dostało; to się kompani dziwowali, mówiąc: „Co ty masz za szczęście, jam się skrył za piec, i musiałem ustąpić, a tyś się osiedział.“ A nie wiedzieli, co się dzieje, żem sobie wyjednał. Będąc tam, tom tak słuchał pilnie, że się i jeść nie zachciało. A kiedy owo na dokończeniu sejmu po całéj nocy siadają, to też i ja siedziałem. Powiadam więc każdemu, że wszystkie na świecie publiki, cień to jest przeciwko sejmom. Nauczysz się polityki, nauczysz prawa, nauczysz się tego, o czém w szkołach jako żyw nie słyszałeś; życzę tedy każdemu tak czynić. Sejmowali więc przez całą zimę z wielkim kosztem, z wielkim hałasem, a po staremu, nic dobrego nie usejmowali, tylko większą przeciwko sobie zawziętość i rozdraźnienie.

Po wielkiéjnocy, w poniedziałek, były przenosiny pana Krasińskiego, syna podskarbiego koronnego, który się ożenił z Chodkiewiczową, do pałacu pana koniuszego koronnego Lubomirskiego; był i król na nich. Zachorowała bardzo królowa (bo i w poście jeszcze chorowała). Dają znać królowi, że królowa jejmość bardzo się ma nie dobrze. Król wesoły, podpiły, rzecze: „Nie będzie jéj nic.“ Przychodzą znowu, donosząc, że królowa kona. Król pokojowego w gębę, mówiąc: „Nie powiadaj mi plotek, kiedy ja wesół.“ Stało nas żołnierzy i ludzi dworskich wielka kupa przy królu, gdy się to działo, widzieliśmy i słyszeliśmy owe słowa. Poczęli szemrać między sobą: „Toby ten pan rad się też pozbył tego mola, który mu głowę suszy.“ A właśnie tak było w saméj rzeczy; król był wesół, tańczył noc całą, bo rzadko się zasmucił, i w szczęściu i nieszczęściu zawsze był jednakowy. Na podskarbiego wołał: „Gospodarzu, czyń przynukę żołnierzom; bądź im rad; niech pamiętają twoję ochotę.“ Nas zaś zachęcał: „Pijcie u skąpca.“ Piliśmy tedy na fantazją, tańczyliśmy, jednem słowem, byliśmy weseli.

Królowa Ludwika zaś, pani uwzięta i w swojéj fantazji mocno

dopinająca, widząc, że nie tak jéj rzeczy idą, jako sobie obiecywała w obiorze Francuza, koszt na to wielki wydawszy, skarb swój wyniszczyła, zdrowia przy owych pracach i turbacjach nadwerężyła, siadając za kratką w senatorskiéj izbie po całym dniu i nocy, żeby widziała i słyszała, jak też stawają ci, którzy gębę swoję do promowania fakcji najęli, wpadła w wielką aprensją, zachorowała jakoś po białéj niedzieli, przez wielką niedzielę ledwo przeżyła, a potém i umarła, przez któréj zejście wielki filar Francuzom upadł, a tym, którzy się temu przeciwili, przybyło fantazji. Zaraz też Kondeusza promocja zaczęła upadać, bo ci, którzy to całém gardłem popierali, zawiedli się na swojéj imprezie, i ów ślepy, tak jak królowa, śmierć podjął, a Pan Bóg obrócił wszystko, jako się jego świętéj zdało woli.

Do wypadku jednak wojny domowéj obracam pióro. Jak z początku, tak i do końca Pan Bóg przy niewinności stawał. Wyszły wojska w pole, ustępował Lubomirski jako panu, królowi, ale się przecie bronił, kiedy bardzo nacierano; my też gonili, gdy przed nami uciekał. Na Montwach zeszły się wojska, stacji od siebie było przez przeprawę więcéj, niżeli mila. Nazajutrz kazał król przeprawiać się na tamtę stronę. Przeprawiły się dragonie konnego wojska; część Litwinów miała się już przeprawiać, aż tu leci kommunik Lubomirskiego, już nie sprawą, nie chorągwiami, ale tak modą tatarską. Wsiedli zrazu na chorągiew naszę, rozumiejąc, że Litwini; zerwą się zrazu potężnie, poczną z koni lecieć, aż dopiero pomiarkowawszy się, że tu jeden brat, tam drugi; tu syn tam ojciec, dali sobie pokój. Całą potęgą suną się na prawe skrzydło, gdzie stały dragonie i kozacy pod dowództwem pułkownika Czopa; tam dopiero wytrzymawszy ogień, wzięli na szable, i jak tną, tak tną; tu z za przeprawy zaś dają ognia z armaty; nic to jednakże nie przeszkodziło, i nie wyszło półtoréj godziny, jak wycięto owych ludzi. Naginęło także oficerów znacznych, a nadewszystko owi zacni ludzie półku Czarnieckiego, kawalerowie tacy, dawni żołnierze, którzy w Danii, w moskiewskich, kozackich i węgierskich okazyach dokazywali cudów i bywali zawsze nieprzełamani, na domowéj wojnie wszyscy zginęli, których nie tylko król, ale i całe wojsko żałowało, osobliwie z naszéj dywizyi, cośmy na ich odwagę patrzyli. Pan Bóg też na nas za nasze niezgody dopuścił, że nam odebrał kwiat kawalerów dobrych, którzy wytrzymywali zawsze cały ciężar nieprzyjaciół naszych.

Byłato ta potrzeba wielce pomieszana, gdzie trudno było rozró-

żnić kto nieprzyjaciel i kogo uderzyć, bo jeździli między sobą, a nie znali się; który którego napadł, to się wprzód pytali: „Ty z którego wojska?“ „A ty z którego?“ Jeżeli przeciwnicy, to: „Bijmy się.“ „Jedź do djabła.“ „Jedź téż ty do dwóch.“ I tak sobie dali pokój. A jeżeli znajomy na znajomego napadł, to się powitali i rozjechali; było bowiem tak, że jeden brat zostawał przy królu, a drugi przy Lubomirskim; ojciec tam, syn tu; to niewiedzieć jako się było bić; prawda, że oni mieli znaki, to jest lewą rękę chustką związaną, aleśmy to nierychło postrzegli. Ja też, skoro poczęto bardzo golić, przewiązałem sobie rękę nad łokciem i nie bardzo od nich stroniłem. Poznali mię z daleka i wołają: „A nasz, czy nie nasz?“ Podniosłem rękę z chustką i mówię: „Wasz!“ Aż rzecze: „O francie! nie nasz; jedź sobie, albo przedaj się do nas.“ Ale po wszystkiéj okazji przyjechał z boku towarzysz z tamtego wojska, a Czop, pułkownik kozacki, stoi na koniu i nie strzeże się go, rozumiejąc, że swój; ów pomalusieńku człapiąc, przyjechał do niego, strzelił mu w ucho z pistoletu i zabił. Taka wojna zdradliwa, kiedy to tenże sam strój i taż moda. Bogdajby do tego w naszéj Polsce więcéj nie przyszło!

Wyjechałem za przeprawę do naszych szyków, aż tu król stoi; obstąpiono go, a on ręce łamie i turbuje się. Już téż wtenczas szczerze był frasobliwy. Posłał do Lubomirskiego, żeby mu dał pole wstępnym bojem, nie tak urywczą jako wilk; ale Lubomirski odpowiedział na to: „Nie moja rzecz Panu swemu dawać pole wstępnym bojem, ale tylko, jako ukrzywdzony, bronić się muszę jak mogę; że téj krwi niewinnéj, którą opłakiwać muszę, nie ja przyczyną, ale sam król jmć i ci dobrzy doradzcy, ktorzy go do tego przywiedli, żeby zgubili ojczyznę matkę, ale jednak, dla dobra rzeczypospolitéj, pozwalam na palczyński traktat, wyjąwszy niektóre punkta, króla przeproszę iubom go nie rozgniewał, i pokuty gotowem się podjąć, byle nie była szkodliwa mojéj i domu mego reputacji.“ I tak właśnie, jakom już napisał, tym trybem jako mazur mówi: Ej siec siepęknęcią, znowu nam począł uciekać, a my znowu gonić do koła po Polsce. A wioski trzeszczą, ubodzy ludzie płaczą, aż nakoniec biskupi, senatorowie, perswadują królowi, żeby się użalił ojczyzny, widząc, że to snać Bogu się nie podoba, kiedy szczęścia nie masz. Wysadzono tedy kommissarzów, wkroczono w traktaty, ale, po staremu, te rzeczy robiono goniąc się, aż dopiero dla dokończenia stanął król obozem pod Łęgonicami, w województwie rawskiém; tam kommissarze Lubomirskiego przyjechali do naszego obozu pod Łęgonice, i tam dopiero postanowiono kondycje

i podpisano z obydwóch stron, jednak z wielkiém oburzeniem ludzi wielkich, na ten akt zgromadzonych, senatorów i różnych ludzi godnych. Ale wracam jeszcze do materji o téj nieszczęsnéj, już namienionéj, montewskiéj wojnie.

Nazajutrz po téj wojnie nieszczęsnéj poszedłem do namiotów królewskich, i stoimy, różnie gadając, aż król wyszedł z tego namiotu, który nazywali gabinetem. Skłoniliśmy się więc wszyscy jako panu, aż on do mnie rzekł: „Nie masz twego rotmistrza (Czarnieckiego), byłoby tu wszystko inaczéj.“ Ja odpowiadam: „Miłościwy Panie, gdyby go nam Bóg nie był zabrał, nie tylko do téj nieszczęśliwości i tak niewinnego krwi rozlania, ale i do podniesienia szabel na karki swoje, nie byłoby przyszło Polakom.“ Rzuciły się łzy z oczów królowi, właśnie jak kiedy grochu spuszcza się ziarno po ziarnie; wrócił się nazad, skąd wyszedł, a ksiądz Wojnat już ubrany, stał z godzinę, czekając go ze mszą. Król przez całą mszę nic nie mówił pacierza, tylko klęczał na wezgłowiu aksamitném i wzdychał. Żal mu było owych ludzi zginionych, gryzło go sumienie, a oprócz tego konfuzja sama i ohyda wszystkich jego królewskiéj powadze. Widział pan, że przewrotna złych doradzców rada, zły mu téż skutek jego zawziętych przyniosła zamysłów, bo musiała go bardzo konfundować, bardziéj niżeli wszystkie inne wojny i nieszczęśliwości, i to go do desperacji, a potém i do abdykacji przywiodło, ponieważ mawiał często: „Już więcéj wolnéj głowy mieć nie mogę, aż ją kapturem nakryję.“ Kogo tylko zobaczyl z żołnierzów Czarnieckiego, zaraz go wspominał, wzdychając. Jakoż był téż to człowiek i senator zacny, prawdę mówiący, żołnierz nieoszacowany w okazjach i wódz szczęśliwy. Żałował go król i wojsko całe, a nawet ci sami, co z nim emulowali i zazdrościli mu sławy. I do téj wojny domowéj i krwi rozlania nie byłoby przyszło z wielu przyczyn, a nadewszystko, żeby się był Lubomirski na króla nie porwał, ale samą tylko nadrabiałby był pokorą. Jak go zaś Pan Bóg wziął, zaraz się wszystko zamieszało i w Ukrainie i w Polsce. Z jawną przeciwko samemu Bogu każdy taki wyuzdałby się niewdzięcznością, ktoby między innemi dobroczynnemi faworami, tego téż z osobliwém dziękczynieniem nie miał przyjmować, kiedy na zaszczyt takiego Bóg wzbudzi kawalera, za którego głową utrapiona ojczyzna na oba uszy zasypiać może, i swojéj, na którą przez wiele set lat pracowicie robiła, zażywać swobody. Szczyciła się Italia swym Emiliuszem, że za całość jéj zastawiając się odważnie na placu, został od Penów porażony. Z słońcem zrównała Grecja sławę

Protessylausa swego, że podobnym, jako i tamten sposobem, nie żałując krwi i zdrowia swego, zabity został od wojska frygijskiego. Czémże my nie bardziéj mamy dziękować Bogu za naszego Czarnieckiego, któremu we wszystkich okazjach tak łaskawéj użyczył protekcji, że go z ciężkich terminów swoją zawsze dźwigał ręką, wielkie i znaczne, choć z małą garścią wojska, dając mu zwycięstwa nad nieprzyjacielem, a nadto, że go od śmiertelnego zachował szwanku, kiedy pełen dni, łagodną śmiercią z tego powołany świata? Niech czyje herbowne za rzeczpospolitą zastawiają się miecze, niech ostre kopije nieprzyjacielowi dają odpór, niech czułe lwy strzegą ojczyzny, niech pilnują topory sprawiedliwości, niech depcą hardość rebeliantów podkowy, herbowna twoja nawa więcéj zasłużyła się światu, niżeli owa, która Jazonowi złote z Kolchidy przyniosła runo. Ojczyzna nasza miała szczęśliwszego od Epaminondów i Scypionów wodza, bitniejszego i odważniejszego od Hektorów wojownika, Alexandrom równającego się zwyciężcę, i sprawiedliwie go nie odżałuje. Niech będzie z Kaukazu krzemieniste serce i rodopejskiéj twardością równające się skale, kto na jego wojenne zapatrywał się czyny, nie podobna, aby teraz na wdzięczne jego nie miał zapłakać wspomnienie. Ja przyznam się, że bez mała zawziętéj nie rzucam szarży, którą do śmierci pod dobrym wodzem kontynuować postanowiłem, bo nauczywszy się zwyciężać, ciężkibyto był termin, być zwyciężonym; nauczywszy się z młodości zawsze gonić, przykroćby to na starość było uciekać, a za straceniem dobrego wodza, za odmianą regimentarza, zwykło się już i szczęście mienić, jako już mamy próbę owego niezwyciężonego regimentu, który tak okrutne wytrzymując ognie, tak wielkie wygrywając okazje, teraz na domowéj wojnie jako bańka na wodzie zginął. Siła nas będzie takich, i podobno rzadko się kto z jego palestry obierze, ktoby nie wolał Bellonę pożegnać, a do Cerery się udać.

Miłażto jest wojna pod dobrym wodzem, by i najcięższe ponosić prace i przykrości; nie straszne są rzeczy ochotnemu sercu, przez ognie i miecze, przez srogie burze i nawałności, za dobrym przywódzcą piąć się ku celowi dobréj sławy. Przez to ma Scewola wielką u świata reputacją, że z swojéj własnéj ręki czynił sprawiedliwość o to, że ojczystego nieprzyjaciela niedoskonałym umiarkowała sztychem; umiał ten wódz tak swoją ręką działać, że nigdy na karanie nie zarobiła, bo rzadko temu nieprzyjacielowi na zdrowie, którego ona swojém dosięgła żelazem. Już minęło tyle wieków, jako Cynogirus na owę zarobił sobie sławę, która i teraz w czę-

stém u ludzi jest wspominaniu, że nieprzyjacielską nawę zębami chwytał; nierównie świeższe tego zacnego rycerza widzi świat zasługi, kiedy nieprzyjacielskie strzały ustami odbierając, wystrzelone podniebienie srebrną do śmierci szpuntował blachą; gdyż inaczéj, kiedy mu ją do przemywania wyjęto, słowa jednego przemówić nie mógł. O Boże, siłażby na to papieru wyszło, ktoby Czarnieckiego z młodych zaraz lat odwagi kawalerskie i dzieła chciał wypisać należycie! Czegom się sam oczyma swemi napatrzył, a o młodszych zaś jego latach od starych żołnierzy nasłuchał, że to i kilka razy na dzień temu polskiemu Hektorowi zginąć potrzeba było, bo jako bitnego Gradywa syn, zaraz z młodu nie jako Parys delikatnym złotym, ale marsowym twardym zdobił skronie szyszakiem; nie w syryjskim jedwabiu, albo w sydońskiéj purpurze, ale w hartownym pancerzu swoje miał upodobanie; nie śmierć go, ale on ochotnie zawsze szukał śmierci, słuchając w tém perswazji Seneki: „Ponieważ nie jest pewną rzeczą, w którém miejscu śmierć na cię czeka, ty oczekuj jéj w każdém miejscu.“ Szukał z młodych zaraz lat w czeskich i niemieckich prowincjach, u rodzonego swego brata chorągiew nosząc; szukał jéj w tatarskich, wołoskich, multańskich, węgierskich, kozackich, moskiewskich, szwedzkich, pruskich, duńskich, olszackich państwach, i za Dnieprem, za Wołgą, za Odrą, za Elbą i za morzem, wszędzie ochotnie za całość ojczyzny swoje ofiarując zdrowie; a jednak śmierć nie porwie się na tego, kogo Bóg w swojéj zachowuje protekcji i do dalszéj majestatu swego Boskiego i ojczyzny usługi. Samę tylko szwedzką wojnę wziąwszy przed oczy, jako ją własném męztwem i radą utrzymał, kiedy w owych zdesperowanych okazjach na imię króla, pana swego, w małéj garści wojska pokazał się nieprzyjacielowi na oko, ojczyznie już konającéj stał się pożądanym bezoardem i zbuntowanych szczęśliwie do posłuszeństwa panu przywrócił; tyrana szwedzkiego z ojczyzny wygnał, i jeszcze go za morzem w jego domu szukał. Odznaczył się także i w moskiewskich wyprawach, o których nie piszę, bo to nie kronika, ale tylko opis życia mego. Mogę jednak temu zacnemu wodzowi owe applikować słowa: „Tak zdumiewający twój przykład, trwałéj wieków pamięci podany, między gwiazdy sława na skrzydłach swoich uniosła.“ Nigdy Czarniecki nie wyniósł się z swoich czynów, ale te łasce Bogu i rządzcy swemu im bardziéj przypisywał, tém więcéj od Boga pomyślnych odbierał szczęśliwości. Sławna jest Herkulesowa siła, ale piszą, że go Thetys w takich kąpała wódkach, aby mu żadne nie szkodziły

oręże. Opisują historje Hektora, że w potrzebie ojczyzny swojéj, Rzeczypospolitéj trojańskiéj, tak potężnie stawał i zwyciężał. Nie może się Rzym nachwalić Scypionowego męztwa, że na rzecz Rzeczypospolitéj zawojował Afrykę, ale to wtenczas było, kiedy żołnierze kamykami na siebie ciskali, teraz zaś tym samym sławnym naonczas wodzom, gdyby powstali z martwych, podobnoby się przykrzejsza widziała wojowania maniera, kiedy to z kilkudziesiąt tysięcy samopałów zakurzą pod nos, kiedy to z kartanu jako cebrzyk kula zapruszy oczy, że i djabeł sam, choć jest ciekawy, nie ma czasu, jako zwykł, pokazać się człowiekowi przy śmierci, kiedy to owe petardy, owe bomby, owe kartacze i tak wiele innych na zgubę mizernego człowieka wymyślonych narzędzi (igrać poczną). Podobnoby i owi dawni sławni rycerze nie wyrównali teraźniejszym.

Kochany nasz wódz już z temi wszystkiemi rozumiał się inwencjami, umiał zawsze zwyciężyć, umiał ze zwycięztwa korzystać, wojska nigdy nie stracił, umiał je konserwować, a choć też czasem i nadwerężył, umiał je restaurować i chlebem nakarmić. Już więc złote lata twardém przedzierzgnęły się żelazem, kiedy dom radości i nadziei naszych, w gorzkie obrócił się nam łzy, takiego postradawszy hetmana i senatora. Powiadają: „Najlepiéj jest umierać dokonawszy pamiętnéj jakiéj przewagi.“ Aleć imię wodza naszego żyje jako ozdoba świata cnocie i wieczności, lubo zapłacił dług śmiertelności. Dusze wszystkich są nieśmiertelne, cnotliwych i walecznych, Boskie! Zbyliśmy kawalera, jakiego podobno nie zaraz Polska obaczy. Płacze Polska senatora, Mars Hektora, wdzięczne tylko imienia jego w sercach naszych pozostało wspomnienie i sława. Przystoi sławić po zgonie takich, którzy rzeczy trudnych i świetnych dokonali.

Wracam nareszcie zagonione za pochwałą Czarnieckiego pióro do traktatu łęgońskiego, który stanął taki:

„Deklaracja łaski jego królewskiéj mości

tak obywatelom województw: krakowskiego, poznańskiego, sandomierskiego, kaliskiego, sieradzkiego i łęczyckiego, razem zgromadzonych, jako też urodzonemu Jerzemu Lubomirskiemu, na Wiśniczu i Jarosławiu hrabiemu, dana, przez przewielebnych w Bogu, wielebnych, wielmożnych i urodzonych: „Andrzeja Trzebickiego, biskupa krakowskiego; Mikołaja na Prażmowie Prażmowskiego, nominata, arcybiskupa gnieźnieńskiego, łuckiego, kanclerza w. kor.;

Leżeńskiego, biskupa chełmskiego; Stanisława Potockiego, wojewodę krakowskiego; Michała Stanisławskiego, wojewodę kijowskiego; Krzysztofa Żegockiego, wojewodę inowrocławskiego; Stanisława Jabłonowskiego, wojewodę ruskiego; Michała Kazimierza Paca, wojewodę smoleńskiego, hetmana polnego, w. ks. litewskiego; Ludwika Alexandra Niezabitowskiego, sandeckiego, Piotra Przyjemskiego, śremskiego, Stanisława Jaskulskiego, sanockiego, Marcina z Rudek Jarzynę, sochaczewskiego, kasztelanów; Jana Sobieskiego, marszałka koronnego i hetmana polnego koronnego; Krzysztofa Paca, kanclerza w. ks. litewsk.; Jana Branickiego, marszałka nadwornego; Wacława Leszczyńskiego, krajczego koronnego; Jana Gnińskiego, podkomorzego pomorskiego; Jana Szumowskiego, starostę opoczyńskiego; kommissarzów jego królewskiéj mości imieniem, zawarta roku pańsk. 1666.

„Chcąc i tego usilnie pragnąc jego królew. mość, aby dawna i z kluby swéj wypadła wróciła się i wkorzeniła, tak jego król. mości ku wiernym poddanym swoim, jako téż i poddanych wzajemnie naprzeciwko jego królew. mości, miłość i poufałość, umyślił jego królew. mość z szczerego chrześciańskiego serca wszystkie przeciwko majestatowi swemu do dnia dzisiejszego wynikłe urazy odpuścić, jakoż one miłościwie odpuszcza, i, dla dobra ojczyzny, daruje, i wieczną amnestją, albo raczéj niepamięcią, pokryć chce i pokrywa. Tenże swój ojcowski umysł przez prawa na blizko-przyszłym sejmie wykonać chce, i jest gotów amnestją, którato generalna i ogólna ma być i tak doskonała, jakoby wszystko w sobie zawierała, cokolwiek z obydwóch stron pretensij wynikać mogło i do gruntownego uspokojenia należało, do czego, żeby z tego miejsca sposób się podał do doskonałego napisania i złożenia tych, naznacza jego królew. mość przewielebnych, wielebnych i urodzonych kommissarzów swoich, według których konceptu tu napisana, na blizko-przyszłym sejmie w zbiór praw wpisana być ma, i od stanów wszystkich przyjęta, tak jego król. mość starania przyłoży, jako téż i województwa, posłom od powiatów i ziem wyprawionym seryo przez artykuły sejmikowe zlecić submittują się. Też łaskawość swoję ojcowską wiernym poddanym swoim wyświadczyć usiłując, te ich prośby, które za słuszne uznał, do nich się przychylając, taką na nie dać raczył przez przewielebnych, wielebnych i urodzonych kommissarzów swych deklaracją.

„Najprzód, po rozwiązanym według niżéj opisanego związku i po wypełnieniu kondycij w téj deklaracji swojéj wyrażonych,

wojska swoje tak koronne, jako i w ks. litewsk., do granic, na zaszczyt ojczyzny, wyprawi jego królew. mość.

„Załogi, wyjąwszy te, których miejsca same potrzebować będą (na których osiadłą ślachtę osadzać), z fortec sprowadzi, i krzywdy, jeżeli są jakie poczynione przez kommendantów, przy kommissarzach swych uzna i nagrodzi.

„Mennic obudwu, tak tynfowéj srebrnéj w koronie, jako i szelążnéj w w. ks. litewskiém, do początku sejmu blizko-przyszłego (który w ostatnich dniach Października, wyjąwszy, gdy prawna przeszkoda zajdzie, złożyć ma wolą), zawarcie odkłada, ażeby do słusznego waloru też monety zredukowane były, naradzi się z Rzecząpospolitą.

„Rozbieranie wojsk na płacę województw na przyszłe sejmiki przedsejmowe, przykładem pierwszych instrukcij podać rozkaże jego król. mość i w propozycjach na sejm zaleci, co i przewielebni, wielebni i urodzeni kommissarze wspólnie z województwy popierać będą. Dla czego wielmożni hetmani koronni przed decyzją sejmu, z rozdaniem hibernowego zatrzymają się i na werbunki patentów wydawać nie będą, pod obowiązkiem obecnego układu.

„Rotmistrzów zaś, ślachtę osiadłą w województwie i ziemiach, podawać będą jego królewskiéj mości za rekomendacją województwa swego.

„Prawo o obrażeniu majestatu królewskiego, w czém się będzie zdało Rzeczypospolitéj, poprawić jego król. mość pozwala.

„Pozwala także jego król. mość, aby na sejmie przyszłym kondemnaty w trybunalnych sądach, tak w koronie, to jest w Piotrkowie i Lublinie, jako też w wielkiém księztwie litewskiém, na kimkolwiek, także na wojskowych mimo prawność teraźniejszego zgromadzenia otrzymane, uchwałą publiczną były derogowane i sprawy przywrócone do pierwszego stanu.

„To tak dla uspokojenia wspólnéj ojczyzny poddanym swoim wyświadczywszy, żeby wzajem od pomienionych obywateli tąż miłością, którą zawsze te narody ku panom swoim słynęły, został ubezpieczony i upewniony jego król. mość, jako wszystkie swoje dla dobra téj ojczyzny darować raczył urazy, tak miłościwie do przeproszenia swego wszystkich zgromadzonych urzędników i deputatów przypuścić ma.

„Przypuszcza do tegoż przeproszenia i urodzonego Jerzego Lubomirskiego, jako tego, który odstąpiwszy wszystkich pretensij swoich, na łaskę się jego król. mości przez województwa pomie-

nione i wojsko związkowe całe zdał, i odtąd w statecznéj przeciwko jego król. mości wierności zostawać przyrzeka i w posłuszeństwie jego królew. mości, i którego wspomniona amnestja okrywa. A to przepraszanie uczynić będzie powinien publicznie, natenczas gdy mu król jegomość miejsce naznaczy. Oraz z któremi temuż urodzonemu Lubomirskiemu jakiekolwiek zachodziły zajścia, zgoda nastąpi. Także z W. Ks. Lit. przeproszeniem uczczą j. k. m. urodzeni synowie i wszyscy adherenci, których także amnestja okrywać ma.

„Za granicę, albo tam, gdzie wola jego król. mci będzie, do czasu, przez jego król. mość zamierzonego, wyjechać, i tam spokojnie zostawać ma, co sobie, jako i inne dobroczynności, do dalszego wyświadczenia temuż urodzonemu Lubomirskiemu jego król. mość w mocy swéj zostawuje.

„Też łaskawość swoję jego król. mość wyświadczając wojsku, w związku będącemu, jak tylko związku się wyrzekną, spiski wszelkie, tak między samymi, jako téż urodzonym Lubomirskim i urodzonymi obywatelami województw zniweczą, do przeproszenia przez starszyznę dopuścić obiecuje, i do wypełnienia tego wszystkiego równo z obywatelami województw przysięgą się zobowiążą.

„Amnestja zaś i od wyliczenia trzech ćwierci zapewnienie, żeby temuż wojsku żadnéj wątpliwości nie czyniła, nie będą powinni wielmożni hetmani koronni chorągwi żadnych, w służbie Rzeczypospolitéj zostających, zwijać póty, póki sejmu, da Pan Bóg, przyszłego, amnestja dana i zapłata na województwa podzielona nie będzie. Jako jednak wszystko wojsko pod władzę wielmożnych hetmanów swoich iść natychmiast po przeproszeniu jego król. mości obowiązuje się, tak chorągwie wszystkie do rotmistrzów i pułkowników swoich w tenże czas powrócić powinne będą. Miejsce zaś czekania wojsku wszystkiemu, już pod posłuszeństwo złączonemu, do wyliczenia trzech ćwierci, od województw assekurowanych, których płaca z sejmików dnia 16 Sierpnia złożonych, na dzień 15 Września wystawiona być powinna, w decyzji jego król. mości i w dyspozycji wielm. hetmanów zostawać ma, przed których odebraniem ruszać ich z naznaczonego miejsca do prac wojennych nie będą, wyjąwszy w nagłéj potrzebie, a deputatów swych do wyliczenia przerzeczonych ćwierci, za assygnacjami skarbowemi do województw, natychmiast zostawią, ostatek zapłaty za ćwierci, które wojsko likwiduje, do otrzymania sejmowego jego król. mość zostawuje."

„Żądania insze, ponieważ nie mogą aż z sejmu satysfakcjéj odnieść, tam je odsyła z całą sprawą.“

Amnestja Generalna.

„Nie mając nic po życiu swém milszego nad miłość poddanych naszych i ich przeciwko nam uprzejmą poufałość, do któréj aby na czasy potomne ustępu żadnego nie czyniły teraźniejsze mieszaniny i okazjéj jakiejkolwiek do urazy naszéj przeczyły, wszystkie takowe niesmaki i urazy nasze wprzód (dla) powinności chrześciańskiéj, a potém (dla) dobra téj ojczyzny szczerze darujemy, i one w wieczną niepamięć zarzucamy, tak przeciwko wszystkim w społeczności, to jest obywatelom województw, jako i wojsku Koronnemu i Wielkiego Ks. Lgo polskiego i cudzoziemskiego zaciągu wprzód w r. 1662, i teraz roku przeszłego pewnéj ćwierci wojska koronnego z jakiegokolwiek pozoru lub powodu skonfederowanemu. Jako też którymkolwiek prywatnym osobom w osobności, osobliwie urodzonemu Jerzemu Lubomirskiemu, synom jego, sługom, adherentom, i wszystkim którzykolwiek z jakiegokolwiek pozoru wiązali się do niego i innym pomienionéj wojskowéj konfederacjéj, i którzy onych strony chwycili się, nad tymi wszystkimi, nikogo nie wyjmując, ale do każdego z tychże poddanych, ojcowskim affektem się przychylając, na żadnych, władzy i zwierzchności królewskiéj, ani surowości praw, z tych jakichkolwiek przyczyn, zażywać nie będziemy. Owszem wszystkich tych, którzy jakimkolwiek sposobem przez wszystek czas panowania naszego nas urażali, przyjmujemy do czci i dóbr wszystkich dziedzicznych, jeśli którekolwiek z pomienionych komukolwiek, lubo z okazjéj zewnętrznéj mieszaniny, były przywrócone i pomienione przywileje na dobra, których własność do nas wróciła, powagą publiczną kassujemy i annihilujemy, ażeby żadna napotém między stanami, narodami i prywatnemi osobami (nie została) iskierka do wnętrznych rozruchów i niechęci. Owszem życzymy, aby się wróciła i wkorzeniła dawna i spólna miłość i jedność. Tak z okazjéj sprawy urodzonego Lubomirskiego, jako i wszystkie innych terminów pretensje, dyssydencje i niezgody umarzamy wiecznemi czasy i stateczne w nich milczenie pod karą gardła zakładamy. Warujemy i assekurujemy przy tych pomienionych związku i konfederacjéj, urodzonym Marszałkom, Substytutom, Konsyljarzom, Pułkownikom Obersztérom, Obersztlejtnantom, Kapitanom i ich Porucznikom, i

wszystkiemu rycerstwu, nikogo (nie) ekscepując, wyjąwszy jednak tych, jeśliby się w którymkolwiek wojsku znajdowali Wielmożnego niegdy Gosiewskiego Podskarbiego W. Ks. Lgo i Hetmana polnego śmierci i zabicia spólnicy, na których kondemnaty stanęły, bo tych amnestja wiecznemi czasy okrywać nie ma, — iż nad wzwyż mianowanemi tak my, jako i Rzeczpospolita i żaden z Hetmanów, ani z prywatnych ludzi, lub przez się lub przez naprawione osoby z duchownych i świeckich, tak Koronnych jako i W. Ks. Litewskiego, zemsty pretendować, ani żadnych do nich pretekstów szukać, ani do żadnych sądów strony pomienionych domowych rozruchów, i wojskowych kiedykolwiek uczynionych związków i konfederacjéj, ani względem summ na ich ujęcie i rozwiązanie erogowanych, żadnym sposobem do sądu pociągać nie będzie, i owszem z chrześciańskiém sercem to wszystko, czémsiękolwiek albo Rzeczpospolita obciążoną, albo kogo z prywatnych rozumiemy, odpuszczamy, darujemy, i skutki wszystkie kassujemy, i ktoby przeciwko pomienionym, lubo wszystkim w ogólności, lubo każdemu w osobności, chciał co szkodliwego przedsiębrać, że tego nie dopuścimy: mocą sejmu teraźniejszego warujemy im także wszelkie chlebów wybieranie, wojsk przechody, obozów stawanie i inne tym podobne przeciw prawu nad juryzdykcją swoją występki. Najazdów, mordów, gwałtów i inszych wszelakich kryminałów, amnestja teraźniejsza okrywać nie ma. Pisma, uchwały, protestacje, manifestacje, z jakiegokolwiek powodu wydane, spiski od kogokolwiek przeciwko komukolwiek z okazjéj wnętrznéj między stanami niezgody i rozruchów domowych uczynione z obiedwóch stron, kassujemy, eliminować z ksiąg wszelakich rozkazujemy i annihilujemy. A że żadnego, przeciwko komukolwiek uczynione i wzruszone są, czci i honorowi szkodzić nie mają, tąż powagą sejmu teraźniejszego deklarujemy i wieczne milczenie zakładamy, pod winami na potwarców opisanemi. Pod tęż amnestją wiecznemi czasy podpadają, którzyby się kolwiek (dla) Rzeczypospolitéj uciążliwie do kogokolwiek udali. A jeśliby kto z tych wszystkich okazij, które pod teraźniejszą amnestją były, i ona już wiecznie okrywa, lubo sam przez się, lubo przez kogo innego, skrycie lub jawnie, wprost lub ubocznie, co nieprzyjaznego przeciwko osobom którymkolwiek tak w Koronie, jako i w W. Ks. Litewskiém, zaczynał albo czynił, albo co wznawiać chciał, takowy pod kary kryminalne popadać będzie. Więc iż na zaszczyt dostojeństwa naszego, przyszło nam wojska tak Koronne jak i W. Ks. Lgo w posłuszeństwie naszém i wo-

dzów zostające, w pole wyprowadzić, z którój przyczyny, koniecznie skupionych wojsk, różnym osobom aggrawacje stać się musiały, wielkiemi przechodami, tedy Wielkim Hetmanom Koronnym, jako i W. Ks. Lgo i wojskom obojga narodów, przez te czasy przy boku Naszym zostawającym, za wszech Stanów zezwoleniem, dajemy assekuracją taką, jaka niegdy dana była Janowi Zamojskiemu, Kanclerzowi i Hetmanowi Wiel. Koronnemu, którą pod tytułem: Assekuracja Hetmanowi Koronnemu, w r. 1588, w zupełności recenzujemy, która téż assekuracja ta Wielmożnemu niegdy Stefanowi Czarnieckiemu, Wojewodzie i Generałowi Kijowskiemu, Hetmanowi Polnemu Koronnemu, jako i wojsku tak polskiego jako i cudzoziemskiego zaciągu pod komendą tegoż pomienionego Wojewody Kijowskiego, podczas przeszłego związku w r. 1662 i 3m w posłuszeństwie J. K. Mści zostającemu, i na wojnie w Koronie i W. Ks. Litewskiém, będącemu; także i w wojsku W. Ks. Lgo podczas wojny Szwedzkiéj, Kozackiéj, Węgierskiéj, do Korony wprowadzonemu, i wszelkim regimentarzom, pułkownikom Koronnym i W. Ks. Lgo, jakiekolwiek komendy z ordynansów Hetmańskich, przedtém, potém i natenczas mającym i wojsko prowadzącym, służyć ma i onych okrywa. Okrywać jednak nie będzie tych, którzy po dacie teraźniejszéj deklaracjéj łaski naszéj, szkody, lub ciągnieniem lub stanowiskami czynić będą się ważyli. A że nie tylko natenczas, przez niniejszą amnestję Rzeczpospolitę uspokoić, ale i napotém od podobnych konfederacjéj i związków mieć chcemy bezpieczną, tedy wszystkie dawniejsze konstytucje, przeciwko związkom takowym i konfederacjom, to jest r. 1623, 1624, i teraz świeżo 1662, za wieczne i nieodwołalne prawo (stanowimy); przydając, iż gdyby się napotém do takowych i tym podobnych związków, buntów i konfederacij, z jakiegokolwiek pozoru uczynionych, ktokolwiek przystępować ważył, i onych wspierać, i z nimi znosić się śmiał, takowym i takowemu żadna napotém amnestja dana nie będzie, i luboby była od nich wyciśniona, żadnéj wagi mieć nie będzie. Owszem my i sukcessorowie nasi przeciw takowym gwałtownikom praw i pokoju pospolitego, wszystkiemi siłami naszemi i Rzeczypospolitéj, w ostatku gdyby tego potrzeba było, i pospolitém ruszeniem wystąpimy, i nie dając żadnego miejsca łaskawości, takowy bunt i kupę na zdrowiach, honorach i substancjach karać, obowiązek sumienia i prawa niniejszego, na się bierzemy. Ażeby taż deklaracja J. K. Mści, w tym

traktacie zawarta, pewność swoję i wagę mieć mogła, tak przewielebni i urodzeni Kommissarze od J. Mści wysadzeni, jako téż urodzeni Deputaci od wojska i z starszyzną swoją, podpisują i pieczęciami utwierdzają, i wzajemnie poprzysięgają."

Forma juramentu Kommissarzów J. K. Mści.

„My Kommissarze, przysięgamy P. Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętéj jedynemu, iż wszystkiego tego, cokolwiek jest w teraźniejszym traktacie, przez deklaracją J. K. Mści Pana naszego Miłościwego, a umowę Panów Deputatów Województw, obywatelów, i wojskowych zawartą, namówiono i postanowiono, tego wszystkiego J. K. M. P. N. M. dotrzyma i my dotrzymamy. Tak nam Panie Boże dopomóż i Jego niewinna męka."

Forma juramentu Panów Deputatów od Obywatelów Województw i wojskowych.

„My N. N. przysięgamy Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętéj jedynemu, iż wszystkiego tego cokolwiek postanowiono, zawarto i umówiono jest w teraźniejszym traktacie, tak ja sam jak i Obywatele Województw, w tym traktacie mianowani (ci którzy są od wojska, przydadzą: i wojsko wszystko w związku znajdujące się), dotrzymam i dotrzymają, i przy tém stawać będziemy i będą. Tak mi P. Boże dopomóż i Jego męka niewinna."

Reskrypt na Elekcją Króla JMści.

„Wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć należy, ku potomnéj pamięci oznajmujemy: Iż jako nic nie mamy w obowiązku naszym Królewskim pożądańszego, jako o zachowanie praw od Nas i Najjaśniejszych przodków Naszych Rzeczypospolitéj nadanych i zaprzysiężonych starać się, tak lubo wolna elekcja, tymże narodom wedle praw jest dostatecznie warowana, tak że żadnéj wątpliwości w sobie nie mające, i nienaruszone ma zachowanie, chcąc jednak to osobliwe nasze staranie, na poparcie i potwierdzenie w téjże wolnéj elekcjéj praw napisanych od świątobliwych przodków naszych domu Jagiellońskiego, nadanych, jako ostatni ich potomek poświadczyć, niniejszym skryptem też prawa

stwierdzamy, nienaruszone mieć chcemy, i obiecujemy, że za panowania naszego, mimowolną elekcją na Królestwo Polskie, nikogo żadnym sposobem wsadzać nie dopuścimy, i owszem, przeciwko temu, któryby tego attentować ważył się, jak przeciwko nieprzyjacielowi ojczyzny postąpimy według dawnych i świeżych praw. Na co się dla lepszéj wagi ręką własną podpisujemy i pieczęć koronną przycisnąć rozkazujemy."

Po skończonym i podpisanym traktacie ruszyliśmy się z pod Łęgonic ku Radomiu, bo téż i Lubomirski był nad Wisłą. Przyszliśmy pod Jaroszyn; tam dopiero naznaczono miejsce panu Lubomirskiemu do przeproszenia i poprzysiężenia postanowionego traktatu. Przyjechał tedy w kilka set towarzystwa i starszyzny do obozu. Dwie tylko chorągwie pancerne królewskie stały w placowéj straży, a insze wojsko było po swoich szałasach; do namiotów jednak królewskich naschodziło się siła kompanij widzieć tę ceremonją. Gdy Lubomirski wszedł do namiotu, przemowę skończywszy, i już przysięgać miał, zaraz wszystkie płoty u namiotów opuszczono, aby wszyscy mogli widzieć. Po skończonéj tedy ceremonji pojechał król do Warszawy, a pan Lubomirski wybierał się do Janowca na owo wygnanie za granicę. Jednak tam nieszczęśliwie wyjechał, gdyż umarł w Wrocławiu, ale umarł dobrowolnie, na ból tylko głowy narzekając, i tak mówiąc: „Kto głową robi, na głowę umierać musi." Tylko, że to był zamieszał Rzeczpospolitę, dla tego jedni go żałowali, drudzy cieszyli się z jego śmierci. Aleć potém i hetman wielki Potocki podziękował temu światu, snać, że to królowa Ludwika, jako pierwsza głowa owych wszystkich fakcij Kondeuszowskich, potrzebowała na wjazd swój do nieba assystencji, zaprosiwszy z sobą hetmanów, a potém nie zadługo i owego ślepego doradzcę, najwierniejszego swoich fakcij pomocnika; późniéj i innych wielu powędrowało za królową, aby się sprawić na tamtym strasznym trybunale.

Skończył się więc rok ten z wielką mizerją i uciskiem ślachty i ubogiego poddaństwa, a oni się pogodzili między sobą, na wieczne milczenie, przez amnestją i już nikt gęby nie śmiał rozdziawić o krzywdy poniesione, ani się do prawa udawać, bo zaraz oczy zarzucano amnestją, że to już wszystko okrywać powinna. A czyż nie lepsza to rzecz była pogodzić się, nie rozlewając tak wiele krwi ludzkiéj, nie pustosząc ubogiéj ojczyzny, i moglibyśmy byli co dobrego zrobić z nieprzyjacielem koronnym i wiosek nie-

bylibyśmy spustoszyli, i ci ludzie, których ta wojna strawiła, przygodziliby się byli na inną Rzeczypospolitéj potrzebę, a nadewszystko Pana Boga nie bylibyśmy rozgniewali.

Rok 1667.

Przyjechałem do rodziców, do Węgrzynowic, na całą zimę; tam obcowałem często z panem Lipskim, wojewodą rawskim, i z panem Śladkowskim, kasztelanem sochaczewskim, i tym obu panom tak skłoniłem do mnie serce, że obadwaj życzyli mię sobie postanowić w domu swoim. Wojewoda upodobał mię z jednéj mowy na sejmiku elekcyjnym podkomorzego i na jego samego wjeździe na województwo, i znowu potém, kiedym kilka razy marszałkował na sejmikach, stąd mi przyznawał jakąś czynność i kochał mię bardzo, bo przecie i w wojsku służąc, kiedym przyjechał do ojca, a sejmik nastąpił, nigdy tego nie omieszkałem, lecz owszem przysłużyłem się komu, i czasem kazali mi sobie marszałkować, a czasem téż zdarzyła mi się ta usługa, która się ludziom podobała; z téj tedy racji miałem u nich zachowanie. Na sejmiku przedsejmowym, podczas amnestji pana Lubomirskiego w roku przeszłym, marszałkowałem; w tym znowu roku także na sejmiku przedsejmowym, który był w Lutym w Rawie, marszałkowałem, i koniecznie chcieli, żebym i posłował, alem się wymówił tém, że mi ojciec (który téż był na tym sejmiku), odmówił kosztu, a tam trzeba się było pokazać. Posłowali natenczas: Adam Nowomiejski, wiceinstygator koronny, i Anzelm Piekarski, cześnik rawski, którym dałem instrukcją z artykułami dosyć ostróżnemi i do materji sejmu tego stósownemi takiéj osnowy:

Instrukcja Jch Mściom PP. Posłom z ziemi Rawskiéj: JMści P. Adamowi Nowomiejskiemu Vice-Instygatorowi koronnemu Sędziemu Grodzkiemu Rawskiemu i Jmści P. Anzelmowi Piekarskiemu Cześnikowi Rawskiemu, zgodnie obranym, na sejmie z koła rycerskiego dana.

„Wszystkiemu jawno to światu, jak ubolewać cała ojczyzna musi, wziąwszy przed oczy, w jak ciężkie, przez nieżyczliwe wro-

gów usiłowania, zachodzi labirynty; gdy w tak niebezpiecznym zostawająca paroksyzmie, miasto pociechy, niewdzięczność, i żadnéj w obronie swojéj przez rozerwane sejmy nie odnosi nadzieje. Co że jest z nieznośnym J. K. Mści Pana naszego Miłościwego żalem, przyznać to każdy musi, uważywszy z jak wielkim niewczasem swoim, jako Pan dobrotliwy, około tego pracował, żeby był po trzech zerwanych sejmach, ten przynajmniéj czwarty, do szczęśliwego przyprowadził effektu i upadającéj mógł rękę podać ojczyznie; lecz że w tym terminie przez zazdrościwéj fortuny przeciwności, nie przyszło J. K. Mści P. N. Miłościwemu swojéj przeciwko téj ojczyznie wyświadczyć życzliwości. Któż nie przyzna J. K. Mści około dobra pospolitego pieczołowania? Widząc jak niewymówny mimo się puściwszy żal, znacznéj z uszczerbkiem zdrowia swego nie uważając fatygi i niewczasów, szczególną przed oczami mając pieczołowitość dobra powszechnego, Sejm piąty po rozerwanych czterech, stanom Rzeczypospolitéj składa, chcąc żeby na pewnym umieścić Rzeczpospolitą fundamencie, i przez wczesne narady, jako najpierwszą zagrożonéj niebezpieczeństwem ojczyznie, opatrywać obronę. Co że z dobrotliwéj J. K. Mści P. N. Miłościwego spływa łaski, zlecamy to Jch Mściom PP. Posłom naszym, żeby najprzód szczerą naszą poddańską, poniesionego żalu i fatygi J. K. Mści P. N. Miłościwego opowiedziawszy kondolencją, a fortunnego w długie lata J. K. Mści powinszowawszy panowania, powinne, imieniem całego koła naszego za ojcowskie, dobre téj ojczyzny pieczołowanie, uczynili dzięki.

1. A że przez częste, a nie na żadnym prawym zasadzające się fundamencie kontradykcje, Sejmy się rozrywają, co że jest z największą Rzeczypospolitéj szkodą, dla tego zlecamy to Jch Mściom Panom Posłom naszym, żeby przedewszystkiém wynaleźli sposób odbywania sejmów, pewném prawem ograniczywszy, żebyśmy nakoniec kiedykolwiek szczęśliwie skończonych mogli się doczekać konsultacij.

2. Potém mają upraszać PP. Posłowie nasi Króla JMści, aby traktat Łęgoński, który najgruntowniejszym jest domowego uspokojenia fundamentem, zaraz po odbyciu głosów JMść Senatorów, był approbowany, o ile by się jednak izbie poselskiéj wszystkie zdały kondycje.

3. A że w takiém Rzeczypospolitéj położeniu nic potrzebniejszego być nie widzimy, nad ukontentowanie wojska, które wierząc Rzeczypospolitéj, w borgowéj służbie tak wiele u Rzeczypospolitéj

pretenduje sobie zasług, którym że Rzeczpospolita (a zwłaszcza Województwo nasze) dla widzialnego spustoszenia ordynaryjnemi podatkami wystarczyć nie może, Jch Mść Panowie te podadzą sposoby:

4. Najprzód, aby Jch Mość Panowie Pułkownicy, Rotmistrze, Obersztérowie, Obersztérlejtnanci, Kapitani, Porucznicy towarzystwa i insi officerowie, którzy mają dobra Królewskie po likwidacjéj Skarbu uczynionéj, jak wiele mają u Rzeczypospolitéj zasług, do pewnego czasu poczekali. A ta summa dla lepszéj pewności zapłacenia, żeby im na tychże dobrach assekurowana była.

5. Drugi sposób na zaciągnienie pieniędzy, na tak nagłą Rzeczypospolitéj potrzebę, podadzą Panowie Posłowie, żeby klejnoty koronne, za wiadomością jednak Izby poselskiéj zregestrowane, do pewnego czasu zastawić.

6. Prosić będą Jch Mść PP. Posłowie nasi Jch Mściów Księżéj Biskupów, Opatów, Proboszczów, żeby pokazawszy się synami téj ojczyznie, na któréj łonie urodzeni, wychowani i znacznemi ozdobieni są godnościami, gdy naostatek całéj Rzeczypospolitéj na zgubę się zanosi, raczyli dobrowolną wyświadczyć pomoc; a ponieważ téż intraty swe nie zkądinąd, tylko od Rzeczypospolitéj mają, żeby ich dla téjże nie żałowali.

7. Ci kupcy co różne towary, likwory i inne rzeczy dla zysku do Polski przywożą, także cła, donatywy kupieckie, pogłówne żydowskie, i inne podatki na korzyść Rzeczypospolitéj obracane, aby we dwójnasób płacone były, ponieważ téż wszystkich rzeczy ceny w codziennym są wzroście.

8. Nie mniéj i ten sposób zda się nam być potrzebny, lubo to z ciężkim każdemu synowi ojczyzny wspominać przychodzi żalem, żeby po tych żołnierzach, którzy w różnych przedtém okazjach, dobrze wyprobowaną ojczyznie reprezentowawszy cnotę, na domowéj, żal się Boże, pod Mątwami poginęli wojnie, Panowie officerowie zasług nie brali, ale aby je obrócono na korzyść Rzeczypospolitéj, a zwłaszcza po plebejuszach.

9. I o to się téż mają usilnie domówić Jch Mść Panowie Posłowie, żeby te pieniądze, które zostały po zawarciu mennicy, wszystkie wrócone były na zapłatę wojska.

10. Zawsze to zwyczaj, że godny proceder godną, a zły złą zwykł się nagradzać zapłatą. Że tedy jest wiele chorągwi takich, które za ordynansem JMści Pana Wojewody Krakowskiego nie poszły pod P. Machowskiego regiment, słuszna rzecz, żeby od zasług

swoich odsądzeni byli. Bo gdyby nie w tak małéj liczbie to wojsko było, mogłaby była nie paść na te tam chorągwie taka klęska.

11. A że w nagłéj potrzebie różnych szukać należy sposobów, i luboby się nam nie mniéj potrzebny widział, żeby imieniem Rzeczypospolitéj wziąć pieniędzy u różnych osób, za róznemi assekuracjami. I inne sposoby, któreby się najsnadniejsze zdały, podadzą Jch Mść PP. Posłowie.

12. Długi Królestwa Jch Mściów, aby w pamięci zostawały, znosić się będą z całą izbą poselską Jch Mść PP. Posłowie.

13. Co strony artylerje, starać się będą Jch Mść PP. Posłowie, aby sumpt na nie obmyślony zostawał.

14. A lubo wiemy że Księciu JMści Brandeburskiemu nowe cła na zapłatę jego długu obmyślone były, przecie jednak Jch Mść Panowie Posłowie wziąwszy słuszną liczbę i sprawę, o ile czego potrzeba dołożyć, nie zaniechają.

15. Nie masz nic słuszniejszego, jako Księciu JMści Kurlandzkiemu powinne oddać dzięki, że tak długo czekał. A ponieważ Piltyn zdawna należy do inkorporacjéj Księstwa Kurlandzkiego, zabiegając tego, abyśmy do takich niedogodności nie przyszli, jako z Prusami, starać się będą Jch Mść PP. Posłowie, aby Ks. Jmść Kurlandzki, któremu to sprawiedliwie należy, z zachowaniem wszakże praw J. K. Mści, jako najwyższego i bezpośredniego Pana, tudzież ostatecznego sędziego.

16. Taki się między nami nie znajdzie, ktoby widząc Jch Mściów PP. Obywatelów Inflantskich braci naszych, wiarę, cnotę i majętności wniwecz obrócenie i zabranie, ktoby nie miał za to im oddać powinnych dzięk; i nie tylko byśmy mieli być przeciwnemi, aby affektacjéj onych że dosyć się stało, najusilniéj starać się będą Jch Mść PP. Posłowie nasi, zniosłszy się z Posłami Jch Mościami.

17. Przychylając się do recessu r. 1652, im daléj rzetelność Rzeczypospolitéj utwierdzając u kredytorów, poruczamy Jch Mściom PP. Posłom naszym, aby Jch Mściom Ponom Orsztetyn, albo ilość wypadająca, tak kapitalna, jako i procentowa oddana była, albo się im téż takowa jako rzeczy opieka assekuracja stała.

18. Mennica, która już zawarta była, że znowu bez konsensu Rzeczypospolitéj otworzona, pracować będą Jch Mść PP. Posłowie żeby wnet zawarta była i steple popsowane.

19. Sądy Boratyńskiego, także i Tynfa, popierać będą Jch Mść

PP. Posłowie, o co się cała Rzeczpospolita na przeszłych sejmach domawiała.

20. Panowie Administratorowie cła nowego, także akcyzy dadzą liczbę swoich ekspensów, i także żeby byli sądzeni.

21. Że wielką szkodę Stany Rzeczypospolitéj ponoszą przez nieznośną drogość tak materjéj, sukien jako i inszych rzeczy, upraszać Jch Mść PP. Posłowie będą J. K. Mści, aby ceny na towary postanowione były.

22. W témże PP. Posłowie pracować będą, żeby summa, którą mamy na Kommissjéj dekretem naznaczoną i likwidowaną w skarbie, oddana była.

23. Nalegać mają Jch Mść PP. Posłowie, żeby ci sprawcy fałszywéj monety wyliczyli się, gdzie tak wielką summę podzieli, którą wykowali na tynfy z dobréj monety; ponieważ z jednego talara i 8 wybito tynfów, a sami toż Panowie Poborcy świadczą, że w dobréj monecie do skarbu oddawali.

24. Soli powiatowéj żeśmy dawno nie brali, upraszać będą Króla JMści PP. Posłowie, żeby nam dana była.

25. Nastawać zechcą przytém Jch Mść PP. Posłowie, żeby Posłów i rezydentów cudzoziemskich, którzy się u nas tak bardzo umieszkali, wnet relegować.

26. Posłów prywatnych bez zezwolenia stanów żeby do postronnych narodów nie posyłać, domówić się mają PP. Posłowie.

27. A że przez ustawiczne przechody, stanowiska i obozy wojsk tak J. K. Mści, jako w związku zostających, nad wszystkie inne najbardziéj nasze zrujnowane jest Województwo, upraszać będą Posłowie nasi, aby podatki do pomyślniejszych czasów odłożone nam były.

28. Ponieważ że przez nieobecność Jch Mściów PP. Hetmanów w wojsku zwykł wzrastać nieporządek, a przez nierząd zaś znaczne z uszczerbkiem Rzeczypospolitéj następują klęski, starać się będą Jch Mść PP. Posłowie, żeby Jch Mść PP. Hetmani, albo przynajmniéj jeden zawsze był obecny w wojsku, dla lepszego porządku i zwykłéj karności.

29. Panowie Pułkownicy, Rotmistrze, i insi officerowie, aby się od pułków i chorągwi swoich, bez prawnéj przeszkody nie abscatowali, pod zatraceniem zasług, domówią Jch Mść PP. Posłowie, aby tak koniecznie było, bo jeżeli nam Jch Mść o zasługi takie czynią ciężkości, niechże też i sami przestrzegają co do nich nale-

ży; także i towarzystwo, którzyby okazjéj omieszkali. A tak możemy w pełnéj liczbie i zawsze okryte mieć chorągwie.

30. W wojsku cudzoziemskiém, aby ślachta rodowita i insi officerami byli, mają się usilnie domawiać PP. Posłowie.

31. Prośby i żądania Jch Mściów braci, w dawnych instrukcjach będące, jeżeli czas zniesie, mają promowować Jch Mść PP. Posłowie, aby swój skutek wziąć mogły. Więc za JMścią Ks. Biskupem Chełmińskim, Podkanclerzym Koronnym, który lubo z urzędu znakomitéj swojéj godności i wysokich zasług swoich w Rzeczypospolitéj zasługuje na łaskę J. K. Mści, jednak i my (okazać) życząc należną wdzięczność, zlecamy Jch Mść PP. Posłom naszym, aby za wstawieniem się Stanów drugiego opactwa, skoro zawakuje prowizją..... za zgodą całéj Rzeczypospolitéj, bez przeszkody prawa o nieposiadaniu kilku urzędów lub majętności rządowych razem, co do osoby...... Jmść ukontentowany zostawał *).

32. Tudzież za JMścią P. Aleksandrem Załuskim, Podkomorzym Rawskim, aby JMść za wsi i dobra, to jest, Pawłowo, Szapoli, Borodyno, Putosze, Czerncowo, Radzynowo, Piotrowo, Holemszczowe w Województwie Smoleńskiém leżące, prawu lennemu podległe, a przez J. K. Mść po bezpotomném zejściu św. pamięci JMści Pana Stanisława Kazanowskiego, Krasińskiego i Przedborskiego starosty JMści Panu Podkomorzemu konferowane, a teraz przez Moskwicina zawojowane i posiadłe, stosowna nagroda uczyniona była.

33. Miasto Rawa, przez kilkakroć stojące obozy, zrujnowane i wniwecz obrócone, żeby od podatków i ciężarów innych liberowane było, staraniem będzie Jch Mść PP. Posłów naszych.

34. Żądanie JMści Ks. Plebana Budziszowskiego, tylekroć na sejmikach naszych wniesione, i w przeszłe włożone instrukcje, to jest o uwolnienie łanu jednego na szpital zakupionego w Budziszowicach w dzierżawie JMści Pana Piotra Śladkowskiego Chorążego Rawskiego; żeby mógł ten łan używać swobód kościelnych, popierać zechcą Jch Mść PP. Posłowie.

Zlecamy tedy Jch Mściom PP. Posłom, wiarą, czcią i sumieniem onychże obligując, aby upatrując dobro ojczyzny, to traktowali, coby nie na pognębienie swobód onéjże, ale raczéj na pod-

*) Miejsca uszkodzone w oryginale, lub których przeczytać nie można, oznaczamy kropkami.

niesienie być mogło, i we wszystkiém z inszemi żeby się znosili województwami. Dan w Rawie, w kole rycerskiém, dnia 7 Lutego, R. P. 1667.

Jan Chryzostom z Gosławic Pasek Komornik Ziemski Rawski, Marszałek koła Rycerskiego."

Na kilka niedziel przed tym sejmikiem dali mi byli to komornikowstwo, któregom lubo ja nie akceptował, ale to we mnie wmówili wojewoda z wice-instygatorem koronnym, powiadając że to jest wstęp do wyższych honorów, które mi w województwie obiecywali z przyrzeczeniem uroczystém, byłem tylko nie oddalał się od nich, powtóre, że dla samego głosu na sejmiku, żeby się go prędzéj doczekać, niżeli ci, co bez urzędu są, bo oni mię chcieli bardzo dźwigać promocjami, takie swoje życzliwe przeciwko mnie powiadając chęci: że u nas urośniesz do trzech lat najdaléj. Posyłali mię w poselstwie do króla, do arcybiskupa, do biskupa kujawskiego, co zawsze było z dobrą reputacją i jużby mię byli do większych rzeczy zażywali. Chciał mię tedy wojewoda żenić z Radoszewską, a Śladkowski zaś, chorąży natenczas rawski, potém kasztelan sochaczewski, gwałtem mię ciągnął do panny Śladkowskiéj, dziedziczki i jedynaczki, która miała wieś, Bożawolą nazwaną, w ziemi sochaczewskiéj, bez najmniejszego długu, za którą wieś dał był ojciec jéj 70,000 wtenczas, kiedy czerwone złote były po złotych 6, talary po 3. Obadwaj zatém psowali mi do owych konkurencij fantazją. Śladkowski powiadał na tamtę, „że miała matkę swawolną występnicę, więc i sama taką być może;" wojewoda zaś powiadał na Śladkowską temi słowy: „Cóżto, że ma siedmdziesiąt tysięcy, kiedy sama panna ma niektóre wady, a osobliwie, zła jako jaszczurka, i bez mała nie podpija, a tobie trzeba upatrywać, żeby była z dobremi obyczajami; żalby się Boże ciebie tam! A to tak, jeżlić się Radoszewska nie podoba, jeszcze ja z tobą rozmaicie o tém pomówię, a żenić ci się z Śladkowską nie dam." Jam tych rzeczy słuchał właśnie tak, jak kiedy owo na dwa chóry muzyka gra, i ta pięknie, i ta pięknie, bardziéj mi się jednak serce chwytało Śladkowskiéj, boto tam o jéj wiosce powiadali, że nietylko pszenica, ale i cybula w polu na każdym zagonie, gdzie ją wsiejesz, urodzi się, a mnie też bardziéj apetyt pociągał do tłustéj roli, niżeli do gołych pieniędzy. Już mię natenczas obadwa z oka nie spuścili; jak mię więc zachwycili, musiałem i po trzy i

cztery niedziele mieszkać u nich. Jeżelim też do rodziców przyjechał, to zaraz był poseł od tego, u którego dawniéj byłem, publiczki żadnéj bezemnie nie odprawiali. Wojewoda wydawał córkę do klasztoru w Warszawie do Bernardynek, mnie zaciągnął, żebym ją oddawał do zakonnego ślubu w obecności wielu ludzi godnych, jako to w Warszawie; znowu wydawał drugą za Grzybowskiego, starościca warszawskiego, i tam ja musiałem być po weselach i przenosinach, bo prawie mię już miał za swego.

Podczas ostatków zapustnych wydawał pan Jan Potrykowski pasierbicę swoje za pana Macieja Potrykowskiego w Glinniku. Pan młody, że mi był krewny, prosił mię więc, abym mu drużbił. Pojechałem tedy na owo wesele, a o tém nie wiedziałem, że ludzie mnie samemu wesele gotowali, a to takim sposobem: Pan Śladkowski, teraźniejszy kasztelan ziemi sochaczewskiéj, nie mówiąc zemną nic o tém, sprowadza do siebie na ostatki pannę z matką i ojczymem, panem Wilkowskim; mnie tylko po prostu prosił, ażebym z nim zapust zakończył, o bytności panny i o swojéj intencji nic mi nie powiadając. Ja prawda, żem się obiecał uczynić jego wolą, i musiałem przyzwolić na to, myśląc sobie, że zaś potém przeproszę Śladkowskiego o niedotrzymanie słowa. Pojechałem więc z nimi do Ossowa, a stamtąd na wesele. Pan Śladkowski, o tém nic nie wiedząc, spodziewał się, że będę. Posyła umyślnie do Glinnika z listem, prosząc mię, żebym przyjechał, a, po staremu, nie pisze o swojéj intencji, że zaraz chce przyspieszyć mój ślub, że z matką już postanowił, i że ksiądz jest, co bez zapowiedzi miał dać ślub. Żadnym sposobem moi bracia Chociwscy nie dali słowa na to rzec, deklarując: „Choćbyś się na nas porywał, to cię dziś nie puścimy, bośmy ciebie bliżsi, ale jutro pojedziesz, a dzisiejszy dzień daruj nam.“ Nie mogło tedy być tylko tak, bo i konie i wszystko pochowano, a tu poseł za posłem bieży, że i dzień zszedł. Samym wieczorem przyszedł list od saméj pani Myszkowskiéj z domu do mnie, gdzie mi wypisuje samę rzecz szczerze i oznajmuje: „że mężowi na mnie gniewno, gdyż taką miał intencją, żeby cię w wstępną środę panem młodym nazywano, a teraz żałośny, że jego affektem gardzisz.“ On list pierwéj Chociwscy przejęli i odebrali, a obaczywszy białogłowski charakter, tém bardziéj chcieli się dowiedzieć jakiéj skrytości i odpieczętowali go, a przeczytawszy, rzecze Florjan Chociwski: „A już go też teraz nie utrzymamy, ba, po prostu i zatrzymywać się nie godzi w takich rzeczach, zaledwie i sam z nim nie pojadę, bo to chodzi o przyjaźni zachowanie.“

Takto u mnie fortuna jakaś była chwytliwa, gorąca, że się temu i ludzie dziwili, a, po staremu, postanowienie nie mogło być ani lepsze, ani gorsze, jeno takie, jak Pan Bóg chciał. Nazajutrz, podziękowawszy wszystkim, już było popołudniu, skoczyłem ja tedy wielką rysią, a czasem i na cwał, widząc, że wieczór. Nie ujechałem i pół mili, a tu począł się kurzyć śnieg i potém się zmierzchło. Przyjechałem tedy, zsiądę z konia, aż już rybną wieczerzę noszą i już świta; drudzy goście spali i pannin ojczym, pan Wilkowski. Obaczą mnie oboje, gniewliwi; ja powiadam: „Ta jest przyczyna, żeście mi w pierwszym liście nie wypisali szczérze, ostatni téż list przejęto i nie oddano, aż już gdym wyjechał ze wsi.“ Dopiero trochę ochłodli, bo zaraz uznali, żem to nie uczynił na żadną wzgardę; miałem téż z sobą gębę i konceptów podostatkiem, któremi ich ukontentowałem, i mówię: „Moje zacne państwo! łaska, któraście mi mieli dziś wyświadczyć, przygodzi mi się i jutro; wszakto nie nowalia i w wstępną środę wesele, a zwłaszcza kiedy mamy prałata nieskrupulata, który i biskupa się nie boi.“ Już była poczęła przypadać na to pani kasztelanowa, ba natenczas jeszcze chorążyna, ale sam deklarował, że to teraz być nie może i odłożyć to trzeba do Maja. Jakci odesłano do Maju, to się rozchwiało po gaju, bo snać, że tego Pan Bóg nie chciał, jak to zaś i sama dama wymówiła na pewném weselu: „Że lubo była wola Boża, a przecie nie było woli Bożéj.“ Skoro tedy przyszedł Maj, pan Śladkowski był posłem w Warszawie; matka téż pannie umarła, i tak się owa impreza zwlekła. „Człowiek proponuje, Bóg dysponuje.“

Lubomirski potém umarł, hetman Potocki umarł, kommissja lwowska nastąpiła, a tymczasem, że owa impreza poszła w odwłokę, pan Jędrzéj Remiszowski, mając za sobą Paskównę, siostrę moję stryjeczną, począł mi raić (jako zwyczajnie swój swemu), rodzoną swoję, Remiszowską, z domu Stanisława Remiszowskiego córkę, i namawiał mię, żeby jechać w krakowskie, a potém dopiero, jeźli się będzie zdała ta okazja, o dalszych terminach radzić. Miałem to tedy na pamięci, a tymczasem skończyła się lwowska kommissja. Namówił mię, żeśmy pojechali w krakowskie. Pojechał pan Remiszowski do Olszówki, pod Wodzisłow, do siostry swojéj, ja zaś do wuja mego, pana Wojciecha Chociwskiego; stamtąd wziąwszy z sobą wuja i syna jego, umyśliłem sobie: „Nie damy za to nic, choć téj wdowie przypatrzymy się; wszak mam inną okazją gotową, jeżeli się ta nie będzie zdała, bo panny Śladkowskiéj pewnie przedemną nikt nie weźmie.“ Przyjechaliśmy do Olszówki

w sam dzień Najświęt. Panny Maryi, zażywszy nabożeństwa u obrazu cudownego Najświętszéj Panny. Przybyliśmy zaś bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w zaloty, aleć uznawszy szczérą inklinacją, i strona gospodarza poczęła się przymawiać o muzykę, posłałem dopiero po muzykantów do Wodzisławia, których wnet przyprowadzono. Dopieroż w taniec. Pyta mię wuj: „A cóż, podobała ci się ta wdowa?“ Odpowiedziałem: „Bardzo mi się jéj serce chwyciło; gdyby można mówić z nią dziś i wyrozumieć, jakim mi jest przyjacielem.“ Odpowie wuj: „Mówić z nią dziś nie jest moda, boto pierwszy dzień, ale co o przyjaźń, już ja zrozumiałem, że ci jest przyjacielem, bo ja białogłowę zaraz zrozumiem, kogo upodoba, choćby do niego i słowa nie mówiła; możesz tu nie powątpiewać w téj okazji, jeżelić się samemu podoba; pewnie cię widzę nie minie; jakoż i gardzić nie masz czém, białogłowa poczciwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki; te wioski, coto trzyma, prawda, że to jest arenda, ale ona ma pieniądze i na Smogorzowie dożywocie. Luboć to tam uwięzili w rękach rodzonego dziecinnego stryja, u pana Jana Łąckiego człowieka z głową niespokojną, ale ja o ciebie się nie frasuję, będziesz umiał z nim postąpić. Ponieważ ci tu Pan Bóg skłonił serce, w tém jest święta wola jego, a jutro, da Pan Bóg traktować o tém będę.“ Po tych rozmowach poszedłem z nią do tańca, a przetańczywszy, usiadłem obok niéj; już mi się téż i podobała, a że to z młodu była gładka, mnie się téż i natenczas jeszcze widziała młoda, i nigdybym nie rzekł, żeby miała 46 lat, czegom potém doszedł, gdym się z nią ożenił, a ja wnosiłem, że nie ma nad 30 lat; druga racja cieszyła mię, żem widział córeczkę ostatnią, Marysię, we dwóch latach, i miałem nadzieję, że téż jeszcze i dla mnie da Pan Bóg jakie chłopczysko, jakoż byłoby i było, gdyby nie ludzka złość, bo była wieść, że jéj coś uczyniono, aby więcéj nie miała potomstwa; znaleźliśmy nawet w łóżku różne rzeczy, i ja sam znalazłem kilka spruchniałych sztuk z trumny. Z mego własnego doświadczenia daję każdemu napomnienie, kto to czytać będzie, że gdy się z wdową ożeni, przedewszystkiém starać się o to powinien, aby żadnéj białogłowy, krewnéj dziecinnéj, nie trzymać przy sobie, i owszem zaraz to z domu wyposażyć, bo u nas tego pełno było, i to nas téż zdradziło. Ale temu dawszy pokój, bo się to już raz na Pana Boga spuściło, wracam się do owego z wdową komplementu. Mówię do niéj te słowa: „Moja mościa pani! Damie w domu waćpani prezentuję się komplementem, ale tylko za rekwizycją jmća pna

rodzonego waćpani wstąpiłem na czas krótki ukłonić się waćpani, aleć tak mi się tu upodobała pasza, żebym za jednę strawę przyjął służbę do gód, a za dobrém ukontentowaniem i na dalsze nie wymówiłbym się czasy. Jeżeliby na cokolwiek przygodziła się usługa moja waćpani, sam się dobrowolnie z tą odzywam ochotą. Bo krwawemi Marsa nasyciwszy się zabawami, już téż potrzebniejszą ku starości radbym znalazł szarżę, tojest, chciałbym się uczyć ekonomiki przy dobréj jakiéj gospodyni, przystawszy za parobka, albo, jako tu zowią, poganiacza. Wielmożna, moja wielce mościa pani! jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych, a ja w kompucie życzliwych zmieścić się mogę, i jeżeli moją do twojéj usługi ochotą gardzić lub akceptować będziesz, racz się namyślić; o zasługi zaś w żadną nie wchodzę kontrowersją, aż wprzód od wmm. paniéj usłyszę jaką ta moja do przysługi waćpani opowiedziana ochota przyjęta będzie wdzięcznością?“ Odpowiada mi tedy tak: „Mój mości panie! prawdaćto, że tu u nas w tym kraju sług od gód tylko przyjmują, a kto zaś po Ś. Janie służbę obejmuje, już ten zasług nie może wziąć zupełnych, tylko co dyskrecja każe, ale to ma się rozumieć o podlejszych tylko sługach. Poważniejszy zaś sługa, kiedy przystaje, już się z nim nie jednamy do gód, ale do tego czasu, o którym przystaje; ja jednak z waćpanem w kontrakt ten wdawać się nie chcę, wiedząc że waćpan, jako człowiek rycerski, wielkim nauczyłeś się żyć żołdem. Ja zaś, uboga ślachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę. Ale tak, radabym ja wiedziała waćpana wolę, czémbyś się kontentował, a ja zaś obaczywszy, jeżeli temu wystarczyć będę mogła, deklaruję waćpanu i jutra nie czekając.“ Ja znowu mówię: „Moja mościa pani! wielka mię tu od waćpani potkała przymówka, ale nie tylko mnie, ale i cały stan rycerski, kiedy waćpani mizerny żołd nasz, za który trzeba krwi i życia każdéj godziny nie żałować, tojest czterdzieści, a najwięcéj sześćdziesiąt złotych, wielkim mianować raczysz żołdem, to waćpani racz téż wiedzieć, że gdyby żołnierze z tego kontenci byli żołdu, każdy, i ja sam, do zgrzybiałéj starości pewnieby go nie odstępował, ale ponieważ tamtę rzucam, dla teraźniejszéj szarże, i waćpani życzliwe ofiaruję usługi, to snać, że pożądanego spodziewam się żołdu, o który z waćpanią w targ wchodzić nie chcę, ale spuszczam się na respekt i tę, o któréj nie powątpiewam, dyskrecją, czekając łaskawéj od waćpani deklaracji.“ Odpowie ona: „Mój mości panie! dyćto każdy, i waćpan sam podobno tak czynisz, że kiedy sługę przyjmujesz, sam z nim wręcz mówisz opo-

wiadasz mu przyszłej jego zasługi powinności i kondycje, żeby wiedział, jak panu służyć i jakiéj się téż za swoje usługi spodziewać ma wdzięczności. Podobno to więc i mnie ujdzie, gdy sama przez się rozmówię się o tém z waćpanem, oraz i deklaruję, że jeżeli waćpan tego sobie życzysz, to i dziś jeszcze, albo téż, dla większéj powagi, to już do jutra." Na co ja znowu mówię tak: „Nie damską, ale kawalerską przyznać waćpani w tém muszę uwagę i rozsądek, kiedy waćpani tę obserwujesz rzetelność, którą i moja zawsze rada widzi fantazja, żeby w każdym terminie dobrze umyśloną, prędkiém słowem deklarować intencją; a to druga, że wdzięczniejsza jest zawsze z ust pańskich, niżeli przez kanclerzów, awizacja, któréj ja, jakakolwiek mię spotka, jako pożądanego od Boga wyglądam musztułuku; jeżeli pocieszna, podziękuję; jeżeli przeciwna, za złe mieć nie będę, bo snać, że niebieska ordynacja nie inaczéj każe." Na to mówi: „Zdobić to nikogo nie może, kto szczérą przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym mieć w tém sumienia skrupuł, gdybym widząc waćpana affekt szczéry, nie miała go podobnym oddać affektem. Jeżeli więc w tém dobrego sługi stateczna jest wola i umysł, znajdzie tu pana i miejsce; zasługi zaś, że są na dyskrecją dane, dla tego téż osobliwego spodziewać się mogą respektu." Dopiero ja podziękowałem. Wypisywać, co się przy affektach mówiło, siłaby było. A potém miałem wyrostka, Dzięgielowskiego, co grał na skrzypcach i śpiewał ładnie; kazałem mu zaśpiewać:

„Niech komu nadzieja ściele
„Różnych fortun na myśl wiele,
„Ja już będę tryumfował,
„Kiedym szczęśliwie stargował."

Domyślili się po téj pieśni, co się dzieje. Przyszedł do nas brat jéj rodzony i mówi: „A siostrzyczko, godziłoż się to, nie radząc się nas? ale dobrze i tak, chwała Bogu!" Owa się omawia, „że wtém nic nie masz i że tylko pieśń śpiewają takiego textu," lecz oni gwałtem wmawiają: „Jużeś deklarowała," i piją za zdrowie vivat, a gdy obaczyli jéj pierścień u mnie na palcu, tém barzdziéj poczęli tańczyć, popijać, jak to w takim razie bywać zwykło. Już tedy bez wszelkiéj ceremonji poczęliśmy z sobą mówić o czasie ślubu; ona powiedziała: „Choćby i jutro, gdyby nie piątek." Ja jednak podziękowawszy za deklaracją skutku prędkiego, mó-

wię: „Moja mościa pani! ja mam rodziców, bez których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę, bo takie od nich mam przykazanie. Z łaski waćpani dosyć mi się stało, kiedy mam słowo, którego, rozumiem, że mi waćpani dotrzymać raczysz; ja téż pewno nie myślę być niestatkiem, a w ostatku, niech to słowo będzie na papierze; ja za dwie niedziele drogę tę objadę, wolę rodziców uczyniwszy, krewnych téż tu cokolwiek z sobą sprowadziwszy, będę kłaniał waćpani i o effekt danego słowa prosił." Ta rzekła: „Żadnym sposobem to być nie może, ale zaraz niech będzie, jeżeli co ma być." Już téż i pan brat Jerzy przystąpił do téj rady i namawia, prosi, żeby nie odwłóczyć, obiecując wielkie uczynności i zapisy. Jak mi więc oboje poczęli głowę suszyć (brat z siostrą), mówiąc: „Jeno koniecznie, żeby to w niedzielę było; daléj nie odwłóczyć; pobłogosławią tobie rodzice i potém, a jeszcze to będzie ważniejsze, kiedy obojgu błogosławić będą." Już mi téż i żal było owéj kobiety, widząc jéj wielki affekt, i mówię: „Życzysz więc waćpani żeby tak było?" Odpowiada: „Życzę, Bóg widzi, bo ani wiem, czemu mi Bóg do ciebie skłonił serce." Dopiero deklarowałem: „Niechże tak będzie, jak jest wola Boska i wasza." W niedzielę piszę list do pana Śladkowskiego, prosząc na wesele, oraz i o muzykę, a tymczasem pojechaliśmy do kościoła do Mironic. Jak tam przyjechał mój Orłowski, poszedł zaraz Śladkowski do żony, która jeszcze leżała i powiada jéj to; ta porwała się z łóżka i wpadła do izby w koszuli, pytając Orłowskiego: „Cóżto tam Orłowski, robicie w Olszówce? sento pewnie jakiś powiadasz, ja temu nie wierzę." Orłowski powiada: „Nie sen mościa pani, bo tam już do tego czasu, nie wiem, jeżeli do ślubu nie jechali." Ona to słysząc, woła: „Mężu! co prędzéj pisz list, a ty Orłowski bież co tchu do pana i proś, żeby się zatrzymał, aż my przyjedziemy; gdyby mi szyję stracić, to z tego nic nie będzie." Pobieżał Orłowski, list wziąwszy, a tu rozruch: „Zaprzęgajcie, ubieraj się." Przybiega Orłowski. Już nas zastał w kościele. Przeczytałem list. Sama zaś kasztelanowa na końcu listu przypisała: „Przez miłość Boską proszę cię i zaklinam, zatrzymajże się z ślubem aż do mego przyjazdu; będzieto z twojém lepszém." Oddałem się więc Panu Bogu, prosząc: „Boże mój, w Trójcy świętéj jedyny! proszę cię, Stwórcę swojego, jeżeli jest z twoją przenajświętszą wolą to moje przyszłe postanowienie, racz łaską ducha swego przenajświętszego natchnąć serce moje, czy czekać czy nie czekać." Skończyła się msza: mówię tedy do przyszłéj mojéj żony: „Mościa pani! cóż tu czynić,

czekać czyli nie?“ Rzecze: „Dla Boga, nie czekać, bo oni nam zatrudnią rzeczy.“ Poszliśmy więc do ołtarza, zagrano Veni Creator, wzięliśmy ślub. Idziemy już od ołtarza, aż tu wali się we drzwi pana Śladkowskiego kapella, mówiąc: „A my do usług wmmć. pana.“ Ja rzekę: „Jużeście się spóźnili do ołtarza, ale u stołu nam to nagrodzicie.“

Pojechaliśmy z gośćmi do domu, aż też dopiero jadą owi państwo Śladkowscy, a stanąwszy, nuż się srodze na mię gniewać i zarzucać mi: „A takto miało być, a takieto słowo ślacheckie; przynajmniéj nas było z ślubem poczekać.“ Ja im się omawiam, że już list przyszedł po ślubie i pierwszy i teraźniejszy; darmo. Odpowiadają: „Czemuś do nas nie wstąpił, jadąc tu,“ i na nowo w gniew. Sam pan kasztelan jednak nie uważał już na to, a podpiwszy sobie, był wesół, i żonie też swojéj mówił: „Jużto temu dać pokój; snać, że to wola Boska; niech mu Bóg błogosławi!“ Ale ona gniewała się, jeść nie chciała, przymawiała i w taniec nie poszła, aż nazajutrz; a my, po staremu, byliśmy weseli, i tak się musiało stać, jak się Bogu podobało, nie jako ludziom, za co niech mu będzie wieczna cześć i chwała! a pewnobym był kontent z tego ożenienia, gdyby mi tylko Pan Bóg dał chłopca jednego z nią, ale i tego nie ma i kłopoty wielkie ogarnęły mię dla jéj dziecinnych interessów (o czém będzie niżéj). Zastałem w Olszówce urodzaje srogie wszelakich zbóż, ale cóż, kiedy zbyteczna była taniość, aręda wychodziła, trudno było zatrzymać w gumnach, korzec zboża za nic, zgoła, trwoniło się tylko zboże. W tydzień po weselu jedzie pan Komorowski, podstarości nowomiejski, po ostatnią deklaracją do mojéj pani, a prawie już i na wesele, i stanął z przyjaciółmi w Wodzisławiu, aż tu go żyd, faktor jego, pyta: „Mości panie! każesz waść mięsa kupić na obiad?“ Odpowiada: „Nie każę, bo ja w Olszówce będę na obiedzie.“ Żyd rzekł: „Jabym zaś życzył tu kazać jeść gotować, bo tam waść nie będziesz wdzięcznym gościem.“ Komorowski: „Czemu?“ Żyd: „Temu, że tam już teraz kto inny gospodarzem, bo już temu tydzień, jak za mąż poszła.“ Dopiero się Komorowski uchwycił za głowę, i takci tam najadłszy się i przenocowawszy, nazajutrz się rozjechali. Potém zaś sobie poodsyłali owe znaki przyjaźni, pierścienie; tylko jednéj poduszki nie chciał oddać. Jakeśmy się późniéj poznali, winszował mi: „Że ci się to dostało, co się mnie było podobało, ale też za to poduszki nie wrócę, kiedy się tobie ta głowa dostała, co na niéj sypiała.“ Był mi jednak zawsze dobrym przyjacielem, ożenił

się wkrótce potém, pojął wdowę, panią Brzezińską, ale tak złą kobietę, że się nieszczęśliwym nazywał, i przysiągł księdzem zostać, jeżeliby go z nią Pan Bóg rozłączył, i tak się stało, bo mu prędko umarła, a on został księdzem i umarł.

Był też później pogrzeb królowéj Ludwiki w Krakowie, na który pojechaliśmy z żoną, i zaraz tam poczyniliśmy sobie dożywocie; zapisywać mi chciała w assystencji braci reformacją swoję, alem ja tego nie chciał, mówiąc: „że ja sobie urobię substancją, byle było na czém.“ Dziwili się ludzie temu bardzo, mówiąc, że to pierwszy przykład tych czasów, ażeby kto, wdowę biorąc, miał pogardzać jéj hojnością. Drudzy zaś to chwalili. Widziałem się w Krakowie podczas pogrzebu z wielu krewnymi; ci wszyscy nie kontenci byli z mego ożenienia, a to z téj przyczyny, że to daleko od nich.

Tegoż roku pomarli hetmani Lubomirski i Potocki; tegoż roku była okazja pod Rodawicami, a, po prostu, wojsko nasze z Sobieskim, hetmanem, w oblężeniu było od Kozaków i Tatarów, aleć przecie Pan Bóg naszych wybawił; stanęli potém obozem pod Otyczą i tam odpornie przewlekli tę kampanją; później była kommissja. Na tym pierwszym wstępie panowie Krakowianie poczęli mnie lekce ważyć, nazywając mnie przybyszem. Dopiero tego w łeb, tego w nos, tego po plecach, i takci sobie uczyniłem pokój, bo już mię więcéj nie nazywali przybyszem.

Rok 1668.

Rok ten, daj Boże szczęśliwie, zacząłem tamże w Olszówce, i Miłowczyce z Buglowem skontraktowałem z panem Stanisławem Szembekiem, burgrabią krakowskim, po 4 tysiące na rok, bo nam aręda w Olszówce wychodziła. Zaraz więc od trzech króli wywoziliśmy tam zboża, a objęliśmy, daj Boże szczęśliwie, od środopościa, alem trafił na lata bardzo tanie. Aręda też wyciągniona bardzo, bo i pietruszkę i kapustę, a nawet i jaję kokosze rachowano

na intratę, dla tego musiało się stracić więcéj niż dwa tysiące, a dwa lata tylkom trzymał. Sprawiłem též tam wesele pasierbicy mojéj, pannie Jadwidze Łąckiéj, za Samuela Dembowskiego, siostrzeńca mego, i mieszkali rok przy mnie. Dopiero potém dałem im część posagu. Puścił im rodzic mój Kamień, tamem ich osadził na pierwsze gospodarstwo, a rodziców wziąłem do siebie.

Nastąpił potém sejm, na którym król postanowił złożyć koronę, bo mu ślepy doradzca ustawicznie gryzł głowę, prowadząc go wprawdzie do spokojnego życia w starości swojéj, a w sercu mając to, żeby Francuza wprowadzić na królestwo, na co już i sam król pozwalał tajemnie, i dla tego z królestwa ustępował, ale przecie Rzeczpospolita poczuwała się i starała, żeby z tego nic n[illegible] było. Wiedział ślepy arcybiskup, że podczas abdykacji wszystek rząd w Polsce od niego zależeć będzie, dla tego též nalegał o abdykacją, ażeby tém snadniéj swojéj dopinał imprezy, będąc w Polsce drugim królem, lecz Pan Bóg inaczéj rozporządził.

Perswadowały królowi wszystkie stany, żeby tego nie czynił. Przekładali przed oczy niegodność, przekładali ojczyzny wzgardę, taką, jakiéj od żadnego jeszcze nie poniosła monarchy; przekładali wyrzuty narodów, które nam dotąd nie mogły oka zarzucić, żebyśmy którego z królów swoich mieli albo zabić, albo wygnać z państwa, aleśmy każdego, jakiego nam Pan Bóg dał, tak długo cierpieli, aż go znowu sam do siebie wziął, choć též miewaliśmy niektórych do nieukontentowania. Kiedy już wszystkie życzliwe perswazje miejsca nie miały, wziął głos Ożga, podkomorzy lwowski (blizko którego ja stałem i wszystko dobrze słyszałem). Począł ów starzec białusieńki mówić gorliwie za ojczyzną i majestatem: „Nie czyń, miłościwy królu, téj konfuzji i nam i sobie, naszéj i swojéj własnéj ojczyznie, która cię wychowała i na tym osadziła tronie. Z namiś się w téj ojczyznie urodził, z namiś się wychował i lata przepędził; od nas wolnemi głosami wezwany, abyś nam panował, nie odstępujże nas, itd.“ Było wielu takich, i sam nawet król, co płakali, a naostatek, kiedy już żadne nie miały miejsca perswazje i prośby, rzekł tenże Ożga, jakby tak z affektem: „Nu, miłościwy królu, ponieważ nie chcesz nam być królem, bądźże nam bratem!“ Potém zaś inne były żarty i śmiechy (z owéj jego niby lekkomyślności, że się dał do tego przywieść), różni różnie dyszkurowali, jak go będziemy nazywać? Nie królewicz, bo już był królem, ale niech będzie pan Snopkowski, z przyczyny, że ma snopek w herbie.

Król Kazimierz przyjechał po sejmie do Krakowa, stał w kamienicy pod Krysztofory i już począł żałować tego, co uczynił, ale, nie pokazując jednak po sobie, był wesół, pił i tańczył. Potém wyjechał do Francji; tam zrazu uznał ochotę, ale po obiorze króla Michała jak przyszła wiadomość, że nie tak rzeczy idą, jak Francja sobie obiecywała, zaraz téż stary król poszedł w lekką uwagę, wygoda już nie taka była, jak zrazu, gryzł się, mówiąc: „Na złość mi to Polacy uczynili, że obrali królem chłopca mego,“ i żałował, narzekając na tych, co go do tego przywiedli; wspominał mowy życzliwych doradzców, desperował, i już nie był tak wesołéj fantazji, jak przedtém, i nie długo potém umarł. Otóż masz, miłościwy królu, skutek niecnotliwych doradzców, którzy nie twoje dobro, ale swoje prywatne upatrując interessa, do tego cię z swojemi przyprowadzili radami. Poosadzałeś nimi krzesła, podawałeś im najwyższe urzędy, poczyniłeś ich panami, takich ludzi, u których nie masz sumienia, Boga w sercu, a gdzie Boga nie masz, tam darmo spodziewać się upamiętania. Taki człowiek, póki nie zginie, póty swoich dopina interessów; choć widzi, że grzeszy przeciwko Bogu i prawu, nic to, koloryzuje rzecz swoję i powiada, że to czyni dobrze; powiada, że to jest z korzyścią dla Rzeczypospolitéj; powiada, że interes kraju tak każe. Ale stójcie statystowie! obaczycie, jak tam statysta niebieski cenzuruje i sądzić będzie ziemskie interessa!

Ustały tedy według zwyczaju sądy po całéj Polsce, zaczęły się kaptury, które żałobę Rzeczypospolitéj oznaczają. Twórcy abdykacji cieszą się, mając nadzieję, że już swojéj dopną imprezy. Dyrektor jednooki już jawnie tryumfuje; już koronie francuzkiéj i konkurentowi doskonałą i nieodmienną przez gazety czyni otuchę; widzi, że w rękach jego dyrekcja królewska; pyszni się z tego, że z lichego plebana doczekał się być wice-królem; widzi, że ma po sobie wielu, którzy u tego, co i on, bywają żłobu; i już tak się cieszy, jakby wszystkiego dokazał, a Pan Bóg inaczéj.

Rok 1669.

W Miłowczycach mieszkając, i Smogorzew trzymając, poczęli mię ziemianie posponować, mówiąc, że to przybysz z innego województwa: jedno znosiłem cierpliwie, nie mając okazji do odwetu, a bardziej czasując rzeczy i uważając, że to tak zwyczajnie bywa, gdy kto z innego województwa wnijdzie między obcych; drugie téż, kiedy się do resentymentu podała okazja, refutować nie omieszkałem. Jednego czasu przyjechali do mnie krewni matki żony mojéj, pan Stanisław Szembek, burgrabia krakowski, i pan Żelecki Franciszek; przyprowadzili téż z sobą jakiegoś swego krewnego, wielkiego pijaka. Byłem im rad, ale mi wielce gniewno było na owego Kardowskiego, bo ustawicznie przymawiał Mazurom, jako się ślepo rodzą, jako ciemną gwiazdę mają i t. d. Oni się tém srodze delektowali i przyświadczali mu téż, chcąc mię skonfundować, i na to go téż umyślnie zaciągnęli. Przyniesiono na stół główkę cielęcą, powiedział na nię, że to mazowiecki papież. Obaczył ciasto żółte, kładzione pod cielęcinę, powiedział, że to mazowieckie kommunikanty. Zgoła, wielkie dawał okazje. Ja widząc, że to na mnie te przymówki, mówię mu: „Panie bracie, nie trzebaby ku nocy Mazurów wspominać, żeby się zaś nie przyśnili, a do tego, nie masz ich tu, alem ja jest mazowiecki sąsiad, muszę wści za nich odpowiadać.“ On po staremu, prawił swoje. Po wieczerzy poszedł Szembek w taniec; Żelecki mówi do mnie: „Pójdźwa mu służyć.“ Odpowiem: „Dobrze.“ Tańczymy tedy, aż skoro już wielkiego poczęli tańczyć, ów stojąc na trakcie, począł śpiewać:

„Mazurowie nasi, po jaglanéj kaszy
„Słone wąsy mają, w piwie je maczają;“

i tak owę piosnkę kilka razy powtarza; mnie téż już gniewno się uczyniło; wezmę owego Żeleckiego na ręce, tak jako dzieci noszą, bo chłopek był mały, (goście rozumieli, że ja to czynię z kochania), i idę z nim, a pomijając Kardowskiego, śpiewającego tę piosnkę, uderzę go w piersi Żeleckim; ten padł w znak, a że był chłop srogi jako dąb, dosiągł jakoś ławy głową, uderzył się w tył i zemdlał; Żelecki téż, bom nim o drugiego ze wszystkiéj siły uderzył, nie mógł wstać.

Potém do szabel. Było ich tylko kilku czeladzi w izbie, wróciłem się do Szembeka; przyłożę mu szablę do tłustego brzucha, ten woła: „Stój! com ci winien?“ a owi dwaj na ziemi leżą; dopiero mówię: „Bodaj was zabito! czy na toście przyjechali, żebyście mię znieważali? już mi to przez tego pijaka cały dzień pod nos kurzycie, a ja cierpiałem; dłużéj też znieść tego nie mogę.“ Skoczyły kobiety i wołają: „Stój, stój!“ Daliśmy sobie pokój. Dopieroż daléj pana Żeleckiego podnosić z ziemi, pana Kardowskiego trzeźwić, wódki w nos lać, zęby rozdzierać, a potém i po cyrulika biegać, bo sobie łeb rozciął o ławę. Poszedł tedy Szembek z Żeleckim spać, a ja piłem sobie na fantazją i czeladzi swojéj dawać kazałem, którzy potém z ich pijanymi pacholarzami cuda robili, to im w nosie papier zapalając, to wąsy różnemi rzeczami smarując (bo to leżało jako drwa po sieniach i lada gdzie), i jakie tylko mogli wymyślić psoty, takie im wyrządzali. Poprzepraszaliśmy się nazajutrz, i potém, ile razy ze mną siedzieli, to zawsze z powagą i w wielkiéj skromności, wstydząc się tego, bo się to rozgłosiło między sąsiadami, ale nie wiedzieli co z tém czynić, a mnie już lepiéj szanowali. Tam w Miłowczycach mieszkając, była aręda wyciągniona, lata tanie; straciłem na téj arędzie więcéj niż 2,000 złotych; z tegom tylko tam był kontent, żem liszek szczwał bardzo siła trojgiem chartów, bez gończych psów, a woziłem po trzy, po cztery na dzień.

Nastąpił potém obiór króla, wyszły od arcybiskupa uniwersały do województw, zagrzewając stany Rzeczypospolitéj do obioru prędkiego, i życząc, żeby się ten akt przez deputatów mógł odprawić, Ale województwa słowa na to nie dały rzec, tylko żeby wszystkim wsiadać na koń, tak jako na wojnę; wiedzieli bowiem, co za ducha ma w sobie arcybiskup; wiedzieli, że on do śmierci praktyki francuzkiéj nie odstąpi; wiedzieli też i to, że wiele nowych do téj oblubienicy gotuje się konkurentów, jakoto: książę Longwil, książę neuburgski, książę lotaryngski. Gromadzą się zatém województwa dobrym porządkiem, każde u siebie w domu, a potém ruszyły się ku Warszawie. Ja, żem się w krakowskiém ożenił, takżem też tam z nimi był pod chorągwią krakowskiego powiatu, gdzie Pisarski Achacy rotmistrzował. Poszliśmy tedy pod Wisimierzyce, i tam staliśmy więcéj niżeli tydzień, potém stanęliśmy pod Warszawą pierwszych dni Lipca. Jako z rękawa wysypały się województwa, wojska wielkie, poczty pańskie, piechoty, zgoła ludzi bardzo pięknych i wiele. Sam Radziwiłł Bogusław miał z sobą

ludzi z ośm tysięcy, bardzo pięknych. Wtenczas najpierwszy raz w Polsce muzyka, którą zowią pruską, słyszaną była, ta, co to na tych pomortach grają przed rajtarją. Opuścił tedy arcybiskup uszy, powątpiewając o swoim zamiarze, ale, po staremu, nie ustaje w dopinaniu i ma nadzieję. Aleć jak się kołowanie zaczęło, różni różnie sądzą; to ten będzie królem, to ten będzie, a o tym nikt nie wspomni, którego sam Bóg przejrzał. Ci, co posłali swoich posłów, starają się o to, i mają nadzieję, że się podług ich stanie intencji, a ten nie spodziewa się niczego, wiedząc, że do tego żadnego nie masz podobieństwa. Francuzkie subjekta, jako szukane pracują skrycie, ale neuburgskiéj i lotaryngskiéj partji jawnie. O polskim zaś konkurencie i wzmianki nawet żadnéj nie masz. Tam dają, darują, sypią, leją, częstują, obiecują; ten nikomu nic nie daje, ani obiecuje, ani o to prosi, a jednak odnosi. Kiedy już po kilku sessjach i po odebranéj od posłów cudzoziemskich legacji i po deklarowanéj każdego posła za swego pana dla Rzeczypospolitéj uczynności, najbardziéj nam przypadł do serca Lotaryńczyk, z przyczyny, że to pan wojenny i młody, którego poseł powiedział téż w swojéj perorze na końcu te słowa: „Ilukolwiek macie nieprzyjaciół, z wszystkimi walczyć będzie.“ Poczém solwowano do jutra sessją.

Nazajutrz pozjeżdżali się do szopy; wojska okryły pole; dopiero różni różne dają sentencje; ten tego, ten zaś innego chwaląc; ozwie się jeden ślachcic z województwa łęczyckiego, którzy zaraz nad kołem stali na koniach: „Nie odzywajcie się Kondeuszowie, bo tu będą kule koło łba latały.“ Senator jeden odpowiedział mu coś przyostro. Kiedyto poczną ognia dawać; senatorowie z miejsc w nogi, kryjąc się to pod karety, to pod krzesła; rozruch, tumult. Inne chorągwie skoczyły zaraz w drugą stronę potrącać i deptać piechotę; ta poszła w rozsypkę. Obstąpiono zewsząd koło. Kiedyto poczęto exorty prawić: „Zdrajcy! wytniemy was, nie wypuścimy was stąd; darmo mieszacie Rzeczpospolitę; innych senatorów postanowimy; z pośród nas króla sobie obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serc.“ Takci skończyła się owa sessja tragicznêm widowiskiem. Starszyzna przecie przyjmowali każdy swoich; chorągwie obróciły się w pole, a panowie biskupi i senatorowie powyłazili wpół ledwie żywi z pod karet, z pod krzeseł, i pojechali do gospód; drudzy zaś, co w polu stali, do namiotów.

Nazajutrz nie było sessji, bo się panowie po utrząśnieniu sma-

rowali, i olejki hjacynty po przestrachu pili. Województwa téż nie wychodziły w pole, ale stały w obozie.

Dnia 16 Lipca posyłają województwa do arcybiskupa, żeby wyjechał na sessją i zagaił według prawa dalszą elekcją. Ten odpowiedział: „Nie wyjadę, bo nie jestem pewien życia, i inni panowie senatorowie nie wyjadą.“ Posłano znowu, donosząc, „że już wojska pomykają się ku szopie; kto więc cnotliwy i senator, i kto chce, niech z nami wyjedzie; obierzemy sobie pana. Kto nie wyjedzie, tego będziemy mieli za zdrajcę ojczyzny, i jaka stąd będzie konsekwencja, niech się każdy domyśli.“ Stanęły tedy województwa o pół ćwierci mili od szopy. Już więc senatorowie nie zjeżdżali się do szopy, ale do nas. Nasz kasztelan krakowski, Warszycki, i inni senatorowie, przyjechali do nas. Dopieroż w radę o tém, co przeszło, i jak się komu podoba ten postępek. Pan kasztelan krakowski rzecze: „Imię jego święte! (bo to jego przysłowie), chwalę ja ten postępek; w tém się ma pokazać polska wspaniałomyślność, że to króla powinna obierać wszystka ślachta, nie zaś pewna liczba osób; nie mam ja o to urazy, lubo mi kule świstały nad głową, bo wiem, że to u każdego ślachcica tkwi w sercu ta zła chęć ludzi, która się już wszystkiemu światu ogłosiła; i owszem, jeżeli pożyję, na tém będę stał, aby sejmy odprawiały się na koniach, bo inaczéj nie upilnują nam posłowie tych naszych wolności, których przodkowie nasi tak krwawo nabyli.“ Dawał przykłady dawne, że póki Polacy tak czynili, póty kwitnęła téż złota wolność, i teraz trzeba się nam koniecznie ze snu porwać, odstąpiwszy choć na chwilę wczasów domowych.

Wtém przysyłają do nas Wielkopolanie, zapytując: „Cóż mamy czynić, ponieważ o nas nie dbają panowie senatorowie?“ Odpowiedzieliśmy im i zaraz swoich posłaliśmy posłów: „że my swoich mamy senatorów, ruszamy się do szopy i będziemy o sobie radzić.“ Potém na miejsce obioru ruszyły się województwa i stanęły. O! kiedy się to z Warszawy karety wysypią, jedni rysią, drudzy na cwał do koła co żywo (bo się spodziewali, że ich województwa prosić będą i nic bez nich nie zaczną), a potém i arcybiskup przyjechał, obaczywszy, że się nie kłaniają i za onegdajsze naprztykanie przepraszać nie myślą.

Zasiedli tedy, ale już nie tak licznie, jak przedtém, bo kto był tchórzem, ten uczynił się chorym, obawiając się takiego drugiego, albo gorszego huczku, a inni téż i prawdziwie w chorobę powpadali z przelęknienia, albo téż brzuch tłusty utrząsnął się. O jed-

nym powiadali, że, uciekając, padł przez dyszel i ledwie szyi nie złamał, a jego właśni hajducy ledwie go z ziemi podnieśli i na nogach postawili. Zasiadłszy w kole, siedzą jakoby z choroby powstali, nic nie mówiąc jeden do drugiego. Ozwał się ktoś tam z kupy: „Mości panowie! nie na próżnowanie tu przyjechaliśmy, milcząc a patrząjąc na siebie, nic tu nie sprawimy; ponieważ książe jegomość z Prażmowa, funkcji, urzędowi swojemu należytéj, nie czyni dosyć, więc prosimy jmć pana kasztelana krakowskiego, jako pierwszego w królestwie senatora, aby nam był dyrektorem; wszakżeto nie papieża obierają, możemy się zatém obejść bez księdza.“ Dopiero się arcybiskup porwie i rzecze: „A moi mości panowie, pókim ja żyw, to w tych wszystkich okazjach, które do mojego obowiązku należą, ojczyznie i każdemu z waćpanów po szczególe służyć nie przestanę. Teraz zaczynajmy szczęśliwie, a Bóg nam pobłogosławi, o co dnia dzisiejszego z całém duchowieństwem jego świętego prosiłem majestatu, aby łaską ducha świętego raczył nakłonić serca nas wszystkich, coby mogło być z jego świętą chwałą, a z dobrem ojczyzny naszéj. Waćpanowie mianujcie, który się z tak wielu zacnych podoba konkurentów, a ja starszy brat i sługa waćpanów do gotowego.“ Brali inni głosy za i przeciw; my też tu już zacinamy się przyczynami: „ja tego,“ „ja téż tego życzę;“ „mnie się podoba ten,“ „a mnie téż ten.“ Racja tego taka, owego téż taka. To gdy się dzieje, Wielkopolanie już krzyczą: „Vivat Rex!“ Skoczyło kilku od nas do nich, pytając: „na kogo wołają?“ i przynieśli tę nowinę, „że na Lotaryńczyka.“ W łęczyckiém zaś i w brzeskokujawskiém województwie wnieśli to: „Nam nie potrzeba bogatego pana, bo on będzie bogatym, gdy zostanie królem polskim; nie trzeba nam z innymi spokrewnionego monarchami, boto jest niebezpieczeństwem wolności, ale nam trzeba męża dzielnego, męża walecznego; gdybyśmy byli mieli Czarnieckiego, pewnoby był usiadł na tronie, a że nam go Pan Bóg wziął, obierzmy jego ucznia, obierzmy Polanowskiego.“ To gdy się dzieje, ja z ciekawości skoczyłem do Sandomierzanów, którzy najbliżéj nas stali, aż tam trafiłem na tę materją, że życzą sobie Piasta, mówiąc: „Nie trzeba nam daleko szukać króla, mamy go między sobą, wspomniawszy na cnotę i poczciwość i dla ojczyzny wielkie zasługi ś. p. księcia Jeremiego Wiszniowieckiego; słusznaby rzecz była zawdzięczyć to jego potomstwu. Owo jest książe jmć Michał, czemuż go nie mamy mianować, alboż nie z dawnéj wielkich książąt familji, alboż nie godzien korony?“ A on siedzi między śla-

chtą pokorniusieńki, skurczył się, nic nie mówi. Skoczę ja znowu do swoich i powiadam: „Mości panowie, już w kilku województwach zanosi się na Piasta.“ Pyta mię pan kasztelan krakowski: „A na któregoż?“ Powiadam: „Tam na Polanowskiego, a tu na Wiśniowieckiego.“ Tymczasem hukną Sandomierzanie: „Vivat Piast!“ Dębicki, podkomorzy, ciska czapkę do góry i wszeszczy na wszystek głos: „Vivat Piast, vivat król Michał!“ a tu też nasi Krakowianie wołają: „Vivat Piast!“ Rozbieży się nas kilku między inne województwa z musztułukiem wołając: „Vivat Piast!“ Łęczyczanie i Kujawianie rozumiejąc, że na Polanowskiego, poczęli też zaraz wołać, inne województwa także. Wrócę się nazad do swoich, a tu już go biorą pod ręce i prowadzą do koła. Starszyzna nasza krakowska nie chce go i przeciwi się temu (bo od innych pieniędzy dużo nabrali i obietnice mieli wielkie), osobliwie Pisarski i Lipski, mówiąc: „Dla Boga! co czynimy? czy nas szaleństwo ogarnęło? stójmy! tak być nie może!“ Pan kasztelan krakowski już od nas odstąpił, boto jego był krewny, i tam jest przy nominacie. Innych też senatorów idzie ku niemu wiele; jedni powtarzają: „Vivat!“ drudzy też milczą. Rzecze do mnie Pisarski (bo on przecie miał mię w powadze): „Mości panie bracie! co w tym terminie rozumiesz?“ Odpowiem: „To rozumiem, co mi Bóg do serca podał: Vivat król Michał!“ Zaraz potém wyjechałem z szeregu i skoczyłem za Sandomierzanami; chorążowie z chorągwiami co żywo za mną, a Pisarski, czapką tylko o głowę uderzywszy, pojechał na stronę.

Wprowadziliśmy tedy nominata do koła szczęśliwie! tam dopiero winszowania, tam dopiero radość dobrych, a smutek złych. Czyniłci arcybiskup te ceremonie, które do jego urzędu należały, ale z jakiém sercem, z jaką ochotą? oto właśnie tak, jak kiedy owo wilka zaprzęgą do pługa i każą mu gwałtem orać. Co potém wybuchnęło na jaw, co z dobrym panem robili za dziwy, o tém niżéj będzie.

Zaraz nazajutrz był król kilku milionami droższy, tak wiele mu nadano podarunków, karet, cugów, obiciów, sreber i różnych splendorów. Nawet sami posłowie tych książąt, którzy o koronę konkurowali, dawali mu podarunki. Dosyć na tém, że tak Pan Bóg ku niemu skłonił serca ludzkie, iż kto tylko miał co najspecjalniejszego, to mu niósł i oddawał, nie tylko z koni, pięknych rumaków, ale nawet i z rynsztunków, choć też i parę pistoletów w heban lub słoniową kość oprawnych.

Rozjechała się nareszcie ślachta do domów, już jednakże nie pod chorągwiami, ale każdy osobno. Ja też u moich Rawianinów pobawiwszy, pojechałem do domu.

Dnia 29 Września była koronacja w Krakowie wśród wielkiego różnych ludzi tłumu i sejm koronacyjny zaraz się zaczął, ale z złym skutkiem, bo rozerwany przez Olizara, posła województwa kijowskiego, któreto postępowanie już było w praktyce. Wojsko natenczas stało pod Bochryniem, ale żadnego z nieprzyjacielem nie uczyniło doświadczenia.

Wyprawiono przecież po tym zerwanym sejmie księdza Andrzeja Olszowskiego, biskupa chełmińskiego, do cesarza jmci, prosząc siostrę jego w małżeństwo królowi. Wszystko to otrzymał snadno, bo cesarz tego sobie życzył, i sam się z tém odezwał.

Rok 1670.

Rok ten zacząłem w Miłowczycach, alem się od środopościa wyprowadził do Smogorzewa, bom nie był kontent z téj dzierżawy.

Wesele królewskie odprawiło się w Częstochowie w wielkim tłumie naszych Polaków, ale Niemcy dosyć błazeńsko pokazali się i pannę młodą wyprawiono jako nie cesarską córkę.

Ja też mieszkając w Smogorzewie, najpierwszy raz puściłem się na flis. Będąc frycem, trzymałem się starszych szyprów, którzy mi grozili, że mię tam miano podgolić na mieszku, jakoto fryca, aleć, z łaski Bożéj, przedałem drożéj od nich, bo 40 złotych wyżéj, a to tym sposobem: Starosta ujski, Piegłowski, i cześnik warszawski, Opacki, pogniewali na się kupców, którzy obesłali się, żeby na złość nie kupować, mnie zaś, com był w ich kolei, zapłacili pszenicę po 150 zł. onym na złość; kupił u mnie pan Jarlach, a onaż prosili, żeby od nich kupiono; zapłacono im tedy 110 zł., i tak co mnie grozili podgoleniem, to ich samych podgolono.

Rok 1671.

Rok ten zacząłem w Smogorzewie, alem się przeprowadził od środopościa do Skrzypiowa, dawszy na te dobra i na Zakrzew panu kasztelanowi bełskiemu, Myszkowskiemu, zł. 10,000, a Smogorzew puściłem na rok w arędę panu Trębickiemu, który przedtém Skrzypiów trzymał, bo się nie miał gdzie podzieć. W tymże roku pan Myszkowski spisał ze mną kontrakt arędy Olszówki i Brześcia, ale że tych dóbr nie mógł z rąk panów Chełmskich windykować, dla tego musiałem ich czekać w Skrzypiowie lat 6, lubom na nie wyliczył, na spłacenie różnych długów, z dóbr ordynackich złotych 21,000; com zaś koło tych dóbr zażył kłopotu i kosztu, o tém niżéj będzie.

W Skrzypiowie dobrze mi się powodziło i byłem kontent z téj dzierżawy. I w tym roku byłem w Gdańsku i przedałem zboże Wandernemu, bardzo poczciwemu kupcowi.

W tym roku stało wojsko pod Trębowlą, pod Kalnikiem; ordę mocno bito. Potém nastąpiła Trościaniecka okazja.

Znosząc długi ordynackie za jmć pana Myszkowskiego, dałem jmci panu Sendorowskiemu, rotmistrzowi, 4,000 złotych; jmć pani Miklaszowskiéj 3,000 złotych; książęciu jmci Ostrogskiemu Alexandrowi 3,000 złotych; samemu jmci panu podkomorzemu bełskiemu, na wyprawę ludzi do obozu, 3,000 złotych.

Sejmiki przedsejmowe były w Listopadzie, sejm zaś warszawski był w Styczniu.

Rok 1672.

W tym roku mieszkałem w Skrzypiowie, bo żona moja nigdy nie chciała w Smogorzewie mieszkać, z przyczyny, że tam powiadali, iż to miejsce fatalne i że panowie albo panie umierały; przeciem ja tam często przemieszkiwał, a Pan Bóg mię zachował choć tam byłem panem przez lat 20.

Wyszły wicie na pospolite ruszenie. Turcy z wielką potęgą wyszli na Batohu. Wojsko nasze zostawało pod kommendą pana Łużeckiego kasztelana podlaskiego.

Ślepe oczko nie przestaje swoich fakcij, chcąc drugiego króla z tronu, na którym go sam Pan Bóg posadził, strącić. Zgoła, wielkie i straszne rozruchy wewnątrz kraju.

W Rączkach przypadła w tym roku sukcessja na domy panów Łąckich, gdzie ja odebrałem z podziału część dziedziczną, drugą kupiłem u panów współsukcessorów, i puściłem te obiedwie części córce żony mojéj, Jadwidze, która była za siostrzeńcem moim, Dembowskim Samuelem; puściłem im to z łaski, nie biorąc od nich z tego nic; lubom na to kosztu wiele łożył przez kilka lat, a co turbacji, przejazdżek, zwady, bitwy, pojedynków, tego nie rachuję. Smogorzew puściłem przez arędę na rok pani Gołuchowskiéj Wojciechowéj, wdowie grzecznéj, i tam poszła za mąż za pana Tomasza Olszamowskiego.

Wyjechałem z domu do obozu i stanąłem pod Kosiną, gdzie się województwo krakowskie gromadziło; stamtąd poszliśmy pod Gołąb; król także przybył do obozu i wszystkie województwa skupiły się. Turcy już byli wzięli Kamieniec, ale, prawdziwiéj powiem, nie wzięli, lecz go sobie kupili u zdrajców ojczyzny naszéj, i całe Podole i Ukrainę zawojowali, szabli nie dobywając. Lipkowie, albo raczéj Czemerysi, Tatarowie litewscy, nasi wychowańcy, z Krzyzińskim, wodzem swoim, zdradzili nas i wszyscy do Turków poszli. Po wzięciu Kamieńca zapuścili Tatarowie zagony głęboko, ałeć się im, z łaski Bożéj, nie poszczęściło, bo wojsko nasze, na imię króla pobożnego, wszędzie ich potężnie biło; pod Niemierowem, pod Komarnem, pod Kałuszą, naginęło tego jak psów, a w lasach po błotach najwięcéj tego nabili chłopi. My zaś z królem stojąc pod Gołębiem, trudno było daléj postąpić i łączyć się z wojskiem kwarciannem, bośmy mu nie ufali, widząc, jakie spiski zachodzą przeciw ukoronowanéj głowie, żeby byli radzi króla wydali na sztych nieprzyjacielowi. Wtenczas kiedy orda była koło Komarna, posłano na podjazd kommenderowanych z pospolitego ruszenia, ludzi wybierając, i na koniach dobrych, rozdzielono nas na dwie części. Dano nad jedną częścią kommendę Kalinowskiemu, nad drugą zaś mnie. Poszliśmy dwiema szlakami nocą. Ja tedy wiedząc dobrze tryb podjazdowy, poszedłem na Bełżyce, wszystko manowcami a lasami. Nie zdało się to panom pospolitakom, poczęli narzekać, że to nie bitym gościńcem, że to czasem koń uster-

knął się o pniak i gałązka przez twarz zacięła. Nadedniem stanąłem pod Bełżycami, u brzegu lasa, i, żeby koniom trochę odpocząć, paśliśmy je, trzymając w rękach cugle. Jak świtać poczęło, rzekę: „Mości panowie! trzeba się wywiedzieć, co się dzieje w mieście; jeżelibyśmy tu kogo nie napadli po swoich plecach, bo psy słychać szczekające, a ludzi nic, zaczém podjechać trzeba w kilka koni i nam dać znać, albo téż, jeżeliby was postrzeżono, to ich wywabić w pole, żebyśmy zagonionych mogli obskoczyć i dostać języka." Z ochoty nie porywa się nikt; gniewno mi okrutnie i mówię tak: „Jak nie będziecie słuchać, mości panowie, gdy pojedziemy daléj, to nic tu po mojém starszeństwie, kiedy takie będzie posłuszeństwo; pojadę ja sam, a wy przynajmniéj bądźcie pogotowiu, jeżelibym wam tu przyprowadził gości." Potrwożyli się wielce, bo taka była wieść, że Tatarowie już są około Bełżyc, jakoż i byli koło południa wczorajszego, ale coś nie wiele. Rzecze Chociwski: „Jadę ja z waścią;" Sieklicki mówi: „I ja;" bo ci jakoby moi byli, jeden brat, a drugi wielki przyjaciel. Stronicki młody rzecze: „Kiedy waść sam jedziesz, to i ja jadę, ale z kim innym nie pojadę." Pojechaliśmy tedy. Przyjeżdżamy pod miasto; nie słychać nic; wjeżdżamy w miasto, nic, tylko znowu się psy podrażniły, co już były trochę umilkły. Daléj my do domów ludzi szukać, ale i człowieka nie masz, co żywe, w lasach. Wyjechaliśmy znowu pocichu z miasta i stanęliśmy cicho między folwarkami. Już téż oświtło, a tu chłop wyjrzał z stodoły przez poszycie, snopka podniosłszy. Daléj my do owéj stodoły wołać go i szukać, ale żadnym sposobem znaleść go nie mogliśmy, bo stodoła była pełna zboża; dopieroż ja pocznę wołać: „Chłopie, a toż ty twojéj zguby pragniesz, i co się kryjesz przed Tatarami, od chrześcian zginiesz, bo mnie tu nic więcéj nie trzeba, tylko wypytać się, co się dzieje, bom ja od króla, a tu w całém miasteczku nie mogę znaleść człowieka, a ty się nie pokażesz, chociśmy cię widzieli; nie możemy się więc inaczéj nad tobą zemścić, tylko cię tu zapalimy." Aż dopiero chłop odzywa się: „Mości panie! już wyłażę." Wylazł tedy. Pytamy: „Byli tu Tatarowie?" Odpowiada: „Byli wczoraj w południe, gonili dwóch chłopów, ale im uciekli w las; oni téż zaraz stanęli u brzegu lasa, i jednego chłopa postrzelili z łuku po plecach, kiedy już wpadał w las. Znowu zaś przed samym wieczorem widzieliśmy ze trzydziestu konnych, ale nie wiem kto to byli, bo zdaleka." Posłałem ja tedy po owych swoich ludzi; ci jak przyszli, nuż radzić, a tymczasem po snopie zboża koniom położono.

Jedni mówią: „Iść dalej,“ drudzy: „Nie iść, wrócić się, pogubisz nas; dość na tém, żeśmy tu dotarli, nie wódź nas dalej.“ Przemogłem przecież, że poszliśmy dalej. Jedziemy milę i drugą; już ślady tatarskie, bo niektóre rzeczy pogubili, niektóre też i porzucali, kiedy im się co lepszego trafiło. Moich tchórz oblatuje, a ja cieszę, że to owi ludzie, uciekając, pogubili. Nic jednak nie widać; aż wtém ślachcic wyjechał do nas z lasa, i ten dopiero prawi: „Milę stąd pojechawszy, nabierzemy Tatarów, co chcemy, bo się włóczą po wsiach, i nie trudno będzie o języka; jam wczoraj jeździł między nimi, a nie śmieli się na mnie porwać, tak są obciążeni i konie mają pomordowane; sam was poprowadzę ścieszkami i chróstami.“ Po tej jego powieści, chwyciło się mnie tego serce bardzo, i mówię: „Nu, mości panowie, teraz nam trzeba pokazać, że nas Bóg i przyrodzenie ludźmi, nie grzybami, utworzyło; będziemy mieli pierwszeństwo nad innych, gdy się z tém popiszemy królowi, że przyprowadzimy języka; samto Bóg podaje nam tę okazję, tak snadną do nabycia dobrej reputacji; pokażmy, żeśmy ludzie.“ O Boże! kiedyto krzykną na mnie: „Alboż my to kwarcianni? alboż my to wołosza, lub ludzie służebni? mamy my wojsko kwarcianne, któremu płacimy, żeby się za nas biło; nie posłano nas tu dla języka, tylko dla wiadomości, którą już wziąwszy, nie pojedziemy stąd dalej; mam ja żonę, mam ja dzieci, i nie będę się tak szarzał, jak się komu podoba, bom nie powinien.“ Perswaduję, jak mogę, „żeto i my ludzie jako i kwarcianni; nie bądźmy jerozolimską, ale polską ślachtą; pamiętajmy na Boga i ojczyznę; wstydźmy się przynajmniej słońca tego, które nam świeci, gdy się ludzi nie wstydzimy.“ Jakby groch o ścianę rzucał; oni swoje prowadzą: „że nie powinniśmy i nie pójdziemy.“ Pytam: „Kiedyście z domu wyjeżdżali, w jakiej chęci wyjeżdżaliście? czy jak na wojnę, czy też jak na wesele.“ Żadnym sposobem nie wyperswadowałem. Uczyniwszy ślub i wymówiwszy, że póki żyw będę, nigdy się już takiej kommendy nie podejmę, i wolałbym paść świnie, niżeli z pospolitego ruszenia kommenderowanych prowadzić na podjazd, wróciliśmy się nazad z owej wojny. Miałem wyrostka, Leśniewicza, co mi konia wodził, a był frant wielki, i mówię mu: „Miły bracie, każ od siebie konia wziąć innemu, a ty wynajdź sposób, żebyś nam jaką uczynił trwogę.“ Pojechał więc i uczynić deklarował, a tymczasem powiedziałem niektórym konfidentom, że tu wnet będziemy mieli trwogę: „Tylko nic nie mówcie; doświadczymy tu wnet dobrych pachołków.“ Przyjeżdżamy już wieczorem

przed wioskę, aż ów wyrostek zapalił kupę konopi, ułożonych w ogrodzie, jak to zwyczajnie w jesieni układają opodal od chałup. Gdy to hukło, dopieroż moi w strach, rozumiejąc, że to Tatarzy, a we wsi uczynił się także rozruch. Ja mówię do nich: „Mości panowie!“ a mości panowie co żywo w nogi, każdy w swoję drogę, wołając na mnie: „Mości panie kommendancie! lepiéj uchodzić, bo nas zgubisz, i wojsko i króla zawiedziesz, kiedy na sobie sprowadzimy nieprzyjaciela.“ Ja, po staremu, mówię: „Ej! nie wytrzymam; muszę skoczyć do ognia i dowiedzieć się, co się dzieje.“ Owi téż, już świadomi tego terminu, mówią: „Jedźmy, skoczmy; dyć nas całkiem nie połkną.“ Skoczyliśmy tedy pod wieś, a drudzy ichmościowie w dalszą udali się drogę. Powrócimy nazad; nie masz nikogo; ponajdowaliśmy tylko to, czego poodbiegali, tojest, sakwy z sucharami, z wędzonkami, z sérem, opończe, kańczugi i inne drobiazgi. Między inszemi rzeczami, została także cynowa ładownica na rzemiennym pasie i w skórę powleczona, pełna gorzałki wybornéj, któréj było ze dwa garce, a za nią tak się wstydzili, że się nikt do niéj przyznać nie chciał, choć ją na wysokiéj tyce uwiązano. Powróciwszy zatém i rozmaicie myśląc, mówię do drugich: „Nie dobrześmy jednak uczynili, a gdy téż owi tchórze tam przybieżą i wojsko potrwożą?“ Jaki taki rzecze: „Prawda, prawda, ale cóż tu czynić?“ Ja mówię: „Posłać trzeba takiego, coby wszystkich wyminął, i tam, jeżeliby który tchórz co powiedział, żeby świadczył, aby mu niewierzono.“ Rzecze pan Adam Sieklicki: „Niech jedzie mój Wilczopolski, który z koniem mi służy; przykażę mu, żeby go nie żałował.“ W lot tedy stało się tak. Daliśmy mu łyknąć owéj gorzalicy i mówię mu: „Nie żałujcież panie konia, bo tu o wielką rzecz chodzi; strzeż Boże, potrwożyć wojsko i króla dla naszych żartów, to natenczas i twoja szyja byłaby w strachu.“ Bo téż to tam był z moim wyrostkiem jako wiadomy miejsc, bo Lublanin był ślachcic, jeżelić by koń miał zdechnąć. On jakoś nie ochotnie podejmuje się, bojąc się, jako chudy pachołek, o konia. Dopieroż ja rzekę: „Wsiadajże na mego, a swego oddaj pod mego czeladnika.“ Tak téż uczynił. Podoganiał ich, powyminijał, i owszem, doganiając, bardziéj powystraszał, powiadając: „Oto i ja już nie na swoim koniu siedzę, bom go stracił i musiałem na cudzego wsiadać.“ Skoro już wszystkich wyminął, jechał sobie powoli z przodownikami; dopiero kiedy już wydrapali się z lasów i tylko polami jechać było potrzeba, namawiał ich, żeby się gdzie na paszy zabawili, mówiąc: „Nasi panowie są tam na odwodzie, gdyby im

ciężko było, jużbyśmy ich tu za nami widzieli.“ Owi też uważając, żeby to ich wielka była sromota, gdyby bez kommendanta i z innéj kompanji powrócili, zatrzymali się już o milę tylko od obozu, ba i nie było. Nadrapawszy się po onych lasach, na łbie nautykawszy, drugi i do tygodnia nie mógł przyjść do siebie, pijąc oliwę i boki smarując. My zaś na owém koczowisku zanocowaliśmy, i tak my jak i konie mieliśmy się dobrze. Gdy świtać poczęło, ruszyliśmy się za nimi powoli, człapiąc i zbierając po szlaku czapki, kańczugi itp. Wyjeżdżamy z lasa, aż też oni nas obaczywszy, biorą się do koni i wsiadają. Mówię do nich, przyjechawszy: „A mości panowie, trzeba się wstydzić Boga i ludzi; opuściliśmy, dla nieposłuszeństwa, okazją taką, w któréjbyśmy byli i języków nabrali i dobrą sławę otrzymali, a to było kilkunastu Tatarów, którzy nam uciekli, że nie miał kto wioski obskoczyć; nas było mało, sprawa nocna, nie mogliśmy sami temu wydołać, a przecie, gdyby kilka set ludzi było, pewnieby był żaden z nich nie uszedł.“ Nie wierzyli zrazu, mówiąc, iż tak ich tylko łudzę, ale jak obaczyli szkapę, którą wziął jeden pachołek w krzakach, co téżto od niéj ktoś był uciekł, dopieroć uwierzyli (bo to szkapsko było podobne do bachmatka, i łączek na nim goły, skórą tylko powleczony, nakształt mody tatarskiéj), i poczęli prosić, żeby nie powiadać, żeśmy Tatarów widzieli, boby ta cała wina i sromota na nich przyszła. Staliśmy na tym trakcie z godzinę w polu, czeladź na stronę odesławszy, których potém informowano, ażeby także powiedzieli, że Tatarów nie widzieli. Nakoniec przyobiecałem im, z wielkiém ich ukontentowaniem, że nie będę powiadał, mówiąc: „Wy Pana Boga nie obrażacie nieprawdą, powiadając, żeście Tatarów nie widzieli, ale uważajcie, jakato jest infamia i obelga narodu, kiedyśmy ludzie bez serca; po sejmikach, po kołach jeneralnych siła mówimy, hałasy robimy, a kiedy przyjdzie do czego, to nic nie umiemy.“ I późniéj zawsze im to wymawiałem na każdém posiedzeniu, chwaląc ich niby: „Toto współżołnierz mój! odprawialiśmy z sobą podjazdy, bywaliśmy w okazjach, stawaliśmy tak i owak.“ Kto to wiedział, ten się tylko śmiał. Zabieramy się potém ku obozowi, aż też Kalinowski z swoją partją idzie; złączyliśmy się tedy. Pyta: „Jak mi się powodziło?“ Powiadam mu: „Że wolałbym był świnie paść przez ten czas, póki się podjazd nie powróci, niżeli nad takimi ludźmi mieć kommendę. On też podobnie powiadał, i tak przez całą drogę (stroną sobie jadąc), pókiśmy nie wjechali w majdan, o tém był dyskurs.

Powróciwszy do obozu, kazano nam iść do króla z relacją. Nie chciałem ja iść, czyniąc się chorym, ale Kalinowski przyszedł do mnie i rzekł: „Pójdź waść, bo będą rozumieć, że waści ta praca osłabiła.“ Ja mówię; „Nie chce mi się i wstyd mię tam pójść, bo nie mam królowi co powiedzieć, a łgać téż nie umiem.“ Rzecze Kalinowski: „A toż ja będę relacją czynił, byleś tylko waść był ze mną jako kommendant drugiéj dywizji podjazdowéj.“ Poszedłem tedy z nim do namiotów królewskich, zastaliśmy tam różnych senatorów i panów. Czyni tedy Kalinowski relacją, prawi jak na mękach, koloryzuje, i powiada na ostatku, żeśmy się dusznie starali o języka, ale dostać żadną miarą nie mogli, bo już były zaciekłe czambuły do kosza poschodziły. A on z swoją dywizją i w pół téj drogi nie dotarł, gdzia ja, i szlaku tatarskiego nawet nie powąchał, bo go także nie słuchali. Gdy on skończył, rzekł do mnie pisarz polny, Czarniecki Stefan: „A waść z swymi ludźmi na innym szlaku byłeś?“ Powiadam: „Tak jest!“ „Więc trzeba osobną relacją uczynić z swojéj przysługi.“ Rzekli i inni senatorowie: „I bardzo trzeba.“ Dopiero ja mówię: „Powinność to jest nasza poddańska, wykonać rozkazy waszéj królewskiéj mości, pana mego miłościwego, natenczas wielkiego wodza i szafarza krwi naszéj, którą że ochotnie każdy z wiernych poddanych nieść i łożyć powinien, o tém sądzę; jakim umysłem zaś i z jaką gotowością w teraźniejszéj okoliczności należytą za dostojeństwo majestatu waszéj król. mości, pana mego miłościwego, kto niósł ofiarę, nie szperam; moje zaś i współżołnierzy moich czyny, choćby najlepsze, chwalić nie wypada; ganić zaś, jeśli nikczemne, okrutnie. Tych rzeczy, które się rozważyć mogą na szali rozsądku, ani ganić, ani chwalić, mało potém, ponieważ skutek czynności stwierdza. Nie wiem, czy złe oko zajrzało, żeśmy, dotarłszy szlaku nieprzyjacielskiego, widząc ognie i tumany, pewnym językiem nie mogli się przysłużyć waszéj król. mości, panu memu miłościwemu. Relacji jmci pana łowczego podlaskiego, mego pana i brata, taki jest sens: „Chciałem, lecz nie mogłem.“ Ja zaś, mamli dwojako Pana Boga obrażać, i lenistwem i nieprawdą, wolę się przyznać, mówiąc prawdę: „Mogłem, lecz nie chciałem,“ wielkiego monarchy słów zażywszy: „Przyszedłem, widziałem, lecz nie zwyciężyłem.“ Nakoniec, jeżeliby się waszéj królewskiéj mości, pana mego miłościwego, na podobną imprezę moja zejść będzie mogła usługa, wolę z piętnastą ludzi służebnych słuchających mię podjąć się tego obowiązku, niżeli ze stem jedném i drugiém panów, swojemi sentymentami rzeczy wo-

jenne dyrygujących. O to upraszam pokornie majestatu waszéj król. mości, pana mego miłościwego." Spojrzą po sobie senatorowie i poczną się okrutnie śmiać. Potocki Szczęsny, wojewoda sieradzki, rzecze do króla: „Jeszczem nie widział tak prawdziwéj pochwały." Odpowie Czarniecki, starosta kaniowski, pisarz polny: „Nie dziwować się, nauczył się w dobrym porządku wojować." Gdy się to rozgłosiło, gniewano się o to bardzo, stary Missowski mówił przed niektórymi: „Nie urośnie u nas w województwie pan Pasek za takie braci naszych shańbienie." Ja zaś mówiłem: „Oni sami na takie zarobili shańbienie, i zawsze im to na oczy wyrzucać będę." Przysłałci zaś był potém pan Sobieski, hetman i marszałek koronny, kilku Tatarów, ale i na tego zgrzytano zęboma, że go to wieść uczyniła drugim po arcybiskupie malkontentem. Poczęto téż zaraz traktować, albo raczéj praktykować konfederacją, żeby się sprzysiądz jednomyślnie i króla do gardła nie odstępować, bo miał wielką popularność i u wszystkich stanów miłość. Z téj racji oburzano się bardzo na wszystkich malkontentów. Ruszyliśmy więc pod Lublin, a tam stanąwszy, mówiliśmy o sposobie narad: „Jakże to chrzcić, czy sejmem koronnym, czy konwokacją, czy kołem generalném?" Uradzono tedy, że nie może być konwokacja, bo tu przez pewną liczbę osób odprawuje się; nie sejm, bo ten przez posłów się odbywa, a tutaj Rzeczpospolita cała i każdy sobie jest posłem; ale musi być koło generalne, ponieważ Rzeczpospolita składa się z orężnych. Obraliśmy zatém marszałkiem Stefana Czarnieckiego, pisarza polnego, starostę kaniowskiego, człowieka czynnego, który tak umiał rzeczy akkomodować, żeby wszystko przyprowadzić do tego końca, przez któryby Rzeczpospolita nie była na szwank wystawiona. Samto snać Bóg natchnął serca ludzkie, żeby obrać tego, któryby nietylko na przednie, ale i na ostatnie miał wzgląd koła, bo gdyby był kto inny z tych, co sobie tego życzyli, dostąpił pomienionéj godności, zamieszaliby byli niezawodnie Rzeczpospolitę tak, jako nigdy bardziéj, ponieważ jedni zbyt byli gorliwi za głową koronowaną i obrazę jéj zakładali za podstawę i kamień węgielny, i radzili, żeby się tego upomnieć i przy tém stawać; drudzy zaś uważali na przeszłość, że to trafiały się podobne okazje, do jednéj tylko osoby odnoszące się, a czego w ojczyznie narobili, do jakiegoto przyprowadzili krwi rozlania. Uważali, że to wielkie za sobą pociągnąć musi krwi rozlanie i zamieszanie, a Bóg wie, jeżeli nie ostatnią zgubę nietylko tego jednego królestwa, które jest przedmurzem chrześciaństwa, ale i wszystkich

innych monarchij chrześciańskich, a snać, że to sama wola Boska walczy za nami, bo się nam wszystkie rzeczy kleiły. Tamci zaś cholerycy pragnęli miecza i krwi rozlania wołali, pretendując, że nie może być dobrze w Polsce, póki przewrotne głowy (które i z dobrym panem nie dadzą nam spokojnie zażyć swobód naszych) nie wezmą swego karania.

Jak tedy stanął szczęśliwie elektem na marszałkowstwo Czarniecki, zaraz przytém postanowiono, aby kołowanie odprawiło się z powiatów, a to dla lepszego porządku; aby sami tylko deputaci z marszałkiem zasiadając na sessjach, traktowali o lepszym biegu narad publicznych; żeby głosami czasu nie zabierać i prędszą w każdéj materji imieniem powiatu swego dać deklaracją. Nie zagradzając jednak drogi przymówienia się każdemu ślachcicowi, choć nie deputatowi, i uprosiwszy sobie głosu u marszałka do materji, o któréj powinien był wprzód mieć dobrą od deputata swego informacją; poobierano tedy w partykularnych kołach po dwóch deputatów z każdego powiatu, gdzie téż i mnie z powiatu lelowskiego kazali ichmość sobie służyć i stanąłem deputatem z panem Wojciechem Giebułtowskim. Zasiedliśmy tedy w polu przed namiotami królewskiemi, koło wielkie założywszy, a około nas zawsze kilka i czasem kilkanaście tysięcy arbitrów konnych, jednych trzeźwych, drugich pijanych. Zagaił marszałek wymowną mową. Nastąpiły powinszowania od króla i od senatu, życzące pomyślnego skutku. Każdemu marszałek odpowiedział w formie najzupełniejszéj. Proponowano tedy materje narad, ale osobliwie punkta kardynalne, tojest obronę ojczyzny i należyty potędze tureckiéj odpór, a drugi, straż przyboczna króla pana i ubezpieczenie go od zasadzek malkontentów. Od czego najpierwiéj począć, żądał rady marszałek od koła. Poczęli zabierać głosy, wywodząc, że to oboje jest potrzebne, ale staranie o zdrowie jego król. mości, pana naszego miłościwego, ma być w tém u nas poszanowaniu, żeby przedewszystkiém był obmyślony majestatowi zaszczyt, a potém o innych radzić materjach.

Taką miał miłość ten pan, że wszyscy jednomyślnym głosem na to się zgadzali, żeby zaraz w obozie zaciągnąć i zostawić do boku jego piętnaście tysięcy wojska, i pospolite ruszenie, za pierwszemi zaraz wiciami, aby w pole wychodziło, dobrowolnie deklarowali, i nie wzięła ta materja więcéj czasu nad 3 godziny. O sposobie jednak zebrania pieniędzy na tę wyprawę, zgodzić się nie mogli po kołach partykularnych kilka dni, bo niektórzy chcieli

przez pobory, drudzy przez podymne itd. A że nie rychłoby na owę zebrało się wyprawę, gdyby czekać wybrania owych podatków, tedy i w tém nie mniejsza poddanych przeciwko panu pokazała się miłość, że kto miał leżące po depozytach i w domu pieniądze, dobrowolnie odzywał się z swoją ochotą temi słowy: „Ja województwu memu pożyczę 50 tysięcy;“ „ja 60,“ „ja 10,“ „ja 15,“ „ja 20,“ itp., i tak wnet summy było i nadto. Sami więc swoich summ poborcami byli, sami je za assygnacjami rotmistrzom wydawali, którychto rotmistrzów województwa sobie obierały. Drudzy też, co byli bliżsi, zaraz do obozu pozwozili pieniądze, i tak w lot zaszczyt panu obmyślony, co wszystko sprawiła miłość prawdziwa poddanych ku królowi, któremu właśnie trzeba było powagi, bo już wojsku tamtemu, pod hetmanami będącemu, nie konfidował. Z strony zaś oparcia się potędze tureckiéj, ta była uwaga, że to, cokolwiek my teraz czynimy dla króla, jest dobrem ogólném, bo kiedy króla będziemy mieli mocnego, nie tak się o niego oburzą te zawzięte impety. Obmyślili tedy obronę i dopiero wkroczono w materją, żeby sądzić tych, którzy niewinnie powstają przeciwko panu, i wydać im mandat. Mówią inni, perswadują, osobliwie marszałek, „żeto podczas strasznéj wojny nie tylko nie trzeba draźnić, ale i owszem zamilczeć swojéj krzywdy należy; król jmć, jako pan miłościwy, nie żąda tego, dla dobra pokoju, jeżeliby się kto taki znajdował, będzie na to czas, uspokoiwszy, da Pan Bóg, wojnę, tak straszną turecką.“ A, po staremu, darmo, a po staremu, wołają: „Sądzić!“ Co którego z magnatów spomną, to nie rzeką, tylko: „Zdrajca, katowskiego godny miecza, itd.; długoż ci zdrajcy swymi niepokoić nas będą przewrotnościami; zły im był król Kazimierz, nie przestali go kusić, aż go do wiecznéj niesławy przyprowadzili; dał nam Bóg teraźniejszego ojca, nie pana, już się im i ten nie podoba. Trzeba się nam otrząsnąć tym rektorom, coto nami tak się bardzo opiekują, bo inaczéj nigdy nie będziemy mieli uspokojenia.“ To się tu w kole dzieje i tu deputat deputatowi odpowiada dowodnie, a tam od owych stojących na okół z lada słowa stanie się huczek, o lada słówko trzaskanie szablami, obuchami kiwanie i do pistoletów się porywanie; to zaś deputaci wstają z miejsc swoich ujmować każdy swego (bo takie było ustanowienie porządku, żeby każdy, kto przyjechał lub przyszedł do koła, nie żądał miejsca innego, tylko za swoimi deputatami); tu wre jako w garnku; to lada materyjka, choć lekka, zabiera czasu godzinę i drugą. Ale bywało to często nawet i po partykularnych

kołach, które się przed sessją pod chorągwiami odprawiały, bo nie bywało i tu bez wielkich tumultów; dosyć na tém, że szkoda było nietylko co wymówić, ale nawet i mruknąć przeciwko królowi, tak sobie ujął serca wszystkich ludzi, którzy mówili: „To król nasz, krew nasza, kość z kości naszych; dawno już nie cieszyliśmy się królem swego narodu.“ Nie wielkie rzeczy, rzekł pisarz ziemski Bielski w kole jeneralném, tylko to kiedy starosta średzki gorliwie mówił przeciwko malkontentom, a na ostatku próbował pismem że „wyciąć to trzeba,“ ten pisarz ziemski Bielski człowiek biały jako gołąbek, żołnierz wielki, poseł na każdym sejmie podlaskim, wyrzekł: „Pane starosto, ne zderżysz!“ (gdyż tak był deputatem jako i starosta). O Boże! kiedyto powstanie rozruch i wołanie: „Jakto, pogański synu! nie zderży, ale my zderżyma; nie odstąpimy się, choćby jeden na drugim upadł. Podobnośto i ty ich duch; weź, bij, podajcie go nam sam za koło, poślemy głowę w podarunku panu Sobieskiemu.“ Już go poczęli siekać. Skoczył dziad jak sarna pod marszałka. Marszałek woła: „Piechoty, piechoty!“ Tu piechoty zaraz 600 za marszałkiem stawa, którym muszkiety w ręku drzą. Oficerowie mówią: „Jak my się tu porywać mamy?“ Skoczyli biskupi i senatorowie, ledwo ich ujęto. My téż w kole ścisnęliśmy się tak, żeby się do niego nie przedarli, bo koniecznie napierali się nam, chcąc go wywlec z koła i rozsiekać. Ci téż, o których było to rozumienie, że są tegoż ducha (bo panowie malkontenci byli natenczas niektórzy u koła generalnego), gdy się wszczął rozruch, pouciekali do namiotów, nie ufając swojéj sprawiedliwości, osobliwie rotmistrze niektórzy nasi krakowscy. Kilka już razy zanosiło się na krwi rozlanie, i, po staremu, przyszło téż do tego, bo w kilka dni potém stało się widowisko tragiczne, kiedy niejaki Firlej Broniowski, przyjechawszy do koła pijany, stanął najpierwiéj na koniu za nami, tojest za deputatami województwa krakowskiego, i począł wołać, krzyczeć, wrywać się w głosy. Ja rozumiałem, że który podgórzanin, aż kolegowie moi mówią: „Nie z naszego województwa to człowiek.“ Potém wziął coraz to bardziéj wrzeszczeć. Ja mu mówię: „Panie bracie, nie potrzebujemy tu tywuna; jest to tu miejsce województwa krakowskiego; albo waść spokojnie stój, albo ustąp.“ Osunął się na mnie, począł fukać: „Wolno mi stanąć, gdzie się podoba.“ Porwą się tedy kolegowie moi, rzeką mu: „Nie wolno; alboż nie wiesz ustanowienia, że każdy za deputatami swego województwa stać powinien; ustępujże, bodaj cię zabito! albo się wstydzisz za swoje województwo?“ Nasi téż konni,

co między nimi stał, wołają: „Ustąp waść, bracie, do swego województwa!“ i wypchnęli go. Pojechał na drugą stronę i znowu tam począł hałasować, a wiedziano, że téż i on jest malkontentem, i mówi mu tam ktoś: „Ej panie bracie, ostróżnie, żebyś waść na co złego nie zarobił;“ a on tém bardziéj, potém rzekł jeszcze coś przeciwko królowi. Do szabel na niego. Począł uciekać między szałasy województwa bełskiego; stamtąd go wygnali, i dopiero w polu rozsiekali go okrutnie. My tu w kole nie wiemy, co się tam stało; aż tu oni wleką go do koła i wołają: „Ustępujcie!“ Przywlekli go tedy dwaj pachołcy w turkusowéj barwie za nogi o jednym bucie i rzucili go w środek koła, mówiąc: „Otoż macie pierwszego malkontenta; tak i drugim będzie!“ Jakoż stał się żal wielki na sercu i okropność, patrząc na owego rozsiekańca. Ci zaś, co się poczuwali być malkontentami, byli w pół obumarli od strachu, widząc leżącego w krwi swojéj jako bydlę jakie zarznięte.

Tak ci posiedziawszy z pół godziny, odłożył marszałek sessją i rozeszliśmy się. Nastały potém jesienne słoty, śniegi, mrozy, tak że drugi, rano wstawszy, swego konia nie poznał, kiedy go śnieg przywiał. Jużeśmy odtąd miewali sessje w namiotach, dla owéj niepogody. Ślachta poczęła się rozjeżdżać do domów, i my tylko deputaci z marszałkiem musieliśmy kawęczyć do końca. Przed dokończeniem koła, o mało nie zabito Zamojskiego, hetmana, w sposób taki jak Broniowskiego. Pewien ślachcic zadał mu, że on miał o królu tak mówić: „Podobniejszy on mydło z króbką po Zamościu nosić, niżeli królować.“ O włosek mało go nie rozsiekano, a on ukląkł, ręce złożył i przysięgał, że tego nie mówił. Prosił za nim marszałek temi słowy: „Dla Boga, mości panowie, dosyć już téj krwi; król przysłał, że choćby i to i co większego mówił, odpuszcza mu i prosi za nim.“ Dalić mu pokój. Skończyliśmy koło generalne 10 Listopada, którego akta podpisaliśmy wszyscy deputaci i królaśmy pożegnali. Marszałek miał imieniem wszystkich mowę, bardzo wyborną wymową, któréj wymowy nie wiele ludzi do niego wiedziało, i dopiero tém marszałkowstwem wsławił się, że jest wielki mówca. Porozjeżdżaliśmy się tedy szczęśliwie. Przyjechałem do domu 16 Listopada; trafiłem na żałobę po matce mojéj kochanéj, która w wigilią Ś. Szymona Judy Panu Bogu ducha oddała. Oby w świętym pokoju spoczywała! Pochowaliśmy ją w Stopnickim kościele u ojców Reformatów.

Rok 1673.

Rok ten zacząłem, daj Panie Boże szczęśliwie! w Skrzypowie, i odebrałem z Smogorzewa arędę roczną od pani Olszanowskiéj, która tam poszła za mąż.

Sejm warszawski nastąpił, podczas którego arcybiskup Prażmowski snem śmiertelnym zawarł oko, bo nie miał tylko jedno, które jednak siła widziało i siła złego robiło. Umarł w Ujazdowie, zapewne z aprensji, że nie mógł dopiąć interesów francuzkich. Po nim został prymasem książę Czartoryjski, zacny wielce pan i świętobliwości wielkiéj senator.

Na tę zimę Turcy nie schodzili z pola, ale okopali się pod Chocimem i stali obozem.

Nasi panowie hetmani mieli wojska porządne, litewskie i koronne; wyprawa téż była dymowa z województw i chorągwie pancerne bardzo dobre. Chcieli nasi dać Turkom pole, ale oni wyjść nie chcieli, żeto już Tatarzy poszli byli od nich. Nasi tedy niesłychanym przykładem postanowili do nich szturmować; poszli tedy pod okopy; obstąpili obóz naokoł; piechoty, podsadziwszy się, rozwaliły wały w kilku miejscach, bez żadnego oporu, bo i razu z armaty nie strzelono, choć mieli dział tak wiele. Pan Bóg podobno zaślepił był poganów i serce odjął, że tak skromnie przyjmowali do siebie naszych dobywających się, właśnie kiedy owo gość jaki przychodzi, a nie nieprzyjaciel. Stali tylko na koniach, wielkich wałachach, w okopach, aż do nich powchodziły nasze chorągwie owemi dziurami, w wałach poczynionemi; dopiero tam w okopach uderzyli na naszych, ale nie mogli długo wytrzymać i zaraz poczęli uciekać do mostu, który mieli na Dniestrze ku Kamieńcowi; tam ich dopiero nasi cięli; a że tłumem wielkim cisnęli się na most, ten się załamał, i tak jedni potonęli, drugich wycięto, innych znowu nagnano na skałę, z któréj wraz z końmi na łeb pospadali. Zdobycz nasi wzięli wielką w rzędach, w srebrach i namiotach bogatych, w sepetach zaś owe kosztowności wyborne, co mógłby drugi sepet na sto tysięcy rachować; owe szable bogate, owe janczarki, wszystko to dostało się naszym. Naprowadzono także do Polski wielbłądów siła, tak, że dostał jednego i za podjezka. Ale téż to jeden syn osobliwie ucieszył ojca zdobyczą; był on rotmistrzem dymowskim i miał kilka wielbłądów zdobycznych. Przyjeż-

dżając zatém do domu, chciał się téżto pokazać ojcu na powitaniu w stroju tureckim i ubrał się w ubiór wszystek i zawój turecki wdział na głowę, wsiadł na wielbląda, kazawszy czeladzi zatrzymać się na wsi i pojechał przodem do dworu. Ojciec, staruszek, idzie przez podwórze z laską do jakiegoś gospodarstwa, a owo straszydło wjeżdża we wrota, co starzec obaczywszy, okrutnie począł uciekać, żegnając się. Syn widząc, że się ojciec przeląkł, bieży za nim, wołając: „Stój, dobrodzieju! jato, syn twój!“ a ojciec tém bardziéj w nogi. Zachorował potém z przelęknienia i umarł.— Nasiało się wtenczas po całéj Polsce rozmaitych rzeczy tureckich, owych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, ubiorów bogatych i innych różnych osobliwości. Dał Bóg narodowi naszemu cudowne zwycięztwo, a najbardziéj z téj okazji cudowne, że się i bronić zapomnieli; bo kiedy wprzód brano obozy wołoskie i multańskie, nie przyszli ich Turcy bronić, a potém i sami się nie bronili, aż dopiero wtenczas, gdy ich nasi wyparli z obozu. Podostawało się także i naszym, bo Pisarski, starosta wolbromski, rotmistrz, zginął wraz z swoim porucznikiem; także i Żelecki, starosta bydgoski, i inni.

Wojsko nasze miało pójść na wiosnę pod Lwów, wziąwszy go, daléj w Polskę. Jużeśmy się prosili i przyjąć chcieli poddaństwo, bośmy nie mieli nikogo, ktoby się zastawił. Prosili Turczyna, „żeby nas tak zostawił, jako Wołochów i Multanów, i żeby nam wiary nie psował.“ „Nie może to być,“ mówił Turczyn; „Wołosi i Multani dobrowolnie się poddali, a wyście zawojowani.“ Prawda, że to jeszcze posłów z tém nie posłano, ale przez chana krymskiego już o tém poczęto traktować. Zgoła, strach był wielki, trwoga wielka, aż Pan Bóg wnet to przemienił, dawszy zwycięztwo chocimskie, bo zaraz Turcy spuścili nos, zgubiwszy to wojsko, które mieli za najlepsze; zaraz pozwolili na pokój i ukontentowali się samym Podolem, co byli na całe królestwo gębę rozwarli, i mówili podolskiéj ślachcie: „Wy nie możecie u nas prosić takiéj wolności, jaką mają Wołochowie, boście wy swawolni, ale was rozbroimy i będziemy was tylko do robót zażywać,“ aż tu P. Bóg inaczéj zrządził, nie dając swym świątyniom i nam też upadać. To zwycięztwo stanęło na imię króla pobożnego, Michała, który zaraz po niém umarł. Różni różnie uważali, jakoby miało być jakieś podejrzenie otrucia w cyrance, którą król bardzo rad jadał. Nie posądzam, ale to tylko piszę, o czém ludzie gadali.

Rok 1674.

Rok ten zacząłem, daj Boże szczęśliwie! w Skrzypiowie! Było bezkrólewie i sądy kapturowe. Przejeżdżałem się często do Radomia z strony Rączek. Obiór nowego króla złożono pod Warszawą w Maju, ale już nie tak wielkiém zgromadzeniem, jak Michałowski, i tam, po staremu, było wiele konkurencji, ale, po staremu, dał nam Pan Bóg Piasta, kość z kości naszych, Jana Sobieskiego, hetmana i marszałka wielkiego koronnego, który obrany został dnia 19 Maja, i ogłoszony dnia 21 tegoż miesiąca, nam dziś szczęśliwie panujący, który oby najdłużéj panował na chwałę Bożą i dla dobra Rzeczypospolitéj chrześciańskiéj, ażeby Bóg jego plemię rozkrzewił, jak niegdyś Abrahamowe, i żeby korona z głowy potomstwa jego nie schodziła, jak w familji austrjackiéj, tego wszyscy życzymy.

Nie była jednak koronacja, aż dopiero w trzecim roku, bo nastąpiły wojny wielkie od Turków, Tatarów i Kozaków, którzy się poddali Turczynowi, zapraszając go na wojnę przeciwko nam, i chcąc nas przez jego potęgę zniszczyć. Ale sami zdrajcy, imię swoje tém bardziéj zniszczyli i ostatek potęgi swojéj zgubili, o czém niżéj będzie.

Żałując Turcy przeszłoroczněj ludzi straty, snadno bardzo dali się namówić Kozakom na wojnę do Polski i przyjąć ich protekcją. Wyszły wojska wielkie; młody Chmielnicki został w Stambule zastawnikiem. Jużto impreza na nas była z połączonemi siłami, aleć ich Pan Bóg tak poróżnił, że się sami z sobą wadzili i bili, a nam dali pokój. Pobrali Turcy miasta Ładyszyn, Humań i inne szturmem. Po wszystkich prawda miastach, ale osobliwie w Humaniu, stało się tak wielkie krwi rozlanie, że tam więcéj niż dwakroć stotysięcy kozactwa zginęło, ale i Turków w szturmie naginęło bardzo wiele. Tak tedy, co się na naszę krew grozili, swojéj się do woli napili.

Rok 1675.

Jakem osiadł w Skrzypowie, nie robiłem nic, tylkom sprawiał obłóczyny, professje, bo cztery pasierbice moje: Marjanna, Alexandra, Barbara i druga Marjanna, najmłodsza, zostały Bernardynkami. Te panny nie z żadnego przymuszenia, albo z jakiéj potrzeby zostały zakonnicami (bo dziewki były i urodziwe i z posagami), ale z samego Boskiego natchnienia. Koszt jednak na to wielki łożyłem, gdyż to nierównie więcéj kosztuje, niżeli wydając pannę za mąż. Kto tego nie świadom, jabym powiedział, coto za koszt; i po staremu, nie dosyć, że już wyprawę dasz i postanowisz, ale musisz zawsze dawać do klasztoru.

Do Gdańska także w tym roku jeździłem i przedałem (pszenicę) panu Wilhelmowi Braunowi.

Turcy z wielkiemi ordami wpadli, popłądrowali i popalili Podhajec i Zbaraż, koło Wiśniowca, i wiele innych szkód narobili. Nasz obrany król, jak mógł, tak się tym zdrajcom oganiał.

Rok 1676.

I tego roku w Skrzypiowie mieszkałem. Do Krakowa przywieziono ciało króla Michała; przywieziono téż i Kazimierza z Francji, choć z nami nie chciał życia swego kończyć, a, po staremu, po śmierci do nas przyjechał. Miły królu! to widzisz, żeto przecie ojczyzna, słodkie miejsce; wzgardziłeś dobrowolnie ojczyzną, która cię wychowała i dotrzymywała zawsze miłości i wiary, a kości twoje pragnęły, żeby się do niéj powróciły i w niéj spruchniały! Wielkiéj tedy nowalji doczekał się Kraków, bo trzech razem królów polskich w murach swoich przyjmował, tojest dwóch razem i na jednym katafalku, a trzeciego widział na majestacie, ponieważ nasz elekt, Jan III, ognawszy po części ściany ojczyzny od nieprzyjaciół koronnych i widząc, że téż już deklarowaną od Rzeczypospolitéj koronę zasłużył, wjeżdża do Krakowa dnia 29 Stycznia, z wielkiemi oklaskami i radością przyjęty, bo nawet i ci, co przeciwko

téj ojczyznie mówili, uznali taką serc swoich przemianę, że się wszyscy cieszyli z jego panowania, widząc, że pan rozumny, dobry, wojenny, pracowity i szczęśliwy; nie było téż tedy malkontentów, tak jak za Michała, co sam Pan Bóg zdarzył.

Był tedy pogrzeb obudwu królów razem na zamku krakowskim dnia 13 Stycznia, obudwu trumny podle siebie stały, na jednym wozie wieziono ich, obudwu ceremonie wspólnie odprawiono i na jednym katafalku podle siebie postawiono. Król Jan III, wszystkim ceremoniom assystował z wielkiém nabożeństwem. Nie w jednym jednak chowano ich grobie, bo Kazimierza w kaplicy Zygmunta, ojca jego, Michała zaś w kącie, po prawéj ręce wchodząc w kościół, w kaplicy nie wiem którego króla. Po ceremoniach pogrzebowych, dnia trzeciego, tojest 2 Lutego, w dzień Najświętszéj Panny Gromnicznéj, była koronacja króla jmci, Jana III. Oby jak najszczęśliwiéj i jak najdłużéj panował na chwałę majestatu polskiego i obronę Rzeczypospolitéj chrześciańskiéj!

Czwartego Lutego zaczął się sejm koronacyjny, przez który, ledwo nie przez wszystek, musiałem się bawić w Krakowie, mając sprawę z Niemcami o gwałty poczynione w Smogorzewie. Otrzymałem karę gardła na Chrzanowskim kapitanie, i Demeku, poruczniku, którzy w kajdankach chodzili. Wakanse porozdawano, buławę wielką księciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu, małą zaś Jabłonowskiemu, pieczęć małą biskupowi warmińskiemu, laskę mniejszą Sieniawskiemu.

Pod Wojniłowem była potrzeba z ordą, potém obóz pod Żurawnem od Turków i ordy w oblężeniu; nakoniec nasi, radzi nie radzi, musieli zacząć układy z nieprzyjacielem. Stanęły tedy traktaty z Turkami; pozwolono im Podole i Ukrainę, aleć te traktaty nie były długowieczne z nieprzyjacielem takim, który zawsze chciwy apetyt ma na pożarcie ubogiéj ojczyzny naszéj.

Rok 1677.

W tym roku, daj Panie Boże szczęśliwie! objąłem Olszówkę i Brzeście w dzierżawę na lat 7, takim sposobem: kontrakt na te dobra spisałem i pieniądze wyliczyłem przed sześciu laty. Pan

Chełmski, obożny koronny, nie chciał tego natenczas ustąpić (lubo była umowa z bratem jego Krysztofem uczyniona, że tak miało być), aż dopiero po wyjściu lat kontraktem wyrażonych; skoro zaś lata wyszły, począł mi odpowiadać, żeby mię był odstraszył od tego kontraktu. Ja tedy układam się z panem kasztelanem bełskim, odjeżdżającym na sejm do Warszawy, żeby on rozkazał, aby mi dobra, jak dzień expiracji kontraktu przyjdzie, oddane były. On więc zaleca, odjeżdżając, żeby, jak czas przyjdzie, żona jego zajechała i mnie dobra oddała. Tak się téż stało. Lubo wrota zamykano, upilnowaliśmy jednak tak, że kiedy chłopów puszczano do młócki, skoczyło kilku konnych i przytrzymali wrót, ażebyśmy powjeżdżali, i tym sposobem oddano mi dobra i gromady. Ale dawszy temu pokój, wracam się do wypadków w tym roku.

Sejm warszawski naznaczył posłem do Turcji pana Gnińskiego, wojewodę chełmińskiego. Kommissja odprawiała się w Sandomierzu, obóz zaś stał pod Trębowlą bardzo wygodnie, bo żołnierze dobrze sobie gospodarowali, siali, orali, łąki kosili, a w zimie taką wygodę mieli jak w domu, i na bazarze taniéj wszystko było, niżeli po miastach, ponieważ w obozie piwa i miody warzono, i wozy tak szły na targi w majdan, jak przed laty do Kazimierza. Ordynacja taka wojska bardzo dobra. Lepiéjby było, gdyby tak zawsze wojsko stało, niżeli się po Polsce włóczyło z stanowiska na stanowisko i konie w niwecz obracało.

Do Gdańska tego roku puściłem się dnia 7 Lipca, a stanąłem tam dnia 16 Sierpnia.

Tego roku rodzic mój kochany umarł 2 Grudnia z jak największą skruchą i właśnie po chrześciańsku, w wigilją Ś. Barbary, do któréj on miał wielkie nabożeństwo. Z wielką pamięcią i dyspozycją umierał, bo nie w gorączce, ale tak prawie usypiał. Pochowałem go w Krakowie u Karmelitów na Piasku. Niech mu Bóg da wieczne odpocznienie w królestwie swojém.

Rok 1678.

Rok ten zacząłem, oby szczęśliwie! w Olszówce. Spotkała mię w tym roku szkoda nie mała, a to z téj okazji: Jmć pan Bełski

prosił mię na zgodę z jmć panem Czernym, starostą parnawskim, o defalkę kozubowską, gdzie pojechawszy, wziąłem z sobą suknie i futra, bo zaraz ztamtąd miałem jechać na kommendy pana Łąckiego Floryana, podstolego malborskiego, do Kiełczyna, do panny Borowskiéj. Dano mi tedy gospodę w karczmie. Karczma się zapaliła, a mnie, we dworze bawiącemu, zgorzały moje suknie, lub je téż ukradziono, i miałem najmniéj na cztery tysiące szkody. Takato przyjacielska usługa! A co te przyjacielskie usługi w mojém życiu mnie kosztują, o tém sam tylko Pan Bóg wie! Tak tedy mówię, że ci przyjaciele, którym ty służysz w jakiéj okazji, prawda, że się oni za tę twoję usługę odsługiwać ofiarują, ale prędko tego zapominają. Rzadko się kto znajdzie, żeby do trzech lat pamiętał dobrodziejstwo, a kiedy ty potrzebujesz jego usługi, to albo nie chce, albo choćby chciał, nie umie; gdy zaś on potrzebuje przyjaciela, to cię znajdzie, a kiedy zaś ty go potrzebujesz, to go musisz z świecą szukać, bo są inni, co się nie aplikują, choćby téż i mogli; są inni, co im Pan Bóg tego nie dał, żeby umieli zażyć nauki, łubo jéj mają dosyć, a tak, choć ludzi jest gwałt, a o człowieka czasem trudno. Stworzeni dla liczby tylko i dla zjadania chleba. Bo téż drugi grzyb obleży się w domu, i już o niczém na świecie, ani o publice, nie myśli, ani nawet o tém, żeby imię jego znano, ale tylko zanurzywszy się w domowe wczasy, na nic się nikomu nie przygodzi, tak jakoby téż nie żył, nie uważając na prawidło życia, że to nie dla siebie tylko rodzimy się, jak owo mówią:

„Kto przy mnie za łeb pójdzie, pieniędzy pożyczy,
„Poradzi, a gdy jechać, siła mil, nie liczy,
„To mi prawy przyjaciel, takiego szanuję,
„Tym czworgiem niech mi służy, ostatkiem daruję.“

A znajdziesz takich braci naszych, co w żadnéj z tych okazij nie użyjesz go, a każdy ślachcic przynajmniéj jednę z tych czterech cnót powinien mieć w sobie koniecznie, a jeżeli nie ma, to téż jak owo Mazurowie śpiewają:

„Cztery dzieweczki,
„Za korzec sieczki.“

Siłaby podobno i za dziesięć takich dać korzec sieczki. Albo ich téż tak drogo poprzedać, jak owo tam pisze historja o żydach,

że ich tam kiedyś w majdanie wojska rzymskiego trzydziestu za pieniądz przedawano.

Ale uczyniwszy to zboczenie, wracam się do materji, żem ten rok cały prawie strawił na usługach przyjacielskich, po ugodach, kondescensach, lokacjach, kompromissach, aktach weselnych, pogrzebowych.

W tym roku Turcy zrujnowali Międzybórz, Niemirów, Kalnik i innych wiele miast i wsi.

Rok 1679.

Rok ten zacząłem, daj Boże szczęśliwie! tamże w Olszówce, który, z łaski Bożéj, był spokojny, ale bardzo nieurodzajny i nieplenny, a, po staremu, taniość wielka, na arędarzów źle i powietrze było miejscami.

Tegoż roku najpierwszy sejm w Litwie odprawił się w Grodnie. Panowie Litwini to na nas wyswarzyli, że musiała stanąć konstytucja, aby dwa sejmy odprawiały się po sobie w koronie, a trzeci w Litwie, co było bardzo z uciążeniem naszém tam jeździć, a gdy wpadło w zwyczaj, już téż bywało na zawsze.

Wojsko nasze tego roku stojąc obozem pod Trębowlą w łecie i zimie, nie żołnierzami, ale gospodarzami było, bo tak ekonomikę traktowali, siejąc, orząc i wszystkiego dostatek mając, właśnie jak w domu, tylko że im żonek niedostawało.

Rok 1680.

Zacząłem i ten rok, daj Boże szczęśliwie! w Olszówce. Zaraz na początku tego roku doczekaliśmy się nowych rzeczy, bo zima która już była gruntownie stanęła, zginęła, i stało się tak ciepło,

tak pogodno, że bydło poszło w pole, puściły się kwiatki i trawę ziemia wydawała, orano i siano. Jam jednak długo namyślał się z siewem, ale widząc, że ludzie już wpół pozasiewali jarzyny, ja téż natenczas począłem siać. Gdym jeździł w zapusty z ludźmi po kommendach, po weselach, to takie były gorąca, że trudno było zażyć sukni futrzanéj, tylko letniéj, jako w Sierpniu. Już tedy zimy nie było nic, tylko dészczyki przechodziły. Owe tedy zboża w Styczniu siane, wyrosły tak przed wielkanocą, że aż na nich bydło pasano, a tak téj zimy bydło mało co słomy zażyło, mając bardzo dobre pożywienie w polu.

Przysłał do mnie król jmć pana Straszewskiego, sługę swego, z listami, prosząc uroczyście o darowanie wydry, którą chowaną miałem, tak roskoszną, że wolałbym był część majątku mego dać, niżeli onę, bom ją tak kochał. A najpierwéj król dowiedział się tam od kogoś o téj wydrze, że jest z temi a temi przymiotami wydra u jednego ślachcica w województwie krakowskiém, ale nie wiedziano, jak mię zowią i do kogo owe prośby posłać. Najpierwéj tedy pan koniuszy koronny pisał do pana Bełchackiego, który potém został wice regentem krakowskim, żeby się dowiedział, u kogo się taka znajduje wydra i jak go zowią. Że zaś wydra ta na całe województwo krakowskie była sławna, a potém i na całą Polskę, wywiedział się o tém pan Bełchacki i dał wiadomość, że u mnie jest. Dopieroż tedy król ucieszył się nadzieją, mówiąc: „Mnie pan Pasek dawno znajomy, i wiem, że mi jéj nie odmówi,“ i przysyła pana Straszewskiego z listem. Pisze oraz pan koniuszy koronny, pisze pan Pisarski Adryan, krewny mój, dworzanin królewski, prosząc, żebym tego podarunku królowi nie odmawiał, gdyż się to nagrodzi wszelką łaską i respektem króla jmci. Przeczytawszy listy, zacudowałem się: ktoto tam o tém zwiastował? i pytam: „Dla Boga! cóżto królowi jmci po téj wydrze?“ Powiedział poseł: „Bardzo król jmć żąda i prosi.“ Ja na to: „Nie masz téj rzeczy u mnie, coby miała być odmówiona królowi jmci.“ Ale mi było tak miło, jakby mię ostrém grzebłem po gołéj skórze drapał. Posłałem więc do browarnego arędarza, żeby mi przysłał wydrzanego rękawa, który, gdy przyniesiono, kładę mu na stół, i mówię: „A otóż waść masz prędką expedycją.“ Ów patrzy i mówi: „Ale żywa i pieszczona ma być ta wydra, o którą król jmć uprasza.“ Ja tak pożartowawszy, musiałem ją nareszcie prezentować, a że jéj nie było w domu i tam się gdzieś włóczyła po stawach, zatém, napiwszy się wódki, wyszliśmy na łąki; począłem ją wołać jéj prze-

zwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łasić, a potém i poszła z nami do izby. Zdumiał się Straszewski i mówi: „A dla Boga! jakżeto król nie ma tego kochać, kiedy to tak łaskawe.“ Odpowiem ja: „To waść tylko samę łaskawość widzisz i chwalisz, ale dopiéro bardziéj chwalić będziesz, gdy obaczysz jéj cnoty.“ Poszliśmy nad staw; a stanąwszy na grobli, mówię: „Robak! trzeba mi ryb dla gości, hul w wodę.“ Wydra poszła, wyniosła najpierw płocinę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego; trzeci raz, wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku obraziwszy. Straszewski się za głowę porwał, mówiąc: „Dla Boga, co to ja widzę!“ Mówię tedy: „Każesz waść więcéj nosić? bo ona póty będzie nosiła, póki mi nie będzie dosyć; trzeba ryb cebra, nanosi ona, bo ją sieć nic nie kosztuje.“ Straszewski rzecze: „Wierzę, bo widzę, gdyby mi zaś kto powiadał, nie wierzyłbym.“ Chwycił się bardzo Straszewski tego, widząc, że to z mniejszym jego nierównie będzie kłopotem, żeby królowi umiał opowiedzieć jéj przymioty. Póki nie odjechał, pokazałem mu wszystkie jéj umiejętności, które były takie: Najpierw, sypiała ze mną w pościeli, a była tak ochędożna, że nietylko w pościeli źle nie uczyniła, ale nawet i pod łóżkiem, lecz poszła do jednego miejsca, gdzie jéj stawiono skorupkę, i tam dopiero odprawiła swój wczas. Podrugie, stróż z niéj taki: w nocy, panie zachowaj, do łóżka przystąpić; chłopcu ledwie pozwoliła z bótów zzuć, a potém już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiałem obudzić, choćem najtężéj spał; a kiedym był pijany, to po piersiach deptała, wrzeszcząc tak długo, aż mię obudziła, gdy się kto koło łóżka przechodził; w dzień zaś rozwaliwszy się gdziekolwiek bądź, tak spała, że choć ją na ręce wziął, to oczów nie otworzyła. Tak bestja konfidowała człowiekowi! Surowéj ryby, surowego mięsa, nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek albo post uwarzono jéj kurczę lub gołębia, a niewłożono pietruszki (tak jakby wiedziała co należy), nie chciała jeść. Rozumiała téż tak, jak owo i pies: nie daj ruszać. Kiedy mnie kto poszarpnął za suknią, a rzekłem: rusza, to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknie, za nogi, równo ze psem, którego téż jednego kochała, a który zwał się Kapral niemiecki i był kosmaty, i od niego wszystkiego się nauczyła i wiele innych sztuk; z tym psem tylko miała swoje towarzystwo, żeto był izdebny i bywał z nią wspólnie w drodze. Innych psów nie lubiła; jak który przyszedł do izby, zaraz go wycięła, choćby był i najroślejszy chart.

Przyjechał do mnie Ożarowski Stanisław, ba po prostu, wespół ze mną jadąc, wstąpił do mnie. Byłem mu rad; wydra zaś, że mnie trzy dni nie widziała, przyszła do mnie, niemogąc się nacieszyć i naigrać. Miał z sobą gość charcicę piękną i rzecze do syna: „Samuelu, trzymaj tę charcicę, żeby téj wydry nie zajadła!“ Ja mówię: „Nie turbuj się waść, nie da sobie to zwierzątko, choć małe, krzywdy uczynić.“ Aż on rzecze: „Co, waść żartujesz, ta charcica wilka się chwyta, liszka jéj tylko raz ziewnie.“ Poradowawszy się mnie wydra, obaczyła psa niedomowego; przyjdzie do owéj charcicy i patrzy jéj w oczy; charcica też na nią patrzy; obeszła ją do koła i powąchała ją w nogę zadnią. Odstąpiła się od niéj i poszła. Ja myślę: „toć jéj już nic nie będzie czyniła.“ Jeno cośmy o czémsić poczęli mówić, aż wydra znowu wstała, co mi się układła była pod nogami; idzie cicho po podławiu, i zaszła charcicy znowu z tyłu; kiedy ją wytnie przez łytkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; charcica za piec, wydra za nią; gdy już widzi, że nie ma gdzie uciec, skoczyła na stół, chcąc w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi. Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potém, jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć nie pojechał, aż nazajutrz po obiedzie, bo się tak wydry bała; ale i w drodze jeno jéj pies powąchał, a ona skrzeknęła przeraźliwie, to pies zaraz uciekł. W drodze wielka była z nią wygoda. Kiedy w post (bo jakto u nas, osobliwie w tym kraju bywa, że przyjedziesz do miasteczka i spytasz: „Dostanie tu ryb kupić?“ to się jeszcze dziwuje: „A skądżeby się tu wzięły; nawet ich nie znamy;“), to jadąc gdziekolwiek mimo rzeki, stawu, a wydra była i sieci nie trzeba, zsiadłszy trochę z woza: „Robak, hul, hul!“ to Robak poszedł, wyniósł ryby, jakie ta woda miała, jednę po drugiéj, aż było dosyć; jużem tam nie przebierał jak w domowym stawie, ale co przyniosła, to bierz, oprócz jednéj żaby, bo i tę często nosiła, gdyż, jakem już napisał, ona tam nie brakowała osobami, ale co napadła to wzięła. Natenczas i ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość pożywił się, jak się to trafia, stojąc w jednéj gospodzie z kilkoma gości. Nie raz goście dziwili się, mówiąc: „A jam kazał ryb szukać w tém a w tém mieście, a nie możono nic dostać; gdzież waćpan dostał takich ryb zacnych?“ Tom ja powiedział: „W wodzie.“ Nawet i w mięsny dzień czasem, to czeladź rzekła: „Oj dobrodzieju, rzucają się tu ryby w tym stawie; niech wydra idzie.“ Tom poszedł z nią, bo ona za nikim, oprócz mnie, nie chciała iść. Daléj ona znowu ryby wynosić; jeżeli

dobra ryba, jako to szczupak, okoń rosły, tom i ja sam jadł, nietylko czeladź, bo ja najlepszéj mięsnéj potrawy gotów odstąpić dla dobréj ryby. Takie z nią w drodze było tylko uprzykrzenie, że gdziem jechał, wszędzie się dziwiono i ludzie kupami schadzali się, właśnie, jakby to było co z Indji przywiezionego, i nigdy assystencji nie było skąpo, a osobliwie téż w Krakowie kiedy jechałem przez ulicę, różnych ludzi kupa wyprowadziła mię z Krakowa.

Pewnego czasu byłem u mego wujecznego pana Szczęsnego Chociwskiego; był także u niego ksiądz Trzebieński i usiadł podle mnie za stołem, a wydra, objadłszy się, leżała podle mnie na ławie i spała w znak rozwaliwszy się, boto jéj najmilszy był zwyczaj w znak leżeć. Ksiądz posiedziawszy, obaczył wydrę, a rozumiejąc, że to rękaw, porwie ją, chcąc obejrzéć; wydra przebudzona, okrutnie zaskrzeczała, uchwyciła go za rękę i ukąsiła; ksiądz z bólu i przestrachu zemdlał, i ledwie się go dotrzeźwiono.

Gdy już Straszewski widział owéj wydry przymioty, obaczył téż i inne myślistwo moje, jakoto: zwierzyniec ptaszy, który miałem zbudowany, kratami drutowemi nakryty, a w nim ptastwo wszelkiego rodzaju, jakie tylko w Polsce mogło się znajdować, gniazda robiło i lęgło się na drzewkach tam posadzonych, a nietylko to ptastwo, co może być w Polsce, ale i inne cudzoziemskie, cokolwiek mógłem przybrać i skądkolwiek zaciągnąć. Straszewski był też natenczas, kiedy ptaszki siedziały na gniazdach i gdy się lęgły; widział wszystko, że mię ptastwo słucha; widział że się na gniazdzie da pogłaskać; widział kuropatwy tam wylężone i stadami swoje potomstwo wodzące, i na zawołanie, tak jako kurczęta, do sypania ziarn idące. Pojechał Straszewski do króla, i wszystko to, co widział, opowiedział. Ledwo co Straszewski przyjechał i uczynił relacją, wzięła króla taka chętka, iż rzekł do niego: „Nie może być; tylko jedź znowu i przywież już jakimkolwiek bądź sposobem, bylem tylko miał wydrę.“ Znowu więc listy do mnie popisano, pytając: „Co sobie za nią każę dać.“ Pan koniuszy koronny, pan Piekarski, pisał, prosząc: „Dla Boga, jużże się nie wymawiaj, lepiéj daj i zbyj kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król jedząc, chodząc i śpiąc, tylko o téj wydrze myśli, która żeby nie miała żadnéj przeszkody, darował swego kochanego rysia panu wojewodzie malborskiemu, ptaka zaś kazuara odesłał do Jaworowa, aby już tylko z samą wydrą się cieszył.“ Przyjechał więc znowu na odwrót Straszewski, listy oddał, i powiada, jako król wdzięczne

obietnicy, bez którój tęskni i prosi, mówiąc: „Kto prędko daje, dwa razy daje;“ w listach piszą obietnice srogie; Straszewski mi powiada, że król chciał posłać pieniędzmi ukontentowanie, ale pan Piekarski powiedział: „Miłościwy królu! darmo tam pieniądze posyłać, bo ich nie weźmie; u tamtego ślachcica fantazja dobra i pewnie tego nie uczyni, ale takby co posłać, cobyto polityczniéj wziąć.“ Posłał tedy król do Jaworowa po dwa konie tureckie, żeby mi je przyprowadzono (a konie tam bardzo piękne), i kazał je oddać wraz z bogatém wsiadaniem. Ja zaś powiedziałem, że nietylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bobym się tego wstydził, za tak nikczemny podarunek takie odbierać honorarja.

Wyprawiłem tedy wydrę na nową służbę; bardzo niewdzięcznie przyjęła tę wyprawę na nową służbę, piszcząc i wrzeszcząc w klatce, kiedy przez wieś jechali, ażem poszedł do izby, nie chcąc słuchać tego, bo mi jéj żal było; w drodze jadąc, gdzie upatrzyli wodę na równinie, żeby się nie skryła, wypuszczali ją kilka razy do wody, dla ochłodzenia i ucieszenia swojéj natury, ale, po staremu, i to nie pomogło, bo jednak było pisku i wrzasku podostatek. Stęskniło się i znikczemniało to zwierzątko, i przywieziono je królowi tak jak sowę odętą. Niezmiernie król był rad, widząc wydrę, i rzekł: „Stęskniło się to zwierzątko, ale się to obaczy.“ Komu ją każe pogłaskać, to go wydra za rękę. Król rzecze: „Marysieńku! odważę się ja pogłaskać ją.“ Królowa perswaduje, żeby niechał, aby nie ukąsiła; on przecie, usiadłszy podle niéj, jak ją na łóżku posadzono, sięga do niéj powoli ręką, mówiąc: „Jeżeli mię nie ukąsi, to sobie będę miał za dobry znak; jeżeli téż ukąsi, o to mniejsza; pisać tego nie będą po gazetach.“ Pogłaskał ją tedy; wydra jeszcze mu się przychyliła. Król bardzo się tém ucieszył i więcéj ją począł głaskać, a potém jeść kazał przynieść i dawał jéj po kawałku, a ona jadła nie jedząc na owém złotogłowiu. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniéj, i była tedy dwa dni; postawiono jéj wody w naczyniach wielkich, napuszczono tam rybek i raków, to się cieszyła, wynosiła. Król rzecze do królowéj: „Marysieńku! nie będę jadł jutro innéj ryby, tylko tę, którą mi ta wydra ułowi; pojedziemy jutro, da Pan Bóg, do Wilanowa, i tam ją będziemy próbować, jeżeli się tam pozna z rybami.“ Posyłając królowi wydrę, napisałem téż informacji arkusz, jak z nią mają postępować, i to także napisałem, żeby jéj nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję, dla tedo, że u wydry grubsza jest szyja, niżeli głowa, bo choćby naj-

ciasniejsza obrączka, to się zaraz przez głowę zdejmie. Tak się też stało; uwiązali ją za obrączkę; wydra zdarła z siebie obrączkę z dzwonkami, wyszła, łaziła po schodach przez noc i wyszła jakoś i na dwór, jakto w tęskności, bo nauczyła się u mnie chodzić, gdzie chciała, bobrować sobie po stawach, po rzekach, póki się jéj podobało, według swojéj natury, i przyjść według zwyczaju do domu. Ścieszkami zatém gdzieś poszedłszy, błąkała się owa wydra, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Skoro rano spotkał ją dragan, a nie wiedząc co to, czy chowane, czy dzikie, uderzył berdyszem i zabił. Wstaną w zamku, wydry nie masz, krzyk, skweres srogi; rozesłano po mieście i z prośbą i z groźbą, ktoby się ważył, znalazłszy, nie oddać. Aż tu idzie żyd podróżny pinczowski, a dragan tuż za nim po zapłatę za skórkę. „Co to masz żydzie?“ pyta go szwajcar. (A żyd w kieszeni trzyma rękę). Zajrzy mu szwajcar pod suknię, aż tu skórka słomą napchana. Wzięto zaraz i żyda i dragana, i przyprowadzono przed króla. Spojrzy król na skórkę, zatka oczy jedną ręką, a drugą ręką porwie się za czupryne i docznie wołać: „Zabij, kto cnotliwy! zabij, kto w Boga wierzy!“ Wrzucono obudwu do wieży, i postanowiono, żeby dragana rozstrzelać, dysponować mu się kazano. Przyszli jednak do króla księża spowiednicy, biskupi, perswadując i prosząc, że nie zasłużył śmierci i niewiadomością tylko zgrzeszył, ledwoć dokazali, iż go nie kazano rozstrzelać, ale na praszczęta przez Gałeckiego regiment; stanął tedy regiment dwiema szeregami, według zwyczaju, dekret taki żeby piętnaście razy biegał, odpoczywając jednakże na skrzydłach; przebieżał dwa razy, ludzi w regimencie półtora tysiąca, każdy po razu zatnie, trzeci raz padł w pół szeregu, nad prawo sieczono i leżącego, takci wzięto go w prześcieradło, aleć zaś powiedziano, że się nie mógł wysmarować; i tak one srogie pociechy obróciły się w wielki smutek, bo król przez cały dzień nie jadł i nie gadał z nikim, a cały dwór był jak powarzony. Takci i mnie pozbawili tak kochanego zwierzęcia, i sami się nie nacieszyli, i jeszcze sobie turbacji przyczynili.

Bywało też to u mnie myślistwo z podziwieniem ludzkiém, bo począwszy od ptaków, zawsze miewałem bardzo dobre sokoły, jastrzębie, drzemliki, kobusy, kruki, które do berła chodziły i kuropatwy pod niemi ulegały, a zająca zalatywały jako raróg; wszystko to ptastwo czyniło swoję powinność. Miałem raz jastrzębia takiego, który był zbyt rosły, i tak rączy, że każdego ptaka uganiał, i do najmniejszéj ptaszyny nie lenił się, okraczywszy go owemi srogie-

mi szponami. i zawszem żywiusieńkiego odebrał. Rzuciłeś go też do największego ptaka. i tego się nie wstydził; gęsi, kaczki, czaple, kanie, kruki uganiał, tak jako przepiórki, bo ich na dzień i kilka ugonił. Był zaś tak mocny, że z zającem starym związawszy się i udusiwszy go. to czasem poprawił się i na drugi zagon podlatując sobie z nim, podnosił go od ziemi jak kuropatwę. Miałem go ośm lat, póki mi nie zdechł. Do myślistwa zaś z charty, rozmnożyłem był sobie gniazdo chartów od brata mego, pana Stanisława Paska, z ziemi sochaczewskiej, które charty były i piękne i rosłe, a przytém tak rącze, że nie trzeba było nigdy zmykać do zająca i do liszki, tylko jedno któregokolwiek alternatą, jednak do każdego zająca insze, a nigdy zając nie uciekł; do wilka, to już pospolitém ruszeniem, i takieto bywało przysłowie u myśliwych sąsiadów moich: „Żeto nieszczęśliwy zwierz, który się z panem Paskiem spotka, bo mu się już nie dostanie uciec.“

W tém zaś osobliwie miałem upodobanie, żem zwierzę tak ćwiczył, że to i łaskawe było, ze psy przestawało i równo ze psy swego dzikiego brata goniło. Przyjechał kto do mnie, to liszka po podwórzu z chartami igra; wnijdzie do izby, to szpyc pod stołem leży, a zając na nim siedzi. Spotkał mię kto nieznajomy na polowanie jadącego, i obaczył, że tu idzie kilkoro chartów pięknych i wyżłów kilka, a tu między niemi liszka, kuna, jaźwiec, wydra, zając też ze dzwonkami za koniem podskakuje, jastrząb u myśliwca na ręce, kruk nad psami lata, czasem też padnie na charta i tak się powozi, to się ów tylko żegnał, mówiąc: „Dla Boga, czarnoksiężnik! oto zwierz wszelaki między psy chodzi; czego szuka? czemu tych nie szczuje, co za nim chodzą?“ Porwał ci się też zając, to wszyscy za nim, nawet i ten chowany, gdy widział, iż psy skoczyły, to też i on za niemi poskoczył, ale jak się już tam zając począł modlić, to wychowaniec uciekał nazad do konia, jakby mu oczy wyłupił. Rozsławili ludzie to moje myślistwo na całą Polskę, naprzykładawszy wiele innych rzeczy. Ale zaniechując opisu tego myślistwa, wracam się do biegu spraw w tym roku.

W tym roku stanęło z Turkami rozgraniczenie nieszczęśliwe o Podole. Wojsko tego roku stało pod Mikulenicami. Do Gdańska chodziłem dwiema szkutami; stanąłem tam dziewiątego dnia, bo woda była donośna i cicha; przedałem jmci panu Tynfowi pszenicę po zł. 160. Ja powróciłem lądem, a statki stanęły w kilka niedziel na powrót. Tegoż roku, 17 Października, samym wieczorem zgorzały gumna smogorzewskie, a była taniość zbytnia i dla tego nie

przedawałem nic w Gdańsku; nie płaciło też żadne zboże, tylko jedna pszenica, a mam przez to szkody, lekko rachując, na 20,000 złotych. Przyczynę ognia włożyli chłopi z nienawiści na karbowego, jakoby miał ogień zapuścić, idąc z światłem do wieprza swego. Kazałem go wprawdzie pociągnąć, prawo sprowadziwszy. Nie przyznał się, bo nie był winien, a zdrajcy chłopi z nienawiści podali go i mnie do grzechu przywiedli, i gospodarza mię dobrego pozbawili, gdyż mi zaraz obmierzł, żeto już był u kata w ręku, i kazałem mu iść precz, a potém żałowałem tego, dowiedziawszy się, że mię z innéj strony ta szkoda spotkała, bo u kowala zapaliło się, a wiatr wtenczas był srogi i prosto na gumno, z czego podobieństwo, gdyż się stodoła poczęła palić nie ze środka, ale zewnątrz, a potém się i drugie stodoły, sterty, stogi, brogi zapaliły, a co się stało z woli Pana Boga, bo on dał i on téż wziął.

Rok 1681.

Zacząłem ten rok, daj Panie Boże szczęśliwie! w Olszówce. W ostatki zapustne żeniłem jmci pana Alexandra Tomickiego w Krakowie z jmć panią Makowiecką, wdową, z domu Gołuchowską. W Czerwcu, to jest dnia 21, chorowałem bardzo niebezpiecznie i ledwiem się od furtki wrócił, za co niech będzie imię Boskie pochwalone! i niech mię Bóg miłosierny zachowa od takiéj drugiéj okazji! W Sierpniu jeździłem do Gdańska; z łaski Bożéj przedałem i powróciłem szczęśliwie. Powróciwszy, zawarłem ugodę między jmcią panem Trzemeskim, bratem moim, a jmcią panem Kiełczowskim, o Klimontów. Byłem zaraz potém na weselu jmć panny Tomickiéj, kasztelanki wieluńskiéj, w Pińczowie, którą za pana Walewskiego wydano; wesele było bardzo zacne i zjazd wielki. Z tego wesela jechaliśmy wszyscy do Krakowa na wjazd księdza biskupa krakowskiego, Jana Małachowskiego, na biskupstwo krakowskie. Była téż tamże konsekracja na arcybiskupstwo lwowskie jmci księdza Konstantego Lipskiego. Jeżeli wjazd biskupi pięknie się odprawił, nierównie piękniéj konsekracja, a częstowanie było dostatnie i bogate. Byłem potém na pogrzebie w Stobnicy mego

wielkiego nieprzyjaciela, a na łat dwa przed śmiercią mego nieodmiennego przyjaciela, Alexandra Komornickiego, rotmistrza, który na moich rękach umierał i zapraszałem na chleb żałobny, z ukontentowaniem ludzi jest ta mowa. Tego roku pokazał się kometa ku zachodowi. Książę Dymitr, hetman wielki koronny, umarł. Wojsko stało obozem pod Trębowlą, nie było na polu bitwy w tym roku, tylko leżeli, jedli, pili, a my im po staremu zapłacili.

Rok 1682.

Zacząłem ten rok, daj Panie Boże szczęśliwie! w Olszówce. Zima tego roku była właśnie włoska, bo wcale bez śniegu i mrozu, na saniach nic nie jeżdżono, rzeki nie stawały, trawy były zielone, listki na drzewie i kwiatki przez całą zimę, ludzie orali i siali wtenczas, kiedy najcięższe bywają mrozy; nawet Marzec był tak ciepły, suchy i wesoły, że prawie przeciwko swojéj naturze. Dopiero w Kwietniu nastały śniegi i mrozy, a na same święta wielkanocne spadł śnieg, i miejscami jarzyny, osobliwie grochy, powarzył, które już były poschodziły. W przewodni tydzień był mróz i śnieg tak wielki, że mógł saniami jechać, a panowie minuciarze nic o têm nie napisali; wiedzą biedę, co się w niebie dzieje, albo raczéj napisano, podobniéjby mu wiedzieć, kiedy żona do kogo innego kartki pisze, a on o têm nie wie, i dopiero się dowiedział, kiedy przestrzeżony faktórkę złapał i kartkę jéj wydarłszy, przeczytał.

Wjazd na Margrabstwo Księcia JMści Pana Margrabiego Stanisława, oraz i przysięga pierwszego grudnia; i nie poszczęściło się téż, bo się nie długo panowało. A przecie to zawsze obserwować trzeba i wystrzegać się.

Tego roku wojska nasze nic nie robiły, tylko na miejscu stały. Buławę wielką dano panu Jabłonowskiemu, a polną panu Sieniawskiemu.

Rok 1683.

Rok ten, daj Panie Boże szczęście! zacząłem tamże w Olszówce. Rozpoczął się ten rok weselem jmci pana margrabi z jmci panną Branicką, i, daj Boże! żeby cały był wesoły aż do końca.

W tym roku sejm warszawski nastąpił, na którym połączenie wojska, z wielkim zgiełkiem i naradami stanęło, tojest Rzeczypospolitéj i rzeszy niemieckiéj, przeciw potędze ottomańskiéj. Niechże Bóg pobłogosławi te pobożne intencje monarchów chrześciańskich i całego chrześciaństwa! Wiedeń w wielkiéj od Turków opressji, wojska cesarskie już go odstąpiły, nie mogąc wytrzymać, bo zaraz za pierwszym napadem dużo Niemców nacięto, nabrano i z pola zegnano. Wiedeń attakowano, dziury w murach porobiono, szańce minami porozrywano, miny pod miejskie bramy pozaprowadzano, tak, że już Wiedeń ledwie, ledwie oddychał; właśnie, kiedy owo mocny słabego nasiędzie i gardło ściśnie, już ów nie myśli, żeby mu się wydarł, ale tylko żeby u niego uprosił miłosierdzie. Była prawda w Wiedniu załoga wielka, kommendant dobry kawaler (generał Staremberg), armat i prochu w podostatku, prowiantów téż dosyć, ale cóż, kiedyto przeciw teraźniejszym sposobom dobywania już nie masz i jednéj pod słońcem fortecy, żeby własném męztwem wytrzymać miała; inaczéj to bywało owych lat, gdy kamykami i oszczepami do siebie ciskali, taranami mury tłukąc, a inaczéj teraz, kiedyto granaty, bomby i kartacze wypuszczą: kiedy z okrutnych kartanów jako cebry kule wylecą, kiedy uczynią dészcz ognisty, i przez pancerz, przez łosią skórę i przez wszystkie ubiory, ciało aż do kości przenikające i jak świderkiem wiercące; kiedy wyrzucą ognie, okrutnemi fetorami lud zarażające, mortyfikujące i prawie powietrze morowe robiące; kiedy poślą inne narzędzia, wody do użytku potrzebne trujące; kiedy naostatek rozumiesz, że bezpiecznie stoisz na ziemi, od Boga i natury mocno ugruntowanéj, a nie wiesz, co się pod tobą dzieje, że w téj minucie wraz z miejscem, na którém stoisz, belluardami i kamienicami potężnie wymurowanemi, jako mucha wylecisz z dymem pod obłoki. Już teraz forteca na to tylko potrzebna, żeby furman nie wyjechał przededniem z miasta, nie zapłaciwszy wprzód w gospodzie siana, albo żeby wilk pana burmistrza nie porwał śpiącego, ale żeby miała która wytrzymać dobywanie inwencij teraźniejszych, takiéj nie masz.

Tak i wiedeńska forteca. Któżby bowiem, spojrzawszy na piękność i fortyfikacją jéj, nie pomyślał, że dziełu takiemu chyba Boska, nie ludzka, dokuczyć może ręka; patrzcie, przez krótkie, bo dwumiesięczne, oblężenie, jaką poniosła szkodę, kiedy zewsząd ściśniona upadała już na swoich siłach i już od pana i narodu swego pozbawiona była wszelkiéj pomocy (bo tak byli Niemcy zhukani i serce stracili, żeby się samym Tatarom, a cóż dopiero Turkom, oprzeć nie umieli). Rąbano w każdém spotkaniu Niemców nieboraków, jako drwa w lesie. Wiednia tedy, jak mówią, nic już nie trzymało, tylko jedna nadzieja pomocy wojska polskiego, o którém przecie miewał wiadomość Starenberg przez skrytych szpiegów, od cesarza posłanych. Już tedy niebożęta owe dziury powybijane i prochami powysadzane, piersiami tylko swemi zastawiali, a poddanie i warunki poddania, już dawno postanowione, odwłóczyli od dnia do dnia.

Wiedzielić i Turcy, że Polacy idą na pomoc, albo raczéj na odsiecz, ale temu nie wierzyli, żeby sam król w swojéj osobie i żeby całe szło wojsko, jeno wnosili, że pewna część wojska, dla tego powoli sobie poczynali, i nie bardzo przyspieszali wzięcia fortecy, mniéj się obawiając tych posiłków i biorąc miarę: „Jeżeli tak wielkie wojska niemieckie pierwszego zaraz impetu wytrzymać nam nie mogły, i teraz w oczy zajrzeć nie śmieją, choć im o stolicę państwa ich chodzi, choć przy swoich śmieciach, pewnie i ta garść wojska polskiego nie zawojuje nas.“ Już tam był u cesarza kawaler Lubomirski wraz z tymi Polakami, których za cesarskie pieniądze zaciągano, i dobrze tam stawali, luboć téż tak było, że i motłoszku nazaciągano, bo lada pokojowy, to pan rotmistrz, to pan porucznik; lada pacholec przyszedł piechotą na zaciąg, kupiono mu konia, to pan towarzysz. A po staremu Niemcy dawali im dobre słowa, ale się to działo pod dobrymi wodzami. Kiedy tedy król wybierał się na tę kampanją, była ochota we wszystkich ludziach taka, że duszkożby było i ptakiem jak najprędzéj przelecieć. A znak to już był przyszłéj fortuny, nawet sam król z taką jechał fantazją, właśnie jak po pewne i nieomylne zwycięztwo, bo zaraz i historyków, żeby jego i narodu polskiego dzieła pisali i głosili, zaciągał z sobą; i Kochowskiego nie inną intencją zaprosił na tę wojnę, tylko żeby przypatrzył się i umiał godnie opisać zwycięztwo. Nawet w ten dzień, kiedy już w Krakowie miał król wsiadać na koń, słyszałem z ust jego te słowa: „Proszę Boga, żebym ich tam tylko zastał, a nie trudno będzie w Polsce o tureckie konie.“

Tak mi to dziwno było, usłyszawszy potém o zwycięztwie, jak to on prorockim duchem mówił, co się wkrótce stało. Niektórzy natenczas szemrali przeciwko tym słowom, mówiąc: „Dla Boga! żeby go Pan Bóg nie skarał, jeżeli to z hardości mówi, boto przecie z potężnym i zwycięzkim ludem sprawa.“ Ale snać, że to mówił z ufności wielkiéj w Bogu, kiedy się tak stało. Oczekiwał król długo na wojsko litewskie, a tu lecą od cesarza poseł za posłem, prosząc na Boga, żeby pospieszyć, bo Wiedeń ginie. Już tedy Litwinów doczekać się nie mogąc, poszedł król, śluby uroczyste Bogu uczyniwszy, pilnowanie krajów ruskich Potockiemu, kasztelanowi krakowskiemu, zleciwszy, a królowę zaś w Krakowie osadziwszy. Jak król wszedł za granicę, prowianty wielkie dla wojska dawano i wygody czyniono. Szedł jednak król z wojskiem wielkiemi pochodami, obawiając się, żeby Wiedniowi nie było jak umarłemu kadzidło, któremu już też natenczas Turcy, gdy się dowiedzieli o zbliżającém się wojsku polskiém, mocno poczęli dogrzewać, bo dowiedziawszy się cesarz turecki o połączeniu, i obawiając się przecie téj, która go nie minęła, konfuzji, posłał emirów do wezyra pod Wiedeń i zarazem posłał mu postronek, upewniając go: „Nie minie cię ten postronek na szyję, jeżeli w tych dniach Wiednia nie weźmiesz, bo tobie zachciało się téj wojny, tobie téż za to odpowiadać należy, jeżeli zły wypadek będzie.“ To ten zdrajca janczarów przekupował, poił, ażeby odważnie stawali, a niewolników gnał przodem przed janczarami do szturmów; sam zaś jako wściekły latał, ten postronek włożywszy sobie na szyję, i zachęcał, prosił przez wielkiego proroka Mahometa, aby pamiętali na sławę niezwyciężonego narodu swego; aby mieli wzgląd na jego zgubę, któréj nie minie przez ten powróz, jaki na szyi nosi, jeżeli Wiednia nie dostanie.“ To pogaństwo na oślep w ogień lazło, a jako snopy padały, kiedy już król z wojskiem szedł od Tulna, wtenczas oni najpotężniejsze szturmy czynili. Nawet choć już stanęło nasze wojsko i już się nasze półki i regimenty niemieckie pokazały, przecie on janczarom szturmu poprzestać nie kazał, a konne wojsko Spahierów, Tatarów i Węgrów Tekielego, na nas obrócił. Uderzyli się Tatarowie raz i drugi o naszych, potém stanęli sobie osobno. Posyła wezyr po chana, i pyta go: „Cóż ty rozumiesz, jestże tu król polski?“ Chan odpowiedział: „I rozumiem i widzę, że jest, bo kiedy są ci drażnicy, toć i król być musi.“ Rzecze wezyr: „Radź o mnie.“ Chan odpowiedział: „Radź ty sam o sobie, a ja też o sobie; wszak ja tobie dawno radził, żebyś odstą-

pił od Wiednia, nie czekając na Polaków.“ Skoczywszy chan od wezyra do swoich, zawołał: „Allah, allah!“ Zaraz jakby piłką rzucił poszli Tatarowie, Turcy téż poczęli słabnąć, a potém w nogi. Dopieroż ich przerzynać, siec, gonić; z miasta téż obleżeńcy widząc, że już uciekają, wypadli na owych, co u szturmu byli, i nuż ich kosić. Ległożto tedy tego pogaństwa mostem, a żywcem gnano ich stadami do Wiednia, żeby naprawili za pokutę te dziury, co je w murach i wałach porobili. Armaty zostały wszystkie, obóz także został ze wszystkiemi bogactwami. Złota, koni, wielbłądów, bawołów, bydeł, owiec stadami, pełno koło obozu. Owych namiotów ślicznych, bogatych; owych sepetów z różnemi specjałami ku ochędóstwu, nawet pieniędzy nie zdążyli pobrać, bo tego po wszystkich namiotach zastawano dosyć. Wezyrskie namioty tak wielkie, jak jest cała Warszawa w swoim obwodzie, na króla naszego ubieżone ze wszystkiemi dostatkami; nawet worki talarów wielkiemi stosami na ziemi leżały; dywanami złotemi i srebrnemi ziemia usłana; łóżko z pościelą, które kilkadziesiąt tysięcy talarów szacowano. Pokoiki w tych namiotach tak skryte, że ledwie trzeciego dnia znaleziono utajoną jakąś wezyrską kochankę, a drugą, strojną bardzo, ściętą, przed namiotem leżącą zastano; powiadano, że ją sam ściął wezyr, ażeby się w ręce nieprzyjacielskie nie dostała.

Stały drugie namioty i tydzień i dwie niedziele, bo tego i przebrać nie możono. Nasi téż Polacy, co tego byli nabrali, to znowu, jak kazano iść do Węgier, powyrzucali z wozów, albo lada gdzie na przeprawie, gdy konie uwięzły w błocie, to podesłali pod konie ów namiot, który był wart tysiąc i więcéj, żeby prędzéj wóz wyciągnęły. Powiadali nasi, jakieto tam Turcy mieli wygody w tych swoich namiotach, żeto i wanny i łaźnie ze wszystkiém jako w miastach, i zaraz przy nich śliczne studnie cębrowane; mydła perfumowane, po lisztwach stosami leżące; wódki pachniące w baniach; aptyczki znowu osobne z różnemi balsamami, wódkami i innemi należytościami; srebrne naczynia do wody; nalewki i miednice do umywania takież, noże, kindziały, rubinami i djamentami nasadzone; zegarki kosztowne, na złotych obiciach wiszące; pacierze albo szafirowe, albo, jeżeli koralowe, rubinami lub jakim drogim kamieniem nasadzone. Nawet pieniądze, albo stosami w workach na ziemi leżały, lub też tak goło na ziemi w namiocie na kupach posypane, a nigdzie w szkatułkach, chyba u tych mniéj dostatnich, to w sepeciku zasznurowane, bo tam nie masz zwyczaju, żeby miał jeden drugiemu ukraść, i złodzieja między Turkami nie znajdzie.

Znaleziono i wiktuały różne specjalne, od ryżów, mięs, chlebów, mąki, maseł, cukrów, oliw i innych. Cóż tedy obóz dokuczy w takim porządku? Ale to wszystko dostatek, jakto mówią, czyni statek. Nie dziwować się, bo są łupieżcami całego świata i panami czterdziestu królestw.

Miłą tedy i ochotną każdemu ma być wojna z Turczynem; nie żal i skóry szczérze nadstawić, kiedy wiem, że zwyciężywszy, będzie za co plasterek kupić, i czém ranę zawinąć.

Koniom także u nich wielka jest wygoda, bo nie zniszczeje, gdyż nie pod gołém niebem, ale pod namiotem sucho i pięknie stoi. Chodzą, nakrywają je derami ciepłemi, i prześcieradłami, jedwabiem i złotem szytemi. Zgoła, co tylko tkniesz, to wszystko specjał, i słusznie każdemu trzeba mieć ochotę do wojny przeciwko Turczynowi; bo się tém i Bogu przysłużysz przeciwko nim wojując. Jest też to naród delikatny, nie tak pracowity, jak przedtém bywał. Te ich bogactwa i dostatki zatopiły ich w delicjach i zniewieściałymi zrobiły. Oni tylko Tatarami i brańcami, których z inszych narodów biorąc, sposobią do wojny, czyniąc z nich janczarów i spahierów, walki staczają, ale sami już zdelikatnieli, i ta miękkość prędką im téż podobno przyniesie zgubę, jakto mamy z doświadczenia, że i innym narodom, z zbytniéj miękkości i roskoszy, tak się stało, a które przedtém réj wodziły i całemu światu strasznemi bywały. Dobreto już teraz na zawojowanie Turczyna początki, kiedy Bóg takie na zniszczenie jego i odzyskanie tak wielu królestw i świątnic, podał sposoby.

Stanęło to zwycięztwo szczęśliwie dnia 12 Września, i rozweseliło całe chrześciaństwo, rozweseliło cesarza zdesperowanego, Bogu się tylko w opiekę oddającego, rozweseliło całą rzeszę niemiecką, a osobliwie mieszkańców miasta Wiednia, których grzbiet najbliższy był téj dyscypliny. Narodowi naszemu zjednało zwycięztwo to wieczystą sławę, gdyż i teraz przyznają to narody. Słyszałem z ust jednego godnego pana francuzkiego, który mówił, „że Polacy są rodzicami Niemiec,“ boto jest rzecz pewna, że jużby Wiedeń więcéj jak trzy dni nie był się trzymał, który gdyby był zginął, zginęłyby i wszystkie posiadłości cesarza, a następnie i drugie chrześciańskie państwa. Królowi, panu naszemu, jest za co dziękować, że sam w swojéj osobie na tę nie chronił się wojnę, bo ta jego ochota wiele chrześciaństwu uczyniła dobrego, osobliwie jednak te pożytki przyniosła, że każdy z paniąt i z panów polskich sam osobiście poszedł na wojnę, chcąc się przypodobać

królowi jmci, przezco owemi assystencjami uczyniło się wojsko nierównie większe i okazalsze; drugi pożytek, że większy strach ogarnął nieprzyjaciela i skonfundował, dowiedziawszy się, że sam król jest swoją osobą; wiedząc o nim, że jest pan wojenny i szczęśliwy, i nie zapomniawszy jeszcze łaźni, którą im w r. 1673 sprawił pod Chocimem nad Dniestrem.

Wszyscy tedy katolickiéj religji ludzie byli i są kontenci z téj króla, pana naszego, rezolucji, oprócz Luteranów i Kalwinów, bo oni tę wojnę za swoją mieli i Pana Boga prosili, żeby Turcy zwyciężyli, mówiąc: „Że to na korzyść ich, ujmując się za prześladowaniem Tekielego i wszystkich Dyssydentów.“ Byłem wtenczas w Gdańsku, gdzie Pana Boga proszono po zborach, żeby dał zwycięztwo Turkom nad cesarzem. Jak zaś już z gazet cokolwiek doczytali się, że się Tekielemu poszczęściło, że tam gdzieś na podjeździe udławił kilku Niemców, to zaraz tryumfy, zaraz dziękczynienia: „Ach Herr Gott, ach lieber Gott!“ Obrazy Tekielego na koniu w zbroi przedawano; niektórzy wiersze drukowane przedawali i zaraz je téż śpiewali. Idę, a tu jeden podpiły trochę śpiewa; pytam: „Co takiego śpiewa, że tak z pilnością słuchają?“ Powiadają: „Żeto nowiny o panu Tekielim, jako cesarza szczęśliwie zwycięża.“ Usłyszawszy ów, co je śpiewał, że się o tém pytam, pokazuje mi po niemiecku pisane wiersze i mówi: „Ja, ja, mospan, kupić, kupić!“ Pytam: „Co za nie?“ Odpowie: „Grosz.“ Dałem mu, aż tu za mną idzie chłopów kupa do gospody, com im miał dawać pieniądze. Był między nimi frant jeden i mówię mu: „Miły bracie! będziesz miał tynfa, utrzyj że z.... tą kartą.“ Chłop z wielką ochotą spuścił spodnie, golusieńką panewkę wytarł owemi awizami i cisnął do Motławy. Widząc to Niemcy i Niemki, poczęli mruczeć i szemrać, a jam poszedł; katolicy zaś i ci, co z okrętów na to patrzyli, okrutnie się śmiali. Kiedym zaś to powiadał katolikom mieszczanom, także Dominikanom i Jezuitom, to mówili: „Szczęście, że na wmści nie było tumultu, bo oni tu Tekielego ledwie nie jak bożka czczą.“ — Rajono mi konie kupić na nowych ogrodach u kupca (bo tamto ku Oliwie przedmieście zowią nowe ogrody); poszedłem tam w niedzielę na odwieczerzu, wtenczas, kiedy wszystek prawie lud z Gdańska wychodzi i wyjeżdża na przechadzkę. Idąc już nazad od owego kupca, począł dészcz padać, a żem w pogodę wyszedł i nie wziąłem opończy, wstąpiłem do austerji, chcąc przeczekać ów dészcz. Owi też spacernicy, gdzie który mógł, to uciekał pod dach; wpadło ich tedy kilku i do téj

izby, gdzie ja siedziałem; posiedli u stołów i poczęli sobie o wojnie dyszkurować. Jam niektóre tylko słowa rozumiał. (A deszcz wielki leje i woda rynsztokami jako rzeka płynie). Patrząc oknem na owę wodę, rzecze jeden: „Daj Boże! żeby tam pod Wiedniem katolicka krew takiemi strumieniami płynęła, jak ta woda.“ Rzecze drugi: „Nadzieja w Bogu!“ A jeden Niemiec, osobno od nich siedzący, ściśnie ramionami, zwróci oczy w niebo i obejrzy się na mnie, nic nie mówiąc, tylko głową ruszał; ja to widzę, ale nie wiem, na co on to czyni, i owych też słów nie rozumiałem, co ci tam wymówili; nie pytam go téż, bo człowieka nie znam i konfidencji z nim nie mam. Owi znowu mówią na naszego króla te słowa: „Ale ten świnia karmna, po co on tam poszedł? co tam po nim było? bodajże tam obadwaj z cesarzem doczekali kajdankami brząkać!“ A tymczasem ów, co osobno siedział, nie mógł już wytrzymać, bo był katolik (był to Niemiec, ale Gdańszczanin, z któregoś pruskiego miasta i bawił się faktorowaniem przy kupcach), ozwie się do nich nie po niemiecku, ale tak żebym ja zrozumiał po polsku, i mówi te słowa: „Rozumiałem, że siedzę z chrześcianinami, a ja siedzę z poganami; rozumiałem, że z ludźmi, ale widzę z bestjami; a godzi się to takie zbrodnie mówić? bodajże was zabito!“ A oni do szpad; on tylko miał trzcinkę; chciał go jeden uderzyć płazem, czyli téż ciąć, zastawił mu się laską; ów raził go trochę, ten woła na mnie: „Mospanie! przeciwko królowi mówią.“ Ja do szabli, Niemcy z izby. Trudno już było za nimi wypadać w Gdańsk. Dopiero mi rzetelniéj opowiedział, co mówili. Ja mówię: „Pójdź ze mną do prezydenta.“ „Pójdę.“ „Zeznasz to?“ „Zeznam.“ Poszliśmy, a natenczas był prezydentem niejaki Szumann, człowiek grzeczny i rozumny; przyszedłszy, nie zastaliśmy go; odjechał do majętności. Poszedł znowu ze mną ten człowiek do gospody. Przed samym wieczorem posłałem znowu do prezydenta. Przyjechał, ale się już położył sturbowany, nie jedząc i wieczerzy. Miał tedy nazajutrz rano do mnie przyjść pan Baleński i pójść ze mną do prezydenta. Nie widać go jednak dzień jeden, drugi i trzeci, a onego już zaspokojono i dla tego stronił odemnie. Pytam się jednak o niego inszych faktorów, meklerów, jak ich tam zowią. Powiedział mi Felski, faktor, „że siedzi w komorze u Kąpki.“ Poszedłem tam, zastałem go i mówię: „Słowo kędy?“ Pocznie wykręcać: „Nie znam ich, nie wiem jak się zowią, skarzyć, nie wiedzieć na kogo.“ Jam zrozumiał sprawę i mówię: „Przefakcjonowano cię nieboże, ale wiedz o tém, żebyto więcéj uczyniło, gdybyś chciał

popierać takiego kryminału; jestto zbrodnia obrażonego majestatu, a do tego wielkie przeciwko Bogu bluźnierstwo.“ Przyznał się, że mu zapłacono, żeby milczał. Prosiłem go, żeby mi przynajmniéj powiedział, jak się zowią, bobym ich był pewno aresztował u magistratu, a potém miastu mandat przysłał, ale i tego nie chciał uczynić, wymawiając się: „To panięta, ludzie zacni, a ja tu służę, Gdańskiem żyję; musiałbym się tu nie zostać.“ I tak przepadło; tego mi tylko żal było, że w niebytności prezydenta do inszych z magistratu osób nie przeszedłem się i nie oświadczyłem się zaraz za świeżego prawa, bo jużby się był trudno mógł zaprzeć słów swoich, raz zeznawszy, choćby mu było i najwięcéj dawano. Takiegoto téj wojnie i sami chrześcianie życzyli sukcessu, jedni dobrego, drudzy złego. A Pan Bóg z tymi, którzy przecie byli za dobrą stroną, dał zwycięztwo szczęśliwe, dał zawziąć serce i siły dobrym chrześcianom, a skonfundował sektarzów i ich protektora.

Po oném szczęśliwém zwycięztwie skoro się zjechali monarchowie, aby się wzajemnie uściskać, cesarz chrześciański Leopold z królem polskim, Janem Trzecim, jakie tam były pociechy, jakie gratulacje, jak książęta rzeszy pozjeżdżawszy się, to jest, książę lotaryngski, książę bawarski, książę badeński i inni, jako mile króla witali, jako wdzięcznie tę przysługę przyjmowali, będą o tém obszernie pisać historje. Jechał potém król oglądać Wiedeń i spustoszenie jego; tam go zaprosił Staremberg i u niego jadł. Kiedy jechał przez miasto, tak wielka była ciżba, jakiéj podobno podczas bronienia szturmów nie było, bo każdy chciał widzieć króla polskiego; ludzie niebożęta z wielkiéj radości płakali, ręce do nieba wznosili, błogosławieństwa i zapłaty od Boga wołali, króla zbawicielem swoim nazywali, aż uszy zatykał; od żołnierzy po gospodach zapłaty za wina i za inne rzeczy brać nie chcieli; tylko grubianie brali.

Poszły potém wojska cesarskie i polskie do Węgier szukać Turków i niektóre attakować fortece, a pominąwszy Komorę, fortecę cesarską, która jeszcze w pogańskich nie była rękach, lubo dalsze za nią pobrano fortece i nowe zamki pobudowali Turcy, a przyszedłszy ku Strygonji, zastały pod Parkany wojsko tureckie, o którém lubo nasi wiedzieli, ale rozumieli, że to tam tego coś nie wiele, i nieostróżnie też postąpili sobie w przedniéj straży. Turcy jak wsiedli na naszych, nie przyszło im i ognia dawać; zupełny regiment dragonji strażnika koronnego Bidzieńskiego wycięto w pień, i inszéj dragonji, którą do przedniéj straży poprzy-

dawano, wycięto wiele; sam strażnik ledwie uciekł, a zgubił ludzi więcej niż dwa tysiące; oficerów młodych, ślachty, krewnych swoich, wiele pogubił; tak zaś cicho i prędko to się stało, że wojsko, nie daleko za pagórkiem będące, nie wiedziało o tém. Przyszedłszy tedy król z wojskiem nad owe trupy, zaraz naszym serce upadło; a wtém Turcy skoczą obces na naszych; poczęli się im zrazu trochę opierać, ale potém jak wzięli tył chorągwi wojewody ruskiego, hetmana koronnego, zaraz chorągiew hussarska poczęła uciekać, druga za nią, trzecia za nią, nareszcie całe wojsko w nogi, i król i hetmani, wszyscy z wielką hańbą i pośmiewiskiem Niemców milę wielką sromotnie uciekali, aż się o cesarskie wojsko oparło. Wojewoda malborski, Dönhoff, człowiek bardzo tłusty, zginął; Siemionowski, porucznik, także; kompanij siła nagineło; chorągwie, kopje i kotły precz porzucali. Pod królem już się koń począł był rozpierać, ależ go z obu boków połechtano płazami, żeć przecie poniósł pana daléj. I tak wiedeńskiego zwycięztwa niewypowiedzianą sławę, zmazalibyśmy byli wiecznie czwartkowéj ucieczki hańbą, gdyby był Pan Bóg nie pogłaskał jéj znowu sobotniém, jeszcze większém, niżeli pod Wiedniem, zwycięztwem.

Podobnośmyto już byli podnieśli serce w pychę, słysząc owe pochlebstwa fortuny z ust ludu, tojest słowa: zbawco, zbawicielu nasz! Podobnośmy z owym pysznym zwycięźcą pomyślili sobie: „Któż jest, coby tego z rąk moich mógł wydrzéć?“ Położył trupem przed oczyma naszemi kilka tysięcy dobréj kawalerji, żebyśmy widzieli, że jako tych pomostem leżących, tak i nasze zdrowie w jego świętéj jest dyspozycji; żebyśmy widzieli, że nie wielkość, ani moc wojska, ale niebieskie potęgi biją nieprzyjaciół; żebyśmy widzieli, że nie rozum, ani doświadczenie nasze, ale ręka Boska daje nad nieprzyjacielem i przynosi zwycięztwa. Wzięliśmy chłostę we czwartek, żałujmy za grzech i upokorzmy się Bogu w piątek, a znowu Bóg nas podniesie i da się zemścić w sobotę, wierząc z psalmistą: „Że kogo dziś zafrasuje, tego jutro umiłuje.“

Basza tedy sylistryjski zwyciężywszy za wolą Boską naszych i spędziwszy z pola, pozbierał z pobojowiska owe porzucone kopje, kotły, bębny i chorągwie, i posłał to wraz z więźniami pod Budę seraskierowi, opowiadając, że zniósł całe wojsko polskie, posłał potém i głowę wojewody malborskiego, Dönhoffa, twierdząc za pewne, że to jest głowa królewska, i żeby ją zaraz sułtanowi odesłał, obiecując, że jutro znowu tak będzie i wojsku niemieckiemu, gdyż są już prawie jak w saku. Seraskier ucieszył się tém

zwycięztwem, i do rozpoznania owéj głowy zwołał ludzi, którzy króla dobrze znali; różni różnie twierdzili.

Posyła tedy Seraskier wojsko, które przy sobie miał, w sukkursie Sylistryjskiemu baszy, winszując mu tego zwycięztwa, prosząc żeby prosekwował zaczętą wiktorją, informując go jako sobie ma daléj postąpić. Mieli tedy most na Dunaju między Budą a Parkany, przeszło wojsko tureckie na tę stronę Dunaju, Sylistryjskiego. W piątek już tedy miał potęgę większą, niż przedtém, nadzieje pełen że mu się Niemcy już nie oprą, ponieważ mu Pan Bóg tak poszczęścił. Nasz téż król lubo skonfundowany tém nieszczęściem, po staremu sobie dobrze tuszył, mówiąc przed cesarskiemi jenerałami: „Że będzie to inaczéj. Pan Bóg téż to na nas zesłał niestateczność wojny.“ I tak obie stronie cieszyły się nadzieją. W sobotę rano, to jest 9 Października, poszło wojsko nasze pod nieprzyjaciela; niemiecka batalja za nimi w trop; przyszli pod Parkany i stanęli szykiem. Turcy téż jako na miód wyszli w pole z swego obozu, i zaraz nie wiele myśląc, najpierwéj na te chorągwie skoczyli, które we czwartek poczęły uciekać; nuż się bić; dopieroż insze ich hufce na insze téż nasze pułki uderzyły. Baszowie przywodzą, osobliwie tento Sylistryjski, jako ogień wpada na szeregi. Zawężmie się bitwa; Cesarzani téż już blizko następują, zamięszają nas, Turków, przerznęli ich na dwoje: Turcy w nogi, jedni do mostu, drudzy do fortece do Parkanów. Cesarscy téż pospieszyli tamtém skrzydłem od pola: bijże dopiero jak swoich. (Co uciekali pod fortecę, zmieścić się tam nie mogli, ale zaraz zatarasowali sobą bramy, a drudzy w Dunaj). To tak cięto, trup na trup padał, i zaraz za jednym zamachem i fortecę wzięto, z któréj lubo zrazu poczęto ognia dawać, ale potém i dano pokój, nie wiedząc do kogo strzelać, co się tak nasi pomieszali z Turkami. Owi tedy co nie chcieli szable polskiéj czekać na lądzie, a uderzyli się w Dunaj, jedni tonęli, drudzy napływawszy się wracali nazad do lądu, dając się na dyskrecją; że jako nie może lepiéj ryba pływać, ten koń tak dobry pływacz, znowu się naszym dostał, jak Strygonjum wzięto i w wielkiéj powiadano cenie chodził; jak to powiadają: co wilk ozionie to go nie minie. Tamci zaś co do mostu uciekali, jeszcze mizerniejszą ginęli śmiercią, bo w owym tamulcie u mostu sami się zabijali, ten tego, ten tego, ten téż tego uprzedzając, a tu z tyłu koszą, strzelają, po prostu zły strach. Tak się już tego nacisnęło na most, gmin wielki, owi znowu co pospychani z mostu, kto w pierwszéj chwili nie utonął, każdy się przecie trzymał

mostu: uczyniła się wielka mostowi ciżba, że się rozerwał; dopieroż panowie Ottomani pływać, dopieroż się topić. Owi też co powyżéj pod Parkany tonęli, nadpłynęło to z wodą, że się Dunaj tak zatkał owemi ludźmi i końmi tak bardzo, aż woda na łokieć i lepiéj, na brzegi wystąpiła. Parkany wzięto z armatą, lubo ich z Strygonjéj bardzo broniono, potężnie z armaty strychując, z tamtéj strony, i kule przenosiły i raziły, drugie też i w wodę pluskały.

Tam w Parkanach kto we czwartek zgubił swoję chorągiew, kotły, zaraz to znalazł i wziął jak swoje, bez oporu pana baszy sylistryjskiego; nawet i więźniów żywcem wziętych tam zastano, bo kilku tylko posłał był seraskierowi przy głowie wojewody malborskiego, a z tych byli niektórzy błaznowie, co króla dobrze nie znali, i mówili, że to królewska głowa, bo też wojewoda malborski był podobny cokolwiek do króla, a zupełnie tak tłusty jak król.

Legło tedy owo mnóstwo ludzi, którzy się mieli za zwycięzców we czwartek, ci w sobotę zwyciężeni; którzy we czwartek gonili, ci w sobotę uciekali; którzy we czwartek cudze głowe sięgali, swojéj przed szablą polską w sobotę umknąć nie mogli; którzy chrześciańskiéj krwi z wielkim apetytem we czwartek pragnęli, swojéj się w sobotę podostatkiem nasycili. A otóż ze wszystkim dostatkiem wzięto baszów sześciu, zabito dwóch, żywcem wzięto baszę Alepu i baszę sylistryjskiego, najwyższego nad nimi regimentarza. Cesarscy uprzedzili naszych do zrabowania obozu tureckiego, bo nasi na czele potykając się, już szli naprzód, mszcząc się czwartkowéj hańby i krwi braci swoich, i już się na rabunki nie oglądali, aleć i Niemcy nie tak się zbogacili jak pod Wiedniem, boto tam byli ci ludzie, co z pod Wiednia uciekli i już pod Wiedniem swoje skarby zostawili, chyba kto co stamtąd uprowadził, ten pod Parkany to utracił, a przytém i życie. Jaka wszystkiemu rycerstwu niewymowna pociecha, kiedy Ojciec łaskawy pogroziwszy nam, znowu obejrzał się okiem miłosierdzia swego, przywrócił po trzech dniach narodu polskiego sławę, dał się zemścić do woli krwi braterskiéj, usłał sowicie pola i bystre nurty i bezbrodne Dunaju głębokości trupem ottomańskim. Nie nowina to Bogu, mieć pieczę nad ludem zostającym w jego świętéj opiece. Jakież tam wdzięczne było widowisko chrześciaństwa, nabić do woli Boskich i swoich główních nieprzyjaciół, aż ręce ustawały, a przytém i oczy udelektować zgubą potłumionych ręką Boską. Kiedyto ten się tego chwytał, ten tego topił; jedni długo pływali, salwując się, drudzy zaś jako kamień do dna lecieli, a zawoje jako stada

kaczek pływały po Dunaju. Ów hardy sylistryjski basza, od towarzysza nie bardzo poczesnego do hetmana za kark przyprowadzony; drugi, basza Alepu, jako gołąb siwy, temuż hetmanowi koronnemu, Jabłonowskiemu, przyprowadzony, opłakiwał swoje w niewolą zabraną sędziwość. Kiedy tak wielu inszych i znaczniejszych prezentowano królowi i hetmanom brańców; kiedy lada łóżny pachołek, w szubie i zawoju tureckim, na owych gładkich arabskich prezentuje się skoczkach; zgoła, dość szczęśliwości i wielkiéj swéj łaski pokazał Bóg, kiedy owę czwartkową hańbę tak znacznem zaraz i świeżém nagrodził zwycięztwem. Niemcy zaś żywcem nic nie brali, ale zabijali okrutnie. Nawet i po śmierci cuda z nimi robili, bo włóczyli, pasy z nich darli, rzemień na potrzeby z tych pasów wykręcali, a trzeciego dnia po bitwie z trudnością już było obaczyć Turczyna na pobojowisku z całemi plecami, nawet kiedy który z naszych nieostróżnie prowadził więźnia, a wjechał między Niemców, to mu go w rękach zabili. Synowiec mój, Stanisław Pasek, prowadził jakiegoś znacznego Turczyna, bo strojno i na pięknym koniu siedział, już go rozbroił, i tylko tak konia pod nim za cugle prowadził, aż tu nadjechał Niemiec, a zrównawszy się z Turczynem, pchnął go szpadą; Turczyn tylko stęknął; synowiec się obejrzy, a on już tylko ziewa i z konia leci, a Niemiec skoczył zaraz na stronę. Pocznie go synowiec łająć: „A szołdra, taki synie, zabiłeś mi niewolnika, a godzi się to?“ Niemiec się tylko śmieje, i mówi: „Ja pan brat, pan Polak; szkoda tego poganina żywić.“ Ów łaje: „Tyś szelma, nie kawaler, kiedy w rękach niewolnika zabijasz!“ Niemiec się tylko umyka a śmieje, cóż czynić daléj? Niemcy mieli bowiem wielkie na Turków zajątrzenie, z przyczyny, że im tak wiele poodbierali państw, prowincij i fortec, a druga, że oni są z przyrodzenia okrutni i nie umieją w zwycięztwie kawalerskiéj obserwować kontynencjéj, a do tego, że ich we wszystkich okazjach bijali Turcy, i cale z nimi nigdzie szczęścia nie mieli, bo gdziekolwiek się porwali, to jak na nich wsiedli Turcy z szablami, jako bydło ich rznęli, i w téj nawet okazji, kiedy wielki wezyr przystępował do oblężenia Wiednia, nigdzie mu się nie śmieli stawić zaczepnie, póki jeszcze Polaków nie było, ale tylko zasłaniali się odpornie przy fortecach, kiedy już przeszedł wezyr przez całe państwo, nie dobywając nawet szabli, bo nie miał na kogo. Posłał najpierwéj Tatarów pod Wiedeń, którzy sami, bez Turków, przypadłszy na wojsko niemieckie, tak na nich wsiedli rezolutnie, że kilka regimentów ognistych ledwie nie wpół wycięli,

wszyscy zaś Niemcy sromotnie za mosty ustąpili, które na Dunaju kosztem wielkim pobudowali i sami spalili, wolny przystęp do Wiednia nieprzyjacielowi zostawiwszy. Poznali panowie Niemcy w tych i inszych dawniejszych okazjach, coto Tatarzy umieją i jaka z nimi wojna, a co przedtém z nas urągali się i wiele razy szydzili Niemcy: „Że z narodem gołym, nieorężnym, z ludem do uciekania gotowym, z ludem oto takim wojujemy, których sto przed jedną rurą ucieka.“ Aleć spróbowali, kiedyto te ich ogniste rury szabli tatarskiéj wytrzymać nie mogły, i wielka pusza za nic. Ja zaś tak mówię, że nietylko ten wojownik, który wytrzyma impet w szyku, ale i tego nie trzeba lekce ważyć, który choć trochę placu ustąpi, znowu wraca się i bije; tamten, gdy wygra, szczęśliwy, kiedy przegra, rzadko na zdrowie; ten zaś jako ptak i odleci i nadleci. Pierzchając walczy, pierzchając zwycięża. Wojowałem ja też z Tatarami, a przecie nigdy trupa tatarskiego po potrzebie nie widziałem tak wiele na kupie, jak Niemców, Moskali i innych narodów, bo trzysta, czterysta zabitych Tatarów widzieć na kupie, wielkieto już być musi zwycięztwo, gdy przeciwnie inszych leżało jako drew na kupie. Bodajto z Niemcem wojować! zwycięży mię, nie goni mię; zwyciężę ja go, nie uciecze mi; inaczéj zaś ma się rzecz z Tatarem, bo temu i uciekać źle i gonić go rzecz téż przykra, a choć go i dogonisz, to się przy nim nie obłowisz. Ale wracam do odbieżanéj materji.

Po tém tedy tak szczęśliwém zwycięztwie parkańskiém i wzięciu Strygonji, poszło wojsko nasze ku granicy przez węgierską ziemię; tam między góry wszedłszy, wypadali z gór i lasów powstańcy węgierscy i bardzo naszym sprzeciwiali się, porywając i zabijając czeladź na czatach, i na tabory napadając i rabując, a kiedy źle, to w góry i lasy uciekając, mając po sobie dogodne od natury miejsca. Nastąpiły potém słoty jesienne; koni siła nazdychało; narzucano także i wozów z ową wiedeńską zdobyczą; drudzy woleli to palić, niżeli tém bogacić buntowników węgierskich. Dosyć na tém, że drudzy tak czynili: kiedy mu wóz uwiązł na przeprawie, to wyjąwszy namiot z woza, słuszny, turecki zdobyczny, to go posłał przed konie, żeby się prędzéj z błota dobyły, i tak wóz wyprowadziwszy, owego namiotu, w błoto wtrętowanego odjechał, który wart był kilka tysięcy. Cyny, miedzi, sajdaków, burdziadków i różnych tureckich specjałów, co tego nawyrzucano w błota, w rzeki, komu już konie ustawały. Bo chciał cesarz, żeby było wojsko nazad poszło do Polski, prosto na Szląsk wytchnąw-

szy w Morawie, ale samiśmy naparli do Węgier, spodziewając się czegoś tam dokazać; ale to trzeba było te rzeczy na całe lato począć nie na zimę, a przy tém znać że wola Boża z naszą nie zgadzała się intencją, dla tego nam rzeczy nie poszły tak, jakośmy sobie życzyli. Idąc nasi przez Węgry, wzięli Lewczą i Syczyn, gdzie były tureckie załogi. Kiedy zaś podstąpili pod ów Syczyn, potrzeba im było języka z miasta. Kazano koniecznie Kozakom, żeby się o niego starali, obiecawszy im nagrodę. Poszło ich kilku w sady, lecz nikogo porwać nie mogli, bo ludzie byli ostróżni i nie wychodzili z miasta; ale obmyślili sposób taki: zasadziło się ich kilkunastu w sadach, a dwaj poszli pod miasto, i, przypatrując się, postępują coraz bliżéj; skoro tam z miasta ich spostrzeżono, zrozumiano, że ich kula dosięgnąć może; wyrychtowano zatém do nich i strzelono z hakownicy, czyli janczarki; jeden z nich naumyślnie, choć go nie trafiono, padł na ziemię; drugi począł go trzeźwić, podnosić, a potém i rozbierać z sukien. Widząc to Turcy, i do owego dali ognia z kilku sztuk razem; ten w nogi, porzuciwszy drugiego niby zabitego, i nie obejrzał się, a jeszcze gołemi miejscami uciekał, żeby go z miasta widziano, że ku obozowi idzie. Ów niby zabity leży ubrany w suknią jasno-czerwoną. Po małéj chwili idzie Turczyn rozbierać go; dochodząc do niego, stanął i obejrzał się we wszystkie strony; patrzał i pod drzewa; nie widać nic; przymknął się do niego, spójrzy mu w oczy i widzi, iż je ma zamknięte, a zęby wyszczérzone; pocznie się już sposobić do owéj ostatniéj nieborakowi posługi (nie ubierał go, a rozbierać chce); przyklęka i chce mu guziki rozpinać, a Kozak go za kark. Turczyn krzyknie, wezmą się z sobą. Ratować trudno, miasto daleko i przez fossę, a tu Kozacy z zasadzki lecą; Turczyn się wydziera i radby bardzo puścił Kozaka, a Kozak go nie chce. Przypadli (Kozacy), wzięli (Turczyna) i przyprowadzili królowi. Jaka to piękna inwencja i kunszt kozacki! Wyrozumiawszy król z języka, że przy nadziei Bożéj, może być w rękach naszych pomieniony Syczyn, kazał do szturmu gotować się. Tam téż przygotowano się dla gości dosyć porządnie, a skoro już przystępowały regimenty do szturmu, dawano ognia okropnie; nastrzelano naszych dużo i kilku oficerów znacznych postrzelono; ale jak obaczyli Turcy, że to jak głodne muchy do oprawnego a tłustego cisną się wołu, że nic nie uważając na owo ich gęste strzelanie oślep, jako mówią, idą do szturmu, poddali się, prosząc o miłosierdzie, i tak dano im przebaczenie. W tym szturmie ustrzelono

nogę lewą kawalerowi odważnie stawającemu, Franciszkowi z Brzezia Lanckorońskiemu, staroście stobnickiemu, który przypadek tak skonfundował króla i hetmanów, że woleliby byli téj fortecy nie mieć, nie znać i zdaleka ją ominąć, niżeli pozbyć kawalera tak godnego i ojczyznie potrzebnego. Bardzo się więc zawiodła zazdrośna fortuna, ogołociwszy ojczyznę naszą z tak potrzebnego syna; łaska i protekcja samego Boga nie dała jéj w tém tryumfować. Jest serce i fantazja, co i przedtém; dzielność i rezolucja, jako i była, siła jest; ochota do usługi ojczyzny taka, albo jeszcze lepsza; krótko mówiąc, uczynimy, co należy; zajedziemy, gdzie potrzeba; będziemy tam, gdzie i drudzy; nie wzdrygajmy się wszędzie pokazać się. Nie może tedy zła fortuna dobrych ojczyzny ukrzywdzić synów, których ręka Boska w swojéj łaskawéj zachowuje opiece, i owszem, chcąc zepsować, bardziéj czasem naprawi, kiedy dobrą sławę i nie umierającą nagali reputacją.

Takim ojczyzny synom oby nieba obfitych dodawały szczęśliwości życzyć należy, mówiąc z poetą: „Żyjcie waleczni i waleczne serca stawcie naprzeciw najtrudniejszym razom.“

Apostrophe.

Białego orła synu! kwitnie w swéj ozdobie
Gniazdo jego, które cię wychowało sobie,
Ma ukontentowanie i gust z téj przyczyny,
Że na tak jawne światu patrzy twoje czyny.

Cieszy się orzeł polski, że syna takiego,
Ma cnotą i postępkiem sobie podobnego;
Co nierad na nikczemne persony pogląda,
Równego fantazją syna każdy żąda.

Równy równego lubi, w paragon nie wchodzi
Z orłem puhacz, bo w cieniach pasie się i rodzi,
Ten zaś swoje orlęta applikuje sobie,
Żeby w słońce wlepiły śmiele oczy obie.

Słońce jest dobra sława, którego promienie
Rozganiają w człowieku wszelkie gnuśne cienie,
Kto się do sławy bierze, jako w słońcu chodzi,
Bo go do téj . . . . (nb. miejsce uszkodzone).

Orzeł jest to król ptaków, więc mogę formować
Stąd syllogizm bezpiecznie, że skrupulizować
Nie trzeba żeby rodził sobie nierównego,
Ale dzielnością, sławą, jak godny godnego.

To już herb narodowy, dom zaś jaki
Ma klejnot na ozdobę? widzę że dwojaki,
Lew i niedźwiedź domowi temu kredensują,
Jego prerogatywy i sławy pilnują.

Lew ten jest król żwierzętom, któremu to dała
Natura, że nad wszystkie wyższym go mieć chciała.
Odważny, mężny, silny, waleczny i śmiały,
Te wszystkie też przymioty tobie nieba dały

Cny Lackoroński! tobie przodek nad inszemi,
Zasługa w niebie, honor należy na ziemi,
Tobie nie prostą szarżę niebo dyminuje,
Za co? powiém, lecz pierwéj pióro konkuruje.

Do herbów domu twego, bez których to zgoła
I sama się Marsowa nie obejdzie szkoła,
Bo w nich odwagi, męztwa i siły istota,
Z tych rekwizytów męzka jednoczy się cnota.

Niedźwiedź macierzyńskiego domu, cóż ten znaczy?
Pewnie to każdy przyzna, każdy wytłómaczy,
Że zwierz straszny, odważny, serdeczny i mężny,
Do potkania i bitwy nad inne potężny

I na tego przymioty kto się zapatruje,
Pewnie szyków zdaleka nigdy nie lustruje,
Ale pnie się na czoło, frontem się nadstawi,
Krwią się pasie, krew toczy i Marsem się bawi.

Grzbietem się nie zakłada i nigdy nie nosi
Żadnego blachu, ostro o ordynans prosi;
I w niepierzchliwéj bitwie odważnym się stanie,
W plecy (za to szlubuję), rany nie dostanie.

Annibal gdy po bitwie rannych cenzurował,
Nigdy godnością, datkiem tych nie kontentował,
Którzy mu w tyle szwanki swe prezentowali,
Lecz śmiałemi piersiami rany przyjmowali,

Mówiąc, że rana tylna bywa podejrzana,
Zawsze zaś kawalerska w przodzie otrzymana,
Przyjmuje mężny grzecznym szwanki swoje frontem,
Że kawaler, świadczy się światu Helespontem.

Lacedemończyk jeden w bitwie pokonany,
Leżąc na placu, cierpiąc już śmiertelne rany,
Prosi nieprzyjaciela, by go wywrócono,
I jeszcze z raz orężem w piersi uderzono.

Pytają go: „na co to?“ Powie że „dla tego
Żebym u inszych uszedł rozumienia złego,
I żeby się nie wstydził mój Hetman kochany,
Widząc u trupa same tylne tylko rany.“

Jeszcze i nasze wieki w takich nie zgłodniały
Rycerzów, jakich tamte co przed nami miały:
Mocnym lwem i niedźwiedziem kto się pieczętuje,
Nie zamrużone oko w bitwie pokazuje.

A czemu Płomieńczykiem ten herb jest nazwany?
Temu że jasny płomień z gęby pokazany:
Czego są dwie przyczyny, żeby przy mężności
Téj zawsze jako płomień byli żarliwości.

Jego zacni klijenci, proponując żyżny
Do chwały Boskiéj zaszczyt i miłéj ojczyzny;
Żeby ten przyrodzony przymiot sobie mieli,
Miłością przeciw Bogu, bliźniemu gorzeli;

Druga, żeby się ognia nigdy nie wzdrygali,
I w mężnéj stateczności po wszystek czas trwali,
By im saletra, ani siarka, nie śmierdziała,
To im płomieńczykowa reguła przydała.

Jest tu i ognia dosyć i dosyć ochoty
Do Marsowego dzieła i jego roboty,
Jest z tego Płomieńczyka pożytek obfity,
Jest Bogu i ojczyznie trybut należyty.

Ma niebo dość jasności, a przecie tém bardziéj
Płomieniem domu tego widzimy nie gardzi,
Gdy katedry imieniem jego koronuje;
Znać że w jego jasności szczérze korzystuje.

I Marsowi nie skąpo ognia w swéj imprezie,
A przecie Płomieńczyków zażywa de Brzezie,
Żedy mu jego szarżéj szczérze pomagali,
I trudne nie raz na nich ordynanse wali.

Na gęsto zbrojne szyki, na dzirydy, groty,
Szable, kule, kartaczy i różne obroty,
Dawszy im w moc chorągwie, półki, buzdygany,
Regimenty, buławy, zawsze bez nagany.

Jego traktując dzieło, dość mężnie stawają,
Czego dawne i świeższe wieki przyświadczają,
Jako nieprzyjacielską krwią zafarbowali
Marsowe pole, przytém swéj nie żałowali.

Czego świeży dokument mamy w twéj osobie,
Cny Stobnicki starosto! gdy na uszy obie,
Słyszy świat odgłos Marsa, który promulguje,
Że cię za syna swego prawdziwie przyjmuje.

Tyś jest kamień probierczy, próba poczciwości
Domu swego, tać drogę ściele do wieczności,
Ta cię na perspektywy światu wystawuje,
Ta cię ojcu Marsowi w respekt prezentuje.

Kontent Mars, że ma syna godnego w téj mierze,
Który męztwa, dzielności, znaczny assumpt bierze
Od swych herbownych zwierzów, którzy nad innemi,
Męztwem, siłą i sercem prym biorą na ziemi.

Rad patrzy na niedźwiedzia że mu kredensuje,
Przytém swą heroinę śliczną prezentuje
Lew ognisty, frontem mu stoi na pomocy,
Nigdy nie przełamany hjeroglifik mocy.

Pewien będąc że ten lew jego dostojności
Wiernie przestrzegać będzie, o doskonałości
Swoich parentelatów wiernie upilnuje,
Jako mu za to sławny poeta szlubuje *).

A na to Mars co mówi, gdy Starosto! w niebie
Twoje klejnoty widzi? tuszy że na ciebie
Poufale na tamtém miejscu pamiętają,
I swoich influencij życzliwie dodają.

Bo lwa, niedźwiedzia, pannę, przyznać to musiemy,
Jak znaki zodjaku, w katalog liczemy,
Do których komitywy i miesiąc przystaje,
I tobie dobrowolnie pochwały oddaje.

To mniejsze światło nieba swą koligaciją,
Nie mniejszą szczęśliwości przyniesie porciją,
Kiedy dla większéj domu tego wspaniałości,
Niebu i ziemi wyda wdzięczne latorości.

Słońce i miesiąc, świadczą tak filozofowie,
Po Bogu wszystkim rzeczom i wzrosty i zdrowie
Przynoszą. Słońca we lwie z miesiącem złączenie
Jest to konsekwencjéj dobréj rozumienie.

A ta panna, co téż ma w niebie za urzędy,
Czy tam u astrofilów zgodne zdania wszędy?
Że gdzie się instancją swą interponuje,
Wszędzie groźnych planetów srogość mityguje.

---

*) Principio genus acre leonum saevaque secla
Tutata est virtus.

(Lucretius Carus de rerum natura lib. V. v. 860).

Krwawego kiedy Marsa przewaga nastaje,
Siła to ludziom trwogi i strachu przydaje;
I przeciwnym promieniem gdy Pannę przechodzi,
Przecie desperujących cóżkolwiek ochłodzi.

Saturnus nie może się rozszerzać srogością,
I Merkurjusz z swoją zwyczajną chytrością,
Kiedy z Panną kwadratem swym korresponduje,
Zaraz świat przedsłoneczny wielką folgę czuje.

A zaś gdy sama Panna z Jowiszem łaskawym
Rządy rocznie obejmie, przy pokoju prawym,
Wszystkiego się dobrego spodziewać potrzeba,
Zdrowia, fortun pomyślnych i dostatków chleba.

Już Mars krwawego miecza swego nie dobywa,
Już Saturnowa kosa wtenczas odpoczywa,
Fakcije Merkurego waloru nie mają,
I wszystkich złych planetów astra nauczają.

To ja piszę ogólnie, że światu całemu
Ta Panna dobrze czyni; dopieroż swojemu,
Kto się jéj konterfektem wiernie tytułuje,
Jemu za to szczególny affekt konformuje.

Ma się tedy czém szczycić Rawiczowskie plemię,
Że herb jego nie tylko odziedziczy ziemię,
Lecz w niebieskich obrotach ma też gubernija,
Przyznam, że to szczęśliwa taka familija.

Jest tego herbu pełno w Litwie i w koronie,
Po wszystkich województwach, w każdéj prawie stronie,
Nawet w Czeskiém królestwie, jeszcze od Unijéj,
Rozkrzewiwszy się ten herb nabył possessyjéj.

Jak wiele inszych herbów w Polsce poginęło,
I starewnych familij siła poschodziło,
A Rawicz z długą liczbą rachuje swe lata,
A podobno trwać będzie do skończenia świata.

Czemuż to? oto temu: że rzecz jest niegodna,
Aby tak śliczna Panna miała być niepłodna;
Mam go też w jednem polu; moje zdanie na tém,
Aby nigdy nie zginął, chyba równo z światem.

Kto się tym herbem szczyci, przebaczyć w téj mierze,
Kiedy niegładkie mija, do pięknych się bierze,
Bo od swéj heroiny ten przywiléj mają,
Że się z dusze w nadobnych dziewczynach kochają.

Lecz stój pióro, co robisz? bardzoś się zagnało,
O Pannie siła piszesz, o mężnym lwie mało.
Widzę ja to, żeć jakoś ładniéj koncept idzie,
Niż o wojennym Marsie pisać, a czy przyjdzie?

Jednak pióro pozorne ma swoje racyje,
I należyte właśnie w tém ekskuzacyje;
Pierwszą, że Panna znakiem niebieskich obrotów,
I ze lwem gospodarskich zażywa kłopotów.

Druga, że przy wrodzonéj płci swojéj szczupłości,
Nie wzdryga się okrutnych źwierzów surowości,
Gdy nieodmienny sojusz ze lwem uczyniła,
Niedźwiedzia zaś, jak widzim, mężnie zniewoliła.

Z których racjéj taką Mars konkluzyją bierze,
Że jest ta heroina jego manierze
Zdolna z swemi synami; druga to Bellona.
Do dzieła Marsowego od nieba zrodzona.

Godna téj powagi, więc nie dziw że skoro,
Do jéj chwały chętliwe uwzięło się pióro,
Które miało być dosyć wielką materyją,
O jéj godności sławną pisząc historyją.

Lecz zaniechawszy herbów, do twojéj osoby
Wracam się, cny starosto, masz dosyć ozdoby
Z herbów tak zacnych, ale i herby też mają
Dosyć z ciebie, że sławy inkrement uznają.

Piękna rzecz jest, gdy kogo starożytność zdobi,
Lecz i to niemniéj piękna, gdy kto przysposobi
Domowi swemu sławy; jako się tu dzieje,
Jasny przedtém, gdy lepiéj twém dziełem jaśnieje.

Wodzę się tedy z myślą, jako mam kwadrować
Moję gratulację, i komu winszować?
Tobie zacnego domu, czy domowi ciebie,
Gdy godność obustronną uważam u siebie.

Masz prawda skąd brać pochóp do wielkiéj dzielności,
Przeglądając się w aktach swéj starożytności,
Które z dziadów naddziadów takiéj stymy były,
Że podobnoby serca kamienne zmiękczyły.

Trafia się prawda i to, aleć tego mało,
Żeby się młode orle do orła nie wdało;
Podobny podobnego (taka koléj chodzi)
Orzeł orła, i sokoł nie gołębia rodzi *).

Ale przecie natura więcéj w tém pracuje,
Kogo samego przez się dobrym wystawuje,
W kim się zaś te oboje schodzą rekwizyta,
Jego dóm nowym sławy splendorem zakwita.

Przychodzi mi na pamięć Rzymskiego Cesarza
Symbolum, które . . . . (nb. miejsce uszkodzone)
Sercem nie rodem, twierdząc że do téj osoby
Co przez się sławna, cudzéj nie trzeba ozdoby.

Ja zaś Lanckorońskiemu takie przypisuję
Symbolum, gdy się jego minie przypatruję:

---

*) Fortes creantur fortibus et bonis:
Est in juvencis, est in equis, patrum
Virtus: neque imbellem feroces
Progenerant aquilae columbam.

(Horat. lib. IV. carm. 4. v. 29).

Jak sercem tak i rodem, fundując się na tém,
Że w tém mogę kontrować z Rzymskim potentatem.

O czém jawnych dowodów wywodzić nie trzeba,
Te mu influencje dały szczodre nieba,
Bo to jest oczéwisty dowód między nami,
Że się sławy obiema uchwycił rękami.

Zaraz z młodu z taką się porwawszy ochotą
Do usługi ojczyzny, skarbi sławę złotą,
I tak mu to smakuje to Marsowe pole,
Nie uczniem, lecz przysięgłym już jest w jego szkole.

Nic to nieznośne prace, fatygi, niewczasy,
Nic to uronić zdrowia i na oba czasy
Gotów; szczęście, nieszczęście, jaki los napadnie
Przyjąć, zdrowie i żywot ofiarując snadnie.

Odważył dla ojczyzny mężny Kodrus zdrowie,
Jako i gdzie, niech o tém historyja powie,
Scewola z téj racyjéj ręki nie żałował,
Lanckoroński Syczyńskie pola krwią sfarbował.

Chwali Emiljusza swego Italija,
Niemniéj Protezylea wynosi Grecyja;
Tamten poległ od Pennów, ten od Frygijskiego
Wojska, nie żałując krwie i zdrowia swego.

Polska Lanckorońskiemu, a rzec mogę śmiele,
I wszystko chrześciaństwo wdzięczności tak wiele
Winno, żeby go zrównać z tamtemi dawnemi
I sławę archiwami ogłosić wiecznemi.

Mają sławy u świata dość z męztwa swojego
Krotonjanus, Milo, Herkules, do tego
Anteus, Maksyminus, sławny Bellizary,
I wielu innych pisma wynoszą bez miary.

Miło Polakom wspomnieć swego Czarnieckiego,
Chodkiewiczów, Mieleckich, nuż i Koreckiego,

Żołkiewskich, Wiśniowieckich, więc z temi wszystkiemi
Należy Lanckorońskim paragon na ziemi.

Męztwa Herkulesowi próba jest prawdziwa,
Gdy za przedni ornament lwiéj skóry zażywa,
I z tym dom Lanckorońskich jawnie emuluje,
Kiedy się lwem ognistym zdawna pieczętuje.

Wydziwić się nie mogą Rzymianie swemu
Marjuszowi, i tak sercu odważnemu,
Który się wiązać nie dał, gdy mu ucinano
Nogę, i wielkie mu stąd męztwo przyznawano.

Lecz i Polska swoim się szczyci Maryjuszem,
Sławna tak kawalerskim jego animuszem,
Że nie tylko się trzymać, ale rzec to mogę,
Ledwie sarknął, kiedy mu urzynano nogę.

Owszem gdy z jadowitéj już kule przyczyny,
Widział koło postrzału nie mało gangreny,
Sam ją Symonetemu chętnie prezentował,
I w którém miejscu rzezać mężnie rozkazował.

Szesnaście razy piłą ostrą przeciągniono,
Brzytwą ciało przerznąwszy, niżli kość urzniono,
A przecię, to on sercem dość mężném przyjmował,
I po takiém męczeństwie z innemi żartował.

A rzuciłże téż Marsa obłatawszy zdrowie?
Nie, ale idzie daléj, niech to każdy powie:
Persewernje w szarżéj, przyznać mu w téj mierze;
Piłka a męztwo bite większy impet bierze.

Mężnemu sercu noga nie będzie przeszkodą;
Kto rezolut żadną się nie trwoży przygodą;
Szach lub mat; rąk nie masz, o tém się nie pyta,
Cynegirus zębami przecię okręt chwyta.

Otoż masz Italija, że nie tylko twoi
Przodkowie mężni byli, lecz w ojczyznie mojéj

Są tacy jeszcze żywi, którzy śmiele z nimi
Certować zawsze mogą akcyjami swemi.

U Greków takie z dawna przekonania były,
Że mężów same tylko Spartanki rodziły,
Aleć i polskim damom trudno denegować,
Żeby się z czém nie miały światu popisować.

Dość mężnych kawalerów światu wystawiły,
Których jak Polska stoi te lata liczyły;
I gdyby mi ich przyszło opisować dzieła,
Nie na téjby się karcie sława ich zmieściła.

A osobliwie żywych piórem dotknąć chwały,
Jest to węzeł przyznam się trudności nie małéj,
Żeby albo w cenzurze pochlebstwa nie wkroczyć,
Albo niegodnie chwaląc z drogi nie wyboczyć.

Aleć po staremu się zamilczeć nie godzi
Dzieła, które z swą sławą jaśnie się rozwodzi.
Dawno by zgasły cnoty i Herkulesowe,
Gdyby ich nie wzniecały pisma Homerowe.

Dawno godne postępki w ludziach wielkich chwalą,
Dawno kadzidła Bogu a nie ludziom palą,
Które jak Bogu tylko należą samemu,
Tak chwała nie niegodnym, lecz tylko godnemu.

Cóż tedy na tym świecie ludziom chwałę rodzi,
Do wielkopomnéj sławy co wielu przywodzi?
Odwaga to — jak mądrzy zgodnie powiadają,
Odwaga to — téj cnocie taką własność dają.

Cóż Herkulesa sławy takiéj nabawiło,
Co go między pogańskie bożki policzyło?
Odwaga to — że wieprza wprzód Erymańskiego,
A potém zaś zwyciężył i lwa Nemejskiego.

A Tezeusza za co pisma wspominają,
I taki mu chwalebny panegiryk dają?

Za to iże za rogi wziął Maratońskiego
I dotrzymał i złamał byka okrutnego.

Odwaga wojownicza to ludziom sprawuje,
Że im i insze cnoty tak akkomoduje,
I tak jak kardynalna ma w tém gust nie mały,
Aby wszystkie jednemu wraz pożytkowały.

Lubo cię więc odwaga pozbawiła nogi,
I w tobie ja to widzę, mój Starosto drogi!
Aleć jednak sowicie szkodę nagrodziła,
Gdy do ciebie wszelakie cnoty zgromadziła.

Z tobą onym najmilsza jest konwersacyja,
W tobie im nie teskliwa jest rezydencyja,
Sławie dobréj dla rządu buzdygan oddała,
I porucznikować jéj u twych cnót kazała.

Tyś rotmistrzem — cnoty są twoja kompanija,
Nigdy sława komputu takiego nie mija,
Tak sforną kompaniją kędykolwiek czuje,
Tam się bawi, tam mieszka, tam porucznikuje.

Po syczyńskiéj okazji mieli nasi apetyt na Proszowy i Koszyce, ale że czas największą był przeszkodą, bo zima zachodziła, a do tego wojska pokazawszy się tylko tym fortecom, poszły daléj ku granicy, Modrzejowskiego tam chrapką zgubiwszy, którego z działa zabito. Byłto żołnierz dawny i doświadczony kawaler; bywał porucznikiem i rotmistrzem, półki wodził, kommendy miewał, a tâm nieostróżnie zginął, stanąwszy na celu, gdzie już z miasta miano znak do rychtowania (bo trzeba zawsze, przystępując pod fortecę, wystrzegać się stanąć, gdzie jest jakikolwiek majak albo krzak, ale takie miejsca jak najprędzéj pomijać, gdyż do nich zwyczajnie puszkarze mają cel naznaczony).

Kiedy już król był blizko granicy, dopiero wojsko litewskie przyszło łączyć się z naszymi, piękne i porządne wojsko, ale cóż, kiedy już po wojnie posiłki nadeszły, wyprawiali się bowiem na tę ekspedycję opieszale, których gdyby był król czekał, jako mu niektórzy radzili, bardzoby się było źle stało, boby był czas upłynął, Wiedeń byłby wzięty, boby już dłużéj pewnie nie wytrzymał,

jako sami przyznawali Niemcy, a zatém i to zwycięztwo tak fortunne, nie mogłoby było nastąpić przy fortecy, już od nieprzyjaciela zajętéj. A tak wszystko poszło pomyślnie, a prawie rzec mogę, „prorockiém natchnieniem króla pana i osobliwym ducha świętego instynktem,“ bo się z takim pośpiechem wybierał pod Wiedeń, że podobno byłby już nie czekał dłużéj, choćby był i połowy nie miał tego wojska, taką miał już utwierdzoną przyszłego zwycięztwa nadzieję, ale téż i z Wiednia, jako dusze z czysca, wyglądano posiłku, już, już, w takim będąc razie, właśnie kiedy owo wilk owcę doganiając, karku jéj chciwą dosięga paszczęką, a ona téż chudziątko tém bardziéj się jeszcze sili, aby tymczasem który myśliwy nadjechał i ją obronił. Tak właśnie się i z cesarzem działo, kiedy już shukany i desperujący w szczęściu, nie mógł swojéj ocalić stolicy, nie śmiał nieprzyjacielowi zajrzeć w oczy, i wojska już straconego serca stawić przeciw nieprzyjacielowi. Do Boga tylko uciekał się modlitwami, a Polaków wyglądał, ustawicznych gońców, jednego za drugim, posyłając do króla, żeby jak najprędzéj przybywali i dopomogli gasić tego strasznego zapału, który już téż wszystko chrześciaństwo byłby podobno pożarł. Uważał tedy król, jako pan rozumny, wszystkie cyrkumstancje, dla tego jako najprędzéj życzył sobie pospieszyć, wiedząc, że pewniejsze są posiłki i skuteczniejsze na rok przed okazją, niżeli w godzinę po okazji.

Turbowali się bardzo Litwini, że tak szczęśliwéj wyprawy omieszkali. Obadwa hetmani, Sapieha i Ogiński, nasłuchali się nie raz od króla sarkastycznych przymówek, co jeżeli ich turbowało, to i to nie mniéj, że owego tak pięknego, z kosztem Rzeczypospolitéj i z słusznym aparamentem wyprawionego wojska, nie przyszło nieprzyjacielowi pokazać. Żołnierze zaś niebożęta usychali, słuchając koronnych, opowiadanie im czyniących, jako im Bóg pobłogosławił tak szczęśliwém zwycięztwem, jako wpadli na dobry byt i obfitość wszystkiego w obozach tureckich, a osobliwie, gdy widzieli dostatki srebra, suknie bogate haftowane, rzeczy różne, wymyślne, specjały i bogate zdobycze, serce się im krajało i wodzów swoich bardzo winili.

Tak tedy wyszło wojsko z Węgier mimo Spiskie w Podgórze. Litwini poszli ku Wołyniowi i tam dopiero zemścili się na krajach podlaskich, poleskich i wołyńskich, czego na tureckich omieszkali, bo je dobrze podskubali. Wychodząc z Węgier, umarł hetman polny Sieniawski, który już téż był choro wybrał się na tamtę expedycją, i tylko przecie z wrodzonéj swojéj ochoty chciał być na

tak świętobliwéj wojnie. Poszedł z ochotą, lubo tam cały prawie czas przechorował, a potém i umarł na usłudze ojczyzny i zaszczycie całego chrześciaństwa. Po nim dano buławę Potockiemu, kasztelanowi krakowskiemu, synowi Stanisława Potockiego, który także był hetmanem za króla Jana Kazimierza.

Podczas téj expedycji wiedeńskiéj z ordynansu królewskiego wpadł w tatarską ziemię Kunicki, którego król przed samą expedycją przydał był Kozakom za hetmana; byłto ślachcic, Lublanin. Ten Kunicki z Kozakami bardzo dobrze gościł, bo ordy co lepsze powychodziły były pod Wiedeń; miał tedy czas palić, ścinać, jeżeli mu się nawinął jaki oddział zebranéj ordy; wojska mu téż coraz przybywało, bo niewolników tam już zasiedziałych tak wiele poodbierał, a drudzy, co dalsi, dobrowolnie do niego uchodzili, usłyszawszy o wojsku chrześciańskiém. Cuda ci Kozacy robili, nikomu nie folgując, białogłowy ścinając, dzieci rozdzierając i cokolwiek najgorszego było wyrządzając im, i, jak udawano, że tam tego gatunku położył na trzykroć sto tysięcy, i już tam chodził sobie marsem, nikogo się nie bojąc. Gdy zaś już z Węgier chan tatarski powracał, przebrano trzydzieści tysięcy ordy co lepszéj, i nie takiéj, jako inni, i posłano na odsiecz; było téż z nimi nieco Turków; Kunicki dał im pole pod Kilją, zbił, zniósł, i zdobycz, co mieli, odebrał, i wrócił się szczęśliwie za granicę. Aleć go potém Kozactwo sami między sobą utłukli, udając, że ich pokrzywdził w zdobyczy, jak to u nich nie nowina zabić hetmana z lada okazyjki. Tak mówiono, że ich nie krzywdził w niczém, tylko że miał zdobycz wielką, którą mu oni inakszym sposobem wydrzeć nie mogli, aż dopiero zbuntowawszy się, i tak zdrajcy dobrego kawalera mizernie stracili, który już by był Tatarów umiał prześladować, zaprawiwszy się na nich tak dobrze. Zastawszy Tatarowie owo w ziemi swojéj spustoszenie, trupy żon i dzieci swoich, bydła stada pozabierane, płakali na swoje nieszczęście.

Zgoła, wszędzie Pan Bóg natenczas błogosławił chrześciaństwu, i w Niemczech, i w Wenecji, i w Polsce, bo i Dyonidecki po nim siła dokazywał w Wołoszech, Turków z Wołochami bił, znosił, hospodara Dukę pojmał i przyprowadził do więzienia. W Turczech przeciwnie wielkie nastąpiły trwogi, szemrania i bunty przeciwko starszyznie o nieszczęśliwe prowadzenie wojny i zgubienie tak wielu ludzi, co sułtan składając na wezyra, kazał go na publicznym rynku udusić, chcąc z siebie zwalić nienawiść ludu, aleć tego, po staremu, i sam potém nie uszedł, bo go z tronu zrzucono.

Z wielką tedy rok ten odprawił się szczęśliwością i z wszystkich narodów chrześciańskich pociechą, oprócz samych Luteranów, którzy Pana Boga prosili o to, żeby dał zwycięztwo Turkom, bo Tekieli, buntownik, który przy Turkach stawał dla tego, żeby go luterańskie prowincje wspierały pieniędzmi, puścił tę wieść między nich, że Turcy w tym celu wojnę podnieśli, żeby religją rzymską zniszczyć, a luterańską na to miejsce postanowić po całéj Europie. Dla tego tedy Pana Boga prosząc, wielkie nabożeństwa odprawiali, pobory składali i Tekielemu na wojnę dawali. Byłem natenczas w Gdańsku, kiedy te nabożeństwa odprawiali, naprzykrzając się Panu Bogu okrutnie, aleć ich przecie nie wysłuchał, bo się inaczéj stało. Póki jeszcze Turków z pod Wiednia nie rozpłoszono i byli pewni odebrania tego miasta, to natenczas po ulicach piosnki śpiewali, na bulwarkach je deklamowali, projekty rzucali, obrazy Tekielego, jako walczącego za ich religją, malowali, drogo płacili i ledwo nie każdy starał się, żeby go w domu swoim mógł mieć; po kościołach zaś dzięki Bogu czynili, jak im cokolwiek przyszło wiadomości o szczęśliwém Turków powodzeniu, a w człowieku prawie serce usychało. Nie wiem, jakie tam znowu mieli ukontentowanie, dowiedziawszy się o klęsce Turków, bom już był w domu podczas zwycięztwa.

Zakończył się zatém rok ten we wszelakich od Pana Boga szczęśliwościach, nietylko publicznych, ale i moich prywatnych, bom był i przez cały rok zdrów i dobrze mi się we wszystkiém powodziło. Panie Boże dobrotliwy! racz takich lat użyczać łaskawie, póki życia mego stawać będzie, a za to niech będzie imię twoje przenajświętsze pochwalone!

Rok 1684.

Zacząłem rok ten tamże w Olszówce, daj Panie Boże szczęśliwie! i rok ten co do spraw publicznych był szczęśliwy, ale co do mojéj osoby, to po jarmarku zły targ. W tym roku już wojska nasze nie łączyły się z cesarskiemi, bo już sami mogli wytrwać, wziąwszy serce z zwycięztwa przeszłorocznego. Jakto powiadają,

że ugłaskanego i ujeżdżonego konia lada kto osiądzie, hardego i bystrego zaś nie każdy; a do tego, że sprzymierzeni książęta czynili wstręt do wojny, i Wenetowie trzymali na sobie wielką część tego wojska, które z potrzeby musiało być w tamtéj stronie i na morzu. Nasz téż król z wojskiem koronném osobiscie poszedł za Dniestr i tam długo, zawojowawszy tamte kraje, zatrzymał na sobie kardynalną państwa tureckiego potęgę, którą to państwo najbardziéj się szczyci, tojest: Tatarów krymskich, nahajskich, białogrodzkich i budziackich, a przytém Wołoszę i państwo multańskie, którzy wszyscy pewnoby byli poszli przeciwko Niemcom, gdyby nie ta awersja. Całą tedy kompanją nasi z nimi odprawili, wytrzymując największe impety z wielką ich, ale też i naszych, zgubą, bo najwięcéj naszéj czeladzi brali na czatach, przy koszeniu trawy, przy pasieniu koni, jakto już z dawna tego narodu moda, a Niemcy tymczasem Turków jak biją, tak biją; znieśli ich wstępnym bojem w tym roku dwa razy; pobrali miasta, fortece, nowe zamki, Budę i insze w Wyższych i Niższych Węgrzech dawno zawojowane i od Turków zabrane kraje. Wenetowie wzięli także Makłaków, którzy się im dobrowolnie poddali, zbuntowawszy się przeciw Turkom, królestwo Morejskie wzięli i inszych miast po brzegach morskich wiele nabrali. Po prostu, smarownie rzeczy idą, kiedy się to dwaj zmówią na jednego. A przecie nasi Polacy tego szczęścia, po łasce Boskiéj, największym są powodem, a osobliwie król, że się rezolwował oburzyć na tego, całemu światu strasznego nieprzyjaciela; sam osobiście i z wojskiem poszedł, począł im go i podał na obrót, a oni téż, właśnie jako leniuszy od rączego, z obrotu porwawszy na opiekę swoję wymordowanego zwierza, już go nie puszczą, aż uszczują, i prędzéj się obłowią, niżeli ów, co im go podał w obrót. Wszak i to często widzimy, że nikczemny i leniwy prędzéj się czasem obłowi; podobieństwo tego i w téj naszéj kolligacji, bo zaczęliśmy im, pomagaliśmy im szczérze; obłowili się już przy nas i podobno jeszcze lepiéj obłowią, wojując z tymi, którzy zniewieścieli owym długim pokojem, stawszy się miękkimi i trwożliwemi (bo ich taki stan państwa Ottomańskiego umyślnie chciał zostawić niezdatnych do walki, po zawojowaniu obróciwszy ich do agrykultury i inszych robót, z przyczyny żeby nie rebellizowali). A nam dostały się do zabawy narody te, które nie dosyć na tém, że z starożytności swojéj zawsze były wojenne i niezwyciężone, ale to większa, że zawsze są w ustawiczném ćwiczeniu, w ciągłéj wojnie, słowem, fchto żywot ustawicznie wojo-

wać i z wojny żyć, a choćbyśmy ich i zwojowali, nie siłabyśmy się na nich pożywili, bo chudzi pachołcy; jednêm słowem, dobrą sobie nasi kolligaci obrali część, bo owę z cynamonem i z słodkiemi kondymentami dobrze zaprawną porcją; nam zaś cóś z chrzanem i ostro pieprzne zostawili. Daj Boże! żeby nam od tego zęby nie podrętwiały, bo to widzę jest rzecz cierpka; a żeś dał z łaski swojéj dobry początek, raczże téż zdarzyć i dobry koniec.

Rok 1685.

Rok ten, daj Panie Boże szczęśliwy! zacząłem tamże w Olszówce. Sejm był w Warszawie. Tego roku w Wielkiéjpolsce drożyzna była wielka dla nieurodzaju jarzyny, z któréj racji i w Warszawie bardzo zdrożało, o czém ja dowiedziawszy się, kazałem naładować dubas jęczmieniem i grochem, na którym puściłem się w Maju sam i zarwałem przecie pieniędzy od Wielkopolanów, tylko, że już było za późno; gdybym tam był tygodniem wprzódy pospieszył, póki nie tak nawieziono, wziąłbym był za korzec drugie tyle.

W tymże roku Stanisław, margrabia pińczowski, w Lublinie na deputacji umarł, mnie w wielkim kłopocie zostawiwszy, z przyczyny dzierżawy dóbr margrabskich (o czém będzie niżéj).

Wiele ludzi cieszyło się z jego śmierci, ale i ja nie bardzom go żałował, bo był Panie Boże mu odpuść, człowiek chytry, nieszczéry, słowa nietrzymający, i nieprawdą się bawiący; kiedy co zełgał, jakby się najlepiéj najadł; i dla tego nie żałowałem go choć umarł, rozumiejąc że następca brat jego Józef będzie inakszéj kategorjéj, bo się widział stateczny i dobréj natury, ale widzę, takem się zawiódł na nadziei, jak owa baba co Pana Boga prosiła o lepszego pana, a coraz to jeden po drugim gorszy następował.

Powróciwszy z Warszawy, począłem się gotować do Gdańska i bardzo tęskniłem ze zbożem, które mi się w śpichlerzach bardzo grzało, i ustawicznie trzeba było koło przerobki pracować, ale że wody nie było, musiałem i wszyscy czekać aż do Września. Gdy

zaś zbliżał się czas pożądany naszym oczekiwaniom, zachorowałem bardzo 30 Sierpnia w dzień czwartkowy, a przypadła mi ta choróbka z przepicia, dla nieszczęśliwéj kompanji, która mię zawsze do tego przywodziła, bo z swojéj dobréj woli, nie pamiętam, kiedym się upił, jako znam takich niektórych; ale kiedy albo mnie kto rad szczérze, albo ja téż komu, a osobliwie kochanemu jakiemu konfidentowi, to wtenczas naszéj mody polskiéj niepodobna nie obserwować. Zapadłem tedy tak niebezpiecznie, żem zaraz i ludzi nie znał; nie wiem, co tam robili ze mną medycy, dosyć, że zdesperowali i rozgłosili, iż bardzo źle i niepodobne ozdrowienie.

Tymczasem woda poczęła przybierać; przybiega stróż śpichlerzowy, dając znać, żeby posyłać do ładowania; a ja o świecie nie wiem; kazała mu tam żona gdzieś pojechać, i do nieszczęścia pojechał. Nie było zaś żadnego podobieństwa, aby Bóg zemną miał jakie dziwy uczynić, i to w momencie prawie, jakie uczynił, a czego rzecz tak się ma: Kiedy już w owéj ciężkiéj malignie leżąc od 30 Sierpnia, ze czwartku na piątek, przededniem, 7 Września, to jest w wigilją Narodzenia Najświętszéj Panny, jak we śnie, w gorączce leżącego, trząsnęło mię coś za ramię, mówiąc: „A oto Antoni nad tobą stoi.“ Obrócę się do ściany, aż stoi zakonnik w habicie franciszkańskim. Patrzę, nie mówię nic; on téż nic. Świeca się tam w kącie świeci; ludzie, poturbowani koło mojéj usługi, już téż posnęli. Gdy już ku dniowi znowu mię trząśnie, było mi jak we śnie, ale otrząsnąwszy się zaraz, jużem się czuł, żem na jawie; jużem był przy dobréj pamięci; jużem się i w tém rektyfikował, że ja tą chorobą złożony, już mi i to w dobry rozsądek weszło, co się zemną dzieje, lubom przedtém o sobie nie pamiętał, i tak sobie myślę: że to jakiego do mnie zakonnika przysłali, jako zwyczajnie do chorego; aż tu owa osoba rzecze: „Pilnowałem cię szczérze od przeszłego czwartku; nie bójże się już, i wstań.“ Jakaś mię radość ogarnęła i wpadło mi na myśl, że to już nie prosty ksiądz, ale osoba święta być musi. Porwę się, chcąc mu do nóg upaść, zawoławszy wielkim głosem: „Święty ojcze!“ Stoczyłem się z łóżka. Usłyszeli wszyscy owo zawołanie, przypadli z świecą, aż ja pytam: „Gdzie poszedł?“ Rozumieją, że to w gorączce czynię, i mówią do mnie: „O kogoż pytasz? nie byłci tu nikt u ciebie.“ Ja mówię: „Był, czy oczu nie macie?“ A wtém usiadłem już nie na łóżku, ale na stołku. Rzecze moja pani: „Wołaj Kazimierza.“ Przychodzi cyrulik, pomaca pulsów, gorączki nie masz i jakoby nigdy nie była; ja téż dopiero obaczywszy się i odpoczaw-

szy trochę, poklęknąłem, pierwéj dzięki czyniąc Panu Bogu i Świętemu Antoniemu, a potém wstawszy, począłem im to powiadać; dziwowali się wszyscy; jedni wierzyli, że tak było, drudzy téż nie dowierzali; nawet sam cyrulik wnosił, lubo widział, że już gorączka całkiem ustąpiła, że przecie jeszcze jakąś słabość na umyśle zostawiła. I tak się zabawiają ze mną. Aż ja mówię: „Widzę, że mi winszujecie i cieszycie się z konwalescencji, a nie pytacie, jeżelibym téż co zjadł; namorzyliście się mnie dosyć przez te dni choroby mojéj.“ Porwie się żona zaraz i pyta się mnie: „Do czego mam chęć?“ Powiedziałem: „Co dacie, to będę jadł z wielką ochotą.“ Radzą, coby gotować; to nie, to nie; aż cyrulik rzecze: „Może jeść z masłem, choć wigilja.“ Pytam: „Do czego wigilja?“ Powiedzieli, że do Najświętszéj Panny. Zdumiałem się, bom nie rozumiał, żem tyle dni miał chorować, i mówię: „Nie będę ja z masłem jadł, ponieważ wigilja.“ Ugotowali mi jakiéjś garmatki garnuszek mały; na ząb mi to nie padło; kazałem w większym garnku gotować i korzenia dużo nasypać; gotowano tedy, a ja tymczasem ubrałem się tak, jako należy, i kazałem iść do sadzu z kancerzem, wziąć szczupaka i kwaśno, szaro, ugotować go. Jak tedy obaczyli, że jem smaczno i piję, i rzeźwość dostałem jak należało; dopiero uwierzyli, żem zdrów na duszy i na ciele, o czém cyrulik osobliwie bardzo wątpił. Przy owém jedzeniu mojém, mówi żona: „Pragnął waść flisu, a teraz choróbka przeszkodziła.“ Pytam: „Albo co?“ Powiedziała: „Że dawano znać, iż woda wielka przybrała; pp. Rupniewski i Jaroszewski pojechali i na głowę chłopów powyganiali do ładowania.“ Odpowiem: „To i ja pojadę.“ Rozśmiali się wszyscy, rozumiejąc że żartuję, a ja czułem już w sobie siłę. Najadłszy się, przeszedłem się po izbie, kazałem włódarza wołać, i rozkazuję mu, żeby chłopi zaraz wychodzili do ładowania, a tymczasem aby konie gotować i zaprzęgać. Mówią mi: „Dla Boga! nie czyń tego; chodzi tu o twe zdrowie, które jest droższe.“ Ja mówię: „Dajcie mi pokój, ja lepiéj czuję, co się ze mną dzieje, i temu ufam, co mi dał zdrowie, że mię przy niém zachowa i zaprowadzi szczęśliwie tam, dokąd zamierzam.“ Pojechałem, pożegnawszy się, i kazałem za sobą przywieźć to, co potrzeba. Wyjechawszy w pole, wsiadłem na konia z kolaski, i pobieżałem rysią, obawiając się żeby woda nie uciekła. Zastałem, że jedni już poodkładali, drudzy też jeszcze czekali na legumine, kto nie miał gotowéj w śpichlerzu; że zaś moi chłopi nie byliby byli ledwie na noc, bo przecie mil 7 drogi, dali mi sąsiedzi chłopów,

naładowałem wnet dwie szkuty, tratwy zaś kazałem powoli już bez siebie ładować. W dzień tedy Najświętszéj Panny raniusieńko, pojechałem do Franciszkanów, nająłem mszę przed Świętym Antonim, i słuchałem jéj. A tymczasem tam ostatek koło szkut pogotowano; wróciłem się, wsiadłem i kazałem od południa odłożyć, bo téż już byli wszyscy poodkładali; chłopi moi prawie na darmo już przyszli, bo mi już byli cudzy, których miałem dosyć, porobili co potrzeba. Puściłem się tedy i szczęśliwie dogoniłem owych, co byli przedemną półtora dniem poodkładali, lubom w ten dzień mało co ujechał, a prawie jak nic, bo rotman złe miał czółno, i starał się sobie o insze. Stanęliśmy tedy w Leniwce dopiero dnia 23 Września, bo nam wiatry częste przeszkadzały, a tratwy za inną przyszły 14go dnia, z Leniwki wyszedłszy do Gdańska, mniéj szły dni, niżeli szkuty, z téj racji, że już były wiatry owe, co przeszkadzały szkutom, ustały, kiedy tratwy od pala wychodziły, bo wychodziły 21 Września, a my już byli pod Toruniem, to jest w dzień Świętego Mateusza, w który dzień mróz był potężny i lody po brzegach nadzwyczaj. Zajechałem tedy z łaski Boskiéj dosyć szczęśliwie, wybrawszy się tak po owéj chorobie, i głowa mię za łaską Boga nie zabolała, za co niech będzie imię jego przenajświętsze pochwalone na wieki! Pokornie suplikując, żeby nas w każdych utrapieniach, a osobliwie w chorobach, z swojéj ojcowskiéj nie wypuszczał opieki.

Rok 1686.

Rok ten, daj Boże szczęśliwie! tamże w Olszówce mieszkając, zacząłem w dobrém zdrowiu i powodzeniu. Tegoż roku byłem na obłóczynach panny Sieklickiéj w Krakowie, którą rodzice, pan Adam Sieklicki, mój wielki przyjaciel, i Zofja Rabsztyńska, matka, obłóczyli do zakonu augustyańskiego; tam, przy wielkiém zgromadzeniu wielu godnych ludzi, proszono mię, żebym pannę oddawał do ślubów. Nie bardzo mi się chciało, wiedząc, iż tam nie trudno będzie o cenzurę, aleć nie ganili; może, że téżto tak tylko pochle-

biali; nie wiem. Mówiłem tedy w ten sens: „Ktobykolwiek lata swoje tym tylko pędził zamysłem, aby je samemi pieszczonéj świeckiéj marności mógł wytuczyć delicjami, nietylko na swojéj zawodzi się imprezie, ale ze wszystkich niemal wiecznemi czasy wyzuwa się szczęśliwości. Szczęśliwy! kogo te pochlebne rozkoszy świeckich fawory nie ułowiły, kogo na swojéj nie zwiodły stateczności, kogo w swoich własnych, na wieczną hańbę, nie zatopiły pieścidłach. Sąto prawda dobra do czasu dozwolone, dobra człowiekowi powierzone, ale onych według samego trzeba zażywać dawcy, w czém, jak ktoby najmniéj przeciwko wyraźnemu wykroczył rozkazowi, w samych tylko nadziei zatopiwszy się marnościach, aż już gotowy z niebieskiego parlamentu czytają mu dekret: „Wzgardziłeś słowem Bożém, Bóg tobą wzgardził;“ a kogoż tam już z ziemskiego rugują królestwa? „Nie bądź królem nad Izraelem,“ aż wnet dla świata i na niebieskiéj i na ziemskiéj szwankować będziesz szczęśliwości. Trzeba, widzę, ostróżnie z światem, i z témi jego poczynać sobie pstrocinami, ale nie każdy w to potrafić umie. Umysł mądry i przezorny, najdrobniejsze nawet postrzega dołki; niebaczny, w widoczną nawet runie przepaść. A ponieważ na światowych ludzi tak chytre świat zastawia sidełka, tóćbym rozumiał, że nierównie szczęśliwsi są ci, którzy z nim w żadną nie wchodzą korrespondencją; szczęśliwsi, którzy od jego oddaliwszy się konwersacij, na pustyniach, w konwentach i różnych pobożnych zgromadzeniach, w wolném sumieniu szczególną tylko pasą się bogomyślnością, nieśmiertelności zostają synami, a ponieważ „służyć Bogu, jestto królować,“ więc i nieomylnymi królestwa górnego dziedzicami, czego oczywisty na tém tu miejscu przedstawia się dowód w osobie jmci panny Heleny Sieklickiéj, która w zacnym i starożytnym zrodzona domu, przy tak pięknych od natury sobie udzielonych przymiotach, przy znamienitych staraniach ichmość rodziców swoich, nie zapatrując się na to, że jest bez rodzonego brata wszystkich ojczystych zbiorów dziedziczką, nie oglądając się na to, że za błogosławieństwem Boskiém mogłaby osiągnąć szczęśliwości wszystkie świata tego, dobrowolnie je rzuca, ozdób jego, swobód i rozkoszy zrzeka się, i w dożywotni z niebem wchodzi dziś traktat; dziś pierwsze niebu czyni śluby, a zakonny obierając żywot, swoje Bogu poświęca panieństwo. Nie schodzi widzę na niczém niebu, obmyśla mu panieńska mądrość to wszystko, czémby się jego mogła chełpić i zdobić wyniosłość, ale przecie, jakoby tam jeszcze boskich nie dostawało obrazów, których

sobie Bóg znikąd nie zasięga, chyba z panieńskich postępków. Jest tedy czego zacnym winszować rodzicom, którzy taką córę człowiekiem wypiastowawszy, aniołem Bogu oddają, czego ja ww. państwu powinszowawszy, wespół i w. m. m. pannom i całemu tutecznemu zgromadzeniu, jako reguły świętej współkompanki i duchownéj winszuję siostry, którą przezemnie jmć pan Sieklicki, w. m. pan i brat, tudzież jéjmość pani, jako kochający rodzice, i cała zacna z obojga linij rodowitość, oddając w. m. m. pannom, a osobliwie tobie mościa panno matko, oddają ochotnie przejrzaną Bogu ofiarę, z posłusznym na jedno skinienie Abrahamem, nie żałując jéj na służbę Boską; oddają najdroższy skarb, bo ulubioną swoję krew, z którą oraz prawo starszeństwa swego przelewają na osobę waszmość panny, upraszając wielce, abyś w. m. panna, jako przyszłéj towarzyszce instytucji, łaskawéj nie odmawiała protekcji." Były te obłóczyny 24 Stycznia. Zimy tego roku nie było nic, ani śniegu, ani mrozów, rzéka żadna nie stawała, w Lutym role uprawiano na jarzynę, kwiatki i trawy były, żyta jare siano, bydlę trawy się najadło; zaraz w post wstąpiwszy, jęczmiony i owies siano, luboby je był mógł siać i dawniéj; przed wielkanocą wszystko pozasiewano, i już nie było zimy i urodzaje były dość dobre, co niezwyczajna w Polsce. I to rzecz nadzwyczajna, że gęsi dzikie włóczyły się całe lato stadami wielkiemi, bo jest rzecz niezwyczajna, że koło Krakowa i Sandomierza, gdzie się nie lęgą, zboża aż oganiano przed niemi, bo je bardzo psowały; ale jakieś były odmienne, nie takie, jak te co zawsze bywają, niby trochę pstrokate koło karków; padały i z swojskiemi gęsiami i nie bardzo były płoche; dały się zejść i kijem potrącić; różni różnie o nich tłómaczyli.

Siódmego Sierpnia naładowałem pszenicę na cztery statki i puściłem się do Gdańska; przedawszy, powróciłem, z łaski Bożéj, szczęśliwie lądem 17 Września. Tegoż roku objąłem Madziarów sposobem zastawy.

Tegoż roku król jmć i wojska nasze chodziły na Budziaki i do Wołoch. Tam z Tatarami po kilka razy potykały się; to tylko najznaczniejsza, że Święty Iwan przeniósł się na rezydencją z Wołoch do Polski z całym sprzętem srebra swego, wziąwszy z sobą z tamtego monasteru kilku poufałych Czerńców. Cesarskim jednak wojskom jak Pan Bóg zaczął błogosławić, tak i w tym roku nie przestał, bo Turków po dwakroć potężnie zbili, obozy z dostat-

kami pobrali i fortec kilka potężnych opanowali, a przecie to wszystko za naszym powodem, żeśmy na sobie trzymali tatarską siłę.

Rok 1687.

Rok ten zacząłem tamże w Olszówce, gdzie już mi wychodziła aręda, tojest rok jedenasty dzierżawy mojéj. Wywoziłem tedy rzeczy potrosze do Madziarowa, bom już był Smogorzew puścił pasierbowi przed rokiem, a puściłem w tym samym stanie, w jakim go odebrałem i trzymałem przez lat podobno 17, to jest grunta dobrze uprawne, które zastałem był po arędarzach bardzo zeszpecone, budynki dobre, restaurowane, sady poszczepione, lasy zapuszczone i nic nie naruszone, co jest rzadko u ojczymów; terminy prawne uspokojone, na które wiele łożyłem kosztu i pracy, gdyż ś. p. pan Łącki kupił był tę majętność na sposoby, nie mając tak wiele pieniędzy na zapłacenie jéj, nazaciągał był długów u klasztorów i niektóre kapitały na gruncie zostawił; oprócz tego, sukcessorowie pierwszéj jego żony, z domu Grodzickiéj, czynili proces o wniosek jéj, jakoto panowie Gomoleńscy i Lubańscy, więc, że pretendowali sobie własność téj sukcessji, ja zaś tego potrzebowałem, żeby warownie dać komu się słusznie należało, i żeby drugi raz nie płacić jednéj summy, o to tedy między nami były dyskwizycje, kłótnie, exekucje, najazdy, wyganiania, bitwy, a zatém i bassarunki, przez co ja straciłem wiele, a stąd i insze rodziły się okazje z moją szkodą. Takto, tak, pojąć wdowę z dziećmi i z kłopotami; pierwszy mąż zaciągnie długi, zostawi kłopoty, dzieci, kłótnie, a ty dla cudzych interessów uschniesz, zdrowie stracisz; cobyś miał sobie uzbierać, wydasz na prawo, i jeszcze sobie zarobisz na niewdzięczność, miasto podziękowania. Ja to kładę na przestrogę, kto ma tak uczynić, do mnie na radę. Na same tedy prawie wyderkafy, terminy prawne, wesela, obłóczyny, professje córek, których było pięć, pracowałem. Rachowałem jednak owe wydatki, których narachowało się przez te lata 40 ty-

sięcy. To wszystko na jedno pasierba uniżenie, a przyjaciół instancją darowałem, nawet i dożywocia ustąpiłem, nic za nie nie wziąwszy, nawet pierścień, który mi była dała żona na zmowę, oddałem, żeby przy mnie nic nie przysychało cudzego; przyznawali to sami jego krewni, żebym go był mógł wykwitować z Smogorzewa, gdybym był chciał.

Rok 1688.

W tym roku mieszkałem w Madziarowie, ale, mógłbym rzec, że więcéj w Lublinie, pozywając się z margrabią. Żona jednak moja siedziała w olszowskim dworze, nibyto więziona, a oniby jéj byli radzi i płot rozgrodzili, gdyby była chciała wyjechać.

Nastąpił sejm w Grodnie dnia 26 Stycznia, na który i ja musiałem jechać, z przyczyny owych artykułów, które na kilku sejmikach stanęły za moją stroną. Stanąłem tedy w Grodnie 1 Marca, zażywszy złych i okrutnie grudnych dróg. Posłowie nasi krakowscy, osobliwie moi konfidenci i pan Lanckoroński, starosta stopnicki, mówią mi: „Chcesz rujnować margrabię? (bo téż i on za promocją pana strażnika stanął był posłem z sandomirskiego, a posłem niewinnym, gdyż i gęby między ludźmi nie rozdziawił, tylko siedział jako lelek, wytrzyszczywszy oczy i na innych zapatrując się, a więcéj pilnując kart, z czego u królowéj i u dworskich miał łaskę, ponieważ często obłowili się na nim, ponieważ nie masz na nim kondemnaty.“ Odpowiedziałem: „Tém samém (mam), że jest ciemiężcą ślachty i wydziercą majątków.“ Obaczywszy mię margrabia w izbie poselskiéj, na pół umarł. Sami jego kolegowie, widząc tę konfuzją, mówili do mnie: „Dla Boga! dla pana margrabi trzeba wódki ożywiającéj; pozbawisz nas posła dobrego: za nic izba poselska nie będzie stała bez niego.“ Tymczasem obrady sejmowe tamują się na prywatnych urazach pana Służki, hetmana polnego litewskiego, z panem Dąbrowskim, posłem województwa wileńskiego. Ja, mając dobrych przyjaciół radę, żeby nic wprzód izbie poselskiéj opowiadać krzywdę swoję (gdzie miało być srogie

w tej sprawie oburzenie, i już się byli potężnie przygotowali), ale królowi uskarżyć się i zjednać sobie przychylność, tak tedy czynię: staram się o audyencją, którą otrzymawszy w naznaczonym czasie, mówię do króla te słowa: „Jako ukrzyżowany syn przed ojcem najpoufalej w swoich żali się dolegliwościach, tak i my życzliwi waszej król mości, pana naszego miłościwego, poddani, mając sobie za ojca ojczyzny naszej, chowamy za ostatnią ucieczkę łaskę pańską, i waszej królew. mości, pana naszego miłościwego, protekcją, do której że ja poddańską udaję się pokornie submissją, przepraszam najpierw pana mego miłościwego majestat, że mi prywatnemu przychodzi pańskie poważne i wielu ojczyzny troskami zatrudnione turbować ucho, jednak nie moja w tem wina, ale tych, którzy mając swego dosyć, chciwe na cudze zbiory zaostrzyli apetyty. Byłem żołnierzem, nie czasem, ale ciągle służąc; przesłużyłem kwiat wieku, nie żałując zdrowia i fortuny. Mam świadki blizny i moich współżołnierzy, których jeszcze wielu widzę w stanie rycerskim, i w senacie przy boku w. k. m. pana mego miłościwego. Nie jestem w żadnym takim postępku, za który dobra konfiskują, i nie winienem też nikomu nic. Jmć pan margrabia pińczowski samowolnie wziął mi substancją, i, prawie rzec mogę, ostatek nieprzesłużonej na usłudze tej Rzeczypospolitej sztuki chleba ojczystej; nie wykroczyłem przeciw umowie, ponieważ przepisaną kwotę dawałem na arędę; dawałem nie na prywatne wydatki, ale na spłacenie dawnych margrabskich długów, zaraz prawie po ustanowieniu margrabstwa zostawionych, o czem kontrakt uczy; dawałem prawnie opiekunowi, stryjowi rodzonemu, który wyrachował się z tych pieniędzy odemnie wziętych sukcessorowi, i kwit z opieki otrzymał z potwierdzeniem kontraktów i zapewnieniem pretensij naszych. Nie wiem tedy, za co z dzierżawy mię wygnano, pieniędzy nie oddawszy, i to, co było (wziąwszy), i ruchomości przez naprawione osoby, tak rzec mogę, łupieztwem pozbawiwszy. Boli mię, najjaśniejszy królu, panie mój miłościwy, strata ubogiej substancji, ale i to nie mniej boli, że bez towarzysza smutku sam siebie tylko widzę na tym celu nieszczęśliwości, bo wszyscy kredytorowie, jedni pieniędzmi już są zaspokojeni, drudzy dotychczas zostają w posessji; mnie tylko jednego, nie wiem z jakiej przyczyny, taka ichmościów potkała łaska, że nie przestają godzić na ubogą substancją, bez żadnej przyczyny, ale z samej tylko przeciwko osobie mej zawziętości.“ Słuchał król pilnie, a skorom skończył, rzekł: „Trzebaby na to odpowiedzieć z pisma

świętego i przytoczyć prawo i proroków: od czegoż trybunał, od czegoż inne sądy, tylko żeby każdemu należyta sprawiedliwość, choćby z największego pana, oddana była, ale kiedy się to i o nasze obija uszy, z wielką chęcią przyłożymy starania, żeby się takie bezprawie nie działo.“ Było przytém w pokoju ludzi kilkunastu z senatu i z posłów. Król rzekł do obożnego koronnego, Chełmińskiego: „Waszeć tam blizki sąsiad; coto za sprawa?“ Odpowie Chełmiński: „Toć wiem, miłościwy panie, że ślachcic dał substancją i był zawsze nie jak dzierżawcą, ale jak poczciwym podskarbim, bo w każdych najcięższych potrzebach do niego najpoufaléj nad innych był rekurs, gdyż czasem sto złotych ledwie przenocowało w jego domu, kiedy ze Gdańska powrócił, bo zaraz miano o nim pocztę, nie dano się i ucieszyć z pieniędzmi, pisano mu tytuł: dobrodzieju, affektem jego i uczynnością zaszczycano się między ludźmi. Ale kiedy wracać, albo w dalszą posessją majętności puścić, niemiło im było to słuchać; zgoła, dwaj możniejsi uwzięli się na biednego ślachcica, żeby go substancji, przez zwłóczenie sprawy, pozbawić i wyniszczyć; jedném słowem, wniwecz obrócić tego, który dla domu ich czynił dosyć, a nawet nadto. Siłaby o tém mówić; po prostu, z nikim się dobrze nie obejdą; ze mną samym o téż dobra, które także trzymałem po bracie moim, jakie wzniecili hałasy, wiadomo jest w. k. m., panu memu miłościwemu, w jakie mię wciągnęli kłótnie i koszty. Bóg widzi, żem więcéj wydał na prawo, niżeli mi Olszówka przez te sześć lat dzierżawy mojéj uczyniła, lubobym ci mógł wspomniawszy dawniejsze zdarzenia wymówić do osoby, zguba twoja . . . . . ale żem chrześcianin, urągać mi się z cudzego nieszczęścia nie godzi, to tylko mówię, że i w téj . . . . . będzie jako ze mną, albo i gorzéj . . . . . będą go niszczyć . . . . . żeby się kłaniał, prosił o swoje własne pieniądze, które on z ochotą dawał, a potém dadzą mu co zechcą, bo taka u nich moda. Krótko mówiąc, wielkie w téj ordynacjéj dzieją się nieprzyzwoitości, wypada, albo ją znieść, albo ją do należytego składu przyprowadzić, bo z téj ordynacjéj, ani Bogu świeczki, jako mówią, ani komu inszemu ożoga, to brzemię włożyło prawo na głowy antecessorów waszéj królewskiéj mości, które teraz na osobę samego w. k. mści i Rzeczypospolitéj spływa. Upraszam tedy w. k. mości, abyś uciemiężonemu, jako temu, który w oczach w. k. mci wszelakie w téj ojczyznie zasłużył względy, pomódz raczył. I teraz zasługuje on jako swoją osobą, tak i przez swoich krewnych. Oto i teraz synowiec jego, a

towarzysz z pod chorągwi mojéj, przed lat półtora w niewolą wzięty, powrócił przed trzema dniami z Krymu, zasadziwszy tam na swojém miejscu towarzysza, żeby têm prędzéj mógł się sam postarać o okup i już w części dobry stryj, jednego znacznego kupił mu Tatara u pana Gołyńskiego, porucznika; drugi Tatar, o którego kazano mu się postarać, żeby go za siebie wyzwolił, tego, a nie innego, jest między więźniami w. k. mości, suplikuje ten niewolnik do majestatu w. k. m. i ja mówię za nim, i wnoszę instancją, jako za dobrym żołnierzem i towarzyszem niepoślednim, który jest tu przede drzwiami.“ Rzecze król: „Wołać go tu.“ Poskoczył obożny ku drzwiom; jam go poprzedził. Wyjdę, nie masz go w antykamerze; idę do średniego pokoju (bo się to działo w sypialnym, gdzie król sypia), aż tam pokojowy królewski uściska go, całuje i płacze nad nim; obstąp . . . . . posłów i inszych różnych, bo też . . . . . widywał się tam z . . . . . więzienie . . . . . wówczas kiedy królowa przez niego i przez drugiego francuza, posłała . . . . . dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych suplementu do obozu. Te czerwone złote byli utracili przez głupstwo. Ale téj dygressjéj dawszy pokój, wracam się do rzeczy. Rzekłem synowcowi: „Pójdź waść do króla.“ Przyszedł; przyjął go król milusieńko; pytał, u kogo siedział, jakim przypadkiem był wzięty? pytał go: o sułtanów, o murzów znajomych, i o niektórych też niewolników. Synowiec prawił mu o wszystkiém.

Następowała potém sessja, poczęli się senatorowie schodzić do pokoju. Król rzecze Matrzyńskiemu, koniuszemu natenczas koronnemu: „Proszę waści żeby napisać assygnacją i oddać do rąk pana Paska, tego, który z niewoli wyszedł, żeby na pierwsze zawołanie wydano w Żółkwi tamtego Tatara.“ Do mnie zaś obróciwszy się, mówi: „Będzieto staraniem naszém, że waść w krzywdzie swojéj zaspokojony zostaniesz.“ Znowu obożny koronny rzekł: „Miłoś. panie, zabiera się tu w téj okazji na wielki rozruch w stanie rycerskim, bo są z kilku województw artykuły, oraz i z mego sejmiku, żeby się przytém opponować i produkować to publicznie.“ Odpowie król: „Wiemy o têm, ale znajdziemy sposób, że się to uspokoi, bez wielkiego rozruchu.“ Do mnie rzecze: „Bądź waść dobréj nadziei, jako ten, który zarabiasz sobie na należyte w téj naszéj Rzeczypospolitéj respekty, będziesz zaspokojony.“ A wtém zaraz przede drzwiami, już ubranego i czekającego Dominikana wysłuchawszy mszy, poszedł do senatu i zasiadł. To się działo 15 Marca. Sejm począł się nachylać do zerwania. Król był przera-

żony temi niezgodami, oraz i nowiną świeżą, że orda porobiła szkody w krajach ruskich a osobliwie w jego włościach; nie śmiałem się mu narażać, bo czasem i senatora już próg przestępującego nazad wracano. Tak więc tylko nawiasem nadsłuchiwałem, upatrując pogodnego czasu. Bo tak z panami trzeba zawsze. Jednak stawałem mu na oku, żeby mię widział. Kiwnął na mnie król, poszedł do okna i rzekł: „Mówiłem z panem margrabią w téj sprawie dosyć rzetelnie, a on zaprzecza uroczyście, żeby có był winien, i na stryja się odwołuje: „Stryj brał, stryj niechaj płaci.“ Jam powiedział: „Stryj brał, stryj ze mną kontrakt zrobił jako opiekun, ale na rzecz synowców, na spłacenie ich długów, o czém nauczy kontrakt.“ Ozwie się królowa: „Obejdź się waść dobrze z panem margrabią.“ Ja odpowiadam na to: „Mościa królowo! wasza królewska mość racz tak perswadować krzywdę czyniącemu, nie ukrzywdzonemu.“ Rzecze znowu: „Dobryć on człowiek.“ Rzekę znowu: „Człowiek dobry, ale postępki złe.“ Król na to skrzywiwszy nos, uśmiechnął się trochę, ... „Marysieńku! da waści za to kinala.“ (Za to przymawiał, że to z nią karty grywał). Trochę się królowa zasępiła i poszła na stronę. Jak odeszła, aż król mówi: „Daj jeno pokój; niechaj go okrzykną w poselskiéj izbie, będzie on tańszy.“ Kazał mi tedy król być po obiedzie u siebie, a wtem wsiadł w karetę i pojechał do Karmelitów; tam téż znowu poalterował się łajaniem kaznodziei Karmelity, który z ambony począł łajać na niego; jakoby mniéj dbał o honor Boga, nie ujmując się za krzywdę jego. Przeciw stanowi zaś ślacheckiemu tém bardziéj, wywodził ślachectwo, coto jest ślachcic, jakie jego powołanie i który jest prawdziwy ślachcic. Przytoczył także przykład jeden téj osnowy: „Słyszałem jednego godnego cudzoziemca, dyskurującego o swéj podróży, i różnych narodów, kto tego w czém przechodzi, na szali ważącego wyższość, a który mówił w ten sens: „„Byłem we Włoszech, widziałem biskupów, bo tam najwięcéj biskupów; byłem w Niemczech, widziałem książąt, bo tam najwięcéj książąt; byłem we Francji, widziałem żołnierzy, bo tam najporządniejsze wojska; byłem w Polsce, widziałem ślachtę, bo tam najwięcéj ślachty.““ Ale, miła ślachto! przebaczysz mi, coć powiem; bardzo powaga twoja wypadła z kluby; ta powaga, na którą owi przodkowie nasi tak zaszczytnie u narodów zarobili sobie, że ją jednę tylko pod słońcem jak wzorowe zwierciadło (nie bez zazdrości) całemu światu wystawiali, bo tacy byli Polacy!“ Kaznodzieja ten wywodził i inne dowody, a najbardziéj gromił o to, że nie dbają o honor Boski,

bo téż świeżo nastała była sekta wszeteczna Łyszczyńskiego, o czém opowiem niżéj. Przychodzę tedy do króla popołudniu, jako mi kazał, aż on mówi: „Poparłaćby cię izba poselska, ale się sejm zerwał; zahukaliby byli margrabię na śmierć twoi Mazurowie, bo ja już wiem, którzy się na niego ostrzyli, i my dopomoglibyśmy byli z boku; teraz już trzeba z inszéj beczki zacząć. Jest tu już, słyszę, na zamku pan wojewoda sieradzki, który jest marszałkiem trybunalskim, każę go tu do siebie zawołać i zalecę mu tę sprawę, żeby nieodwłócznie i sprawiedliwie sądzona była.“ Kazał mi tedy poczekać, a po niego posłał. Przyszedł. Rzecze mu król: „Mospanie wojewodo, mamy tu człowieka ukrzywdzonego (wskazał na mnie), ślachcica i żołnierza nam dawno znajomego, który, gnębiony od możnych, żąda sprawiedliwości. Ma blizką sprawę w rejestrze trybunalskim, zaczém zalecam respektowi waści i sprawę i człowieka, jako dobrze zasłużonego w téj ojczyznie, i proszę za nim, żeby był w krzywdzie swojéj ukontentowany.“ Wojewoda rzecze: „Miłościwy królu! człowieka tego znam bardzo dobrze, byśmy razem w wojsku i na sejmikach wiele lat z sobą . . . .; krzywdę téż jego i sprawę wiem, żebym nie . . . . sumienia, choćbym osądził, inkwizycji nie czytając; tymże bardziéj, kiedy ta majestatu waszéj królew. mości zachodzi powaga.“ . . . . .

(Na tém się kończą w rękopismie Petersburskiéj Cesarskiéj biblioteki Pamiętniki Paska).



30.—
ww353/18266
W 359

